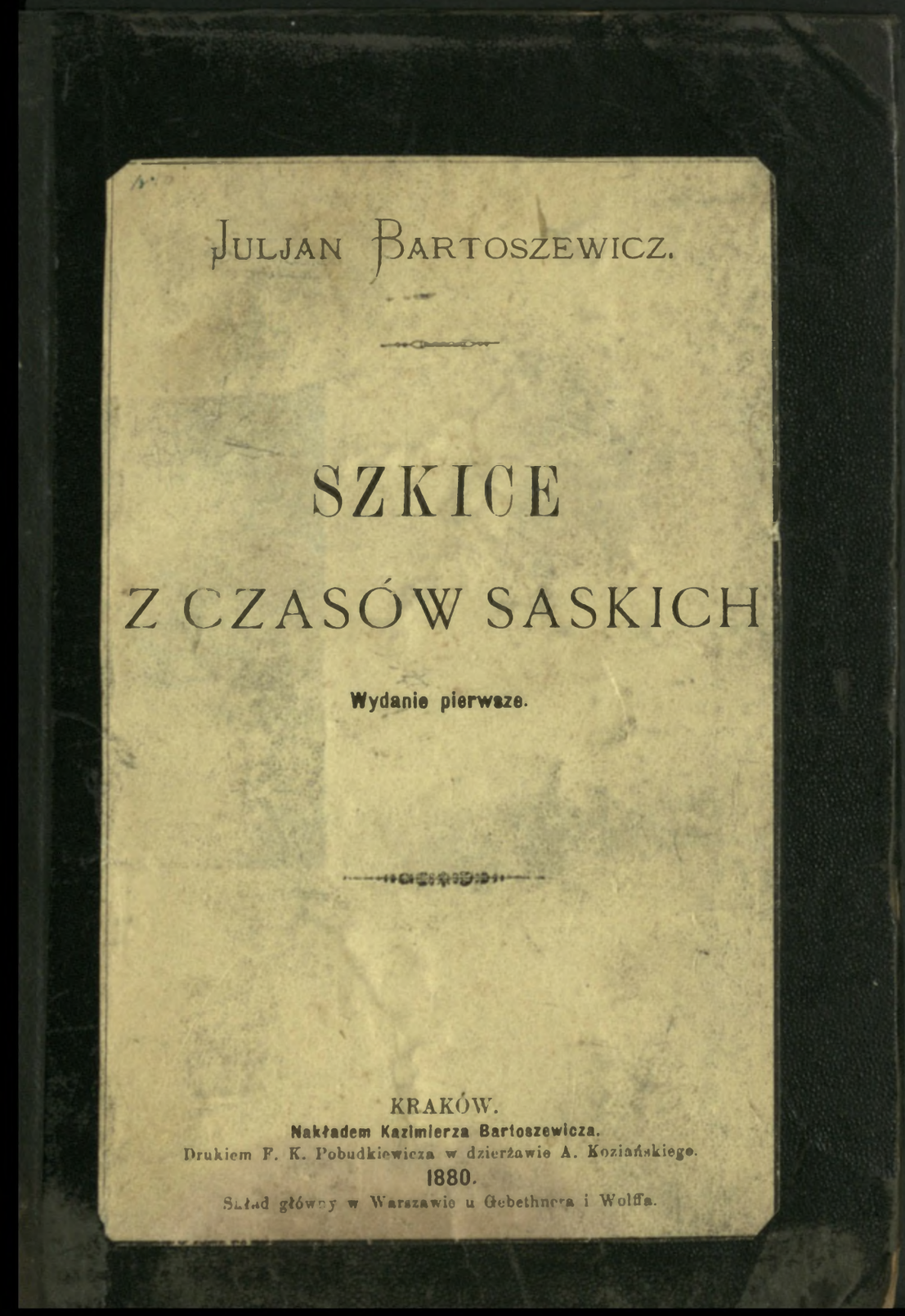




JULJAN BARTOSZEWICZ.

SZKICE
Z CZASÓW SASKICH

Wydanie pierwsze.

KRAKÓW.
Nakładem Kazimierza Bartoszewicza.
Drukiem F. K. Pobudkiewicza w dzierżawie A. Kozlańskiego.
1880.
Skład główny w Warszawie u Gebethnera i Wolffa.



JULJAN BARTOSZEWICZ.

SZKICE
Z CZASÓW SASKICH

Wydanie pierwsze.

KRAKÓW.
Nakładem Kazimierza Bartoszewicza.
Drukiem F. K. Pobudkiewicza w dzierżawie A. Koziańskiego.
1880.
Skład główny w Warszawie u Gebethnera i Wolffa.

DZIEŁA

JULJANA BARTOSZEWICZA.

DZIEŁA

JULJANA BARTOSZEWICZA.

TOM SIÓDMY.

SZKICE Z CZASÓW SASKICH.

Wydanie pierwsze.

KRAKÓW.
Nakładem Kazimierza Bartoszewicza.
Drukiem F. K. Pobudkiewicza w dzierżawie A. Koziańskiego.
1880.
Skład główny w Warszawie u Gebethnera i Wolffa.

SZKICE Z CZASÓW SASKICH.

Juljan Bartoszewicz.

SZKICE
Z CZASÓW SASKICH

Wydanie pierwsze.

KRAKÓW.
Nakładem Kazimierza Bartoszewicza.
Drukiem F. K. Pobudkiewicza w dzierżawie A. Koziańskiego.
1880.

Biblioteka [illegible] Polit
36639/2
im. F. Ksawerya [illegible]

KROPIŃSCY.

OBRAZKI SEJMIKOWEGO ŻYCIA Z CZASÓW SASKICH.

Niedługo jakoś po śmierci jenerała Kropińskiego, autora *Ludgardy*, dostały nam się do przejrzenia papiery jego, listy i tym podobne pamiątki. Rodzina zmarłego poety życzyła sobie, ażeby z tych papierów ułożyć jakie pamiętniki jenerała, któreby mogły posłużyć do objaśnienia jego zawodu publicznego, a wreszcie dostarczyć barwy właściwej do malowania historycznych obrazków z czasów Stanisława Augusta. Sam Kropiński myślał długo o tych pamiętnikach i zbierał sobie na starość materyały ze wspomnień, jakich mu jeszcze wtedy znękany nieszczęściami domowemi umysł i nie świeża już pamięć dostarczyły. Ale z wielkim żalem przekonaliśmy się, że te trochę listów, które pozostały po nim pochodzą już z późniejszej dobrze epoki i że niema w papierach jenerała żadnych śladów przypomnień o jego początkowym zawodzie, o jego stosunkach z dworem hetmanowej Ogińskiej w Siedlcach, o jego dawnej przyjaźni z Puławami i z domem książąt Czartoryskich. Wprawdzie znaleźliśmy luźne kartki, na których jenerał notował sobie tytuły przyszłych rozdziałów w pamiętnikach, np. *Wyprawa nocna Emroda* (tak się przezywał na owych kartkach), *Pod Wolą* (w wojnie z Prussakami w r. 1794) *Widzenie się z Elwirą* itd. Ale co można było wycisnąć z takich

notatek bez ładu i składu, z hieroglifów, które mógł czytać sam jenerał? To było powodem, żeśmy pamiętników owych nie spisywali, tem bardziej, że nawet poezje Kropińskiego niewiele nam objaśniły jego żywot pełen niepokojów i troski.

Jednakże robiąc poszukiwania dla wyjaśnienia dziejów stron swoich rodzinnych, spisując pamiątki Radziwiłłów w Białej, zbierając wiadomości o panach i szlachcie, o miastach i kościołach dawnego województwa Brzeskiego, znajdowałem tu i owdzie rozmaite wspomnienia o Stanisławie Kropińskim ojcu jenerała; dołączyłem do tego wiadomość o Piotrze dziadku, ile papiery jego znalazłem w komplecie wśród notat pamiętnikowych jenerała, — i takim sposobem skleciły się te obrazki życia sejmikowego szlachty w Brzeskiem. Myślałem podówczas, że te obrazki służyć będą jako wstęp do pamiętników jenerała, jako pierwsze ich rozdziały. Kiedy jednak do tego nie przyszło, zależałe w tece obrazki podaję do druku. Tutaj tylko to może dodać winienem, gdy Stanisława Kropińskiego historja nie jest skończona w obrazkach, że ojciec autora *Ludgardy*, zrabowany w r. 1769 do szczętu w Paszukach wiosce swojej dziedzicznej, w czasie konfederacji Barskiej, uciekł z którymś Sapiehą do Gdańska; tam podobno umarł, zostawiwszy syna sierotą.

Dnia 11 września 1857 roku.

I.

Szlachta zastawna. — Kropińscy herbu Jelita. — Piotr rotmistrz przedniej straży. — Hetman i strażnik Litewscy, Pocieje. — Testament. — Fleming w Terespolu. — Historja Stanisława Kropińskiego. — Charakterystyka jego. — Dzieje sejmikowe w Brześciu. — Poselstwo na sejm w r. 1778. — Łaski u Sapichów.

Dawni panowie polscy prowadzili ogromne dwory, i jeżeli mieli wielkie starostwa, wiele też szlachty chlebem swoim żywili. Pospolicie rozdawali im dobra swoje prawem zastawnem; wzięli dziesięć, dwanaście tysięcy niby na procent, a za to dawali wieś

wartującą kilkadziesiąt tysięcy, z czego szlachcic pobierał dwanaście, piętnaście od sta dochodu. Łatwo potem było pierwszemu lepszemu, a jeszcze przy łasce pańskiej, przyjść do dziedzictwa a nawet klucza. Panowie nie pożyczali sami pieniędzy, ale brali je na prośbę swoich przyjaciół, których potrzebowali w sejmikowem życiu Rzeczypospolitej. To też więcej starała się szlachta o ulokowanie drobnych swych sumek na jakich dobrach pańskich, jak dzisiaj może bankierzy starają się o złoto albo o podwyższenie kursu papierów. A za nic w świecie taki zastawnik nie zgodziłby się na to, żeby go pan okupił, to jest żeby mu oddał jego summę, a wieś napowrót zabrał do siebie. A jeżeli się kiedy zdarzyło, że ktoś z zastawników wolał wziąść pieniądze, jeżeli się gdzie daleko ze swoich stron wynosił na mieszkanie, jeżeli znalazł lepszą lokację swojego kapitaliku, ileż znowu starań pomiędzy szlachtą, ażeby pan pozwolił tego zastawnika okupić! Łatwo teraz pojąć jak dobra wielkich rodzin polskich przez kilka pokoleń, po lat sto i więcej nawet, zostawały w ręku biedniejszej szlachty. Łatwo też pojąć, zkąd panowie brali swoich przyjaciół, zkąd książe Radziwiłł, naprzykład, był nazwany królem Litwy.

Ale tych zastawników i okupników nieznała Korona, bardzo naturalnie dlatego, że niemiała takich bogatych magnatów jak Litwa, która niedawno co jeszcze wyszła z feudalizmu i zachowała nietknięty kwiat swojej arystokracyi. W Koronie wszystko się jakoś więcej wyrównało do poziomu szlacheckiego, bo też i cywilizacja Korony była znacznie starszą od cywilizacji Litewskiej. W Polsce daleko mniejsze były fortunki panów, którzy za to więcej nadrabiali starostwami jak bogactwami z naddziadów. A w Litwie do tego były i starostwa bardzo bogate i senatorskie krzesła pięknie uposażone. W Małopolsce tylko na Rusi, było coś z wielkich panów; ale na Litwie jeżeli już pan to pewnie pan całą gębą. A każdy z nich prowadził za sobą szereg szlachty, która zasłużona od dziada pradziada w jego domu, politykę pańską miała za swoją i na oślep leciała tam, gdzie wykonawcy woli pańskiej kazali. Gdybyśmy chcieli wyliczać te rodziny, które wyszły z zaścianków, z chudopacholskiej zagrody na widownię całej Rzplitej i które się nawet w dziejach ojczyzny wsławiły, musielibyśmy przepisać chyba cały herbarz szlachty Litewskiej. W Koronie już więcej znajdzie się imion i więcej

dawniejszych i więcej własną zasługą znakomitych, jak łaską pańską.

Pan Piotr Kropiński, szlachcic herbu Jelita, wzrósł na łasce domu Pociejów, jak inni wzrastali łaską Sapiehów, Radziwiłłów albo Czartoryskich. Pociejowie, biorąc go w swoję opiekę, podnieśli razem całą rodzinę Kropińskich na pewien stopień znaczenia i powagi pomiędzy bracią szlachtą, tak, że niedługo potem i stosunki więcej rozległe i związki familijne więcej zaszczytne i godności powiatowe a nawet poselstwa w tym domu dotąd biednej szlachty się znalazły. Przedtem nikt się o to nie troszczył, co tam Kropińscy porabiają w swoich zaściankach.

Pan Piotr, Litwin rodem, zdaje się z województwa Brzeskiego, bardzo dawno zaczął służyć wojskowo i znalazł względy u hetmana wielkiego Pocieja, co to, Boże mu przebacz na tamtym świecie, wiele złego nabroił w Rplitej, bo to razem i chciwy był na pieniądze i dumny był, t. j. chcieliśmy powiedzieć, ambitny, wiele intrygujący w około. Urósł ten Pociej na pana kosztem Sapiehów, którzy stracili cały swój kredyt u szlachty w bitwie pod Olkienikami, za co też o mało życiem tam nieprzypłacił. Potem był czas jakiś podskarbim wielkim w Litwie i bił złą bardzo monetę, ale tak złą, że się aż na niego król August drugi raz rozgniewał, choć to obadwaj dawno się pomiędzy sobą zwąchali i kochali serdecznie, jeden pomagając drugiemu. Pociej też nie w ciemie bity, potrafił dostać się i do łaski cara Piotra Aleksiejewicza, który go popierał u króla. Kiedy więc nie można było inaczej, szlachta mściła się na Pocieju obelgami. Powiadała np. że litery L. P. na jego tynfach kładzione, oznaczają *płacz ludzki*, a kilka razy, może nawet i kilkanaście zrywała się do szabli, i pan hetman ledwie znowu uciekał z życiem, ale teraz z niem uciekał już przed szlachtą jak niegdyś przed Sapiehami. Co najwięcej do wyrzucenia było p. hetmanowi, to, że z królem jegomością była to jedna myśl i jedno serce i ciało. Czy to było z widoków politycznych, czy zupełnie osobistych, dosyć że Pociej wchodził w plany reformy Rplitej jakie król stroił, — i ztąd kiedy konfederacja Tarnogrodzka zniweczyła wszystkie plany królewskie, hetman tylko co wyszedł i prawie cudem z krwawej kąpieli, w której się tylu Sasów smiertelnie skąpało.

Ten sam pan hetman, dziwna rzecz, nadzwyczaj był popularny z bracią szlachtą w pożyciu domowem, kiedy z nią sam na sam przestawał.

Czy w dworku czy w pałacu, czy na wsi, czy też w mieście, gdzie mógł roztoczyć swoję hetmańską wspaniałość, w Rożance czy we Włodawie, wszystko u niego było równo, czy p. Zamojski czy brat szlachcic: wyściskał, wycałował, naczęstował cię po uszy, wina jak do garnca w szlachtę nalewał. Hojny aż do zbytku, stawiał na stole butle za butlami i kielichy po kielichach. Ale sam częstując mało pił, i udawał tylko, że dotrzymuje placu. O! wtenczas bądź ostrożny z językiem! I to była hetmańska sztuczka. Kiedy bywało szlachcic po uszy napiły rozgoworzył się i prawił to o tem, to owem, Pociej przytomny słuchał i żadnego słowa nie stracił napróżno, bo czuł że u pijanego dusza i serce na języku. Łowił tak po kolei na wędkę grubszą sztukę, tych braci, co to wiedzieli o zamiarach panów, o ich zabiegach i uknowanych intrygach. Wszyscy się dziwili na Litwie, zkąd pan hetman wie by najtajniejsze pomyślenia i chęci? a pan hetman, jak szlachta mawiała, tylko *dyssymulować* umiał. Grzeczny był jednak nietylko dla interesu, boć i dla służby swojej nawet był przystępny i łagodny i dobry jak rzadko. Pieniędzy miał dużo, ale nikomu ich nie żałował: brał kto chciał z hetmańskiej kasy i jeżeli chciał to oddawał; ale ma się rozumieć, mieli to prawo tylko powiernicy pańscy. Był np. u hetmana marszałkiem dworu niejaki p. Radoszyński, utracjusz na wielką skalę, który więcej jeszcze jak hetman winem pańskiem częstował, a upiwszy się naraz jednego wieczora rozdawał całe tysiące nie ze swoich skarbów. To nic, ale co śmieszniejsza jeszcze, podskarbim był u Pocieja p. Niepokojczycki razem i skarbnik województwa Brzeskiego, także utracjusz, ba i szuler; raz np. w Warszawie przegrał 60 tysięcy złotych, a że grał nie na swoje, bo sam nigdy tyle w życiu niemiał pieniędzy, ale na hetmańskie, czysto dług swój z dochodów pańskich wypłacił bez najmniejszej zgryzoty sumienia, — kiedy się p. hetman o tem dowiedział roześmiał się tylko z dowcipnego sługi, i na tem się wszystko skończyło. Ha! musiał ci być hetman panem całą gębą, kiedy mógł zdobywać się na takie podarunki i kiedy go to nic nie obchodziło. Otóż między takimi dworzanami a Pociejem nie było żadnej różnicy, pił z nimi, bankieto-

wał, hulał, kiedy tak wypadło nawet w nocy, w stodole, nawet w koszuli. I cóż tedy dziwnego, że hetman miał swoich stronników, co za nimby w piekło poszli, jak miał i nieprzyjaciół zaciętych.

Kropiński należał do szczerych przyjaciół p. hetmana. To niedosyć, że był jego podwładnym, ale jeszcze osobiście przywiązał się do niego. Był zaś rotmistrzem w półku przedniej straży, i dlatego zawsze biegł pierwszy na zawołanie hetmańskie [1]). Pociej potem z łaski swojej brał oszczędności Kropińskiego i umieszczał na swoich dobrach. Krwawą pracą i wysługą pan rotmistrz zebrał sobie ten kawałek grosza. Hetman dał wreszcie zastawą Kropińskiemu wieś Korolówkę w województwie Brzeskiem: bo obligi, różnemi czasy wydane przez niego, a zniesione w jedną summę, wyniosły nareszcie kapitał, grosz w grosz 32 tysiące dziewięćset czterdzieści pięć złotych i groszy sześć. Rotmistrz niemiał żadnych dóbr dziedzicznych, rodzice nie zostawili mu ani kawałka ziemi własnej; ale już z tą małą fortunką, przy łasce pańskiej, a rządzie domowym, można jakoś było przyjść do lepszego i wygodniejszego bytu.

Prawda, że p. Kropiński miał i swoje wydatki, o jakich dzisiaj wyobrażenia nawet nie mamy. Dawniejsi przodkowie nasi łożyli wiele na kościoły, jałmużny i nabożeństwa. Każdy zawsze coś wedle swej możności ofiarował Panu Bogu: pan wielki wznosił okazałe świątynie i fundował klasztory, mniej bogaci budowali ołtarze, sprawiali obrazy, wota złote i srebrne zawieszali po ścianach, kupowali monstrancje, kielichy i ozdoby. Prababki nasze wyszywały złotem i srebrem dywany, antepedje i poduszki, haftowały chorągwie, na podarunek dla kościołów. Panowie fundowali wieczyste nabożeństwa; ubożsi zakupowali msze, a to nie tak jak dzisiaj raz albo dwa razy do roku. Dawniej modlitwa była potrzebą, i środkiem, tak utrzymującym życie, jak napój i jadło, — bez modlitwy obejść się niebyło można. Każdy dom musiał cząstkę dochodów swoich poświęcać na cel religijny. Na etacie wydatków stały co rok, i to na pierwszem miejscu, praktyki

[1]) W papierach Kropińskiego jest rozkaz z dnia 8 marca 1724 r., ażeby z chorągwią swoją zaraz pospieszał pod Brześć, w zupełnym wojennym rynsztunku i komplecie, i ażeby stanąwszy tam na dzień 12 kwietnia, dał zaraz o tem znać hetmanowi.

religijne; a potem już szło życie, odzież, sprzęt domowy, inwentarz i gościnność staropolska. Jeden więcej, drugi mniej dawał, ale wszyscy jednak dawali.

Nasz rotmistrz był, tak samo jak inni szlachta, bardzo pobożnym człowiekiem, zupełnie jak hetman, który również wiele świadczył dla kościołów. Pociej miał pierwszą żonę z domu Zachorowską kasztelankę Wołyńską, niewiastę bardzo świątobliwą i szanowaną powszechnie. Wszystkie siostry pani hetmanowej, a kilka ich było, wyglądały jak bliźnięta pod względem moralnym; krople wody jedna do drugiej nie mogą być podobniejsze do siebie. Jedna z nich, ordynatowa Zamojska, założyła potem w Warszawie kapitułę panien Kanoniczek. Aniela Pociejowa, podobno najstarsza z nich, która się wpisała do bractwa pięciorańskiego przy kościele Paulinów w Warszawie, bardzo wiele świadczyła dla służby Bożej. Zakochała się tak mocno w zakonie św. Pawła Pustelnika, który strzeże świętego obrazu Bogarodzicy w Częstochowie, że sama zaczęła budować wielki kościół i klasztor dla tegoż zakonu w dobrach mężowskich, we Włodawie nad Bugiem, między Rusią. Pociej, jeszcze będąc podkomorzym brzeskim, opieką swoją otulał Paulinów; ale teraz wspólnie z żoną dla nich pracował na większą chwałę Bożą. Kiedy umarła pani Pociejowa, hetman sam kończył pobożnie swoje fundacje,— i niedosyć, że dokończył zaczętych budowli we Włodawie, ale jeszcze plebanję tego miasteczka ofiarował Paulinom i wieś im nadał, oraz inne jeszcze święte miejsca otwierał dla zakonu. Za jego to albowiem staraniem Leśna pod Białą Radziwiłłowską, sławna objawieniem się N. Panny za czasów wiedeńskiej wyprawy króla Jana, dostała się również Paulinom. Hetman przyczynił się znakomicie do fundacyi Wileńskiej, hetman summy pozostałe po żonie rozdawał na wieczysty fundusz ulubionym swoim zakonnikom. Kropiński tedy jak niemiał kochać Paulinów i kościołów, które kochał hetman, jego dobroczyńca? Kochał je też bardzo wszystkie i modlił się w nich często; a uzbierawszy cokolwieczek grosza, zamiast wszystko oddawać panu na powiększenie owej summy zastawnej, składał go w chętnej ofierze na ołtarzu, a nawet większej cokolwiek nie żałował ilości, wiedząc, że Bóg odda mu to stokrotnie, pobłogosławi w polu i w dzieciach. Na kilka jeszcze miesięcy przed śmiercią hetmańską, sprowadzi-

wszy do siebie, do Korolówki, księży prowincjała i przeora klasztoru Orchowskiego Augustjanów, podarował im oblig na 2000 zł. polsk., wymawiając sobie msze i za życia i po śmierci. Była to summa u hetmana, który ją oparł na kahale Włodawskim [1]).

Krom tej większej ofiary doznawały szczodrobliwości rotmistrza inne jeszcze klasztory w okolicy. Lubił zawsze p. Kropiński więcej mnichów, jak świeckie duchowieństwo, — i może dla tego więcej świadczył klasztorom, że biedne, a żywot pędzą doskonalszy, zupełnie Bogu oddany. W samym Brześciu byli wtenczas Augustyjanie, Bernardyni, Trynitarze i Dominikanie. Każdy zakątek w tych kościołach znał tak dobrze jak swój własny dom, jak swoję kieszeń, pan rotmistrz Kropiński. W Brześciu nawet więcej się modlił jak gdzie indziej: bo Brześć nie tylko był stolicą województwa, nie tylko w stosunku do innych miast obejmował w murach swoich większą ilość ludności, a co za tem szło, i większą liczbę klasztorów; ale w Brześciu miał jeszcze swoją rodzoną siostrę Konstancję i siostrzenicę pannę Tabeńską zakonnicami u Brygidek. Pan Kropiński bywał też często i w Białej u ojców Reformatów, w Terespolu u Dominikanów, bywał w Kodniu u Sapiehów i we Włodawie, i wszędzie zostawiał pamiątki swojego nabożeństwa. Kościół Pauliński we Włodawie tak polubił, że chciał być w nim pochowanym, jak hetman Pociej. Kropiński miał do tego kilku patronów w niebie. Starzy Polacy pospolicie dawali dzieciom swoim po kilka imion na chrzcie; robili jo z tą myślą, żeby je poruczać mogli pod opiekę świętym Pańskim, którzy już w łasce wiekuistej królowali. Nasz wojak miał tedy szczególniejsze nabożeństwo naprzód do św. Piotra, a potem do św. Józefa, Antoniego, Barbary i Aniołów Stróżów. I otóż nowy powód do czci, jaką miał dla kościołów, w których znajdował się albo ołtarz św. patrona, albo jakie na dzień jego odpusty.

Pobożny, skromny, niemajętny, długie lata przeżył sprawiedliwie, w przykładnem pożyciu z żoną i przyjaciołmi. Długo przecież Bóg nie błogosławił rotmistrzowi. Umarła mu naprzód pierwsza żona Helena, z której się nie doczekał potomstwa, albo jeżeli było to zaraz pomarło przed czasem, czem gryzł się biedny

[1]) Oblig ten datowany dnia 21 października 1729.

ojciec. Ale i te chwile smutne przebrzmiały, i rotmistrz zawarł drugie związki w późnym już wieku z Anną Laskowską i z nią tak był szczęśliwy, że doczekał się syna, którego nazwał Stanisławem. Pieścił i kochał to dziecię, jedyną pociechę swoją na stare lata. Ta myśl jednakże truła życie staremu rotmistrzowi, że sam już nie wychowa jedynaka. Śmierć hetmana Pocieja, którego przeżył, była także strasznym ciosem dla rotmistrza (3 stycznia 1730 w Różance). Pani hetmanowa wdowa, druga żona Pocieja, nie była to już owa pobożna i świątobliwa fundatorka Paulinów, ale światowa i wielka dama, która lubiła się trzpiotać, bawić, weselić, i to jeszcze nie w zaciszu, nie na Podlasiu we Włodawie albo w Terespolu, ale na dworach królewskich, np. w Warszawie i w Dreźnie. Pani Pociejowa, jak za życia męża długo bawiła w Saksonji, tak i teraz po śmierci jego nie porzuciła dworu, na którym ją serdecznie przyjmował i zawsze rad widział król August, wielbiciel płci pięknej i znawca wszelkiego rodzaju arcydzieł. Niedługo odtęskniła się po śmierci męża i przyleciała jak piorun do Warszawy; starostwa swoje pozastawiała albo posprzedawała, to Sapieże wojewodzicowi podlaskiemu, to Flemmingowi; córkę jedynaczkę coprędzej wydała za mąż za Franciszka Borzęckiego starostę Żydaczewskiego; przemarnowała dochody, intraty i dobra, i nic swoich spraw nieuregulowawszy, pobiegła napowrót do Saksonji, gdzie weszła zaraz w powtórne śluby z hrabią Montmorencym, którego szlachetny ród sięgał jeszcze wieku wojen krzyżowych.

Młoda pani Borzęcka musiała się prawować o majątek ojcowski z bratem swoim stryjecznym, Antonim Pociejem strażnikiem w. litew., który na mocy pewnej ordynacji familijnej przychodził do spadku po hetmanie. Zaniosło się już z tego powodu na ogromną burzę, kiedy los szczęśliwy zdarzył, że stronom podał rękę uczony a poważny kasztelan trocki, Jan Fryderyk Sapieha, pan na Kodniu. Zjechał on właśnie do Brześcia na sądy grodzkie, gdzie był starostą, i z pomocą innych przyjaciół, zgodę przyprowadził do skutku. Córka hetmańska wzięła gotówką 350 tysięcy i srebra, a strażnik otrzymał wszystkie dobra Pociejowskie i przyjął długi na nich oparte. Tak tedy i pan rotmistrz dostał się w spadku po hetmanie, jako przyjaciel rodziny, strażnikowi. Te-

raz od niego zależał i już drugiego Pocieja miał być zastawnikiem w Korolówce.

Stary hetman, chociaż dużo roztracał, ale umiał wszakoż gromadzić fortunę; nowy zaś dziedzic nie znał zupełnie co to jest się rządzić i chorował na pana. To też coraz gorzej szło w dobrach Pociejowskich. Kropiński znalazł jednak i u strażnika względy; ale gdy tymczasem wiek coraz starszy domagał się praw swoich, rotmistrz nasz postanowił spisać testament.

Testament ten mieliśmy pod ręką; — wierny w nim obraz stanu duszy posiwiałego wojaka, który jedną nogą stoi już w grobie, i nie wie z pewnością czy jutra jeszcze dożyje. Kropiński naprzód z uczuciem wyznaje najuroczyściej, że umiera w świętej wierze katolickiej, a potem rozporządza majątkiem. Żonie swojej zapisuje 13 tysięcy złotych, z których 5 tysięcy na mocy zapisów przedślubnych własnością, a 8 tysięcy dożywociem. Z tego dożywocia, po śmierci żony ma iść tysiąc złotych na prawnuka Marcina Ładowskiego, a 7 tysięcy dla syna Stanisława, któremu ojciec resztę całej swej fortuny zapisuje. Troskliwy ojciec zobowiązuje żonę jak najuroczyściéj, ażeby dała synowi we wszystkiem jak najlepszą i najprzystojniejszą edukację, — a syna, ażeby pod błogosławieństwem ojcowskiem, matkę według przykazania boskiego czcił i szacował i we wszystkiem jej słuchał. Gdyby syn niedoszedłszy lat schodził ze świata, dożywocie na całą fortunę zapewniał Kropiński swojej wdowie; a po długiem jej życiu, zapisywał 17 tysięcy na kościoły, resztę zaś oddawał na własność dziedzicom wnuków swoich Tchórzewskim i Ładowskim, do równego działu, oddaliwszy innych krewnych od spadku. Miał Kropiński jeszcze za osobliwym obligiem Antoniego Pocieja 1500 złotych. Z tego 500 rozpisywał jałmużną na 12 kościołów, a resztę 1000 złotych oddał dzieciom Władysława Tabeńskiego siostrzeńca. Dworek w Brześciu na placu jezuickim stojący zapisywał synowi, a dożywociem zostawiał go żonie. Ruchomości też według osobnego rejestru, bydło, konie i sprzęt domowy, także zostawiał dożywociem żonie, z warunkiem, ażeby tego wszystkiego dla syna dotrzymywała. Ruchomość zaś białogłowska wyjmowała się z tego przepisu. Kotły chorągiewne dla pamiątki zostawiał synowi, a gdyby umarł polecił je złożyć na grobie swoim, t. j. w kościele księży Paulinów Włodawskich. I gotówkę, jakaby się znalazła w dniu

śmierci jego, przeznaczał Kropiński na przystojny pogrzeb i na msze św., których ażeby odprawiać jak najwięcej, prosił. Pożegnanie wszystkich i każdego w szczególności zajmują ostatnie kartki tego testamentu.

Wykonawcami woli swojej Kropiński mianował trzech przyjaciół; jużto naprzód Antoniego Pocieja strażnika wielkiego litewskiego, którego panem osobliwym i dobrodziejem swoim nazywa, i któremu poleca rozporządzenia na kościół majątkiem swoim, gdyby żona jego i syn kiedy pomarli; dalej pana Ignacego Sadowskiego starostę słonimskiego; wreszcie Józefa Ładowskiego rotmistrza J. K. M., który właściwie był wyznaczony do pomocy wdowie wtenczas, kiedy dwaj pierwsi, mianowani więcej dla honoru, zostali opiekunami małoletniego syna. Jako świadkowie zaś podpisali testament w Korolówce: Michał Pociej starosta Rohaczewski brat rodzony strażnika, i panowie Jędrzej i Józefat z Milewa Jeziornicki krajczy brzeski z Adamem Raczkowskim [1]).

Zdaje się, że pan Piotr umarł mniej więcej jednocześnie z królem Augustem drugim, niedługo po spisaniu testamentu. Musiał być bardzo stary, kiedy miał aż prawnuki, chociaż razem miał i nieletniego syna.

Zaczęło się tedy bezkrólewie. Pan strażnik, który już od kilku lat tęsknił do buławy polnej, (bo wielka, gdy obiedwie wakowały, należała się Michałowi księciu Wiśniowieckiemu), przyjął stronę Leszczyńskiego. Głosował za nim pod Wolą, a otrzymawszy od swojego króla regimentarstwo jeneralne wojsk Litewskich, udał się zaraz do siebie i dowództwo objął, już wbrew księciu Michałowi, który był za królem Sasem. Uganiali się obadwaj jakiś czas po Litwie. Ale mimo swoich zachcianek, nie był wszelako Pociej mężem hetmańskim. Osobistą posiadał odwagę, to prawda, ale taka odwaga to rzecz szlachecka, nie jest to jeszcze oznaka, dowód dzielnego wodza. Dlatego Pociej więcej zaszkodził swojej sprawie aniżeli jej pomógł, nie przez złą wolę broń Boże, ale przez niezręczność, opieszałość i brak taktyki wojennej. Łagodny i niesurowy, tak samo jak nie umiał utrzymać w porządku dóbr swoich, nie potrafił utrzymać wojska, które stoi

[1]) Data testamentu dnia 31 października 1732 r. Oblata w grodzie brzeskim dnia 13 grudnia t. r.

karnością i posłuszeństwem. Nieład panował tam wszędzie gdzie był, a do czego tylko rękę przyłożył Pociej. Z początku jakoś to i wojska więcej mu były posłuszne i na rozkaz łączyły się z regimentarzem, który urósł niespodzianie w siły; ale kiedy pan Pociej zapomniał się wpośród pomyślności, opuścił ręce, nastąpiły klęski i niezgody, a w obozie popełniały się zabójstwa pod okiem hetmańskiem, aż przyszło za tem wszystkiem błąkać się gdzieś daleko po Prusach i Mazurach, aż do sejmu pacyfikacyjnego. I kiedy się potem Sas utwierdził na tronie, pan strażnik oczywiście nie dostał buławy i był całe życie tylko strażnikiem litewskim. Ale wtedy się coraz więcej opuszczał i nareszcie musiał sprzedać dobra, które wziął po hetmanie, to jest: Włodawę, Różankę, Terespol, Rzeczycę i Zdzitowiec, i to jeszcze jako bankrut, sprzedać wierzycielom swoim za pół darmo, żeby długi pospłacać przynajmniej. Wszystkie te dobra Pociejowskie kupił Niemiec pan Flemming, który już i dawniej nabywał pretensje wdowy po hetmanie, owej pięknej hrabiny Montmorency. Flemming, zawołany gospodarz, na wysokim stopniu postawił dobra Pociejowskie. Był to albowiem pan bardzo bogaty, bardzo zabiegły i skrzętny, a wreszcie bardzo znaczący w Rplitej, dla trzech mianowicie powodów: jeden powód, że został podskarbim w. litew. a więc ogromną figurą; drugi powód, że w dzierżawie trzymał, w okolicy dóbr nabytych, bogate ekonomije królewskie brzeską i kobryńską, a tem samem musiał utrzymywać wielką liczbę szlachty litewskiej, która u niego za officjalistów po folwarkach służyła, i pan Flemming mógł rozdawać posady mniej lub więcej dochodne; trzeci wreszcie powód, że był zięciem wszechwładnego ministra, księcia podkanclerzego Fryderyka Michała Czartoryskiego, który naprzód posiadał łaski królewskie i wszystko mógł u pana, a kiedy później łaskę stracił, doskonale obchodził się i bez niej, i za to tem świetniej trząsł całą Litwą, bo miał na to rozum prawdziwie szatański, że wszędzie trafił, wszystkiem się sam zajął, i takim sposobem duże i małe sprężyny ruchu, wszystkie jakie były, naciskał w swojem ręku. Flemming stale zamieszkał w Terespolu, z którego czuwał nad szlachtą po sejmikach; a po kilka razy do roku, w różnych czasach, według prawa, zbierali się ziemianie Brzescy do swojej stolicy dla obrad lub wyborów. Z Terespola zaś było tylko co przez Bug do

Brześcia. Ztąd Flemming mając takie stanowisko, takie stosunki, i tak blizką od serca województwa rezydencję, rzeczywiście był prawie dyktatorem szlachty na swojem pograniczu Korony i Litwy. Ustąpił mu z drogi nawet Pociej, który tradycjonalnie jeszcze mógł mieć przewagę w województwie Brzeskiem. Nie znalazłszy łaski u nowego dworu, umarł w lat trzy po owej smutnej sprzedaży dóbr swoich, w samym Brześciu, do którego zjechał jakby po śmierć, zaraz po sejmikach gromnicznych (w lutym 1749 r.).

A tymczasem, kiedy się to dzieje, młody sierota Stanisław Kropiński, który naturalnie wśród takich okoliczności już niewiele mógł rachować na Pociejów, wyrósł i zmężniał.. Przypatrzywszy się bliżej wszystkiemu, poszedł pod chorągwie Sapiechów, z którymi niegdyś emulowali dawni i jego samego i ojca panowie. Teraz protekcya Sapiehów daleko więcej młodzieńcowi obiecywała korzyści. Flemming nawet długo niemógł walczyć z potężnymi swoimi sąsiadami. W województwie Brzeskiem albowiem leżał także Kodeń, gniazdo najpotężniejszej może dynastyi Sapiehów, a w Kodniu mieszkał teraz kanclerz w. lit., ten sam niegdyś kasztelan Trocki, który godził panię Borzęcką z Antonim Pociejem. Krom tego, zawsze w temże województwie Brzeskiem leżały Wisznice, Wysokie-Litewskie, Boćki, Pratulin, wszystko dobra Sapieżyńskie. W Boćkach prowadził dwór pański podskarbi nadworny Sapieha, brat rodzony sławnego starosty bobrujskiego, spółzawodnik strażnika Pocieja do buławy, magnat całą gębą, bogaty i dumny, ale przytem pan dzielnego serca i walecznej ręki. Był trzeci i Sapieha w brzeskiem, t. j. Karol pisarz polny lit., który później został wojewodą.

Otóż młody Stanisław, obrotniejszy niz ojciec, daleko lepiej od niego umiał sobie radzić. Zasługiwał się odrazu wszystkim trzem Sapiehom. Wszedł do wojska za przykładem ojca, i dostał się na towarzysza do chorągwi hussarskiej króla jegomości, którą piastował pisarz polny lit. razem pułkownik petyhorski i hussarski, a do tego pan orderowy. W dowód względów swoich, Karol Sapieha mianował Kropińskiego raz deputatem do województwa Połockiego, dla pobrania raty marcowej, na chorągwie. Bo trzeba wiedzieć, że w r. 1717, sejm niemy, urządzając obronę Rplitej, t. j. stanowiąc, że tyle a tyle ma być na przyszłość półków, tyle a tyle chorągwi w kompucie wojska Kor. i Lit., oznaczył zaraz że ta a ta

ziemia, to a to województwo ma składać podatek na utrzymanie tego a tego znaku. Otóż dwa razy do roku półkownicy i dowódzcy regimentów i chorągwi, wysyłali podwładnych sobie oficerów do tych ziem lub powiatów, z których tamci podług ilości mieszkańców i dymów pieniądze wybierali. Technicznym wyrazem zwano takich deputatów *kontrahentami*, jak czynność samą *kontrahencyą*. Takim sposobem, pan Stanisław razem z Krzysztofem Rdułtowskim, wyznaczeni byli w podróż do województwa Połockiego dla pobrania jednej raty na swoją chorągiew. Konstytucya r. 1717, deputatom takim wyznaczała po tysiąc złotych nagrody, oprócz pocztów zwykłych oficerskich.*)

Za łaską możnych opiekunów swoich, został potem Kropiński miecznikiem województwa Nowogrodzkiego, i jak ojciec dzierżawą i zastawami chodząc, przyszedł do dziedzicznej własności: nabył sobie albowiem o kilka mil od Brześcia wioseczkę Paszuki.

Wojskowym był on więcej dla tytułu, bo mało zajmował się służbą, a ciągle biegał po dworach pańskich i pochlebiał i upraszał o nowe łaski. Był to człowiek młody, niewytrawiony życiem, niezmężniały doświadczeniem, a do tego wielce niespokojnego charakteru i ogromnej powiatowej ambicji. Uroił sobie, że jest znakomitością w województwie, a więc że się bez niego i panowie nawet obejść nie mogą. Uważał sam, że ma głęboki rozum i że jest biegły w polityce. Nie starał się pomiędzy szlachtą o popularność, ale wmówił w siebie, że ją posiada, bo wierzył w to jak w Trójcę św., że każdy się pozna na jego zdolnościach. Jednem słowem, miał się za statystę i to najprzedniejszego rodzaju. Ztąd z nikim długo niezostawał w zgodzie, bo każdego mało ważył, oczywiście spoglądając na ludzi z wysokości swego geniuszu i urojeń. Niebyła to właśnie droga do skarbienia sobie popularności, a sam wybór jej dowodzi, że Kropiński bardzo mało znał świat i ludzi. W Polsce niedosyć było posiadać łaskę pańską, żeby coś znaczyć na sejmikach.

Zresztą, pan Stanisław miał niepoślednie zalety: był człowiekiem śmiałym, odważnym, równie na placu boju, jak w kole

*) Nominacya na deputatów Rdułtowskiemu i Kropińskiemu datowana w Romanowie, d. 14 października 1744 r. za ratę marcową 1745 r., znajduje się w papierach familijnych.

sejmikowem, jak i w komnatach pańskich; rznął prawdę śmiało każdemu, czy się kto gniewał czy nie; mówił zawsze jak czuł i rozumiał. Powiadano o nim w województwie, że wolny ma język; było w tem wyrażeniu pół prawdy i pół cienia tylko, bo Kropiński był i do korda zuch i do gęby. Otwarty, szczery i rycerski na pierwszy rzut oka, podobał się każdemu; ale niechno kto z nim rok lub dwa pożyje, będzie mądry jak drugi Salomon, jeżeli wytrzyma. Ów szczery, za serce chwytający szlachcic stawał się po niejakim czasie w oczach przyjaciela samą pychą i nieszczerością. Dziwak i rozpustnik do najwyższego stopnia, przywidywał sobie coś do kogo, i zaraz obraza Boska, zaraz kpiny, żarty, wymysły, naigrawania się, jeżeli jeszcze nie co gorszego. Żegnał się jeden i drugi, i uciekał od niego jakby przed opętanym, a wreszcie wszyscy po kolei pana Stanisława rzucali. O! gniewał się też za to, gniewał! oj! nadymał się też nadymał! prawdziwie był to pęcherz nadęty powietrzem. Że jednak dokuczył każdemu swemi dziwactwami,—nie śmiech obudzał pychą swoją, ale oburzenie.

Najfatalniej wychodził na sejmikach, na których trzeba było braci szlachtę przekonywać, łagodzić i częstować. Obraza Boska zawsze była, kiedy on postał na sejmiki i zaczął się czynnie plątać do obrad szlacheckich. A kiedyżby się do nich nieplątał? chyba wtenczas, kiedy nagłe okoliczności odwołały go gdzie w inną stronę, o mil kilka przynajmniej od Brześcia, w czasie sejmikowym! Ale prawda, raz się mu na podziw pięknie udało na sejmiku. Był to może krok jego pierwszy w życiu publicznem, ale z najszczęśliwszych najszczęśliwszy.

Było to w r. 1748. Król zjechał na sejm z Saksonji i po wszystkich województwach Rplitej szlachta zgromadzała się po miastach, dla obierania posłów. Na radzie familijnej ułożyli Sapiehowie, że z Brzeskiego posłować będą podskarbi nadw. lit. z Boćków i Marcin Matuszewicz stolnik brzeski. Ale inaczej się stało. Podskarbi pojechał do kanclerza do Kodnia i tam coś długo znowu z sobą radzili. Tymczasem na sejmik już się zbierali tłumnie powietnicy, a pana podskarbiego Sapiehy jeszcze widać niebyło. Wreszcie po długich oczekiwaniach, przyjechał z Kodnia do Brześcia Kropiński, nasz właśnie miecznik Nowogrodzki, i oświadczył zdziwionemu Matuszewiczowi, że przyjechał

z rozkazu podskarbiego zerwać sejmik. Czy Sapieha myslał, że się nie utrzyma przy poselstwie, i dlatego pragnął sztucznie uniknąć niezawodnej klęski, czy też i inne jakie uwagi wpłynęły na postanowienie panów w Kodniu, — dosyć, że podskarbi nie chciał być posłem, a rzecz ta nie ulegała żadnej wątpliwości. Kiedy tak krótko, węzłowato, Kropiński wyłożył Matuszewiczowi cel swojego posłannictwa, przebiegły stolnik Brzeski przeląkł się: temu się albowiem koniecznie chciało być posłem — i nic dziwnego. Człowiek w samej sile wieku, miał zasiadać po raz pierwszy w świetnem gronie wielkoradców Rplitej, — i jemuż to się zrzekać było tego zaszczytu? Dziś fortuna błysła i z uśmiechu jej niekorzystać? Stolnik brzeski był wielce ambitnym, chciał koniecznie wynieść się ponad poziom swojego województwa; poselstwo do tego otwierało mu drogę. Zresztą był to człowiek uczciwy, miał dosyć popularności pomiędzy swoimi, posiadał wiele nauki i oczytania się, a słynął w całej okolicy, jako wyborny i jedyny nawet może w Brzeskiem mówca sejmikowy, na wszelką potrzebę orator: bo jak tylko gdzie jaka uroczystość, albo parada i mowa być musi, tam niezawodnie albo sam Matuszewicz peroruje, albo uproszony dla gości układa mowy, które w każdym razie zadziwiały ziemian brzeskich szczytnością swoich wyrażeń. A teraz zrzecze się tutaj wystąpienia na powszechnem Rplitej *Theatrum*, na które patrzą wszystkie województwa? To niepodobna!

Kiedy więc Matuszewicz wziął Kropińskiego przed sejmikiem w swoje obroty, kiedy mu zaczął wystawiać znowu swoje racye *pro et contra* obstając za utrzymaniem sejmiku, kiedy dobył z zanadrza (bo je miał zawsze na zawołanie) złocistych skarbów swojej wymowy, — przekonał Kropińskiego od razu. Powiedział mu np. jak bardzo narazi się na wzgardę Rzeczypospolitej i województwa przez zerwanie sejmiku, jak pierwszy ten wstęp jego w zawód publiczny stanie się przez to nieszczęśliwy, jak zepsuje sobie zbrodnią Kaima całą przyszłość, która w innym razie mogłaby może być i świetną, jak do nabycia popularności potrzeba przeciwnie utrzymywać, a nie zrywać sejmiki, — młody Kropiński słuchał go dwoma uszami, słuchał go cały, pożerał. Kiedy mu zaś Matuszewicz w dodatku powiedział jakby na zakończenie: «kiedy niechce Sapieha, bądź ty lepiej moim kolegą do poselstwa, a sejmik utrzymajmy!» — wtedy już młody Kro-

piński na czysto oszalał z radości. Był dużo młodszy od Matuszewicza, liczącego sobie wtedy 34 lata; więc jeżeli poselstwo pochlebiało stolnikowi, jak nie miało pochlebiać towarzyszowi hussarskiego znaku? Po zawarciu takiej ugody, sejmik utrzymać było łatwo. Szlachta zgromadziła się w imię Sapiehów i wiedziała już zawczasu kogo ma obierać: szepniętoby jej więc tylko na ucho, że pan Podskarbi przysłał na swoje miejsce Kropińskiego; obiady i wino dokonałyby reszty.

Tajemnica była należycie utrzymaną, bo musieli spiskow podejść dobrą wiarę szlachty. Nie sam też Kropiński miał zlecenie od Sapiehy, żeby zerwać sejmik; obok niego stał Buchowiecki pisarz ziemski brzeski, osobisty nieprzyjaciel stolnika, a chętnie rękę do panów wyciągający po jałmużnę. Buchowiecki przywodził już całym tłumom szlachty, które na głos jego miały także zerwać sejmik. Otóż i przed nim największa o spisku była tajemnica. W dzień otwarcia obrad, szlachta waliła się tedy w gęstych grupach do kościoła. Po zagajeniu, przyjaciele stolnika brzeskiego, nauczeni poprzednio co mają robić, przez okrzyk zaprosili do laski p. Ignacego Wyganowskiego, który był również ze stronnictwa Sapieżyńskiego: dali więc tem samem jakąś rękojmię przeciwnikom i uśpili ich; na dobre zaś serce i prawość Wyganowskiego tak się spuszczał Matuszewicz, jak starzy Polacy na Czarnego Zawiszę. Marszałek stanął więc jednomyślnie, a wziąwszy laskę, oznajmił szlachcie, że dwóch się stara kandydatów do poselstwa, Matuszewicz dawny i Kropiński «dopiero co wynikniony konkurent». Sapieżyńcy pewni byli wygranej i Kropińskiego że ich nie zdradzi: liczyli na to, że zrzecze się publicznie pretensji swoich, więc nie będzie na razie drugiego kandydata, jeden zaś posłować nie może od województwa i marszałek wtedy rad nie rad idąc za prawem pożegna sejmik, co będzie jego zniszczeniem, i nawet lepiej się stanie wszystko, bo się uniknie gwałtownego zerwania manifestów. Ale nie tak się stało. Kropiński po ogłoszeniu swojej kandydatury, zawsze wymówny, teraz zamilkł jak grób, a więc widocznie przyjmował poselstwo. Sapieżyńcy sami dostali się w połapkę. Bo gdzież tak na razie wymyśleć jakie pozory do zerwania sejmiku? gdzież wymotywować potrzebę niedojścia? Nie byli przygotowani na wszelki przypadek, widząc że dobrze idzie wszystko z początku, jak należy. Z takiemi zaś

manifestami, na mocy których rwano sejmiki, stronnictwa gotowe przychodziły do kościoła. Konstytucja Polska, a raczej wyrobiony praktyką jej obyczaj narodowy, w takich zdarzeniach sprzyjał pośpiechowi, natychmiastowości. Nie mógł szlachcic pójść pisać teraz manifestu do domu, a zostawić braci w kościele: bo zanimby wrócił z robotą, która podówczas więcej potrzebowała czasu jak dzisiaj, gdy górnych i makaronicznych wspólnemi siłami do arcydzieła obywatelskiej gorliwości dobierano wyrażeń, jużby w kościele było i po obraniu posłów i po sejmiku. Gotowy tedy zawczasu manifest rzucano w oczy tym, co się opierali, i wtedy rzecz się kończyła, rozchodziła się szlachta z kościoła. Gdy i same powody rwania musiały być prawne, więc bez głębokiego wprzódy rozmysłu nic się nie robiło. Tracili zawsze nieostrożni spiskowi: najmniejsza zwłoka czasu gubiła ich sprawę, bo nie mogli uwięzić, zatrzymać w jednem miejscu obrad. Naturalnie było to wtenczas, kiedy mieli przeciwko sobie marszałka, albo kiedy ten marszałek był sprawny i kiedy rządził obradami, nie zaś nim rządzono. Kiedy przeciwnicy biegli naradzać się dopiero jakiby tutaj znaleść wybieg, kiedy dopiero układali manifesta, marszałek obrotny, jeżeli chciał, jeżeli mu tak wypadało, przyjaciół nawet wywodził w pole. Nawet mu raźniej wtenczas było: z naczelnikiem oppozycji spływał zwykle cały tłum, jednolite grono zrywaczy, ciszej się robiło w kościele, bo zostawali ci co pragnęli dojścia sejmiku, — wtedy marszałek posłów ogłaszał, a gdy nikt mu się nie sprzeciwiał żegnał sejmik, co było także prawną formą kończącą obrady. Żadna już wtenczas siła ogłoszonym posłom nie mogła odebrać należącego im najprawniej mandatu. Instrukcje można było potem pisać i protestacje nic nie szkodziły.

Stało się więc zupełnie tą razą tak, jak Matuszewicz przewidział. Sapieżyńcy zapomnieli języka w gębie; a za to szlachta chcąca dojścia sejmiku, a przez spiskowych zjednana, rzuciła się hurmem do marszałka: nuż prosić, nuż zaklinać, a nawet mu grozić, żeby kończył. Wyganowski obawiał się utracić nagle affekt braci, ogłosił tedy posłów i sejmik pożegnał. Ale figiel za figiel: nic darmo. Do pisania instrukcji na sejm marszałek wyznaczył owego Buchowieckiego pisarza ziemskiego i innych ziemian obranym przeciwnych. Ale pisarz w nocy uciekł z Brze-

ścia, ze wstydu czy na złość posłom. Nie było co robić; nasi posłowie pilnowali przynajmniej Wyganowskiego, żeby się im jako misternie znowu nie wymknął, i marszałek musiał rad nierad laudum elekcji podpisać; gdyby uciekł, nie mieliby obrani dowodu i byłby to drugi sposób już po sejmiku zniszczenia skutku obrad szlacheckich. Co do instrukcji, to rzecz mniejsza, i Matuszewicz sam co najprędzej ją napisał, bo to już była więcej prosta formalność.

Stało się tedy, — ale posłom strach: rozgniewało się panów; rzecz ta mogła być niebezpieczna. Dwaj posłowie tedy po wspólnej naradzie, zaraz prosto z Brześcia pojechali do Kodnia tłómaczyć się przed panem kanelerzem, u którego stolnik, nawiasem to powiemy, wielkie miał łaski. Luboć kanclerz był to pan dobry, do rany go przyłożyć, ale czasami, zwłaszcza zadraśnięty za skórę, długo urazę pamiętał. Gubić się na wiek dla jednej chwili powodzenia, któżby chciał? Otóż tutaj zarówno o łaskę pańską chodziło tak Matuszewiczowi i jak Kropińskiemu, zwłaszcza że już kosztowali poprzednio z jej darów: stolnikowi, bo licząc się do przyjaciół Sapieżyńskich, miał od kanclerza pisarstwo grodzkie brzeskie, a przez to samo był zupełnie podwładnym jego urzędnikiem; miecznikowi zaś, bo pracował dopiero na pewne stanowisko, a stanowisko to mogli mu dać panowie, — jednego zaś obraziwszy, można było na siebie ściągnąć plamę u wszystkich.

Udało się przebłagać Sapiehę, bo nie bardzo ciężka sprawa była z panem kanclerzem. Zatem weselszej już myśli, Matuszewicz pobiegł co żywo z Kodnia do Michała Nietyxy skarbnika Parnawskiego, który był wielkim jego przyjacielem, a krewnym marszałka sejmiku. Nietyxa stworzony był na pośrednika, więc jedyny do rady. Majętny, nie starał się o niczyje względy, nie tęsknił do poselstwa ani do deputacji; mimo to co sejmik prawie bywał w Brześciu, a przypatrując się spokojnie walkom powiatowym, tych godził, tamtych uspokajał, innym warunki zanosił od stron, — zacny człowiek, dobre miał serce, a przyjaciół wszędzie. Jeżeli już Nietyxa nic nie zrobił, to chyba djabła było potrzeba, żeby babę posłał, a zresztą nic nie pomogło. Ze skarbnikiem parnawskim tedy pojechał stolnik do Wyganowskiego z prośbą, żeby jeszcze podpisał instrukcję. Poseł bez instrukcji

nie mógł się pokazać na sejmie, bo nie sama elekcja robiła go posłem, ale pełnomocnictwo od spółbraci, w którem spisane były ich życzenia i wnioski, wreszcie prośby do Stanów Rplitej. Były marszałek dał gościom swoim słowo, że podpisze, ale musiał dać znać wprzódy o tem Buchowieckiemu, który go zaklął na wszystkie świętości, żeby bez niego nie podpisywał instrukcji. Matuszewicz dał posłańcowi i od siebie grzeczny liścik, zapraszając do kompanji pana pisarza. Buchowiecki ciągle złej woli będąc, nie przyjechał przecież, lubo obiecał odpisując na listy; a tym sposobem nic nie zyskał, bo marszałek słowem związany, jemu dotrzymawszy obietnicy, podpisał instrukcję, a z nim inni szlachta, których na prędce z okolicy sprowadzono, — więc posłowie o podpis Buchowieckiego mniej dbali.

Kropiński nie jednym Sapiehom nadskakiwał, ale i Radziwiłłom; jakto mówią, dwie sojki trzymał za ogon. Miał wtenczas względy jakieś u księcia hetmana w. lit. Rybeńki, pana z Nieświeża. Że Buchowiecki liczył się się wtenczas do stronników Radziwiłłowskich, Matuszewicz jako szpaczek przezorny, obawiał się, aby pan pisarz nie uprzedził czasem listem księcia hetmana i nie pochwalił się, że chociaż sejmik nie zerwany, ale posłowie zostali bez instrukcji. Radził zatem Kropiński, żeby uprzedził pisarza i łaskę pana sobie zapewnił, bo po cóż, myślał sobie gniewać Radziwiłła, kiedy to wszystko jakoś pogodzić się potrafi? Nie omylił się i stolnik, bo w przewidywaniach swoich nigdy się nie mylił. Razem obadwa listy odebrał książe hetman, i Kropińskiego i Buchowieckiego, gdyż Matuszewicz kazał posłańcowi dniem i nocą pospieszać do Nieświeża. Hetman odebrawszy list, odpisał dość przykro Buchowieckiemu. A tak stolnik wiele rzeczy razem dokazał: utrzymał sejmik, obrał posłów, wywalczył sobie instrukcje, pojednał się z Sapiehami i Radziwiłłami; a Buchowiecki, jak mówiono podówczas, pozostał w *konfuzji*.

Otóż takim sposobem udało się Kropińskiemu, nad wszelkie spodziewanie, zostać posłem sejmowym.

Jakkolwiek młodzian nasz wiele o sobie rozumiał, na tym sejmie jednakże szedł jak echo za Matuszewiczem, którego wyższość nad sobą przecię uznawał. Posłowie Brzescy zgodnie ciągle z sobą działali. Trwał sejm całe sześć tygodni podług prawa, chociaż Czartoryscy zerwać go chcieli zaraz z początku, ale

że ciągle nowe wnoszono przedmioty pod rozprawy, pozwolili książęta, by się dwór, panowie i posłowie cokolwiek zabawili, bo dosyć było czasu.

Posłowie Brzescy nie bardzo się przymawiali do mów innych, ale zajęli się prawie wyłącznie sprawą, którą województwo zleciło ich pilności. Mieszkał w Czarnawczycach o trzy mile od Brześcia książę krajczy lit. Radziwiłł, który awantury wyrabiał ze wszystkimi, a dziwnie był srogi na ludzi i mało dbał na prawo Rplitej; w swojej okolicy było to coś podobnego do pana starosty w Kaniowie. Skarg na księcia było tysiące, ale że to nie pomagało, województwow instrukcji zalecało posłom, żeby się postarali na sejmie o ukrócenie dumy i wyskoków krajczego. Książę hetman i kanclerz Sapieha starali się znowu, żeby posłowie nie wnosili tej sprawy przd sejm; ale na te wnioski Matuszewicz odparł: «nie kwapię się, ale mam gotową mowę!» i pokazał ją. Zgadzali się na to obydwaj posłowie, że nie będą mówić o krajczym na sejmie, ale żądali zadośyćuczynienia dla pokrzywdzonych przez niego. Stolnik brzeski myślał, że tą odkazką prędzej co wskóra; ale gorzej zrobił, bo księciu hetmanowi o to jedynie chodziło, aby nie rozmazywać sprawy, a jeżeli raz się ją podniesie, za nic po wstydzie, po skrupułach, i jużby książęta na złość posłów robili. Więc ostrożny stolnik jedzie z Kropińskim do marszałka sejmowego. Pokazali mu instrukcję i manifest księdza Suzina przeciw księciu, manifest najokropniejszy, bo arcydzieło, summaryusz wszystkich poprzednich manifestów. Przysłali zaś i ten dokument do Warszawy posłom swoim powietnicy, bo książę dowiedziawszy się o zabiegach ich na sejmie, zaczął się na wielu swoich nieprzyjaciół odgrażać, a najwięcej nastawał na księdza Suzina, tak, że ten lękał się o swoje życie i musiał krzyczeć w niebogłosy. Posłowie prosili tedy marszałka, aby doniósł o tem wszystkiem księciu hetmanowi, który jako głowa rodziny, powinienby znaleść stósowne środki do powstrzymania wybryków krajczego; a gdyby hetman nie chciał się jeszcze wdać w tę sprawę, posłowie prosili marszałka, aby szedł do króla i tam przypomniał prośbę ks. Suzina, który wydostawszy się tymczasem z rąk krajczego, zaraz przybiegł do Warszawy poskarżyć się osobiście przed majestatem za doznaną krzywdę. Suzin widział się nawet z królową, która jako pani święta i dlatego sa-

mego nieprzyjaciołka wszelkiego zgorszenia, obiecała mu wszelkie ze swojej strony poparcie. Marszałek sejmowy Siemieński w istocie widział się z hetmanem Litewskim, a skoro mu o tem napomknął i manifest ks. Suzina do rąk oddał, Rybeńko Radziwiłł wpadł w cholerę i wywarł wszystkie złości swoje na Matuszewicza, a nawet szarpał w gniewie jego honor. Ale marszałek znalazł się trafnie, rzucił na stół warunki posłów brzeskich i zagroził księciu, że prosto pójdzie z instrukcją i z manifestem do króla, a posłowie jutro zaraz publicznie o tem zagają w izbach sejmowych. Hetman umiarkowawszy się wtedy, zezwolił na układy. Kropiński, który przy fakundji, jak dawniej mówiono, miał zawsze dobrą przytomność, już się nagotował z mową, kiedy wstrzymano jego zapęd tem oświadczeniem, że książę hetman wyrobi na krajczego opiekę. Ten drobny fakt charakteryzuje także Kropińskiego. Chociaż mu łaska Radziwiłłów była potrzebna, ile że służył jako towarzysz w wojsku, jednakże porywczy i prędki do czynu, gotów się był i samemu hetmanowi narazić, aby spełnić wyższą powinność. Nie był to jednak bohater poświęcenia się, ale bohater własnej miłości.

Kropiński jeszcze raz przemawiał na tym sejmie z innej okoliczności. Podniesiono ze strony Czartoryskich, li tylko dla wycieńczenia czasu, sprawę cła brzeskiego, — i chwała Panu Bogu, przez zręczność mówców, dwa tygodnie na tem niepotrzebnie stracono. Krzyczała szlachta na kanclerza Litewskiego, że jako starosta brzeski nieprawnie pobierał cło od statków na Bugu. Nie wypadało Sapieże stanąś w obronie własnej, więc Kropiński przez niego podstawiony zabrał głos i z przywilejem Władysława IV w ręku dowodził, że starosta ma prawo brać po talarze drągowego od każdego statku na Bugu.

Skończył się sejm na sporze o świece. Posłowie utrzymywali że przy świecach obradować na żaden sposób nie wolno, i nawet cytowali na to konstytucje Jana III. Tak przewlekano czas na niepotrzebnych sporach, a kiedy upływało sześć tygodni, ostatniego dnia tak zgrabnie umiano zagadywać, że stał się prędko wieczór, o co nie trudno było zwłaszcza w listopadzie. Kiedy potem świece wniesiono, powstała żywa opozycja: marszałek musiał sejm rad pożegnać, gdyż właśnie należał do stronnictwa książąt Czartoryskich.

Ręka rękę myje: za to że 'go bronił Kropiński na sejmie, kanclerz Litewski dobrze jego sprawę osądził na roczkach starościńskich w Brześciu, chociaż zdaje się że i sama sprawa była dobra.

Pokłócił się był pan miecznik Nowogrodzki z Franciszkiem Zarzuckim, który był administratorem w Różance w dobrach Humnieckiego stolnika Koronnego. Kropiński naliczył sobie pretensji (była li to sprawa zagraniczna czy ziemska) złotych pol. 8,210; poszło do ugody o tę summę, i zdaje się, że Zarzucki przyznał ją długiem także na roczkach starościńskich w Brześciu. Że zaś strony nie pokwitowały się zaraz z pretensji, Kropiński porzuciwszy sejm poprowadził sprawę na drugie roczki i kanclerz nakazał Flemmingowi jako nabywcy Różanki, na której summa Humnieckiego była oparta, żeby jej nikomu nie wydawał, aż strony pokombinują się zupełnie.

II.

Kłótnia z Suzinami — Smierć kanclerza Sapiehy — Sęstwo grodzkie — Kropiński służy Flemmingowi, ale niezręcznie — Klęska na sejmiku w r. 1754 — Ztąd upadek kredytu sędziego — Jak się Kropiński ratuje? ożenieniem się, gościnnością. — Przejście do Radziwiłłowskiego obozu — Półkownik — Sejmiki z 1759 — Kropiński składa sęstwo— Przyjaźń z Paszkowskimi — Stosunki z Joachimem Potockim — Sejmiki z r. 1760, 1761 i 1763.

Kropiński żył, zdaje się, dobrze z Suzinami i długo z nimi niezadzierał, bo to była rodzina bardzo potężna w całem województwie. Głową Suzinów był podówczas Michał podkomorzy brzeski, który także na szczupłej fortunce dorobił się znacznego majątku i powagi za opieką hetmana Pocieja. Miał podkomorzy kilku synów a chociaż sam był dyssydentem, niemusiał-ci być zagorzałym fanatykiem, skoro jednego syna oddał na księdza katolickiego. Był tedy młody Suzin proboszczem Kleckim i Czarnawczyckim i on to tak się przysłużył na ostatnim sejmie krajczemu Radziwiłłowi kollatorowi swemu, że go wzięto w opiekę. Otoż teraz z bratem tego proboszcza a drugim synem pod-

komorzego zadarł z kolei Kropiński, — sam nie wiedział z czego, a stało to się takim sposobem:

W późną jesień w listopadzie 1749 roku, przejeżdżał przez miasteczko Kamieniec-Litewski (w którym mieszkał Faustyn Suzin podkomorzyc Brzeski) Tabeński sługa Kropińskiego, pewnie jeden z jego krewniaków, których poznaliśmy jeszcze z testamentu rotmistrza przedniej straży p. Piotra. Spotkał go na miasteczku Suzin; a spotkawszy pytał: «a zkąd to?» U dawnych sług szlachty to zaraz obraza taka napaść publiczna. Więc Tabeński jako młody stawił się hardo Suzinowi, za co go tamten porządnie wyłajał. Kropiński oczywiście wziął to za osobistą obrazę, napisał tedy do Suzina kartkę bardzo gniewną z wymówkami i żalami wyzywając go na pojedynek. Wymówki téj znowu nie podarował Suzin. Zatem miecznik przyjechał umyślnie do Kamieńca z bracią Paszkowskimi bardzo wziętymi w swoim powiecie przez pamięć ojca strażnika polnego litew. za króla Stanisława w ciągu ostatniej rewolucyi, — a będąc podbechtany od nich, jako od ludzi gorących i żwawych, wyzwał osobiście Suzina na pojedynek, kiedy go spotkał wyszedłszy z kościoła po nabożeństwie. Przyczyniła się do tego pewnie namiętność polityczna, bo Paszkowscy byli przyjaciółmi Radziwiłłów a Suzinowie należeli znowu do Czartoryszczyków. Wyzywający tak byli natarczywi, że prosto z kościoła chcieli iść na plac boju. Chciał im towarzyszyć stolnik brzeski, który się wtedy przypadkiem znalazł w Kamieńcu; ale czy się Paszkowscy obawiali, by zgody nie przyprowadził do skutku, czy też inne jakie powody były na przeszkodzie, dosyć, że napierali się tego gwałtem, żeby Matuszewicz nie szedł: stolnik więc odłączywszy się od towarzystwa poszedł sam jeden a patrzał co to się dzieje. Tymczasem nadeszli Suzin z bratem stryjecznym Michałem, który był kapitanem w dragonji stojącej podówczas w Kamieńcu. Był i brat rodzony Faustyna Ludwik, ale ten na plac nie poszedł. Nagle zjawił się Matuszewicz i chce godzić zwaśnionych, ale gdzie tam im mówić o tem? Kropiński drze się jak sparzony ukropem, Suzin hałasuje. Spotkali się więc przeciwnicy a dzielnie; w drugiem zaraz cięciu lekko ranił Kropiński Podkomorzyca w prawą rękę, a Suzin tylko co nie przebił go na wylot, chybił na cal najwięcej. Wtenczas rzucili się Paszkowscy hurmem na Suzina; co stolnik widząc, że jest oczywiste niebezpie-

czeństwo, dobył szabli, — i chociaż podkomorzyc brzeski z całym swoim domem należał do nieprzyjaciół Matuszewicza, stanął w obronie Suzina i zaklinał Radziwiłłowskich, aby go tumultem tak nie rąbali. Gdy zatrzymali się na chwilę napastnicy, Suzin uciekać zaczął korzystając z chwilowego zawieszenia broni, więc pognali się dalej za uciekającym; ale i stolnik był zawsze w odwodzie, zatrzymał nieprzyjaciół i tak do nich przemówił od serca, że aż się pocałować musieli z podkomorzycem, który ochłonąwszy ze strachu powrócił do nich. Tak Matuszewicz pogodziwszy zwaśnionych, zaprosił ich wszystkich do siebie do Czemer zaraz pod Kamieńcem. Rzecz ta naturalnie skończyła się na pijatyce. Były damy, ale brakowało muzyki. Więc stolnik zagrał im na flecie i wtórował sobie śpiewem. Tańcowali wszyscy, śpiewali całą noc wesoło aż do dnia białego. Gospodarz wystąpił nareszcie z podarunkami; Kropińskiemu dał szłapaka za 24 dukaty; Paszkowskiemu jenerałowi-adjutantowi buławy wielkiej Litewskiej fuzję francuzką; Piotrowi zaś Paszkowskiemu rotmistrzowi dał sześć guzików rubinowych do kontusza, ale nie chciał ich przyjąć rotmistrz, obawiając się, żeby to nie była czasem zaczepka od Czartoryskich, miał się więc na ostrożności, bo bardzo kochał księcia hetmana. Matuszewicz zaś już wtenczas jawnie zbiegł z pod chorągwi Sapiehów pod znamię księcia podkanclerzego.

Brzydko się Kropiński wypłacił za dobre serce stolnikowi brzeskiemu. Kiedy albowiem umarł kanclerz Sapieha, a starostwo grodowe województwa wziął po nim podskarbi Flemming, wszystkie ambicje powiatowe tłumami obległy nowe słońce. Niespodziewał się tego Matuszewicz, aby go Flemming przy rozdawaniu urzędów grodzkich pominął; jednakże już lat dwanaście upływało jak trzymał w grodzie pióro od Sapiehy, spodziewał się więc na pewno promocji przynajmniej na sęstwo grodzkie. Ale Kropiński latał wszędzie za Bystrym, który był ulubieńcem Flemminga a nie cierpiał okropnie Matuszewiczów w ogóle, mszcząc się na nich za to, że siostry mu nie dali w małżeństwo. Wygadywał tedy na nich niestworzone rzeczy Kropiński, żeby się jako przypochlebić Bystremu, a nawet przybrał sobie do współki Wieszczyckiego, i dziwne obadwaj rzeczy wyrabiali i wymyślali. Wieszczycki tutaj na dwóch stołkach siadał: hypokryta, często bez najmniejszego powodu dokuczał temu lub owemu jak kazał mu

interes. Otóż skutek takich zabiegów nastąpił. Podskarbi nagle ujęty przez Bystrego wykonał mały zamach stanu w Brzeskiem, podstarościm zatwierdził Wieszczyckiego, sęstwo grodzkie oddał Kropińskiemu, a do pisarstwa nawet nie dopuścił Matuszewicza. Tak więc cudzym kosztem potrafił wznieść się nasz miecznik Nowogrodzki, i już jako sędzia grodzki posiadał rzeczywisty stopień i znaczenie. Dotąd, zdaje się nie miał ani jednego ani drugiego. Bo miecznikowstwo jego nie był to pewnie urząd województwa Nowogrodzkiego w głębszej Litwie, ale prędzej była to godność in partibus, Nowogrodzkiego powiatu w województwie Czerniechowskiem, którego już ani kęsa podówczas w Koronie całej nie było. Gdyby miecznikiem był Nowogrodzkim z Litwy, nie siedziałby w Brzeskiem, skakałby już zupełnie pod muzykę Radziwiłłowską, których stolica Nieśwież właśnie w owem Nowogrodzkiem leżała.

Było to w roku Pańskim 1752. Nie wiemy już doprawdy jak dochrapawszy się sęstwa owego, Kropiński wytłómaczył to Radziwiłłom, i jak z nimi wychodził; to tylko więcej jak pewna, że lubo brał urzędy od Czartoryskich (Flemming. przypominamy należał do ich familji), jednak pochlebiał Radziwiłłom,—i co dziwniejsza, Nieświeżscy książęta zawsze mu wierzyli. Nie dla kształtu wiec nosił, jak to powiadają, głowę na karku.

Teraz więc, już największą figurą w województwie Brzeskim, po dawnych Pociejach i Sapiehach, był pan podskarbi, pan kordyaczny, żywy, namiętny i ślepy tak w miłości jak w nienawiść który sobie nie umiał nic a nic radzić ze szlachtą Polską, chociaż chciał się utrzymać godnie na swojem stanowisku i rozporządzać wszystkimi koniecznie w okolicach Brześcia. To też już książe kanclerz Litewski Czartoryski dodał mu na doradcę i przyjaciela pana Józefa Sosnowskiego, który dziwnem zdarzeniem losu, z chudego pachołka przez zapisy dalekiego krewnego wyszedłszy na bogacza, chciał także koniecznie znaczyć coś w Rplitej i chorował już wtedy na pana. Umiał się Sosnowski dobrze zalecać księciu kanclerzowi i pochlebiał mu aż brzydko, aż z obrazą osobistej godności; ale kto wtedy ze szlachty dbał o godność swoją przed panem, jak pan przed Brühlem i królem? Pochlebiając został Sosnowski ulubieńcem wszechwładnego naówczas ministra. Rzadki też bardzo takt posiadał w postępowaniu swo-

jem ze szlachtą, i do kierowania jej umysłów był jedyny: umiał się raz narzucić, drugi raz błysnął jakąś popularnością, udawał dyplomatę, chwalił się łaską pańską, i wynalazł łatwo sposoby i środki, — ułożył się lub znowu w porze potrafił się mocno rozgniewać i wszystko zrobił co chciał ze szlachtą. Wybór też kanclerza z tego względu uważany, był dziwnie trafny; zjednawszy sobie Sosnowskiego, miał go całkiem i bez podziału. Tak zręcznych ajentów miał książę nie wielu. Był zaś ten Sosnowski półkownikiem w wojsku litewskiem, jeszcze za księcia hetmana ostatniego z Wiszniowieckich, i już wówczas pchał się między asne pany. Czartoryski, żeby go więcej przyciągnąć do siebie wyrobił dla niego urząd pisarza w. lit. Sosnowskiemu tedy już uśmiechała się owa pożądana przyszłość, gdy go książę jeszcze narzucił Flemmingowi.

Z każdym dniem więcej ciążyła nad województwem Brzeskiem powaga książąt Czartoryskich. Dawniej nie mieli tutaj zupełnie głosu: bo gdzież im było wojować z Sapiehami, z Radziwiłłami, z domem Pociejów? Ale z Flemmingiem, który krok za krokiem głębiej się w łaskę województwa zapuszczał, wkroczyła tutaj familja i zmieniło się znacznie położenie rzeczy. Podskarbi założył wielką radę u siebie w pałacu Terespolskim, która rządziła województwem i szlachtą, t. j. sejmikami. A p. Kropiński tak zgrabnie narzucił się podskarbiemu, że i jego powołano do tej rady, którą składali Sosnowski, komissarz dóbr Flemmingowskich Herubowicz, Wereszczaka chorąży brzeski, Karol Chreptowicz, Bystry i nareszcie ulubienica pocskarbiego pan Tymanowa. Pyszny z zaszczytów, nowy sędzia grodzki brzeski do wszystkich czynności tej rady należąc, stał się małym dyktatorem Nadbużańskich okolic, a raczej wyobraził sobie, że nosi buławę dyktatorską w województwie, gdy rej nieraz wodził na radzie, zwłaszcza jeżeli Sosnowskiego nie było w Terespolu.

Otóż uroiwszy sobie, że kiedy on czuwa w Brzeskiem książętom Czartoryskim nic się tutaj nie oprze, że Flemming siedzący obecnie w Terespolu już tem samem będzie trzymał szlacheckie namiętności na wodzy, przekonawszy się wreszcie, że czego tamci nie dokażą, to dla niego samego nie będzie trudne, bo może w razie potrzeby nadrobić i popularnością (której nie miał) i wymową (na którą szlachta nie wiele zważała), Kropiński po-

wiedział raz Flemmingowi, że nie ma się wiele czego obawiać bo sejmiki brzeskie pójdą zawsze po ich myśli, a szlachta zaskacze tak jak oni we dwóch jej na dudach Terespolskich zagrają. Niepokoił się troszkę p. Flemming tem, że nic się nie robi dla zjednania sobie w Brzeskiem stronnictwa, a bez tego przecie życie wpośród nieprzyjaciół nieznośne. Ale kiedy go najuroczyściej Kropiński zapewniał, że będzie wszystko dobrze, uspokoił się cokolwiek. Czego najwięcej się obawiał, to nieprzyjaźni Matuszewiczów; było ich zaś aż czterech braci rodzonych w województwie, a wszystko ludzie bogaci, dobrze skoligowani na Podlasiu, mający urzędy, a nawet dosyć wzięci pomiędzy szlachtą, jednem słowem, chłop w chłopa. Najstarszy z nich p. Marcin, któregośmy już poznali, z niewinnej bardzo przyczyny popadł w niełaskę księcia kanclerza, który rozsrożył się za to, i mając złość do jednego, zaczął wszystkich czterech braci prześladować. O nich się zatem najwięcej obawiał Flemming, żeby czasem wziętości swojej nie użyli przeciw niemu i nie poparli strony Radziwiłłowskiej, zwłaszcza że mieli ku temu sprawiedliwe nawet przyczyny. Byłby to dla niego nazbyt okropny cios, bo nie tylko że sam podskarbi był gorączką i przewodzić chciał w swojem województwie, mając w tem punkt honoru, ale nadto obawiał się w razie przeciwnym wszelkich gniewów ze strony księcia kanclerza. Matuszewicz zaś umiał prowadzić sejmiki i mając wszędzie przyjaciół, chętnie roztaczał po szlachcie złoto; za każdą razą, bywało zjeżdża sam do Brześcia, prawi, a szlachta go słucha, bo stół ma pan Marcin otwarty, bo wszyscy spotykali po drodze fury jego z Rasny i Czemer, jak co sejmik jadą do Brześcia z leguminami i z winem.

A nadchodziły właśnie sejmiki walne, przed sejmem 1754 r. Miały się na nich poraz pierwszy spróbować obadwa stronnictwa Brzeskie. Pan stolnik chciał utrzymać swoje prawo, nie tak na złość księciu kanclerzowi, jak dlatego, żeby mu dać poznać, że pomimo jego prześladowań, wcale nie upada na duchu — posłał więc przodem, jak zwyczajnie, leguminy swoje do miasta. Ale po drodze zawadził o Motykały, majętność brat swojego Józefa, któremu jak na złość, zachciało się tą razą być posłem. Józef zaś obawiał się mocno Czartoryskich, chociaż był półkownikiem a tchórzył. Więc uprosił brata, aby został u niego w Motykałach,

a sam pojechał na sejmik: niechciał zaś tam puścić brata, aby nie drażnić przeciwnego sobie stronnictwa, gdyż samo ukazanie się stolnika na sejmiku wpośród spółczesnych okoliczności byłoby protestacyą. Półkownik znał siebie; łatwo ulegał okolicznościom, a prawie nowicjuszem był w polityce, i owszem niepróżno go można było mieć w podejrzeniu, że chciał się może na nowem stanowisku dobrze zalecić względom Czartoryskich.

Więc w przeddzień otwarcia sejmików, półkownik serdecznie kosztem brata uraczywszy szlachtę, z tłumem nietrzeźwych już mościwych obywateli, wali z Brześcia przez most do Terespola, do pana Flemminga, niby to żeby mu oddać hołdy winnego poszanowania, nibyto dla pokombinowania się zawczasu o jutrzejsze wybory. Podskarbi przyjął gości swoich grzecznie, a kiedy odeszli na pół z wyrzutem rzekł do Kropińskiego: «Chwalicie się, że macie przyjaciół, a ja ich niewidzę; ale widzicie, co to Matuszewicz ma przyjaciół!» Pan sędzia na to wylał się z zapewnieniami i był dobrej myśli, poparł sprawę jego Bystry, a sens moralny z ich rozumowań ten a nie inszy płynął: «Bądź panie tylko poważny, a nie unoś się to nasza już rzecz; ręczymy, że nie doznasz oporu.»

Nazajutrz przed sejmikiem, u Jezuitów układają się strony o wybory. Flemmingowscy niedługo tam bawili tak byli ufni w siebie. Na ich tedy radzie posłami zostali Kropiński i Bystry, obrady zaś sejmikowe miał prowadzić sam podskarbi. W istocie wojewoda brzeski Sapieha zagaiwszy w kościele u Augustjanów, zdał zaraz laskę Flemmingowi, który nie pytając się czy zgoda na to panów braci, piorunem jakby z procy wyleciał, porwał za tę oznakę dostojeństwa i zasiadł na krześle podnosząc laskę. Znalazł się naprędce przeciwnik: był zaś nim Piotr Paszkowski półkownik przedniej straży a przyjaciel Radziwiłłów. Kiedy więc Flemming dziękuje za laskę, aż tu cała szlachta grzmi hurmem za Paszkowskim: «Nie pozwalamy!» — Podskarbi gorączka, rwie się na stołku marszałkowskim jak oparzony, rzuca się gniewa, i byłby oczy wszystkim wydrapał; a szlachta jeszcze więcej szałem swoim demokratycznym pijana, że ktoś śmie majestatowi jej przyganiać, jak się nie ciśnie do stołu z pięściami! — w jednej chwili, krzesło z pod Flemminga było wydarte i rzucone, a sam niby marszałek ciasno do stołu przyparty. Chce porwać się do

szpady, którą po francuzku nosił, ale go rozsądniejszy Bystry za rękę powstrzymał; inaczej źleby tam było z p. Flemmingiem. Oskoczyła go bowiem szlachta i dalej w kułaki na słowa. Zaindyczony Pan, jak tylko kto do niego co wyrzekł, zaraz ze złością obracał się i pytał: «jak ty się zowiesz?» szlachtę rozgniewało więcej to «*ty*» kilka razy powtórzone. Więc gdy p. Franc. Kościuszko syn pisarza grodzkiego brzeskiego, człowiek młody a zuchwały, zaczął coś prawić do podskarbiego, a podskarbi jemu na to: «jak ty się zowiesz?» — «a ty jak się zowiesz?» w odwet Flemmingowi odrzucił Kościuszko. Namiętności więc coraz bardziej rozpalały się. Podskarbi ledwie dyszał; a Kościuszko zaczął rozpowiadać szeroko, jak to za ostatniego królewicza przyechali do jego wsi Sasi i burmistrzowali po swojemu, wołając: «sera, masła, dawaj!» Przytem nasz mówca sejmikowy gębę wykrzywiał i wybornie udawał mowę Polską Sasów, zkiepska po węgiersku. Śmieją się szlachta bracia, słuchają a cicho w kościele jakby na kazaniu Polskiem, bo je wszyscy rozumieją. Otóż p. Kościuszko dalej opowiada o sobie sejmikowiczom: kiedy mu doniesiono o tych burmistrzach we wsi, wsiadł zaraz na koń i nahajką przez łeb dojechał jednego Sasa, który upadł hyc na ziemię, — więc zaraz Kościuszko zsiadł z konia i dalej go po pludrach z miłosierdzia swego ucząc Sasa moralności chrześćjańskiej· «A do Saksonji, skurw..... Sasie! nie w naszem województwie tobie się rządzić!» i t. d. To już były za grube przymówki, które jak olej spadały na płomień. Zakurzyly się czupryny, podniosły ręce pan Flemming widząc, że źle i że oczywista przegrana, chciał przynajmniej zerwać sejmik, żeby choć nie pozwolić nieprzyjaciołom na tryumf. Zły więc tak, że aż się pienił, bo był jakby oblany morzem szlachty, podniósł laskę, stuknął nią o podłogę i rzekł tylko głośno: «żegnam!» Gdyby sejmik był prawnym tego jednego słowa byłoby dosyć dla zerwania obrad. Ale szlachta okrzyknęła zaraz: «nie żegnaj, boś nie witał!» Pan podskarbi powinien był wtenczas, wyczerpawszy wszelkie zasoby całego heroizmu, stulić uszy i zmykać co tchu, i niktby mu tego nie miał za złe; ale jakże to było zrobić Flemmingowi, który był jak ukrop i wrzał ciągle? Cisnie się zatem z pięściami i z krzykiem do Paszkowskiego, ale jak nie krzyknie na to Piotr Tołoczko: «A pókiż tak będziesz, Niemcze, szlachtę traktował!» jak nie za-

winie się do szabli! — tak w jednej chwili w rękach całej sejmikującej szlachty zabłysły obnażone szable. Widząc to Bystry i Kropiński, pierwsi w nogi! bo dotąd jeszcze dotrzymywali placu przy swoim pryncypale, — więc i pan Flemming za nimi. Ależ trzeba było nieszczęścia: w tym popłochu przewraca się ława, na której szlachta stała, i panowie bracia zawalili swojemi ciałami całą prawie wolną podłogę w kościele. Byłoby to na dobre wyszło podskarbiemu, gdyby padając zostawili dla niego jaką taką do rejterady ścieżkę; ale jak na złość nie było tam żadnej drogi i Flemming musiał jak kot w susach i w skokach przeskakiwać przez leżących na ziemi. W jednym skoku źle obrachował się z siłami, i padł biedak jak długi z wielkiego zamachu przed drzwiami zakrystji. Nie rwała się do pana szlachta, rada i z tego małego tryumfu; ale znalazło się tam jakby na zawołanie czternastoletnie dziecię, mały Tymoteusz Laskowski, syn rejenta grodzkiego brzeskiego, niedawno osierocony po ojcu, który zaczynając już zawód publiczny szlachecki kilka razy skropił tępą szabliną po plecach pana Flemminga, jakby na przestrogę, żeby lepiej na przyszłość wychodził ze szlachtą, A tym czasem nadbiegł Franciszek hajduk Flemminga i porwał pana swego pod pachę i uciekł z nim do celi Augustyańskiej. W tem nieszczęściu było jednak i szczęście dla podskarbiego: bo gdyby ława nie obaliła się, byłby go kto na pewno szablicą dojechał, i nie ma wątpliwości, że w ścisku podskarbi byłby zabity, bo też nie chcący za wiele może sobie pozwolił.

Kiedy Flemming ukrył się w celi, pan wojewoda, do którego należało zagajać sejmik, zagaił go, a oburzony swawolą zaraz go i pożegnał. Stało się więc podług życzeń podskarbiego; ale Czartoryscy nie potrafili jeszcze utrzymać swego sejmiku w Brześciu i na nim swoich posłów. Kiedy Józef Matuszewicz z tłumami szlachty poszedł do wojewody, kareta przyjechała po Flemminga, który uciekał do Terespola tak prędko, że aż się kurzyło po moście. Puszczono mu zaraz krew w pałacu, gdyż pokazała się wielka gorączka. Długo się leczył, a długo potem jeszcze nawet po ozdrowieniu blady był pan Flemming i okropnie zmieniony.

To sejmikowe zajście bardzo ważne miało skutki. Czartoryscy rozkołysali się w gniewie że aż strach, i całą siłę swoją

rzucili na Brześcian. Przed ich potęgą złamał się opór Radziwiłłowski, który już tutaj prawie jakby nic nie znaczył: bo Flemming samą koniecznością wypadków został województwa dyktatorem de fakto. Dalej wysadzili książęta podskarbiego na marszałka trybunału, który srodze całą Litwę niesprawiedliwością i stronnością ucisnął. A jednak, Bogiem a prawdą powiedziawszy sam sobie był winien Flemming taką brzydką awanturę, że słuchał złej rady i że tak szlachtę niegodziwie traktował. Do czasu dzban wodę nosi powiadają; ależ taki dzban, jakie było postępowanie podskarbiego, nie miał żadnych uszów i nie mógł długo nosić wody.

Miarkował to pan podskarbi, i głównie narzekał na Kropińskiego, który go zapewniał o tem, co wcale jak widzieliśmy niepewne było. Sędzia, ażeby zrzucić z siebie wszelką odpowiedzialność, wymyślał znowu na Matuszewiczów, choć oni Bogu ducha byli winni, — chociaż i to trzeba powiedzieć, że przyjaciel ich Paszkowski i sama szlachta Radziwiłłowska, którą oni poili, dowodziła na sejmiku. Ale Kropiński wiedział, że książe kanclerz źle z całą rodziną: więc przysługując się panu, chciał odrazu pozbyć się i tych niebezpiecznych, jak mniemał, przeciwników. Rzucał więc na nich potwarze i chciał ich naprzód pogniewać z Paszkowskimi. Tak, jednemu z nich Ignacemu dawał oblig na 200 dukatów, które przegrał do Flemminga, aby tylko odstąpił Matuszewiczów, a gdy żenił się niedoszły poseł ów półkownik Józef, brat stolnika, z panną Kuczyńską na Podlasiu, Kropiński znowu prosił Ignacego, aby nie jechał na wesele. Te małe półśrodki pokazują znowu, że nasz sędzia nie był człowiekiem stworzonym do wielkich interesów. Nie wskórał z Paszkowskimi, to prawda; ale ciężka się jednak burza i pomimo jego zabiegów na Matuszewiczów zwaliła: odtąd albowiem przez lat kilka byli jakby w oblężeniu od księcia kanclerza, a każdy dzień, co oczy otwarli, mógł im zwiastować śmierć albo upadek z kretesem. Kropiński nie tryumfował osobiście i nawet sam marniał, bo od czasu owego sławnego sejmiku, coraz więcej tracił na powadze u swoich wysokich opiekunów. Nie dowierzał mu już tyle co przedtem Flemming, a u kanclerza litewskiego zupełnie stracił łaskę. Obadwaj panowie ledwie go znosili. Było mu nie tylko niewygodnie

ale i nieznośnie w tym stroju. Ale grzech pierworodny czemże mógł zmazać?

Napróżno pan sędzia i miecznik chciał jak tonący brzytwą ratować się związkami krwi i świetniejszem cokolwiek ożenieniem; czuł, że mu ziemia z pod stóp się usuwa. Bogdankę znalazł sobie aż na błotach pińskich, w domie Orzeszków. Była to rodzina bardzo wzięta w tamtych stronach: marszałkami, podkomorzymi, sędziami, stolnikami, chorążymi, na wszystkich urzędach i dostojnościach pińskich siedzieli ciągle Orzeszkowie, a wielu ich było, bo widać i błogosławieństwo Boże im przyświecało. Kropiński zajechał do marszałka pińskiego Michała Orzeszki, który miał piękne dobra, Drohiczyn, Lachowicze i Hrudkowicze, a do tego leżące kapitały. Marszałek miał trzech synów i jednę tylko córkę, Zuzannę. Mile przyjęty, swatał się niedługo, i jakoś ożenił się ze swoją bogdanką. Wziął zaraz po niej w posagu gotówką 60,000 i powrócił w Brzeskie, pochwalić się przed przyjaciołmi i nieprzyjaciołmi i młodą żoną i majątkiem i nadzieją spadku w przyszłości i pokrewieństwem znakomitem.

Nadrabiał jeszcze fantazją. Co stracił na łasce pańskiej, to chciał odbić na popularności. Więc otworzył zaraz dom gościnny; zapraszał, fetował, raczył, zaczął masami rozrzucać pieniądze podejmując gości. Wszystko to robił dla ambicji, ażeby panom zaświecić przed oczami blaskiem swoim, i tak im jeszcze narzucić się, że to niby koniecznie potrzebny. Ale panowie śmieli się z niego i z jego szlacheckich fantazyj, kiedy częstował nad stan, nad wszelką możność majątkową. «Szeptaj sobie, szeptaj, myśleli, wyszeptasz się szybko». W istocie, nasz sędzia żył, jakby miał kapitały niewyczerpane, jakby miał krocie dochodów.

Ale kiedy się szczęście odwróciło, zaczęli stronić od pana Kropińskiego nawet dawni jego niby to przyjaciele. Ów serdeczny podstarości brzeski Wieszczycki, widząc, że nie na żarty sędzia upada w łaskach u Flemminga, zwinął nagle chorągiewkę, zaczął go powoli przed panem o to i o owo oskarżać a dokuczać mu wszelkiemi sposobami. Podnieśli się wtedy i dawni nieprzyjaciele. Dzisiaj już wszyscy swoją nienawiścią dokuczali sędziemu. Więc i zuchwały Kropiński nie ugiął się, a owszem popłynął przeciwko wodzie. Przerzucił się znowu do obozu Radziwiłłowskiego, i jako dawny wojskowy zaczął starać się powtórnie o względy księcia

hetmana. Z flakami był, jak to mówią, poczciwy ten hetman, książe Rybeńko: sama dobroć, sama gościnność. Nikomu długo nie pamiętał urazy i każdemu chętnie przebaczał, bo nie miał serca patrzeć na cudze łzy i zmartwienie. Dał się więc łatwo udobruchać, a to tem bardziej, że szczerze mu do łaski pańskiej torował drogę Borzęcki, brat jego cioteczno rodzony, którego matka była Kropińska z domu. Książe zaraz na pierwszy wstęp względów swoich pańskich, uczcił Kropińskiego przywilejem. Wyraził się w nim hetman, że «znając jego mężność, tudzież wrodzoną do dzieł wojennych ochotę i cnotę, nim się do pomieszczenia Imci w aktualnej służbie w wojsku litewskiem poda okazja», nadaje mu tymczasem szarżę porucznikowską petyhorską z kapitulacją (to jest z pensją) co rok 2000 złp. [1]). Wszystko to wpływem swoim wyrobił u księcia Borzęcki, który po ojcu zwał się strażnikiem brzeskim i który u hetmana Radziwiłła trzymał dzierżawą czopowe województwa brzeskiego.

Tak więc Kropiński przestał być towarzyszem hussarskim, i został tytularnym porucznikiem w półku, którego nie było. Nie troszczył się o to, bo mu o tytuł jedynie chodziło. A że był wielkiej zazbyt o sobie prezumpcji, jak to mówili dawni Polacy (natrącaliśmy już o tem), samowolnie tytuł porucznika zamienił sobie na półkownika: bo w wojskach Rplitej był ten zwyczaj, że w chorągwiach narodowych, których różni panowie byli rotmistrzami, dowodzili po nich naczelnie porucznicy, ale w chorągwiach królewskich, albo którego z członków panującej rodziny, wreszcie hetmańskich i księcia prymasa, pod nimi dowodzili już półkownicy. Porucznik tedy a półkownik wszystko to jedno było, jeden stopień, jedna władza i jedno znaczenie, nazwisko tylko samo różniło dowódzców chorągwi pańskiej od dowódzców znaków, które nazywały się *poważnemi*. Otóż pan Kropiński przeniósłszy się sam na porucznika znaku poważnego do chorągwi np. hetmańskiej, na tej samej zasadzie zamianował się pułkownikiem i tak go powszechnie nazywano, tytuł się albowiem przyswoił, chociaż prawdę powiedziawszy, było to zawsze samozwaństwo; a czy porucznik czy pułkownik, miał Kropiński swoję cho-

1) Data przywileju w Nieświeżu, 29 lipca 1758. Zdaje się jednak że Kropiński nie doczekał się «aktualnej służby w wojsku litewskiem», gdy w cztery lata książę umarł.

rągiew in partibus infidelium, do czasu, aż dopókiby go hetman za wakansem nie pomieścił w rzeczywistej służbie. W Rplitej naszej, w której była taka wolność jakiej nigdzie nie było i nie bedzie, utarło się samozwaństwo tak dobrze, że wkrótce nawet urzędowe pisma zaczęły Kropińskiego bez zgryzoty sumienia nazywać półkownikiem.

Od tego czasu krzątał się mocno Kr opiński około Radziwiłłów i jak po kolei probował jeść chleb z tego to owego pieca teraz stanowczo zaglądał do Radziwiłłowskiej kuchni. Narzucał się księciu hetmanowi nawet nie w porę, wtenczas kiedy pan np. był kwaśny, a co zatem idzie i dosyć cierpki. Nie miał jednak u niego szczęścia brat hetmański pan na Słucku i na Białej książe chorąży, który o ścianę mieszkał od Brześcia; bo zmienny tego pana humor i znany dziki charakter, odstraszał od zamku Bialskiego wielu nawet innych ze szlachty. Za to u hetmana popierali mocno Kropińskiego wszyscy razem bracia Paszkowscy, a było ich trzech czy czterech, wszystko ludzie odważni, poświęceni i wierni oddawna Radziwiłłom. Ojciec ich w ostatniem bezkrólewiu był jednym z głównych dowódzców stronnictwa, które na tron prowadziło Piasta; został też od króla Stanisława Leszczyńskiego mianowany strażnikiem polnym litewskim, i długo się za jego sprawą, ubijał po różnych stronach Litwy, Prus i Korony; miał wreszcie zostawić dobre imię tylko po sobie, a synom wziętość w województwie, na którą zapracował. Otóż ci Paszk owscy przyszedłszy z kolei sami do powagi u swoich, ile że brat ich najstarszy ożenił się z jedynaczką pana Nietyxy bogatego skarbnika parnawskiego, wiele pomagali swemi instancjami Kropińskiemu u księcia hetmana, który na nich całkowicie polegał. Paszkowscy nie dowierzali bardzo stolnikowi Brzeskiemu, i dlatego woleli ażeby na jego miejsce dostał się do ufności pańskiej Kropiński, a najwięcej z nich tego pragnął jenerał-adjutant hetmański. Złe wyrachowanie, bo stolnik był tak wówczas znękany przez księcia kanclerza, że rad nierad trzymałby się sercem i duszą Radziwiłłów, w których widział całą swoją obronę; a jednakże taki statysta jak stolnik brzeski, zawsze był lepszy w radzie niżeli taki półgłówek i pół zapaleniec jak półkownik Kropiński, tém bardziej, że Matuszewicz z przekonania i zasady był już wtenczas po stro-

nie Radziwiłłów, — proszony, czy nie proszony, wyrabiał im sejmiki w Brześciu ile potrafił.

Plotki nieraz zmieniły humor dobremu księciu hetmanowi: raz źle uprzedzony, gniewał się na kogo, drugi raz, idąc za skłonnością swojego serca, radby tego, na kogo się gniewał, prosto do nieba posadzić, ażeby mu wynagrodzić upokorzenia czy troski. Tak Matuszewicz był raz w łasce, drugi raz w niełasce a raczej zostawał pod ciężarem podejrzenia; zawsze jednak książe ostatecznie z nim nie zrywał, i Kropiński dlatego samego musiał się jakoś godzić z panem stolnikiem. Zbliżały ich tedy ciągle do siebie okoliczności, silniejsze jak interes. Raz w przejeździe do Warszawy stanął książę hetman na odpoczynek w Kamieńcu Litewskim, który dzierżał na siebie jako starostwo. Było to w grudniu 1758. Książe był jakoś kwaśny, zły, zniechęcony ową ciągłą wojną z Czartoryskimi, którzy mu zawsze stali na zawadzie. Zjechali się do Kamieńca na powitanie hetmana jego przyjaciele brzescy, półkownik Paszkowski, Kropiński i Matuszewicz, krom innych. Chcieli ułożyć się względem nadchodzących na Gromnice deputackich sejmików. Rozbiło się wszystko o kwaśny humor księcia jegomości, który nadąsawszy się oświadczył, że nie da pieniędzy na tę sprawę, bo niewarto, — tak się już mało spodziewał pomyślnego skutku, tak powaga książąt Czartoryskich możnie już podówczas wzrosła na Litwie. Więc podobno już nawet po odjeździe księcia, wziął Matuszewicz na konferencję obudwu półkowników i rzekł im sam na sam: Książe nie da, ja dam, a zróbmy!» Rzeczywiście, stolnik tylko jeden ze trzech mógł to powiedzieć i upierać się przy swojem, ile że Paszkowski spodziewał się dopiero kiedyś spadku po teściu, a Kropiński już się przehulał na gościnność. Działając na własną rękę chciał Matuszewicz sprawić miłą niespodziankę księciu i przysłużyć się mu nieprzewidywanem, nieprzyzywanem nawet zwycięztwem.

Pobiegł więc rychło za księciem do Warszawy stolnik brzeski, i tam umiał tak jakoś trafić do przekonania, tak udobruchać pana, że począł wierzyć w lepszy skutek sejmików, a nawet napisał z tego powodu list do Kropińskiego, w którym polecał mu wybierać zacnych i zdolnych do swego urzędu deputatów [1]).

---

1) Z Warszawy, dnia 8 stycznia 1759 r.

Powrócił i stolnik ze stolicy i zaraz porozsyłał listy do obudwóch pułkowników z prośbą, ażeby zjechali natychmiast do Czarnawczyc na walną naradę. Tutaj dobre porozumienie się o tyle pomiędzy spółzawodnikami nastało, że Matuszewicz prosił Kropińskiego nawet o pośrednictwo w interesie familijnym. Stolnik brzeski, trzeba to wiedzieć, żył z braćmi w ciągłej wojnie, nie dla tego ażeby im tak bardzo kiedy zawinił, ale dlatego, że tutaj w jednej rodzinie (co zresztą bywa dosyć często) dobrały się razem bardzo dziwne i odmienne charaktery. Powinności obywatelskie najlepiej rozumiał stolnik, i dlatego krzątając się ciągle, znaczył coś u współziemian; ale młodsi bracia jego bez pracy chcieli jeść kołacze, i chciało się im znaczenia, wziętości i urzędów bez troski, bez wydatków i bez starań, jakby pieczonych gołąbków, co to same lecą do gąbki. Czy zazdrościli stolnikowi, czy może czego innego przebaczyć mu nie mogli, dosyć, że ustawicznie mieli do niego jakieś pretensje i narzekali ciągle na brata, to że ich skrzywdził w ojcowiźnie, to że zadziera z panami i naraża ich niewinnie, to że mu się powodzi na świecie sejmikowym itd. Ktoby zliczył powody ich nienawiści, która nękała biednego stolnika? Jeden Marcin był ze wszystkich braci swoich rozsądny, wyrozumiały, a reszta — im młodszy, tem większy warjat. Wacław np., trzeci brat z kolei, był zupełnie dzikim zawadjaką, na małą skalę starostą Kaniowskim w swojej okolicy: wyrąbać się, wybić, nawet kulką w łeb poczęstować pierwszego lepszego, to dobrze potrafił; a przytem wszystkiem lękał się okropnie panów, a najstraszliwiej Czartoryskich. Za to puścić tylko go było na brata najstarszego, — huż ha! choćby natychmiast. Potrzeba jednak na jego pochwałę to przyznać, że chociaż się z tem nie wydawał, miał jakiś szacunek instynktowy dla pana stolnika, który po śmierci ojca był jakby jego władzcą, bo głową rodziny. Wacław zaś zostawał w blizkiem pokrewieństwie z Kropińskim, bo się także ożenił z Orzeszkówną i także marszałkówną pińską, tylko podobno nie z siostrą rodzoną pani Kropińskiej, ale z inną jakąś Orzeszkówną. Do Wacława tedy w poselstwie wyprawiał stolnik półkownika, ażeby ich wzajem z sobą pogodził i ażeby na zadatek przyszłej nierozerwanej przyjaźni Wacław resztę dokumentów do jego działu należących z Rasny sobie obebrał: bo trzeba i to wiedzieć, że przez dziwny jakiś upór, pan Wacław

obmyślając już w przyszłości nastąpić mające procesa, papierów tych nie zabierał, co wielce martwiło stolnika i spokojnie nawet spać mu nie dozwalało. Kropiński w istocie pojechał do Szeszowa, żeby odwiedzić pana szwagra, czy też inaczej, ale odebrał od niego ex abrupto odpowiedź, że swoje pretensje odkryje później, kiedy czas będzie po temu, a papierów żadnych nie chce, i że za obaczeniem się z panem stolnikiem da mu po łbie szablicą na braterski upominek. I gadajże tu z takimi ludźmi!

Tymczasem sejmik brzeski się nie udał: wybrani na nim zostali dwaj nieprzyjaciele Radziwiłłowscy. Coraz gorzej szło księciu.

Jednocześnie zwaliła się na głowę Kropińskiemu już dawno oczekiwana katastrofa. Nie od dzisiaj to już kręcił się koło Flemminga Sosnowski, i nastawał, ażeby mu ustąpił ze starostwa brzeskiego. Podskarbi po wielkich perswazjach przystał na to; ale się jeszcze nieco ociągał z wypełnieniem obietnicy: żal mu było nie bacznie danego słówka i znacznego grodu na Litwie. Ale trudno było co poradzić przyjacielowi: Sosnowski gorąco docierał, książę kanclerz, który wolał Sosnowskiego jak zięcia widzieć u straży swoich spraw w Brześciu, nastawał, — chcąc nie chcąc trzeba było w końcu ustąpić. Flemming cofał się więc zwolna, krok za krokiem, jak jenerał, który chce ocalić swoję reputację wojenną. Sosnowski zaś był wcale niebezpiecznym starostą dla Kropińskiego. Wiedzieli to wszyscy, że pragnął go się pozbyć z grodu; ale jawnie, bez przyczyny, jakoś to nie wypadało go usunąć. Lubo pan sędzia sprzyjał już wtedy wyłącznie Radziwiłłom, przecież należały mu się zawsze jakieś względy, a potem jak było drażnić takiego nieprzyjaciela? Pan Wieszczycki podwajał swoich zabiegów, bo chciał na przyszłość sam jeden gospodarować w grodzie i mieć sobie sędziego i pisarza posłusznych i zupełnie oddanych; sam zaś był prawie pewny swego, że się i pod Sosnowskim utrzyma. Mógł Kropiński napierać się sęstwa, mógł jeszcze umizgać się i ofiarować Czartoryskim swoje usługi, tego się właśnie najwięcej przyszły starosta obawiał. Sosnowski frant umiał się zawsze wziąć do rzeczy, więc i tutaj postanowił rachować na słabość Kropińskiego. Rozpuścił tedy odgłos, że Flemming dlatego spuszcza storostwo, ażeby się pozbyć Kropińskiego; połechtał przez to w najwyższym stopniu dumę pana

półkownika, który zaczął już tryumfować ze swojej potęgi, że nawet panów nabawia przestrachem, że się go Flemming bardzo lęka. Że jednakże nie była to rzecz bardzo przyjemna, być lpogardzonym zamiast samemu pogardzić, p. Kropiński wolał uprzedzić cios stanowczym krokiem, i sam jeszcze Flemmingowi podziękował za sęstwo. Śmieli się z niego panowie, ale ambicja Kropińskiego była zaspokojona; dumny, jak konsul Rzymski, ustąpił władzy, nawet Cezarowi będąc straszny, i dlatego najpewniejszy siebie, że i tak wpływ Cezara w województwie zrównoważyć potrafi.

W listopadzie 1759 odbył Sosnowski świetny wyjazd z Terespola do Brześcia na starostwo.

Wyszedł biedny Kropiński na tem sęstwie grodzkiem, jak Zabłocki na mydle. Miała to być dla niego droga do honorów, a była droga do bankructwa. Stracił na urzędzie cały posag żony, stracił swoich co miał przeszło kilkanaście tysięcy, chociaż ten kapitał stanowił cały jego własny majątek. Wskystko przepadło, i poszedł z kwitkiem do Paszuk. Zamknął się na wsi, niby jak tryumfator, utyskując w zakątku swoim na zaślepienie ojczyzny, że się na nim nie poznała. Zostało mu tylko miecznikowstwo Nowogrodzkie i półkownikowstwo urojone, jako zaszczyty wspaniałej samotności.

Jednakże na sejmiki Gromniczne stanął znowu w Brześciu, razem z Matuszewiczami (1760). Popularność stolnika na nowo w sercu Kropińskiego rozdmuchała żywe niechęci, zazdrościł mu, chciał przed nim brać pierwszeństwo, ale w oczy udawał szczerość, — a za oczy przybrał sobie znowu do pomocy Józefa Paszkowskiego, jenerała i adjutanta księcia hetmana, i dalej znowu obadwaj oskarżać Matuszewicza o związki z Sosnowskim. Tyle prawdy było w tem oskarżeniu, że po długich, a z zaciętością toczonych walkach, i Matuszewiczowie i partja Czartoryskich przyszli jakoś, jeżeli nie do zgody, bo to było niepodobieństwo, przynajmniej do pewnego stopnia wzajemnego szacunku; na udry trudno było coś sobie zrobić, więc obadwa stronnictwa okpiwały się po dyplomatycznemu. Stolnik teraz przed każdym sejmikiem układał się z Sosnowskim o posłów i deputatów, bo obadwaj chcieli, ażeby sejmik doszedł; najczęściej z ich narad wzajemnych to wypadało, że jeden z tego, a drugi z drugiego stronnictwa

obierany bywał to poseł, to deputat, inaczej sejmik nie mógłby się ostać i niezawodnieby się roztrzaskał. Prawili więc hetmanowi dwaj sprzymierzeńcy o tych mniemanych z Sosnowskim związkach; prawili że stolnik ma wielkie łaski u Branickiego, hetmana koronnego (co w istocie wówczas tak było), a dalej że hetman kor. godzi się z Czartoryskimi, do których familji należy (było i w tem troszkę prawdy). Tak ustroiwszy zasadzki na biednego stolnika, na pewne już liczyli, że Kropiński posiądzie w łasce księcia miejsce Matuszewicza. Lubo nie miał na to żadnych Radziwił powodów, jak tylko babskie plotki dał się przecież łatwo wyprowadzić w pole. Powziął tedy podejrzenie, a tak silne, że chociaż prawda zbiła je w następnym czasie, zawsze w sercu hetmańskiem znaki zarazy posostały.

Znalazł jeszcze Kropiński nowego sprzymierzeńca. Był to pan Grotuz, storosta szangrudzki, głupi człek, który z bardzo dziwnego powodu powziął niechęć przeciw stolnikowi: szło mu o starostwo Wilkijskie, do którego miał jakieś prawo, a które król osobnym przywilejem nadał Antoniemu Zabielle łowczemu litew. Prawda, że to starostwo było dotąd w rękach Grotuzów, prawda, że Matuszewicz przyczynił się do tej łaski dworu dla Zabiełły i że ten Zabiełło z Matuszewiczem byli szwagrami, bo obadwaj mieli za sobą rodzone siostry Szczyttówny, kasztelanki mścisławskie. Ale czy tak czy owak, byłby się pewno nigdy p. Grotuz nie osiedział przy starostwie, będąc bez stosunków, bez żadnego poparcia, kiedy wszelkie potęgi pańskie biły we dwór o nabycie tej królewszczyzny.

Były jawne dowody, że stolnik brzeski nie zawsze zostawał w zgodzie z Sosnowskim; ale trzej sprzymierzeńcy razem w jedno gardło krzyczeli, że stolnik z pisarzem grają komedję, że w dzień są to wrogi, ale że w nocy najszczersi przyjaciele, mają tajne swoje *consilia* i raczą się tak gościnnie nawzajem, że od częstych kielichów aż się czupryny im kurzą, co także było wielkim fałszem.

Książę hetman słuchał i nie dowierzał stolnikowi, ale mimo to do pouśniejszych łask i zwierzeń się wcale nie dopuszczał Kropińskiego, który zwolna czekał na to, co koniecznie podług niego z kolei przyjść miało.

W owym to czasie, wszedł Kropiński w ściślejsze stosunki z p. Joachimem Potockim, starostą trębowelskim, dziedzicem na Boćkach, po Sapiehach, gdyż miał za sobą córkę podskarbiego nadwor. lit. Sapieżankę, z którą się rozwiódł poprzednio chorąży książę Radziwiłł z Białej. Wlazłszy na cudze pole, żywo się krzątał p. Joachim około zrobienia majątku i na wszystkie strony spekulował. Szło mu teraz o spadki po staroście bobrujskim Sapieże, rodzonym stryju żony i o dobra Kossowskie. Nowicjusz w tych stronach, wystawił sobie, że Kropiński jest olbrzymem, i że wiele mu dopomoże stosunkami swojemi, wziętością u szlachty, a zresztą radą zdrową a bezpieczną. Pisywał więc często do niego listy i zapraszał naprzód do Boćków, a potem do Pratulina, kiedy tam zupełnie osiadł. Zwierzał się Kropińskiemu ze swoich myśli i postanowień; jednem słowem, nęcił go, głaskał, prawie mu pochlebiał. Jakaż to szkoda, że p. Potocki był tak młody i że tak mało znaczył na Podlasiu! bo Kropiński mógłby śmiało wtenczas podziękować za wszystko Flemmingowi i Radziwiłłom i mógłby zostać pierwszym u Potockiego ministrem! po co się było wpraszać komu innemu, który w korzyść z posiadania jego nie wierzył? Z tem wszystkiem, aczkolwiek nowe te stosunki z dworem pratulińskim nie wiele zaważyły na szali polityki Brzeskiej; jednak związały ściślej pana półkownika ze stronnictwem któreby broniło starych ustaw i prawodawstwa szlacheckiego Rplitej, Potocki albowiem miał za sobą rodzoną siostrzenicę hetmana Branickiego, patrjarchy tego stronnictwa. A dalej, temże samem już korytem spływały na Kropińskiego łaski i umizgi Sapieżyńskie. Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Kropińskiemu ubrdało się koniecznie, ażeby przy takich stosunkach został posłem na sejm następujący (1760 r.), a już poprzednio ściśle kanclerz postanowił, że mają być posłami z Brzeskiego, Sosnowski starosta i stolnik Matuszewicz; ostatni zwierzył się z tego przed pułkownikiem Paszkowskim. Zatem dowiedział się prędko o tajemnicy Kropiński i przez jenerała-adjutanta Paszkowskiego znowu oskarżył Matuszewicza przéd księciem hetmanem. Myślał, że takim wybiegiem wpłynie na swoją kandydaturę, bo podług wszelkich wyrachowań, Radziwiłł obrażony poleci swoim, by wybierali Sosnowskiego ze strony Czartoryskich, a jego ze swojej, gdy kompromis między stronami trwał jeszcze. Nie wie-

dział a raczej nie uważał Kropiński, że to nie hetman, ale kanclerz układał sejmiki, że naturalnie o kompromisie i mowy już tutaj nie było, że ostateczna wreszcie decyzja wyłącznie zależała od kanclerza. Było to bardzo, nie powiemy już źle, ale niewdzięcznie ze strony Kropińskiego, bo biedny Matuszewicz, wychodząc z zasady, że panu Bogu jedna, a djabłu dwie świeczki się należą, nie raz po cichu spłacał naprzykrzających się wierzycieli swojego tajnego nieprzyjaciela Na ostatnim jarmarku Wysockim sześćset tynfów jednemu zapłacił, a co dawał poprzednio, to nie szło wcale w rachubę i o to się wcale nie upominał pan stolnik. Kiedy podług zwyczaju zgłosił się Matuszewicz do księcia hetmana z prośbą, by mu pozwolił zostać posłem razem z Sosnowskim, pan ni be, ni me, zbył go niczem. Nie domyślał się stolnik, kto mu się tak gracko przysłużył i obawiał się nawet domyślać, żeby kogo na siebie nie obraził; ale mimo to był jednak jednym z pierwszych na sejmiku i hojnie szlachtę podejmować zaczął. Józef Matuszewicz, który przez zawiść dla brata trzymał tą razą stronę Kropińskiego, przemaniał szlachtę, ale go zburczał za to skarbnik Nietyxa.

Wieczorem tedy wszyscy walą do Terespola. Flemming bardzo był grzeczny i w dobrym humorze. W powrocie już jedną karetą jechali trzej półkownicy, Paszkowski, Matuszewicz i Kropiński, a z nimi czwarty pan stolnik. Przemówili się dwaj bracia dość żwawo, a nazajutrz rano, idą razem do Kropińskiego. — «Ustąp mnie, «mówi do niego stolnik. — «Nie!» — «Ustąp!» — Gdzie tam! Nie i nie! ciągle nie i nie! Ani gadać z Kropińskim. Na sejmiku taż sama scena. Kropiński zżyma się i gniewa, Józef Matuszewicz brata przywabia, i chce, by półkownikowi ustępował. Ofuknął się na to stolnik: «Nie dbasz waćpan, mówił do niego mniej więcej w te słowa, na honor domu swojego. Cóż! chcesz by wszyscy powiedzieli, że nas Kropiński jeden hołopup (słowo oryginalne) i dziwak przez nogę przerzucił?» i t. d. Sam wreszcie Kropiński skończył tę walkę, bo śmiejąc się oświadczył stolnikowi, że mu pan Józef dawno poselstwa w imieniu brata starszego ustąpił; — a tutaj wszakże stało się na opak, bo Kropiński przekonany, że jest inaczej, na ponowione prośby zrzekł się swoich pretensyj na stolnika. Było już zatem wszystko przygotowane do pomyślnego końca, ale nagle Paszkowscy imieniem

Radziwiłłowskiem, dwa trudne punkta wrzucili do instrukcji poselskiej. Wziął na stronę Sosnowskiego stolnik i tłomaczył mu, że przyjąć punkta będzie to obrażać księcia kanclerza, — nie przyjąć, to na pewno zerwą sejmiki Kropiński z Paszkowskimi, albo w najlepszym razie z manifestami wystąpią. Nie było się o co tak bardzo kłócić, sejm potrwa dni kilka najwięcej, otóż dla próżnego zaszczytu narażać się panom, niewygodnie, — dalekoż lepiej z honorem ustąpić i samym zerwać sejmik. Sosnowski uznał ciężką prawdę i zrobił tak, jak stósownie poradził Matuszewicz. Tutaj więc Kropiński stał w odwodzie, a usunięcie się jego było czysto osobiste i nie miało wcale kompromitować stronnictwa.

Matuszewicz mimo to wszystko pojechał za hetmanem lit. na sejm do Warszawy i potem go odprowadzał przez Białą i Kamieniec. Zręcznie politykując, im fałszywiej względem niego występował Kropiński, z tem większą poufałością stolnik mu się powierzał. Siostra Matuszewicza, Ruszczycowa starościna porojska, wdowa, mieszkała wtenczas w Nowogródku. Jego łaskawej pamięci polecał więc siostrę, jak gdyby rzeczywiście Kropiński miał kiedy jakie potężne wpływy na trybunale. Sam nawet siostrze radził, ażeby pisała do półkownika. Wybierał się też odwiedzić go w Paszukach, ale zabawił długo w Białej z księciem hetmanem i przesłał tylko powitania listowe. [1]).

Więc też na następnym sejmiku deputackim (1761 r.), Matuszewicz, widząc, że się nie utrzyma przeciw Czartoryskim, chociaż go tą razą popierał hetman Radziwiłł, miarkując, że Bohuszowi, który wtenczas był fac-totum w Nieświeżu księcia pana, więcej będzie do smaku Kropiński, jak kto inny, — bierze go na bok i prawi zcicha: — «Sam ci ustąpię, zostań deputatem!» i na koszta urzędu ofiarował mu sto dukatów gotówką. Jak nie przyjąć, kiedy dają? Kropiński podrożył się cokolwiek, ale dobrze. Idą zatem obadwaj do Flemminga na Terespol i wnoszą, by przyjął abdykację, kładąc za warunek, by i Sosnowski drugi kandydat ustąpił, i ażeby nowych zupełnie wybrać deputatów. Zgodzono się na to: z Kropińskim tedy miał być obrany Kościa jenerał-adjutant hetmana Massalskiego. Ale cóż, kiedy się wszyst-

1) List z d. 19 listopada 1760 r.

ko na nic nie zdało? Skoro wypłynął nagle na wierzch nasz półkownik, który nie miał przyjacioł, szlachta mu przeciwna zaczęła protestować, a wrzaski coraz gęściej rozlegały się w kościele. Kontent z tego był i p. Sosnowski i Flemming, który w cale nie ochoczo na Kropińskiego przystał i tylko z biedy pozwolił. Starosta brzeski, korzystając ze zdarzenia, podaje do laski Ruszczyca siostrzeńca stolnika brzeskiego, na kandydata. Młode to było chłopię i dlatego samego źle reprezentować mogło dom Radziwiłłowski na trybunale, nie ze złej woli, ale przez brak należytego w tej mierze doświadczenia. Zląkł się Matuszewicz, ażeby przez to księcia hetmana nie obraził; ale na to pełnomocnicy Radziwiłłowscy wyskoczyli z manifestami, gdyż wyraźny był rozkaz z Nieświeża, ażeby zerwać sejmik, na przypadek, gdyby Matuszewicz nie został obrany na deputata. Odwlokły się więc i nadzieje pani Ruszczycowej, która wiele rachowała na brata i na Kropińskiego,

Pod deputackim odprawił się zaraz sejmik poselski, i ten doszedł mięszany, — bo stanęli na nim jeden Radziwiłowski, półkownik hussarski Sapieha, i jeden Czartoryszczyk, Buchowiecki pisarz ziemski brzeski. Nie było tu wielkiej forsy tą razą, a sejmik utrzymali półkownik Paszkowski z towarzyszącym mu wszędzie Hurynowiczem ekonomem stolnika brzeskiego z Czemer. Sam zaś stolnik pobiegł do Kowna, zkąd został posłem. Że utrzymał się sejmik brzeski, wiele na to wpłynął Hurynowicz, który częstował z rozkazu swojego pana i działał za jego kredytem. Paszkowscy i Kropiński całą sobie ztąd zasługę przypisywali przed księciem hetmanem, a Kropiński był tyle jeszcze niesumienny, że Sapieże kładł bezustannie w ucho plotki i potwarze na Matuszewicza, chwaląc się, że on go zrobił posłem z Radziwiłłowskiem stronnictwem, ale nie stolnik.

W kilka czasów potem, książę hetman mianował Kropińskiego komissarzem do Kamieńca litewskiego. Chciał to starostwo wypuścić na trzy lata w dzierżawę Antoniemu Orzeszcze i żonie jego Teresie z Ledóchowskich; wyjmował tylko dla siebie pałac, w którym stawał w czasie swoich przejazdów, i urząd gubernatorski, który pozostawiał dawniejszemu słudze swojemu Terleckiemu. Tenże sam Terlecki miał być Kropińskiemu do pomocy drugim komissarzem. Książę polecał im spisać cały in-

wentarz i dochody starostwa, ażeby nowi dzierżawcy wiedzieli czego się trzymać mają i co potem w całości oddać powinni. Poprzednio dzierżawił u księcia Kamieniec kasztelan Krakowski Branicki, i Terlecki za niego był ciągle gubernatorem [1]).

Kropiński uwziął się formalnie na stolnika, ażeby go zgubić w łasce hetmańskiej, Całym wpływem swojej potęgi popierał go Bohusz, z obawy, aby gdy książe się inaczej przekona, Matuszewicz nie zajął miejsca jego w Nieświeżu, jako główny minister i doradzca Radziwiłłowski. Ale kiedy Bohusz sam się zgubił swojem niepomiarkowanem zuchwalstwem i musiał oddalić się na jakiś czas od dworu Nieświeżskiego, — połączonym usiłowaniom Kropińskiego i Paszkowskich nie wiele się powodziło. Książe hetman albowiem na każdym kroku napotykając dobre serce i poświęcenie się stolnika, w czasie owego sławnego zjazdu do Białej Wołczyńskich gości, zaraz po weselu księcia jenerała ziem podolskich z Flemminżanką, ofuknął żywo Kropińskiego, który przyjechał do niego z przyjaciołmi układać się o przyszłe sejmiki (w listopadzie 1761): «Stolnik was i siebie w tych tak ciężkich sejmikach utrzymuje, powiadał książę; jego słuchajcie, inaczej waszą junakierję książę kanclerz od razu zgniecie i was pogubi». Po takiem dictum acerbum nie było co mówić. Rola Kropińskiego przy księciu hetmanie była skończona, ale nie na długie lata, gdy Radziwiłł umarł zaraz następnego roku.

Bez żartu można powiedzieć, że najświetniejsza epoka dla Kropińskiego zeszła dopiero z rokiem 1762. Najświetniejsza — i czemuż trwała tak krótko? Naprzód pokrzepił się dobrze spadkiem żoninym. Po śmierci teścia, pozostali jego synowie chcieli widać zręcznie wykwitować ze wszystkiego siostrę i dzielić się z nią majątkiem nie chcieli. Kropiński zapozwał ich do trybunału i uzyskał zaoczny wyrok na wszystkich, to jest na Leopolda sędziego ziemskiego, Jana strażnika i Antoniego podstolego pińskich. Trybunał przysądził pani Kropińskiej czwartą część całej ojcowizny w nieruchomościach ziemskich [2]). Dalej odmieniły się rządy w Nieświeżu. Stary hetman zakończył życie na wjeździe biskupa Massalskiego do Wilna, — a panem rozległych majętno-

[1]) Instrument nominacji dla Kropińskiego wydany pod datą 9 czerwca 1761 r. — [2]) Wyrok d. 19 lutego 1762 r.

ści został człowiek młody, który lubił putnąć sobie; Kropiński stawał przed nim w położeniu dawnego sługi domu, więc już i z tego względu rachował na dobre serce księcia miecznika. Jakoż w istocie zabierało się około sejmu, na którym miały być rozdawane liczne wakanse, to jest pieczęci, klucze a nawet buławy. Wrzała Rplita przygotowaniami stronnictw wojennemi, i wszyscy zbierali siły, żeby się zetrzeć w otwartem polu, na ławach sejmowych. Książe Karol zaraz oświadczył się z tem, ażeby Kropiński był posłem na sejm z Brześcia; co panu półkownikowi bardzo pochlebiło, bo od czasu owego sejmu, na którym z przypadku prawie posłował, dotąd nie pełnił jeszcze publicznych funkcyj w Rplitej. Siedział książe Karol jakiś czas w Białej przed sejmikami i znosił się ze swoimi ustnie i przez listy. Kropiński czekał na księcia w Białej, ale nie doczekał się i wyjechał, więc książę posłał po niego półkownika Paszkowskiegó, ażeby został posłem, lecz zarazem sam o drugiego wystarał się kandydata, ażeby to nie był kandydat ciężki i przykry dla Radziwiłłów. Ale jak na złość trudno tu było co poradzić. Sama konieczność radziła wziąść Sosnowskiego z przeciwnej strony, bo inaczej któż mógł ręczyć za całość sejmiku? Książe nie pozwalał, chciał kogo innego; ale Kropiński przekonany był, że to jest zło konieczne, a że chciał być serdecznie posłem, chociaż brał od księcia pieniądze, uparł się za Sosnowskim, przeciągnął na swoję stronę Paszkowskich i książę Karol ustąpić musiał tak ważnym dla niego naleganiom. Tylko co przed samym sejmikiem odebrał Kropiński list z Warszawy od wojewody Połockiego Sapiehy, pana na Wysokiem-Litewskiem. Widać, pan wojewoda przedstawił przyjaciołom krwi zebranym w Warszawie, a ochotnikom do wakujących dostojeństw że Kropiński jest ważną figurą w województwie, bo wszyscy się za nim odezwali...

W lipcu 1853 r.

WIELCY MUSZKIETEROWIE AUGUSTA II.

Augustowi II., bardzo lubiącemu wystawne życie i nieustanną rozmaitość, przyszło raz na myśl utworzyć na stopniach tronu swego szlachecką gwardję polską. Od niejakiego już czasu lubił król ściągać panów koronnych i litewskich do Drezna, żeby ich zawczasu przyzwyczaić do majestatu dziedzicznej władzy; potem brał im synów do siebie na dwór, niby to na służbę, niby to na musztrę i naukę wojskową, bo w Polsce nie było szkoły rycerskiej, i obiecywał młodzieży stopnie oficerskie w wojsku saskiem. Garnęli się do służby elektorskiej Polacy, a najwięcej Kurlandczycy, jak zwyczajnie: sercem lgnął Niemiec do Niemca. Ale to jeszcze wszystko było za mało dla wesołego i rycerskiego króla, pełnego blasku i okazałości. Więc postanowił sobie zebrać, jak powiedzieliśmy, przyboczną gwardję, straż honorową, korpus szlachecki. Nim się jeszcze ta myśl na dobre rozwinęła, nim król dobrze zdał sobie sprawę czego właściwie chciał, młodych Polaków, których już ściągnął do Saksonji, nazywał kadetami polskimi. Później liczbę ich opisał na dwieście ludzi najwięcej. Wreszcie zachciało mu się zbierać samych olbrzymów i przypomniał sobie muszkieterów Ludwika XIV. To przypomnienie postanowiło o losach i przyszłości korpusu. Kadeci mieli być przeformowani, skoro tylko zbierze się ich dostateczna liczba, w grand-muszkieterów, t. j. w regiment gwardji złożony z olbrzymich, wielkich

wzrostem muszkieterów, a do korpusu miała być przypuszczona li tylko młodzież polska szlacheckiego pochodzenia, ze wszystkich prowincyj Rzplitej bez różnicy, z Litwy, Rusi, Prus i Kurlandji (w listopadzie i grudniu 1729). Król lubił niezmiernie rosłych ludzi i poprzednio już sobie przed kilkoma laty dobierał regimenta olbrzymich grenadjerów, których komendę oddał ulubionemu synowi Rutowskiemu.

Szefem honorowym grand-muszkieterów polskich mianował się król sam w stopniu kapitana, zupełnie tak samo jak później Stanisław August zrobił się szefem kadetów. Na właściwego zaś komendanta wybrał im księcia Aleksandra Lubomirskiego, miecznika W. K. w stopniu porucznika, tak samo, jak komendantem kadetów Stanisławowskich był później książe jenerał ziem podolskich. Porucznik jednak grand-muszkieterów miał rangę jenerał-majora w wojsku saskiem. Każdy pojedyńczo żołnierz czyli muszkieter był tylko w swoim regimencie żołnierzem jako w gwardji królewskiej, ale w wojsku miał rangę chorążego. Przepisał im król mundur bogaty i wspaniały: mieli bowiem nosić wierzchnie kaftany, czyli, jak wtedy mówiono, superwesty haftowane, daleko suciej jak sascy chevaliers de garde. Do tego król im pensję nieszczupłą wyznaczył. Pałac sandomierski w Dreźnie obrócono dla nich na koszary i kazał król pałac stósownie na ten cel przebudować: ogromne sale pałacowe powiększyły się jeszcze i wyglądały jak place, bo i rzeczywiście przeznaczone też były na place musztry. Muszkieterowie służyli konno, więc znowu ogromny wydatek król łożył na kupno rosłych i pięknych koni i bogatych rzędów: tak się panu ta myśl jego podobała, że sam z całym zapałem młodzieńczym zajmował się wszystkiem, co należało od jak najprędszego uformowania regimentu; przyjmował projekta, sam je tworzył, naradzał się z księciem Lubomirskim, który był wtedy w ogromnych u niego łaskach, a nawet po części z powodu formacji, raz w zimę, wyjechał sam król na jarmark Lipski przeglądać i kupować konie [1]).

Był król ciągle w najlepszym humorze, kiedy myślał o muszkieterach. Te wszystkie plany, te projekta, te zamiary postępowały po sobie prędko jedne po drugich jak błyskawice. Czyn

[1]) W grudniu 1729 zob. «Uprzywilejowane wiadomości».

rad w ślad postępował za myślą, tem bardziej, że w głowie królewskiej już nowe rodziły się plany: oddawna już zamyślał August wyprawić dla Europy rycerskie gonitwy i parady wojskowe w Saksonji, tak żeby świat się zdziwił, zatem chciał namiętnie już i grand-muszkieterów wystawić na lato, na te przyszłe uroczystości. A tutaj nic jeszcze gotowego, nawet ludzi nie było: musiał się spieszyć.

Żeby zaś nadać tym wszystkim zabiegom jakiś pozór zakładania szkoły wojennej, boć grand-muszkieterowie mieli być zawsze tylko kadetami polskimi, przepisał im król zawczasu tak nazwane exercycje, czyli ćwiczenia konne i piesze; już to musztra miała być głównym przedmiotem, którego młodzi Polacy uczyć się musieli, a więc we wszystkich ewolucjach powinni byli celować. Uczyli się krom tego fechtunku, woltyżowania, tańca, jazdy konnej, a w dodatku do tego wszystkiego architektury wojskowej i języków. Nauczyciele czyli metrowie mieli być francuzcy i niemieccy. Skąd ich wziął król? niewiadomo, miał jednak myśl pierwszą sprowadzić ich z Warszawy. Widać zatem, że w Warszawie dużo tych metrów i celniejszych było.

Jeszcze przed wyjazdem do Lipska król skupił 80 koni, ale jak powiadamy, ludzi nie było na zawołanie. Otóż panowie polscy, skarbiąc sobie łaski pańskie, wybierali pomiędzy szlachtą a najwięcej pomiędzy wojskowymi i jeżeli trafił się kto stosowny w wojsku koronnem i litewskiem, odsyłali królowi olbrzymów. Pierwszym, który zrobił tę ofiarę, a raczej który zdobył się na ten koncept, był Jan Klemens Branicki, chorąży W. K. Bogaty to był pan; potomek Czarnieckiego po kądzieli a konkurował mocno o buławę. Branicki tedy naprzód wynalazł pięciu olbrzymów szlachty i opatrzywszy ich pieniędzmi na drogę, wysłał zaraz do Drezna w ciągu jeszcze tej samej zimy, w której się formacja zaczęła; trzech przyjechało wcześniej i tych królowi na pokojach po powrocie z Lipska przedstawił Bessersek porucznik w regimencie artylerji kor. a więc osobiście zobowiązany Branickiemu, w którym przeczuwał swojego przyszłego wodza. Potem starosta spiski Lubomirski przysłał królowi jedenastu ludzi przez jakiegoś pana Mroszkowskiego. Starosta zatorski sam z żoną nadjechał do Drezna i przywiózł także królowi ze sobą czterech rosłych hajduków. Wojewoda podlaski werbował pomiędzy szlachtą, któ-

ra rzucała dla służby kontusze i przebierała się po francuzku. Leciała i sama młodzież z Polski starać się o służbę w regimencie, bogatsi i znaczniejsi biegli pocztą i łatwy znajdowali wstęp; ubożsi starać się musieli o względy panów, ażeby ich ze swojej strony zalecali królowi. Raz więc ksiądz podkanclerzy lipski przedstawiał ochotników królowi, drugi raz graf Manteuffel. August cieszył się niezmiernie z tej ochoty, ile że wieść o formującym się korpusie grand-muszkieterów po całej rozbiegła się Europie i wszędzie wzbudziła pewien ruch pomiędzy młodzieżą. W Szwecji dwudziestu kawalerów najprzedniejszych rodzin zmówiło się jednocześnie, żeby jechać do Saksonji, i dostać się na usługi wojenne króla Imci. Nie zrażało to ich wcale, że muszkieterowie mieli być utworzeni li tylko ze szlachty polskiej, bo byłoby się gdzie i dla nich pomieścić, gdy król zajęty formacjami na przyszły kampement, odrazu tworzył liczne pułki z samych olbrzymów, jak to regiment gwardji żółtej, regiment grenadjerów itd. Król odbywał przegląd nawet starych swoich pułków i wybierał ludzi rosłych do grand-muszkieterów. Znalazł też raz szukając cud nad cuda to jest ogrom pod wszelkim względem: olbrzyma nad olbrzymy wzrostem i tuszą i apetytem. Miał ten figurant przeszło cztery łokcie wysokości i zjadał na dzień cztery funty mięsa a dziesięć funtów chleba, chodził jednak cokolwiek pochyło. Olbrzym ten miał nosić chorągiew u muszkieterów. Czy żeby przeciąć drogę dla tylu obudzonych ambicyj, czy też rzeczywiście, żeby dobrać samych wielkoludów, król oznaczył miarę wzrostu dla ochotników i nie nudził się wcale, kiedy po kilka godzin prawie codziennie przepędzał nad mierzeniem olbrzymów, a z każdego nabytku serdecznie się radował. Ruch był wielki w Dreznie, bo tam maszkary i bale goniły jedne za drugiemi, a do tego musztry, parady, lustracje codzienne, na których uwijali się jenerałowie: książę Lubomirski, Wackerbarth, de Nassau, graf Rutowski i Szybilski, który właśnie co przyprowadził z Polski nowy kontyngens.

Otóż wyśpieszył król w istocie z regimentem muszkieterów na świetne uroczystości pod Mühlbergiem. Już w końcu maja regiment ściągnął do obozu pod wodzą księcia Lubomirskiego i brał udział w kampamencie. Było wtenczas u muszkieterów ludzi 165 [1]).

[1]) Kurjer Polski 1730 N. 26.

Król wszędzie za sobą ciągnął tych muszkieterów. Był w Saksonji, to i oni w Saksonji, przejeżdżał do Warszawy, to i oni za nim ciągnęli się w marszu do Warszawy. Pierwszy raz pokazał ich w stolicy polskiej, w kilka miesięcy po wielkich paradach po Mühlbergem we wrześniu 1730. Poprzednio wynajął dla nich na koszary pałac Mokronowskiego chorążego warszawskiego; pałac ten znajdował się na Nowem mieście niedaleko od kościoła P. Maryi. Raz nawet na zawsze spisano podobno kontrakt o najem z właścicielem, który widno nie mieszkał w pałacu, kiedy go odstępował muszkieterom. Główna więc ich kwatera była zawsze na nowem mieście, a chorąży warszawski dlatego może robił taką dogodność królowi, że w tych muszkieterach służył i syn jego pan Jędrzej, który potem za Stanisława Augusta wyszedł na wojewodę mazowieckiego. Parady jednak choć bywały, ale nie tak częste.

Drugi raz olbrzymich muszkieterów swoich król ukazał w Warszawie w całej świetności w czasie kampamentu Willanowskiego (w lipcu i sierpniu 1732). Król sprawił wtedy pułkowi nowe mundury, to jest barwę narodową, czerwoną z białemi wyłogami. Śliczny to był regiment i doskonale wymusztrowany, młoda szlachta dzielnie na koniach siedziała, zupełnie jakby się zrosła z niemi: to też Lubomirski był ciągle w ruchu ze swoim pułkiem przez cały ten czas parady, zawsze na czele kolumn, zawsze na wydatnem miejscu, żeby go wszyscy widzieli.

Jednakże muszkieterowie, lubo złożeni z Polaków, byli częścią wojska saskiego już to dlatego naprzód, że po konfederacji Tarnogrodzkiej król nie mógł powiększać wojska narodowego, a powtóre że chciał mieć sam pułki polskie na żołdzie swego Elektorstwa. Dlatego duch niemiecki panował wyłącznie w pułku, chociaż polskie tam brzmiały nazwiska.

Sam wódz regimentu, książe Lubomirski, był już wynarodowionym Polakiem. Najmłodszy to był syn hetmana Hieronima, króry sięgał ręką po koronę razem z Leszczyńskim. Aleksander za niedoszłe nadzieje ojca gniewał się na ojczyznę, i dlatego wiązał się serdecznie z królem Elektorem. Prawda, że do Augusta ciągnęły go po części i familijne stosunki; np. sławna w swoim czasie piękność, księżna cieszyńska z domu Bokumówna była rodzoną jego stryjenką. Czasy już się wprawdzie zmieniły i od lat kilkunastu Au-

gust II. kilkanaście przerzucił kochanek, przecież księżna Cieszyńska zachowała aż do tej chwili pewien wpływ swój na dworze i dawała świetne bale w Dreznie, na których bywali panowie sascy, polscy i sam król jegomość. Księżna nigdy nie była polką, bo szła z krwi niemieckiej, ale wtenczas już, zerwawszy ostatecznie i z mężem i ze światem polskim, zupełnie stała się niemką, nie myślała o powrocie do Polski, gdzieby dziwną rolę odgrywała. Może tedy jej wpływowi po części przypisać można tę okoliczność, że książę Aleksander także wynaradawiał się powoli. Ożenił się z saską Fryderyką Karoliną Fitzthumówną i córki swoje wychował zupełnie po niemiecku, kierując je naturalnie na żony dla Niemców. Fitzthumowie należeli także do arystokracji saskiej, jeden z nich pamiętnym jest w dziejach polskich z intryg, które prowadził w czasach wojny szwedzkiej. Fitzthumowie teraz swatali córki Lubomirskiego i coraz więcej odrywali go od ojczyzny. Po chwili książę dla Polski ujrzał się zupełnie obcym, tem bardziej że związał się nawet krwią z królem: hrabia Rutowski albowiem ożenił się z jedną z jego córek, drugą wziął Flemming minister gabinetu saskiego, trzecia Marja, biedna, panną umarła. Czwartą już później za Augusta III wydał ojciec za p. des Alleurs'a posła francuzkiego w Saksonji, który zaraz po ślubie przeniesiony został z Drezna do Stambułu [1]).

Książe Lubomirski miewał przytem urzędy polskie. Był starostą soleckim, gniewskim i ratneńskim i jako dygnitarz był naprzód kuchmistrzem. Ale na mało co przed uformowaniem grand-muszkieterów został mianowany miecznikiem W. kor. (18 czerwca 1728). Poprzednio zaś, po śmierci wojewody krakowskiego a dawniej męża księżny Cieszyńskiej, otrzymał regiment dragonji w wojsku cudzoziemskiem Rzplitej, o czem wiemy z gazet pisanych (we wrześniu 1727). Wszystkie te tytuły oczywiście kładł jednak książę niżej od jeneralstwa saskiego.

Życie jego po największej części upływało w Saksonji i do Polski przyjeżdżał tylko z królem i grand-muszkieterami. Brał

1) Ślub des Alleurs'a odbył się 12 czerwca 1743 o cztery mile od Drezna w dobrach hrabiego de Wackerbarth. Kurjer Polski N. 341. Do Turcji jechał z żoną przez Warszawę i po drodze odwiedził hetmana w. kor. który go przyjmował z wielkiemi honorami. Kazał jenerałowi Bekierskiemu odprowadzać aż do Dniestru i Chocimia.

głos przeważny w radzie familijnej, która ciągle otaczała Augusta, a do której ledwie kto z obcych należał oprócz zięciów.

Później cokolwiek, pod zwierzchnią komendą Lubomirskiego, pułkownikiem muszkieterów polskich został Potocki, herbu Szreniawa, podczaszyc krakowski, rodzony wnuk Wacława poety, a brat owej pani Heleny z ostatniego męża Morsztynowej, wojewodziny inflanckiej, której życie w osobnym obrazku nakreśliliśmy. Imienia tego pułkownika nie znamy. Niesiecki tylko to powiada o nim, że był w «wojsku cudzoziemskiem polskiem znacznej straży». Zdaje się, że ten Potocki więcej był młodzi polskiej do serca, jak zniemczony książę jenerał.

Ale chociaż potrzeba było przestrajać się w suknie francuskie dla regimentu, wiał w grand-muszkieterach duch szlachecki. Byli to albowiem wszystko ludzie majętni, młodzi, waleczni, zapaleni, z poręki starych hetmanów i wojewodów, więc niedziw, że nie zapominali szlachetczyzny. Najpierwsi co się zaciągnęli pod chorągwie, byli: Zbijewski, Koszucki, Starzęcki, Kietpiński (Kątkowski) i Marcin Matuszewicz, który za Poniatowskiego wyszedł na kasztelana i był znakomitym literatem swojego czasu, wreszcie ów Kurlandczyk Korff, którego posądzono, że pod Marymontem jako przyjaciel Poniatowskich, przebił Tarłę wojewodę lubelskiego (1744 roku).

Ci olbrzymi muszkieterowie polscy póty egzystowali, póki żył i panował w Rzeczypospolitej ich założyciel. Ze śmiercią jego wszystko się skończyło. W bezkrólewiu Rzeczpospolita nie chciała regimentu uznać za swoje wojsko, tem mniej miał do tego prawa nowy elektor saski. Zatem naturalnie pułk się rozwiązał. Tej katastrofie następne towarzyszyły okoliczności.

Król zjechał na sejm i umarł nagle, więc i muszkieterowie byli z nim w Polsce. Czy to Augustowi II już się odechciało zabawy z kadetami, czy też nowe jakie snuł w głowie pomysły, dosyć, że ulubiony ten regiment polski już nie był wówczas w epoce swojej niedawnej jeszcze świetności, składała go tylko garstka ludzi, 80 osób, nie więcej. W tym składzie otrzymali muszkieterowie polscy straż u ciała królewskiego. Gdyby w Saksonji pozostali, możeby przyjęli służbę niemiecką, ale w Polsce Bieliński marszałek w. kor. nakazał im zaraz po sejmie konwokacyjnym... żeby złożyli przysięgę na wierność Rzeczypospolitej. Stanęli więc

wprawdzie przed pałacem Mniszchowskim, ale tutaj w stanowczym razie wybuchnął gwar i bardzo różne pokazały się zdania. Jedni mówili, że pobierają gażę od elektora, więc jemu są obowiązani posłuszeństwo; mówili drudzy, że są Polakami i że król zmarły wystawił ich dla Rzeczypospolitej jako osobny regiment polski, więc ojczyzny powinni słuchać i przejść na jej żołd, tem bardziej, że marszałek koronny ich o to wzywa. Inni, chociaż prawili o powinnościach swoich względem elektora, ale nie wiedzieli jak te powinności pogodzić z przysięgą dla obcego teraz monarchy: jak to? mielić sami bez elekcji narodu obierać króla i jemu oddawać się bezwarunkowo? Inni jeszcze obawiali się, żeby zachowawszy wierność elektorowi, nie podawali mu w rece miecza przeciwko swoim ojcom. August III, mając synów w ręku, mógł w istocie przymus moralny wywierać na obywateli Rzeczypospolitej i tą drogą sobie jednać ich głosy szlacheckie, a w takim razie w cóżby poszła główna podstawa wolności narodowych: liberum veto, wolna elekcja? Było się nad czem dobrze namyślać. Znalazły się wreszcie takie niespokojne duchy, co odmawiały wszelkiej przysięgi i obiecywały, że bez niej pozostaną i nadal wiernymi Rzeczypospolitej. Marszałek kor. nie mógł zmusić muszkieterów do przysięgi i tego dnia sprawa skończyła się na niczem. Na inny dzień odłożono uroczystość. A przez ten czas trwały sejmiki muszkieterów i zdania się ścierały. Kwestja się wyjaśniała coraz więcej. Jeden z olbrzymów, najsumienniejszy może i najwięcej skrupulatny Matuszewic starościc stokliski poszedł poradzić się kapitana Matlera z pułku wojewody podlaskiego, co zrobić? Znał się z nim oddawna, ile że obadwaj byli sługami jednego domu Sapieżyńskiego Matler, człowiek wytrawny i doświadczony, siedział wtedy w więzieniu za jakieś knowania przeciw jenerałowi swemu: wysłuchawszy sprawy, poradził Matuszewiczowi, żeby Muszkieterowie natychmiast przysięgali Rzeczypospolitej. Na drugi więc dzień wyznaczony do przysięgi regiment znów stanął cały przed pałacem mniszchowskim. Wołano po kolei oficerów podług starszeństwa do sali przed marszałka i tam jeden za drugim ślubował wierność Rzeczypospolitej. Wreszcie wezwano Matuszewicza, który miał jednak swoje skrupuły, więc się wykręcił zgrabnym wybiegiem, żeby i okolicznościom

i sumieniu zadość uczynić; «nie będę już więcéj muszkieterem, mówił, więc mógłbym wcale nie przysięgać, ale wymagają po mnie tego, więc żebym pokazał, żem syn ojczyzny, przysięgam.» Podobała się ta odpowiedź o tyle panu marszałkowi, że postanowił przywiązać do siebie Matuszewicza, i myślał go już posłać w podróż za granicę z synami swemi Jerzym, Augustem i Janem. Ale jakoś to zeszło, może kłopoty bezkrólewia wybiły p. Bielińskiemu pierwszą myśl z głowy. To pewna, że starościc stokliski zrobił sobie rodzaj sławy z tego, że cnotę pokazał z konieczności. Spotkawszy go raz potem marszałek na pokojach u księcia Prymasa, rozpowiedział całe zdarzenie obecnym panom i arcybiskup aż w głowę za to serdecznie ucałował starościca.

Tak więc muszkieterowie przysięgli Rzeczypospolitej i powrócili do Marywilu, gdzie na kwaterach stali podówczas. Ale nie wiele było takich patrjotów: trzydziestu tylko, zatem mniejsza połowa. Książę miecznik pozostał przy nowym elektorze w Saksonji, i teraz już de facto i de jure Potocki był komendantem muszkieterów; nie odłączył się ani na krok od Rzeczypospolitej. Z nim razem przysiągł porucznik Krzyżanowski. Koni pułkowi tylko nie dano, zresztą wszystko co należało dostali, kwatery i odzież, a gażę pobierali ze skarbu koronnego. Odtąd muszkieterowie zaciągali urzędowo już z rozkazu marszałka przy straży ciała królewskiego. Ci zaś, co nie chcieli przysięgać, byli natychmiast rozpuszczeni; pobiegli więc zaraz do rezydenta saskiego z zapytaniem co o nich dwór myśli i czy mogą dalej zostać w służbie elektora? Musiał mieć na to nadesłane już stosowne instrukcje rezydent, bo każdemu z nich podarował cały ekwipaż muszkieterski z koniem, z bronią, a pensję wypłacił tylko za miesiąc, ale za służbę podziękował. Między tymi, co nie przysięgli na wierność Rzplitej, najwięcej było Kurlandczyków; rozjechali się też zaraz na wsze strony świata; jedni do domu, drudzy gdzie oczy poniosą.

Bardzo niewiele pozostaje dopowiedzić z historji muszkieterów. Odprowadzali trzy ciała królewskie, Jana III, Maryi Kazimiry i Augusta II, z Warszawy do Krakowa, potem wrócili do stolicy, widzieli elekcję i wierni Leszczyńskiemu pojechali Wisłą na łodziach w przedniej straży do Gdańska, kiedy wszystko zmykało na północ ze stolicy. Mieli tam straż przyboczną króla Sta-

nisława. — W istocie była to już tylko straż nie regiment i ztąd pewno zawieruszyła się gdzie w wojnie domowej, która następnie wybuchła. Leszczyński, kiedy się żegnał z koroną, rozpuścił niezawodnie muszkieterów, podziękowawszy im za dotychczasową służbę, a szczęśliwy jego współzawodnik nie myślał odnawiać regimentów ojcowskich.

Tak zaginął regiment olbrzymich muszkieterów Augusta II. po krótkim arcyświetnym zawodzie publicznym. Życie tego regimentu przetrwało cztery lata najwięcej. Był to jednak zawiązek szkoły wojskowej w Polsce. Okoliczności nie dozwoliły, żeby się rozwinęła. Napróżno Polacy w paktach konwentach każdemu królowi przypominali rycerską szkołę: — były to długo pia desideria. Aliści ni ztąd i z owąd rodzi się szczęśliwa myśl w głowie królewskiej. Ale był to kwiatek zawczesny i wątły na mroźne szrony zimy wystawiony. To też zwiądł. Dzieje też wspominają o fundacji Krysztofa Mieroszewskiego szkoły rycerskiej za króla Jana: i ta nie doszła.

O losach Potockiego, który był ostatnim dowódzcą muszkieterów nic nie umiemy powiedzieć. Co zaś do księcia Aleksandra Lubomirskiego, ten jeszcze żył długo i zawsze był niemcem a sercem i duszą Augustowi III. się oddał.

Król mu podarował w dowód łaski swojej wielki pałac Fitzthumowski w Dreznie (w kwietniu 1737 r.) Mianował go dalej jenerałem kawalerji w wojsku saskiem (w październ. 1745) [1]), bo Lubomirski był oddawna jenerałem lejtnantem. Potem podobało się księciu jeneralstwo artylerji kor. które zawakowało po drugim Rybińskim. Król, który podówczas z Lubomirskim znajdował się w Warszawie, dał księciu to jeneralstwo, połączył z niem pierwsze pułkownikowstwo i komendę pułku pieszego artylerji, wakans także po Rybińskim (20 paźdz. 1746). To nic jednakże nie przywiązywało Lubomirskiego do kraju; był to zawsze dworak i nic więcej. Jeździł za królem nieodstępny jak cień jego. Towarzyszył w drodze królewnie Marji Józefie, kiedy miała zostać delfinową francuzką, król jemu głównie i kuchmistrzowi saskiemu Szombergowi polecił prowadzić orszak weselny. Był Lubomirski na uroczystościach godowych w Dreznie i odprowa-

[1]) Kurjer Polski 1745. N. 466.

dził królewnę aż do Strasburga, potém znów do Drezna powrócił, nie troszcząc się nic o artylerję koronną (w marcu 1874 [1]) W roku 1748 zrzucił się z miecznikowstwa, które lat 20 piastował: wziął po nim ten urząd Józef Humiecki starosta gajowski (mianowany 15 lipca 1748). W lat cztéry późniéj (w r. 1752) książe nawet złożył i jeneralstwo artylerji a że wziął po nim ten urząd potężny minister Bryl, i w tym nawet kroku księcia trudno nie upatrzyć dworactwa. Umarł jenerał naszych grand-muszkieterów już bardzo późno 16 listopada 1772 r. w Dreznie; miał lat 77 wieku. Starostwo ratneńskie wziął po nim Józef Sosnowski pisarz polny lit. a soleckie Hieronim Wielopolski [2]).

9 maja 1860 roku.

---

[1]) Oto dat kilka dotyczących się tego małżeństwa z gazet polskich społczesnych. Poseł nadzwyczajny francuzki Richelieu wyjechał do Lipska 23 grudnia 1746 roku. Stanął w Hubertsburgu 24 grudnia, w Dreznie 25. Posłuchanie jego u króla 26 grudnia. Uroczysty wjazd i uroczyste posłuchanie 8 stycznia 1747 r. Ślub 12 stycznia. Królewna wyjechała z Drezna do Francji 14go. Przy tej okoliczności poseł francuzki w Dreźnie des Essarts otrzymał order Orła Białego i w podarunku 30,000 tal. A poseł saski w Paryżu baron Losse także order Orła Białego i 10,000 tal. Orszak saski od granic zawrócił, pojechał tylko dalej z królewną Jezuita spowiednik i Przebendowska kasztelanka, której Ludwik XV. dał zaraz na wstępie zausznice wartości 2,000 tal.

[2]) Szkic ten narysowany podług kilku wiadomości urywkowych z Kurjera polskiego (n. p. N. 466,523 itd.), z Sygillat w metryce koronnej, z gazet pisanych z «Uprzywilejowanych wiadomości,» notat Marcina Matuszewicza i różnych luźnych notatek.

KAMPEMENT W WARSZAWIE 1732 r.

Świetny był dwór króla Augusta Mocnego w Europie. Wszystko, co tylko błyszczało urodą, majątkiem, świetnością rodu albo zasług, co tylko było piękne, dowcipne albo znakomite, wszystko to gruppowało się na tym dworze podzielonym na dwa wielkie miasta — Warszawę i Drezno. Nigdzie, w całej Europie, nie bawiono się tak wesoło, nie pokazywano się z taką okazałością i zbytkiem. Król August na swoim dworze dawał ton wszystkiemu i znaczenie. Wielbiciel płci niewieściej, zebrał do dwóch ognisk, najpiękniejsze kobiety swojego czasu z Polski, z Litwy, Saksonji, Niemiec i Szwecji. Król August Mocny, był galant, był to kawaler wieków średnich, romansowy, czuły, poświęcający się, szukający przygód jak dawny rycerz. Pięknej też był i majestatycznej postawy; choć już i lata stare pamiętał, zachwycał zawsze to męskością twarzy, to obchodzeniem się pełnem wdzięku, to grzecznością. Lgnęły do niego kobiety, bo król kiedy chciał, umiał kochać, czarować, unosić. On tylko jeden w dziejach naszych, który o sobie taką zostawił pamięć, — on jeden, który zmieniał kochanki jak suknie, przykładem Ludwika XIV. Na niego zapatrywali się i inni spółcześni władcy Europy, — może i Ludwik XV korzystał wiele z jego przykładu.

W galerji drezdeńskiej znawcy unoszą się nad wielką liczbą portretów kobiecych, które ze stron wszystkich, a najwięcej z Pol-

ski, zgromadził August. I znany poeta Kollar, nucił niedawno tym prababkom naszym pieśń pochwalną, a wynosząc ich wdzięki, podziwiał wybór Augusta.

Otóż ten król August przypadkiem napotkał w Warszawie młodą dziewczynę bardzo piękną, którą mu przedstawił syn jego naturalny hr. Rutowski. Król pokochał tę dziewczynę, a to prawdziwie rycerską miłością. Umieścił ją na swoim dworze, otoczył dostatkami, ubóstwił prawie. Na skinienie króla stanął dla niej w ciągu trzech dni i trzech nocy pałac błękitny w Warszawie. Podziemne sklepienia łączyły mieszkanie kochanki z pałacem saskim, gdzie król przesiadywał. Żadna uroczystość, żadne wystąpienie publicznie, obejść się bez tej nowej ulubionej nie mogło. Polska cała i Saksonja składała jej hołdy. Król ją woził z sobą zawsze, to z Warszawy do Drezna, to z Drezna do Warszawy. Uposażył ją i wydał pięknie za mąż, bo za księcia panującego domu — Holstein-Beck. Na jej cześć wydawał król wielkie bale, uczty, parady, — spraszał gości z różnych stron Europy, rozsypywał ogromne skarby i przepych. Trudno pojąć, zkąd brało źródło to postępowanie Augusta dla Anny Orzelskiej, co najwięcej wpływało na rozwinięcie się w nim tak bardzo romansowego uczucia? Byłażby to miłość ojcowska? Bo Anna Orzelska córką była króla Augusta Mocnego i Henryetty Duval, kawiarki za czasów szwedzkich w Warszawie, długo zapomnianej i w nędzy. Chciałże król czcią średniowiecznych rycerzów odpłacić córce to zapomnienie swoje, a bogactwami dawną jej nędzę wynagrodzić?

Bądź co bądź, a na polach Saksonji pod Dreznem, Lipskiem, Milbergiem, Tigenau w 1729—1730, zebrały się tłumy z całej Europy panów, książąt, hrabiów, z Polski, z Niemiec, z Pruss, z Anglji, z Francji na wielką rewię, która się odbywała na cześć Anny. Król August świetnie przyjmował. Wszyscy prawie senatorowie polscy byli tutaj przytomni. Strzelano z dział, z moździerzy. Ziemia grzmiała pod tętentem koni, pod stopami licznie nagromadzonych żołnierzy. Rozbito namioty obozowe pod gołem niebem. Goście Augusta mieszkali w obozie, patrzeli na obroty wojskowe, a byli jak u siebie, jak w domu. Król konno nieraz przewodził manewrom. Anna Orzelska, królewicz następca saski, pełno pań i panów przejeżdżało się wtedy po pięknych

równinach zalanych wojskami, słuchało pieśni żołnierskiej, albo nabożeństwa odprawianego w obozie. Ksiądz Podkanclerzy kor. lipski, celebrował 8 czerwca 1730 r. mszę św. w Tigenau z wystawieniem Najśw. Sakramentu przy dźwięku muzyki wojskowej. Nastąpił obiad u królewicza, potem znów nabożeństwo, litanije i kantata włoska. Czasami tańce i zabawa późno w noc przeciągnęła się. To wszystko były tylko preludia. Na zakończenie wielkiej parady, odprawił król wesele Anny z księciem Holsztyńskim. Ślub dawał ks. Podkanclerzy, ulubieniec królewski, — i znów uczty, bale, wiwaty...

Jeżeli zawsze był świetny dwór Augusta, to najświetniejszy za czasów Anny Orzelskiej. I rzecz dziwna: dziewczyna z gminu nagle została bóstwem wszystkich, tak silnie czarowała swoim wdziękiem. Ojciec chciał jeszcze i w Warszawie wyprawić wielką rewię dla ulubienicy, — a podobnemi oznakami czci i podziwu, przyznać ją w obliczu Europy, za krew własną. Kiedy August pomyślał o wystawności, albo zbytku, wtedy wszystko ukorzyć się musiało przed jego żelazną wolą, — wtedy rodziły się w nim pomysły, rozwijały się z szybkością niepojętą, dojrzewały w samej chwili poczęcia.

Świadkiem tego cudu miały być dla Polski pola Willanowskie pod Warszawą. Piękne położenie nad Wisłą, rozległe błonia rozciągające się pod Czerniaków, gdzie spoczywał już ś. Bonifacy, aż do Powsina, uświęcone tylu wspomnieniami Jana Sobieskiego, który tu założył pałac, ogrody i nieraz pod cieniem lip rozłożystych przechodził się i dumał z przyjacielem lat dawnych, hetmanem Jabłonowskim, — historycznością swoją podnosiły urok, który w tych miejscach miały rozsypać zbytek i zalotność Augusta Mocnego.

Nieraz król August zjeżdżał z Drezna do Warszawy i długo przebywał w Polsce. Wtenczas stara stolica weselszą postać przyjmowała. Zjeżdżali się wtedy na Mazowsze biskupi, wojewodowie, kasztelanowie, ziemscy urzędnicy, a wreszcie i ks. Prymas Arcybiskup gnieźnieński powitać pana. Król często pokazywał się publicznie i dawał posłuchania, a czasami prywatnie naradzał się z ulubieńcami swoimi. Byli to: ks. podkanclerzy Lipski, Podskarbi nadworny Moszyński, Lubomirski miecznik kor., Haugwitz, Frieze, hr. Brühl, książę Holsztyński. Na publicznych zabawach

król pierwsze miejsce oddawał wdowie po królewiczu Konstantym Sobieskim, Wesslównie z domu, która na przyjazd monarchy, zawsze z dóbr swoich Pilicy przybywała do Warszawy. Czy wdziękami, czy stopniem swoim, ale bardzo ta kobieta zajęła Augusta. Jej oddawał pierwszeństwo przed wszystkiemi, nawet przed Anną Orzelską. Z nią tańcem rozpoczynał bale. Ale dla królewiczowej Konstanty (tak ją nazywano powszechnie) był zimny szacunek, dla Anny miłość Augusta.

Więcej jeszcze życia błyszczało w Warszawie, kiedy nadchodził czas sejmu. Dwór i sejm razem, — to na czas jakiś podwajało ludność stolicy. Magnaci Rzplitej ze stron oddalonych: z Ukrainy, z Rusi, z Pruss, z Litwy i Żmudzi, z nad granicy węgierskiej, posłowie, panowie przybywali, a każdy dworno i szumno. Ten przyjechał radzić, tamten pohałasować, odezwać się kilka razy z liberum veto, inny znowu prosić o urząd, o łaskę albo starostwo. Szli wszyscy na zamek, a król witał uprzejmie, rozmawiał z każdym, a co najlepsza, natychmiast rozdawał wakanse, jak się o nich dowiedział. Mimo to nieraz od tronu odchodzili zagniewani, rozdąsani panowie. Nie słynął August z przymiotu, że słowa święcie dochować umie, obiecywał innym, a wynosił innych. Nieraz ulubieńcy królewscy, bez zasług dla kraju, rośli, jak to mówią, jak grzyby, prędko w zaszczyty, bogactwa, i honory, a zasłużeni wojownicy, zwodzili się nadzieją, obietnicami i posiwieli z oczekiwania [1]).

Składał król pod koniec swojego panowania częste sejmy, ale rwała je zawsze intryga i barbarzyństwo ciemnej sfanatyzowanej szlachty. W końcu już nawet musieli się radni panowie przyzwyczaić do takiego załatwiania rozpraw, bo prawie przysiądz można było, że każdy sejm zerwany będzie. Lada pozór, lada uchybienie formy, a prace prawodawcze sejmu, nim się rozpoczęły jeszcze, szły w niwecz. Król więc wydając uniwersały na obrady, bawił się i bawił Polskę. Zjeżdżali slę senatorowie, posłowie, — pogwarzyli trochę, pospierali się o dzieciństwa i rozje-

1) I w czasie kampementu 1732 wydarzył się taki wypadek. Po śmierci Lubomirskiego Wdy czern, przyjechał do Warszawy Franciszek Gozdzki kasztelan czern., któremu województwo było przyobiecane. Mimo to godność tę otrzymał Potulicki starosta borzechowski. Zmartwiony Gozdzki smutną miał minę na kampemencie. Kurjer Polski Nr. 131.

chali się nareszcie. Każdy sejm był taki; Warszawa albo Grodno w pewnych chwilach nabierały życia, na dni kilka i znowu zasypiały na długo.

Na tych prywatnych posiedzeniach przedsejmowych, które król ze swoimi ulubieńcami odbywał, urodziła się pewno myśl uroczystości willanowskich. Dla większego blasku postanowiono zwołać w tymże czasie i sejm do Warszawy. Uroczystości miały się odbyć w lipcu i sierpniu, a sejm zaraz po zakończonym kampemencie. Tym wyrazem starzy Polacy oznaczali wielkie mustry wojskowe i lustracje, które dziś nazywamy z francuzka rewiami, a moglibyśmy właśnie przeglądami wojennemi nazywać. Kampement na źródłosłów w rzymskiem: *campus* — pole.

Zajęty tą myślą król August Mocny, po świętach Bożego Narodzenia wyjechał z Warszawy do Saksonji i na Leszno, Wschowę i Głogów pospieszył do Drezna, gdzie stanął 3 stycznia 1732, w towarzystwie Brühla i Haugwitza. W Warszawie zostali Moszyński podskarbi i graf Friese. Zaczęły się zaraz ogromne przygotowania do przyszłego kampementu. Z Drezna król wydawał rozkazy i układał plany. Podług prawa sejmu z roku 1717, nie wolno było królowi saskich wojsk wprowadzać do Polski, — ztąd wypływało, że Sasi nie mogli brać udziału w kampemencie willanowskim. Mógł przecież król trzymać 1200 ludzi gwardji przybocznej na straż około swojej osoby. Otóż w Dreźnie wybierał grenadjerów z pod komendy Promnitza, stroił ich, lustrował, żeby wysłać do Polski. Na ich czele miał pomaszerować syn królewski, hr. Rutowski, ze swoją żółtą gwardją, a miecznik kor. Lubomirski z muszkieterami. Ruch niezwyczajny panował około Drezna, — wojska saskie ściągały się do stolicy, formowały się, defilowały przed królem, i wracały znowu na dawne stanowiska. A nierównie większy był ten ruch pomiędzy wojskami w Polsce. W czasie mroźnej zimy już w lutym, regimenty niemieckiego zaciągu stojące pod Poznaniem, gotowały się w pochód do Warszawy. Nie wiedziano jeszcze z pewnością, w którym czasie odbywać się będzie kampement; mówiono powszechnie, że w maju. Przed rokiem umundurowano na nowo te regimenty, a jednak teraz na rozkaz królewski sprawiono im świeżą odzież, żeby wyglądały wesoło i strojnie. Kilka kompanij przedtem jeszcze wysłano na Ukrainę, gdzie w massach niesfornych rabowali hajda-

macy, rozbijali po drogach i napadali Lachów po domach. Posłano do tych kompanij rozkazy, żeby natychmiast wracały do swoich pułków, bo mają iść na kampement pod Warszawę [1]).

Urządziwszy się w Saksonji i wydawszy potrzebne rozkazy, król wyjechał z Drezna i o 6 wieczorem 5 marca 1732 powrócił do Warszawy [2]). Przebył tutaj cały post wielki i święta wielkanocne na zamku. Znajdował się wtedy na procesji do Kalwarji Ujazdowskiej, o której to jedno wspomnienie pozostało Rozpoczęła się wiosna a z nią roboty około prac obozowych. Sam August doglądał wszystkiego i pamiętał o najdrobniejszych szczegółach. Nareszcie 20 kwietnia w niedzielę stanęli w Warszawie i księżna Holsztyńska z cześnikową w. kor. Bielińską, kochanką królewską i dworem. Za nią wkrótce mąż pospieszył [3]). Za przybyciem bohaterki przyszłych uroczystości, Warszawa coraz więcej nabierała życia. Pierwszy to raz imieniny niegdyś Anny Orzelskiej miała obchodzić weselem i illuminacjami. Bo cały ten kampement był na cześć imienin Anny.

18 maja 1732 r., w niedzielę, graf Friese przysiągł królowi i Rzplitej na dowództwo gwardyi saskiej przybocznej, które otrzymał po śmierci hrabiego Lagnasco. A zaraz nazajutrz król był przytomny na paradzie gwardji w koszarach [4]).

To działo się w Warszawie, — a i na prowincyi wielkie robiono przygotowania. W Rzeszowie mieszkał książę Lubomirski, pisarz polny koronny, który się także wybierał w podróż do stolicy. Skreślił plan dla swoich, jak mają rozbić namioty pod Warszawą, i żeby już zawczasu uchylić mogące się w tym razie zdarzyć trudności, kazał książę podług swojego rysunku, wystawić obóz namiotów pod Rzeszowem. Rozpięto więc płótna i wystawiono 30 domów płóciennych na polu [5]). Książę oglądał pomysł swój w rzeczywistości i dawał rozkazy.

W Warszawie zaczęto budować koszary na Wielopolu i przy pałacu króla Jana Kazimierza na Krak. Przedmieściu, dla regimentów pułkownika de Nassau i księcia Saxen-Gotha. Żwawo pracowano nad wykończeniem budowli, bo czas szybko upływał. Po zakończonym kampemencie miały w tych koszarach stanąć dwa pułki [6]). W maju pod Ujazdowem rozbito namioty i zaczę-

[1]) Kur. Pol. Nr. 112 — [2]) K. P. Nr. 115. — [3]) K. P. Nr. 112. — [4]) K. P. Nr. 126. — [5]) K. P. Nr. 127. — [6]) K P. Nr. 134.

to kopać studnie, bo brakowało wody w tych okolicach. Tutaj miała stanąć milicja [1]). W Willanowie także kopano rowy, sypano wały.

Ściągały się i wojska nareszcie. Nadszedł z Saksonji pułk dragonów czyli muszkieterów konnych i miał niedługo odbyć paradę przed królem [2]). Za nimi na Poznań z Drezna pośpieszało pięć wozów z prochami, a przy każdym wozie po dwóch puszkarzy. Odpoczęła ta artylerja dni kilka pod Poznaniem, a w sobotę (25 maja) ruszyła dalej traktem pocztowym, do Warszawy [3]). 4 czerwca wyjechał król do Willanowa, żeby dojrzeć robót obozowych, już będących na dokończeniu, a wróciwszy ztamtąd mustrował dragonów przybyłych z Saksonji. Nieco przed samemi Zielonemi Świątkami, odbyła się i parada gwardji koronnej, — i wyszły Uniwersały na sejmiki wojewódzkie w sierpniu i na Sejm nadzwyczajny, który się miał rozpocząć na dniu 18 września w Warszawie [4]).

W sam dzień Bożego Ciała (12 czerwca) ordynat Zamojski, niedawno mianowany wojewodą smoleńskim, wyprawił ze stolicy swojej 6 dział 12-funtowych do Warszawy, a szedł przy nich cejkwart i 6 puszkarzów, 24 grenadjerów i 2ch podoficerów. Z Zamościa prowadzono lądem armaty do Kazimierza na wozach, które ciągnęło po 10 wołów, a do każdego wozu było po dwóch ludzi z wiosek wojewody. Cały ten orszak odpoczął w Kazimierzu. Tu działa przeniesiono na statki [5]) i Wisła dźwigać musiała na barkach swoich artyllerję zamojską, która dopiero 23 czer. stanęła w Warszawie [6]). Niedługo potem i książe Prymas dział kilka przysłał królowi w podarunku [7]).

Ogólne poruszenia wojsk polskich zaczęły się w czerwcu. Regimenty wielkopolskie, które odebrały rozkaz, pomaszerowały z pod Poznania na Warszawę. Grenadjerowie, którzy dotąd pod wodzą półkownika Unruha stali długo w Kargowie na granicy, rozpoczęli pochód już w sobotę (21 czer.) na Leszno. W tydzień potem (27 czer.) przymaszerowali do Warszawy grenadjerowie Jła-Majora Rutowskiego, którzy podczas kampementu mieli sta-

---

[1]) Kur. Pol. 126. — [2]) itd. — [3]) K. P. 128. — [4]) Sejmiki zwołano na dzień 7 sierpnia id. 131, a jenerał pruski na 18 sierpnia w Malborgu, 132. — [5]) K. P. 130. — [6]) K. P. 131. — [7]) K. P. 132. — [8]) id.

nowić straż przyboczną Augusta. Było ich 120 żołnierzy i pięciu oficerów [1]).

Tymczasem Regimentarz jeneralny wojsk kor. w-da maz. Stan. Poniatowski ogłosił uniwersały, zwołujące wojowników na koło jeneralne, które odbyło się w zwykłym porządku pode Lwowem 10 lipca i zaraz z powrotem wyjechał na kampement [2]).

A w stolicy czuć już było, że bliską jest oddawna oczekiwana uroczystość. Coraz więcej zaludniało się miasto. Zjeżdżali się biskupi, senatorowie, urzędnicy, szlachta ziemska. Król używał doskonałego zdrowia i często wyjeżdżał z zamku na pola pod Czerniaków i Willanów, gdzie coraz więcej było ruchu, coraz więcej życia. 300 żołnierzy wykomenderowanych od gwardji kor. kopało wciąż rowy. Inni znowu rozpinali namioty [3]). Nareszcie i wojska zaczęły wychodzić do obozu. Wyszły już na miejsca wyznaczone sobie regimenty dragonji jenerała Miera i Jła-majora Wodzickiego, stolnika krak. Zajęły swoje stanowiska na polu gwardje koronna i litewska. Nadciągnęło i 60 żołnierzy magistratu gdańskiego z oficerami na czele. Powierzono im tymczasowo wartę w pałacu saskim, zamiast gwardji. Z ekonomij królewskich podwodami przywieziono znaczną ilość mąki dla żołnierzy, owsa dla koni [4]). Przyjechał Denhoff podkomorzy w. lit. jenerał-lejtnant infanterji kor. i Loos koniuszy nadworny z Saksonji. Za nim pospieszył pocztą graf Rutowski, który w niedzielę (13 lipca) przejeżdżał przez Poznań, a w dzień następny i książę Saxen-Gotha [5]). Król w sobotę (12 lipca) zwiedził cekauz warszawski i oglądał arsenały, a 15 już opuścił Warszawę udając się na mieszkanie do Willanowa i zaraz nazajutrz wyjechał w pole pod Czerniaków i lustrował wszystkie wojska, które się już ściągnęły i stały na wyznaczonych sobie stanowiskach [6]).

Pałac willanowski zajmował król ze swoim dworem. Zdawało się że obszerne komnaty pałacowe pomieścić nie będą mogły mnóstwa znakomitych osób w ogromnych swoich pawilonach. Znalazło się przecież tutaj dosyć miejsca dla ulubieńców królewskich. W pałacu wyznaczono osobne pokoje dla księżny i księcia Holsztyńskich, dla cześnikowej kor. Bielińskiej, dla Rutowskiego

---

[1]) K. P. 132. — [2]) K. P. 135. — [3]) K. P. 133. — [4]) K. P. 134. — [5]) K. P. 135. — [6]) K. P. 134.

i panów saskich, a byli to: graf Friese najwyższy szambelan, Brühl radca tajny, de Loos koniuszy, hr. Promnitz, Wolfersdorf, pułkownicy: Renard, Rochau i Rybiński, i Poppelman podpułkownik. Stanęli w Wilanowie i paziowie królewscy, szambelani z Węgier. Wojsko i sztab obozowało na polu. Jenerałowie w pałacu czerniakowskim. Przed mieszkaniem królewskim zaciągnięto wartę z rosłych grenadjerów Rutowskiego, dla których na dziedzińcu pałacowym rozbito namioty.

Przymaszerowały także regimenty piechoty królowej i królewicza. Obok nich rozłożyły się pokotem piękne półki saskie: kiryssjerów pod wodzą pułkownika Nassau i dragonów księcia Saxen-Gotha i jenerała Baudissa. Dragony Miera i Wodzickiego odbijali pięknie przy dragonach saskich.

Król ze świtą swoją codziennie z pałacu wyjeżdżał na pole i to całe wojsko lustrował, to po kolei odbywał przegląd, to regimentów pieszych, to konnych. Piękny to musiał być widok, kiedy za królem ciągnął na błoniu konno i w powozach orszak ministrów i panów, albo też kobiet strojnie ubranych, błyszczących bogactwem, młodością i wdziękiem. Jazda odbyła ogólną paradę 21 lipca, a nazajutrz piechota, — 23 król także wyjechał do obozu, lecz w dwie godziny do Willanowa powrócił. Za nim piechotą szedł hr. Rutowski na czele olbrzymich swoich grenadjerów [1]). Nazajutrz 24 lipca, król znowu dwie godziny odbywał mustrę pod Czerniakowem. Gwardja jego rosłych grenadjerów pomaszerowała rano do obozu, a na wartę w Wilanowie pierwszy to raz wtedy zaciągnięto żołnierzy gdańskich. Rozebrano na części wojsko gdańskie: 12 ludzi oddano do regimentu jenerała Kampenhausena i przystrojono ich w nowy mundur, jednego oficera i kilku żołnierzy przyjęto do artylerji i także przebrano, — resztę zostawiono na straży przy prowiantach, komissorjacie i innych miejscach. Tak rozdzielono Gdańszczan na drobne rozdziały ale to na czas tylko, bo po skończonych uroczystościach, miały się znowu te oddziały połączyć w korpus jeden i powrócić do rodzinnego miasta. Po południu August w licznej assystencyi znowu wyjechał do pałacu czerniakowskiego, gdzie wszyscy jenerałowie i znaczniejsi oficerowie zebrali się już poprzednio za roz-

[1]) K. P. 135.

kazem królewskim. Może tu postanowiono ostatecznie, w jakim porządku mają się odbywać wojskowe ćwiczenia i obroty.

25 lipca zebrali się goście willanowscy na nową uroczystość z królem na czele. Pierwszy to raz w nowo wystawionej i poświęconej kaplicy pałacowej, kapłan odprawiał mszę św. Po nabożeństwie udali się wszyscy do ogrodu, pod cień starych lip Sobieskiego. Znajdowały się tutaj kapele zgromadzone ze wszystkich pułków. Zagrzmiała obozowa muzyka, marsz następował za marszem, a każdy inny, w melodyjnych tonach. Potem z rozkazu króla wszystkie kapele razem jednego zagrały marsza, a dźwięki mile przelatywały do ucha pomięszanemi odgłosami z trąb, puzonów, fletów i bębnów. W czasie tej parady dano znać królowi, że nadjechał Stanisław Poniatowski regimentarz koronny. Wracał ten pan z pod Lwowa prochem podróżnym jeszcze i kurzawą okryty. Po drodze wstąpił do Przybysławic, do brata żony księcia Michała Czartoryjskiego. Zabrał się z nim książę Michał i August wojewoda ruski i Teodor proboszcz katedralny płocki Czartoryscy i przyjechali teraz do Willanowa powitać króla. Z przyjazdem regimentarza, skończyły się przedwstępne parady. Poniatowski miał na polach wilanowskich, jako naczelny wódz wojsk polskich dowodzić hufcom. On był tutaj jedną z koniecznych osób, on miał być duszą na kampemencie. Od jego więc przyjazdu rozpoczynały się zabawy i parady wojskowe. Król kontent zaprosił po skończeniu się marszowego koncertu, wszystkich przytomnych panów na obiad świetny do pałacu. Spełniano gęsto zdrowia u stołu, a działa umieszczone w ogrodzie wtórowały okrzykom wesołości. Po obiedzie piechota atakowała okopy, a król i goście wesoło i długo się bawili.

26 lipca przypadały imieniny księżny Holsztyńskiej, ale uroczystości z tego powodu na dzień następujący odłożono, — a był to dzień świąteczny — niedziela. Cisnęło się wszystko, co żyło, z powinszowaniem do ulubienicy królewskiej, która przyjmowała w pokojach willanowskich. Potem kobieta jakaś tańcowała na linie i pokazywała sztuki, a druga jakaś włoska śpiewaczka pół godziny różne wydobywała trele w obec Augusta i gości. Zagrzmiały trąby i kotły i zaczął się traktament. Zastawiono dwa nad zamiar ogromne stoły w gankach pałacy blisko ogrodu. Król zasiadł najpierwsze miejsce, a goście zaproszeni od księżny wycią-

gali losy i mieścili się takim porządkiem jaki los nastręczył. Tak nikomu ujmy nie było. Grenadjerowie Rutowskiego i pokojowcy królewscy roznosili potrawy. Całą tą służbą kierował jeden z oficerów saskich. W ogrodzie obok biesiadujących stanęła kapela nadworna, a muzyki półkowe zajęły różne miejsca w ogrodzie, to pod lipami, to nad rzeką. Bez ustanku marsz za marszem się odzywał. Za nadejściem wieczoru oświecono latarniami dziedziniec i front pałacu, a w ogrodzie lampami kwatery, drzewa i altany. 20,000 lamp gorzało i pomiędzy lipy Sobieskiego rzucało światło cudowne ułożone w wyrazy: Vivat Anna. Do 11tej w nocy trwała biesiada, poczem król wstał od stołu i udał się na odpoczynek, a panowie przeszli do innej sali, gdzie do 2ej w nocy bawili się tańcami. Massa ludu przyglądała się ze stron wszystkich całej uroczystości [1]).

28 lipca król był znowu w obozie 3 godziny, a po południu odbywały się ćwiczenia wojskowe. Toż samo i nazajutrz. Po południu dnia 29 przyjechał do Willanowa książę Prymas Teodor Potocki. Towarzyszyli mu: ks. Lipski nominat, biskup krak. Załuski nom. biskup łucki, Tarło wojewoda lub. Sapieha podlaski, Sołtyk kaszt. lub. Tarło st. jasielski i wielu panów [2]). Był to czas największego zjazdu. Nie wszyscy przecież mogli się mieścić w pałacach i na polu w obozie. Zaproszeni tylko i ulubieńcy królewscy znajdowali łatwy przystęp do komnat willanowskich. Reszta panów najmowała mieszkania w Warszawie. Jeneralny pocztamt kor. dla przysługi publicznej z niemałym kosztem wystawił kilkanaście cugów i wynajmował je panom, żeby z miasta na pole i z pola do miasta z wygodą przejeżdżać się mogli. Jednego cugu najęcie tam i napowrót kosztowało $20^1/_2$ tynfa [3]).

30 lipca król z pałacu willanowskiego z liczną świtą przeniósł się do nowego dworca zbudowanego pod Czerniakowem, bliżej Warszawy. Chciał być wpośród ognisk obozowych przez cały czas kampementu. Dworzec ten miał okazałą postać, a nazywał się *pawilonem*. Ozdobiono go wewnątrz bogato i gustownie. Prowadziła do niego brama, w środku której postawiono kopię z buńczukami, — miejsce przy którem zatrzymywały się karety, a z karet wychodzili panowie, żeby piechotą udać się do tego

[1]) Wszystko z K. P. Nr. 136. — [2]) K. P. 136. — [3]) K. P. 136.

nowego mieszkania Augusta, przez przestronny i ozdobny dziedziniec z małym ogródkiem. Na dachu pawilonu zawieszono dwie chorągwie, z któremi wiatr igrał swobodnie. Na jednej chorągwi czytano napis: Necesse, — na drugiej: et Utile. A były te wyrazy godłem rozkosznej willi królewskiej, Świadczyły, że w niej znajdowało się wszystko, co tylko potrzebne dla wygody i pożyteczne dla życia. Ale nie zawsze powiewały chorągwie na pawilonie, rozwijano je wtenczas tylko, kiedy się odbywały ćwiczenia wojenne. Stał pawilon u stóp wyniosłego pagórka, — zrobiono na nim schody dla widzów, a niedaleko wysypano baterję, z której 18 armat miało i ogień i gromy wyrzucać [1]). Jakoż istotnie dnia tego przymaszerowała do obozu artylerja z Warszawy, a z nią i pułk grand-muszkieterów saskich.

Nastąpił wreszcie 31 lipca, dzień rozpoczęcia tyle oczekiwanego kampementu. Podług oddawna już obmyślonego planu, całe wojsko ruszyło się z dawnych stanowisk swoich do nowego obozu, któremu miejsce wytknięte było na polach czerniakowskich, bliżej pawilonu. Król i liczny tłum widzów przypatrywał się z oddalenia, jak przeciągały te piękne i strojne kolumny wojska w odmierzonych liniach i odstępach. Prowadził marsz. wojewoda maz. i regimentarz, idąc piechotą na czele trzeciej kolumny w samym środku, poprzedzony buńczukiem hetmańskim. Bo całe wojsko rozstawiło się wszerz drogi na 5 kolumn. Po bokach stanęła jazda. Pierwszą kolumną jazdy na prawem skrzydle dowodził jenerał-major Klingenberg, i ostatnia na lewo także składała się z konnicy pod dowództwem jenerała Miera. Trzy środkowe kolumny zajmowała piechota. Obok Klingenberga stał jenerał major książe August Czartoryski wojewoda ruski, — za nim we środku jenerał-major graf Flemming. Pomiędzy Flemmingem a Mierem stał jenerał-major Kampenhausen ze swoją kolumną. Na czele trzeciego oddziału, jak mówiliśmy, znajdował się regimentarz, a zaraz za nim podkom. w. lit. Denhoff jenerał-lejtnant infanterji kor. — To było z przodu. — A z tyłu za każdą kolumną szły wozy obok swoich regimentów. Za oddziałem środkowym Flemminga znajdowała się artylerja ze 38 sztuk armat złożona, którą dowodził Ossoliński pułkownik artyl. kor. Kiedy

[1]) K. P. 137. — [2]) K. P. 135.

tak uszykowało się całe wojsko, baterja pod pawilonem dała hasło wystrzałem, a kolumny poruszyły się w strojnych szykach na nowe obozowiska. Stanąwszy tutaj, rozbiły namioty i ustąpiły miejsca dla grand-muszkieterów saskich. Marsowa tych wojsk postawa pięknie odbijała przy nowych mundurach i barwie czerwonej z białemi wyłogami. Dowodził nimi ich jenerał książę Lubomirski miecznik kor. Król przypatrując się swoim Sasom z ganku pawilonu, przysłał im nowy sztandar przez jener.-adjut. Rochau, — a potem kiedy z nową chorągwią w szyku bojowym przeciągali muszkieterowie przy odgłosach swojej kapeli wzdłuż dziedzińca, zszedł na dół August z panami, a Sasi jego popisywali się strzelaniem z ręcznej broni. Na tem dzień zakończono. Król wrócił na odpoczynek, a goście gwarzyli wesoło chwilkę w pawilonie i nareszcie rozjechali się do mieszkań.

1go sierpnia był zjazd u dworu, a wojsko miało dzień odpoczynku. Poprawiano obóz, kopano pagórki, zasypywano doły, żeby nie przeszkadzały wojennym obrotom.

2go sierpnia odbywał się popis jeneralny całego wojska. Książe Prymas odwiedził króla w pawilonie i z rąk jego order Orła Białego otrzymał. Potem wsiadł August na karego, pięknego konia, okrytego rzędem bogatym i przeglądał Muszkieterów. Za danym znakiem ruszyli Sasi pod wodzą Lubomirskiego ku obozowi wojsk koronnych. Za nimi jechał książe Prymas w karecie królewskiej z dworem i kalwakatą. Następnie Jrał-Adjutantowie Rybiński i Rochau, a za nimi buńczuk, który poprzedzał króla samego. Zbliżył się cały ten orszak pod Mokotów, niedaleko od pawilonu. Tu nowy widok uderzył oczy. Konno czekali na króla senatorowie, ministrowie, posłowie zagraniczni i urzędnicy. Król przywitał panów i ruszył dalej do obozu, a za nim cały orszak konno. Damy w karetach zamykały pochód.

Całą szerokość pól mokotowskich zajmowały okiem nieprzejrzane, nieprzeliczone oddziały piechoty i jazdy saskiéj i polskiéj. Muszkieterowie zajęli stanowisko na prawem skrzydle wojsk koronnych. Zresztą szyki polskie stały w porządku takim jak dnia poprzedniego, kiedy zmieniały stanowiska i szły do nowego obozu. Przed trzecią kolumną, a więc środkiem wojsk polskich, postawiono na przodzie pięć mniejszych i dwa wielkie namioty wpół otwarte, prócz innych w pewném oddaleniu. Przed

średnim namiotem zatknięto buńczuk królewski i postawiono kompanię grafa Promnitza na straży. Tę kompanię składał także wybór żołnierzy, — żałował król, że ich więcéj nie sprowadził do Polski, ale żeby zapobiedz temu, na dni kilka wprzód jeszcze posłał rozkazy do Saksonji pod Sorau, gdzie stała ta gwardja grenadjerów olbrzymich, żeby mu pocztą nadzwyczajną nadesłać ze 40 jeszcze ludzi. Z dnia na dzień oczekiwano więc ich przybycia. [1]) Przed namiotami stanęli muszkieterowie z Lubomirskim. Trzy kolumny środkowe podzielone także były na bataliony, a każdy batalion stał osobno. W lukach pomieszczono armaty polne, których dwadzieścia dniem wprzódy sprowadzono do piechoty, a rozstawiono pomiędzy pułkami po dwie rzędem. Takie było spojrzenie wojska.

Za zbliżeniem się króla do obozu, Lubomirski stanął na prawém skrzydle, a Poniatowski wyjechał naprzeciw na dzielnym i wspaniałym rumaku tureckim, odziany w oznaki dostojności swojego urzędu, z buławą hetmańską w ręku, poprzedzony buńczukiem. Z dumą hetmańską i powagą przyjmował Regimentarz w obozie króla swojego, witał Prymasa i świetny orszak monarszy, który przeciągał teraz zwolna uroczyście przed frontem wojsk uszykowanych, przy odgłosach muzyki, która zagrzmiała marsza. Jechał naprzód książę Prymas wzdłuż całéj linji, potém król konno obok Regimentarza. Oficerowie zdejmowali kapelusze, żołnierze broń prezentowali, muzyka wojskowa nie ustawała. Orszak monarszy przejechał wzdłuż całéj linji od prawego skrzydła ku lewemu i zawrócił się aż do środka, gdzie stały namioty. Zsiadł August z konia i wszedł do jednego, a na hasło dane z 20 armat polnych, ustawionych pomiędzy batalionami, zagrzmiało 18 dział z bateryi przed pawilonem i muszkieterowie dali ognia, a za nimi jazda i piechota kolumnami od prawéj ku lewéj stronie aż do ostatniego szwadronu Jrała Miera. Powtórzyła się koléj teraz z armat i z ręcznéj broni od lewego do prawego skrzydła i znów skrzyżował się ogień po raz trzeci od strony Sasów do regimentów Miera, a huk daleko roznosiło echo i błyskawice ognia przerzynały powietrze. Po skończonem strzelaniu rozpoczęły się obroty i marsze. Jenerał-kwatermistrz i pięciu inżenierów otwierało

[1]) K. P. 136.

pochód, potem jeden jenerał-adjutant, a za nim dwóch jenerałów-adjutantów przy buńczuku regimentarskim, znak, — że następuje wojewoda mazowiecki wódz naczelny. Sadził na swoim dzianecie Regimentarz i prowadził wojsko zacząwszy od prawego skrzydła. Za nim postępował Lubomirski z Muszkieterami, Klingenberg na czele pułku kiryssjerów, książę Saxen-Gotha z regimentem grenadjerów i dwoma batalionami gwardji kor. Potém jechał Flemming z pułkiem piechoty królowéj i pułkownik Unruh z regimentem grafa Friese, — daléj jenerał-lejtenant Denhoff Podkom. wielki litewski z pułkiem piechoty królewica, i pułkownik Renard na czele trzeciego batalionu gwardji koronnéj. Daléj jeszcze pułkownik Flemming prowadził pułk gwardji litewskiéj, a jenerał Kampenhausen piechotę. Na końcu szedł drugi batalion grenadjerów gwardyi koronnéj. Lewemu skrzydłu przywodził jenerał Mier — postępowały za nim dragoni Wodzickiego i Przebendowskiego, a regiment jego własny na końcu. Za tą massą wojsk poważnie, krokiem mierzonym posuwała się groźno artyllerja, a ćmiła oczy rozmaitością. Naprzód konno jechał adjutant, — dalej szło 13 cieślów, za którymi konno major Dalke, potem kapitan od fuzyljerów i chorąży, obadwaj piechotą, — daléj oddział fuzyljerów i wóz czterokonny z kotłami przystrojonemi w białe pióra: na wozie siedział murzyn umyślnie na to ćwiczony i bił bezustanku w kotły pałkami. Za wozem szedł piechotą porucznik i znów oddział fuzyljerów. Daléj pułkownik Ossoliński i podpułkownik Jauch, 4ch kapitanów i 4ch poruczników konno, — 1 sztykunkier piechotą na czele 24 puszkarzy. Toczyła się następnie na kołach armata, na któréj powiewała chorągiew, za nią 12 dział 12sto-funtowych i 6 dział 6cio-funtowych, 8 jaszczyków z prochem i frejkompania konna z rozwiniętym na wiatr sztandarem. Cały ten marsz przeciągnął przed królem, który znajdował się w namiocie z gośćmi swemi, i bardzo był kontent z pięknéj postawy wojska, — a potém prosto powrócił do pawilonu, a panowie pojechali w karetach i cugach do Warszawy. Wojsko zajęło dawne stanowisko w obozie. [1])

3go sierpnia wypadało podwójne święto: niedziela i uroczystość orderu orła białego. Przerwano na dzień cały obroty wojenne

---

[1]) Wszystko z Nru 137 Kurjera Pol. —

Wcześnie rano, w galowych strojach zaczęli się zjeżdżać z Warszawy kawalerowie orderu do pawilonu i przytomni byli na mszy z królem. W dzień taki zwykle August rozdawał panom insygnia orderowe. Tą razą trzech tylko wojewodów spotkał podobny zaszczyt, krwią z sobą połączonych blisko. Dostali order: wda smoleński ordynat z Zamościa, może za swoje armaty, które Wisłą z Kazimierza prowadził do Warszawy na kampement, Piotr Czapski, wojewoda pomorski i Jan Czapski star. klecki, niedawno z łowczego kor. mianowany wojewodą chełmińskim, a zięć ordynata z Zamościa. Czapscy obecni zaraz przystroili się w order. Wojewoda smoleński nie był na kompemencie, wręczono insygnia jego synowi następcy, który zawiózł po kampemencie order ojcu na jego stolicę. Następnie król wszystkich kawalerów zaprosił do siebie na obiad. [1])

4go sierpnia popis piechoty. Wystąpiły trzy kolumny: na prawem skrzydle dowodził książę wojewoda ruski, na lewem jenerał Kampenhausen, a w środku najwyższy jenerał piechoty Denhoff. Kiedy kolumny stanęły w porządku, Denhoff kazał wystrzelić z dwóch armat ze środka wojska, a tem dał znać, że gotów jest i czeka tylko sygnału do wymarszu. Dano ten sygnał wystrzałem z działa i kolumny posunęły się ku pawilonowi. Batalion pierwszy gwardji pociągnął na prawo, a batalion gwardji litewskiéj na lewo, — reszta z tych dwóch kolumn stanęła w swoch pół-dywizjach, a cała ta piechota formowała się w szyku bojowym przed frontem pawilonu. Średnia kolumna Denhoffa formowała 9 maleńkich dywizyj, które stały w falangach. Dano sygnał powtórny z 2ch dział na baterji pod pawilonem i kolumny formowały się w linię, zmieniały front, zachodziły za siebie i rozmaite odbywały obroty na kommendę bębnów. Ozwał się huk ręcznéj broni na rozmaite sposoby. Ogień krzyżował się w tysiącznych kierunkach, a działa wciąż grzmiały z baterji pałacu, dając sygnał za sygnałem, hasło za hasłem. Rozwijały się kolumny, skręcały, zwijały; to maszerowały pół-dywizjami, to stawały frontem i układały się w piękną linię bojową. Piękny był marsz kiedy prawe i lewe skrzydło jednocześnie obchodziło

[1]) tamże.

okrąg na rozległem polu i ściągało się do środka, gdzie stał Denhoff z Czartoryskim i Kampenhausenem i oddawali szpadą salutacje przechodzącym kolumnom. Szły potem bataliony w półdywizjach, a oficerowie i sztandary oddawały znowu honory wojskowe królowi, który z pawilonu przypatrywał się całej paradzie otoczony gronem ministrów i kobiet. Działa wciąż podawały hasło, — jedno strzeliło naprzód, dwa potem, trzy, cztery i pięć, a każde hasło było powodem innych poruszeń, — każde co innego znaczyło. Nareszcie 6 armat dało się słyszeć, — był to znak, żeby się cofać do obozu. Wracały więc kolumny, dając bezprzestannie ognia. Każdy żołnierz na dzień ten dostał po 16 nabojów i w czasie parady wystrzelał wszystkie ładunki. Z tego możemy brać miarę, jak gęsto dawano tam ognia przy ustawicznym grzmocie z dział na baterji. Od tego dnia muszkieterowie i olbrzymy saskie Promnitza odprawiali wciąż wartę około królewskiego mieszkania. A dla porządku obozowego i straży, regimentarz codzień jeździł do króla i dostawał od niego hasło i odzew. Od niego już dowiadywały się o haśle regimenty.

5go sierpnia, odpoczynek dla piechoty i przedwstępne poruszenia kawalerji [1]).

6go sierpnia. Popis jazdy. Na odgłos z dział ruszyła się konnica przed czoło obozu tak z prawego jak i z lewego skrzydła dwiema kolumnami, mając w pośrodku grand-muszkieterów pod dowództwem miecznika kor. Stanął tutaj wśród Sasów i regimentarz wielki i kierował poruszeniami konnicy, dając sygnały z kotłów muszkieterskich. Z jednej linji rozciągnęła się w dwie kawalerja, a przez odstępy posuwały się regularnie pułki, obchodziły koniec linji i wysuwały się na front przed pawilonem. Tak pięć razy postępowała jazda naprzód i pięć razy znowu cofała się w stronę obozu. Naostatek w jedną uszykowała się linję i w dwóch kolumnach posuwała się do pawilonu, — a tutaj znowu zakręciły nowym obrotem wojska i stanęły dwoma oddziałami każdy w dwóch linjach, naprzeciw siebie jakby do boju. Jedną dowodził Mier, a składali ją kiryssjery saskie i regiment samegoż jenerała, — drugiej przewodniczył Klingenberg, a były pod nim regiment

1) K. P. Nr. 137. Opisywać w całej obszerności te rozmaite ruchy wojskowe, jakie opisuje Kurjer, zajęłoby wiele miejsca i czasu, a niezawsze i można. Tutajby potrzeba rysunków, a nie opisu.

saski księcia Saxen Gotha i wykomenderowane szwadrony od pułków dragonji konnej pod wodzą pułkownika Różyckiego zostających. Muszkieterowie jak wprzódy, tak i teraz zajmowali stanowisko w pośrodku i czekali skinienia regimentarza, żeby przez uderzenie w kotły dać znak do boju. Odezwały się kotły. Wtenczas posunęły się linje i ścierały się z sobą, — pierwsze naprzód, drugie potem. Cztery razy odnawiała się bitwa, za każdą razą, aż po wielu innych ćwiczeniach, cała jazda uformowała się w kwadrat. Wystąpił z kwadratu na czele muszkieterów regimentarz i zawrócił na lewo obchodząc całą massę kawalerji, a wtedy za nim ruszyła ostatnia linja kwadratu na lewem skrzydle i znowu z Sasami utworzywszy czworobok, zbliżała się prosto do pierwszej linji kwadratu. Zbliżywszy się do niej regimentarz zawrócił na prawo i ciągnął dalej pochód kroków kilka, a potem znowu skierował na prawo i pomaszerował wzdłuż całego kwadratu. Przybywszy do miejsca, od którego rozpoczął swój tyle skomplikowany pochód, zawrócił jak przedtem na lewo, i pociągnął jak wprzódy na prawe skrzydło kwadratu, i jeszcze raz podobnymże sposobem zawrócił wzdłuż całego czworoboku. Za regimentarzem posuwały się linja za linją i nakoniec cała konnica utworzyła sieć jakąś, jakiś łańcuch jeden połamany, pokręcony w tysiączne zakręty i oczyściła całe pole, na którem stała wprzódy zwinięta w gęsty czworobok. Poniatowski wtedy napowrót dwukrotnie na lewo zakręcił i prosto udał się ku pawilonowi, gdzie znowu zwinął się z muszkieterami w lewo i minąwszy pawilon, salutował Augusta i wzorowym porządkiem całe wojsko napowrót zaprowadził do obozu. Cztery godziny trwały te rozmaite a sztuczne obroty kawalerji.

7go sierpnia. Odpoczynek.

8 sierpnia następował popis grenadjerów. Żółta gwardja Rutowskiego i kompania saska Promnitza miały udział w tym popisie, którym kierował książę jenerał-major infanterji wojewoda ruski. Ale spadł deszcz ulewny i zdawało się, że nie sposób będzie odbywać dalszych poruszeń. Wyjaśniło się przecież niebo po południu i powtórnie kazano wychodzić grenadjerom na pole, ale na polu stały ogromne kałuże i nierówności; tak zalała woda, że oficerowie i żołnierze miejscami brnąć musieli przez zatopy, ledwie nie po kolana w wodzie. Dziesięć kompanij stanęło w je-

dnej linji, a w każdej po 96 grenadjerów, 8 podoficerów i chorąży ze sztandarem. Sztandary nowe kazał król rozdać przed kampementem. W każdej kompanji znajdowało się 4 oberoficerów, a w każdym bataljonie, których było 2, byli sztabs oficerowie. Prócz tego przy każdej kompanji stanęło po dwóch doboszów i 2 fajfrów, a zamiast doboistów, po 8 ludzi z dudami znajdowało się w każdym bataljonie. Około 4tej dano sygnał z pawilonu do marszu; książę Czartoryski rozkaz powtórzył. Ze środka wysunęli się cieśle z siekierami w ręku, z flintami zawieszonemi przez ramię. Następowały obok siebie idące frontem kompanie saskie Rutowskiego i Promnitza, a za niemi reszta wojska w odstępach. Skręciły się kompanie na prawem i lewem skrzydle i utworzyły trójkąt, w jednem oka mgnieniu, a po chwili zaczęły gęsto strzelać krzyżowniczym ogniem od prawej ku lewej stronie i na odwrót [1]). Rozwinął się znowu trójkąt w sześć linij bojowych przed pawilonem i ścisnął się potem we dwie linje, z których w pierwszej sześć kompanij stanęło. Uszykowało się jak przedtem w szeregi i roty całe wojsko, a w pośrodku Rutowski i Promnitz z komendami swojemi stali ściśnięci; od nich na prawo i na lewo szły cztery luki, po których następowali Polacy, a za lukami widać było 4 kompanje w tył o kilkadziesiąt kroków. Dano sygnał i z drugiej linji wyszli naprzód grenadjerowie wojewody lubelskiego, ku nim zwrócili się Rutowski z prawego, a Kampenhausen z lewego skrzydła i cztery kompanje uformowały się w jedną brygadę tylną. Wtedy na prawem skrzydle z drugiej linji wysunęła się kolumna Denhoffa i przeszła pomiędzy dwiema kompaniami gwardji kor. stanowiąc drugą brygadę. Flemming nareszcie przeszedł w pośrodku 3ej kompanji gwardji kor. a gwardją litewską i stanął w 3ej brygadzie. Wtenczas pierwsza linja zbliżyła się o kilkadziesiąt kroków do pawilonu, a cieśle zostali się w środku za trzecią brygadą. Dano siódmy sygnał. Średnia brygada maszerowała w odstępy pomiędzy drugiemi dwiema brygadami na skrzydłach, a cieśle podzielili się na dwoje, — połowa poszła na prawo, połowa na lewo i rozwinęły się następnie w jednę linię. Za ósmym sygnałem uformowano zygzag. Wszystkie dziesięć kompanij zwinęły się w pięć wiel-

[1]) *Lauffeuer* biegający ogień, nazywa go Kurjer w języku urzędowym żołnierskim.

kich węgłów pokrzywionych foremnie jak okopy i obróciły się rogami ku pawilonowi. Na rogach powiewały chorągwie kompanij lewego skrzydła na lewo, prawego na prawo, A wtenczas cieśle z tyłu posunęli się naprzód, szli lukami, które wolne były wśród węgłów i stanęli na rogach kampanij, wyciągnąwszy linie od chorągwi do chorągwi. Dano dziewiąty sygnał — stanęła znowu jedna długa linja, a sztandary cofnęły się w pośrodek swoich kompanij. Teraz rozległ się huk strzelby i granatów: wyrzucono przeszło 4000 granatów, — każdy grenadjer po dwa razy niemi salutował królowi, który na ten cel nowym sposobem swojego pomysłu, kompanie na trzy oddziały rozdzielił. Za dziesiątym sygnałem, w nadzwyczaj ściśniętych szeregach maszerowały kolumny na prawo, co miało dziwny i wspaniały widok wystawiać. Sztuczne obroty trwały czas jakiś jeszcze, aż nareszcie książę jenerał wojewoda ruski stanął w marszu przed pawilonem, salutował szpadą króla i zawrócił do obozu. W jednej kolumnie szły za księciem dywizje za dywizjami, a wszystkie chorągwie w jednej linji, co znowu śliczny przedstawiało widok.

9go sierpnia miał być odpoczynek, ale dziewięć kompanij saskich, to jest siedm z regimentu Nassau, a dwie z regimentu księcia Saxen-Gotha odbywało na próbę ćwiczenia z kopjami, które nazajutrz dopiero w całym komplecie miały się powtórzyć. Każda kompania oddzielne dźwigała proporce. O godzinie wpół do 5tej z rana już się znajdował regimentarz na czele tych pułków, a król przypatrywał się z pawilonu. Dzień był pochmurny i deszcz padał.

10go sierp., niedziela. Nie mogła wystąpić konnica do robienia kopjami, bo pola i łąki za bardzo nasiąkły wodą deszczową. Piechota zatem czyniła z pikami obroty. Kierował paradą Jrał Kampenhausen. Uszykowały się dwa bataliony grenadjerów, a za temi dwa inne bataljony piechoty w trzy szeregi, a czwarty stanął szereg pikinierów z flintami na ramieniu. W każdym bataljonie był pułkownik, 2ch kapitanów, 6 oficerów, jeden podchorąży ze sztandarem, 16 podoficerów, 8 doboszów, i 64 rot. To wszystko formowało 8 plutonów. Muszkieterowie potem stanęli na skrzydle trzema plutonami, a w każdym po 4ry szeregi; i pikinierowie rozwinęli się aż w pięć plutonów. Podwajano następnie roty i stał każdy bataljon aż w ośmiu szeregach. Po innych

marszach ścisnął się każdy bataljon w jeden maleńki kwadrat pełny, mając w pośrodku 8 szeregów i 8 rot pikienierów, a około nich po wszystkich stronach stało 4 szeregi muszkieterów. Zwijały się znowu, przechodziły i formowały kolumny, aż stanął szyk jakiego chciał Kampenhausen. Wtedy dał znak jenerał przez dwa działa z obozu, że gotów jest i czeka sygnału do rozpoczęcia parady. Ale król przysłał swego jenerała-adjut. Szembeka, żeby zatrzymano się cokolwiek, bo mało jeszcze panów zjechało z Warszawy. Nie długą była zwłoka. Dano sygnał i poruszyły się kolumny na miejsce przeznaczone do obrotów, które im pokazał pułkownik Renard star. tyszowiecki, codziennie obecny na polu od początku kampementu jako oficer służbowy. Odsalutował szpadą królowi Kampenhausen i dobosze zaczęli bić werbel a kolumny strzelać z ręcznej broni. Potem popisywali się pikinierowie, i znowu bito trzy werble i jedno uderzenie na sygnał, a ogień posypał się strumieniem płomiennym. Po dwa szeregi jednocześnie dawały ognia, wedle nowego wynalazku, który zasadzał się na tem, że ci co stali na przodzie, nie klękali, a piki przez cały ten czas strzelania spuszczone były, jakby dla odparcia atakującej konnicy. Bębny dawały znak bezustannie i znów bito cztery werble, i wszyscy dawali salwę w całym kwadracie po trzy razy przy ciągłym odgłosie bębnów. Bito pięć werblów, a pikinierowie cofali się w głąb swoich batalionów. Wtedy zaczął król dawać sygnały z baterji pawilonu i wojska wykonały nadzwyczaj trudne, a liczne obroty, które potrzeba widzieć, bo opisać trudno. Trzynaście dano sygnałów z baterji i trzynaście razy ta cała massa wojsk rozdzielała się w kolumny, przechodziła, zachodziła, rozwijała się, ściskała, stawała w ukos, wzdłuż i wszerz pola, a oko prawie nie mogło pochwycić całości i objąć wszystkiego odrazu, tak było wiele do widzenia; tak często działa sygnał za sygnałem posyłały Kampenhausowi. Gwardją koronną dowodzili w tych obrotach pułkownicy Bonefus, Manteufel, Hausen i Bardleben, — litewską graf Flemming i Paton, — regimentem królowej Wangenheim, — królewiczowskim Wodke, — bataljonem grafa de Friese pułkownik Unruh. Po jeneralnej salwie na zakończenie, wszystkie bataljony w prawo kierowały się z czterema rotami w jeden szereg i odmaszerowały na prawe skrzydło blisko 200 kroków, — potem zawróciły na lewo i cią-

gnęły wzdłuż fossy przed pawilon. Oficerowie, sztandary i żołnierze schyliwszy piki, oddawali salutacje królowi, a przyszedłszy wszyscy na środek zabudowań pawilonowych, wracali do obozu w jednej kolumnie przy dźwiękach muzyki pułkowej. Wszystkie te obroty wykonano nie w ściśniętych szeregach, jak przedtem, ale w otwartych kolumnach. W obozie jeszcze na dobranoc królowi, bataljon po bataljonie, mając broń nabitą, dawał ognia, a przy uderzeniu bębnów rozchodziły się kompanie, każda do swoich namiotów. Pomimo więc błota i szarugi, cała Warszawa wyległa na mokotowskie i czerniakowskie pola. Wszystkie drogi, ścieszki i przystępy zalały massy widzów, kobiet i mężczyzn, którzy się pięli po pagórkach, cisnęli się tłumami do obozu. Już to samo zbiegowisko pomnażało interes i uroczystość niedzielną.

11go sierpnia, odpoczynek. Król był tak kontent z obrotów dnia poprzedniego, że posłał rano Kampenhauzenowi ze swojej piwnicy garniec starego wina, na rozgrzanie się po pracy wczorajszej. Musiał to być garniec łokciowy, bo na wozie przyjechał, a dwóch ludzi ledwo go zdjąć potrafiło i zanieść do namiotu jenerała. Był to monarszy a prawdziwie stosowny podarunek Augusta.

12go sierp. odbywały się ćwiczenia z pikami albo quarrée. Wyjechała ze stanowisk obozowych kawalerja w 9ciu kompaniach, przystrojona w misiurki, kirysy i karwasze, uzbrojona w kopije, przy których na koniach powiewały chorągiewki różnego koloru. Kawalerja stanęła w jednej linji przed piechotą, bardzo pięknym porządkiem. Jenerał-major Klingenberg dał znak w obozie z 2 armat, a z pawilonu w odpowiedź zagrzmiało jedno działo z baterji. Posunęły się więc naprzód chorągwie trzema kolumnami i cofnęły. 18 sygnałów dano z pawilonu, — a kawalerja rozdzielała się na brygady i zmieniała front, to maszerowała na prawo, na lewo. Popisywały się po większej części wojska saskie, kompanie księcia Saxen-Gotha, Wolfersdorfa, Thuna, Obyrna i Lannociada. Przed pawilonem rozwinęły się dwie linje bojowe w odstępach i nakazano attak. Powoli na 16 kroków przeciwko sobie posunęli się przeciwnicy. Zatrąbiono trwogę, — jazda spuściła na dół kopje i obadwa szeregi mocnym kłusem przemknęły się przez luki, które umyślnie utworzono, a zaraz podniosły się kopje do góry i zamiast trwogi, trębacze zagrali marsza. Wolno powracały linie na

swoje stanowiska, i szykowały się znowu do powtórnego attaku, który jeszcze kilkanaście razy, a zawsze inaczej ponawiano. Salutowali potem królowi oficerowie i chorągwie i żołnierze kopjami. Za danym znakiem podniosły się znowu kopje i chorągwie do góry, i kopje znowu nazad rzucono, a dobyto szpady. Nakazano odwrót.

13go sierpnia. Odpoczynek [1]).

14go sierpnia, nastąpiły poruszenia całych wojsk w massie. O 5tej rano była próba, o 1ej z południa zagrano marsz jeneralny, a w godzinę potem zgromadzała się na stanowiska piechota, a jazda kulbaczyła konie. W ściśniętych szeregach stały te massy zbrojnych, podzielone na dwie linie, które tworzyło 19 batalionów, prócz grenadjerów Rutowskiego, a wszystkie z rozwiniętemi chorągwiami. Pierwsza linia posunęła się o 100 kroków ku pawilonowi, mając regimentarza na czele, przed którym niósł oznaki godności hetmańskiej Świderski, buńczuczny. Prawem skrzydłem jazdy dowodził Klingenberg, lewem Mier, — prawem piechoty książę wojewoda ruski, a lewem jenerał Kampenhausen. Dał znak Poniatowski, i ruszyło się wojsko w 13 kolumnach jedną ogromną linią, — ośm kolumn jazdy, pięć piechoty. Tą razą szedł już regimentarz na czele piechoty z przodu 3ciej kolumny, — za nim Denhoff, — a potem na czele swoich oddziałów jenerałowie dowodzący skrzydłami. Kazał wtedy zatrzymać się Poniatowski, wystrzelił z dwóch dział, które wziął z sobą z obozu, a które cieśle ciągnęli i z trzynastu kolumn utworzył się w dwie linie szyk bojowy. Strzelano z armat ciągle na sygnały, — a w odpowiedzi na ten pomięszany hałas rżenia i tententu koni, huku dział, mięszały się jazda z piechotą, z kolumnami ścierały się kolumny. Aż ciasno było na polu. To rejterowały się massy, to posuwały się naprzód, a ogłuszały powietrze częste wystrzały karabinowe. I samo cofanie się do obozu, odbyło się przy huku nieustannym wystrzałów. Kiedy wrócono do obozu i namiotów, dał rozkaz regimentarz Jlny, i na znak bębnów, cała piechota odrazu dała ognia na salwę, tak dobrze, że nie mogło być lepiej, dodaje ówczesny Kurjer Polski. Na podziękowanie wojsku Poniatowski dopełnił obietnicy danej jeszcze przed paradą, — przed

[1]) Cały ten opis uporządkowany i skrócony z Kurjera Polskiego Nr. 138.

każdy bataljon kazał zatoczyć po pięć beczek piwa i poił swoich żołnierzy.

15 sierpnia. Odpoczynek. Piechota jednak pracowała nad robieniem okopów, których nazajutrz miano dobywać. Okopy te wznosiły się na lewo od pawilonu w stronę obozową. Sypano je z faszyn i ziemi. Faszyny robiła piechota, a konnica je sprowadzała.

16 sierpnia. Od rana odbywały się próby, a całe wojsko zajęte było aż i minęło południe. Król ulitował się trudów żołnierza i kazał opuścić jednę figurę, zwaną *losange*, czyli ośmio-graniasty bataljon. Widzów rano było wiele, ale po południu wszystkie pagórki osiadła ludność stolicy. Rozpoczęły paradę chorągwie żółtej gwardji Rutowskiego, które z głównej kwatery szły na dół obok Mokotowa. W okopach zasiadła piechota, a wojsko mające walczyć rozdzieliło się na trzy brygady, — w pierwszej stali grenadjerowie konni pod wodzą księcia saskiego, w drugiej kiryssjery i regiment Miera pod wodzą pułkownika Nassau. Trzecią stanowiła cała piechota, a byli to grenadjerowie Kampenhausena i łanowi żołnierze. Zaczęły się cząstkowe ruchy wojenne oddziałami, któremi kierowali Wangenheim, Hausen, pułkownik Raczyński wdzic kal., Bonafus, Unruh, Bardleben, Tesse, Peraty, Paton i pułk. graf Flemming. Poniatowski kazał bić marsz i mając buńczuk przed sobą, postępował na czele kolumn, a za nim Denhoff, Czartoryski, Kampenhausen. Ściągnięto całą artyllerję na pole dla obrony okopów. Z Sielc sprowadzono pod Mokotów 8 dział i postawiono je przed frontem od prawego skrzydła, — do nich przyłączyło się dział 20, które dotąd przy bataljonach były. Uroczysty był pochód artyllerji. Szedł na czele oberst-lejtnant Frankenberg z kompanią Rutowskiego i Promnitza. Obok nich toczył na koniu major Pisch. Następował pułkownik artyllerji kor. Ossoliński, a za nim oberst-lejtnant, kapitan i 4 działa 3 funtowe, a przy każdej po 3ch puszkarzów i 2ch cieśli z piechoty, w skórzanych fartuszkach i czapkach, a z siekierami przy boku. Potem znowu szły cztery armaty i służba takaż przy nich. W odwodzie kompanie Denhoffa i jenerała Flemminga. Przy działach jechały wozy z amunicją. Na okopach wysypano 7 bateryj, a z każdej cztery działa groziły.

Grenadjerowie zsiedli z koni i wspólnie z piechotą rozsadowiil się w okopach.

Piechota zaczęła układać się w falangi, a jednocześnie jazda od prawego skrzydła wchodziła do okopów. Szedł tam Nassau z kiryssjerami, Lubomirski na czele muszkieterów, który od swego stanowiska pod pawilonem obok Mokotowa maszerował i jazda księcia saskiego. Zsiadła kawalerja z koni i poszła na przeznaczone sobie baterje, zostawiwszy małą liczbę ludzi przy koniach. Amunicja stanęła pomiędzy baterją a jazdą Nassau.

Dragonja zaś, która znajdowała się na lewem skrzydle, ciągnęła się w kolumnach ku fossie przed pawilon, jak maszerowały falangi piechoty i uszykowawszy się we dwie linje stanęła przeciw tymże falangom. Dowodził dragonją jenerał Mier, — a pod nim pułkownicy Różycki i Górecki, oberst-lejtn. Wejher i Bomgard. Za danym znakiem formowały się piechota i dragonja naprzeciw okopów.

Za zbliżeniem się do nich, grenadjery Kampenhausena i łanowi którym przywodził oberst-leitn. Szybilski, rozpoczęli ogień. Wsparły go zaraz drugie dwa hufy, czyli dywizje grenadjerskie. A wtedy wypadł z za okopów grad kul i granatów z dział i ręcznej strzelby. Powtórzono attak, — toż samo energiczne powitanie. Wtedy bataliony zaczęły się brać do pik i wózów z pikami, które były niedaleko. Uformował się jeden maleńki w środku i jeden większy bataljon w kwadraty. Wtedy lewe skrzydło konnicy uderzyło na te czworoboki, a za tym przykładem poszła i jazda prawego skrzydła. Natarcie było przecież bez skutku, granaty przerażały attakujących: grenatery stali po czterech rogach czworoboków i dzielnie się bronili. Regimentarz jeneralny z jenerałami piechoty znajdował sią w czworoboku. Dał rozkaz, a bataljony, krok za krokiem, cofały się zwolna a prosto i w porządku. Attakowała ich jazda w odwrocie, ale za każdą razą las pik spuszczonych do połowy konia, zatrzymał każde natarcie. Dano sygnał nowy, — i jeszcze większe massy kawalerji uderzyły na piechotę i otoczyły ją w około. Pikami, granatami i ręczną strzelbą z karabinów przyjęto attak, — ale tylko pierwsze bataljonu szeregi i attakowane strzelały, na rozkaz jenerałów konno dowodzących we środku, a to dlatego, żeby nabojów nadaremnie nie tracić. Trwał ogień od wschodu słońca i piechota

odbijała się dzielnie. W wielkim kwadracie zabrakło już prochu muszkieterom, — oddali im swoje ładunki pikinierowie, którzy mało byli w ogniu, a nareszcie i cztery bataljony stojące w pośrodku, a formujące czworobok mniejszy. Cofając się piechota a nacierając jazda, doszły do okopów i po namiotach odpoczęli żołnierze. Huk strzałów rozlegał się ciągle dzień cały, — w bardzo krótkim czasie przeszło 60 razy działa bateryj okopowych wyrzuciły kule i ogień. Granatów kilką tysięcy wyrzucono, a w prawdziwej bitwie nie mogło więcej wyjść prochu, co na tej paradzie wojennej. Piechota i jazda z ochotą walczyła. Muzyka zostawała wśród boju, a w czasie marszu przygrywano na obojach, bębnili dobosze, popisywali się fajfrowie. Obeszło się przecież dzień cały bez przypadku. Raniono tylko lekko na prawem skrzydle żołnierza i zginął koń, ale przez nieostrożność muszkietera, co zapomniał mu wyjąć stępel żelazny, którym konia przestrzelono przez gardło.

17go sierpnia. Odpoczynek. Król sprosił do siebie panów i w pałacu z gościnnością częstował. Wieczorem zaś dał bal z tańcami, który trwał do północy.

18go sierpnia, wojsko, podług zawczasu już ułożonego planu, miało się rozejść na kwatery z polowych obozowisk. Odbyły się jeszcze raz wielkie poruszenia mass na wielką skalę. Cała jazda i konnica miała tu udział. Kierował obrotami Poniatowski. Było dużo huku i strzałów, a po odbytych manewrach, opuszczało wojsko namioty obozowe i szło na przeznaczone sobie stanowiska [1]). Wiele pułków powróciło do stolicy i tam zajęło miejsca w koszarach. Na Wielopolu i w świeżo zbudowanych koszarach przy pałacu Kazimierowskim stanęły na chwilę półki Nassau i księcia saskiego z Gotha dla odpoczynku, bo niedługo miały odbyć wielki i trudny pochód przez Mazury i Wielkopolskę, — do Saksonji.

Król jeszcze raz zlustrował całe wojsko koronne cudzoziemskiego zaciągu i we czwartek (21 sierp.) powrócił do Warszawy, do pałacu swojego na Krakowskiem Przedmieściu, który potem saskim nazywano [2]). Willanów, Czerniaków, Mokotów z pawi-

---

[1]) K. P. Nr. 139. — [2]) K. P. Nr. 140.

lonem i wioska Sielce, świadki nieme tylu uroczystości i huków, osamotniały nagle.

Po chwilowym spoczynku, wojska zaczęły się rozchodzić. Jazda księcia saskiego i pułkownika Nassau, piechota grafa Friese i chorągiew regimentu Rutowskiego, rozpoczęły te wsteczne poruszenia. Król dla straży przybocznej pozostawił tylko przy sobie szwadron regimentu konnego królewicza pod wodzą pułkownika de Freneuse i oddział z pułku gwardji konnej jenerała Miera. Milicja gdańska, która w ciągu całego kampementu odprawiała wartę w Wilanowie i przy magazynach, w poniedziałek (25 sierp.) wsiadła na statki i Wisłą odpłynęła na Baltyckie morze [1]). Na swoje stanowiska w rozmaitych częściach kraju rozchodziły się i wojska koronne. Król gwardję swoję przyboczną z Polaków utworzyć zamyślił. Dawniej massami sprowadzał Sasów do Polski, a teraz niewiadomo czemu i tych tysiąca dwóchset ludzi, których mu pozwalała konstytucja sejmu wielkiego r. 1717, nie trzymał w Polsce, a odsyłał do Saksonji. W tym celu z regimentów polskich piechoty i jazdy wybrał pewną ilość obeznanych ze służbą żołnierzy, a na ich miejsce kazał dobierać rekrutów, żeby nic z kompletu nie traciło wojsko narodowe. Gwardją opłacał król z własnych dochodów. A z tego podwójną korzyść odnosiła Rzplita, — naprzód, że o 1200 ludzi podrosła iczba wojska polskiego, a to bez żadnego kosztu dla skarbu, — powtóre, że i noga saska już miała teraz nie postać na ziemi narodowej [2]).

Po rozejściu się wojska na stanowiska, Warszawa nie utraciła nic jeszcze ze swojego blasku i ludności, — bo król z dworem powrócił do miasta, a czas sejmu nadzwyczajnego nadchodził. Już przedtem i w czasie kampementu, to przyjeżdżali, to odjeżdżali panowie spiesząc na sejmiki i obrady po województwach. Ale zbliżył się czas, kiedy nikt nie wyjeżdżał, a przybywało wielu. Cały ten czas przedsejmowy zajęty był zawsze jakiemiś ceremoniami, zabawami, naradami w stolicy. Przed samym tylko kampementem stanął w Warszawie wracający z Krymu poseł Rzplitej Gurowski stolnik podolski, z posłem tatarskim [3]). 28 sierpnia odbyło się więc uroczyste posłuchanie posła u króla, po którem

[1]) K. P. 140. — [2]) K. P. Nr. 140. Supplement. — [3]) K. P. 135.

na obiedzie w pałacu zatrzymał król księdza Lipskiego, już mianowanego biskupem krak. i jenerała-lejtn. podkomorzego Denhoffa. Poniatowski z Tarłą woj. lub. wyznaczony był do konferencji z posłem tatarskim [1]). W dni kilka, 1 września, rozpoczęto podobnież konferencje ze wszystkimi ministrami mocarstw postronnych, obecnymi w stolicy [2]). Już to nieraz pierwszy przychodziło do takich narad wspólnych, — jeszcze od sejmu grodzieńskiego 1726 r. a jak zawsze tak i teraz bezskutecznie. Upór, źle zrozumiany interes, intryga wreszcie, rozwiązały dzieło wielkiego znaczenia dla narodu. Król w czasie konferencji, bawił wciąż w kole swojem domowem, jako człowiek prywatny, a koło to stanowiło jakby rodzinę. Zapraszał do siebie na obiady i często sam jeździł zaproszony, a wszędzie jedne i też same spotykał osoby i twarze. Koło to rodzinne składali: księżna Holsztyńska z mężem, cześnikowa Bielińska, ksiądz Lipski, Moszyński podskarbi, miecznik książę Lubomirski, Bieliński marszałek nadworny i Brühl. Takie miał towarzystwo August 1go września po zagajeniu konferencji u podskarbiego Moszyńskiego. Mięszał się tu kiedy niekiedy Hozjusz nom. biskup poznański i Dembowski referendarz kor. [3]).

28 sierpnia, ordynat młody Zamojski wróciwszy z Warszawy z kampementu, oddawał słabemu ojcu w Łabuniach order Białego Orła, przy wielkiem zebraniu się gości, działach, powinszowaniach, wiwatach. Po obiedzie Akademja Zamojska winszowała ordynatowi przez usta Duńczewskiego, matematyki professora, a magistrat przez pisarza swojego. Ochota w późną noc się przeciągnęła [4]).

Z osób mających udział na kampemencie, Poniatowski i jenerał Kampenhausen wyznaczeni byli przez króla do konferencji z posłem szwedzkim [5]).

15go września regimentarz Poniatowski wjeżdżał na województwo Mazowieckie w licznej assystencji panów i familji Czartoryskich. Stanął przed kościołem Augustjanów na ulicy Piwnej, gdzie go witała licznie zebrana szlachta mazowiecka. Jędrzej Stanisław Załuski biskup płocki, a nominat łucki wprowadził go

---

[1]) K. P. 141. — [2]) tamże. — [3]) Kur. Pol. po różnych miejscach. — [4]) K. P. 142. — [5]) tamże.

do świątyni. Zagajono jenerał, a po wielu domach dziękczynnych i powinszowaniach, wybrano podanych przez wojewodę deputatów na trybunał koronny. Wieczorem tego dnia wojewoda w pałacu biskupów krak. u 24 stołów częstował gości [1]).

18go września rozpoczęły się obrady dwuniedzielnego nadzwyczajnego sejmu. Zakończył się on jak i inne za panowania Augusta, — zerwaniem obrad przez liberum veto. Posłowie się rozjechali, — i Warszawa teraz dopiero odetchnęła cokolwiek spokojnością, — bo już od kwietnia żyła uroczystościami, — w ciągłym zgiełku, otoczona massami wojsk, olśnięta świetnością dworu, blaskiem magnatów polskich, ogłuszona wrzawą i hukiem artyllerji na polach mokotowskich, willanowskich, sieleckich.

W niedzielę 5go października odjechał graf Rutowski do Drezna [2]).

Wyznaczono na 8 października senatus consultum po zerwanym sejmie. Ale dopiero 13go zaczęły się posiedzenia senatorów [3]). Król obiecał złożyć nowy sejm nadzwyczajny, — a na sejmiki relacyjne na 17go listopada wydał uniwersały [4]). Wydał król jeszcze kilka razy bal na zamku, do którego przyjechał z saskiego pałacu, kilka razy jeszcze zjadł obiad u Moszyńskiego i rozdał wiele wakansów. Polecił ciągnąć dalej konferencje z posłami mocarstw — i 19 października w niedzielę o 1ej z północy wyjechał z powrotem do Drezna, obiecując rychły powrót. Poprzedziła go na dni kilka pocztą księżna Holsztyńska z cześnikową Bielińską, a potem i sam i książę. Wracali wszyscy na Poznań.

Tak zakończył się wielki kampement. Szczęk zbroi, huk dział na polach wilanowskich, musiał zbudzić cień wielki Jana III. Pierwszy to raz niesfornym chrzęstem broni i kłamanemi walkami rozlegały się okolice królewskiego mieszkania, które zbudowały tatarskie ręce. Była już wtedy Polska bez rządu, a jednak czasy Augusta Mocnego powleka dziś jeszcze dla nas jakiś nieziemski urok poezji. Historja zdaje się do nas mówić ustami. Słuchajmy wielkiej nauczycielki ludów.

---

[1]) K. P. 143. — [2]) K. P. 156. — [3]) K. P. 147, 148. — [4]) W samej rzeczy uniwersały te podpisane były 16 paźdz. K. P. 148. — [5]) Nr. 148 K. P.

Dotrzymał swojego słowa król August Mocny. W styczniu 1733, wrócił do Polski na sejm nadzwyczajny, — wrócił jakby dlatego, żeby umrzeć — a z nim i nasze czasy rycerskie zstąpiły do grobu. Odtad zaczęły się u nas zapasy stronnictw, — a interes osobisty przeważał często sprawę publiczną.

26 października 1846 roku.

SPRAWA KARWICKIEGO.

Przeszłość nasza prawie nietknięta, naukowo nieprzejrzana, leży przed nami. Krytyka wniknęła tu i owdzie w kraj faktów i objaśniła to i owo; pod tym względem nawet posiadamy dzieła któremibyśmy się sprawiedliwie mogli pochlubić przed Europą. Ale np. prawo polskie w swoich rozmaitych odcieniach? kto je badał? kto się nad niem zastanawiał tak, jakby należało? I tutaj nauka zebrała fakta i rozpowiadała, że tak a tak było, wtedy a wtedy było, ale dlaczego było, dlaczego tak, a nie inaczej? — o tem nauka milczała i milczy. Nikt organicznie rozwoju zasad naszego prawodawstwa nie prowadził przez wieki a notował tylko różne jego stanowiska i chwile. Znakomite bardzo dzieło Lengnicha, prawo polityczne królestwa Polskiego, ciekawe, zajmujące, jest tylko zbiorem suchych faktów o życiu politycznem narodu. Autor jego pojmował piękne rysy cywilizacji polskiej, na które patrzył, jako filozof-myśliciel. Pisał nawet pochwałę konfederacjom, znajdując w nich dobrą stronę, ale kiedy w samym wykładzie prawa jest nielogiczny i mięsza przedmioty jedne z drugiemi, tem samem rozwinąć nie mógł tajemniczego sposobu, w jaki się poczynały, kształciły i rozwijały zasady publicznego prawa naszego. W nowszym dopiero czasie, literatura polska zyskała dzieł kilka, w których ten i ów przedmiot ukazał się w nieznanej postaci, kiedy światło nagle nań spłynęło.

Przy głębszém też badaniu rzeczy swojskich, wiele spraw, które nas dzisiaj zgrozą przenikają albo dziwią, inaczéj ukaże się oczom i poznamy wtenczas, jak często w dziejach ojczystych uwodzim się przesądami albo uprzedzeniem. Kiedy świeże były jeszcze podania narodowe, forma rządu Rzeczypospolitéj i jéj objawy nikogo nie dziwiły, owszem musiały mieć coś szlachetnego i wielkiego, kiedy taką miłością ku sobie natchnęły szlachtę przez tyle wieków. W naszém przekonaniu każda zasada i myśl, która utrzymuje się przez kilka pokoleń, godna jest zawsze szacunku, bo musi mieć w sobie jakieś żywioły dodatnie. Dzisiaj chociaż o miedzę graniczym z naszymi wiekami średniemi, według pięknego wyrażenia się autora «Listopada,« rzadko kto z nas rozumie tę niedawno ubiegłą przeszłość, kiedy nagłém pod nami wstrząśnieniem ziemi zatamowały się nurty podań narodowych. Dzisiaj pospolicie na to i na owo narzekają, mierząc zasadę pojęciami spółczesnemi, — gruba to niewiadomość. Dla człowieka nauki, który wniknie w te labirynty, niema miejsca na uprzedzenia, ależ trzeba długo pracować zanim się przyjdzie do czyściejszych wyobrażeń o przeszłości. Konfederacje np. nasze w zasadzie swojéj niczém się nie różnią od mityngów angielskich, tego podobieństwa jednakże nie upatrują wcale ludzie, którzy mityngi uważają za przynależność pewnéj cywilizacji, a konfederacje wyrzucają jak grzech śmiertelny dawnym Polakom. Charakter narodowy to robił, że u nas wszelki opór w rycerskim narodzie większości prawdziwéj lub przysposobionéj, rozwijał zaraz sztandar rycerski, kiedy w Anglji kończyło się na spokojnéj propagandzie i na ligach. Zresztą późno dopiero konfederacye sprawy publiczne rozstrzygały orężem, ale już wtedy machina Rzpltéj ruszała się na swoich podstawach wśród ogólnego zepsucia i nierządu. Kokosza wojna czémże była jeżeli nie konfederacją? Skończyła się przecież spokojnie jak mityng, chociaż tysiące zbrojnej szlachty brały w niéj udział. Albo potwarzane tyle razy liberum veto? W zasadzie swojej płynęło to prawo z najszlachetniejszéj myśli, że wszyscy obywatele polscy wszystko poświęcają dla ojczyzny, a więc że i zgadzać się z sobą powinni we wszystkich sposobach i środkach, które za cel mają dobro ogólne. Rzeczpospolita nie przypuszczała, żeby znalazł się szlachcic, któryby się uwodził prywatą w sprawie, która kraj jego rodzinny obchodziła i długo jednak żyła szczęśliwa tém przeko-

naniem. Jeden poseł mógł sprzeciwić się całemu sejmowi i zatamować słowem swojém, albo zniszczyć obrady publiczne, i prawo polskie dlatego za niém się oświadczało, że poseł ten mógł lepiéj sercem swojém zacném, poświęconem wyłącznie dla kraju, przeczuć, przewidzieć niebezpieczeństwa, jakie pewien wniosek wywoływał dla Rzplitéj, od przeważnéj większości obywateli, którzy wniosek popierając, mogli mimo to być w błędzie lub którzy uwiedzeni błędem, uplątani myślą, nie tak jasno pojmowali potrzeby Rzplitéj, lubo wszystko i sami gotowi nieść jéj byli na ofiarę. A takim sposobem Rzeczpospolita posunęła systemat reprezentacyjny do ostatnich jego konsekwencij i rządzić się chciała nie większością ale jednomyślnością. I kto zna historję, przyzna, że różne mogły być w Rzeczypospolitéj w senacie i w izbie poselskiéj zdania, ale mniejszość ustępowała u nas zawsze większości, młodsi zasłudze, stan rycerski senatowi, i ten stan rzeczy, świadczący o wspólnej miłości ku sobie całéj szlacheckiéj rodziny, trwał tak długo póki nieład nie zaczął kazić obyczajów polskich; fakt faktem, że prawa zawsze stawały u nas jednomyślnością. Przykładów podobnych zgody nie pokaże żadne państwo na świecie. Pierwszy dopiéro Siciński użył prywaty dla zatamowania sejmu, ale wtenczas za Jana Kazimierza, wśród rozprzęgłéj Rzplitéj, kiedy w osobnych gruppach obok siebie stawali katolicy, dyssydenci, kościół grecki, szlachta i miasta, różne narodowości i wiary, duch obywatelski był jeszcze tak silny, że krok ten Sicińskiego wszyscy napiętnowali zgrozą i przekleństwem. Złe rozwijało się piorunem za Korybuta zrywanie sejmów już nie razi, za Jana III. zupełna swawola, za Sasów już paraliżem ścięło naród. Nie zasada więc, ale jéj nadużycie było zgubném dla kraju. Liberum veto, złém lekarstwem, trucizną być zaczęło dopiéro za Jana Kazimierza. Od swojego zaczątku aż do téj krytycznéj chwili, wyrażając się językiem szlachty, owo liberum veto było prawdziwą źrenicą wolności. A jednak tak mało znamy stosunki naszych przodków, że oto, niedawno jeszcze zasłużony wielce literaturze Fel. Bentkowski jak zmory nocnéj bał się liberum veto, i tłómacząc swoją pisownię nie chciał, żeby go o miłość dla tego prawa posądzano[1]). Na ten przedmiot wyłącznie zwrócimy naszą uwagę.

[1]) W przedmowie do wydania dzieła Łukasza Gołębiowskiego o panowaniach królów Jagiellońskiego domu. Warszawa 1846 r.

Wszystkie zatem pojedyńcze badania w przedmiocie prawa polskiego, chociażby nie przedstawiały żadnego systematu, chociażby objaśniały oderwane tajemnice dawnego bytu, niezmiernie wiele rozjaśnią.

Mamy właśnie zamiar rozpowiedzieć czytelnikom jedną sprawę z czasów Augusta III. Sprawa ta, z początku prywatna zupełnie, stała się potem osią, około któréj obracały się wielkie zamiary i zabiegi stronnictw politycznych Rzplitéj. Nie dostarczała wprawdzie sama przez się treści i powodów do jakichciś knowań pokątnych, ale panowie użyli jéj zręcznie za narzędzie, za środek i wichrzyli mocno w Rzplitéj. Całe panowanie Augusta III było podminowane zabiegami stronnictw; jedne chciały reformy rządu, drugie status quo dawnego broniły i tak w téj pozornéj spokojności, jakiéj używała Polska przez lat 30, w łonie ziemi zbierały się materjały palne. Lada chwila zdawało się, że pożar zapali wątłą budowę Rzplitéj i erę nowych czasów rozjaśni. Ale intrygom przeszkadzały intrygi, namiętności więc stronnictwa rosły, duma wzrastała i plany reformy oczywiście dojrzewały. Zrządziły tak okoliczności, że sprawa Karwickiego do najwyższego stopnia rozwinęła wzajemne niechęci do siebie panów przez sztuczne zabiegi ludzi, którzy w tém wszystkiém mieli interes własny na myśli, tak, że rozwiązanie, któreby zakwestyonowało wszystko w Rzplitéj, dojrzewało już i było bardzo blizkie. Sprawa Karwickiego miała zatém wielkie znaczenie polityczne, na które chcemy wskazać; rozjaśni się przez nią kilka wewnętrznych tajemnic rządu Rzplitéj, co także jako materyał dla obrobienia prawa polskiego posłuży.

Wzmianki o téj sprawie często spotykać się dają po ówczesnych listach, gazetach, relacjach, i niedziw. Pokłóciła ta sprawa kanclerza z marszałkiem nadw. kor., to jest dwie wielkie w Rzeczypospolitéj osoby i zainteresowała mocniéj obywateli, jak co bądź innego. Szlachta polska składała jedną wielką rodzinę, dlatego wszędzie, w Poznańskiem, czy na Żmudzi, w Białéj Rusi czy w Krakowskiem lubiła się zajmować związkami rodzinnemi i stosunkami majątkowemi swojéj odległéj spółbraci. Ależ teraz gra szła pomiędzy ludźmi, którzy już nie o miedzę na wioskach z sobą graniczyli — teraz szedł spór pomiędzy dwoma ministrami, z których jeden miał za sobą prawo i wziętość jakąś w narodzie, drugi

względy dworu, t. j. wszechmocnego ministra Bryla, — tu była więcéj wojna o zasady, więcéj kwestya o rozciągłość władzy dwóch wysokich urzędników Rzplitéj, jak sprawa osobista. Karwicki zniknął z pretensjami swojemi w innéj ważniejszéj jeszcze sprawie; cóż dziwnego więc, że spór ten zajmował w swoim czasie ogromnie Rzplitę? Szlachta podzieliła się wtedy według skłonności swoich na dwa nieprzyjazne obozy. Ale przystąpmy do rzeczy....

Rzecz szła pierwotnie o wieś Rokitno, leżącą w województwie kijowskiem. Jak powiada dzisiejszy historyk powiatu Wasilkowskiego [1]), pierwsza wzmianka o tém Rokitnie spotyka się dopiéro za czasów Zygmunta III. Sejm w r. 1590, z uwagi, że za Białą Cerkwią na Ukrainie wiele było miejsc pustych i nieosiadłych, które żadnego pożytku Rzplitéj nie przynosiły, postanowił je pomiędzy zasłużonych ludzi rozdawać dziedzictwem. Rokitno liczyło się także do tych miejsc pustych i zostało własnością w tymże roku księcia Janusza Ostrogskiego wojewody wołyńskiego, który był także starostą białocerkiewskim. Kiedy w r. 1616 lustratorowie Rzplitéj chcieli przystąpić do rewizji Rokitna, książe Janusz, wtedy już kasztelan krakowski, złożył przed nimi dokumenta, w których stało czarno na białém, że Rokitno do niego należy dziedzictwem i że lustratorowie z urzędu swego nic nie mają do téj ziemi. Po wygaśnięciu Ostrogskich ordynacja i dobra ich przeszły na własność książąt Zasławskich. Jeden z nich Dominik processował się jeszcze za Władysława IV-go ze starostą białocerkiewskim Lubomirskim o grunta rokitnowskie, które nieprawnie przez jakiś przypadek zajęte były do starostwa. Spory graniczne na nieszczęście nigdy nie były nowością dla szlachty, trwały nieraz przez kilka pokoleń i prowadziły się zwykle z zaciętością. Widać, że granica Rokitna od Białéj Cerkwi nie była dobrze oznaczona w przywileju, kiedy spór mógł się o to przeciągać bez końca; błąd znowu w przywileju nadawczym nie mógł być, oczywiście, za winę poczytany kanclerzowi, który pieczętował przywilej, boć trudno w stepach, w pustyni ściśle poprowadzić linję graniczną, nie można powiedzieć: «póty moje, a tam już twoje.« Fakt jest, że granice niebyły pewne i że spór jest o to pomiędzy

[1]) Edward Rulikowski, str. 118 i nast.

stronami. Właściciele i dzierżawce Rokitna ciągle się prawowali ze starostami białocerkiewskiemi, najwięcej o las nazwany Bołhun, który stał na saméj granicy, a który rzeczywiście podobno należał do Rokitna. Przybyło więcéj jeszcze zamieszania z powodu, że jak to w Ukrainie była nie nowina, Rokitno jakiś czas zwało się w dokumentach Krotyłowem. Wojny tatarskie i kozackie przemieniały kilkanaście razy do niepoznania postać całéj Ukrainy dzisiaj zaludniona, jutro stawała się pustynią i stepem, wsie często zmieniały posady i nazwiska. Nieraz w czasie wojen kozackich gdy cała ludność męzka wsi jakiej poleciała pod znamiona Bohda na Chmielnickiego a po wojnie trafić do siebie nie mogła; odszukiwała starych siedzib, i albo nie znajdowała ich, albo inaczéj w inném miejscu się zabudowywała, pod starém lub nowem nazwi; skiem. Tatarzy znowu w jassyr spędzali całą ludność wiosek, które palili tak, że źdźbło słomy nawet nie zostawało na miejscu. Dla tego jeżeli spory graniczne tu i ówdzie po całéj przestrzeni Rzplitéj odzywały się, w Ukrainie musiała być dla nich stolica.

Od książąt Zasławskich, Rokitno przeszło drogą kupna czy téż inną, dość, że naturalném prawem spadku albo nabycia do Surynów, a za panowania ostatniego Sasa, w połowie jakoś XVIII wieku, podobném̀że prawem zostawało w posiadaniu pana Jakubowskiego podkomorzego kijowskiego [1]). W takim stanie zostawały rzeczy, kiedy po księciu Stan. Jabłonowskim wojewodzie rawskim wziął starostwo białocerkiewskie Jerzy August Mniszech marszałek nadworny koronny (9 listopada 1759 [2]).

Był to pan dumny i chciwy znaczenia w Rzplitej, dlatego wiele o sobie ciągle robił hałasu. Posiadał ogromne bogactwa, to jest i swoje własne majętności i wziął dziedzictwa po kilku wiel-

[1]) Nazywamy Jakubowskiego za Rulikowskim podkomorzym kijowskim, chociaż musi tutaj zachodzić jakaś pomyłka co do urzędu. Woronicz, chorąży kijowsk mianowany był 14 czerwca 1748 podkomorzym kijowskim. Za Stan. Augusta po długim wakansie mianowanym był tymże podkomorzym 9. października 1766 Michai Stecki ze stolnika. Daty te wzięte są z sygillat metryki kor. Długi wakans według terminologji kancellarji polskiéj, nie był to przeciąg dwóch, trzech lat tylko. Jakoż w kalendarzu warszawskim na r. 1762 czytamy, że urząd podkomorski wtedy wakował, że stolnikiem kijowskim był Jakubowski (zawsze bez imienia, więc nie jesteśmy pewni czy dziedzic Rokitna) a łowczym Michał Stecki, późniejszy podkomorzy.

[2]) Sygillaty, ks. 28, fol. 412.

kich domach polskich. Za pierwszą żoną kanclerzanką Bichildą Szembekówną wziął w posagu piękny grosz Rzplitéj t. j. kilkanaście intratnych starostw. Ale dumie pana marszałka było to jeszcze wszystko nie dość. Więc kiedy mu pierwsza żona umarła, ożenił się z drugą i lepiéj jeszcze trafił, bo z córką wszechmocnego ministra Bryla. Dawno już bardzo chciało się panu marszałkowi przewodzić w radzie Rzplitéj, ale jakoś mu nie szło dotąd; czy nie sprzyjały okoliczności, czy nie umiał się wziąść do tego, trudno powiedzieć. Poradził sobie teraz najlepiéj, a wiedząc, że Brühl wszystko może u króla, narzucił się ministrowi: chciał go poprostu użyć za narzędzie do swoich obszernych planów. Oczywiście Mniszech wykraczał przez to przeciw prawom swojéj ojczyzny, — wykraczał podwójnie, jako obywatel i jako minister: powinien był z urzędu swojego przestrzegać prawa i nie pozwalać, aby się do spraw Rzeczypospolitéj mieszał obcy żywioł, a tutaj Mniszech owszem jeszcze rękę Brühlowi podawał. Ale cóż stanie dumie na przekor? Mniszech, ożeniwszy się z córką Brühla, pozostał panem na placu boju; sam dawał wszystkiemu kierunek i znaczenie. Po kolei z łaski teścia pousuwał z dworu osoby, które na zawadzie mu stawały; wyrzucał dawnych przyjaciół jak zgniłe ulęgałki. Był czas, kiedy Czartoryscy, którzy już dawno o reformach zamyślali, chcąc na swoją stronę przeciągnąć Brülha, pomagali mu wszelkimi sposobami i nawet na trybunale piotrkowskim wyrobili dla niego szlachectwo polskie. Mniszech nawet i Czartoryskich usunął, bo sam chciał działać na własną rękę. Oczywiście, Brühl związał się ściślej z zięciem, bo roboty Mniszcha były czemś familijnem w oczach ministra i podnosiły znacznie jego stanowisko w Rzplitéj. Do nich dwóch przymknął młody Sołtyk biskup kijowski, panicz lubiący rozkosz i pieniądze, który także chciał co dla siebie utargować, a jak to mówią, zwietrzył piżmo nosem, bo wiedział dobrze, gdzie ma szukać chleba i opieki. Tak przeciw stronnictwu Czartoryskich, stanęło stronnictwo dworskie. Jeżeli Czartoryscy mieli przyjaciół w oświeconéj klasie narodu, która chciała skończyć z nierządem paraliżującym siły Rzplitéj, i stronnictwo dworskie dalekie od tego nie było. Jedną drogą chcieli przyjść do władzy i książe kanclerz litewski i pan marszałek nadworny koronny.

W takim stanie były rzeczy, kiedy pan Mniszech pierwszy

spokojną wodę Rzplitéj zamącił. — Dotąd, lubo zbierała się burza, ale jéj gromu nie było słychać, — huczała w obłokach,

Mniszech wyprawił na Ukrainę biskupa Sołtyka, żeby zajął w jego imieniu starostwo białocerkiewskie. Sołtyk, ściśle wykonywując rozkaz swojego opiekuna, zagarnął zaraz i Rokitno do Białocerkwi, na zasadzie, że to miasteczko kiedyś do królewszczyzny należało. Juźcić pan Mniszech nie potrzebował prawdę powiedziawszy jednego kawałka ziemi więcéj dla swojego utrzymania się, — co mu znaczyła jedna, druga, choćby i trzecia wieś, choćby i miasteczko? Ale duma ustępować mu nie pozwoliła. Przodkowie nasi pod tym względem byli bardzo drażliwi, procesowali się nieraz kilku po kolei o granicę, o kawałek pola, o miedzę lasu, nie dla tego, żeby ustępując z pretensyj swoich tracili przez to wiele, ale żeby koniecznie na swojém postawić. Takich spraw miliony po starych aktach. Niedawno Fredro na ten temat komedję pisał. A kiedy tak jest, kiedy szlachcic zagrodowy z drugim zagrodowym walczył lat wiele na pozwy i kondemnaty, włóczył się po sądach i trybunałach, stracił dziesięć razy więcéj jak sam przedmiot sporny miał wartości, cóż dziwnego, że pan, i jeszcze tak zuchwały, niesforny a pyszny pan, jak Mniszech, zabierał Rokitno, marszałek nadworny podkomorzemu ziemskiemu, pan orderowy szlachetce?

Ale w chwili zajazdu Sołtyka, Rokitno już nie należało do dawnego właściciela. Zgrabnie utkano in trygę, na którą się Mni szech miał złapać. Jakubowski nie mógł oczywiście na ostre godzić z potężnym ministrem, więc dobrze sobie poradził. Żył w przyjaźni z panem Józefem Duninem Karwickim, który miał nierównie większe od niego na świecie szlacheckim stosunki Od lat dziecinnych wychowany na dworze Małachowskich, Karwicki wzrósł prawie z kanclerzem koronnym, który był jego szczerym przyjacielem. Kanclerz Małachowski nawet, żeby mieć Karwickiego blizko przy sobie, mianował go rejentem kancelarji naprzód mniejszéj, potem wielkiéj kor., jak sam się posunął z jednéj do drugiéj pieczęci. Daléj miał Karwicki krwi związki z magnatami Rzplitéj: ożenił się albowiem z kasztelanką nakielską Szembekówną; sam prymas, dziadek panny młodéj, stary i zacny Krzysztof Szembek, dawał mu szlub w Skierniewicach. Wreszcie miał Karwicki pod swoją wodzą kilka chorągwi koronnych, znany

był osobiście na dworze; z kijowskiego województwa posłował na sejmy. A co najwięcéj sławy mu narobiło w Polsce, to energiczny postępek na Trybunale piotrkowskim, na którym niedawno co trzymał laskę koronną; samo to nawet marszałkowstwo jużby także nieco świadczyło za tém, że pan Karwicki miał stosunki, boć marszałka właściwie obierali panowie przed zebraniem się trybunału w ciszy komnat, a potém kandydata podawali szlachcie, która tylko okrzykiwała wybranego i zapraszała go do laski. — Otoż na owym trybunale, na którym marszałkował, Karwicki umiał utrzymać powagę prawa: gdy kilku ludzi niespokojnych dobyło szabel w świątyni obrad sądowniczych, dla tego, że obierać się chcieli sami deputatami, chociaż to byli ludzie dobrze osiadli, kazał ich Karwicki pościnać. Prawo było na to po wsze czasy wyraźne, ale wśród rozprzężenia się ogólnego kraju nie każdy z marszałków uciekać się umiał do téj ostateczności, — owszem, źle się wyraziliśmy, — nikt na ten surowy krok nie śmiał się odważyć, tak wielka była siła przesądu, że wszystko wolno w Polsce. Stąd ów jedyny Karwicki zasłynął zaraz szeroko w Rzplitéj jako surowy Kato: trybunał pod jego laską był bardzo sprawiedliwy i mógł służyć za wzór dla wszystkich, a Karwickiego wszyscy się bali.

Karwickiego oburzała już nie od dzisiaj duma i niesprawiedliwość pana Mniszcha. Ugodził się zatem o Rokitno z Jakubowskim, który ustąpił mu urzędownie praw swoich do tego miasteczka, niby to je odprzedał. Karwicki zaś podług wzajemnéj umowy, miał się prawem zetrzeć o to z marszałkiem nadwornym. Robiąc jednakże interes, który mógł o ubóstwo jednego z nich przyprawić, ułożyli się obadwaj przyjaciele nawzajem, na przypadek przegranéj sprawy. Oczywiście wszelkie straty mogły dotknąć tylko Jakubowskiego, jako osobę bliżéj w téj rzeczy interesowaną; Karwicki li tylko ze spółczucia ku niemu wplątał się widać w tę sprawę, może miał także inne jakie widoki. A samo wzięcie się do sprawy o Rokitno Karwickiego, już za Jakubowskim świadczyło, bo surowy Kato nie podejmowałby się pewnie rzeczy, którąby za niesprawiedliwą i złą uważał.

Zajechawszy dobra i nie bawiąc długo, rejenta kancelarji koron. Mniszech zapozwał jeszcze mandatem przed sądy assesorskie, aby, jako z dóbr królewskich nieprawnie trzymanych, zdał

liczbę i spłacił wszystkie korzyści, jakie z nich już wyciągnął. Do sądów assesorskich szły u nas sprawy mieszczan, bo szlachta dla siebie wyłącznie miała trybunały, a oprócz tego, spory pomiędzy dobrami ziemskiemi a starostwami, jaką właśnie była sprawa o Rokitno. W sądach tych zasiadali referendarze, rejenci kancelarji, sekretarze wielcy, ale prezydował w nich zawsze kanclerz, który w tym razie miejsce samego króla zastępował i wyrok ogłaszał w jego imieniu. Dlatego sądy te assesorskie, inaczéj zadwornemi nazywane, były ostatnią już instancyą i od nich nie służyła wcale do nikogo appelacja. Appelować mógł sam tylko sędzia, t. j. kanclerz do króla, jeżeli nie chciał wydać wyroku w jakiéj ważnéj sprawie, żeby się od nienawiści stronnictw zasłonić, co zresztą bardzo rzadko się zdarzało. Król zaś spuściwszy władzę swoją na kanclerza, nie mógł się nawet wdawać w sądy i wyroki, i w istocie żaden król nigdy się do assesorji nie wdawał, bojąc się obudzić nowe krzyki szlachty, że samowolnie zmiany jakie w rządzie zaprowadza.

Kanclerz Małachowski był więc z prawa prezesem sądu, a sam Karwicki jego członkiem, i chocby nie zasiadał w swojej sprawie, miał w assesorji przyjaciół, znajomych i kolegów. Podług więc wszelkich ludzkich wyrachowań, wygrana Karwickiego była niezawodna, tem bardziej, że po stronie jego była sprawiedliwość.

Ale za nierządu saskiego ludzie stracili najprostsze pojęcie o prawie i nawet sprawiedliwości. Mniszchowi tedy w głowie to pomieścić się nie mogło, żeby kto w Rzplitej śmiał go sądzić, jego, pana z panów i zięcia Brüla. Marszałek myślał, że Małachowski będzie przecie znał się na rzeczy; miał nadzieję, że kanclerz go wcale nie zaczepi. Zresztą dzikie i zepsute dziecię, pan Mniszech, nic sobie i z pieczęci nie robił — cóż jemu był, panu Mniszchowi, sam kanclerz, jako kanclerz? homo prawie novus, który od stryja i ojca dopiero był senatorem, wtenczas, kiedy on tłumami liczył antenatów. Ale wszakże i z Małachowskim, choć niedawno został i niewielkim panem, było trudno poradzić. Trafiła kosa na kamień. Małachowski albowiem był bardzo poważnym i surowym sędzią; w staropolskich zasadach wychowany, pilnował tylko powinności swojej, i nie było dla niego prywaty tam, gdzie wołała głośno sprawiedliwość. Lat kilkanaście prze-

bywając na dworze, nie nauczył się mimo to być dworakiem- instancje u niego nic nie pomogły, względów światowych dla niego żadnych nie było. Mniszech, czy dziad kościelny, wszystko to jedno ważyło dla Małachowskiego, kiedy zasiadał na swoim sądzie w całym majestacie sprawiedliwości.

Mandat na assesorję wydany Karwickiemu przez pana marszałka zadziwił wszystkich, bo w tym jego kroku ani prawności, ani sprawiedliwości nie było. Niedługo ku wielkiemu swemu zadziwieniu przekonał się, że są w Polsce ludzie tak zuchwali, którzy śmieją z nim walczyć nierówną bronią. Było to na assamblach u niego samego. Żółciowy człowiek spotyka gdzieś na komnatach kanclerza i rzuca mu w oczy pytanie, czy sprawę jego z Karwickim sądzić będzie? to jest, ma się rozumieć, czy przeciw niemu da wyrok? Kanclerz odpowiedział: że jeżeli sprawa do niego należy, nie cofnie się od sądu. Marszałek prędki odparł na to, że excypować będzie kanclerza a foro, to się znaczy, że nieformalność jaką sądowi zarzuci, jak np. że jeden minister nie ma prawa sądzić drugiego ministra, lub coś podobnego, że sądowi zarzuci niewłaściwość. Małachowski, że był także prędki, a niczego nie obwijał w bawełnę, odpowiedział, że nie przyjmie żadnej excepcji i że forum przyzna w sądzie swoim, odpowiadając np. na zarzut, że minister nie sądzi wcale ministra, ale kanclerz szlachcica, jakim jest pan Mniszech, o sprawę czysto ziemską. Spór, hałas powstał z tego powodu; Małachowski zebranie opuścił, i obadwaj panowie rozjechali się z wielkiem rozdrażnieniem nerwów.

Małachowski jednak był cierpliwy; dwa razy o zgodzie zagadywał i prosił Mniszcha, żeby dobrowolnie z dóbr Rokitniańskich ustąpił i zrzekł się sprawy, i oba razem napróżno — marszałek upierał się, że posiada za sobą prawo. Zatem ostatecznie sąd miał wyrokować.

Nim termin sądu nadszedł, wiązały się już intrygi. Mniszech jeszcze nie dowierzał Małachowskiemu i myśląc, że to z jego strony są tylko czcze pogróżki, nic sobie z sądu nie robił. Za to Czartoryscy sercem i duszą do Małachowskiego przylgnęli. Dotąd byli z nim grzecznie, ale zdaleka; teraz wiązał ich do kanclerza koronnego własny interes. Książę Fryderyk Michał Czartoryski, kanclerz litewski, czuł się oddawna obrażonym dumą

pana Mniszcha, że sądem assesorskim pomiata, — do dawnych więc niechęci przybywały nowe. Chciał marszałka ukarać publicznie za przewodzenie w Rzplitej, bo sam chciał wyłącznie przewodzić, a nie mógł tyle co Mniszech. Zresztą chodziło tutaj o wielkie zasady rządu narodowego. Jeżeli dzisiaj uda się Mniszchowi z Małachowskim w Koronie, jutro uda się z Czartoryskim na Litwie, i kanclerski urząd padnie w poniewierkę przed marszałkowskim. Pod pozorem zatem obrony prerogatyw i urzędu, Czartoryscy zręcznie rozpięli sieci naokoło kanclerza koronnego, żeby go wciągnąć pomimowolnie do swoich planów reformy, bo wówczas każdy krok obudwu braci książąt tylko jedynie reformę miał na celu. Ich związki familijne i przyjacielskie, ich listy, umizgi, prośby, łaski, dary, protekcje, sejmowania i narady itd. wszystko to było przesiąknięte myślą reformy Rzplitéj i nadzieją, że przez zmianę rządu i dom ich książęcy się podniesie może nawet do korony królewskiej. Małachowski wpadłby niezawodnie w zastawioną łapkę, gdyby tym razem samo przekonanie i sprawiedliwość nie kazały mu iść już po drodze, na którą wszedł nie z rozmysłu i dobrowolnie dla spełnienia powinności.

Nie zajmuje nas tutaj głównie sama sprawa, ale raczej wypadki, do których dała powód. Dlatego, nie bawiąc się długo, powiemy, że zachowując ostatek względów dla Mniszcha, zręcznie Małachowski ominął nastręczające się trudności. Żeby za gwałtowny zajazd nie osądzić Mniszcha na wieżę, chciał przyznać tylko tymczasem własność Karwickiemu, a samą sprawę o naturę dóbr politycznie odesłać pod roztrząśnienie i wyrok trybunału lubelskiego, jako najwyższej znowu instancji do rozpoznawania natury dóbr ziemskich. Nie kontent był oczywiście Mniszech z tego zdania assesorji, bo zawsze w nim chociaż pośrednio sprawę przegrywał. Chwycił się tedy złej rady wykrętnego patrona, który się długo przy grodach i trybunałach wycierał; żaden ze słuszniejszych i rozumniejszych mecenasów nie chciał się obrony jego podejmować. Otoż za poradą pana Kosseckiego, marszałek zakłada przed czasem appelację od assesorskiego wyroku na sądy relacyjne, to jest odwołuje się do samego króla, czem straszliwie kanclerza obraził. Małachowski ujmuje się wtedy za powagą swojego urzędu i każe wydać patronowi rok, chcąc go za zbytnią śmiałość choćby żartem na karę osądzić. Więc na przypadłych rokach

assesorji, kiedy sprawę o Rokitno przywołano, pan Mniszech, jako pozwany, nie chcąc się tłómaczyć przed kanclerzem, tylko przed królem, nie stanął i dowodów swoich nie złożył. Nie zapadła więc ostateczna w tej mierze decyzja, ale patron marszałka nadwornego skazany był zaocznie na kondemnatę, a kanclerz kazał go poszukiwać i więzić. Zmiarkował złą swoją stronę Mniszech, jeszcze przed tym wyrokiem, ale zapóźno już było. Kanclerz ogłaszając kondemnatę, zaraz skasował też przywilej królewski, w tem co Rokitnu ubliżał i na zasadzie dokumentów, które mówiły wyraźnie, że Rokitno stanowiło dobra ziemskie dziedziczne. Osobnym wyrokiem oznaczył kanclerz czas marszałkowi, w którym miał się cofnąć z posiadania Rokitna [1]). Poszło to wszystko piorunem, bo król wtenczas bawił w Warszawie, w czasie wojny siedmioletniej, i assesorja w każdej chwili odprawiać mogła sądy swoje. Prawo chciało, żeby kanclerz sądził tylko tam, gdzie król był obecny, ztąd jeżeli zdarzyło się kiedy, że Augustowie sascy bawili w dziedzicznem państwie, u siebie w Dreźnie, lub w ogóle za granicą, kanclerz nie mógł sądzić sądów assesorskich, aż za umyślnem upoważnieniem króla, bo w żadnym razie Rzplita nie pozwalała sądzić kanclerzowi w Dreznie. Że król bawił ciągle w Polsce i upoważnienia tego nie potrzeba było, Małachowski sądził kiedy chciał, i limitował sądy swoje kiedy chciał, a nikt się w to nie wtrącał, bo to była zupełnie władza jego. A był kanclerz w istocie stworzonym na sędziego: kilka godzin dziennie przesiadywał z assesorami w izbie sądowej, nigdy terminu przez siebie naznaczonego nie chybił, starał się zawsze zgłębić stan każdej sprawy i wydać wyrok podług sumienia. Cały czas kiedy bawił w Warszawie, przy boku króla, przepędzał na pracy i ledwie na święta jakie, na Zapusty, na Wielkanoc, albo na Zielone Świątki wyjeżdżał na dni kilka, kilkanaście, do Końskich, żeby się też chwilkę żonie, dzieciom i kłopotom domowym poświęcić. Ztąd więc sprawa o Rokitno poszła szybko: w początkach kwietnia 1759 roku wypadła na Mniszcha kondemnata, a że nadchodziła Wielkanoc, kanclerz nie dbając nic na gniewy pana marszałka, wyjechał zaraz po sądach do swojego miasteczka.

---

[1]) Athenaeum Kraszewskiego, 1851. Tom IV. str. 13.

W sądach więc assesorskieh nikt właściwie z naszych przeciwników nie przegrał i nie wygrał sprawy. Mniszech jednak swoich nie pokładając dowodów, na wyroku Małachowskiego bardzo wiele stracił, i przeciwnie bardzo wiele zyskał Karwicki. Żeby to zrozumieć, potrzeba wiedzieć, co w starożytnej Polsce znaczyła kondemnata. Marszałkowi nie szło już teraz tyle o Rokitno, ile o tę nieszczęśliwą kondemnatę.

Prawo nasze było pisane dla światłych i wolnych obywateli — i dlatego wychodziło wiecznie z tej zasady, że nikt nie może, nie powinien i nie potrafi nie słuchać prawa. Kiedy więc był zapozew komu wręczony na sąd stanąć koniecznie musiał, bo inaczej byłoby to dobrowolnie narażać się na podejrzenie. Strona wyłączająca się z pod egzekucji prawa, budziła wstręt ogólny i nigdy to jej na sucho nie uchodziło. Samo niestawanie na zapozew, było w mniemaniu powszechnem winą, za którą prawo ciskało kondemnatami. Kondemnata nie była wyrokiem, strona nią obłożona nie przegrywała jeszcze sprawy, ale mimo to kondemnata ciążyła już nad człowiekiem jako kara Boża, jak miecz Damoklesa, bo mówiła wszystkim, że ten a ten człowiek jest podejrzany o jakiś zły czyn, o jakąś niesprawiedliwość, bo tłómaczyć się i oczyścić nie chciał przed sądem; kondemnata mówiła jeszcze, że obwiniony jest nieposłuszny prawu. I dlatego wszystkie i najdawniejsze konstytucje polskie usuwały skondemnowanych od używania wszelkich praw obywatelskich. Obciążony kondemnatą nie mógł być obrany na żaden urząd w ziemi, a tém bardziej na poselstwo, nie mógł być deputatem, komisarzem i nie mógł świadczyć w sądach, — jeżeli miał poprzednio jaki urząd, tracił władzę do niego przywiązaną na cały ten czas, póki zostawał pod kondemnatą. Straszna to była kara, kiedy się jej wśród nierządu ogólnego wszystkomożni magnaci nawet obawiali. W rozprzężeniu kraju zdawało się nieraz panom, że dla nich jest Rzplita i sprawiedliwość i wszystko na świecie, a przecież tak silna była potęga opinji publicznej, że woleliby stracić majątek, jak zasłużyć na kondemnatę, bo to strącało ich nagle ze szczebla wysokiego i znaczenia na sam spód obywateli. Nie trzeba sądzić, że kondemnata szkodziła tylko biednemu szlachcicowi, ale nigdy wielkiemu panu; że wielki pan zawsze imponował szlachcie swoją wielkością i że go każdy tknąć się obawiał, że zatem pomimo wyroku

sądowego i kondemnaty, kanclerz np. mógł sądzić assesorją, marszałek rządzić policją w stolicy. Prawda, że wielu dworaków w takim razie puściłoby pomimo uszu kondemnatę i kłaniałoby się panu tak jak dawniej, ale duch publiczny szlachecki nigdy nie upadł tak nizko, żeby się kto jako mściciel prawa pogwałconego nie znalazł, — dzieje polskie przynajmniej nigdy przykładu podobnego nie wskażą. Tutaj bywała wielka solidarność szlachty. Wszakże bywały zdarzenia, że szlachcic białoruski przyjeżdżał do Wielkiej Polski dlatego, żeby zatamować czynność człowieka obłożonego kondemnatą i pisał po grodach na niego manifesty i hańbę jego ogłaszał szlacheckiemu światu. Więc po wyroku kondemnaty nosił dzban wodę tylko dopóty, dopóki się ucho nie oberwało, a oberwało się potem niezawodnie, — a mało wtenczas wstyd, ale utrata honoru, czci, sławy, upadek zupełny wpływu następował zwykle po takiem nieposłuszeństwie prawu.

Toż samo było i z egzekucją wyroków. Wyrok raz wydany stawał się pełnomocnym i wykonany być musiał. Ci co sprawę przegrali, sami zwykle starali się dopełnić co prędzej sprawiedliwości. Pan, czy nie pan, jeżeli chciał pokoju u szlachty, musiał wyrok spełnić, i jeżeli np. kara była na wieżę, wieżę odsiedzieć. Książe Radziwiłł «panie-kochanku,» dąsał się i odgrażał na sąd, który go raz zapakował do wieży, ale odgrażając stante pede zaraz dobrowolnie pojechał do Nowogródka i przykładnie wypełnił to, co musiał, odsiedział wieżę. Inaczej, każdyby mu w oczy najbiedniejszy szlachcic, rzucił kondemnatę na sejmiku, na zjeździe, na trybunale, książe nie miałby wtedy głosu i znaczyłby mniej od ostatniego z czynszowej swojej szlachty. O kondemnaty i wyroki mógł nie stać jaki chyba Samuel Łaszcz, jaki starosta Kaniowski, ależ ci ludzie byli bannitami i dobrowolnie wyrzekli się związków ze społeczeństwem, które się ich całkowicie wyparło. Rzplita ich nie karała, bo nie zawsze miała siłę żeby wziąć w kleszcze choćby takiego śmiałka. Za to narażał się każdy z banitów, że pierwszy lepszy szlachcic bezkarnie mógł im w łeb strzelić i zabić.

Kiedy rozważamy te fakta, wskazując na duch, jaki ożywiał ciało Rzplitej, kiedy widzim to posłuszeństwo prawu we wszystkich bez wyjątku i to jeszcze w czasach zupełnego upadku sił żywotnych narodowych, kiedy spostrzegamy tyle żywiołów za-

chowawczych na łonie społeczeństwa polskiego, mimowolnie przejmujem się szacunkiem do ducha naszych instytucyj starożytnych. Widzim jak na dłoni, jakim to Polska stała nierządem, — stała dawniej cnotą i miłością, a kiedy już wszystko w Rzplitej obluzowało się i zepsuło, stała jeszcze ostatkami cnoty i miłości. Panowie odważali się na gwałty, ale formy prawa mimo to były zawsze świętością.

Można teraz sobie wystawić, jakie było położenie i jaki gniew Mniszcha, kiedy otrzymał na siebie kondemnatę. Teraz lada zagrodowy szlachcic miał prawo wzbronić mu odprawiania sądów marszałkowskich, lada dworzanin mógł go wysadzić z izby sejmowej. Trzeba się więc było koniecznie pozbyć tej kondemnaty, choćby to niezmiernie wiele kosztować miało pieniędzy, a nawet co większa, prośb, starań i zabiegów. Oczywiście, można się było oczyścić np. przez wyrok trybunału, ale jakże do niego trafić? Zapozwać kanclerza o wyrok niesprawiedliwy, o niesłusznie rzuconą kandemnatę? — prawo tego broniło. Trybunał miał władzę nad szlachtą, ale nie nad ministrem. Trybunał sądził w ostatniej instancji swoje sprawy, a kanclerz w ostatniej znowu swoje. Zapozwać można niższe instancje do wyższych, ale nie równe do równych. Wyrok kanclerski był tak święty i szanowany, jak wyrok trybunalski: równa niesława dotykała tego, który nie posłuchał assesorji, jak i tego, co nie posłuchał trybunału, — równa za nieposłuszeństwo była odpowiedzialność przed prawem. I sądy assesorskie i trybunały pełniły zastępczo obowiązki dawniej królewskie, otaczały się także całym majestatem tronu; równe będąc i powagą i znaczeniem, przywłaszczać sobie żadnej nieprawnej juryzdykcji nie mogły. Mógł trybunał sądzić sprawę kanclerza o dobra, o granicę, o sprzedaż majątkową i wydać wyrok przeciw niemu. Bo wtenczas sądził człowieka, Małachowskiego, nie kanclerza, ale nie mógł jako trybunał sądzić kanclerza za wyrok w asessorji. Inaczej byłaby kollizja władz i urzedów, byłaby nawet gruba nieloika w tem postępowaniu, bo podstawiwszy za trybunał i sąd asessorski samego króla, którego władzy obiedwie te juryzdykcje były wypływem, wypadłoby, że król appelowałby od siebie do siebie.

Jednakże w złości swojéj i dumie, pan Mniszech popełnił straszną obrazę prawa pospolitego. Postanowił zaskarżyć kance-

rza przed trybunałem o niesprawiedliwie rzuconą na siebie kondemnatę. Myśl tę poddał mu znowu Kossecki, przez ten krok marszałek przewracał wszystkie pojęcia szlachty o rządzie i prawie. Był to z jego strony krok śmiały i dotąd nigdy nie praktykowany w Rzplitéj; ubliżył bowiem osobiście i królowi i pieczęci. Wypadało z tego, że trybunał ma prawo wglądać w czynności assesorji i ganić je albo zatwierdzać. A kiedy ma trybunał władzę nad kanclerzem, toć ma i nad wszystkimi innymi ministrami, jako równymi sobie, może ich sądzić i kasować ich wyroki. Tak więc, najwyższe władze Rzplitéj dotąd podwładne li tylko sejmowi, skarb, wojsko, policja, sprawiedliwość, zależały od trybunału, który się nagle wynosił po nad wszystko i stawiał się obok króla, a nawet wyżej od króla bo zastępcze władze jego uginał pod siebie. Rzplita stworzyła tyle niepodległych najwyższych jurysdykcyj, dla tego tylko, żeby się zasłonić od ciosów tronu, gdyby królowi któremu się zachciało panować bez tylu subjekcyj, a teraz wszystkie te władze niknęły przed jedną władzą trybunału, która znowu jako władza zastępcza panującego, stawała się mu podległą. Jak łatwy sposób przez trybunały rządzić ministrami, — powstrzymywać ich ciągle na wodzy?

Widzimy, jakie niewczesny krok Mniszcha wywołał zawikłania, jaki chaos w szlacheckich pojęciach. Nie wspominamy już o tém, że gdyby krok ten nie był nadzwyczajnym i zuchwałym, gdyby nie godził pośrednio na zasady rządu Rzplitéj, zawszeby z prywatnego punktu widzenia rzeczy obudzał zgrozę w tłumach szlachty. Zapozywał człowiek młody bez zasług w kraju, człowieka od siebie starszego pod wszelkiemi względami, starszego w latach, starszego w zasługach, starszego w urzędzie, starszego w poszanowaniu dla prawa i męża wiary nieskazitelnéj; zapozywał nie sam ale przez niesumiennego patrona, który się narzucił na stronę i skarżył kanclerza o gwałt dokonany na swojéj osobie. —

Mniszech nie wiedział, że mimowolnie rujnując dotychczasowo pojęcia o rządzie sam występował z reformą Rzplitej, o jakiej marzyli Czartoryscy. Gdyby mu się udało przez trybunał upokorzyć kanclerza, byłby dyktatorem Rzplitej. Ale o tém nie myślał jeszcze wtedy, zajętym będąc li tylko chęcią dogodzenia swojéj dumie.

Kanclerz rozgniewany za ubliżenie prawu, odwołał się do króla sądząc, że pan ten łagodny i wyrozumiały, potrafi ująć marszałka nadwornego i załagodzi całą sprawę. Kanclerz miał nadzieję, że król będzie pamiętał na jego wielkie i świeże zasługi w sprawie księcia Karola, któremu kanclerz wiele pomógł do inwestytury kurlandzkiéj, wbrew Czartoryskim. Ale poczciwy król nie był właściwym tu sędzią, bo nie znał praw polskich, oblegany jeszcze w pałacu swoim przez zauszników Mniszcha, zawojowany przez Brühla, który także nic nierozumiejąc sprawy, oczywiście stawał za zięciem, myśląc, że tutaj tylko idzie o rzecz prywatną pomiędzy dwoma panami, król, powiadamy, przyjął stronę marszałka nadwornego i oświadczył się przeciw Małachowskiemu, to jest chciał, żeby kanclerz sam błąd swój w rzuceniu kondemnaty naprawił. Za Mniszchem stanęła cała magnaterja polska, albo z dworem za bardzo związana, albo już tyle wyrodzona, że przyjmowała to wszystko za spór prywatny. Więcéj do tego nierównie miał związków rodzinnych z panami marszałek, jak kanclerz obarczony liczną rodziną, który się równał ze szlachtą i córki swoje wydawał nie za wojewodów i kasztelanów, ale za starostów i niebogatych wcale dygnitarzy. Zresztą stanęli za Mniszchem ludzie miałkiego rozumu, którzy nie przewidywali, co z tego wszystkiego zawikłania może wyniknąć.

Za kanclerzem koronnym stanęli jedni tylko Czartoryscy a to z bardzo wielorakich powodów osobistych i politycznych: osobistych, bo szło im jak powiedzieliśmy o powagę urzędu,—książe Fryderyk Michał był takze kanclerzem, — politycznych, bo Mniszech wypierał ich kolejno ze wszystkich stanowisk jakie zajmowali kiedyś na dworze, — pozbawił ich Bryla, a teraz chciał imieniem teścia królować w Rzplitéj. Więc plany reformy, o jakich marzyli, pójdą za nic, sam Mniszech pozostanie po zwycięztwie na placu i działać będzie na własną rękę, jeżeli zechce, A czy zechce, czy nie zechce, zawszeby książęta stracili ostatki znaczenia swojego w Rzplitéj, co ich niezmiernie bolało. Bądź co bądź potrzeba im bronić Małachowskiego i niedopuścić przeciw kanclerzowi wyroku trybunalskiego. Żeby tego celu dopiąć, potrzeba było wmówić w szlachtę, że Mniszech myśli gwałcić swobody narodowe, że pragnie znieść władze położone *intra majestatem et libertatem*, — t. j. trzeba mu było zarzucić

kryminał, który i najspokojniejszego szlachcica mógł do najwyższego gniewu rozpalić, do szaleństwa doprowadzić.

Zmieniły zię role do niepoznania. Książęta, którzy monarchizmem ciągle Polsce grozili, teraz de facto stają się obrońcami wolności szlacheckich, obrońcami liberum veto, władzy hetmańskiéj i podskarbińskiéj, wywieszają chorągiew utrzymania tego, co jest im przeciwne, czego nie lubią t. j. odkładają swoje zamiary na późniéj, boć chwila jakoś nie po temu, może dopiéro w przyszłości kiedyś nadejdzie.

Nie trzeba jednak myśleć, że książęta dopiéro teraz po wyroku kanclerskim i kondemnacie wstąpili na tę drogę, po któréj postępować zaczęli. Ślady tajemnéj walki ich ze dworem a raczéj z Brylem i Mniszchem, poprzedziły cokolwiek to ostatnie zajście.

A naprzód potrzeba wiedzieć, że niedawno, bo przed temi wypadkami ledwie na sześć, na siedm miesięcy, w jesieni 1758 r. wszyscy ministrowie Rzplitéj koronni i litewscy znajdowali się w Warszawie przy królu i nie unikali wcale oblicza pańskiego; nie mówi się już o kanclerzu koronnym, który pilnował święcie asessorji, ale bawili wtedy przy boku królewskim hetmani Branicki i Massalski, był książe kanclerz Czartoryski i jego spółminister Michał Sapieha, byli inni, — prawda, że pojeżdżali się na sejm, ale byli; ten z buławą, tamten z pieczęcią, ten z kluczem, ów z laską. Sejm się rozszedł po swojemu, zerwał go Podhorski poseł wołyński, ale ministrowie jeszcze zostali w Warszawie. Chciał król coś stanowczego zrobić na sejmie z Kurlandją, do któréj wielu panów posuwało księcia Karola, ale gdy to nie udało się, zatem na radzie senatu październikowéj, większością głosów postanowiono tron Kurlandzki oddać królewiczowi. Jużcić była tutaj nieformalność, niema kwestji, bo rozstrzygnienie téj sprawy jako politycznéj należało prawnie do całéj Rzplitéj, a nie do senatorskiego tylko stanu, więc sejm winien był w niéj wyrokować i stanowić; kiedy sejm się rozszedł, rzecz sama przez się musiała iść w odwłokę. Ale Czartoryscy, jak się potem w latach następnych pokazało, nie robiliby sobie wcale skrupułu z podobnych nieformalności, gdyby trzymali z królem, teraz protestowali w obronie własnego interesu i znaczenia. Chcieli sami znieść liberum veto i wprowadzić panowanie większości, a powstawali na

większość. Czemu? Bo niechcieli księcia Karola widzieć w Kurlandji, bo chcieli raz już i na zawsze skończyć z domem saskim. Gdyby zaś na tronie Kurlandzkim posadzili królewicza, tem samem usłaliby mu niezawodnie most do korony polskiéj po śmierci ojca. Karol znowu na tronie zniszczyłby wszystkie ich słodkie nadzieje panowania i reformy bo jużcić gdyby dostał koronę królewicz, to nie dostał by jéj oczywiście ani żaden Czarnoryski, ani żaden z familji i Rzplita pozostałaby jak dawniéj in statu quo w nierządzie bez żadnéj zmiany. Dla tego Czartoryscy woleli, jak mówi Trembecki w odzie na śmierć księcia kanclerza, wykopać Birona z sybirskiego śniegu, bo ten im przynajmniéj nie zawadzał. Ażeby zaś pokryć niechęć swoją do inwestytury królewicza Karola, która rzeczywiście nastąpiła w styczniu 1759 r rozwodzili się wielce nad gwałtem, zadanym niby wolności, gdy naprzód nie sejm stanowił o Kurlandji, ale senat i gdy w radzie senatu nie jednomyślność ale wyrzekła większość głosów. Otóż i pierwszy krok książąt, na drodze obrony swobód szlacheckich.

Daléj, żeby wyrobić sobie pewne stanowisko, którego nie mieli pomiędzy obrońcami dawnego systematu i zyskać nie lada jakie poparcie u szlachty sejmikowéj, Czartoryscy zawiązali stosunki z księciem Michałem Radziwiłłem (Rybeńką) hetmanem w. lit. i wojewodą wileńskim. Był to pan całą gębą, jak to mówią — ludzki, zacny, poczciwy z kośćmi, opiekun szlachty, a do tego sercem i duszą przywiązany do formy rządu, jaka była podówczas w Rzplitéj. Pod względem swojego sposobu myślenia, Radziwiłł nie różnił się niczem od najlepszego szlachcica, tylko jedynie majątkiem, a co za tém szło i wpływem. Namiętnie kochał liberum veto. Głos jego był najpotężniejszy na Litwie, nie tylko dlatego, że był głosem wielkiego pana, ale że był głosem narodowym, że każdemu ze szlachty trafiał do przekonania. Nie bez przyczyny też przyjaciele Rzplitéj i wolności nierządnych oglądali się wtenczas na Radziwiłłów i na Potockich, którzy w kontr szli Czartoryskim. Piérwszy senator litewski zostawał jeszcze w blizkich stosunkach powinowactwa i przyjaźni z hetmanem kor. Branickim, który jakkolwiek zięć Poniatowskiego zerwał z familją i trzymał się szlachty. Tak więc obadwaj hetmani wielcy byli razem przeciwko wszelkim zamachom monarchicznym. To samo już rokowało szlachcie zwycięztwo. W Polsce

buława znaczyła więcéj niż największa laska, niż najpotężniejsza pieczęć. Naród, który tworzył niepodległych królowi ministrów, pokochał najwięcéj władzę hetmańską, jako najsilniejszą strażnicę swobód swoich i urokiem prawdziwie majestatycznym ją otoczył. Instytucja buławy była jak najnarodowszą, że tak się wyrazim, była najpopularniejszą instytucją w Polsce. Ująć sobie tedy hetmanów, byłoby to ujmować sobie zwycięztwo. Przekonać szlachtę, że ma się przyjaźń szczerą i stosunki z hetmanem, byłoby to samemu dziwnie w Rzplitéj wyolbrzymieć. Mówimy w Rzplitéj, zamiast powiedzieć w szlachcie, która głównie Rzpltę stanowiła.

Czartoryscy przecudownie to pojęli. I otoż robią krok drugi. Pochlebiają księciu wojewodzie wileńskiemu, rozprawiają dużo o wolności, chcą szczerze zgody, chcą myśleć o dobru Rzplitéj, łapią za najmniejsze fakciki, w których widać jak liberum veto cierpi i utyskują nad tém szeroko. Wszystkie te umizgi mają za cel, żeby wprzód przekonać księcia wojewodę o szczerości sposobu myślenia a potém, co rzecz główna, wpływać przez niego na szlachtę. Trybunał nagodził się w Rzplitéj do wszystkiego, więc najlepiej działać przez trybunał. Tak samo widzimy myślał Mniszech, jak i Czartoryski.

Od czasu jak zamachy potajemne panów wychodzić powoli zaczęły na wierzch, obadwa walczące z sobą stronnictwa, które dotąd jasno nie sformułowały się w pewne stałe dążności i nie odosobniły się we dwa nieprzyjazne ciała, szukały neutralnego pola walki, a jak przypływ i upływ krwi do serca w człowieku, tak ludzie wtenczas falowali od tego do tamtego obozu i myśleli że właściwie przywódcom w sporach publicznie staczanych idzie o prywatę. Neutralnem tem polem były sejmiki i trybunały; otóż był zwyczaj w Rzplitéj, że dumni wichrzący panowie stanowili trybunały i sejmiki. Szlachta zawsze leciała za popędem nadanym przez luminarzów narodu, którzy mając sposoby w swojem ręku jednania sobie stronników umieli zręcznie swój sposób widzenia rzeczy, albo swój interes wystawiać przed szlachtą za sprawę kraju. Pan nie dlatego chciał mieć swój trybunał, żeby wygrał jakie kilkadziesiąt albo kilkaset tysięcy, bo sama forsa, żeby po sejmikach obrano tych, a nie innych deputatów, kosztowała drugie tyle, ale chciał dlatego, żeby tryumfować nad swoim przeciwnikiem; ta chęć tryumfu coraz stawała się niecierpliwszą, zu-

chwalszą, od czasów kiedy za pomocą trybunałów, zaczęli panowie przeprowadzać swoje zamysły polityczne. Nie było atoli nieszczęściem innego sposobu do działania, bo sejmu ani sposób było utrzymać, a konfederacje za panowania Augusta III wielce nie udawały się, zawsze ktoś czujny zawczasu im przeszkodził. Trybunały same zostały na placu. Późno przekonali się panowie, że to może być najdzielniejsze i najposłuszniejsze narzędzie; aby tylko dobrać sobie sędziów, tych, albo owych, przez sędziów trzymało się już w szachu całą prowinję. Kto nie miał spraw w trybunale, kto ich wygrać nie chciał? Ażeby wygrać, któż sędziemu się nie kłaniał, kto mu przypodobać się nie starał? A wygrać było łatwo sprawę na trybunale Radziwiłłowskim klientom Radziwiłłowskim, równie jak przegrać było wtenczas łatwo nieprzyjaciołom tegoż przeważnego domu. Toż samo trzeba rozumieć o trybunale Czartoryskich, Potockich, Sapiehów. Sędzia obowiązany swojemu opiekunowi, jak w Polsce Augustowskiéj, patrzył bardzo stronnie na sprawę, która z jego panem miała związek, i albo pośrednio do niego należała, albo prosto. Postanowić zatém swój trybunał, było to jeszcze ściągać stronników, bo kto nie miał wiele skrupułów, albo ściśle się nie zobowiązał nikomu, uciekał się pod opiekę możnego pana i już liczył się do jego klientów. Sędziowie tedy i klienci byli kanałami, przez które przepływały w serce narodu panów usposobienie polityczne.

Udawało się już poprzednio na Litwie stanowić swoje trybunały Czartoryskim i Radziwiłłom. Teraz książe kanclerz litew. pochlebiwszy się księciu hetmanowi, rzucił myśl, żeby stanowić je razem w skutek wzajemnego porozumienia się, ni moje ni twoje, ale szlacheckie, ale broniące status quo. A myśl kanclerza tak można, zdaje się, tłumaczyć: utraciłem cały już wpływ w Koronie, potrzeba go przez Radziwiłła odzyskać na Litwie i takim sposobem przeważyć szalę na swoją stronę czy się co jeszcze nie uda.

Długa to historja sporów litewskich, Czartoryskich z Radziwiłłami. Opowiemy ją może kiedy indziéj; rzecz to ważna, cała albowiem historya Litwy osiemnasto-wieczna w nich uwięziona. Kiedy zaszło pierwsze porozumienie się dwóch książąt litewskich kanclerza i hetmana, — tajemnicę tę mogły by nam rozwiązać archiwa domowe. To pewna jednakże, bo w listach, które mamy

pod ręką, widoczne ślady, że już w trakcie zaczętéj sprawy o Rokitno, przed wyrokiem kondemnaty, hetman z kanclerzem byli w przyjacielskiéj wzajemności pomiędzy sobą, że chętnie się znosili i chętnie sobie ustępowali, obsypując się nawzajem grzecznościami. Jednym z ich pośredników był, o ile wiemy, pan Antoni Przeździecki, referendarz litewski, serdeczny przyjaciel księcia kanclerza: wracając z Warszawy z obrzędu inwestytury królewica Karola, wstąpił na chwilę do Wołczyna do kanclerza; przywiózł mu jakieś wnioski od księcia hetmana (w końcu stycznia 1759r.) Kanclerz odpisując hetmanowi, pisze: «dopełniło to wszystko uradowanie moje z rekuperacji szanownej łaskawości w. ks. m. dobrodz. prawdziwie mocno i na zawsze żądanéj. Tę moją szczęśliwość studiose colam, aby najściślejszym związkiem była radicata żywo pragnę et opto.» Kanclerz tylko co odebrał jakiś nowy projekt względem przyszłego trybunału od zięcia swojego Michała Sapiehy, ale związany obietnicą daną Radziwiłłowi, odpisał podkanclerzemu, że wiernie dotrzyma swoich zobowiązań i że jeżeli chce coś uzyskać, ma się odnieść do księcia hetmana, bo od niego teraz wyrok ostateczny zależy, na który «ja libenter accedam« pisze książe Czartoryski. Szło panom o wybór osób do urzędu deputackiego, ale nie ułożyli poprzednio listy i czekali na sejmiki, z liczby dopiero obranych, obierać sami mieli »w czem, — pisał kanclerz do hetmana, — z poufałością zupełną moje zdania i prośby wyrażać będę w. ks. m. dobrodz. in usum jego, magnos sensus desiderabo. Armonia w prowincji naszéj ad salutaria et salutifera w ojczyznie jedynie corroborare może gentem et cives, między któremi jesteś w. ks. mość w pierwszeństwie, dystynkcji i władzy.« Jużcić to wyraźne pochlebstwa i wyraźna myśl księcia kanclerza, że Litwa może szachować Koronę i czekać co się to z tego wszystkiego wywiąże.

Przy téj okoliczności donosi książe kanclerz hetmanowi, że synowiec jego Adam jenerał ziem podolskich, wracający z Petersburga, ma przyjechać do Nieświeża «ut veneretur quam maxime w. ks. mei dobr. uti colat et acquirat jego dla siebie najzupełniejszą łaskawość.« Książe jenerał wysłany przez ojca i stryja, jeździł w sprawie kurlandzkiéj i z téj okoliczności książe kanclerz dodaje, mówiąc o protestacji gabinetu petersburgskiego: «jakiż robur, jaką soliditatem ma całe dzieło favore królewica jmci? Ale to

jest najtrwożliwszem wolnemu hucusque narodowi, że gdy materją tanto pondere integrum corpus Rzplitej concernenti per solam pluralitatem votorum, w senacie postąpiono, jakaż już cuique w ojczyznie civi manet securitas dostojeństwa, przywilejów, fortun, possesij, etiam na ostatek i życia. Takowe praejudicatum pewnieby non admitteret pan dobry, król interne sprawiedliwy gdyby lucida veritas nie była od oczu jego zasłoniona, gdyby prawdziwa rerum cognitio niebyła od duszy jego praeparate odstręczona. Na to byłyby łatwe remedia cum maxima regnantis gloria, z resuscytacją publicznéj szczęśliwości, gdybyśmy in magistratibus ulokowani, którym jest comissa patriae salus ageremus plene ac integre w jednomyślności i jednoczynności« [1]).

Książe hetman odpisał kanclerzowi z podziękowaniem za łaskawe oświadczenia, za przywróconą dobroć, szacowną przyjaźń i dawną konfidencyę; zapewniał mu jak najmocniej i mówił, że czyste myśli swoje łączyć będzie z wielkiem kanclerza interesowaniem sią dla dobra ogólnego i że najwyższe ma żądze z chwalebnemi jego dziełami łączyć swoje sentymenta. Przejeżdżając właśnie przez Słonim, widział się hetman z podkanclerzym Sapiehą i obadwaj ułożyli, że marszałkiem przyszłego trybunału będzie siostrzeniec hetmański, a podkanclerzem synowiec także Michał Sapieha starosta puński. Dąsał się o to cokolwiek kanclerz i żółć swoją wylał w liście do zięcia: jużcić wolał starostę puńskiego widzieć przy lasce trybunalskiéj jak kogo innego, ale ubolewał mocno, że podkanclerzy zwierzył się z chęcią swoją pierwéj hetmanowi, nie zaś jemu. «W tym trybunale — pisał kanclerz zwyrzutami, — będą części dla mnie misterne.« Zapraszał go Sapieha na zapusty, bo spodziewał się licznych gości, ale że to było już zapóźno, kanclerz tak łaje zięcia: «poczytuję to bardziéj żartem; etiam partem ludibrii na sobie mającym.„

Książe Czartoryski nie był więc kontent z pierwszej swojéj roboty z hetmanem, gdy podkanclerzy wyprowadził go w pole. To też surowo przymawia teść zięciowi. Przewidywał jego zdradę, ale jednak sam ten wypadek niemniej go obszedł. «Ja się nie łudzę, mówił do niego, mam doświadczenie, czasy dojrzewają, a kiedy poznasz, żem się nie omylił, zapóźno kroku swojego żałować będziesz i tego żeś się ze mną nie znosił. Rezolwowałeś

[1]) List księcia kanclerza z d. 5 lutego 1759 r. do hetmana; list z Wołczyna.

być adwersus moim usiłowaniom w ratunkach praw wolności ojczystych, to choćbym się i sam jeden zostawał, to póki mogę, nie przestanę recalcitrare jussum, conclamarę na gwałt.« A daléj o kilka wierszy niżej: jużby głosów wolność była zniesiona, nawet forma sejmikowania, gdyby mimo tak liczne protestacje w Wołkowyskiem mieli admitti do deputacji se ipsos creantes, i t. d. — [1]).

Może to cokolwiek za długi ustęp w rzeczy, która nas obecnie zajmuje. Ale umyślnie rozszerzyliśmy się nad tém i dłuższe podaliśmy wyciągi z listów, żeby poznać usposobienie chwilowe księcia kanclerza do dworu i stronnictwa dworskiego. Króla nie obwinia, owszem nazywa go panem dobrym, łagodnym, miłującym spokój i sprawiedliwość, ale wyraźnie oskarża ministra a kiedy oskarża, to się go już pewnie boi, boi się tem bardziej, że łączy się z Radziwiłłem, boi się, bo przemawia teraz jak nigdy, bo kłamie wewnętrznym uczuciom serca, bo udaje szlachcica przywiązanego do liberum veto i skarży się nawet na samą zmianę formy sejmikowania.

Bryl był w istocie nieznośny z pokątnym wpływem swoim. W czasie ostatniego sejmu, chociaż ministrowie polscy znajdowali się przy królu, nic z nich sobie na dworze nie robiono. Król o nic ich się nie pytał i zdania ich nie zasięgał wcale, dla tego, że zawsze zdanie Bryla, to jest Mniszcha było mu gotowe na zawołanie. Kiedy potrzeba było wydawać jaki przywilej z kancelarji, mimo kanclerzów przedstawiano królowi papiery do podpisu i wychodziły nominacje, konsensa, cessje z pełnej władzy królewskiej, która niczem ograniczoną nie była w rozdawaniu wakansów. Obeszło się bez napisania przywilejów według prawa, bez przedstawiania panu zasług i zdolności obywateli, do czego kanclerze prawem byli zobowiązani, — kto przedstawiał, ten zaraz i wręczał dyplomata bez wiedzy Rzpltéj. Ten sposób postępowania sprawił wstręt w ministrach polskich do dworu, porzucili wszyscy Warszawę i każdy siedział w dobrach swoich a książe kanclerz lit. w Wołczynie; w ustroniu na wsi niektórzy z nich ubolewali nad tem co się dzieje w Rzplitej i bronili wolności jedynie dlatego, że ich Bryl nie słuchał. Ministrowi saskiemu zostało wolne pole do działania.

[1]) List hetmana do kanclerza z Wiesnsza 10 lutego i kanclerza Michała Sapiehy z Wołczyna 19 lutego 1759 r.

To samo odstrychnięcie się ministrów od dworu, ta sama dyktatura Bryla przy nieczynności sejmów, był to już krok de facto, nie umyślnie może, ale stanowczo postawiony ku reformie rządu. Bo kto ręczył, że z kolei i tego by się niezachciało Brylowi? Teraz więc napaść tak jawna, i tak niedorzeczna, pana marszałka nadwornego Mniszcha na kanclerza koronnego, rozpaliła jeszcze więcéj Michała Czartoryskiego, zrepublikanizowała jeszcze mocniej familję, która występuje znowu z zaciszy na pole walki. Straszno im o Mniszcha, żeby czasem upojony zwycięztwem, owocu im długoletnich starań nie odebrał.

Kiedy więc marszałek nadworny koronny obłożony kondemnatą, nie mógł sprawiać swego urzędu w przeciągu krótkiego czasu, jaki przypadł pomiędzy wyrokiem assesorji a wyrokiem trybunalskim, tymczasem książe kanclerz litewski kłócił się listownie z ministrem Brühlem, żeby go lepiej znękać. A powód do tego nastręczył się następujący:

Poseł rossyjski Henryk Gross, był tylko co odwołany i na jego miejsce zjechał nowy, jenerał adjutant Wojejkow (w marcu 1759 r.). Przywiózł jakieś depesze i skarżył się Rzplitéj, że na poprzednie skargi i noty gabinet Petersburgski nie odebrał z Polski żadnej odpowiedzi. Zatem nowe memorjały podał już nie ministrom koronnym i litewskim, ale obcemu ministrowi, elektorswa saskiego Brühlowi, i czynił to jak mówił, stósownie do wyraźnego rozkazu swojego dworu. Oczywiście tam była władza, tam wiadomość o sprawach rządu. Brühl treść depeszy z grzecznym listem przesłał do Wołczyna i do podkanclerzego, Sapiehy, jak się należało; — za to książe kanclerz rozżalony, mając fakt nowy za dowód, że dzieje się w Rzplitéj coś nadzwyczajnego, nienaturalnego, odpisał Brühlowi z zarzutami, bardzo zadziwiony (fort etonné) 28 maja. Brühl listownie się tłómaczył Czartoryskiemu ze swojego postępowania (6 czerwca). Odebrawszy memorjał Wojejkow, przedstawił rzecz całą królowi, który kazał to zaraz odesłać obydwóm pieczętarzom litewskim, co Brühl zrobił w przekonaniu, że Wojejkow nie pisał osobno ani do księcia Czartoryskiego, ani do Sapiehy. Odebrawszy niegrzeczną odpowiedź z Wołczyna, dziwił się Brühl niezmiernie wnioskom takim księcia jak np. że służba Rzplitéj szłaby wybornie, gdyby ministrowie mieli wolność postępowania, a nie doznawali przeszkód w zakresie swojej władzy. Brühl owszem

sądził, że donosząc księciu o tem, co słyszał od Wojejkowa, był nawet grzecznym, bo mógł po prostu tyko odesłać depesze, bez żadnych tłómaczeń się i objaśnień. «Co się w. ks. mości w tém postępowaniu mojem nie podoba, sobie to przypisz, nie mnie,»— powiadał Brühl otwarcie, — «bo nie byłoby tych nieprzyjemności, gdyby ministrowie Rzplitej, jak mają powinność, mieszkali przy królu,«

Druga odpowiedź kanclerza, która miała być niby manifestem i zbiorem krzywd narodowych, bo dowodem, że wolność cierpi, była szczera i otwarta. W krótkich słowach mieściła ważne i pierwszego znaczenia dla Rzplitej zarzuty. We wszystkich czasach i rządach, prawił kanclerz litewski, był i będzie zawsze pewny związek pomiędzy królem i państwem, którego ogniwa stanowią ministrowie narodowi: — każdy z nich ma część własną zarządu i dla dobra ogółu mieszać się do innego wydziału nie może. Tem bardziej minister hanowerski nie ma prawa wglądać w sprawy angielskie i nawzajem. Tenże sam stosunek zachodzi pomiędzy polskimi a saskimi ministrami; traktat 1717 roku, pacta conventa i tyle innych praw gwarantuje w tym względzie swobody Rzplitej. Otoż ja, — powiadał Czartoryski, — który z urzędu mego przestrzegam praw ojczyzny dawno zwracałem na to uwagę, że minister saski przechodzi granicę swojej władzy w naszej Rzplitej. Pan Wojejkow mógł się odnosić do Brühla li tylko w sprawach Saksonji, bo dwór jego tyle interesowany w tem żeby utrzymać spokój w Rzplitej, jest do tego gwarantem traktatu z roku 1717. Ztąd poseł wiedział dobrze, gdzie ma się wprzódy udać w sprawach dotyczących się Polski. Więcej jak to wszystko, uderzał Czartoryskiego zarzut Brühla, że ministrowie Rzplitej nie mieszkają przy królu. «Co za użyteczność mieć będzie dla pana i ojczyzny mój pobyt na dworze albo kolegów moich kanclerzów, kiedy o woli króla dowiadujem się zawsze z ust twoich? — przypominamy, że to mowa do Brühla, wyrazy swoje kładziemy dla dobitności, w niczem nie naruszając rzeczy— kiedy pan nie przyjmuje zdania i sądu ministrów narodowych i nie pyta się nawet o nich, kiedy obrona prawa poczytaną nam jest za opór i nabawia nas niełaski, kiedy wreszcie obowiązek przywiązany do pieczętarzów, żeby powiadali przywileje do podpisu panu, i żeby na urzędy przedstawiali ludzi znanych sobie

ze zdolności i z zasług już oddanych ojczyźnie i t. d., jest nam w rzeczywistości odjętą.» «Co do siebie, kończył tak kanclerz: — «mam inne jeszcze powody wstrzymania się od bywania na dworze: już to od lat 35 piastuję pieczęć, nie szczędziłem ani starań an pracy, wierniem służył królowi i ojczyźnie, a dotąd nie mam żadnej nagrody za ciągłe usiłowania i nie mam o czem mieszkać u dworu; nie dostałem ani pensji, ani starostw, a to przez obojętność króla, którego dobroć, sprawiedliwość, łaskawość, nie pozbawiłaby mnie pewno tego, co się mi należy, gdyby starania, dobrze waszmość panu znajome, nie stawały mi na przeszkodzie.» Przymówki to zbyt widoczne do Mniszcha, który miał zaledwie lat tyle wieku, ile kanclerz litewski służył narodowi.

Wszystko to były przygrywki do wielkiego dramatu, który gotował się wtenczas w Lublinie. Od tego, co się tam stanie na trybunale, głównie zależało, czy wypadki rozwiną się dalej do ostatnich konsekwencij, czyli też nie. Dlatego pokrótce wskażemy tutaj na środki jakich się chwycił pan Mniszech, żeby zjednać sobie wygraną.

Marszałek nadworny, jako pan wielki, nie działał sam osobiście, ale przez podstawione na to osoby. Narzędziem jego był, jak widzieliśmy, jeden z klientów domu Mniszchowskiego, Kossecki, który naprzód chcąc koniecznie sprawę przed trybunał przywołać, wyczerpywał po kolei wszystkie jedne po drugich formalności. Kossecki więc naprzód założył apellację przeciw wyrokowi kanclerza Małachowskiego, który naturalnie apellacji odmówił. Wtedy Mniszech w grodzie Warszawskim, który posłuszny był na każde skinienie jego, ile, że młody Fryderyk Brühl, syn ministra saskiego, był starostą warszawskim po wojewodzie ruskim Czartoryskim, zaciąga do akt manifest przeciw kanclerzowi, w wyrażeniach tak obraźliwych dla urzędu i osobiście dla Małachowskiego, że kanclerz musiał aż bronić się remanifestem przed obliczem Rzplitej, i trzeba mu to przyznać, że bronił się z wszelkiem umiarkowaniem. Sądząc z początku, że na tem się skończy, Małachowski wyjechał, jak mówiliśmy, do Końskich, gdzie zaczął brać lekarstwa. Zadawniała choroba dręczyła wtedy kanclerza, lekarze nie obiecywali mu długiego życia. Ztąd każdą nieprzyjemność brał gorąco do serca i odchorować ją musiał. Otoż w samym początku leczenia się, Kossecki na rozkaz mar-

szałka nadwornego, razem z dwoma donosicielami, wręcza drugie pozwy kanclerzowi, ale już tym razem do trybunału, a to według ówczesnego urzędowego wyrażenia się pro summendis poenis ex re judicata, w sądach zadwornych, to jest domaga się ukarania kanclerza za niesprawiedliwy wyrok; nie o sam wyrok więc idzie panu Mniszchowi, ale o urzędnika, który z godności swojej robi przemysł. Było to, jak się sprawiedliwie wyraził Małachowski, monstrum a condita Rplica niewidziane, pozór wzięty za rzecz samą, aby zgwałcić jasne prawo. Oczywiście, takie przysmaczki musiały szkodliwie oddziaływać na zdrowie kanclerza.

Tymczasem Mniszech pracował i na trybunale. Piastował wtedy laskę marszałkowską Adam Pisarzewski, komornik graniczny lubelski, prezydentem zaś był ksiądz Adam Krasiński, sławny w późniejszym czasie konfederat barski, biskup kamieniecki. Trybunał składało grono członków, którzy stawić czoła trudnościom nie chcieli czy nie umieli i woleli dlatego mocniejszym panom służyć jak to w Polsce zresztą była nie nowina: tym razem więc trybunał był zupełnie dworski, a więc Mniszchowski. Gdyby sprawa uprzedziła cokolwiek sejmiki elekcyjne deputackie, gdyby była dawniejszą, możeby obadwa stronnictwa pańskie sprobowały sił swoich, naprzód na sejmikach trybunalskich, żeby się zawczasu zabezpieczyć, ale teraz trzeba było przyjąć sąd taki jaki był; pan Mniszech też spieszył się, bo kto mu ręczył, że przyszły trybunał będzie powolniejszy? Jednakże i tak nie opuszczał sprawy. W Lublinie zjawił się od niego Jan Rzewuski podstoli w. litew. jako pełnomocnik i kryjomy mecenas. Szło o przyspieszenie sprawy; marszałek chciał co prędzej pozbawić się tej kondemnaty i odzyskać władzę swoją. Więc Rzewuski jeździł po deputatach, prosił i zaklinał, obiecując im wszystkie łaski dworu, aby tylko przyjęli wpis z rejestru spraw directi mandati, co przybliżało znacznie ostateczny wypadek. W tym rejestrze sądziły się sprawy kryminalne, t. j. niecierpiące zwłoki — był to drugi cios dla kanclerza, który listownie zgłaszał się do swoich sędziów, lubo im właściwości nie przyznawał. «Stawać mi w prześwietnym trybunale nie jest dziwno, bom szlachcic, tak pisał Małachowski, i znam się być przed prawem; ale w tak napastnej sprawie stawać, przenika żal serca skrytości. Jedyna jest ufność moja w wiel-

kich sentymentach ww. panów, że jeżeli oppressia na mojej osobie górować będzie, czegoż się całej Polsce spodziewać trzeba? Piszą do mnie, że ma być prokurowany przeciwko mnie wpis ex directo mandato. Siedzę tu circa curam zdrowia mego nadwyrężonego curis publicis, jakże mogłem zgrzeszyć intra moenia Lublina a tem bardziej przeciwko któremu z godnych osób ww. panów. Dla Boga! gwałtu tego przeciw prawu nie dopuszczajcie, przez który równość każdego szlachcica z panem zniszczoną będzie! itd.» [1]). Małachowski w ostatnich słowach jaśnie rzecz położył; już nie jako minister, ale jako szlachcic stawał przeciwko panom i pokazywał, czego to chcą panowie.

Ledwie się opamiętał po pierwszych wrażeniach, jak prędko do jakichkolwiek przyszedł sił, nie skończywszy nawet kuracji, Małachowski zamiast do Warszawy, żeby się znajdować przy boku królewskim, pojechał na trybunał z Końskich prosto do Lublina. Nad wszelkie spodziewanie się zastał tam zjazd panów bardzo świetny, świetniejszy jak kiedykolwiek. Nie sama ciekawość ściągała te tłumy, ale i przyjaźń z Mniszchem i chęć zarobienia sobie na względy Brühla. Narzekano wtenczas wprawdzie na względy dworu, ale mniej sprawiedliwie, bo król w całej tej sprawie odegrał bardzo bierną rolę, i gdyby umiał się postawić jako należało, pewnoby do ostateczności nie dopuścił, ale w tem właśnie wina jego była, że nie umiał i że fantazja Brühla była prawem dla wszystkich, którzy się liczyli do tak nazwanego stronnictwa dworskiego, które tworzyło się na dworze, lubo bez wiedzy i woli królewskiej. Magnaterja polska, która była za dworem, głośno popierała w Lublinie sprawę Mniszcha. Panowie szafowali łaskami królewskiemi i obietnicami, narzucali się z protekcją, rozrzucali hojnie pieniądze. Ludziom, którzy z nimi nie sympatyzowali, grozili prześladowaniem, pozbawieniem praw do promocji, niełaskami dworu. Mniszech ogromne skarby, któreby kilku familjom wieczną spokojność ne całe życie zapewniły, rzucił na grę do Lublina. Dumny marszałek stracił wtedy kilka miljonów, starając się o zniesienie kondemnaty, którejby łatwo mógł w asessorji nie dopuścić przez proste porozumienie się z Karwickim; sypał miljonami, gdy chodziło najwięcej podobno 160,000

[1]) Rulikowski, opis powiatu Wasylkowskiego, str. 125.

zł. p. to jest o wartość trzech lichych wioszczyn. Jak z jednej strony dowodziła ta okoliczność dumy naszych dawnych feudalnych baronów, tak z drugiej strony jest dowodem tej prawdy, że kondemnata była rzeczą okropną, że pozbawiała prawie życia.

Kanclerz miał jeszcze ostatnią nadzieję w hetmanie koronnym Branickim, który aczkolwiek żonaty z kasztelanką krakowską Poniatowską siostrzenicą Czartoryskich, nie lubił familji i otwarcie przez całe życie swoje stawał naprzeciw ich intrygom w obronie źrenicy wolności. Toć tutaj chodziło właśnie o wolność, o konstytucję narodową. W pewnej nadziei, że go poprze hetman, wielką w narodzie wziętość mający, zawczasu już posłał do Białegostoku jednego z synów swoich i upraszał o pomoc. Kanclerzyc jak na nieszczęście źle trafił. Hetman nie mógł ani na chwilę oprzeć się obok Czartoryskich, a gdy ci byli przeciw Mniszchowi po stronie wolności, hetman stanął za ministrem, po stronie dworu. Rzecz w tem, że poseł francuzki Monteils pogodził już wtenczas hetmana z królem i wytłumaczył im, że powinni zawsze być z sobą dla stawienia czoła familji. Chociaż w tej sprawie król miał się zupełnie obojętnie i może mało o niej co wiedział, hetman jednak sądził, że powinien bronić Mniszcha. Co większa wdał się w tę rzecz czynnie i zaufanego przyjaciela jenerała Mokronowskiego wysłał na trybunał do Lublina. Nie możemy powiedzieć, czy był tam jenerał, czy co robił, ale sama intencja hetmańska świadczyła. Kanclerza opuścili wszyscy w Koronie i na razie, bo co mu mogła pomódz Litwa i później.

Odgadł łatwo, rzuciwszy okiem po zgromadzeniu kanclerz koronny, że sprawa jego straconą była w Lublinie, bo cóż mógł postawić sam jeden przeciw intrygom tylu potężnych nieprzyjaciół? Na trybunał ten albowiem zjechali się książę biskup krak. Sołtyk niby to zwiedzając dyecezją, nie potężny jeszcze wpływem, którego później dopiero nabył, ale wielki dostojnem stanowiskiem w radzie i kościele; — dalej, wojewoda kijowski Salezy Potocki, pan miljonowy, który córkę wydawał za młodego Brühla, a przynajmniej miał ją wydać niedługo; — dalej, wojewoda lubelski książę Antoni Lubomirski, zięć Krasińskich, z których był prezydent trybunalski, dalej kasztelan lubelski Wiktoryn Wereszczyński, Józef Komorowski kasztelan bełzki, brat zmarłego księcia prymasa, Roch Jabłonowski kasztelan wiślicki, i innych pa-

nów wielu. Potężny to był zastęp. Zbiegali się wszyscy jakby o Rzplitę chodziło, a im na myśli była tylko prywata.

Pili wszyscy tak wiele, bo Mniszech starym węgrzynem hojnie częstował, że ta pijatyka wkrótce potem sprzątnęła ze świata i podstolego litewskiego, głównego ajenta, i niemocnego Mniszcha, który niedawno co jeździł w poselstwie do Turcji: prawda, że do tego przyczyniła się też wielka fatyga, niedospanie i prace na trybunale; — tak przynajmniej czytaliśmy w jednym pamiętniku domowym, o powodach nagłej prawie na gorączkę śmierci tych obudwu panów.

Na ostatnie umartwienie swoje, kanclerz zastał w Lublinie już listy księcia prymasa Łubieńskiego, który wprawdzie nie oświadczał się zbyt ani na tę ani na ową stronę, ale zawsze czuć z nich było uprzedzenie jakieś przeciw kanclerzowi, co tego pana dobijało. Prymas był wielką w Rzplitej postacią. Przodkowie nasi, tworząc rząd, jakiego wzoru żadne państwo i żadne wieki nie dostarczą, stworzyli i urząd prymacjalny, któremu dali opiekę i nadzór nad rzeczą publiczną; wtenczas, kiedy każdy minister w swoim wydziale był niepodległy od króla, prymas wynosił się ponad wszystkich ministrów i czuwał nad dobrem Rzplitej. Ztąd wszystkie sprawy publiczne i prywatne należały do wydziału prymasa, który w wielu względach był jakby drugą obok króla panującą osobą i mógł nie raz to, czego nie mógł król. Prymas Rzplitę całą reprezentował przed majestatem. Najwyższy kierownik losów ojczyzny w bezkrólewiu, był za życia pana pierwszym obrońcą swobód, wolności i prerogatyw szlachty. Ztąd sprawiedliwie, jako mu należało, Łubieński postawił się zaraz na właściwem sobie miejscu z powodu tej sprawy i podjął się szlachetnej roli pośrednika pomiędzy stronami. Ale poczciwy z kościami, świetny prymas za zbyt ulegał po wsze czasy wpływom i naleganiom i nie był wcale biegłym politykiem; do tego chciał się przypochlebić dworowi a raczej ludziom co dwór składali, co się dworem nazywali, bo miał liczną rodzinę i chciał dla niej wyrobić stanowisko, dlatego mimowolnie czy niemimowolnie, ale chcąc zrobić dobrze, zbłądził. Zajście pomiędzy kanclerzem a marszałkiem, wziął za proste zajście prywatne pana jednego z drugim, a że był do tego przywiązany do króla, króla wziął za Brühla i godząc to niby ministrów, w gruncie serca sprzyjał na prawdę

Mniszchowi. Prymas dał się jednak poprzednio wyraźnie z tem słyszeć, że marszałek nadworny kor. nie ma żadnego prawa do Rokitna; kiedy tak, wyrok asessorji nie mógł być w jego oczach stronniczy na żaden sposób. Czemuż tak postępował, jakby myślał inaczej? Wiedział o tem dobrze kanclerz i dlatego w liście swoim później wyrzucał prymasowi nieszczerość, czy też nietrafność postępowania. Ale mają to do siebie słabe charaktery, że bez taktu i bez logiki postępują. Łubieński sądząc, że nie dojdzie do ostateczności i że jeden z panów koniecznie powinien ustąpić, wolał ze swego stanowiska, żeby ustąpił kanclerz, jak marszałek, bo marszałka stronę wielu panów trzymało, a kanclerza tylko przeciwnicy dworu. Do tego, Małachowski, podług niego, pierwszy obraził wyrokiem swoim Mniszcha. Błądził w tem głównie prymas, że brał to wszystko za wypływ prywaty i obrażonej dumy, kiedy to był ze strony Mniszcha zamach na zasady rządu Rzplitej. Ale jeszcze wtenczas nie wielu panów domyślało się tego, że drapią się na pochyłość, z której tak a nie inaczej spaść będzie można. Dowód zaś, że nie domyślali się niczego w tem widzim, że tutaj za Mniszchem widzim same znakomitości republikańskie, które się potem wsławiły w walkach z reformami zaprowadzonemi przez Stanisława Augusta. Takim był biskup Sołtyk, Potocki, Rzewuscy itd. Dopiero zwycięztwo otrzymane na trybunale, wskazało rzeczywiste niebezpieczeństwo.

Prymas już poprzednio próbował pojednać zwaśnionych panów, od czego zdawało się, że obadwaj nie byli dalecy. Ale rozeszło się to jakoś w początkach. Kość rzucono. Prymas tedy pisał do trybunału, do panów znajdujących się na trybunale i do samego kanclerza; raz jeszcze probował zgody, ale niezręcznie, bo jak powiedzieliśmy, przebijała z jego listów przychylność dla Mniszcha, a więc bezprawie. A zresztą, rzeczy już wtenczas za daleko były posunięte. Jak cofnąć np. pozwy? jak pozwolić na umniejszenie powagi sądów królewskich? jak pominąć obrazę własnej czci? A toćby wszyscy się w oczy śmiali kanclerzowi gdyby się zaparł powinności. Prymas np. pisał do kanclerza: «zdajcie plenipotentom lubelskim skutek illacji, a ci finem imponent przeciwnościom». A dalej kilka wierszy: «zgoda osłodzi spółbraci ruinę, posili zdrowie samo wmp., uwolni sumienie

i pokój cale ugruntuje itd.» [1]). Kanclerz szlachetnie też odpisał na te uwagi prymasowi w następne słowa: «Wspominasz jw. p. i dobr. że przez zgodę uwolnię sumienie moje; ale kiedy ja nie następuję na jw. marszałka, tylko się bronię, a obrona siebie każdemu od Boga pozwolona jest, nie wiem jak się grzechem nazwać może. Przez pozwolenie zaś wyzucia się z prerogatyw, przy których ojczyzna włożyła na mnie onus custodiae legis, nie wiem jak bym mógł dostąpić indulgentiam plenariam; gdybym dał assensum porównania kanclerstwa ze stolnikostwem wendeńskim [2]).» Porównanie dobitne najwyższego urzędu z tytułem tylko urzędu ziemi już oddawna nienależącej do Rzplitej, tylko do Szwecji.

Nie było więc już sposobu dla pośrednictwa: choćby stracić całą fortunę, trzeba było postawić na swojem; ale Mniszech miał co tracić, kanclerz musiał pomyśleć dobrze nad tem, co go czekało w przyszłości. Wprawdzie miał bogate starostwa, ale Mniszech miał bogatsze; na prywatny zaś majątek nie mógł zrównać kanclerz marszałkowi. Nadjechał nareszcie i sam Mniszech do Lublina, za punkt honoru sobie biorąc «postępki jmp. Kosseckiego z lezją honoru mego uczynione utrzymywać» pisze kanclerz w liście do prymasa.

Niezależnie od sprawy o Rokitno zaszedł drugi jeszcze w Rzplitej wypadek, który spowodował księcia prymasa, że podwoił swoich usiłowań, aby tylko czem prędzej sprowadzić zgodę pomiędzy panami, a tem samem i ministrów Rzplitej ściągnąć napowrót do dworu.

Wypadkiem tym było wkroczenie Prusaków do Wielkiej Polski. Lubo fakt sam przez się gwałcił wszelkie prawa międzynarodowe, Rzplita nie tyle gniewała się na to wejście obcego wojska na swój grunt, ileby wypadało, bo od kilkudziesięciu lat nierządu przywykła do wielu podobnych wypadków, i nie próżno mówiono o niej, że stoi jak zajezdna karczma dla każdego otworem, kto chce do niej wpaść i brewerij narobić. Co się często komu przydarza, to już nie zwraca uwagi i staje się naprzód jako zwyczaj, a potem jako nałóg. Nie o wkroczenie więc rozgniewała się Rzplita na brandeburów, lubo i to wywołało pewne obawy, lecz na manifesta i proklamacje, jakie jenerał pruski graf

[1]) Rulikowski str. 124. — [2]) Tamże.

Dohna za wkroczeniem rozrzucił po kraju. Ordynans nakształt uniwersału zwrócony prosto do województwa, wzruszał pokój wewnętrzny Rzplitej, zapowiadał potrzebę ślepego posłuszeństwa dla obcego wojska, wzniecał a przynajmniej zachęcał do jawnego buntu przeciwko władzy krajowej, bo ledwie już nie nakazywał podnieść miecz przeciw królowi i ojczyźnie. Jenerał pruski np. wzywał szlachtę pod swoją chorągiew i chciał ją prowadzić do boju za granicę wabiąc nagrodami. Nie trzeba zapominać, że to był czas największego ruchu w ciągu 7-letniej wojny, — Prusacy więc, którzy z Saksonji wypędzili króla Augusta III, wkraczając do Polski, zdawało się, że przyszli go detronizować i marą zagrożonych swobód chcieli przeciągnąć na swoją stronę umysły szlachty. Rzplita koniecznie potrzebowała ratunku, a tutaj żadnego z ministrów nie było w Warszawie, ani nawet senatorów, którzy z prawa musieli rezydować przy boku królewskim.

August wezwał osobnym gońcem prymasa, który bawił wtedy w Łowiczu, żeby co prędzej na radę przybywał do stolicy. Łubieński natychmiast pośpieszył na wezwanie, i dla pośpiechu nie odbył nawet zwykłego wjazdu do miasta, ale skromnie jakby prywatny człowiek stanął przed królem, niby incognito. Pierwsze posłuchanie u pana miał zaraz wieczorem 6 lipca, ale także prywatnie. August III tak obojętny do wszystkiego, co pracy i trudów kosztowało, ale szczerze życzący dobra Rzplitej, musiał być bardzo dotknięty samotnością, kiedy się serdecznie wynurzał ze swojemi uczuciami przed prymasem. I Łubieńskiemu serce żal wielki ścisnął, tak ciężkie były zarzuty pańskie. Król ubolewał, że jest bez rady, bez ministrów i bez senatorów rezydentów; a potem pytał się prymasa, czy podobny wypadek miał kiedy miejsce w dziejach królów polskich, a osobliwie w tej Rzplitej wolnej, gdzie prawa stróżów przy królach mieć powinny? Łubieński, doskonały znawca dziejów swojej ojczyzny, z zadziwieniem i żalem odparł, że tu istotnie rzecz dzieje się nadzwyczajna i prawu przeciwna, ale dodał zaraz, że na zawołanie wszyscy ministrowie przyjadą i będą królowi w tym razie posłuszni. Z tego powodu król upraszał prymasa, żeby wezwał od siebie jego imieniem panów i upraszał o ich radę. Rozmowa naturalnie dotknęła i panującego obecnie pomiędzy familjami rozdwojenia.

Król dobry, ale do niczego, wynurzył życzenie swoje, żeby jedność i zgoda co prędzej dla ogólnego dobra nastąpiły.

Z tego powodu prymas rozpisał listy do panów w około; nie wiemy ile osób zapraszał do Warszawy, ale mamy pod ręką dwa jego listy, może najważniejsze w całej tej sprawie, bo pisane do dwóch zaciętych przeciwników Mniszcha, to jest do obudwu kanclerzów, litewskiego i koronnego. Podobneż listy otrzymali hetmanowie obojga narodów i wszyscy inni ministrowie. Księciu Czartoryskiemu prymas pisał 12 lipca: «W. ks. mość najlepiej znasz i doskonale wiesz, jakie media straż praw potrzebuje, kiedy sejmy nie biorą skutku. Teraźniejsze niebezpieczeństwa wojny pogranicznéj, najpilniejszego oka z nas wyciągają, jako stróżów niebezpieczeństwa ojczyzny. Wiara, przysięga i miłość tej najukochańszej ojczyzny, sumienie nasze przestrzegają». A zapraszając do stolicy księcia, dodał: «Powinność moja prymacjalna tak mi każe, prawo rozkazuje». Więc nie pisał już jako Łubieński, ale jako prymas, wtenczas, kiedy pierwsze zgłoszenie się do trybunału było więcej poufne i przyjacielskie. Przed Małachowskim otwarciej się prymas wynurzył, bo mu tutaj o sprawę Mniszchowską chodziło: «Racz prywatne, jakie być mogą nienawiści pokryć potrzebą ratunku publicznego, bo moment jeden zgubić nas może. Wiem dowodnie, że kochasz króla, kochasz ojczyznę, przeto ufam, że tu stawisz się, i o tem upewniłem najj. pana.« W końcu zapewniał prymas najwidoczniej, że sam będzie świadkiem przed stanami zgromadzonej Rzplitej usiłowań królewskich dla przywrócenia świętej zgody i jedności.

Najście jednakże Prusaków było chwilowe i nie zawierało rzeczywistego dla Rzplitej niebezpieczeństwa. Ale służyło za wyborny pozór do upomnienia ministrów, którzy Rzplitę pozostawili bez straży na opiece losów. Sam Łubieński pojmował to, kiedy pisał: «To prawda, że grożący Mars pograniczny już musiał umknąć się od granic naszych, ale quis sponsor, jeżeli nie wróci się». Nadto, zapraszając innych, sam się oddalał od stolicy. «Teraz tu tylko przybyłem incognito — pisał — oddalę się na kilka dni, ale pro 3-a augusti przybędę na pierwszą audjencję publiczną». Ukazując ministrom, że chociażby Prusacy opuścili Rzplitę, pozostaną zawsze powody, dla których pożądaną byłaby ich obecność przy królu, prymas twierdził w listach swoich, że trzeba się naradzić o środkach wybrania pełnomocników na przyszły

kongreś, na którym sąsiedzkie mocarstwa zgodę swoją ułożą. Marzyło się wtedy panom, że Polska, może dlatego, że miała obok Saxonję, powinnaby otrzymać głos stanowczy na przyszłym kongresie o pokój, i marzyli poczciwie, że głosu tego posłuchają mocniejsi sąsiedzi. Inne kwestje, dla których zjazdu ministrów potrzeba było, prymas zbywał milczeniem.

Małachowski za całą odpowiedź w krótkich słowach skreśliwszy historję sprawy swojej z Mniszchem i wyrzuciwszy księciu prymasowi na oczy, że dawniej sam widział nieprawość żądań marszałka nadwornego, zapytał się prosto: «Jakże ja mam być adlatus najj. pana, kiedy się tu muszę oganiać w Lublinie z tak ciężkiej honoru mego lezji?« Jednakże ministrom oświadczał, że jakikolwiek wyrok sądu padnie, zawsze stanie według życzenia pańskiego na dzień 3-ci sierpnia w Warszawie, to jest imienin królewskich. Ale wcześnie się obawiając nowych na swoją osobę i godność zamachów, ostrzegał, że przyjdzie mu pewno prędko potem opuścić Warszawę. — Kanclerz lękał się, żeby nowej jakiéj sprawy, z innej już beczki, nie rzucili spiskowi przeciw niemu panowie przed trybunał... Szczery i otwarty, część winy tego jednakże, co się dzieje, rzucał na prymasa: «Masz w. ks. mość sumienie czyste, sentymenta zbawienne, ale masz timiditatem mówienia prawdy równym sobie, a tak niewinnie przez to in publico, zarabiasz sobie na imię parcjalnego. Bądź w. ks. mość przyjacielem tych, których jesteś, ale dla tych samych dobra, których kochasz, mów prawdę.« — Wiele siły w tym wyrzucie. Złość salonowa po dzisiejszemu, po dawnemu pańska, rzucała w oczy potwarze, albo pochlebstwo; rubaszność szczeropolska kontuszowa rżnęła prawdę od ucha, i dlatego na jej stronę Czartoryski oświadczyć się musiał. Charakteryzuje też wielce Małachowskiego i ten dodatek, że list swój pisał jak się wyraża «zmieszanym ze łzami atramentem« (16 lipca). Kanclerz płakał, tak mu ciężko było na sercu, kiedy w osobie swojej widział pogwałcenie praw ojczystych, płakał, bo go za zbyt silnie prześladowano i łez się swoich nie wstydził. A marszałek nadworny przez ten czas pękał ze złości i forsował wszelkimi siłami i gdyby to nawet podobne było, żeby mógł płakać, toby pewnie lał łzy ze złości, z dumy, ale nie z pobudek Małachowskiego i tej żałości serca swojego pewnieby przed drugimi, nieprzyjaciołmi albo obojętnymi ludźmi, nie zdradził.

Książe kanclerz lit. w czasie zbliżającej się sprawy w trybunale nadjechał z Wołczyna do Przybysławic, starostwa swojego leżącego w ziemi łukowskiej, może dlatego, żeby się bliżej znajdować głównego teatru boju. Zresztą książe dość często przesiadywał w Przybysławicach, w których się kochał. List prymasa zastał go już na nowosiedlinach. Nie odpisał zaraz jak Małachowski, ale w kilka dni później (20 lipca). Naprzód lekkie robi wyrzuty, że go nie zawiadomił prymas o swojem wyniesieniu się na arcybiskupstwo, potem idzie powinszowanie nowej godności, wreszcie kanclerz przystępuje do rzeczy. O przyczynach niebytności swojej w Warszawie nie rozszerzał się, bo przesyłał list ostatni Brühla pisany z powodu oświadczeń Wojejkowa, był to list, jak go nazywał kanclerz ułożony stylem wezyrowskim. Jednakże zgodę i jedność ministrów bardzo łatwo zaprowadzić, mówił, niech tylko każdy swojego zarządu pilnuje i do cudzego się nie mięsza, niech fawory dworkie nie psują, nie oczerniają, nie prześladują i wzniecają nienawiści pomiędzy obywatelami jak teraz się dzieje w Lublinie, gdzie kanclerza zapozywają do trybunału, i żeby na niego pioruny mściwe wywołać, tym grożą, tamtym złote góry obiecują. Co do wejścia Prusaków, kanclerz przyznawał, że w tym kroku nieprzyjaciół ujma dla Rzplitej, ale dlatego, że to ujma dla Rzplitej, ani sam senat, ani tém bardziej rada ministrów w to nie poradzi, bo niema do tego żadnego prawa. Interesem Polski jest zachować najściślejszą neutralność, tak, żeby nie dać żadnej stronie najmniejszego powodu do żażaleń. Ratunkiem jedynym i możebnym na obecne dolegliwości jest sejm, to jest zebranie wszystkich trzech stanów Rzplitej. Sejm może zagoić wewnętrzne rany i obrać pełnomocników na kongres mocarstw, nie zaś ministrowie. Jednakże, gdy od lat 20 przeszło sejmu żadnego nie było, gromadzono rady senatu, na tych radach zasiadał król i senatorowie, a więc dwa stany, stan trzeci, «w którym jest nacjonalności istność i treść», jest jakby naumyślnie odsuwany od służącego sobie prawa. Jest to zupełna zmiana formy rządu, której książe jako stróż praw ojczystych pochwalać nie może. Do Warszawy zjechać więc nie miał potrzeby, bo przez to samo upoważniłby zmianę rządu, a do tego i nie miał o czém: zdrowia spracowanego i funduszów ochraniać musiał na czasy sposobniejsze, w których mógłby użytecznie służyć panu

i ojczyźnie. Obiecując wreszcie ze swojej strony czułość, gorliwość i wszelką pomoc księciu prymasowi przy jego sternictwie, pisał Czartoryski: «chciej j. o. w. ks. mość wszędzie i zawsze remonstrować palam, insistenter, operative et fructuose, że jako żadne tak i państwo ojczyzny naszéj uszczęśliwione i ubezpieczone być nie może, tylko przez obserwę i przez manutenencję praw, ustaw, rządów i porządków swoich, że in repartito władz i funkcij w Rzplitej eadem quae remigi imperant etiam jura navarcho (też same prawa rozkazują wiosłu jak sternikowi)». Przez wiosła rozumiał kanclerz ministrów Rzplitej, przez sternika księcia prymasa.

Widzimy z tej odpowiedzi, jak serdecznym był wtedy książe kanclerz lit. republikaninem i obrońcą swobód szlacheckich. On, co pierwszy potem podniósł rękę, kiedy okoliczności były potemu na niepodległe ministerja Rzplitej, on co pierwszy poddał je pod władzę i kontrollę, on który uważał, że porodem wolności szlacheckiej są właśnie te wielkie urzędy Rzplitej, buławy, pieczęci i laski, on z gruntu, z przekonania, z interesu wróg tej wolności, tj. liberum veto, chce sejmu a na nim panowania większości i nie chce słuchać o radach senatu, które przecie dawały jakie takie znaki Europie, że Polska ma rząd i wolał raczej zdać wszystko na los i na Brühla, niż radzić sam w senacie; dawnie przecie nie był tak wybrydny i nie opuszczał tych poważnych zgromadzeń i dawał głos tak jak inni. Książe nawet prymasowi przymawia, że wchodzi w plany nieprzyjaciół tajnych Rzplitej, kiedy im potakuje i rady chce zgromadzać. Chce jak wprzódy niepodległości ministerstw. Rzuca się z gniewem na samą myśl reformy rządu, która się przeprowadza de facto, kiedy stan rycerski nie sejmuje, a senatorowie z królem radzą. Wreszcie odmawia stanowczo, że nie przyjedzie do Warszawy, jak gdyby chciał tego, aby go inni naśladowali, jak gdyby samem zawiązaniem tej milczącej konfederacji wszystkich ministrów chciał w jedno skupić a zmusić przez nich dwór, t. j. Brühla i Mniszcha do tego, żeby porzucili swoją dumą i upraszali go jak o łaskę, o całość Rzplitej. Książe chce bronić tej całości nic sam nie robiąc. Przewiduje, że przyjdzie chwila dla niego i dotąd oszczędza zdrowia i skarbów: jużcić to jawne żarty. Książe kanclerz a raczej Czartoryscy, bo pomiędzy nimi była solidarność, jeden za wszystkich, wszyscy szli za jednego, otóż Czartoryscy byli bardzo bogaci, mieli starostwa

dobra dziedziczne, pensje zagraniczne i t. d. Mieli i pałac swój w stolicy, a życie nie tak wiele kosztowało. To był jawny żart, powtarzamy, z Brühla i z rządzących w Warszawie.

Sprawa Małachowskiego była więc dobrym pozorem dla familji. Przez nią godzono na zmianę rządu, i przez rady senatu. Odmalowali nam historycy czasy Augusta II, jako chwile zupełnej apatji i uśpienia narodowego; głębsze wejrzenie w pomniki czasu przekona, że to była właśnie epoka najwięcej może burząca, wrzaskliwa, niespokojna, najniepewniejsza w całem życiu Rzplitej. Powierzchnia Rzplitej za Augusta III. była spokojna ale wewnątrz nurtowały społeczeństwem ogromne burze. Pełne zapału życie tam wrzało. Czy przeczucie upadku, czy jakie inne natchnienie, dość, że wtenczas mimowolnie budziły się głosy i ten i ów myślał o przyszłości. Miljony interesów i spraw się krzyżowało, a na wszystkie umysły wznioślejsze padła jakby jakim ciężarem z nieba myśl o potrzebie reformy rządu. Każdy o niej myślał, a każdy się obawiał pierwszego na tej drodze kroku. Czuli wszyscy, że reforma konieczna, a przecież przez interes także źle u jednych, dobrze u innych zrozumiany, każdy ją też od siebie odrzucał. Całe panowanie Augusta III li tylko tej myśli było przejawem i na rozwój idei potężnie wpłynęło. Jeżeli dawniej kiedy o reformach myślano w Polsce, myślał pewnie król jaki albo pan odosobniony od tłumu, Stefan Batory, Zamojski, Władysław IV-ty, Jerzy Ossoliński, Marja Ludwika i t. d., ale za Augusta III myślał o niej cały naród. W innym czasie mara unosiła się ponad Rzplitą przez jedną chwilę, dopóki nie zmiarkowano, że nic z całych zamachów nie będzie, ale za Augusta III ta mara unosiła się niewidzianie przez całe panowanie. W innym czasie złapać można było tu i ówdzie na gorącym uczynku intrygę, tam probowano roboty: tutaj nikt nie próbował, nikt idei nie łapał, bo sama nastręczała się wszystkim.

Właśnie w tym samym dniu, kiedy odpisywał kanclerz litewski prymasowi t. j. dnia 20 lipca, trybunał lubelski sądził sprawę Mniszcha z Małachowskim. Zwlekło się nieco, a to z powodu, że trybunał odrzucił żądany wpis directi mandati: była więc nadzieja, że cała rzecz weźmie obrót pomyślny.

Miał Małachowski znakomitego rzecznika, który się podjął jego obrony. Był to zięć jego własny, Szczęsny Czacki, podcza-

szy koronny, obywatel staropolskiej cnoty, z entuzjazmem przywiązany do istniejącej formy rządu, więc serdeczny zwolennik liberum veto, wróg wszelkich pańskich pretensij i nieprzyjaciel dlatego nawet kollegjów szlacheckich, do których zakładania dał hasło Konarski. Dwa ważne miał tutaj Czacki obowiązki: sprawa ta była i sprawą jego rodzinną i publiczną, szło mu o teścia i o Rzplitę, o Małachowskiego i znieważone prawo.

Nie możemy powiedzieć z pewnością, czy podczaszy koronny miał swoją mowę w obec trybunału, bo w kopji, która się nam dostała jest wzmianka tylko, że ta mowa «miała być mianą.« Jeżeli nie mówił, zawsze ją musiał napisać, kiedy do nas doszła, a kiedy napisał, to rozrzucił oczywiście pomiędzy sędziów i po mieście. Zawsze więc to fakt dla sprawy Karwickiego.

Szczerze, czy nieszczerze, Czacki pochlebiał trybunałowi, że przyspieszał sprawiedliwość i że tem wszystkich ukontentował. Więc słusznie należały się pochwały i nieśmiertelna sława trybunałowi: «dawniejsze zazdrościć mu będą, — mówił Czacki, — przyszłe tęsknić do takich sprawiedliwych, przezornych, pilnych i doskonałych sędziów. «Stąd nadzieja, że trybunał dotrwa w raz obranym zawodzie, bo «nierozpoczynający, ale do końca trwający, koronę sprawiedliwości odbiera.» «Robiono nam obietnice, mówi, (podajem tutaj główną treść mowy podczaszego naszemi słowy), zalecenia, prośby od najznakomitszych osób, my przychodzim od wspólnej do was ojczyzny; nam idzie o najwyższą powagę sądów królewskich, które od początku Rzplitej nienaruszone pozostały, nam idzie o najwyższą prawa powagę, my usilne od braci naszych i waszych szlacheckiego stanu zanosimy prośby na fundamencie prawa.« Czacki uderzał więc w demokratyczną żyłkę szlachty przeciw panom i wyraźnie wskazywał na spisek możnowładców, którzy chcieli kosztem kraju sobie pobrykać. Obadwaj i Czacki i Małachowski względem panów byli sobie bracią szlachtą, na którą panowie pewnie się ciskali, że się pomiędzy nich wcisnęła. W wywodzie prawa swego, podczaszy koronny powtórzył pewnie po raz setny prawa, konstytucje, na których opierały się racje Małachowskiego i wyroku assesorji. Przytaczał jakiś dekret ogólny Zygmunta Starego, a potem konstytucję z r. 1590, na mocy której dobra Rokitno i Olszanka za dziedziczne były uznane, wreszcie konstytucję z r. 1661, która, ubezpieczała honor i fortu-

ny szlachty kijowskiej, wołyńskiej, bracławskiej i czernichowskiej. Słusznie powiedział, że gdyby zachciało się komu naruszyć tę ostatnią konstytucję, wtenczas każdy obywatel swojego byłby niepewny, bo Ruś tyle przeszła dziwnych kolei, że trzeba było przyjąć jakąś dla niej zasadę, co się dotyczy własności ziemskiej i rok właśnie 1661 był wzięty za ten punkt wyjścia: kto wtedy dziedziczył jaką wieś, prawo nie wchodziło, skąd szło jego dziedzictwo, kupnem, czy spadkiem, czy kadukiem, czy przywłaszczeniem i uznawało go za właściciela, gdyby więc nie było innych dowodów za Karwickim, to dosyć konstytucyi, że od r. 1661 Rokitno i Olszanka były dziedziczne, jeżeli się nawet pomi. nie wyraźna o nich konstytucja 1590 r. Assesorja wyrokiem swoim zatwierdzając fortunę Karwickiego, zabezpieczyła własność wszystkich mieszkańców czterech województw i dała godny naśladowania przykład, że i biedny szlachcić wygrać może sprawę z panami! (Przymówka gruba, bo widać, że rzadki bywał podobny wypadek). Czacki ciągle bił w żyłę demokratyczną. Rozwijając tę myśl, mówił, że wszystkie prześladowania kanclerza Małachowskiego stąd pochodzą; panowie strawić nie mogąc tego, że upadli, attakują najwyższą władzę królewskich sądów. Otóż, z tego znowu punktu wychodząc, Czacki zacytował kilka konstytucyj i zwyczajowe prawo, że w sprawy sądowi królewskiemu należące i w dekrety ich nie może i nie powinien nikt inny wchodzić. Konstytucje były z r. 1578, 1633, 1699 i 1726. Nie bez słuszności zacytował Czacki i zwyczajowe prawo. W każdym rządzie, są pewne, że tak się wyrazim, dogmata bytu narodowego, których nikt nie napisał, których ująć i chwycić nie podobna, a które czuć tylko można, kiedy się żyje w narodzie, albo kiedy już zasady bytu zmieniły się, których tylko domyśleć się można, przez biegłe wczytanie się w pomniki. Te dogmata wyradzają się i rozwijają razem z życiem narodowem i razem z tem życiem gasną. Są one w każdym narodzie, co przeżył lata i wyrobił sobie podania, wyrył że tak powiemy koryto, po którem płynie swobodnie. Spłynął duch narodowy w każde prawo zwyczajowe, i jeżeli gdziekolwiek duch taki jest silny, to zapewne najsilniejszy był w dzielnie rozwiniętej organizacji, w szlacheckiem życiu Rzplitej. U nas prawo zwyczajowe było silniejsze i większe jak prawo pisane, jak konstytucje. Korona nie miała statutu, Litwa go miała, ale żyła tak

samo jak Polska pod prawem zwyczajowem. Tam, gdzie duch narodowy jest w całej sile, nie próżna rzecz odwołać się do prawa zwyczajowego. Mecenas nakręci jaki artykuł prawa, dowiedzie czego zechce, ale nie przekona sędziów, którzy wtenczas stanowiąc trybunał przysięgłych, postępują podług sumienia, nie podług przepisów. Otóż całe prawo zwyczajowe nasze, podania i przekonania szlachty, że kanclerz jest najwyższą i nietykalną władzą w swojej gałęzi, świadczyły za sprawiedliwością Małachowskiego, panowie zaś przekręcali racje, a ubliżając majestatowi kanclerza, ubliżali królowi i samej Rzplitej, bo to wszystko u nas było solidarnie powiązane z sobą.

Na poparcie uwag swoich, podczaszy kor. cytował nawet formy. Zapozew z assesorji wychodził z nagłówkiem: «My August III.« Wyrok głosił także: My, król z panami i radami naszemi. Konstytycje, sądy assesorskie nazywają często najwyższemi i równają je do sądów sejmowych. [1]). Jest konstytucja z r. 1682, na mocy której marszałek izby poselskiej i kommissarze do prawa pozywani być nie mogli w czasie urzędowania, jakże wyższym jest nad tego marszałka na sądzie swoim zasiadający kanclerz? Skoro więc szło o nietykalność osoby marszałka, prawo to broniło całego stanu szlacheckiego; broniąc kanelerza, broniło się majestatu samego króla. Prawo, kiedy stanowi sądy, zakreśla zwykle ich juryzdykcją i granice, ale kto wskaże w pomroce dziejów początek władzy sądowej kanclerzów? istniała od niepamiętnych czasów, istniała pierwej jak wszystkie sądy, bo zawsze zastępowała władzę panującego, i skądże teraz od kanclerza ma iść apellacja do innej władzy? Nie mogła ta apellacja być zastrzeżona w pisanem prawie, a prawo zwyczajowe jej się wyraźnie sprzeciwia, to pierwszy podobno raz od założenia Rzplitéj w sprawie prywatnej, targają się w taki sposób na władzę namiestniczą króla. Jest tutaj nadto wyraźna nieprzyzwoitość. Komissje graniczne, biorą swoją powagę z dekretów asessorskich, a komissarzów granicznych pozywać nie można, jakże sądy zadworne asessorskie, dając władzę komissjom, mają być wzruszane apellacjami? Komissarze graniczni zastępują kanclerza na gruncie, działają w jego imieniu, a są wolni od pozwów — to zastępcy zastępczej władzy,

[1]) Drugie sądy najwyższej instancji inną formą wydawały wyroki np. trybunał pisał: „Judicium Tribunalis Regni Lublinense, Petricoviense, Radomiense;“ sąd marszałkowski pisał się: «judicium marscharcale,» hetmański «judicium ducale,» ale sąd asessorski pisał się: «Nos Augustus III significamus...«

cóż dopiero sam kanclerz? Nie ma zwykle appellacji, lubo prawo na to pozwala, od wyroku asessorji do sądów relacyjnych, w których król osobiście zasiada i do sejmowych, na których Rzplita zasiada, a skądże mają być do trybunałów? I cóżby pewnego było w Polsce, gdyby np. szła taka appelacja do sądów sejmowych? Byłby to gwałt na wielką skalę uorganizowany, otwarta droga rozbojowi. Starosta jeden i drugi przyłączyłby bezkarnie do swojej królewszczyzny obok niej leżące wioski i miasta, choćby i przegrał sprawę w asessorji, appelowałby do sądu sejmowego i byłby de facto zwycięzcą, bo jak np. w obecnej porze nie dochodzą wcale sejmy, tak niema i sądów sejmowych. Byłaby to stanu szlacheckiego osobista krzywda. Forum zwykłe dla szlachcica jest gród, ziemstwo i trybunał, ale jeżeli sprawa jego kwalifikuje się przejść do asessorji — bez appelacji, bez zwłoki, bez żadnych zabiegów, prędzej otrzyma sprawiedliwość. Wreszcie któż, pytał się Czacki, będzie miał odwagę jakąkolwiek sądzić i wyrokować wedle prawa i sumienia, kiedy najwyższy w swojej gałęzi urzędnik, to jest kanclerz, za wyrok swój jest prześladowany? Więc mocniejszych woli i dyskrecji z konieczności będą poddane honory i fortuny słabszych? Przytoczywszy wreszcie śmierć Chrystusa na dowód, jak niesprawiedliwi sądziowie gwałcą samą boską niewinność, Czacki tak zakończył: «Trzy są widoki do których usilność najszczególniej życia ludzkiego zmierzać powinna: zbawienie duszy, ojczyzna i sława — te wszystkie w teraźniejszej znajdują się sprawie, tych niezgwałcona całość przynosi zupełną szczęśliwość.»

Objaśnić musim słowa Czackiego, że appelacja od sądów asessorskich, mogła iść tylko do sądów relacyjnych, albo sejmowych; appelacji tej prawo nie broniło, bardzo naturalnie: król, Rzplita, byli władzą dla samego nawet kanclerza. Rzadki to jednakże był wypadek, żeby sprawa od asessorji przechodziła do tych instancyj. Kanclerze nie dopuszczali tej appelacji, żeby sobie przez to nie ubliżać, i od nich to najwięcej zależało. Bywały przykłady, że kanclerze nie sądząc, odsyłali sprawy z asessorji do sądów relacyjnych, co im ubliżać nie mogło; robili to przez uczucie delikatności, wtenczas np. kiedy sami nie wiedzieli jak osądzić, gdy jaka sprawa pierwszy raz przychodziła pod ich wyroki, czekali więc przykładu, albo dlatego, że późniejsze sądy

dwóch zgodnych wyroków nie wydawały, albo wreszcie wtedy, kiedy nie chcieli na siebie zbyt wielkiej ściągać odpowiedzialności przed panami lub Rzplitą z przedmiotu niemało znaczącego. Zdarzało się też, że król czasem sam przywołał jaką sprawę na sądy, a wtedy sprawa mijała asessorję. W relacji sądziły się też same zupełnie sprawy co w asessorji, więc łatwe przejście. Na sądach relacyjnych zasiadał król i senatorowie, którzy dawali głosy, a kanclerz ogłaszał wyrok podług większości, lubo był i przepis po elekcji Henryka Walezego, że król różne zdania senatorów ma z sobą pogodzić, a gdyby się nakłonić nie dali na jedno, wybrać mógł to z nich, co najbardziej z prawami i zwyczajami narodowemi się zgadzało.

Z tego wszystkiego wypada, że lubo od kanclerzów najgłówniej zależało sprawę, która przyszła do ich wyroku puścić mimo siebie do sądów relacyjnych, jednakże prawo sprzeciwiało się appelacji — nie sama więc appelacja była tutaj, jak widzimy, nieprawną, ale appelacya do niewłaściwego sądu. Małachowskiego można było pozwać przed króla, albo przed sejm, lubo i to wywołałoby wielkie zgorszenie w Rzplitej, ale nie przed trybunał. Zatem podwójne było nadużycie ze strony Mniszcha: 1) appelacja od wyroku kanclerskiego do niewłaściwego sądu, — 2) pociąganie do odpowiedzialności za wyrok, co rzecz niesłychana, nietylko w Polsce, ale i w świecie całym. Appelacja wtenczas dopiero byłaby poniekąd usprawiedliwioną, gdyby wyrok nie był ferowany p l u r a l i t a t e, to jest stosownie do większości głosów, co było prawem zasadniczem w sądach asessorskich. Lecz i w tym razie nie wolno było pozywać kanclerza do sądów relacyjnych, albo sejmowych, od których król także stanowił podług większości. Ostatni zapozew byłby właściwszy, gdyż tu zachodziłaby kwestja o ubliżenie prawu przez stany Rzplitej postanowionemu. Silili się też nieprzyjaciele kanclerza dowodzić, że dekret asessorski w sprawie Karwickiego wydany, zapadł n i e p r a w n i e, bo nie podług większości, chociaż i na to potrzeba uważać, że prawo stanowienia podług większości w sądach kanclerskich i królewskich, tak sejmowych, jak relacyjnych, zawsze u nas podlegało zaprzeczeniom, a nawet miało poniekąd przeciw-prawo w powyższej ustawie Henryka Walezego. Była to jedna z wielkich wad naszego prawodawstwa.

Zabrał i sam kanclerz koronny głos w swojej obronie. Po-

wtórzył wywody, dowody, objaśnienia innych, które za nim tak jasno świadczyły. Powiedział, że Mniszech pozywa nie jego, lecz króla, i dziwił się, że tak wiele pan marszałek władzy przyznaje swojemu pełnomocnikowi, bo lubo koloryzuje to w manifeście swoim warszawskim i mówi, że idzie mu o sądy tylko kanclerskie, jednakże konstytucje wszystkie zwą sądy kanclerskie sądami zadwornemi j. k. mci; a tego faktu żaden dowcip nie przewróci. Daléj kanclerz objaśnia, że wynaleziony koncept appelacyi od sądów zadwornych asessorskich do relacyjnych, wbrew wyrokom sejmowym, gdyby za cel miał dotknąć go osobiście i zatruć albo skrócić mu życie, szkoda byłaby jego własna, ależ tu o powagę Rzplitej idzie. Jest to zamach, żeby pieczętarze nosili tylko pieczęć dla zwyczaju, a nie byli jak dotąd stróżami praw ojczystych. (Temi słowy Małachowski jawnie wskazywał na pochyłość, po której w razie zwycięztwa miał się stoczyć marszałek nadworny. Za nią przeglądała reforma rządu). Domagał się kary na Kosseckiego, nie dla zemsty, ale za płochość, bo winy jeszcze mu nie przypisywał. Za co, pytał się, ojczyzna nie podoba się prywatnym osobom, w tym okręgu praw, jak ją chcą mieć konstytucje? Potém szlachetnie wyciągał rękę do zgody z Mniszchem: «Jw. mość panie marszałku nadworny kor. dałeś dowody przywiązania swego do osoby króla a pana naszego, dałeś dowody, że kochasz ojczyznę, dałem i ja wzajemnie. Nie lepiéjże było te dni, godziny, konserwować równo ze mną na wynalezienie sposobów do wydźwignięcia króla i ojczyzny z tyeh krytycznych konjektur, niżeli z potem czoła obrać ten czas dla wynalezienia sposobów przeciwko mnie do zadawania mi coraz mocniejszej mortyfikacji? W sprawie wm. pana z jmć panem Karwickim osądziłem privilegium reponibile na dobra Rokitno, alem to nie uczynił z przywiązania do jm.pana Karwickiego, bo z przyjaźni wm. pana mogę sobie obiecywać siła korzyści, ale non item z przyjaźni jp. Karwickiego; tak mi się zdawało decydować według sumienia. Pytam się na ostatku, w którymże to kraju, w którym narodzie znajduje się? — aby justitiam sitiens mógł sędziemu (od którego w sprawie czeka decyzji), odbierać libertatem sentiendi?

Któż mógł pokonać te silne, zwycięzkie słowa i dowody kanclerza? Zła wiara.

Widzieli słabość swoją obrońcy Mniszcha. Spekulowali więc na kruczki prawne. Jednym z tych kruczków było, że kanclerz

w swoim wyroku nie stosował się do większości assesorów. Widzieliśmy, jak można było obejść się bez tej większości, bo prawo w tym względzie było niejasne, mówiło pro i contra. Ale marszałkowscy rozrzucili po Lublinie drukowane reflexje nad władzą sądowniczą kanclerza, gdzie głównie bili na Małachowskiego za to nieposłuchanie większości. Kanclerz bronił się podobnym sposobem, stronnicy jego rozrzucili reflexje nad władzą kanclerskiej sądowej jurysdykcji. Dla ciągu rzeczy poznać musimy i te, bardzo ciekawe dokumenta.

Stronnicy Mniszcha dowodzili, że kanclerz sam decydować nie ma prawa, lecz że każdy z asessorów powinien mieć głos stanowczy i że większość głosów orzeka; — dalej, że sądy assesorskie nie są sądami ostatniej instancji i że od nich idzie appelacja. Teorja rozwijała się; dwie te kwestje, gdyby za Małachowskim padły, Mniszchowscy dowodziliby, że to są defekta sądów assesorskich, ale defektów w prawie nie ma i być nie może przed czasem. Dowiedli jednak swego, bo czegóż prawnik nie dokaże? Tylko, że dowody ich, które pokładali względem swojej teorji, sprawiedliwie zbijały konstytucje i prawa zwyczajowe; u ludzi, których łudzą pozory, u ludzi złéj woli, dla ludzi dyalektyki, cóż znaczy duch prawa!

Odpowiadali na to stronnicy kanclerscy: gdyby defekta te w istocie exystowały w urządzeniu assesorji, władza kanclerska sądowa byłaby wtedy mniejsza od starościńskiej, grodzkiej, nawet od wójtowskiej, bo starosta, sędzia grodzki i wójt, wprawdzie nie są ostateczną instancją i od nich idzie appelacja, ale za to nie stosują się do większości głosów i sami wyrok wydają.

Na dowód swoich założeń, marszałkowscy kładli jeden artykuł paktów konwentów króla Michała Korybuta, że na sądach sejmowych i zadwornych, sprawy sądzić się będą z regestru, porządkiem, jakim są wpisane, a wyrok zastósuje się do większości głosów. Dalej przytaczali artykuł z paktów Władysława IV i Jana Kazimierza wyjęty, i w pakta Michała wpisany, artykuł, który potem powtarzał się we wszystkich paktach królów następnych, że w sądach zadwornych relacyjnych, według opisania paktów Henrykowskich, król stosować się będzie do zdania senatorów i urzędników. Więc wniosek: kiedy król sam wyroku wydawać nie może, już i kanclerz zastępujący jego osobę, nie może sam wyrokować, a zdanie swoje ma stosować do zdania większości

assesorów, jak król, — inaczej, twierdzili, nie potrzeba byłoby nawet przydawać kanclerzowi assesorów.

Odpowiadali na ten zarzut kanclerscy, że podobny argument dowodzi tego, czego chce dowieść, a nie dowodzi tego, czego nie chce, to jest, że wyprowadza wnioski, jakie mu się podoba, bez względu na sprawiedliwość i logikę. Płynie albowiem z takiego rozumowania naprzód to przekonanie, że appelacja od sądów królewskich, jakiekolwiek są, iść już nie ma, gdzie nie powinna, bo inaczéj stałoby się zasadą w Rzplitéj wielkie głupstwo: kto ma moc decyzję sędziego odmieniać, ten może i za wyrok niesprawiedliwy karać, — więc król mógłby ulegać téż karze, jak tutaj, np. w trybunale. Król podzielił władzę swoją na wiele osobnych jurysdykcij, które naturalnie przez to samo sądzą w najwyższéj instancji, a jeżeli się trafi, że sprawę jaką odeszle np. sąd marszałkowski do assesorskiego, nie ma się to rozumieć, żeby od marszałków do kanclerzów szła appelacja, ale że sąd jeden uznał niewłaściwość swoją i do właściwszego rzecz sporną odesłał. To rzecz jasna. Argument zaś stronników pana Mniszcha nie widzi tego, czego widzieć nie chce, to jest, że według owych paktów konwentów, większością głosów nigdy się owe sądy assesorskie nie rządziły. A naprzód obadwa te artykuły, z różnych paktów wzięte nie jedną myśl w sobie zawierają, więc dowodzić też jednej rzeczy nie mogą, Pierwszy wprawdzie punkt obowiązuje króla do słuchania większości, drugi zaś nie, bo żąda, żeby król pytał się tylko o zdanie senatorów, ale nie przepisuje, żeby szedł za większością: wyrok woli pańskiej prawo zostawia. Gdyby obadwa te punkta brać za jedno, wtedy podług nich, dałby się podwójny wyprowadzić wniosek, to jest, że król powinien i niepowinien iść za większością. Więc chcąc coś logicznie dowodzić, jeden albo drugi punkt wybrać koniecznie potrzeba, a drugi porzucić. Dalej można dowieść, że przepis, według którego król ma się stósować do zdania większości, jedynie w sądach sejmowych i relacyjnych ma miejsce, bo w paktach Michała gdzie mowa jest o porządku sądzenia, stoi, że referendarze mają przywoływać sprawy wtenczas, kiedy je w sądach assesorskich przywołuje sam kanclerz albo podkanclerzy. Więc przepis pierwszy paktów z roku 1669, nie odnosi się wcale do sądów assesorskich, bo o nich tam mowy nie ma, a drugi prawi o paktach Henrykowskich, które wręcz sprzeciwiają się większości; — zatem dowieść można, że większości

być nie może i nie powinno w żadnych sądach zadwornych. — Konstytucje jednakże piszą, że konkluzja ma być przy królu, który senatorów wysłucha; — jakaż konluzja przy królu, jeżeli zdanie większości ma być stanowcze? Wszakże w takim razie co większość postanowi, król musiałby przyjąć, chociażby nie zgodził się na to; gdzież konkluzja jego wtedy będzie? Tém bardziej zatem większość nie ma znaczenia dla kanclerza, chociażby i pierwszy punkt paktów Michała do sądów zadwornych dał się nagiąć, kiedy król sądy assesorskie zdał zupełnie na pieczętarzów, jak widać z poprzedniego rozumowania, szerszą im nadał władzę, bo nie kazał kanclerzom słuchać większości, a tylko polecił żądać od niéj objaśnień. Tak Stefan Batory, kiedy sprawy ziemskie składał na trybunały, tak Jan III, kiedy sprawy magdeburgskie, które do króla należały, oddawał assesorji, przepisywali obadwaj nowe ordynacje dla trybunałów i assesorij. Pacta convecta względem tych sądów póty obowiązywały tych królów póki oni sami sądzili i sprawy ziemskie i magdeburgję, bo pakta tylko królów obowiązywać mogą. — Król Jan zachowawszy sobie pewien rodzaj spraw zadwornych, które dzisiaj sądzą się w relacji, ustąpił nawet z prezydencji na sądach innych wszelkich spraw zadwornych, a tém samém zdał na kanclerzów wszystko i kanclerze naturalnie przyjęli nowy obowiązek na zasadach służących swojemu urzędowi, to jest, żeby sami decydowali wysłuchawszy zdania. Król Jan III w konstytucjach swoich zwie wyraźnie obudwóch pieczętarzów praesides judiciorum curiae Regni. Ordynacja tego króla sądów zadwornych nosi datę dnia 1. marca 1680 roku. Zmienić ją może sama li jedynie Rzplita, w trzech stanach na sejmie reprezentowana. Tam gdzie większość głosów obowiązuje, prawo jest jasne jak słońce. W trybunałach n. p. sądzi ostatecznie większość, dla tego tam oznaczony i komplet deputatów potrzebnych do wydania wyroku i przepisana rota przysięgi, i przewidziany wypadek, kiedy równość głosów wypadnie. A w sądach assesorskich niema oznaczonego kompletu, jaki ma wyrokować; dalej nie ma roty przysięgi dla sędziów, i nie powiedziano nic, czy assesorowie mają być wybierani po sejmikach, czy mają by mianowani, czy dożywotnio, czy na czas jaki i t. d. Trybunał cały obowiązany jest do zachowania ordynacji swoich sądów, dla assesorji zaś niema tego przepisu

mowa tam li tylko o pieczętarzach, że prawo zachować mają; w trybunałach rzecz jest inna, tam wymienieni są i deputaci.

Dalej wyciągając wszelkie możebne wnioski z ordynacji Jana III, stronnicy Małachowskiego przytaczają artykuł, że w sądach zadwornych mają sprawy przywoływać kanclerze i sądzić. Jest tam wzmianka o referendarzu, ale niema nic o assesorach, którzy musieliby przecie być wzmiankowani w ordynacji, gdyby mieli być równymi sędziami kanclerzom, tak dalece, żeby aż ci ostatni iść powinni byli za ich większością. Inny punkt, oznaczający co ma robić pisarz, gdy po ogłoszeniu wyroku znajdzie się nowy jaki dowód, sprawę w innem wyjaśniający świetle, nie ma nic także o assesorach. Kanclerz ma wyrok poprawić według znalezionego dowodu, jest na to przepis, a jakżeby kanclerz miał prawo poprawić wyrok, którego sam nie wydał? to się znaczy, kanclerz miałby powinność słuchać większości, a potém poprawiać ją i nie słuchać, to jest wyrokować, jak jemu samemu zdawać się będzie.

Więc po cóż zasiadają assesorowie w sądach zadwornych, kiedy, pokazuje się, nie są wcale potrzebni? zapytywać mogli obrońcy Mniszcha?

Przewidując to zapytanie, assesorowie zasiadają, — odpowiadali stronnicy Małachowskiego, — dla powagi osoby sądzącej w imieniu i w zastępstwie króla. Informują, objaśniają, tłómaczą rozbierają powody, jednem słowem pomagają dla dokładnego rozjaśnienia sprawy. Tak jenerałowie nieraz z hetmanem zasiadali do sądów, a szedł wyrok od hetmana, tak z trybunałami obradowały ziemstwa. Tam ziemstwa, tu jenerałowie, mieli głos doradczy.

Tak więc pacta conventa iść tutaj za zasadę nie mogą — wywiodło się to historycznie. A do tego byłoby nieprzyzwoite i niewłaściwe, żeby król poprzysięgał na to, co kanclerz ma wypełniać. Michał przysięgał li tylko na to, co ma sam spełniać, toż i Jan III, ale kiedy Jan III rozszerzył władzę assesorji, pakta jego mogą tylko prawić o większości w sądach relacyjnych. Inaczej król przysięgałby za kanclerza. Nadto, pakta pomiędzy wybranym królem a Rzplitą, jako dwiema wtenczas stronami, stanowione, gdzie kanclerz był ze strony Rzplitej, zobowiązującym króla do przyjęcia tegoż prawa, mogąż w czem ubliżać prawu kanclerskiemu

które ukoronowana głowa razem z Rzplitą dla niego uradziła i napisała? Owszem zacytowaćby raczej należało punkt z paktów króla Augusta III, który dygnitarstwa i urzędy przy dawnych prawach, juryzdykcjach, zwyczajach zachowuje a przywilejów ich zmniejszać i skasować obiecuje nie pozwalać.

Jeżeli już idzie nie o same przepisy prawa, ale o prawo zwyczajowe i o świadectwa autorów, jest na zawołanie Łubieński, biskup płocki, człowiek dobrze znający Rzplitą i rząd jej, który pisze do Tomasza Zamojskiego (in amica paraenesi), że kanclerze nie mają powinności stosować zdania swojego do zdania asesorów. Są inni autorowie, którzy to samo potwierdzą; są jeszcze przy życiu godni wiary ludzie, którzy zaświadczą, że kanclerze nie oglądali się nigdy za większością. Kiedy więc pakta Augusta III zachowują wszystkie urzędy i dygnitarstwa przy dawnych przywilejach, jedniż kanclerze mają być z pod opieki praw wolni i wyjęci?

Stronnicy Małachowskiego mówili, że broniąc kanclerzów, nie powstają bynajmniej na władzę marszałków, albo hetmanów. Owszem, gdyby kto powstał przeciw tym godnościom, broniliby także hetmanów, jak i marszałków, jeżeli nie z innego względu, to dlatego przynajmniej, że wszelka nowość w Rzplitej jest szkodliwa, że wszelka nowość taka dążyłaby do reformy rządu, a reformę może tylko jedynie sejm przedsięwziąść. Ale zwracali na to uwagę, że gdyby kto chciał np. dogryźć marszałkom i powstać na ich władzę, mógłby to łatwo teraz uczynić, postępując tak, jak marszałek czyni z kanclerzem. Trzeba tylko być dowcipnym i z pisanych praw nowe niebywałe dotąd pięknym dowcipem wyprowadzić wnioski. Oto np. jest konstytucja z r. 1678, opisująca sądy marszałkowskie; wszakże zostawiła egzekucją wyroku nie marszałkom, ale ich urzędom, to jest sędziemu i pisarzowi, i stosowną rotę przysięgi dla tych urzędników postanowiła. Toż samo powtórzyła konstytucja 1699 roku, rozszerzając to prawo na Koronę i Litwę. A jednak marszałkowie moc sądzenia sobie przyznawają i osobiście zasiadają i jeszcze od urzędu swojego do siebie przywołują sprawy. Gdyby z paktów Augusta IIIgo szło, jak chcą mieć przeciwnicy kanclerza, że w sądach zadwornych i sejmowych, król ma iść za większością głosów, toć ten przepis ściągałby się nietylko do sądów assesorskich, ale do

marszałkowskich i hetmańskich. Ale jak nie ściągają się pakta do assesorji: tak arbitraria interpretatio byłaby ściągać je do sądów marszałkowskich i hetmańskich.

Dalej w roku 1717 Rzplita opisywała znowu kanclerzów. Czyżby zapomniała o tej większości i nie naganiała im tego, że nie idą za nią według paktów Augusta II-go, gdyby większość rzeczywiście obowiązywała?

Więc, mówili stronnicy Mniszchowscy, kanclerz może sądzić według swojej woli i stanowczo, ale król nie, — więc król ma mniej powagi od kanclerza? Na to odpowiedź: wszakże trybunał jest namiestniczą władzą króla, a ma więcej w sądach od niego wolności; — czyjaż wina, że król tak mało sobie władzy zostawił? Bo o urazę powagi trybunału, trybunał sam ma prawo sądzić i karać, a o urazę powagi majestatu, król nie sądzi sam, ale sąd sejmowy, — król nawet znajdować się nie może w sądowej izbie, podczas kiedy wydaje się wyrok. Większość zresztą i w trybunałach szkodliwa: familje tworzą trybunały, więc starają się tylko zebrać większość i deputatów swojej chorągwi, a ta większość głosuje jak chce, jak jej panowie polecą i wskażą.

Przykład wzięty z historji poparł jeszcze to rozumowanie. Za Jana Kazimierza sąd marszałkowski skazał na śmierć Radziejowskiego; Żytkiewicz instygator już poprzysiągł. Działo się to w czasie sejmu, lubo izba poselska i marszałek jej Zamojski przy połączeniu się z senatem silnie na wyrok powstawali, przecież sąd marszałkowski nie cofnął się. Następuje z tego powodu wojna szwedzka i niszczy całą Rzplitę. Ale wraca potem Radziejowski, sejm ogłasza go niewinnym i wyrok marszałkowski niszczy, a dawnego podkanclerzego król dobrodziejstwami obsypuje. Kiedy zatem wyrok sądu marszałkowskiego pokazał się szkodliwym dla Rzplitej, kiedy sam sąd opierał się izbie poselskiej, w której zostawała treść i moc narodu, czemuż zapobiegając przyszłości, czemuż sejm nie przydał wtedy marszałkom assesorów z głosami stanowczemi i nie nakazał tym ministrom stosować się do zdania większości, a skasował tylko jeden wyrok? Odpowiedź: bo sejm wiedział, że niesumienny marszałek byłby to jeden tyran, a niesumienni z głosem stanowczym assesorowie, byłaby to cała klika tyranów.

Ostateczny wniosek stronników kanclerskiej władzy był taki: jeżeli kanclerze sądzili dotąd nie zważając na większość, jeżeli większość była zawarowana prawem, więc byli sędziami dopuszczającymi się bezprawia, więc wyroki ich dotąd wydawane są bezprawne, i naturalnie ztąd żadne; więc cała Polska skarżyć się może na te wyroki i cała przeciw nim powstawać. Będą nowe sprawy ze spraw dawnych i nastąpi zamieszanie jak w czasach biblijnych, na wieży Babel.

Wszystkie te atoli dowody, wywody i rozumowania nie zdały się na nic i mało robiły skutku. Kto nie chce widzieć, nie widzi. Małachowski przegrał sprawę wstępną in accessorio, to jest przyznał marszałkowi nadwornemu trybunał, że do niego może iść appelacja od kanclerza. Zamach był dokonany. Widoczna szczerba pokazała się w starej konstytucji Rzplitej.

Kiedy przegrał kanclerz, więc w swoją kolej Mniszech wygrał choć na tymczasem wioski Karwickiego, bo miała iść o to sprawa na nowo, gdy wyrok dawny był zaskarżony; Kossecki zaś był uniewinniony zupełnie i wyrok assesorji przez to samo względem niego się unieważniał.

Trybunał jednak, aczkolwiek przekupiony, nie odważył się w swoim wyroku pokrzywdzić chociaż jednem słówkiem kanclerza. Siła opinji publicznej za nim głośno wołała. Paszkwile zaraz rozleciały się po sądach, w których niemiłosiernie targano przyjaciół marszałka nadwornego, a pod niebo tych deputatów wynoszono, którzy się nie dali uwieść w sidła korzyści. Wątła to była osłoda dla kanclerza, którego serdecznie zabolał wyrok trybunalski, nie mógł jednak wyrzekać na skutki wyroku. Od Mniszcha, do którego dawniej już wstręt powzięto, niekoniecznie za tę sprawę, teraz się ostatecznie wielu uczciwych a neutralnych dotąd odstrychnęło. Małachowski tymczasem jak mógł udawał zucha i nadrabiał miną.

Mógłby kto zarzucić, że kanclerz był temu winien; kiedy znał prawo swoje, po cóż stawał przed trybunałem? Stawając zaś, sam uznawał władzę jego nad sobą. Odpowiemy na to: — kanclerzowi chodziło przedewszystkiem o to, żeby zaocznie trybunał, prawnie czy nieprawnie, nie wyrzekł co przeciw niemu, żeby nie napisał na niego kondemnaty, bo nimby się wywiodło na jaśnię i przekonało deputatów, że są złej woli, tymczasem

korzystając z kondemnaty, byłby mógł marszałek odsądzić go od urzędu. Obraza byłaby za obrazę. Zamach na Rzplitą byłby widoczniejszy, bo dotąd mówiono tylko w obronie Mniszcha o tem, że appelacyja idzie od kanclerza do trybunału, a teraz w czynie pokazałoby się, że to jest prawda, a na ruinach władzy kanclerza podnosiłaby się nowa jakaś nieokreślona władza. Szło właśnie głównie o to, żeby tego nadużycia nie dopuścić. Lepiej było narazić się na przegraną jak na kondemnatę. Przegrana jedna nie znaczyła jeszcze, że rzecz zupełnie stracona.

Ale coraz ważniejsze rozwijały się skutki wyroku trybunalskiego dla sprawy o Rokitno. Karwicki, przewidując naturalnie że tak się skończy, odstąpił od sądu. Trybunał przyznawszy już sobie prawo przeglądania wyroków kanclerskich, kwestji nie ma, że na drugie pytanie odpowiedziałby twierdząco, to jest, że uchyliłby wyrok assesorski jako nieprawny i wioski stanowczo przyznałby Mniszchowi. Wolał zatem Karwicki usunąć się i narazić się nawet na kondemnatę, która jemu nie tak wiele szkodziła jak kanclerzowi, a wolał przynajmniej ratować sprawę, która byłaby ostatecznie przegraną, gdyby stanął, a wyrok wypadł przeciwko niemu. W istocie nie stanął Karwicki na pozew; trybunał cisnął na niego kondemnatę.

Drugim skutkiem wyroku trybunalskiego było, że marszałek Mniszech, pokonawszy wstępnym bojem przeciwników, uwolnił się tem samem od kondemnaty i wrócił prawnie do urzędu.

Trzecim najważniejszym skutkiem wyroku była gra, która tutaj już poszła o Rzplitę; sprawa o Rokitno przybrała niezmierne rozmiary, nie spierał się sam Mniszech z Karwickim, ale marszałek z kanclerzem. Zapalił się spór dwóch władz, dwóch oddzielnych jurysdykcyj. Spór to musiał być namiętniejszy od innych, bo namiętności polityczne, cała myśl spółczesna Rzplitej do tej walki zamięszane były. Jeżeli stronnictwa dotąd więcej dla prywaty szermowały, teraz już im szło o życie, o przyszłość, na którą pracowały, o wszystko.

Tryumfując też, nadjechał prosto z Lublina do Warszawy po wyroku marszałek nadworny z nieodstępnym biskupem krakowskim Sołtykiem (23 lipca). Przyjechali dworno i z hałasem. Nazajutrz zaraz mieli posłuchanie obadwaj u króla, a Mniszech objął władzę, której przez trz[illegible] miesi[illegible]e przeszło był pozbawiony.

Król był bardzo niekontent z tego, co się stało, bo przewidywał, że sprawa lubelska jeszcze więcej od niego odstręczy ministrów i senatorów Rzplitej. Ubolewał nad tem, że kanclerz nie uciekł się do jego protekcji i że li tylko mocą urzędu swojego zjednać sobie usiłował trybunał. Jednakże Małachowski rzeczywiście dobrze przed sprawą tłómaczył panu skutki przewidywane wypadku i napróżno. Król mógł doskonale temu co się stało zapobiedz, ale zapobiegać trzeba było w kwietniu nie zaś w lipcu. Po wyroku trybunalskim, król jeszcze narzekał na Małachowskiego; zdawało się np. królowi, że kanclerz chybił w tem, że decydował w sądach swoich powagą i zdaniem własnem — assesorów prawem naznaczonych mając pro forma, po cóż kanclerz liczbę ich reskryptami przymnażał? Czyż tylko dla pozoru? A to jednak jasne było i król sam przeciw sobie mówił: gdyby albowiem kanclerz miał się stósować do większości, toćby pewnie był swobodniejszym przy małej liczbie assesorów i reskryptami by ich pewno nie przymnażał.

Nadchodził największy dzień w roku: — dzień imienin królewskich i orderu Orła Białego (3 sierpnia). Kwaśny humor pana powiększyła ta okoliczność, że panów wcale nie było w Warszawie. Niegdyś tłumami się zjeżdżali na obiad i zabawy w saskim ogrodzie, niegdyś sami wydawali uczty i bale, chcąc pana uczcić. A teraz pusto wcale było na komnatach pałacowych, nawet orderowi nie zjechali się, nawet kandydatów do orderu nie było. Na wezwanie prymasa przyjechało wprawdzie kilku senatorów duchownych i świeckich, ale z ministrów stawił się jeden tylko książę hetman wielki litewski Radziwiłł. Nawet kanclerz koronny chociaż obiecał, nie stawił się na słowie, pewno nie ze swojej winy, bo szczerze obiecywał. Książę prymas naturalnie także przyjechał. W wilję imienin odbył wjazd świetny, a nazajutrz miał posłuchanie u króla. Były jak zwykle pokoje u pana, obiad, strzelanie do tarczy, opera włoska, illuminacje. Prymas i książę biskup krakowski innych dni sadzili się też na illuminacje i uczty. Król rozdawał zawakowane biskupstwa i ordery. Krasiński prezydent trybunału został tym razem biskupem kamienieckim, bo order jeszcze roku zeszłego otrzymał. Ale jakoś życia nie było. Czekano jeszcze na panów, — ale nadjechał tylko, spóźniwszy się cokolwiek, kanclerz Małachowski.

Prymas na nowo zaczynał rokowania z księciem Czartoryskim o zgodę. Król kazał mu pisać i znał całą treść jego listu. Uniewinniał się Łubieński z tego, że nie doniósł księciu o swojem wyniesieniu się na prymasostwo. Poczem odrazu przystępując do rzeczy, wyrzucał księciu zbytnią żywość i ten «styl wezyrowski», którym to miał niby Brühl pisać. Gorszy to wyrażenie wszystkich myślących o przyszłości Rzplitej, martwi króla, gdy w chrześciańskiem państwie rządy katolickie równają się pogańskim. Te opaczne dobrych czynów tłómaczenia tępią chęci króla i pełniących jego wolę do nieustannego radzenia o Rzplitej. Prymas widzi, że zanosi się na burzę, on sam tylkoć jeden został przy sterze. «Łódka Rzplitej ładowna nieoszacowaną wolnością jest igrzyskiem bałwanów, które to z zagranicy, to z domu nadpływają». Jedni bowiem jakby zapomnieli poprzysiężonej królowi i ojczyźnie powinności, mając przytomną radą służyć, domowemi zaprzątają się tylko zabawami, drudzy pod publiczne podsuwając prywatne sprawy, dworowi przypisują wszelkie złe wynikające ztąd skutki. Ledwo zaś kto jest, żeby marszczył na to oko, że «wspomniony nasz skarb, na głębokiem jest morzu, samemi unoszony fluktami i lada moment bez przyłożenia pracy ostatnią grozić będzie zgubą». Dwór, — mówił dalej prymas, — zawsze ten sam, jaki był dawniej: król zawsze łaskawy, dobry i sprawiedliwy. Prawdę kocha a urzędom ubliżać nie chce. Ale kiedy ci, których ustami królewskiemi prawo mieć chciało, milczą na wszystko co się źle dzieje i właśnie nie bacząc od kogo mają sobie powierzoną władzę, bez dołożenia się panu, absolutnie rzeczy czynią i słuchać nie lubią, gdy im kto spraw dependencję od króla i Rzplitej wspomina. Kogóż tu winować, gdy sobie zabawkę, nic dobrego ojczyźnie przynoszącą, zrobią? To jawne przymówki do Małachowskiego, o którym prymas rozszerzył się, nie wymieniając osoby. Wreszcie pisze otwarcie: co tylko zdrożnego jest w Rzplitej, to panom stróżom praw i bezpieczeństwa ojczystego przypisać należy. Zgadzał się prymas na to, że sejm byłby środkiem najprzyzwoitszym do odwrócenia od Rzplitej takiego np. najścia, jak było niedawno Prusaków, ale zawsze sejm powinnaby poprzedzić rada z senatem i ministrami, a od tej wielu jest dla prywaty dalekich. Tymczasem widoczna Opatrzność Boska pobożnemu panu bez rady, granicom bez straży

była na pomocy, gdy napastna moc sama zniknęła. Trudno wyrazić, jak sejmów niedochodzenie boli króla. Co się tyczy wymówek, dla których książe kanclerz przybyć nie mógł na dwór, odpowiadał August III-ci, że na usługę kraju nieżałowane zdrowie. Bóg przymnaża, a dostatki starczyłyby, ile że książe jest hojny. Prymas wyjawiał nadzieję, że książe przyjedzie na radę, a jeżeli nie, upraszał przynajmniej o listowne dojrzałe zdanie (2 sierpnia)

Czartoryski już wtenczas powrócił do Wołczyna, — krótko i sucho, owszem bardzo krótko i bardzo sucho odparł prymasowi (15 sierpnia). Myśl tej odpowiedzi była następna: możnaby szeroko i zwycięzko odpisać na jawne skłonności w. ks. mci, na uczucia, na cenzury i nagany osoby mojej i kolegów moich kanclerzów i prerogatyw urzędu, ale widzę, że to rzecz daremna i bezskuteczna. Powiększałbym przez to niechęci w. ks. imci, którego czczę jako primum inter pares. Co się tyczy kwestji, żebym radził dalej, nie mam nic dodać więcej do tego, co pisałem poprzednio.

Skutki tego gniewu dały się uczuć niedługo. Nadchodził nowy trybunał, sejmiki wszystkie po województwach pękały, dlatego, że cudzoziemskie wojska bawiły w Rzplitej. W całej Koronie tylko siedmiu świeckich obrano deputatów, duchowni wprawdzie znaleźli się w komplecie, ale to były same figury dworskie. Jednakże familja Czartoryskich zachowywała się dosyć biernie, sądząc, że trybunał i tak dla niekompletu utrzymać się może. Żeby przecież mieć większą pewność wygranej, familja przepędziła w Piotrkowie partję dworską i tylko trzech deputatów dopuściła do przysięgi. To nic, — wypędzeni wrócili, dorobiono nowych deputatów.

Potém już wybierali sobie marszałka; padł wybór na pana Antoniego Zboińskiego kasztelana płockiego. Nowo dobrani deputaci przysięgli przed ziemstwem, więc brak był zwyczajowych formalności, naprzód dlatego, że przysięga była po czasie i nie w miejscu, ale na szczęście sędziów nie było w ustawie trybunalskiej oznaczonego miejsca, w którem miała się składać przysięga. Był to trybunał bardzo ubogi i gdyby nie prezydent ksiądz Michał Lipski pisarz w. k., a zupełnie dworowi oddany, Czartoryscy dopięliby celu bez trudów, bo sam trybunał jeżeli nie dla małej ilości sędziów, to dla nędzy by się rozszedł, ale ksiądz pre-

zydent podtrzymywał go swojem bogactwem i hojnością. We właściwym też czasie z Piotrkowa sędziowie przenieśli się do Lublina.

A tymczasem książę kanclerz litewski znosił się coraz częściej z hetmanem Radziwiłłem. Hetman oświadczał kanclerzowi, że chce z nim zawsze działać za jedno, że stan rzeczy obecny ma całą jego miłość, że chce potomkom taką przekazać Rzplitę, jaką sam widział i odebrał po przodkach. Za to szczerze przyjmował stronę króla i ubolewał, że ministrowie unikają dworu; książe kanclerz przyznawał wszystkie zalety królowi, ale narzekał na Brühla. Żeby lepiej ułudzić Radziwiłła, ciągle przed oczy mu nasuwał obrazy upadającej Rzplitej i jej rządu, — oto na pieczęci gas; jak to się uda, będzie tak i z buławą i z laską i t. d. Zaczęli wprawdzie od buławy i nie udało się, za to z pieczęcią poszło jak z płatka. Oto pierwszy raz świeżo sędziów dorobiono na trybunale piotrkowskim, sędziów takich, o jakich nie było wzmianki na sejmikach. Więc ta nowa robota grozi zupełnie sejmikowaniu, i szlachta zczasem może utracić prawo obierania deputatów. Oto w obecnej chwili wikłają się i rozwiązują węzły spójni narodowej i zabiegać temu każdy prawy obywatel powinien, tembardziej ministrowie. Trzeba razem zebrać się ministrom, a królowi rzecz i niebezpieczeństwa Rzplitej przełożyć. Z dworem trzymać obiecywał kanclerz lit., aby tylko na tym dworze odzywali się ministrowie narodowi, nie zaś Brühle.

Książe hetman składał winę wszystkiego co się dzieje w Rzplitej, na niezgodę i niesforność ministrów, którzy naciągają prawa jak chcą, a nie jak powinni. Tu na myśli miał Mniszcha. Ale co się tyczy ufundowania trybunału w Piotrkowie, odmiennego od kanclerza był zdania. Lepsza, powiadał, ta chwilowa nielegalność w dorobieniu deputatów, jak gwałt sprawiedliwości zadany przez zerwanie trybunału. Bywały przykłady niedawne, że zrywano trybunał i sądów nie było rok cały; takich rzeczy trzeba gwałtem unikać, lepiej przeprosić nawet obrażone województwa, a niech będzie sprawiedliwość. Gdyby zrywano trybunały, sprawiedliwość musiałaby z konieczności powrócić do ręki królów. Co do Brühla, mówił hetman, jeżelić nie ma ministrów narodowych, cóż dziwnego, że król zasięga od bliższych siebie rady? Jeżeli książe kanclerz jako spracowany nie może być

na każde zawołanie, za to młodzi ministrowie znajdowaćby się na swoich miejscach powinni. Dawniej narzekano, że król siedzi w Saksonji, — dzisiaj król ciągle mieszka w Rzplitej, a przecież ministrów przy sobie utrzymać żadną miarą nie może.

Ale tak sprawny i zręczny minister, jak książe kanclerz litewski umiał się i tutaj wytłómaczyć. Kiedy zerwany trybunał, rok nie ma szlachta sprawiedliwości—to prawda, ale rok to niewiele, tymczasem zrywać sejmiki, gdzie obierają deputatów, których się nie chce, tymczasem umniejszać, albo dorabiać sędziów, to rzecz niebezpieczna. (Sami Czartoryscy nie byli tu bez wielkiej winy, ale się o tem dla potrzeby milczało.)

Rok cały przeszło trwała ta korrespondencja dwóch książąt, oswoili się, naobiecywali tyle sobie nawzajem, że umawiali się już z zupełną pewnością o przyszłe trybunały na Litwie. Kiedy Radziwiłł i Czartoryski razem, kto się poważy wsunąć trzeci pomiędzy nich? Jeżelić Korona w ręku moich nieprzyjaciół, myślał książe kanclerz, Litwa caluteńka będzie moja.

Radziwiłł chciał widzieć marszałkiem przyszłego trybunału lit. młodego, bo tylko 20-letniego starostę oszmiańskiego Jędrzeja Ogińskiego. Kanclerz zgadzał się, że to kawaler cale pięknych przymiotów, ale chciałby dojrzalszej po nim experjencji. Zresztą zwracał na to uwagę hetmana, że ojciec starosty, kasztelan trocki, nie chciał zeszłego roku marszałkować dla ubóstwa; taż sama zdaje się przyczyna będzie i dla syna przeszkodą. Hetman dziękując kanclerzowi za approbatę jego kandydata, upewniał za to że starosta we wszystkiem służyć księciu i słuchać go będzie. Młody, to prawda, ale nie młodszy od marszałka dzisiejszego, a kapitały jakie ma wystarczą do funkcji.

Dla zachowania i nadal przyjaźni, panowie ci, kanclerz i hetman, wyświadczali sobie serdeczniejsze jeszcze nawzajem grzecznostki. Branicki hetman kor., odwiedził w Wołczynie księcia Czartoryskiego i wstawiał się do niego za panią jenerałową artylerji lit. Sołłohubową, która tylko co owdowiała. Szło o starostwo jezierzyskie, które na nią po śmierci męża spadało, ale względem przyznania jej tego prawa zachodziły jednak trudności; kobiéty pogranicznych starostw według prawa trzymać nie mogły, a starostwo jezierzyskie było pograniczne. Branicki pisał o toż samo i do Radziwiłła. Hetman lit. zajęty był wtenczas przyjęciem

księcia Kurlandzkiego, ale obiecał zaraz tą sprawą się zająć. Miło mu było, że kanclerz sam o tem zaczął, bo decyzja szła tutaj ostatecznie od kanclerza, który się oświaczył z wielkiemi grzecznościami; trzeba wiedzieć, że pani Sołłohubowa była Radziwiłłówną z domu.

Książe kanclerz, który chciał być «intime connexus et annexus» hetmanowi litewskiemu, używa tedy wszystkiego, żeby się tylko mu przypodobać. Trybunał lit. tylko co na śmierć skazał Wołodkowicza, jednego z przyjaciół syna hetmańskiego, księcia Karola, nazwanego panie-kochanku. Młody książe chciał zemsty, ale ojciec miarkował namiętności. Kanclerz, wyrażając nadzieję, że się to wszystko przez starania hetmana uspokoi, dodaje (3 marca 1760 r.), że podskarbi wielki litew. zjeżdża umyślnie na trybunał do Mińska, «aby (to jego własne słowa) się konfirmował do zdań i dzieł zbawiennych j. o. w. ks. mci dobr.»

Trybunał już zupełnie ułożony; kanclerzowi tylko idzie o Bohusza miecznika wileńskiego. Zawsze się tego Czartoryski dopraszał u Radziwiłła, aby mu Bohusza poświęcił. Ogińscy zapewnili kanclerza, że Radziwiłł ustąpił. Tymczasem Bohusz był wybrany: «rozumiem, — pisze kanclerz do hetmana, — że bez woli i wiadomości j. o. w. ks. mci.» — Protestował przeciw niemu Horain podkomorzy wileński, zaczynający sejmik, ale Bohusz, o zgrozo! nie posłuchał tego liberum veto! (jak sobie kłamie Czartoryski) i większość głosów zastępuje jednomyślność!» Skąd zawiść do Bohusza księcia Czartoryskiego? Zdaje się stąd, że miecznik był przyjacielem prawdziwym swobód szlacheckich i księcia Karola, który się powoli wyrabiał na reprezentanta braci szlachty, — później, istotnie pokazało się, że ten Bohusz sercem i duszą przylgnął do obrońców Rzplitéj, a największym był dyplomatą i politykiem w czasie konfederacji barskiej, więc zaciętym wrogiem był i reformy i Czartoryskich. Właściwie nie o reformę mu chodziło, bo to butna było sztuka i zuchwała, i sam myślał o zaprowadzeniu ładu większego do rządów Rzlitej, ale się gniewał na środki Czartoryskich, jakich używali i wreszcie przez butę szlachecką chciał żeby zbawienie wyszło od Radziwiłłów. Kanclerz o tem wszystkiem nie wiedział, ale przeczuwał w Bohuszu zaciętego nieprzyjaciela [1]). Horain zaś podkomorzy,

[1]) Artykuł nasz o Bohuszu w Bibl. warsz. 1858. Styczeń.

była to postać stworzona i utrzymywana przez Czartoryskich. Ostatnie byłoby to vulnus swobodom Rzplitej, gdyby znikczemnione były szlacheckie i urzędników onym przełożonych kontradykcje na sejmikach, a posłów na sejmach.« A chcąc odsunąć Bohusza ostatecznie, mówi kanclerz w marcu 1760 roku do księcia hetmana, aby w nagrodę, że «ustąpiłem promocji do funkcij trybunalskich, (własne jego są wyrazy), jako miałem obietnice i sponsje, ci których rekomendować będę, protekcji w tym j. o. ks. dobr. skuteczną mieli jego tą razą manutencję.»

Serdeczność była wtedy tak wielka pomiędzy książętami, hetmanem a kanclerzem, że Czartoryski winszował Radziwiłłowi spodziewanego potomka, i że obadwaj nawzajem obsypali się życzeniami świąt. Kanclerz, co nigdy nie bywało, donosił nawet hetmanowi, że oświadczył się już książe jenerał ziem podolskich, synowiec jego, o Flemmingównę podskarbiankę litewską.

Przeminął jeden, trybunał następował drugi. Obaj kanclerze chcieli się koniecznie odbić. Ale tym razem niespodziewane spotkali trudności. Marszałek tryb. książe Jabłonowski, starosta buski a zaraz potem wojewoda poznań., nie chciał się podjąć laski inaczej, aż mu obiedwie strony nie dały zaręczenia, że na jego trybunale sprawy swojej nie podniosą. Po jego to ojcu wziął Mniszech starostwo białocerkiewskie, miał zaś tyle książe młody zachowania u obu ministrów, że musieli wreszcie pozwolić na jego żądanie. W istocie trybunał 1770 r. był wolny od napaści.

Wzięli się kanclerze na inny sposób. Po sejmikach przez swoich przyjaciół nastawali i w Koronie i w Litwie, aby wszędzie w instrukcyach zamieszczano posłom protestacje przeciw wyrokowi lubelskiemu. Szlachta już to niby miała występować w obronie urzędu kanclerskiego, broniąc status quo Rzplitej, ale los wypłatał Czartoryskim figla: przed samym sejmem umarł w Słonimie podkanclerzy Sapieha. Bojąc się by król pieczęci nie dał komu ze swoich, postanowili sejm zerwać i stąd cała intryga, która na instrukcje szlacheckie rachowała, przepadła.

Gdy nie chciał dać głosu marszałek starej laski przed elekcją swojego następcy, to też Łużyński łowczy podolski zerwał sejm i wyjechał pod pozorem, że obce wojska są w kraju i że pod naciskiem obcych sejm prawnie obradować nie może.

Zatem obadwaj kanclerze Małachowski i Czartoryski zanieśli manifest przed akta metryki mniejszéj kor. pod d. 3 listopada 1760. Wyrażali w nim nadzieję, że raz przecie skończy się z intrygami na trybunałach i że poprawa tych sądów ostatecznie nastąpi, dalej, że za tą poprawą pójdą inne reformy potrzebne do tego, żeby w kluby wprowadzić rozerwane cząstki narodowego ciała. (Tak więc za poprawą trybunałów, wyraźnie iść miały reformy. Czartoryscy tak zręcznie umieli kręcić się wpośród trudności, że jak dawniej hetmana lit. tak teraz kanclerza kor., obydwóch ludzi, dla których status quo Rzplitej było w pewnej mierze szczytem mądrości narodowej, mniemali wciągnąć w swoje widoki tak łatwo i naturalnie, że ani się spostrzegli jak zostali narzędziami w obrotném ręku). Ale kiedy pomimo zapowiedzenia króla w uniwersałach, do poprawy trybunałów nie przyszło, jedyna droga pozostaje ludziom pragnącym dobra Rzplitej, żeby manifestowali się przeciw nadużyciom, które widzą. Niech potomnym wiekom zostanie pamięć, że obadwaj kanclerze o Rzplitej myśleli i bronili się na swojem stanowisku i władzy sobie umniejszyć nie dali i za pokonanych się nie uważali. Protestowali więc naprzód przeciw wyrokowi trybunału lubelskiego w sprawie Małachowskiego z Kosseckim na zasadzie konstytucji 1607 i 1728 r. które nie pozwalają trybunałom wdawać się w sprawy, które do nich nie należały i t. d. Protestują, że Kossecki nietylko nie zganiony za swoją płochość i zuchwałość, ale jeszcze wolnością udarowany, więc droga bezkarnie otwarta dla przyszłych procesów z kanclerzami. Gdyby sądy marszałkowskie i hetmańskie, kanclerskie i t. d. nie były niezawisłe jedne do drugich, potępiony w jednym, udałby się do drugiego i t. d. Żaden manifest, termin, wyrok nie może uwłaczać powadze sądów zadwornych j. m. mci,

Nie dość na tem: trybunał sam posłuszny teraz skinieniu kanclerza umiał zrobić swoje. W roku 1761 postanowili Czartoryscy wbrew dworowi utrzymać przy lasce Zamojskiego, wojewodę inowrocławskiego. Kolej laski trybunalskiej przypadała tym razem na prowincję Wielkopolską, stanął więc Zamojski z województwa płockiego i prawie bez oporu zrobiony został deputatem, bo chociaż manifesta za usilnem dworskiem staraniem były przeciw niemu, jednak bardzo słabe i protestujący zaraz od nich po-

robili recessa, przyznawszy się, że to wszystko na prośby marszałka nadwornego robili, na dowód czego i listy Mniszcha pokazano. Kiedy więc trybunał w Piotrkowie tak pomyślnie stanął dla książąt Czartoryskich, naturalnie, że przy ufundowaniu przyjaciele dworscy i marszałka nadwor. kor. pisnąć nie śmieli i Zamojski wojewoda inowrocławski obrany był marszałkiem trybunalskim; wtedy już i Mniszech zaczął się turbować o trybunał lubelski, na którym pod laską Zamojskiego nic dobrego dla siebie spodziewać się nie mógł. Ten albowiem Zamojski, tylko co mianowany wojewodą inowrocławskim, był bratem rodzonym Mniszchowej podkomorzyny litewskiej, bratowej marszałka nadw. kor. i z jego nawet zalecenia dostał krzesło wojewódzkie, ale kiedy marszałek nadw. kor. po śmierci podkomorzego lit. zaczął się kłócić z bratową swoją a po nim wdową i chciał ją krzywdzić na dożywociu, wtedy tak ona sama, jak i brat jej wojewoda inowrocławski nie mogąc się sami obronić marszałkowi nadw. kor. (taka była podówczas pycha i przemoc tego pana), udali się o zasłonę i opiekę do książąt Czartoryskich, którzy wszystkich malkontentów dworskich z ochotą do siebie przyjmowali. Takim sposobem wojewoda inowrocławski z siostrą swoją stali się głównemi nieprzyjaciółmi marszałkowi nadwornemu koronnemu. Już się trybunał przeniósł do Lublina, kiedy nastąpił sejm nadzwyczajny w roku 1761, na którym kanclerz koronny być musiał, dlatego nie kwapił się bardzo z popieraniem sprawy swojej;—tymczasem książęta Czartoryscy dowiedzieli się, że patron Mniszcha, który spodziewał się od niego wielkiej za podjęcie się sprawy przeciw kanclerzowi, nagrody i promocji, doznał przykrego zawodu, bo gdy o jakąś małą rzecz go prosił, nietylko marszałek nadworny koronny nic nie zrobił, ale jeszcze według niecierpliwego humoru swojego, ofuknął się na niego; — Czartoryscy więc przez podstawienie osoby zaczęli wabić do siebie patrona, który łatwo dał się przyciągnąć. Wziął od nich 24,000 złotych, i one na folwarku ekonomji mohilewskiej, tytułem wynagrodzenia za instrumentem kamery ulokowawszy, uczynił zaraz manifest przeciwko marszałkowi nadwornemu, w którym szczerze opowiedział wyznanie swej wiary i roboty przeciwko Małachowskiemu kanclerzowi, a wreszcie opisał się, że cokolwiek czynił, to wszystko czynił z woli marszałka. W skutek tego manifestu, przy użyciu innych sposobów, pod

laską Zamojskiego wojewody inowrocławskiego, zapewneby jaki dekret ciężki, nie już na Kosseckim, ale na marszałku nawornym koronnym w Lublinie stanął. Lecz tymczasem kanclerz wielki koronny w dobrach swoich Końskich umarł, i tak się ta machina śmiercią kanclerską skończyła.

Na dobre więc zaczęły się ważyć trybunały i sejmiki, aż wreszcie Czartoryscy dla pewności swoich reform, zaczęli wchodzić w układy z mocarstwami. Siostrzeniec ich Stanisław Poniatowski stolnik lit., negocjował w Petersburgu. Wpośród tej walki i książe wojewoda wileński (22 maja) i kanclerz koronny Małachowski (25 czerwca) poumierali w ciągu jednego roku. Czartoryscy byli tak silni, że postanowili siłą wystąpić i w Piotrkowie na trybunale myśleli wyciąć opierającą się im szlachtę, ale na szczęście król umarł (5 października 1763 r.) w Dreznie. Śmierć jego uratowała Polskę od jednego gwałtu. Mniszech zeszedł zupełnie z pola.

Karwicki z powodu tych intryg i zrywań, osiedział się w Rokitnie aż do bezkrólewia. Sejm jeden za panowania Stanisława Augusta nakazał wyrok trybunału z roku 1759, w tej sprawie wydany, z ksiąg wyrzucić i wyrok sądów zadwornych uznany został za prawny. Karwicki spokojnie już odtąd władał Rokitnem i Olszanicą, i obiedwie te wioski pod koniec wieku XVIII, sprzedał hetmanowi Ksaweremu Braneckiemu, dziedzicowi Białocerkwi. Karwicki sam umarł w czerwcu 1784. W roku 1780 dostał się do senatu jako kasztelan połaniecki, a w roku 1782 posunął się na kasztelanję zawichostską.

Na dowód, że stronnictwo dworskie myślało o reformie Rzplitéj, chociaż to już i nie należy do sprawy Karwickiego, żeby jednak lepiej określić charakter marszałka nadwornego koronnego, dajemy jeszcze dwa listy, których nam uprzejmie udzielono:

Kopia listu JW. JMPana Szembeka wojewody Sieradzkiego do JW. JMPana Mniszcha marszałka nadwornego koronnego.

Tak JWW. M. M. W. pana w krótkim czasie blandiens fortuna zaślepiła, że nie tylko zapomniałeś wmpan winnéj miłości

ku ojczyźnie, jako syn, probitatem w utrzymywaniu praw y wolności jako minister, ale nakoniec same krwi związki indecore targasz ze mno y pono lepiéj smakuje niemiecka kolligacja niż polskie spokrewnienie.

Kazałeś wmpan instygatorowi kor, mnie pozwać do trybunału, a co proszę imposturę włożywszy, żem chciał manifest jakiś uczynić na wzruszenie pokoju publicznego, powtóre, że order jakiś skomponowałem y noszę. Ad 1-mum, manifestu żadnego w podobnym gatunku nie czyniłem, ale choćbym też uczynił, jako senator widzę złamanie praw. Quis te constituit judicem et vindicem? albo mój manifest crimen laesae majestatis albo nie? Jeżeli pierwsze, to nikt o to senatora sądzić nie może, tylko Rzplita cum suis ordinibus, bo tak prawa mieć chcą, tak antecessorowie wmpana, którzy wolność kochając ab impetitione królów stan szlachecki warowali, prawo napisali, żeby zaś mieć moc wexowania sanatorów i ministrów, nie wiem które authoryzuje prawo. Lecz poznawamy do czego inflatus wmpana ciągną y w jakie chcesz pojedyńczo wprząść jarzmo. Te consule gwałtownie fundować się zaczęły trybunały pod płaszczykiem niby utrzymania sprawiedliwości, istotnie zaś gdy dworski trybunał pierwszy raz w ojczyznie rozświecił się, aliści prymasowskie na sejmie królowi podanie na reflexje absurdo ansu poznawszy przez instygatora spalono, a tym samym, powagę prymacjalną tot constitucionibus w prerogatywach zachowaną, nadwątlono; każdego poczciwego szlachcica zakrwawił ten fatalny raz serce, roztrząsnąwszy konsekwencje. Nie dość na tém, tegoż sejmu poniżyć pieczętarzów, pozywać do trybunału senatorów, którzy na sejmikach poselskich manifestowali się, naprzód do posłów opierających się gwałtownie mimo liberum veto intentowałeś wmpan. Na sessjach sejmowych przyjaciele wmpana, a wolności nieprzyjaciele posłom sądami marszałkowskiemi grozili, gwałtownie do zdania wmpana przyginając ubogiego ziemianina, który jako poseł sentire co chce, et dicere libere może.

Tegoż nieszczęśliwego sejmu parlament angielski formując, jeździłeś wmpan po senatorach y ministrach, jako ów zgubiciel wolności szwedzkiej Anderson, do podpisu jakowych nowej inwencji suplik, momorjałów, pod grożeniem niełaski pańskiej przywodząc, a temi wszystkiemi środkami chcąc znieść powagę senatu

y izby poselskiéj ad pluralitatem votorum te stany pociągnąć sublata libertate.

Też same kontynując dzieło, znowu teraz dworski trybunał ufundowawszy, pociągasz mię wmpan przez instygatora do prawa, chcąc ea novitate powagę senatu attakować y poniżyć. Uważ sam wmpan wszystkie procedera swoje, czyli takie praw ojczystych konwulsje nie są crimina status, y jeżeli nie słuszniej samego wmpana o taką malwersację na sejm pozwać y ukarać?»

(Bez daty).

Cały ten list jakkolwiek źle przepisany, wydaje mi się być niezmiernie ważnym. Wszak to nie co innego jak plan reformy rządu. W roku 1764 na konwokacji inny przez kks. Czartoryskich do skutku doprowadzony, wcale się od tego nie różnił. Zwracamyi na to uwagę, że jakkolwiek dwór nasz ówczesny przymuszony był w tejże porze dla swoich poróżnień w Petersburgu szukać przyjaźni dworu francuskiego, zamachy, o których tu mowa, nie mogły wypaść w skutek porozumienia się z partją francuzką. Miała i ostatnia zamiary reformy rządu, ale te nie mogły być przeciwne wolnościom narodowym.

Kopja listu JW. JMPana Siedlnickiego podskarbiego W. koronnego, do JW. JMPana Mniszcha marszałka nadwornego koronnego, in anno 1760, z Konstantynowa pisanego.

«Te expressje, które zawierają w liście jw. wmpana konsyderacją osoby mojej, z najdoskonalszą weneracją y z najżywszym powinnéj rekognicji odbieram sentymentem.

Martwi mię zaś to niepomału, że wykonać nie mogę rekwizycją wmpana, abym zlecił wypłacić z kassy skarbu koronnego 6,000 tynfów Adze Girej sołtanowi, a to z tej przyczyny, że kiedy j. k. m. p. n. mił. łaskawie konferować mi raczył ministerjum podskarbstwa w. koron. nie inszym konferował mi końcem te ministerjum, tylko żebym się w nim rządził według prawa opisanego, y wielu nie przez jedną konstytucję stwierdzonego, jakie zaś jest prawo tykające się expens ze skarbu, mam honor reprezentować wmpanu tu przyłożony excerpt. Inne prawa służące ministerio podskarbstwa w. koronnego w czém są nadwerężone, captato

tempore przez samego wmpana suplikować będę j. k. m. p. n. mił. najpokorniéj, aby do swojej we wszystkim mogły być przywrócone kluby, co sobie tym łatwiej obiecywać mogę, kiedy świat widzi, że bieg cały życia j. k. m. p. n. m. samo sprawiedliwością y samo jest klemencją.

Że zaś wpan namieniasz w liście swoim, że gdyby te 6,000 tynfów, nie były indilate z kassy skarbu koronnego wypłacone, uczyniłbyś solenny manifest; sensibilis mi jest ta pogróżka, lecz cale nie z okoliczności manifestu, bo na ten nastąpićby musiał odemnie dorzeczny manifest, dorzeczny mówię, bo wyłuszczyłbym w nim tylko rzecz samą. o którąby był uczyniony manifest przeciwko mnie, bo ta weneracja, qua feror nienaruszenie ku osobie wmpana, jasno wyniknęłaby y w samym manifeście, pewnie najmniejszej y obojętności termin żaden (którego się w inszych doczytuję manifestach), nie znajdowałby się w remanifeście moim.

Sensibilis by mi był manifest jwmpana, że 6,000 tynfów w większym u wmpana są szacunku, aniżeli przyjaźń moja, która znać, że nic nie jest warta w oczach jego, kiedy dla małej i nikczemnej kwoty pieniężnej do manifestu przeciwko mnie uczynienia taką pokazujesz skwapliwość, w którą wpatrując się co dalej o łasce y przyjaźni wmpana obiecywać sobie mogę, łatwo y dość klarownie dorozumiewać mi się należy.

Ta sensibilitas jednak, którą wyraziłem, daleko jest mniejsza, bo się tylko osoby mojej tyka, przez co jest partykularna, od tej tkliwości, którą poczuwam tem żywiej, bo jest publiczna, ministerjum moje tykająca. Wiadomo jest dobrze wmpanu, że ministerja mają swoich oficyalistów, marszałkowscy od jww. ich mci panów marszałków, kanclerscy od jww. ich mci pp. pieczętarzów, skarbowi od podskarbich wielkich są dependencji, jestże ta rzecz słuszna, sprawiedliwa y z prawem zgadzająca się, aby bez wiadomości mojej do któregokolwlek z oficjalistów skarbowych posłać, aby za dokumentem drugiego ministra pieniądze szafował, y czy jest to rzecz przyzwoita pretendować tę czynność od officjalisty mego, który nie wiem jakby się ważył bez wiadomości mojej jakich dawać pieniędzy, bo gdyby ich dał bez mojej dyspozycji, musiałby ich z własności swojej zwrócić, y ab officio pewniebym go oddalił. Ja podskarbi bez woli Rzplitej z kassy skarbu koronnego, abym zlecił komu wypłacić, prawo

zakazuje, chyba ex resultato senatus consilii, y to impremenți necessitate, a pisarz skarbowy jedynie i szczególnie odemnie dependujący miałby się ważyć jakie pieniądze szafować, za inszym a nie za moim dokumentem, jest to czynić krzywdę prawu y prerogatywie ministerij, y wywrócić oraz zupełnie w rzeczach usitatum ordinem et praxim, chcieć wprowadzać oficjalistę mego w takową niegodziwość.

Jeżeli kto od kogo w prawach y prerogatywach spodziewać się może y spodziewać się powinien wsparcia, to minister od ministra, doświadczam zaś y ja na sobie, że na miejscu wsparcia nie wynajdują się sposoby umniejszania tej prerogatywy, którą Rzplita podskarbiemu nadała.

Że zaś z głębokiego swego, głębiej nad moje wpatrujące się wejrzenia, widzisz i sądzisz wmpan za rzecz arcy potrzebną, ażeby Aga Girey sołtan z kompassyi nad jego sytuacją 6,000 tynfów mógł dostać, przez co Rzplita czasu swego znaczny ma mieć jakiś emolument, już dostatecznie wyraziłem wmpanu, że ze skarbu koronnego ta kwota nie będzie i nie może być wypłacona, chyba za wolą stanów Rzplitej, ile kiedy takowa expensy novitas nigdy jeszcze w regestrach skarbowych nie postała. Ja z własności mojej, bo mi to uczynić z dobrej woli mojej wolno, y żadne do tej czynności nie zagradza prawo, dziś posyłam 6,000 tynfów dla tegoż Sołtana, która kwota, pewnie w żadnych rachunkach skarbowych wypłacona nie znajdzie się.

Trudno mi zamilczeć chwalebną, wspaniałą i przykładną akcją jw. jmpana wojewody kijowskiego m. w. m. pana, że bez żadnego własnego swego interesu, bo bez pretensji nagrody w dobrach swoich, przez sześć miesięcy sustentować zlecił tegoż Sołtana.

A jako tempora mutantur, et nos mutamur in illis, niechże ten czas przybędzie uszczęśliwiający, któryby sprawił w sercu wmpana przyjaźń y łaskę dla mnie, którą gdy skutecznie doznam największe na to łożyć będę gotów usiłowanie, abym się jej stał godnym doskonale, a teraz z zupełnością należytej weneracji piszę się etc. etc.

Cały ten artykuł osnowaliśmy na zasadzie sporej paczki papierów, o których treści przesyłający je bezimienny autor, a znawca dziejów napisał dla objaśnienia sprawy te słów kilka:

„Między mojemi staremi papierzyskami znalazłem ułamek korrespondencji pierwszych dygnitarzy z końca panowania Augusta III. i abym się nie stał winnym sądu, że ukrywam światło pod garncem, spieszę udzielić go Dziennikowi do jego archiwum [1]). Jedne z tych dokumentów są źle przepisane, snadź przepisujący ich nie rozumiał, drugie dobrze. Oczywiście przepisujących było dwóch. Ten, czyją to dawniej było własnością, lata pierwszej swojej młodości strawił w kancellarji księcia kanclerza litewskiego, wiem o tem dokładnie, i tam to miał zapewne sposobność zdejmowania kopij z pism ściągających się do ówczesnych spraw publicznych. To co posyłam, jest widocznie odrywkiem większego zbioru, — gdzie mi się on podział? — nie wiem. Tyle na udowodnienie autentyczności mojej daninki, teraz o jej wartości.

«Listy te, jak to widać z ich daty i treści, należą do tej epoki panowania Augusta IIIgo, w której zawiść i prywatne niechęci grafa Brühla wyrugowały z umysłu i łaski królewskiej dom Czartoryskich, tyle dotąd nią przeważny, a mianowicie najpotężniejszego w nim rozumem i wolą księcia Michała kanclerza w. ks. lit. Jak każdy dokument naszej przeszłości, mają one swoją historyczną wartość. Dopatrzeć w nich można: po 1sze powszechnego nieukontentowania piérwszych ministrów, tak koronnych, jak litewskich, do króla i wszystkomocnego przy nim Brühla, tudzież pewnego rodzaju zmowy między nimi, a to w umyślnem usuwaniu się od rady królewskiej, żeby można przez to pobudzić naród do powszechnej niechęci, a za nią do powszechnej konfederacji. Francuzki historyk Rulhiére posuwa to aż do zamiaru ogłoszenia bezkrólewia, lecz tego w naszej korespondencji nie upatruję. Widać po 2re, jak książę kanclerz po niepomyślnem usiłowaniu zawiązania konfederacji (jakoby za królem), a to z okazji zerwanego w roku 1752 sejmu grodzieńskiego, w czem mu przeszkodził Jędrzej Mokronowski, odciągając od zamiarów Czartoryskich Jana Klemensa Branickiego, hetmana w. k. i całą jego

[1]) Jeszcze to wtenczas było mi przesłane kiedy wychodził Dziennik warszawski i kiedym drukował w nim czas od czasu różne listy historycznych osób pod tytułem: Archiwum J. B.

partję, która odtąd stała się partją francuzką. Widać mówię, jak książę kanclerz garnie się do Radziwiłła hetmana w. lit. jakby chciał powetować przewagą ostatniego na Litwie, wszystko cokolwiek stracił w Koronie przez poróżnienie się z powinowatym sobie i dotąd współdziałającym Branickim. Porównywając z sobą ton wzajemnej ich korrespondencji, łatwo przekonać się, że tu nie hetmanowi kanclerz, ale hetman kanclerzowi wielce potrzebny. Ztąd też dziko odbijające przy znanych księcia Michała (Czartoryskiego) dążeniach i pomysłach politycznych, jego obstawanie za nietykalnością liberum veto, władzy hetmańskiej, kanclerskiej i t. p., jako kardynalnych praw Rzplitej, z których wszelako w roku 1764 na sławnym sejmie konwokacyjnym potrafił ją wykwitować. Widać po 3cie, i to jaśniej niż cokolwiekbądź, jak się ci dwaj magnaci porozumiewają z sobą w rzeczy wyborów na następujący trybunał litewski, jak się starają, żeby skład jego był po ich myśli i woli. Ja, — mówi kanclerz, — byłem powolny dla w. ks. m. w tej mierze w roku zeszłym, — wygodźże mi w teraźniejszym. I nie dziw: trybunał w ręku nim władnącego ma się tu stać najdzielniejszym środkiem zniewalania umysłów dla swoich politycznych widoków. Któż się natenczas nie pieniał, kto tem samem nie potrzebował protekcji tych, których kreatury obsiadały krzesła trybunalskie?

«Najważniejszym wszelako między temi listami, wydaje mi się być list Szembeka wojewody sieradzkiego, do Mniszcha marszałka nadwornego koronnego. Wnosićby zeń można, że dwór, to jest król i Brühl, za pośrednictwem tegoż Mniszcha, dość czynnie się krzątali około reformy rządu. Szembek wyraźnie o to skarży nadwornego marszałka i przywodzi fakta, oskarżenie to usprawiedliwiające. Wygląda to niby jak plagjat projektu Czartoryskich, wykonywany na własną rękę, jak zamiar z ostatnim jednorodny, a jednak od tych książąt wcale nie wspierany. Sparaliżowali go oni owszem najzupełniej. Świadczą o tem utajonem swojem znaczeniem niniejsze dokumenta. Znać to z listów księcia kanclerza litewskiego do Radziwiłła, znać z kłótni Małachowskiego kanclerza wielkiego koronnego z Mniszchem, znać nakoniec z próżnych usiłowań prymasa Łubieńskiego do zwabienia tych ministrów na dwór królewski i t. p. Jakże się mogła udać reforma, kiedy dwa stronnictwa jedno i toż samo sobie za-

kładające, dla wzajemnych niechęci lub zawiści (zapewne dlatego, że przodkować chciały wyłącznie i korzyści zwycięztwa wszystkie sobie zabezpieczyć), zamiast się ściśle połączyć, wzajemnie śmiertelnie sobie szkodziły. Nie była tam już miłość ojczystego kraju, ale prywata, płód zepsutego liberum veto, wszakże o tym czynnie popieranym projekcie reformy rządu dawnej naszej Rzplitej przez sam dwór przedsiębranym, niema żadnej wzmianki w historji. Wiedzieliśmy tylko głucho, że się zawsze troskliwie starano na sejmach o pomnożenie wojska i hojniejsze zasilenie skarbu, i że sejmy te przez całe panowanie Augusta IIIgo były zrywane. Zamiar ten nadto, nie był może ułożonym z góry, jakby przez jakiego Cezara, Kromwella lub Richelieu, lub Michała Czartoryskiego; August był gnuśny, Brühl płochy; bezprzykładny wszakże upór narodu przy zabijającym go bezrządzie i nieznośne ztąd a upokarzające stojących na jego czele kłopoty, mogły ocknąć i wprawić w jakieś przynajmniej desperackie działanie, takich nawet jak August IIIci, takich jak Brühl, jego minister. Bądź co bądź, pierwsze wyraźniejsze tego, nie jak dotąd symptomata, ale jawne czyny, miałyżby się wyjawić w intrygach Mniszcha, o których Szembek w liście swoim wspomina? Może co o tem wyrzeknie kiedykolwiek krytyka historyczna. Tymczasem możnaby prosić potomków tych dwóch znakomitych rodzin, żeby podjęli trud sprawdzenia tego w swoich archiwach rodowych.

«Nadsyłający pisze to objaśnienie, nie żeby było drukowane, lecz aby jako tako obstał przy wartości swojej maluczkiej przysługi». N. N.

PAN BYSTRY.

Bystry zaczął swój zawód w trybunale piotrkowskim od palestry. Podejmował się wyrabiać sprawy uboższej szlachcie, biegał za panami, zasługiwał się komu tylko mógł i chciał z kolei. Raz wreszcie czy od marszałka, czy od prezydenta otrzymał instygatorstwo skrzynkowe na całą kadencją w Piotrkowie, co znacznie kieszeń jego zapomogło. Albowiem taki instygator zbierał zwykle grzywny od stron, a potem co miesiąc odnosił je deputatom, ile na każdego wypadło. Dobrze się przy tem wszystkiem żywił, bo panowie bogatsi, pospolicie nie brali wcale swoich grzywien, przekazując je raz na zawsze i całkowicie dla instygatora. Wsławiwszy się, Bystry został pełnomocnikiem księcia biskupa Warmińskiego Grabowskiego do wyrabiania spraw jego w trybunale.

Było to w r. 1749, w którym wielkie forsy panów były przeciw i za trybunałem. Bystry podniósł wyżej dumne czoło, pewny i protekcji księcia biskupa, i tem, że zapisał się w usługi Familji. Nim trybunał się rozszedł niepraktykowanym jeszcze w Polsce przykładem, pan Bystry podchmieliwszy sobie, poszedł na bal w Piotrkowie; czy zapomniawszy rewerencyi, czy nie wiedząc sam co robi, bierze z brzegu damę i staje z nią w pierwszej parze do tańca. Na to deputat płocki, pan Jeżewski, nachmurzył brwi, wziął zaraz drugą damę i stanął przed Bystrym, a potrąciwszy go jeszcze, głośno prawi: «Kiep jesteś waszmość,

że śmiesz się tak plątać pomiędzy deputatów». A Bystry za to w gębę Jeżewskiemu. Rejwach się zaraz zrobił ogromny, przybiegli słudzy skrzywdzonego deputata, poznali winnego i tak go strasznie ze wszech stron okładać poczęli, że nitki na nim nie zostawili, a biedny Bystry do człowieka był niepodobny. Ale to wszystko jeszcze pół biedy. Znieważenie publiczne deputata było ogromną zbrodnią; w Jeżewskim był obrażony majestat Rzplitej i władze sądownicze: gardłowa sprawa widoczna. Rzeczywiście nazajutrz mieli sędziowie wyrokować o gardło. Bystry przepadłby z kretesem. Szczęściem dla niego niedaleko był książę biskup; zaraz więc przybiegł, przeprosił Jeżewskiego i od gardła uwolnił swego pełnomocnika, ale od wieży już ani rusz ocalić niepodobna było. Miał siedzieć Bystry rok i sześć niedziel. Ale znalazł się i na to sposób; straż na więźnia patrzała szparą, więzień zaś miał dobry charakter w nogach, więc wymknął się niepostrzeżony z Piotrkowa i zginął jak wiatr w polu. Przybiegł do wojewody mazowieckiego, pana Poniatowskiego, bo gdzież się miał schronić przed grożącem prześladowaniem, jak nie u Familji? Wojewodzie nie był potrzebny, więc odesłał go Poniatowski panu podskarbiemu Flemmingowi, który w Terespolu pod Brześciem miał wielkie archiwum i wielu urzędników.

Ktoby się spodziewał, że to nieszczęście w trybunale stanie się przyczyną fortuny Bystrego i że nasz mecenas wyjdzie na pana? Tak jednak było. Trafił albowiem zbieg piotrkowski na dobrą chwilę do Flemminga. Miał jakiegoś Niemca, kapitana Millera, komisarzem jeneralnym dóbr swoich, ale pan kapitan tak się potężnie rozpił, że już żadnej z niego nie spodziewał się podskarbi pociechy. A tutaj trzeba było na takiej posadzie dobrze się uwijać, jeździć po trybunałach, spraw pilnować, z mecenasami się znać i przecież jaki taki porządek w ekonomjach. Łatwo pojąć, jak podskarbiemu na rękę był palestrant z Piotrkowa. Posłał go zaraz do Wilna za pilnowaniem spraw na trybunał. Bystry gracko się zwinął, co nic zresztą dziwnego nie było, bo wtedy książę kanclerz, teść podskarbiego, trząsł jak chciał sprawiedliwością. Ale panowie na to nie zważali, a skutek pomyślny przypisując zręczności i zabiegom mecenasa, odtąd zaczęli go łaskami swemi zaszczycać i dowodami częstemi o względach swoich przekonywać. Wziął Bystry naprzód kaduk po Pekielmanie,

cudzoziemcu, w ekonomji Mohilewskiej, a że to za daleko dla niego było, sprzedał kaduk i wziął za to trzydzieści tysięcy; potem dostał w dzierżawę wieś Podkretonie, w województwie wileńskiem, nareszcie leśnictwo czacheckie dziesięć tysięcy czystego dochodu czyniące. Miał pieniądze, przechwalał się dostatkami. Wreszcie został rejentem skarbowym litewskim.

Byli wtedy w łasce u Flemminga i u Czartoryskich Matuszewice, to jest synowie poważnego wiekiem starosty stokliskiego, który podówczas mieszkał w brzeskiem, niedaleko od Terespola, w Rasny. Starosta miał kilku synów i kilka córek, z któremi kiedyś dziwnie drożyła się matka tak, że wreszcie i kawalerów się przebrało. Jeden z braci, Józef, postanowił Bystrego ożenić z siostrą swoją Teklą. Panna przystojna, miła, dobra, podobała się dygnitarzowi, który coraz wyżéj patrzał. Sam przyjmowany w Rasny mile, smalił cholewki i zdawało się, że rychło rozpali pochodnie hymenu, gdy nagle zjawił się nowy współzawodnik, chorąży lidzki, Alexandrowicz, i pan i bogacz, bo miał do dwukroćstotysięcy majątku. Choć stary i panna się krzywiła, ale to nic nie szkodziło. Zresztą kto wtedy pannę o zdanie pytał? Kiedy więc Bystry zwlekał, tymczasem brat i ojciec zwinęli chorągiewkę, bo woleli Alexandrowicza, jak Bystrego, nie wiedząc i nie przeczuwając, czem to jeszcze może być pan Bystry przy łasce podskarbiego. Wesele się odbyło jak należy; ale nasz rejent wziął to sobie za punkt honoru i odtąd zaczął całéj rodzinie Matuszewiców psuć łaski u Fleminga. Pyszny i mściwy był to nieprzyjaciel. Starszy brat Józefa, Marcin, starał się o podstarostwo w Brześciu, które się mu słusznie należało (1751). Bystry cały swój wpływ na to obrócił u Fleminga, żeby podstarostwo wyrobić dla Wieszczyckiego, i postawił na swojem. Rozżalony Matuszewic pobiegł z Włodawy prosto do Wołczyna poskarżyć się o to księciu kanclerzowi. Książe zbeształ wprawdzie Bystrego, ale nie miało to żadnych skutków. Połknął pan rejent gniéw kanclerza, jak chléb z masłem.

Kiedy zaś po śmierci Sapiehy, Fleming otrzymał starostwo brzeskie i gród nowy formować potrzeba było, Bystry znowu tak zręcznie nastawiał sieci, że podskarbi nawet pisarstwa Matuszewicowi nie dał. Wprawdzie zanosiło się z tego powodu na burzę, bo książę kanclerz chciał uczyć zięcia rozumu; ale spaliło się i

tą razą na panewce, gdy w tajemnicy przed Wołczynem nie życzyli już sobie więcéj bracia zadzierać z panem Bystrym. Co większa? już zabiegali o jego łaski i chcieli go sobie zobowiązać; na sejmie grodzieńskim przynajmniéj, który nastąpił niedługo, a na który posłem stanął Józef z płockiego województwa, wyrobili mu wpływami swojemi, że posłowie przyzwolili dla Bystrego na pensję doroczną czterech tysięcy złotych, opartą na kalkulacji ze skarbu litewskiego. Ale się i tą razą strasznie na niedoszłym szwagrze swoim zawiedli.

Dawniej panna, teraz poróżniła ich na gorąco młoda, piękna i bogata wdówka, która wszystkie posiadała przymioty, żeby się przypodobać mężczyźnie, ale najcelniejszym z nich wszystkich był przymiot sześćdziesięciu tysięcy intraty. Zborowska z domu, była to wdówka po kniaziu Ignacym Szujskim, chorążycu brzeskim. Chciało się jej za mąż, więc sama się swatała za Józefa Matuszewica; ale Marcin wolał, żeby się brat trzymał Kuczyńskiej, do której się na dobre przysiadywał; bo to i bogata panna była i pochodziła z rodziny mającej na Podlasiu wielkie wpływy i przyjaciół, wtenczas kiedy pani Szujska była tylko sobie nieszpetną niewiastą. Sam Marcin nie pragnął też wdówki, więc ją raił szambelanowi Józefowi Zabielle, bratu marszałka kowieńskiego Antoniego, z którymi żył poufale. Pisał do Antoniego, że łatwo zerwać kwiatek, aby tylko rękę schylić. Wszystko to za późno było, bo książe kanclerz i podskarbi do ciepłej wdówki już Bystrego podsuwali; marszałek więc, który z tymi panami był dobrze i narażać się im nie chciał, umył od wszystkiego ręce. Zdarzyło się jednak, że obadwaj współzawodnicy i ich opiekunowie zjechali się razem w Warszawie. Chorążycowa tu była i obadwaj Zabiełłowie, książę kanclerz i podskarbi. Nie było czasu do stracenia; dwaj panowie pojechali do wdowy i oświadczyli jej Bystrego. Pobiegł potem i szambelan Zabiełło, któremu żal się zrobiło pięknej gratki: prosił, oświadczał się, ale już było za późno. Sama Szujska żałowała tego, co się stało, bo lepiej przypadł jej do smaku Zabiełło, ale Bystremu już dała obietnicę ręki, a słowa lekkomyślnie łamać nie mogła.

Poszło teraz na udry. Bystremu chciało się koniecznie być posłem z Brześcia i już ułożyli tak sobie z Flemingiem, że na przyszły sejm obrani będą, on i Kropiński. Ale bracia potrafili

utrzymać swój wpływ i zerwali sejmik (1754 r.) Ztąd podskarbi wielką na nich uknował zemstę. Na biedę swoją pan rejent po pijanemu wygadał się gdzieś z tem i zdradził takim sposobem zamysły. Ledwie co z wesela Józefa powrócił Marcin do Rasny, znalazł mandat na sądy sejmowe o komisję wohyńską, na którą poprzednio go zapisano trzymającym pióro; musiał zatem jechać do Warszawy. Sejm już był na zerwaniu, kiedy tu przybył, a o Wohyniu nikt nawet jeszcze nie wspomniał. Wtem spotkał się na mieście z pisarzem ziemskim brzeskim, Buchowieckim: naturalnie, co kogo dolega, dalejże w rozprawy o swoich rzeczach i o Bystrym. Uniósł się stolnik i złajał do ostatnich słów rejenta: «wart» powiedział na zakończenie «żebym mu, jak psu szczekającemu, w łeb palnął, i kwita.» Nazajutrz Bystry dowiedziawszy się o tem śle do stolnika dwóch swoich przyjaciół, Bitowta posła upickiego i Kickiego, majora artyllerji koronnej z zapytaniem: czy to prawda, że wczoraj o tej a o tej porze to a to, tu a tu stolnik powiedział? Nie zaparł się Marcin: przyznał, że mówił wszystko. Myślał, że potem co najmniej nastąpi uroczyste wyzwanie na pojedynek, więc zawczasu uprosił sobie strażnika brzeskiego, pana Borzęckiego za sekundanta. Ale dzień za dniem upływał i wyzwania żadnego nie było. Wreszcie Borzęcki spotkał na pokojach Bystrego, przyszło łatwo do przemówienia się i wyrzutów. Strażnik rzekł: «Sameś sobie winien Waszmość, boś na Matuszewiców spiskował.» Ale Bystry wyparł się wszystkiego i zaraz z Warszawy wyjechał.

Pan rejent była to ambitna i czupurna sztuka; chciał koniecznie postawić na swojem. Ale cóż, kiedy troszkę był też i tchórzem podszyty? Mścił się to już po raz trzeci na Matuszewicach. I do urzędu grodzkiego przeszkodził i o Wohyń dokuczał i teraz, kiedy już ostatnia bieda uderzyła na stolnika, to jest kiedy książę kanclerz uparł się na to, żeby dowieść stolnikowi nieszlacheckiego pochodzenia, pan Bystry z drugim takim ptaszkiem, jak sam był, wystarał się o babę chłopkę, która niby ciotką rodzoną była Matuszewicom i fałszywe o nich przed sądem składała zeznania, za co ją zapłacono. Długo trwały te prześladowania. Już dalej w zemście nie można było postąpić. Ale wreszcie i u Bystrego odezwało się sumienie; — do tego bojaźń, żeby nie był gdzie w ustronnem miejscu przedmiotem na-

paści publicznej, kazała mu miarkować wybuchy swej niechęci i złego humoru. Wiedział, że przy łasce kanclerskiej cała koalicja szlachty nie zepsuje mu przyszłości i nie sprowadzi go z drogi, na której tak szczęśliwie postępował; ale mimo to jednak zawsze chyłkiem wyjeżdżał z domu i otaczał się wielką tajemnicą; widać na pewno obrachowywał niebezpieczeństwo. Bądź co bądź, trzeba było raz przecie wyjść z tego położenia. Już i tak lat kilka w trwodze upłynęło. Po wielu namysłach zdobył się na odwagę i postanowił wyjść z junakieryą. Pojedynek zdawało się najlepiej tę sprawę załagodzi. Więc posłał do Józefa Matuszewica, swego przyjaciela, Ignacego Paszkowskiego, który naprzód wymawiał półkownikowi przechwałki i częste odgrażania sie, jakich i ustnie nigdy tamten nie szczędził, a wreszcie wyzwał go na pojedynek. Józef co tylko się wybierał do Nieświeża na pogrzeb księcia wojewody nowogrodzkiego, kiedy Paszkowski przyjechał. Nie na rękę to było naszemu półkownikowi; ale jednak zajrzał do Rasny, gdzie nie zastawszy brata, zjechał się z nim w Czemerach. Po naradzie stanęło, żeby Józef udał się prosto do Linowa, gdzie Bystry mieszkał, i żeby go wyzwał nawzajem. Obadwaj bracia poprzednio wstąpili do Siechnowicz, żeby Piotra Paszkowskiego uprosić sobie na sekundanta. Tutaj rozmyślili się inaczej. Chciał albowiem półkownik z Siechnowicz słać do Linowa swojego towarzysza Starowolskiego, naprzód z wyzwaniem do Bystrego a potem z ostrzeżeniem, żeby zaraz stawał do pojedynku, gdy nadjeżdżają bracia i sekundanci. Dlaczego zaś ta nagła zmiana w planach nastąpiła., kilka słów o tem naprzód powiemy. Było to jakoś przed samym Świętym Michałem (1757), dniem ważnym jeżeli dla całej Litwy, to najważniejszym dla stronników kanclerskich. Wtedy co żyło jechało do Wołczyna pokłonić się najjaśniejszemu słońcu na ziemi polskiej, to jest księciu kanclerzowi w dzień jego imienin. Obawiali się zatem bracia, żeby nie tłumaczył się tą razą Bystry koniecznością podróży do Wołczyna i brakiem czasu, gdyby bój odkładali. Do tego swoje mieli wyrachowanie i nowe plątały się obawy. Bystry gotów był, aby się tylko udało rzecz zwlec, pojedynek po Ś. Michale złożyć w okolicach Wołczyna; sprawiedliwie należało się w takim razie obawiać, żeby książę licznych gości swoich nie zaprosił na to widowisko. Mógł wtenczas samą obecnością swoją, jak dodać ducha Bystremu, tak

zaimponować jego nieprzyjaciołom. Bystry byłby o sto procent hardziejszy tem spółczuciem panów i Litwy. Prawda, że niebezpieczna to bardzo była gra, takie naigrawanie się a tem więcej publiczne, które nigdy celu swojego w Polsce nie dopięło; mogliby łatwo szlachta, co przy Matuszewicach stała, rwać się do szabli, i ni z tego ni z owego zapaliłaby się nowa Farsalja jak pod Olkinikami; krew stronnictw mogła płynąć, a nie wiele do tego było potrzeba żeby płomień dalej się rozniósł po Litwie. Tego właśnie chcieli Matuszewice uniknąć. Marcinowi zdało się więc, żeby Józef prosto jechał do Linowa, która to wieś doskonale mu wypadła po drodze do Nieświeża i żeby tam osobiście wyzwał Bystrego, a jeżeli nie wyjdzie plac ostrzelał i ogłosił go za infama, — najmniej albowiem trzeba było robić z tem wszystkiem rozgłosu przez obawę Wołczyna. Ale tę radę odrzucono na posiedzeniu familijnem. Stało się tedy, że pojechał Starowolski i spotkał w Koziobrodzie Rutkowskiego dawnego Matuszewicowskiego sługę, który był teraz u Sadowskiego starosty słonimskiego. Wdawszy się z nim w rozmowę dowiedział się Starowolski, że pan Bystry z panem starostą właśnie wybierał się do Wołczyna.

Zaczaił się i przeczekał cały dzień, aż nadjechali wreszcie pożądani goście. Śmiały towarzysz wyszedł tedy naprzeciw i w oczy zapowiedział Bystremu, że go wyzywa do pojedynku wyzywany przez niego Józef Matuszewic. Zmięszał się zrazu pan Bystry i odrzekł, że jest w drodze; przepraszał więc teraz ale chciał się stawić na rycerskiem słowie, skoro czasu więcej mieć będzie. Nie było na to rady, ustąpili Matuszewice; ale rzecz dla wszystkich już była widoczna, że pojedynek zamieni się niezawodnie w bój obojga stronnictw, bo oczywiście Bystry nie mógł w Wołczynie zataić tego co go spotkało, a kanclerz niezawodnieby już te sprawy urządził tak, że i krewby się polała. Matuszewice nie zaspali więc pory, uprosili półkownika Paszkowskiego, żeby z nimi jechał dalej, wstąpili do Zbirohów, gdzie od Boga poczynając, pomodlili się serdecznie, zabrali drugiego Paszkowskiego, stolnikowicza polnego litewskiego i wszyscy wrócili do Motykał. Tutaj na wszystkie strony rozpoczęli zabiegi, spraszali przyjaciół, garnęli szlachtę, żeby wystąpić świetnie i zaćmić orszak Bystrego, którego się spodziewali zobaczyć z wielką mocą. Przyjechał do nich poczci-

wy strażnik brzeski, Borzęcki i brat Wacław, z kilką ludzi, ale reszta niedopisała wcale. Na takie zabiegi albowiem potrzeba było dużo czasu. Nazajutrz pojawił się w Motykałach trzeci Paszkowski Ignacy, z wyzwaniem a raczej z ogłoszeniem, że bój niezawodnie nastąpi pomiędzy Terebuniem a Motykałami i pytał się czy przyjmą bój i miejsce. Odpowiedziano natychmiast, że przyjmą. Pokazało się, że książe kanclerz nibyto głośno ganił w ogóle pojedynki, a tą razą głośno podburzał w Wołczynie, namawiając szlachtę, żeby nie wypuściła żywcem ani jednego z Matuszewiców. Mówił daléj drugi język, że hersztem kanclerzowym podżegającym do zaciętości i owszem przywódzcą sporu stanął pisarz ziemski Buchowiecki, a nowina ta zdaje się była najpewniejsza, bo pochodziła prosto z Wołczyna i zwierzył się z nią w tajemnicy Marcinowi, rejent Fleminga Morochowski. Przyjaciele jednak na innej drodze chcieli usłużyć braciom. Rogaliński, opat wiwtycki, wielki przyjaciel całego domu Kuczyńskich, a więc i pani Józefowej z Motykał, ratując Matuszewiców od nagłego nieszczęścia i napadu, zawczasu postarał się u księdza biskupa łuckiego o zakaz bitwy pod najsurowszemi klątwami kościelnemi i opłatą tysiąca dukatów, które każda strona w razie przewinienia miała zapłacić. Druga okoliczność, która im poszła w pomoc była, że Nietyxa, skarbnik parnawski, zażyły w brzeskiem i zamożny obywatel, chcąc córkę wydać za półkownika Paszkowskiego, pojechał do Wołczyna prawie na wywiady, i zawczasu zabiegał o to, żeby przyszły zięć jego wywikłał się jako z tego niebezpieczeństwa. Ani o Rogalińskim, ani o Nietyxie, który także miał swoje plany, nic nie wiedzieli nasi bracia, którzy chociaż niezupełnie się udało ze szlachtą, nie tracili przecież nic na minie i byli wcale butnej rezolucji. Zatem Ignacy, spełniwszy swoje poselstwo powrócił do pana Bystrego i rozpowiedział, jak wszelką gotowość znalazł w Motykałach. Zląkł się rejent, który już tymczasem wrócił z Wołczyna, a miał chociaż słabą nadzieję, że się przed bitwą wycofa, i wtedy to nasiadł go Nietyxa niespodzianie. Taktyka Nietyxy zależała na tém, żeby przestraszyć Bystrego; dobył więc z pod serca wymowy i w oczy mu prawił, jako bracia mają do niego żal sprawiedliwy; dodawał, że żal taki dodaje niezwykłej animuszowi rezolucji, — ubliżenie szlacheckiemu honorowi Bóg niezmiernie karze i gotów teraz dać straszny przykład. «Książe

jak książe,» mówił, «ale pocóż Waszmość» prawił do Bystrego «z księciem i jego zausznikami wsiadł na Matuszewiców, alboż to gorsi od innych?» Drżał biedny rejent jak w gorączce i upoważnił Nietyxę do układania się z braćmi. Więc w samą wilję boju, kiedy w Motykałach wszystko wrzało wojenną pożogą, nagle Nietyxa zajechał i prosił imieniem Bystrego o zgodę. Obsiadł Marcina i długo mu perorował, ale napróżno, bo Józef zaczął dokazywać, że trzeba stanąć, że cześć rodziny tego poświęcenia się wymaga, bo w razie przeciwnym Bystry rozgadywałby pomiędzy szlachtą, że się Matuszewice ulękli; potem dowodził, że do rejenta mieli żal słuszny a nie wyzywali go na rękę, owszem on wyzwał, więc była wszelka nadzieja, że go Bóg skarze; — i dlatego samego, boju wypierać się niepodobna, gdyż rzeczy już zadaleko zaszły. Nietyxa nowego strachu napędził Bystremu donosząc o zaciętości Józefa. Napróżno animował go Buchowiecki: rejent wyraźnie dawał za zwyciężoną Matuszewicom. Wysłał znowu do nich Ignacego Paszkowskiego i pana Bogusławskiego, który był krajczym brzeskim, z poleceniem, żeby albo ułożyli się o zgodę albo przynajmniej wymogli nową zwłokę boju. W Motykałach szlachta ledwie co zasiadła do kolacji, kiedy nowi dyplomaci nadjechali. Znaleźli tutaj niespodziewanych sprzymierzeńców; kobiety albowiem obległy braci i mężów, żeby im oręż z ręku wytrącić. Ale nie, Matuszewice stali ostro przy tém, żeby nazajutrz Bystry w pole wyjeżdżał mierzyć się z nimi. Pani Józefowa w płacz, omdlała wreszcie, rozlecieli się wszyscy trzeźwić ją, a posłów samych zostawili. Nie zrazili się tą niegrzecznością. Przestrach, łkania kobiet, dobrze były w porę. Chcąc uspokoić panią Józefowę, musieli wszyscy coś obiecywać. Stanęło więc na tem, żeby uciec się do posłów, a jeżeli warunki podadzą dobre i godne, żeby zawrzeć z nimi pokój. Odjechali z tem późno w noc posłowie Bystrego, a w Motykałach wszystko zaraz spać legło. Skoro świt, Starowolski pojechał do Bystrego do Terebunia, że wszystko gotowe i że Matuszewice już czekają. W istocie zaraz po Starowolskim w całej kawalkacie zbrojno pospieszyli na plac. W Terebuniu spali jeszcze, kiedy towarzysz się zjawił i pobudził ludzi. Pan Bystry wybierać się zaczął, toż jego ludzie, a uprosili Starowolskiego, żeby powracał do swoich i doniósł, że lada chwila będą gotowi. Szlachta Matuszewicowska zsiadła z koni i czekała w rycerskim ordynku,

ale długo, bo przeszło godzinę. Wreszcie niezwykły widok uderzył szlachtę; konno i w karetach z wielką gromadą, orszak Bystrego wyjeżdża na pole i swobodnie po nim się roztacza; ogląda się szlachta po sobie, źle; tamtych trzy razy tyle, przemoc widoczna. Patrzą w milczeniu i nie wsiadając na konie, czekają co z tego będzie. Farsalia za chwilę miała krwią spluskać podlaskie pola, gdy nagle w całym galopie pędząc konia pojawia się Deus ex machina — Cysters wistycki. Do probostwa jego należał tak Terebuń, jak Motykały, przemawiając więc do obu stron jako pasterz, spodziewał się od nich względności. Cysters pojechał prosto do Bystrego, doręczył mu zakaz biskupi, który wyrobił ksiądz Rogaliński, i nie dosyć na tém, zaczął sam od siebie nakłaniać do zgody, zaklinać. Tymczasem nie czekając końca pan Buchowiecki swoich w dwie linje szykował na polu. Co widząc szlachta Matuszewicowska porozumiała się z sobą i zaczęła się rozsypywać i rozrzucać kupkami dlatego, żeby lepiej zaimponować siłą, że to niby było ich więcej. Nietyxa dobrawszy sobie kilku starych ze szlachty poskoczył ku Matuszewicom dowodząc im, że taki zakaz biskupi jest ważny, na poparcie swoich rozumowań ten fakt przywodząc, że zakaz podobny szanowali wojewoda lubelski Tarło i Kazimierz Poniatowski, podkomorzy koronny, kiedy się pojedynkowali o Anusię. Więc łatwo zabrać się do zgody. «Bystry zapiera się wszelkiemi sposobami, że nastawał na was, na szlachtę, i gotów to publicznie tutaj zaraz oświadczyć na placu. To macie dosyć, mówił do Matuszewiców Nietyxa. Wyzwał zaś was, bo słyszał jakeście się na niego odgrażali; toż musiał to zrobić, wyście w tem winni.» Bardzo na rękę Matuszewicom prosił ich tak Nietyxa. Bo juścić, Bogiem a prawdą powiedziawszy, daleko więcej po stronie Bystrego było szlachty, a chociażby się nie wszyscy bili i przypatrywali się jeno walce jeszcze się można było obawiać o zwycięstwo. Stawało się więc to, co poprzednio uradzono w Motykałach. Bracia żądali po rejencie żeby wyznał, jako nie nastawał nigdy na ich honor i jako chce świętej zgody. A stał niedaleko w gromadzie Bystry. Posłał do niego pan skarbnik, żeby przyszedł w koło braterskie. Poszedł. Józef wystąpił ku niemu na kilka kroków, a Wacław pierwszy przemówił pytając się prosto z mostu rejenta, «czy się zna do

tego co przeciw honorowi szlacheckiemu robił?» Na to Bystry odpowiedział: «Nie znam się do tego.» — «A czy chcesz zgody?» odparł. — «Chcę.» Więc Józef zaraz pocałował się i przeprosił z Bystrym, co widząc Marcin odszedł w stronę. Jeżeli zgoda miała być zupełną, Marcin źle zrobił, to też Bystry przemówił zaraz do niego: «Panie Stolniku, a przywitałże się Waszmość ze mną?» Nie był stolnik temu przeciwny; ale honor Matuszewicowski kazał się mu chwilowo opierać, niby to się drożył i nie chciał. Przypadli do Marcina ze stron obu pośrednicy i dalej w serdeczne prośby. Więc poszedł. Bystry zbliżył się a stolnik do niego z ferworem drażniąc się jeszcze: «Nie wyzywałeś mnie, więc nie masz racji godzić się ze mną.» Na to Bystry: «Odkazujesz się na mnie.» — «Jak chcesz tak sobie rozumiej» rzekł stolnik. A na to jak nie powstaną przyjaciele z obu stron, jak nie okrzykną Marcina i Bystrego! Furya się zrobiła prawdziwa: najwięcej krzyczał Nietyxa, który się obawiał utonąć na Dunajcu. Buchowiecki stał przy uszykowanych swoich i czekał jeno hasło do boju. Aż zreflektował się stolnik na te wrzaski i rzekł dumnie: «Panu Bogu mój żal ofiaruję, a Bystremu dla miłości Bożej odpuszczam.» Stanęła więc zgoda nad wszelkie spodziewanie. Nietyxa lękając się, żeby lada przyczyna nie wywołała nowego pożaru, zaczął wtedy zagadywać, że już późno, że czas na obiad, i to mówiąc pożegnał się z Matuszewicami a z Bystrym i całą ligą odszedł. Co widząc szlachta Buchowieckiego zaraz młodsi wsiedli na konie, starsi i poważniejsi do karet i odjechali. Bracia Matuszewice otrzymali plac boju, bo się dłużej zatrzymali na polu. Posłali przodem do pani Józefowej dać znać, że nie było pojedynku a potem w całej świcie zabrali się i na obiad również pospieszyli do Motykał. Niedługo zajrzał i tutaj Nietyxa. Zacny ten szlachcic odprowadził nieprzyjaciół do domu pilnując ich po drodze, aby nie zrobili co nowego, a potem pogonił za przyjaciołmi. Radzi mu tutaj wszyscy byli niezmiernie, a najwięcej pani Józefowa, bo też trzeba przyznać, że głównie za jego staraniem się i prośbami do nowej Farsalii nie przyszło.

Znalazł się też nie z przypadku przy uczcie z bratem swym szambelanem ksiądz opat wistycki Rogaliński, któremu również wiele wdzięczności winno było województwo brzeskie za prze-

szkodzenie rozlewowi krwi. Dzień zszedł mile wśród licznego towarzystwa.

Za inną razą dokończę kiedy historji Bystrego, który się wyżej jeszcze posunął, bo został nawet kasztelanem brzeskim za panowania już Stanisława Augusta. Ale to później.

DZIEJE NIEWIASTY POLSKIEJ.

HELENA Z POTOCKICH MORSZTYNOWA.

W dziejach literatury polskiej znane jest z pięknej bardzo strony imię Wacława Potockiego poety i autora wielu dzieł, jako to: Jovialitates, Nowego zaciągu pod chorągiew starą tryumfującego Jezusa, Poczetu herbów szlachty, poematu Syloret i wreszcie tłómacza Argenidy Barklajusza. W ostatnich czasach znalazło się kilka jeszcze innych dzieł Potockiego dotąd literaturze nieznanych, bo chociaż nasz autor, jak pokazuje się ze wszystkiego, dużo pisał, jednak czy to przez skromność, czy przez dziwactwo, które przywiązuje się do podeszlejszego wieku, wszystkie prace swoje literackie starannie ukrywał przed spółczesnymi i krom jednej, nic za życia swojego nie wydawał. Dopiero po jego śmierci, zaczęły jego poemata pokazywać się w druku i trwało to przez długi czas, że co chwila nowe w tym względzie robiono odkrycia. Zdawało się, że poczet prac Potockiego zamknął już Syloret wydany dopiero w roku elekcji i koronacji Stanisława Augusta 1764, ale pokazało się że to jeszcze nie koniec. Ambroży Grabowski drukował już za naszej pamięci w Ojczystych Spominkach wiersz jego pod tytułem: «Pełna najjaśniejszemu Janowi III» a ledwie przed kilkoma laty pokazał się we Lwowie wydany przez Stanisława Przyłęckiego znakomity poemat o tejże samej wojnie Chocimskiej, którą mniej szczęśliwie opiewał Krasicki, poemat o którego odkryciu i pięknościach już przed kil-

kunastu laty czytaliśmy rozprawy po pismach perjodycznych. W istocie «wojna chocimska» znakomicie zbogaca literaturę naszą: język prześliczny wszędzie, obrazów wiele, zapału moc, a przy tem wszystkiem częstokroć nawet połyski jenjuszu. Otóż Szajnocha we Lwowie wpadł na szczęśliwy pomysł, że autorem tej wojny chocimskiej był także nasz Wacław Potocki. Dowody które pokładł uczony lwowski silnie mówią za tym domysłem. Uderza naprzód bliźnięce podobieństwo wyrażeń napotykanych w tej wojnie z Jovialitates, o których że są dziełem Potockiego wiemy z pewnością. Nie wyrażenia ale wiersze całe przepisywał Potocki z wojny, która znacznie dawniejszą była od Jovialitates: widać pod starość straciwszy na żywości umysłu, sam siebie kopiował a kopiować mógł tylko siebie nie kogo innego, bo inaczej wyglądałoby to na plagjat zbyt uderzający w oczy, na co jeden z najgłówniejszych w kraju rymotworców Potocki, nie tak bardzoby się odważył. Potem są w Jovialitates częste wspominki, że autor zbudował Chodkiewiczowi pomnik homerowy jak Odysseja, a Chodkiewicz właśnie jest bohaterem wojny chocimskiej. To miał być «orzech wierszów» jego, jak sam powiada. Nareszcie poemat wydany przez Przyłęckiego, ofiarowany jest Janowi Lipskiemu staroście czchowskiemu, od teścia, bo autor chce wywdzięczyć się tą ofiarą za miłość jego ku rodzicom swej żony, a właśnie Lipski miał za sobą córkę Wacława Potockiego. Również też wszystkie inne genealogiczne szczegóły wyjęte z samego poematu, jawnie świadczą za domysłem Szajnochy i wątpliwości niema, że Jędrzéj Lipski stryj starosty czchowskiego, którego podstawia w miejsce właściwego autora wydawca, wieszczem wojny chocimskiej w żaden sposób być nie może.

Lubo takim sposobem wszystkie poszlaki wypadają na stronę Potockiego, dzieje literatury przecież muszą jeszcze cokolwiek poczekać z wydaniem ostatecznego wyroku w tej mierze. Jeżeli inne dowody (a znajdą się jak amen w pacierzu) wypadną na stronę tłómacza Argenidy, wtedy się znakomicie podniesie jego stanowisko w literaturze polskiéj. Już to dawno spostrzeżono, że w tym okresie piśmiennictwa, który nastąpił po złotéj epoce Zygmutowskiej a trwał aż do czasów Konarskiego, trzech poetów zdradzało wyższe polotem natchnienie: Kochowski, Samuel ze Skrzypny i nasz Wacław Potocki. Wszyscy trzej ludzie ze zna-

komitemi zdolnościami, nie poszli dla tego daleko, że nie mieli artystycznego wykształcenia, którego im ówczesne wychowanie polskie i brak studjowania wzorów nie dały. A teraz «wojna chocimska» dobrze wyskakuje nad wszelkie mierności i arcydzieła tej epoki. Potem rzecz druga uderza: przywykliśmy uważać ten okres cały makaronicznej literatury za wiek ramot mową wiązaną i niewiązaną pisanych, za wiek silących się i w śmieszność przechodzących dowcipów, za czas, w którym się affekta w wojska rekrutowały, a z kazalnic prawiono smalone duby i bajdy. Teraz pytanie, czy epoka w której napisano wojnę chocimską, w której żył z niczem nieporównany Pasek, w której kaznodzieje byli tak pomysłami, treścią, uczuciem i językiem narodowi, jak ksiądz Młodzianowski wydarty z bibliografji a powrócony literaturze przez ks. Hołowińskiego; wiek, w którym ujrzał życie w szacie polskiej przestrojony tak narodowo z togi rzymskiej w kontusz Kochowski; czy wiek ten może być uważany za wiek na pół ciemnoty i barbarzyństwa makaronicznego, w którym niby ustało wszelkie uczucie estetyczne narodu? Odpowiadamy, że pod żadnym pozorem. Jesteśmy przekonani, że zabłysł nam właśnie przeddzień wielkiej przemiany wyobrażeń i sądów naszych o tej literaturze, którą zowią nasi historycy jezuickim okresem. Niechno tylko otworzą się biblioteki i lepiej poznamy dzieła historyczne epoki, do dziś dnia w pamiętnikach domowych kryjące się, niech się tylko stare pokażą rękopisma, a ta niwa dziejów naszej literatury z epoki makaronicznej pięknym i wesołym się kwieciem rozzieleni. Oto i Wójcicki wydrukował wierszem w I tomie swojej Biblioteki Starożytnej urywek pod tytułem Merkurjusz nowy, pochodzący z czasów Michała Korybuta albo Jana Sobieskiego, którego ustępy przypominały nam Marją i silny, jędrny język nowo odkrytej wojny chocimskiej.

Pan Maciejowski za bytności swojej w Petersburgu, znalazł także w bibliotece Załuskich niektóre nieznane nam bliżej dzieła Wacława Potockiego w drukach i rękopismach. Jedno z nich, którego dowcip poznać można z tytułu, Krasicki niegdyś błędnie przypisywał Kochowskiemu. Tytuł jego: «Ogród ale nie pleniony, bróg ale co snop to innego zboża, kram rozlicznego gatunku. Na cóż chwalić? w ogrodzie chwastu dosyć, gdzie pokrzywa

sparzać, w brogu plugastwa gdzie mało nóg zawrócić głowę, w kramie szpilek któremi zakłuć, zwierciadeł w których się przejrzeć możesz, między towarem na poły rzeczy, powieści i przygody, podobieństwa które jeśli nie były, być mogły w obojej płci, w różnych stanach i wieku żywota ludzkiego: tudzież ethica do cnoty, moralia do obyczajów, sacra do nauki, seria do przestrogi wiodące: poważnych i uważnych, festiva, ludicra, satyrica, salsa, allusia, z imion, przezwisk, urzędów i komplexji różnych, krom zgorszenia cnotliwego człeka, bo czystemu wszystkie rzeczy są czyste, próżnujących zabawiające ludzi: są i żarty z podufałemi bez sarkazmów przyjacioły.» Że spółcześni cenili wiele prace naszego poety, dowodem wiersz który na czele tej książki stoi:

Zacny Potocki jakiego nie miały
Wieki poety: wszędzieś doskonały;
Lubo się modlisz, lub płaczesz lub szydzisz,
Równego sobie w koncepcie nie widzisz.

Chcielibyśmy skreślić obrazek domowego życia Wacława Potockiego, zanim przejdziem do jego córki czy wnuczki, której dzieje mamy zamiar opowiedzieć czytelnikom. Byłby to słuszny wstęp do samego opowiadania. Ale nie wiele wątku na to nam starczy, bo właśnie dzieje te domowe są w ogóle bardzo u nas zaniedbane: dotąd znamy więcej historję wojen Rzpltej i konstytucji, jak to co najwięcej może byłoby ciekawe z przeszłości, co najwięcej może naród charakteryzuje. Postaramy się jednak chociaż o lekki szkic opowieści, która powinnaby wielce być interesującą, zwłaszcza że idzie tutaj o literata. Do tego co powiemy dadzą nam materjał artykuł ów Szajnochy o autorze Wojny Chocimskiej i same pisma Wacława.

Nasz Potocki nie pochodził z owych wielkich Pilawitów, co hetmanami zasilali ciągle Rzplitę. Ziemianin krakowski pieczętował się herbem Szreniawa. Urodził się i wzrósł pod szczytami Wawelu, tutaj całe życie przepędził, tutaj pewnie umarł. W województwie krakowskiem piastował urzędy ziemskie.

Są ślady, że dwudziestokilko-letni młodzian (narodził się podobno 1623) walczył w wojnach kozackich po śmierci Władysława IV. Poznał tam braci Lipskich, stryjów Jana starosty czchowskiego, który został później jego zięciem, niewiadomo jednak czy wszystkich czterech. Hieronim z nich najstarszy, ojciec Jana, zdaje się

że nie był w tych opałach i że obok Potockiego tym razem walczyli tylko młodsi bracia: Jerzy, Jędrzej i Piotr. Wszyscy ci trzej bracia bili się także i za Władysława IV z Abazem i pod Smoleńskiem (1633—4 roku), a wszyscy czterej z Hieronimem i z ojcem swoim Janem odznaczyli się pod Chocimiem za buławy Chodkiewicza. Opowiadania Lipskich o tym rycerskim i homerycznym rapsodzie naszych dziejów, pewno natchnęły Wacława. Było pomiędzy nimi a poetą jakieś swojactwo: i Lipscy i Potocki pieczętowali się Szreniawą, a w dawnych czasach pokrewieństwo herbowe bardzo często zastępowało związek krwi i wspólnego pochodzenia.

Złożywszy w dani ojczyźnie krew swoją i trudy, Wacław osiadł na wsi i całkiem się poświęcił literaturze i rozkoszom familijnym. Sąsiedztwo czy uczucia przyjaźni zbliżyły go do Jana Lipskiego, synowca owych trzech stryjów. Starosta czchowski tylko co mianowanym został starostą sądeckim, po Aleksandrze Lubomirskim, synu owego Jerzego, dzielnego obrońcy swobód szlacheckich [1]). Być może też, że po tym samym Aleksandrze Lubomirskim, wtenczas także wziął Lipski starostwo perejasławskie, które miał już w r. 1678, jak świadczą konstytucje sejmowe. Nie tylko urzędy ale i żonę brał Lipski po staroście sądeckim: Katarzyna Sapieżanka albowiem, córka hetmana Pawła, dzielnego obrońcy Rzplitej za Jana Kazimierza przeciw Szwedom, wdowa po Lubomirskim, powtórne z nim zawarła małżeńskie śluby. Tymczasem jest rzecz niezawodna, że tenże sam Lipski był żonaty z Zofią córką Wacława Potockiego. Nie wie o tem nic Niesiecki ale Przyłęcki znalazł tę wiadomość w aktach urzędowych sądeckich. Która z nich była pierwszą żoną starosty czchowskiego, Sapieżanka czy Potocka? gdyby na to nie odpowiedział z pewnością wydawca Wojny Chocimskiej, łatwoby dojść tego można z samego poematu. Była nią Potocka, a więc z nią Lipski widać żył bardzo krótko. Jeżeli to albowiem prawda, że wojnę chocimską pisał Wacław za panowania Michała Korybuta (a zdaje się, że tak jest), to Zofia była jego pierwszą żoną, bo tam już w poemacie autor pisze o miłości Lipskiego ku rodzicom żony. W aktach też sądeckich jest oblatowany przywilej pod r. 1669, przywilej Jana

[1]) Nominacja ta dla Lipskiego zapisana pod d. 20 marca 1676 w Sygillatach kor. ks. 13 fol. 79.

Kazim. na jus communicativum dla tej córki Wacława. Wypadłoby z tego, że Zofja Potocka umarła młodziuchną i że niejedną taką bolesną stratę dla swojego serca przeżył nasz poeta. Właśnie pod owe czasy także jeden z synów jego Stefan powracał z pod Chocimia, pod którym hetman Sobieski odniósł świetne zwycięstwo, i umarł w r. 1673 mając zaledwie lat 22 życia. Bądź co bądź, to rzecz pewna, że nie po śmierci dopiero Aleksandra Lubomirskiego, Potocki wszedł w związki przyjaźni z Lipskim. Wierszem mu bowiem winszował poeta starostwa sądeckiego i pisał nagrobek tegoż samego roku innemu Aleksandrowi Lubomirskiemu wojewodzie krakowskiemu, a stryjowi starosty sądeckiego. Lubomirscy z Lipskimi zostawali także w serdecznych stosunkach, bo nietylko herb mieli jeden, ale i pień pochodzenia wspólny; obadwa te domy szły od braci rodzonych jak Tęczyńscy i Ossolińscy. —

Serdecznie do swojego zięcia przywiązany poeta, wiele mu pamiątek piśmiennych pozostawił i pamięć jego zachował dla potomstwa. Pochlebiały Potockiemu pańskie związki z Lipskimi, to też ciągle się z nich wynosi i ciągle zięcia ma na myśli. Pisze wiersz dla córki Zofji, która pas ofiarowała mężowi w dzień jego imienin. Potem wchodzi w najdrobniejsze szczegóły gospodarstwa domowego i przywiązań zięcia by go rozweselić, aby mu spółczucie swoje ukazać. Opłakuje zgon Akwilona konia Lipskiego, inną razą płacze straty Korydona ulubionego psa jego. Pełno takich wierszy w Jovialitates. Zdaje się nawet, że obadwaj razem i zięć i teść, we wsi Lipie, gdzieś w krakowskiem mieszkali. To z pięknej strony pokazuje uczuciowość Wacława.

Lipski miał siostrę rodzoną Elżbietę za Achacym Pisarskim rotmistrzem i starostą wolbromskim: obaj z hetmanem Sobieskim pobiegli pod Chocim za króla Michała. Pisarski śmierć tam znalazł pod spisami tureckiemi. Było to już może po śmierci Zofji. Lipski ciało szwagra sprowadził z siostrą i uczcił go wspaniałym pogrzebem. Potem niedługo córkę jego Katarzynę poślubił niebu (w r. 1675). Były to także ciężkie straty familijne dla naszego poety. Złamany trudami odpoczął już wtenczas kiedy zięć jego rotmistrzował w Sądeckiem, a pułkownikował województwu krakowskiemu, w czasie bezkrólewia po Michale i po elekcji Jana III.

Skromnie myślał Potocki o zdolnościach swoich poetyckich. Nieraz przyznaje się do tego: «piszę rymem podłym, powiada, a potem wtóruje sobie: pióro moje z gąski.» Zresztą czuły, tęskniący do dzieci, które mu Bóg pozabierał, może dla tej samej czułości ma nierzadko natchnienie, choć nie wie o tem. Nie umie wznieść się do wysokiego liryzmu i brzdąkać na lutni, ale w pieniach jego żyje nieprzebrany zdrój rycerskich opowiadań, zasilony wielką pamięcią i przykładami, bo jak sam i jak syn służył wojskowo, tak od zięcia i stryjów jego nieraz słuchał o wojennych przygodach i rycerskich gonitwach. Odumarli go wszyscy swoi, a on samotny pozostał na grobach tylu, — więc śpiewał i zalewał się łzami. Dzieł swoich nie drukował wcale: widać, że mało je cenił. Argenidę tylko przetłómaczywszy chciał wydać na świat, ale dlatego że to dzieło było obce nie jego własne; jednak i z Argenidą tak długo się namyślał, że upłynęło w tych namysłach całe życie i obcy w lat kilkadziesiąt potem dopiero ten poemat wydali. Potocki tak długo się namyślał, bo nie wiedział komu ma dedykować dzieło, a pewno już wtenczas nie żył zięć jego najdroższy Jan Lipski, któremu ofiarował «orzech wierszy swoich» Wojnę Chocimską.

Wacław Potocki był podczaszym krakowskim. Został nim już za Jana III, ale czego nie wiedzą nasi pisarze, złożył ten urząd w r. 1685. Wspominają konstytucje kor., że w roku wyprawy wiedeńskiej to jest 1683, a więc na dwa lata przed złożeniem podczaszostwa, był jeszcze komisarzem do granic szląskich. Weszło w Polsce w wielką modę sprzedawać urzędy, ale to już za późniejszych czasów, za Stan. Augusta. Wtedy po prostu handlował jeden z drugim, pierwszy ustępował przywileju a drugi spłacał go, ale zawsze potrzebny był do tego konsens królewski. Ale im dalej idziem w tył od czasów Poniatowskiego, tem mniej zepsucia, tem mniej spotyka się śladów tego handlu urzędami. Było wiele zepsucia i za Sobieskiego, ale i wstyd był jeszcze. Dlatego uderza nas rezygnacja podczaszostwa przez Potockiego, robi jednak mniej nieprzyjemne na nas wrażenie, bo wyczytujem w Sygillatach pod dniem rezygnacji zaraz i nominację na toż podczaszostwo dla Jerzego Potockiego towarzysza hussarskiego Jego Król. Mości (22 maja 1685). Wiemy z Niesieckiego, że syn Wacława był także jak ojciec podczaszym krakow., więc ani chybi, że ten

Jerzy to syn młodszy tłómacza Wojny Chocimskiej, syn jedyny o którym w Koronie, a więc w pamiątkach szlacheckich jest wzmianka. Niesiecki nie zna imienia tego syna, teraz wiemy, że nazywał się Jerzy. Ojciec stary i spracowany póty widać piastował urząd ziemski, póki syna nie mógł na zastępcę swojego przedstawić królowi Sobieskiemu.

Przekazywały się wówczas już gęsto starostwa braciom, synom, żonom, wdowom i w ogóle dzieciom; wchodziło więc w zwyczaj ustępować i z urzędów, chociaż ich może jeszcze nie sprzedawano. Tutaj ojciec z przywiązania nie za pieniądze przekazywał podczaszostwo jedynemu synowi, który mu z całej rodziny pozostał [1]).

Z kim był żonaty Wacław Potocki i wiele właściwie miał dzieci? o tem nie wiemy. Dotychczas mamy wiadomość o trojgu jego doroślejszych dzieciach: dwóch synach i jednej córce, nad któremi płacze w Poczecie herbów. Synowie więc byli Stefan i Jerzy, córka Zofja za Janem Lipskim starostą sądeckim. Żadne z nich trzydziestu lat nie dożyło. Sam zaś Wacław Potocki umarł w roku 1693 mając lat siedmdziesiąt.

Z tém wszystkiem w starych papierach znaleźliśmy wiadomość, że i Helena Potocka, po trzech mężach Morsztynowa wojewodzina infl., była córką tego Wacława. W innem miejscu w tychże samych notatach jest wzmianka o Potockim, dowódcy grandmuszkieterów Augusta IIgo, rodzonym bracie wojewodziny inflanckiej Morsztynowej. — Gdyby to nie pomyłka była, do owych dzieci Wacława dodaćbyśmy jeszcze musieli Helenę i jej brata. Ale tym bratem nie mógł być w żaden sposób Jerzy podczaszy krak. z r. 1685, bo dowódca grandmuszkieterów był młody wtenczas, kiedy król tę straż przyboczną formował sobie, a było to około r. 1729. Żeby jak najlżej rachować, Jerzy Potocki mógł mieć w r. 1729 lat 60 przeszło. Zdaje się więc, że tutaj więcej prawdy ma Niesiecki kiedy pisze, że podczaszy krakow. syn Wacława miał za sobą Rościszewską, z której była córka, właśnie ta sama Morsztynowa, i syn którego także nie podaje imienia, ale o którym mówi, że był «w wojsku cudzoziemskiem polskiem znacznej szarży.» Niesiecki nie wie nic, że ten Potocki

[1]) Ta nominacja w Sygillatach ks. 14.

był w grandmuszkieterach, ale te wyrazy o nim, że był znacznej szarży i w wojsku cudzoziemsko-polskiem, jasno na gwardję Augusta IIgo wskazują. Tak więc zdaje się, że Helena była wnuczką Wacława, a nie córką jak wyczytaliśmy, lubo Marcin Matuszewic który był za Stan. Augusta kasztelanem brzeskim, a który Helenę znał osobiście, mówi że to była córka poety. Mógł się tedy pan Marcin pomylić.

Helena Potocka będzie tą niewiastą polską, której dzieje złożą naszą powieść.

Młodo poszła za mąż za Adrjana Topora Bełchackiego, który ze starosty lipnickiego na Szląsku polskim, został kasztelanem bieckim. Był to rządny wzorowy i zabiegły gospodarz, z posiadanych starostw oszczędnością przymnożył pięknego grosza i zebrał nie zły mająteczek: Lipnik było to kura, co mu złote znosiła jaja, bo leżąc na pograniczu ściągał do siebie sukienników i płócienników ze Szlązka, potem zaludnił się i zasłynął fabrykami. Tak więc oszczędnością i rządem dorobił się Bełchacki pańskiej fortuny. Nie pochodził on z dawnego domu, nie odziedziczył bogatych spadków po rodzicach, ale zasługą i pracą z niczego dorobił się krzesła, wzrósł z tego co boli, co właśnie było po staropolsku, a zasiadłszy już raz na niem, tem mniej lękał się Sasów, przed ktorych napaścią zasłaniała go senatorska dostojność. Był już stary kiedy po śmierci pierwszej żony, z której się żadnego nie doczekał potomstwa, poznał Helenę i oświadczył się o nią rodzicom. Owocem tego powtórnego małżeństwa była jedynaczka córka imieniem Aleksandra.

Kasztelan biecki niedługo żył z drugą żoną. Zginął dziwnym przypadkiem.

Śmierć Bełchackiego nastąpiła jakoś w lecie 1715 roku, albowiem Struś starosta będziński został mianowany na kasztelanją biecką 20 września tegoż samego roku [1]).

Nasza młoda wdowa niedługo w powtórne wstąpiła związki małżeńskie i poszła także za wdowca. Tym razem oddawała rękę wielkiemu panu, który z prostego szlachcica jak Bełchacki, wyszedł na magnata i niezmiernie wiele znaczył w Rzpltej, a miał do tego jeszcze łaskę królewską.

---

[1]) Sygillaty ks. 18.

Pan Jakób Zygmunt Rybiński herbu Wydra, bardzo prędko zrobił sobie to znaczenie. Rodem z Pomorza posłował już na sejm elekcyjny Augusta II. Potem długi czas go nie widać, aż nareszcie nadchodzą wojny szwedzkie. Rybiński był jednym z najczynniejszych partyzantów w tej chwili, w której brat jeden darł się z bratem drugim za bary. Rybiński zrobił sobie z wojny rzemiosło, mało tam w sercu jego było uczucia, mało przywiązania do strony, którą popierał; nie narażał się też bardzo, nie przebiegał ogromnych przestrzeni kraju jak Szmigielski, Grudziński albo Gniazdowski, dla tego żeby nastraszyć Szwedów, odnieść jakie zwycięstwo i zasłużyć się niem stronnictwu. Rybiński myślał więcej o sobie i jeżeli już szedł kiedy na wyprawę, to już obrachował naprzód wszystkie trudności i wiedział, że udać mu się powinna była, — wtenczas chyba tylko szedł w ogień i do formalnej bitwy się sposobił, kiedy odebrał hetmański rozkaz, bo służył wojskowo. Takim sposobem był to znany partyzant króla Augusta i w tem może godzien pochwały, że trzymał się stale swojej chorągwi i nie przechodził jak wszyscy wtenczas od stronnictwa do stronnictwa. Ale też za to jak szlachta i spokojni właściciele ziemscy na niego płakali!

Nienawidził śmiertelnie Stanisława Leszczyńskiego i wszelkiemi siłami ile mógł dokuczał temu królowi i jego przyjaciołom. W tym celu zdobył się nawet na oryginalny wcale koncept: rozsyłając swoje podjazdy w różne strony, dawał im zwykle rozkaz, że jeżeli spotkają gdzie nieprzyjaciela, mają się mu pochlebiać i łasić, mają oświadczać że idą do Szwedów, że kochają Stanisława, a potem w danej porze korzystać z łatwowierności nieprzyjaciół. Tak jakiś czas udawało się wojować panu Rybińskiemu na Pomorzu i płoszyć chorągwie Potockiego wojewody kijowskiego [2]).

Najwięcej przecież dokuczył Lubomirskim, którzy stronę Szwedów trzymali. Król też i hetman ciągle go używali na Lubomirskich. August wyprawił go raz np. podjazdem od granic saskich pod Kraków, w którego okolicach bardzo wiele dokazywał starosta spiski: Rybiński przeszedł się tylko po owych stronach z potężną siłą i nawet Spiż postraszył, a p. Teodor Lubo-

[1]) Nordberg.

mirski rezolut także, odtąd ucichł, jakby kamieniem wpadł w wodę (1706). Potem hetman go posłał z pode Lwowa do województw krakowskiego i sandomierskiego, żeby je utrzymał w wierności przy królu Auguście, chociaż już króla tego nie było. Zdarł wtenczas porządnie województwa konsystując długo w Wiśniczu, a za pieniądze wyłudzone nowe zaciągał regimenta, żeby więcej dokuczać. Zniszczył Wieliczkę i Siewierz, Częstochowie tylko dał pokój, bo o ile zdawało mu się Najświętsza Panna sprzyjała tym razem Sasom. Pochody jego przez Polskę znaczyły się słupami płomieni i łzami ubogich. Nie szczędził nawet własnej rodzinnej ziemi, na Żuławach płoszył hollendrów, pod Malborgiem, Snieciem i Toruniem zostawił ślady swoje. Kilka razy przechodził tu i napowrót Wisłę, a nieszczęśliwa ta wiosna była dla Pomorza, w której pan Rybiński tutaj wojował. Solą mu tylko w oku był Ekeblad pułkownik szwedzki, który stał ciągle w Elblągu i na województwa pruskie baczenie dawał. Chociaż silniejszy odparty był aż trzy razy od Wisły przez jeden oddział Ekeblada, a potem tak dobrze zmykał przed Szwedami, że go dogonić nie mogli. Potem wpadł do województwa płockiego z rozkazu hetmana i wszerz na nowo przeszedł całą Polskę od Czerwińska do Szczebrzeszyna.

Pan Rybiński dosyć szczęśliwy w swoich wyprawach, lekko cenił innych dowódzców i regimentarzy polskich np. Czermińskiego i Pocieja, uważając się za zdolniejszego od nich.

Oczywiście, takie zasługi nie pozostały bez wdzięczności. Rybiński został obrany podkomorzym chełmińskim, potem król zrobił go jenerałem majorem wojsk kor., potem jenerałem jazdy, a nareszcie 1710, kiedy znowu do Polski powrócił, łowczym w. kor. [1]).

Ale niebezpieczeństwo jeszcze zagrażało Augustowi IImu od wschodu, gdzie bawił Karol XII, lew północny i całego wpływu swego używał, żeby Portę skłonić do wojny. Na sparaliżowanie tych usiłowań łowczy kor. został mianowany posłem do Stambułu (w Gdańsku 16 grudnia 1710). W towarzystwie Rybińskiego pojechali: Adam Deręgowski instygator kor. i Michał Garbowiecki

[1]) 28 kwietnia 1710 w Willanowie pō Michale Jordanie, który został wojewodą bracławskim. Sygillaty ks. 18.

pułkownik, sławny także kiedyś partyzant; dalej rotmistrze Antoni Czepielowski i Jan Chodykiewicz. Niefortunne to było poselstwo. Kiedy Rybiński przyjechał do Benderu, wojna już była wydana, a wezyr napisał do seraskiera benderskiego list, w którym po prostu Porta odmawiała przyjąć Rybińskiego na tej zasadzie, że król August abdykował i przysięgał że nigdy do Polski nie wróci, a Porta tymczasem uznała Leszczyńskiego. Seraskier dopełnił zleceń i powiedział Rybińskiemu, żeby sobie powracał tam skąd przybył, a co się Polski dotycze, Turcja pozostanie z nią w zgodzie na warunkach pokoju Karłowickiego. Łowczy kor. przywiózł więc z całego poselstwa jeden list do hetmana Sieniawskiego — nic więcej.

Kiedy w nagrodę zasług swoich Rybiński jednego roku dostał dwa wysokie urzędy koronne, gorliwość jego dla Sasów zwiększyła się. Flemming albowiem ustąpił dla niego jeneralstwa artylerji koronnéj i ledwie co król wydał mu na to przywilej, aliści druga spadła nagle na szlachetkę łaska: został wojewodą chełmińskim [1]).

P. Rybiński marszałkuje w Trybunale Piotrkowskim. Wreszcie rzuca trybunał i nie chce być sędzią ale jenerałem. Ściąga swoje dywizje kwarcianych i dragonów z W. Polski i z Pomorza pod Warszawę, łączy się z Flemmingiem i chce z nim razem uderzyć na konfederacją. Ale polskie jego chorągwie przeszedłszy za Pilicę poszły do marszałka związkowego i zostały przy Rybińskim same dragony i jenerał ich Kassenow francuz wielki zdrajca i hultaj jak go nazywają spółcześni. Z nimi poszedł wojewoda z Flemmingiem naprzeciw szlachcie. W drodze dochodzi Rybińskiego list od wojewody krakowskiego, który chce rokowań z wojskiem. Podpisał Rybiński zawieszenie broni, ale mimo to Flemming w Boże Narodzenie uderzył na związkowych. Wyrzucał to wojewoda krakowski panu jenerałowi artylerji, który jednak wciąż działał z jedną kolumną wojska, nic się nie dekoncertując rozpaczą szlachty. Za to napędzili mu konfederaci porządnego kłopotu, bo kiedy z wyprawy swojej powrócił nasz wojewoda do Piotrkowa na sądy, jeden z partyzantów konfederackich wpadł nagle do tego miasta,

---

[1]) Jenerałem artylerji mian. 11 sierp. a wojewodą chełmińskim 20 sierp. 1714. Sygillaty ks. 18.

tak że ledwie uciekł z życiem Rybiński, ile że wieść i pono wcale nie płonna chodziła, że pan marszałek miał zamiar w razie poskromienia szlachty znieść Trybunał i laskę oddać królowi.

Rybiński ożenił się z panną Lubomirską, córką hetmana Hieronima, niedoszłego króla. Kiedy namiętności szwedzkie ustały, połączył się z domem, z którym częste zwodził boje. Ale Lubomirska roku jednego z mężem nie żyła i umarła z połogu w Gdańsku w r. 1716, a więc prawie równocześnie ze śmiercią Bełchackiego. Zostawiła mężowi maleńką córeczkę. Pobożna bardzo jak ówczesne niewiasty polskie, wielce kochała klasztor Paulinów w Warszawie. Umierając pragnęła być pochowaną w ulubionym kościele, ale że lato było i niezmierne panowały gorąca, mąż jej ciała nie odwiózł do Warszawy, ale pochował je u Reformatów w Gdańsku. Miłość tę dla klasztoru Paulinów warszawskich, pani Rybińska podzielała z mężem. Bo oto, jeszcze jeden fakt charakterystyczny epoki: wszyscy ci panowie augustowscy, aczkolwiek już wynarodowiali się pod parciem eleganckich zwyczajów, wszyscy w rumel byli bardzo pobożni. Rybiński oddawna świadczył wiele Paulinom, i własne ich sprawy, prawi kronika zakonna, sądził jak swoje. Kiedy więc zakładali podstawy w Warszawie na kościół murowany (a dotąd drewniany tylko mieli), zaprosili Rybińskiego żeby położył pod budowę kamień węgielny. Dał im wtedy trzydzieści tysięcy złotych pan Rybiński, który niedawno z Turcyi powrócił. A kiedy został wojewodą chełmińskim, przyszedł zaraz do ks. Innocentego Pokorskiego, opatrzności Paulinów warszawskich i rzekł: «donoszę waszmości że mi król Imć województwo chełmińskie przysłał, przypisuję to modlitwom waszmości, któremu deklaruję więcej niż przedtem czynić.» I zamiast 30,000 kazał dać wtedy 40.000 na budujący się kościół. Tak dawniejsi panowie polscy Bogu za wszystko dziękowali i płacili Mu budowlami świątyń, jak późniejsi cokolwiek o lat kilkadziesiąt, za lada urząd wprzódy przed przywilejem Brühlowi opłacać się musieli.

Solenne egzekwie za wojewodzinę chełmińską odbyły się jednak w kościele Paulinów w Warszawie d, 13 sierpnia 1716 [1])

[1]) Te szczegóły wyjęte z akt bractwa Pięciorańskiego przy kościele św. Ducha w Warszawie.

Był zatem Rybiński charakterem i sercem wprost Bełchackiemu przeciwny. Kasztelan oszczędnością zebrał majątek, wojewoda chełmiński zdzierstwem i potakiwaniem Sasom; tamten oddałby się całkiem na ofiarę krajowi, wojewoda poświęciłby kraj dla swojej wygody i korzyści, bo juścić trudno go pomawiać o jakieś plany reformy rozsądne i zacne, kiedy łupieżył obywateli. Bełchacki był szlachcic kontuszowy, pan Rybiński połyskał już polorem nowych wyobrażeń; rozpieszczony od losu chorował na pana i dobrze go udawał, zaraził się kosmopolityzmem epoki i na połowę przynajmniej był Niemcem. Był to przecież zawsze człowiek popularny, obrotny, zręczny, umiał udawać przywiązanie do kraju, dobrze pił, hojnie częstował, rębacz sławny, odważny hulaka, chciał i musiał być popularnym. Nasza niewiasta polska skromnie w domu szlacheckim wychowana, nie była w guście kanclerzyny Pacowej albo Marji Sobieskiej, żeby wdawała się do rządu albo do spraw publicznych Rzplitej i wiedziała wszystko co o panu Rybińskim rozpowiadała bracia szlachta.

Kiedy się Rybiński ożenił z wdową po Bełchackim? daty ścisłej oznaczyć nie możemy. Ale mimo przywiązania jakie być mogło, zdaje się, że tutaj w téj sprawie niepoślednią rolę odegrały widoki majątkowe. Helena miała z siebie i z męża fortunę, nadto kasztelan biecki pozostawił ją przy bogatych starostwach które posiadał, bo poprzednio przed śmiercią swoją zawczasu wyrobił dla niej konsensa królewskie i prawo zlewkowe (jura communicativa). Tak po żonie wziął starostwo Lipnickie. Na tej zasadzie wyrobił dla Biały przywilej królewski na miasto pograniczne. Pożywił się dobrze dożywociem drugiej żony. Bo jakkolwiek sam posiadał obszerne starostwo na Pomorzu np. kowalewskie, które z województwem chełmińskiem chodziło, rządna i gospodarcza pani Bełchacka sama zajmując się wyłącznie finansami domu i za życia pierwszego męża, umiała oszczędzić grosza, który jak błyskawicą przelatywał tylko przez kieszenie pana wojewody i wsiąkał w kielichy węgierskiego wina. Z dobréj kasztelanowa pochodziła szkoły. Oprócz Kowalewa miał wojewoda w chełmińskiem star. lipińskie, dalej wioski i królewszczyzny Chlebowo, Brzuszów, Brudzowo i Bzennę. Miał wieś Dembę i Górę na Pomorzu. Królowa Marja Kazimira wydzierżawiła mu też na trzy lata starostwo

tczewskie (konsens królewski 10 marca 1714 r. w Dreznie). W Sandomierskiem miał starostwo wiślickie.

Ożeniwszy się pan Rybiński z Bełchacką, prowadził wojnę z Gdańskiem, który nie chciał płacić pogłównego, postanowionego dla regularnej opłaty wojska. Pozwani i sądem w Radomiu skazani, opierali się z orężem w ręku. Więc ruszył na nich wojewoda na czele 2,000 ludzi. Wysłali przeciw niemu Gdańszczanie armatę i piechotę, ale wojewoda pobił miejskie wojsko, armaty pozabierał i jako zwycięzca wkroczył na Żuławy, złupił Gdańszczan, a szlapmanów kilkudziesięciu podobno powiesił, ale tej ostatniej wiadomości nie bardzo byśmy wierzyli, bo pochodzi od szlachcica historyka, który jako zabity przyjaciel liberum veto, nie cierpiał z całej duszy wojewody i przymawiał mu ile tylko razy się zdarzyło. Było to w r. 1719. Potem marszałkował Rybiński kilka razy to w Radomiu, to w Piotrkowie i w Lublinie. Nie widać go już więcéj w pośród intryg, bo po sejmie niemym na jakiś czas ustały wszystkie zamachy. Raz marszałkując w Lublinie, zachorował niebezpiecznie. Posłano sztafetę po doktora królewskiego Eycharda do Warszawy, ale zaledwie zdążył, wojewoda już nie żył. Umarł dnia 16 grudnia 1725, a nasza Helena została po raz drugi wdową.

Pochowany został u Dominikanów w Lublinie, gdzie ma stosowny nagrobek [1]) Paulini też przez wdzięczność sprawili wojewodzie uroczyste egzekwie z kazaniami w Warszawie (15 stycznia 1726). Trzeciego dnia potem u Pijarów odbyło się też nabożeństwo żałobne w obec wszech zakonów i rycerstwa. Pierwszy raz przy tém zdarzeniu kościół pijarski nowo-wymurowany rozjaśniał wewnątrz od wierzchu aż do dołu «bez wszelkiej konfuzji, z wielkiem wszystkich ukontentowaniem. »Wszystkie urzędy i dostojności nieboszczyka były tam w emblemetach przedstawione. Obrazowo całe życie wojewody stanęło przed oczy pobożnych w kościele. Na wielkim ołtarzu stała religja z gienjuszem i napisem: Dignam uthorei praestet, dilexit eum gentem nostram et ecclesiam aedificavit nobis. Math. Z tego widać, że i na Pijarów był wojewoda bardzo łaskawy.

[1]) Sierpiński str. 76. 1wsze wydanie.

Z drugiego małżeństwa zostawił żonie drugą córeczkę imieniem Annę i przywilejem królewskim przekazał jej dwa starostwa, wiślickie i lipnickie; ostatnie wojewodzina miała po pierwszym mężu. Inne wakanse po Rybińskim pobrali: Jerzy Lubomirski podkomorzy kor., Stanisław Poniatowski podskarbi w. lit., Józefat Szaniawski i Rudniccy chorążostwo bydgoscy.

Helena Rybińska była tym razem wdową równo półtora roku. Trafił się jej wtedy trzeci mąż, nie młody już, człowiek wielkiej łaskawości i mądrości, zacny i prawy. Byłto Jakób Dunin referendarz w. k. Wdowiec od r. 1725 po Marjannie z Grudzieńskich, która fundowała Reformatów w Miedniewicach przy cudownym obrazie. Pobożny jak ona, wiele świadczył temu klasztorowi i bezustannie modlił się tam w kościele. Miał już grono dorastających dzieci, dwóch synów i córkę. Ciążyło mu wdowieństwo może przez wzgląd na młodsze dzieci i dlatego wplątał się w sidła dworskie, to fakt przynajmniej że miał się żenić z hrabianką Orzelską, przynajmniej o tem głośno mówiono w Polsce w czasie sejmu grodzieńskiego 1726 r.

Ale na cóżby się takiemu mężowi taka żona przydała? Dama wielkiego świata, podejrzanej moralności i wiary, jemu, człowiekowi «wielkiej łaskawości i mądrości?» Król bardzo był rad związkom rodzinnym panów polskich z saskami, a syn referendarza Piotr już przed kilkoma laty ożenił się bez jego wpływu z hrabianką Rochlitzówną. Radby więc był zmusić i referendarza, ale jakoś się nie udało i pan Dunin oświadczył się o wdowę wojewodzinę chełmińską. Ślub nastąpił w Górze dnia 10 lipca 1727. Prosto stamtąd państwo młodzi pojechali do Krakowa oboje, na pogrzeb matki nowo-zamężnej pani referendarzowej [1]) Ten pewnie żałobny obrząd polskiemi wierszami opiewał ksiądz Sebastjan Wykowski pijar, drukując poema parentale w Warszawie w roku 1727. [2])

---

[1]) Gazety pisane.

[2]) Mówimy «ten zapewnie» bo w Vitae et scripta quorundam i t. d. Bielskiego zły musi być tytuł: Poema parentale carmine patrio in funere Helenae de Potockie Rybińska palatinae culmensis. Tytuł oczywiście błędny, bo Helena żyła dłużej i tutaj mowa jest o śmierci jej matki, o czem wiemy z gazet pisanych. Bielski str. 50. —

Urzędy i starostwa Jakób Dunin miał następujące: był naprzód rejentem w. kor. u kanclerza Szembeka, dalej dostał starostwo narewskie po śmierci Wasilewskich (3 marca 1714). Miał być podobno i kuchmistrzem w. kor., ale zdaje się, że tutaj pomięszano ojca z synem Aleksym, który był kuchmistrzem lit. Z rejenta został Dunin referendarzem w. kor. po Stefanie Potockim wojewodzie pomorskim (6 marca 1726). Wreszcie już jako mąż Heleny dostał starostwo radomskie (30 kwietnia 1729).

Miłe, zgodne, poczciwe to było pożycie. Pani Duninowa czuwała nad swojemi i męża dziećmi. Miała teraz trzy córki, a wszystkie potem bogatemi paniami i księżnami zostały. Jednakże w tej właśnie chwili serce jej macierzyńskie pierwszy raz zapłakało krwawemi łzami: zdawało się, że nastaje dla niej chwila doczekania się najdroższej z dzieci pociechy, bo powodzenia ich i kochanych wnuków, ale lubo szczęście się uśmiechało do matki, niedługo przyszło ciężkie, najcięższe znosić boleści.

Było to w r. 1728. Gdzieś, bo gdzie to było naprawdę, trudnoby się teraz dowiedzieć, poznał dom pani referendarzowej kor. książe Marcin Radziwiłł, który potem został krajczym lit. Nieszczęście do tego bogobojnego domu młode to książątko przyniosło. Wpadła mu albowiem zazdrośnie w oko córka pani Heleny, kasztelanka biecka. Nie patrzył książe wysoko, bo pochodził z biedniejszych Radziwiłłów, z owych właśnie, z których Ryś w Opowiadaniach Starca jako sługa ordynacki dobrze sobie pokpiwał, prawiąc im w oczy mniej więcej w ten sens: «Radziwiłł a Radziwiłł to różnica, co innego Nieśwież a Żyrmuny, nasi panowie to książęta, a wy sobie ot! zwyczajna szlachta, którychby żaden Radziwiłł nie ścisnął za rękę, żeby świerzby nie dostał.» Bądź jak bądź książe Marcin był to zawsze pan sobie całą gębą, wielkiem historycznem nazwiskiem swojem. Oświadczył się więc pani Helenie o córkę i był grzecznie przyjęty, bo Radziwiłł, bo żadnej jeszcze Bełchackiej pewno na myśl nie przychodziło, że będzie miała mężem jednego z najdostojniejszych panów w Koronie i Litwie. Biedna matka cieszyła się z losu córki.

Później dopiéro się pokazało, że nie wszystko złoto co się owo świeci. Książe Marcin należał do rzędu owych dziwotworów, o których pamięć przetrwa w pieśniach gminnych całe pokolenia, jak o strachach i upiorach. Rozkładające się społeczeństwo

polskie tworzyło tokie potwory, powiada Kaczkowski, i rzecz to tak naturalna, tak właściwa Polsce, że tylko może dziwić ludzi, którzy myślą wnikać nie umieją w głąb tajemnic jakiej epoki. Otóż książe Marcin nie był w wybrykach swoich ani tak krotofilny, ani tak jenjalny, jak np. pan starosta Kaniowski, ale był sobie dziwak całą gębą, i nie dziwak nawet, ale troszka nie spełna rozumu. W tem tylko nieszczęśliwiej trafił od swoich kamratów, którzy z nim razem dokazywali ongi po drogach w Koronie i w Litwie, że skutkiem bardzo różnych awantur i okrucieństw, jako warjat podpadł pod opiekę prawną i za małoletnie dziecko był uważany wyrokiem sejmowym. Skrupiło się na nim to prawda, aleć inni krotofilni panowie dobrze wiedzieli co robili i głupstwa swoje opłacali hojnością i datkiem wtenczas, kiedy książe Marcin sam nie wiedział co robił a miał namiętność jakąś do okrucieństw. Oryginalne w tem było jego dziwactwo, że zrobił się żydem: serce, duszę, majątek cały odprzedał żydom, żyd u niego był kasjerem, żyd rządcą, doradcą, najbliższym przyjacielem. Co piątek leciały do niego jak opętane żydy z Brześcia lit. na boruchy, bo mieszkał w okolicach tego miasta o trzy mile w Czarnawczycach, pili z księciem łokszyn, zajadali szczupaki i kugle. Oprócz tego książe zbrzydził sobie prędko żonę i założył seraj w zamku. Był dziki, znęcał się nad domowymi, był niesprawiedliwy i ciągle najokropniej majaczył. Jestto postać, która sama przez się warta osobnego obrazka i damy go zczasem. Tutaj tylko robimy pytanie, czy kasztelanka biecka mogła być długo za takim mężem szczęśliwą? Jeszcze to nic w początkach: złe zarody które spoczywały w księciu, dopiero potem się na większą skalę rozwinęły, ale dzień za dniem i tak było gorzej, bo u takich ludzi jak książe Marcin nie ma miodowych miesięcy, jest tylko w domu niegodziwy od pierwszej chwili despotyzm.

Krótko żyła z trzecim mężem nasza pani Helena, ale te lata które z nim przeżyła w zgodzie i miłości, najpamiętniejsze może dla niej były. Za niego albowiem doznała najdroższéj macierzyńskiej roskoszy i najokropniejszego w życiu zawodu.

Dunin umarł w Biały w styczniu 1730. Podług ostatniej woli, ciało jego złożone być miało w kościele Miedniewickim u Reformatów. Musiano więc zwłoki przewozić w zimie na Pragę, gdzie czas jakiś spoczywały, aż póki Wisła nie pokryła się lodami.

Oddała mężowi ostatnią posługę osierocona wdowa, która z nim żadnych dzieci nie miała. Ledwie półtrzecia roku żyli z sobą.

Wtedy po rękę naszéj wdowy zgłosił się mąż czwarty, Antoni Morsztyn wojewoda inflanki. Wielki to był po świecie bywalec, człowiek ze wszystkiemi dworami otarty, znajomy królem i książętom panującym. Za młodych lat służył w grandmuszkieterach francuskich jeszcze za życia Ludwika XIV i wysoki stopień wojskowy otrzymał. Wróciwszy do kraju ożenił się z Gniewoszówną podkomorzanką sandomierską i miał z niej dwie córki, jednę z nich wydał za pana Ossolińskiego starostę przyłuskiego, a drugą Konstancję za Józefa Potockiego także starostę szczerzeckiego i czorsztyńskiego. Został wreszcie wojewodą inflanckim i mieszkał w dobrach swoich w sandomierskiem, gdzie wielki posiadał majątek. Tam wstąpił przypadkiem raz do wojewody książe Emanuel Portugalski, szybko przejeżdżający do Petersburga i do Moskwy na koronację Anny Iwanówny (w lipcu 1731).

Książę Emanuel był to kandydat kilku dworów tajnie z sobą sprzymierzonych na tron polski, w razie gdyby przyszło znowu z Rzplitej usunąć elektora saskiego, który pretensjami swojemi zamieniania korony elekcyjnej w dziedziczną przestraszał sąsiadów.

Z Morsztynem poznał się książe Emanuel za granicą i dla tego odwiedził go w Polsce, gdzie monarchicznie był przyjęty i trzy dni uroczyście traktowany.

Wojewoda inflancki był synem Stanisława poety, tłómacza Seneki i Rasyna. Kiedy się więc ożenił z Heleną wdową po Duninie, był to związek obchodzący poniekąd i literaturę polską. Od dwóch strumieni wstęga w jedną spłynęła rzekę.

Pan Morsztyn wiele podróżował a ciągle prawie z żoną. Bywał też często w Szymanowie w dobrach Duninów, których wnuczką była jego małżonka. Zakończył życie w r. 1735, zostawiwszy żonie ogromne dobra i na nich dożywocie.

Pani Helena pozostała odtąd wdową na resztę życia. Oddała się całkiem gospodarstwu i dzieciom. Odtąd zaświtały dla niej chwile najspokojniejsze i najzacniejsze życia. Wyłącznie się poświęciła obowiązkom dobrej pani i wzorowej matki. Przez czterokrotne związki małżeńskie weszła w niezmierną familiję. Synów żeniła, córki wydawała za mąż, wnuków wychowywała. Ciągle

czynna, ciągle zajęta, przejeżdżała od dóbr do dóbr, od ziemi do ziemi i wglądała we wszystko, była litościwą i wszędzie najściślejszą wymierzała poddanym swoim sprawiedliwość. Mądra, grzeczna, poważna, ukochana, miała i edukację wyższą od bardzo wielu niewiast polskich spółczesnych, i w tem nic pewnie dziwnego nie znajdziem, gdy zważym z jakich pochodziła rodziców. Lubiła czytywać książki i chciała by się do nich młodzież garnęła. Po francusku mówiła jak rodowita francuska. Do tego prawdziwie staropolska niewiasta, była pobożną, hojną na kościoły i klasztory, rozsypywała chętnie jałmużnę po odpustach i po dobrach swoich. Tak wszystko razem się złożyło na to, żeby panią wojewodzinę inflancką polubiła cała okolica sandomierska i krakowska. Naprzód stale w niej od najdawniejszych prawie lat zamieszkała, znała prawie dzieje każdej wioski i każdej rodziny szlacheckiej, każdego kościołka i każdego muru w krakowskiem; potem ród, bogactwa, związki, otwarte serce, szczerość i pobożność, zalecały ją wszystkim. Bóg jej dał później doczekać starości bo o wiele przeżyła nawet czwartego męża. I siwizną więc przodkowała obywatelstwu.

Mieszkanie jej ciche i spokojne wielką stanowiło sprzeczność z dworami szlachty okolicznej. Tam zgiełk, hałas, sejmikowanie wieczne, pijatyka, u Morsztynowej prawie klasztor w porównaniu. Ale też kiedy szlachta ziemianie marnowali pracę ojców i ostatni grosz wydawali na zbytek, wojewodzina przy całej dobroci swego serca zabiegłością i oszczędnością ciągle zbierała skarby, żeby z nich potem miły Bogu i ludziom zrobić użytek. Nie było też prawie jednego roku, żeby dóbr jakich i kluczów nie przykupywała. Chwaliła się nawet z tego, kiedy się jej inni w oczy dziwili i wtedy z chlubą powtarzała, że za wszystkich czterech mężów zawsze sama gospodarstwo prowadziła. Mogła też uraczyć gości i przyjąć prawdziwie po pańsku: wiedzieli to dobrze krakowianie i sandomierzanie, że gdzie było potrzeba, tam pani Morsztynowa nie żałowała wcale expensu.

A miała też kogo u siebie przyjmować w gościnie. Często kto do niej zabłądził; żeby choć porachować pasierbów i dzieci ich, toby się już zebrało wiele osób w domu tej szanownej matrony polskiej. Miała wojewodzina dwie rodzone córki, jak już mówiliśmy, kasztelankę i wojewodziankę. Z jedną ożenił się książe

Radziwił i ta najnieszczęśliwiej trafiła. O drugiej rękę, wojewodzianki chełmińskiej, starał się książe Stanisław Czartoryski naprzód cześnik a potem łowczy kor. dziedzic Kalwarji Zebrzydowskiej pod Krakowem. Książe ten suchotnik i dlatego dziwak, niezbyt jeszcze był szanowany ze swojej punktualności: u niego dać i złamać słowo za rzecz zwyczajną uchodziło. Zawsze jednak wyszła lepiej księżna Czartoryska jak Radziwiłłowa, a potem daleko była bliżej matki. Ze starszą więc córką nie chciała się rozstać pani Helena, trzymała ją u siebie, pielęgnowała, pocieszała i nie chciała oddać tak łatwo mężowi, lada okoliczność biorąc za powód by ją dłużej przy sobie zatrzymać. Z niej naprzód doczekała się wnuka. Młode książątko urodziło się w Krakowie przy babce, która się nawet pierwiastkowem wychowaniem jego przez lat kilka zajmowała, z czułością prawdziwie macierzyńską. Ale złe czasy nastały; księżna Radziwiłłowa umarła, może z tęsknoty i zmartwień domowych, a mąż jej upomniał się u babki o swojego syna. Z żalem rozstawała się z wnukiem pani Morsztynowa, ale cóż było robić? Książątko odjechało do Litwy, gdzie ojciec coraz więcej zaczynał dziwaczyć; ożenił się z drugą, panną Trębicką z domu, i mimowolnie jak zwykle ale wbrew naturze ojciec rodzony znęcał się teraz nad synem, bo musiał komuś dokuczać, już to leżało w jego usposobieniu. Potem książę zaparł drugą żonę z dziećmi razem, które mu powiła, w sali jakiejś zamkowej jak w kurniku i osadził ich strażą: spali wszyscy pokotem obok siebie bez różnicy płci i wieku na ziemi, a na krok z zamkniętej komnaty wyjść im nie można było. Sto razy lepiej trafiła księżna Czartoryska i cieszyła się swoim synem miłym, wdzięcznym, wesołym i często ten skarb pokazywała matce. Nazywała syna Józefem, tak samo jak się nazywał i młody książę krajczyc lit.

Z pasierbami szczęśliwszą była pani Morsztynowa. Piotr Dunin wyszedł na marszałka dworu królowej i kasztelana radomskiego. Byłby wysoko poszedł w łasce pańskiej, bo miał względy zacnej bardzo i pobożnej pani, Marji Józefy, która li tylko Bogiem i dobremi uczynkami żyła, bo też i wart był Dunin łask królowej, ale Parki zbyt spiesznie przecięły mu pasmo życia (um. 1737). Młodszy brat Aleksy nieco dłużej żył na ziemi. Był starostą chęcińskim (wjechał 12 grudnia 1746) i kuchmistrzem w. lit.

Obadwa te urzędy odziedziczył po Janie Prosperze Załuskim,

którego zabito w Sanoku. Umarł w r. 1750 w Szymanowie a pochowany w Miedniewicach w grobowcu familijnym. Siostra rodzona Piotra i Aleksego, Barbara, poszła za mąż za księcia Pawła Sanguszkę marszałka w. lit., pana surowych obyczajów, sprawiedliwego i zacnego, a zapalonego obrońcę wolności szlacheckich. Sanguszko miał pierwszą żonę dziedziczkę ordynacji Ostrogskiej i doczekał się z niej syna, owego księcia Janusza, który to potem rozdarował w Kolbuszowej dobra ordynacji i wielkich przez to Rzpltej przymnożył niechcący kłopotów. Ale książe Janusz młody a hulaka prowadził bez troski życie, marnował siły w zabawach szlacheckich i nie myślał wcale doczekać się potomstwa,— więc ojciec stary już postanowił wyręczyć syna, żeby Rzpltej nie zbrakło kiedy na Sanguszkach. Otóż polecił doktorowi swemu nadwornemu Chirnesowi, żeby mu poszukał żony w Polsce, chociażby ubogiej szlachcianki, aby tylko młodej, ładnej i płodnej. Chirnes przedstawił księciu piętnastoletnią Barbarę Duninównę, pasierbicę pani Heleny. Była to panienka jakiej książe stary szukał, a do wszystkich swoich przymiotów miała jeszcze rozumną główkę. Potulna i czuła, czciła męża jak pana i ozdobiła pień stary rodu, nowemi zielonemi gałązkami: co rok był prorok a czasem i bliźnięta. Po 11 latach pożycia, kiedy umarł książe marszałek (w r. 1750) pozostało przy życiu trzech synów i trzy córki, nie rachując już tych co pomarli po roku, po dwóch latach w Warszawie, w Lubartowie, w Dubnie, w Kolbuszowy i t. d.

Później księżna marszałkowa rej sama wodziła, już za nowych czasów panowania króla Poniatowskiego; prowadziła w stolicy i na wsi dwór staropolski, a cnotami szeroko zasłynęła po całej ziemi Rzplitej. Warszawa miała trzy niewiasty których cnoty podziwiała za Poniatowskiego. Te trzy niewiasty nazywano: Trójcą świętą. Pierwsze tam miejsce w tym sojuszu z owych niewiast należało się księżnie Sanguszkowej, która o wiele przeżyła swoją macochę, jedna z całego rodzeństwa.

Z Morsztyna zaś dzieci, Potocka umarła jeszcze za życia ojca (w r. 1734), zostawiwszy mężowi jedną córkę, Marjannę, która potem poszła za mąż za Stan. Małachowskiego starostę wąwolnickiego, krajczyca. Potocki drugi raz się ożenił ze starościanką grabowiecką Pelagją Potocką, siostrą pana Eustachego

jenerała artylerji lit. Został później kasztelanem lwowskim. Nie mamy bliższych wiadomości względem Ossolińskiej.

To liczne grono dzieci i krewnych zbierało się do wojewodziny na każdą prawie uroczystość familijną, ale najtłumniej na jej imieniny, które zawsze obchodziła dnia 18 sierpnia, — nie wiemy dla jakiego powodu nie na dzień Heleny cesarzowej dnia 2 marca. Wtenczas roiły się komnaty wieniarskiego dworca; od kontuszów i karabeli aż światło biło. Poeci składali ody i hymny na tę uroczystość, biorąc assumpt że wojewodzina była Potocką i Morsztynową, a wiwaty grzmiały i wino lało się potokami, sam najczyściejszy petercyment. Bo sławne wino miała w piwnicach wieniarskich p. Helena. Mówią, że kiedy do Krakowa przyjechał (1758) poseł franc. hr. Monteil, i o wina dobre zapytał, wskazano mu panią wojewodzinę: miała jedną np. beczkę, którą jej pierwszy mąż Bełchacki w dzień ślubu podarował, a i wtenczas jeszcze stare już było; poseł zapytał o cenę i o próbkę: ostatnia cena była 500 dukatów. Francuz się skrzywił i nie chciał kupować wina tak drogiego. Ale piła taki petercyment szlachta.

Pomiędzy szlachtą uwijała się massa księży wszelkich barw i reguł, świeckich i zakonników. Ale nad wszystkich mnichów pobożna pani przekładała jenerała trynitarzy ks. Oborskiego. W tym kapłanie był rozum i cnota, któremi zasłynął szeroko w swoim zakonie, a więc po całej ziemi, bo Trynitarze gnieździli się gdzie mogli dla wykupowania niewolników z rąk pogańskich. Oborski pierwszy z Polaków został jenerałem zakonnym, a powaga jego tak była wielka, że kiedy w Polsce bawił, przyjeżdżali do niego ojcowie ze wszystkich stron Europy, z Włoch, z Francji, z Hiszpanji, ten o dobrą poradę, tamten w sprawach klasztoru, trzeci przynosząc jakie nowiny i wnioski; starsi i młodsi zarówno szanowali ks. Oborskiego.

Nie na same tylko imieniny przyjeżdżał do wojewodziny z wizytą ks. jenerał. Bywał u niej częstym i pouſałym gościem. Uciekał się do możnej pani ile tylko razy potrzeba go znagliła do tego kroku, a nigdy nie odszedł z próżnemi rękoma. Czy potrzeba było kościołek jaki naprawić, czy zbudować, czy wesprzeć kogo jałmużną czy składkę zbierać na wykupno więźniów, ks. Oborski zawsze miał skarbce wojewodziny dla siebie otwarte. Korzystał też z każdej okoliczności by się przypomnieć dobremu jej

sercu. Jeżeli już nic innego, to rozmową nauczającą i miłą rozweselał staruszkę, która mu wdzięczną była za tę przyjaźń. To też ilekroć razy p. wojewodzina za sprawami czy dla nabożeństwa zjechała do Krakowa, zwykle stawała w klasztorze u Trynitarzy, który po części i sprawiedliwie uważała za swoją fundację. Był albowiem w tej stolicy mały i niepozorny drewniany kościołek Trynitarzy na Kazimierzu. Ks. Oborski zaczął kwestować na murowaną budowę, którą już jego poprzednicy zaczęli, ale którą, dla braku funduszów w żaden sposób wykończyć nie mogli; wsparty przeważną pomocą wojewodziny inflanckiej wyprowadził mury i alfresco ściany wszystkie wymalować kazał. Nie wie o tem Adr. Krzyżanowski, który głównie cytuje jako sprawcę tych dobrodziejstw dla klasztoru Zygmunta Linowskiego starostę lipnickiego [1]). Rzeczywiście dał Linowski fundusz, ale dała go i pani wojewodzina.

Oprócz Trynitarzy wielce wspierała pani Morsztynowa księży Franciszkanów w Nowem Mieście Korczynie. Szczególną była ich opiekunką i dobrodziejką. Postawiła tam ołtarz na cześć św. Franciszka Seraficzkiego, pomalowała go i pozłociła (1741—8). Potem na współkę ze Stanisławem Michalczewskim, którego źle nazywają podkomorzym wiślickim, bo podkomorzych wiślickich nigdy nie było, wystawiła wojewodzina wielki ołtarz św. Stanisława i wspaniale go ozdobiła rzeźbą i złoceniami (1761). Pożar raz dotknął ten kościół Franciszkanów. Więc znów wojewodzina z Michalczewskim hojnie sypnęli pieniędzmi, a reszty dopełniły składki prywatne i zatarte były wszelkie ślady pożaru. Przez wdzięczność za te nakłady, ojcowie portret wojewodziny zawiesili u siebie na korytarzu klasztornym [1]).

Nic dziwnego, że wojewodzina hojną była na kościoły, hojną powtarzamy, bo nawet cząstki jej dobrodziejstw dla świątyń bożych nie wyliczyliśmy: nic dziwnego, bo też rozległe miała włości a każda dziedziczka, każda pani która matką jest poddanych swoich, musi przestawać chętnie z kapłanami, tymi ojcami ludu, i świadczyć dobrodziejstwa kościołom których jest kollatorką,

[1]) Pam. rel. T. XX str. 420

[1]) Pam. rel. T. IV str. 436 i nast. Jest tu wykaz tych nakładów wojewodziny: dała na ołtarz św. Franciszka 2,640 złp., na budowę wilkiego ołtarza złp. 2,200. Malowanie i ozdoby kosztowały złp. 3,300, Razem złp. 8,140.

i klasztorom które niosą chętnie pomoc religijną jej wioskom. Jej dobra rozciągały się na ogromnej przestrzeni kraju i od Wisły aż po Kraków ciągnęły się jednym wielkim pasem, niby wstęgą morsztynowską. Nawet Wisła nie była dla wojewodziny granicą, wioski jej daleko po drugiej stronie naszej żywicielki rozciągały się aż w województwo lubelskie.

Pani wojewodzina zwykle mieszkała w Winiarach, ale miała dwór drugi w Jurkowie o lekkie pół mili pod samą Wiślicą. A dwór trzeci miała w Żelichowie za Wisłą o trzy mile od Winiar. Oprócz tych głównych rezydencyj, miała wojewodzina ile razy wybierała się do Krakowa, po całej drodze stacje pocztowe po swoich wioskach. Podróż jej wyglądała niby na lustrację kluczów: wszędzie noclegi, popasy, odpoczynki miała u siebie. Bywało kiedy z Winiar wyjedzie ku stolicy, podróż trwa cały tydzień, a wojewodzina niczyjej nie potrzebuje gościnności. Ostatnią stacją przed Krakowem, o dwie mile od tego miasta były dobra Stadnice, pamiętne z wydarzenia, które kiedyś spisane czytaliśmy w Tygodniku Kicińskiego w balladzie «białonóżka Sreniawity.» Treść ballady, że koń białonogi rodem ze stron krakowskich, zatracił się przypadkiem na wyprawie węgierskiej i po latach wielu zatęskniwszy za panem swoim Sreniawitą, powrócił instynktem wiedziony do Polski z całą drużyną źrebiąt. Otóż białonóżka miał być rodem z tych Stadnic i tutaj powrócił. Jednakże krom tych Stadnic, jeszcze po drodze do Krakowa leżała wsławiona w naszych powieściach ludowych o Twardowskim karczma Rzym, w której czart załapił duszę biednego czarnoksiężnika — to o milę, o pół mili jeszcze była wieś Mogiła, wszystko dobra wojewodziny inflanckiej.

Jeżeli nie na dewocję ale dla spraw światowych przyjeżdżała pani Morsztynowa do stolicy, wtedy stawała w jednéj ze dwóch kamienic swoich stojących pod Franciszkanami: obiedwie były pięknie i bogato umeblowane.

A w Krakowie zajmowały czas oprócz nabożeństwa liczne wizyty, które codzień odbierała i oddawała. Bywali u niej biskupi książęta siewierscy, kardynał Lipski i Załuski, jako serdeczni domu przyjaciele. Bywał kasztelan, wojewoda i starosta krakowscy, ile tylko razy znajdowali się w mieście. Nadjeżdżała zwykle wtedy i księżna Czartoryska z Kalwarji z dziećmi i często

gęsto powiozła matkę do siebie aż do Lanckorony. I tutaj jeszcze na Podgórzu wojewodzina inflancka przejeżdżała się po swoich ziemiach. Poczem znowu powracała po kilku tygodniach podróży do siebie, bo lubo dobrze było jej u dzieci, zawsze lepiej w domu, a i gospodarstwo domagało się jej powrotu.

Raz ta szczęśliwa matrona doznała wielkiej radości i razem smutku w osamotnieniu swojem. Książe chorąży w. lit. dziedzic Biały, opiekun dzieci krajczego Radziwiłła, postanowił jej przysłać w odwiedziny wnuka, którego dawno już bardzo dawno nie widziała. Była to prawdziwa łaska dla wojewodziny, ile że miała to być dla niej niespodzianka. Młode książątko wysłał tedy opiekun pod dozorem przyjaciela domu w tę daleką podróż. Najserdeczniej się ucieszyła wojewodzina kiedy ni stąd ni z owąd tak drogich gości znalazła u siebie w Winiarach. Rozpłakała się z radości, że zobaczyła wnuka, ale i ze smutku, kiedy go w nowej dla siebie postaci ujrzała: prostego syna oddała przed laty ojcu, a teraz wracał do niej wnuk krzywy i garbaty, bo ojciec zbyt często nad nim używał władzy rodzicielskiej i tak go bił pięściami, że przełamał go na dwoje i garb zrobił. I rozum młodego książątka był jakoś nieswój, jakby się z drogi obłąkał. I garderoba i przystrój i cała wyprawa nędzna, ale to już winą było księcia chorążego, dumnego ale bardzo skąpego pana, który nawet o ile się zdaje dlatego wyprawił krajczyca do Winiar, żeby się pożywił czemkolwiek przy bogatej babce. Żal ścisnął serce pani Morsztynowej. Pojechała z wnukiem do Krakowa, żeby mu sprawić wszystko, ekwipaż, srebra i garderobę. Lubiło młode książe polować i czasu wiele na tem traciło; z bojaźnią spoglądała na to upodobanie pobożna niewiasta, która się obawiała żeby wnuk nie zdziczał w lasach i naganiała go do książek, ale gadajże ze ślepym o kolorach, a będziesz mądry jeżeli cię zrozumie; już zapóźno było kształcić na inny manier wyrostka. Cóż mówić było o naukowem usposobieniu młodego księcia? W charakterze jego już było to, czego się dla wnuka obawiała wojewodzina.

Tę ostatnią w życiu miała pani Morsztynowa pociechę, acz bardzo smutną, bo na jej wspomnienie zalewała się łzami. Nie długo potem w r. 1762 zakończyła życie.

W styczniu 1854.

KORONACJE OBRAZÓW ŚWIĘTYCH.

....Najwspanialsze obrzędy religijne były to koroncaje cudownych obrazów i posągów Najświętszej Panny z Dzieciątkiem Jezus. Bogarodzica od czasu jak u nas zorza chrześcijaństwa zabłysła, doznawała szczególnej miłości od narodu Polskiego. Pierwsza modlitwa, a raczej pieśń, była na Jej cześć, święty biskup w strofy pieśń tę ułożył. Z okrzykiem znowu na cześć Bogarodzicy puszczało się na wszelkiego nieprzyjaciela, a zwłaszcza bisurmańskiego rycerstwo polskie. Stawały wszędzie kościoły po różnych stronach ziemi naszej pod imieniem Matki Zbawiciela i naocznie przypominały pobożnym Jej tajemnice, Zwiasto wania Bożego Narodzenia, Wniebowzięcia. Wreszcie cudowne miejsca ukazywały się tu i owdzie na ziemi polskiej, Bogarodzica na nich pokazywała jawnie miłość swoją dla pobożnego narodu. Częstochowa błyszczała świętością i cudami na całą dawną Rzeczpospolitę, na księstwa okoliczne i na sąsiednie słowiańskie kraje, szeroko jak tylko serce zasięgło. Na tej opoce jasnogórskiej spełnił się cud prawdziwie olbrzymi i dlatego historyczny. August IIgi kiedy powtórnie kraj nasz Szwedzi najechali, w obozie pod Sokalem oddał się r. 1704 w opiekę Bogarodzicy, która słynęła cudami w kościele Sokalskim Bernardynów. August drugi był kiedyś dyssydentem, ale wśród narodu Polskiego był tak gorli-

wym czcicielem Bogarodzicy, jak hetmani i rycerstwo, jak wielcy panowie i drobna szlachta, jak mieszczanie i włościanie.

Za panowania u nas Zygmunta IIIgo żył we Włoszech pobożny i bogaty pan, który ustanowił fundusz na wieczne czasy dla kapituły Watykańskiej na szczerozłote korony dla cudownych obrazów Matki Bożej. Zdarzyły się i dawniej pojedyncze koronacje obrazów, ale od czasu zapisania tego funduszu w roku 1630 przez Aleksandra Sforzę Pallaviciniego, przypadek ustał a wywiązał się nowy obrzęd kościelny i zwyczaj. Sam fundator za życia swego widział jeszcze 13 koronacij cudownych obrazów w kościołach Rzymu. Później Stolica Apostolska do innych miast włoskich posyłać zaczęła korony, ulegając pobożnym prośbom. Z Włoch zwyczaj przechodził dalej, rozlewał się na szeroki świat katolicki.

Sławiły się szczególniej w dawnej Koronie i w Litwie: Najświętsza Panna Jasnogórska, Sokalska, Berdyczewska, Wileńska z Ostrej Bramy, Żyrowicka, Poczajowska, Leżajska, Latyczewska, Święta lipa w Warmji i t. d. Obok tych stolic Marji, ileż innych mniej głośnych miejsc, które cudami rozsłynęły po ziemi polskiej! Tutaj obraz, tam posąg słynął. Wiara ludu wszędzie potworzyła legendy. Już to np. obrazy wszystkie głęboką miały starożytność, pochodziły pospolicie ze wschodu, od Cesarzów Greckich, jako dowód przyjaźni w podarunku je rozdawali sąsiadom swoim książętom ruskim, a najczęściej kijowskim: wszystkie prawie obrazy cudowne, które słynęły w dawnej właściwej Polsce, dostały się do niej z Carogrodu przez Kijów i szły dalej z Rusi. — Były i takie obrazy, co widocznie za wolą Bożą, ojczyznę w Polsce sobie obrały. Tak Władysław książe Opolski wiózł obraz taki jeden z Bełza do siebie na Szląsk, do Opola, ale kiedy stanął z nim po drodze w krakowskiem na Jasnej górze, obraz z miejsca ruszyć się nie dał, jakby wskazując, że tu chce pozostać, i stał się później świętym pomiędzy świętemi obrazami. Trocki obraz przysłał w podarunku Witoldowi Emmanuel IIgi Paleolog cesarz Grecki. Poczajowski dostała Anna z Kozińskich Gojska, od metropolity z Carogrodu jadącego i umieściła go w świątyni w dziedzicznej włości. Jak przez Ruś szły na Polskę te obrazy, tak i najwięcej zostawało ich na Rusi. Lud powtarzał z pobożnem uniesieniem o wszystkich obrazach, że były świętego pochodzenia, gdyż wierzył lud serdecznie, że je malował święty Łukasz ewan-

gelista. Rzeczywiście wielką być musiała ta wiara ludu. Rozsądniejszyby uważał, że malowideł tych za wiele na jednego świętego męża, który także i pisał i apostołował, że wśród barbarzyństwa czasów dochować się nie mogło tyle obrazów w przeciągu lat tysiąca i więcej, i że nareszcie zbyt widoczną byłaby łaska Boża nad Polską, gdyby tyle świętych pamiątek jej się dostało. Wiara czyni cuda i lud dla tego uporczywie twierdził, że obraz Częstochowski malowany był w Jerozolimie przez świętego Łukasza, Trocki ten co Witoldowi od Paleologa się dostał, także świętego Łukasza (Jocher III str. 631), lwowski i łucki obadwa u Dominikanów świętego Łukasza, (tamże III str. 494, Bibl. Warsz. r. 1849 IV 454.) Innych legend nie znamy, ale to pewna, że pomiędzy cudownemi obrazami Najświętszej Panny więcej się jeszcze znajdzie takich, do których przywiązane podanie, że je malował św. Łukasz. Owszem w czasach saskich otwierało się pole dla tworzenia podobnego rodzaju legend. Ludzie pobożni wierzyć koniecznie chcieli w rzeczy nadprzyrodzone, a gdy na jednem i drugiem miejscu spotykali się z imieniem św. Łukasza, toć nie dziw, że pojęcie o artyście plątało się w ich wyobrażeniu z przedmiotem, który ubóstwiali: święty Łukasz był więc nieoddzielny od Matki Bożej.

Bywały jednak i swoje narodowe obrazy. Najświętsza Panna sama się zjawiała w pewnych miejscach, jak w Leżajsku, jak w Leśnie pod Białą na pograniczach Korony i Litwy, jak w Gidlach i t. d. Zjawiała się cudownie na drzewie w lesie, lub w polu, czasem na ziemi zoranej i zostawiała się sama w martwym obrazie. Rychło potem wznosiła się w tem miejscu cudownego objawienia kapliczka, z której rosnął kościółek, potem kościół i klasztor, pojawiali się zakonnicy, potem liczniejsze cuda i liczniejsze odpusty; pobożny pan jaki przybudowywał kaplice, stawiał kalwarje męki Pańskiej lub posągi po drogach, które prowadziły do cudownego miejsca. Podanie ludu który pamięcią nie sięgał głęboko w czasy przeszłe i te sprawy pobożności przebrało w legendy. Mówiono np. że Matka Boża po zjawieniu się swojem w pewnem miejscu, sadziła na około krzaczki barwinku, a gdzie rosły te krzaczki, później tam wzniosły się ołtarze (Pamiętnik Rel. mor. 1858. I. 648). Najświętsza Panna, ile razy się tylko objawiała, nie pokazywała nigdy oblicza swojego jaśniejącego niebieską miłością panu jakie-

mu dumnemu z rodu i z majątku, ale po największej części wybierała prostaczków.

Obraz Żyrowicki miał swoją osobliwość. Wielkością nie dochodził jaja gęsiego, mała to była ale za to droga perła na litewskiej Rusi [1]).

Cudowne posągi Matki Bożej były w Jarosławiu i w Rzeszowie na dawnej koronnej Rusi (Jocher III str. 481 i 502). I trzeba to w ogóle powiedzieć, że prowincją wybraną, ukochaną od Matki Bożej, prowincją, w której się na każdym kroku przypominała ludowi, była Ruś, i to nie cała jeszcze Ruś, ale mianowicie koronna a w koronnej, do której liczyła się Ukraina, Wołyń i Podole, ta jeszcze ziemia, która nazywała się województwem Ruskiem; było to dawne Halickie księstwo, Ruś Czerwona. Widać na tej Rusi lud był najpobożniejszy i najwięcej przywiązany do Marji. Sama Żmudź święta ustępowała Rusi; prawda, że nie była tak wielka i że nie miała tyle i tak wspaniałych kościołów. Dla starożytnego królestwa Piastów nierównie i bez porównania nawet uboższa była miłość Marji; prawda znowu, że najdroższy djament tej miłości najdawniej i najjaśniej w niej świecił dla całej Polski z Jasnej Góry, opromieniony wspomnieniami cudownej obrony od Szweda. Na cześć tej najświętszej w Rzeczypospolitej Jasnej Góry, stawały i po innych miejscach kraju kościoły Najświętszej Panny także po górach. Mówiono i nazywano pospolicie «Najświętsza Panna Poczajowska, Najświętsza Panna Podkamieńska,» a tymczasem obadwa te cudowne obrazy z wizerunkami Matki Bożej, nie mieściły się ani w Poczajowie, ani w Podkamieniu, ale były na górach; pierwszy w Monastyrze bazyljańskim zbudowanym na Górze Poczajowskiej, drugi był w kościele, który wznosił się «na górze świętej Najświętszej Panny Różańca świętego w łuckiem biskupstwie na Wołyniu nad miastem Podkamieniem» (Jocher III str. 499).

Miłość narodu ku Najświętszej Orędowniczce w różny się sposób objawiała. Nie mówić tu już o nabożeństwach, o drogich wotach, o pieśniach i litanjach składanych na Jej cześć, o pielgrzymkach do miejsc uświęconych. Bywało, mrowiska ogromne

[1]) Imago Żyroviciana non adaequat in magnitudine ovum anserinum (porównaj Jochera Obraz III str. 516).

ludu ze wszech stron Rzeczypospolitej przybywały gromadami i pojedyńczo na odpusty. Kościoły i kaplice tłumów objąć nie mogły, wtedy pod gołem niebem odbywały się nabożeństwa. Wiekami takiej czci i sercami takich miljonów ludu przez wieki, co nawiedzały święte miejsca, bogaciły się kościoły. Toć nic dziwnego, że nie jeden kościół wyglądał na skarbiec jaki. Zygmunt III sam wyrabiał monstrancje dla Jasnej Góry, droższe jak wartość całych prowincyj. Hetmanowie składali tam swoje buławy sadzone drogiemi kamieniami. Szedł na wojnę, wstępował hetman zwykle na święte miejsce-po błogosławieństwo; wracał z wyprawy przywoził na votum łupy po nieprzyjacielu i dziękował Orędowniczce za błogosławieństwo. Osiwiały wojownik padał na kolana i ronił zły wdzięczności. Najświętsza Panna już nietylko królową była, ale i hetmanową narodu Polskiego. Jej przypisywano wszelkie zwycięztwa i tryumfy na placu boju. Wszakże i nieraz sama hetmaniła regimentom — pospolitym ruszeniom. Najświętsza Panna Chełmska towarzyszyła Janowi-Kazimierzowi w jego wojnach przeciw Chmielnickiemu, dlatego piszą o niej: że Unitorum Thaumaturga Chelmensis była Tartarorum et Cosacorum ad Beresteckum gloriosa ac memoranda profligatrix, to jest, że za sprawą Cudownej Bogarodzicy z Chełma, naród polski pokonał Kozaków i Turków na sławnem beresteckiem polu. Widzieli na własne oczy obrońcy Częstochowy, jak Orędowniczka Jasnogórska szatami swojemi odpędzała od nich kule.

Sławiono Marją nabożeństwem, wotami, pieśniami, książeczkami, wszystkiem czem stało. Cześć dla niej stała się niemal instytucją narodową. Bywały takie miejsca, że nie ustawało na nich nabożeństwo i odpusty. U ś. Lipki w Warmji był odpust na każde Jej święto. A byłoż świąt tych wiele! Na Ofiarowanie, Zaślubienie, Oczyszczenie, Zwiastowanie, Nawiedzenie, Wniebowzięcie, Narodzenie, Niepokalane Poczęcie, Boże Narodzenie; było święto osobne Imienia, a osobne Opieki Najświętszej Marji Panny. A teraz dni w których obchodzono radość lub boleść Bogarodzicy, która była Anielską, Bolesną, Różańcową, Śnieżną, Szkaplerzną. Był dzień osobny na cześć przeznaczony Najświętszej Panny Loretańskiej, bo Polacy mieli szczególną cześć i dla cudownego domu swojej Patronki; małe Lorety bardzo gęsto budowano po ziemi Polskiej, jako kaplice do większych kościołów. Była Naj-

świętsza Panna od wykupna niewolników, szczególna Patronka Trynitarzy. Była Najświętsza Panna Łaskawa, której cześć szczególniej upowszechnili u nas Pijarowie. A teraz jeżeli policzym te dni święte, które mają jaki bądź związek z Orędowniczką! Święta Anna odbierała cześć podwójną, bo była matką Jéj, toż samo święty Józef jako mąż, święta Marja Magdalena, jako Jej służebnica. Dwadzieścia kilka dni do roku było poświęconych czci Marji. Polska cała była w nieustającej adoracji dla swojej opiekunki w niebie i na ziemi. Tu się kończyło, tam się zaczynało do Niej nabożeństwo i obchodziło, że tak powiemy, województwa, wioski i miasta. Nie dosyć na tém: całe prowincje w pewnych dniach do roku święciły swoje uroczystości. Lud od czasów Witolda miał wielkie nabożeństwo do obrazu trockiego, Jezuici wileńscy jeszcze więcej je podnieśli, zaprowadzili albowiem uroczyste modły i processje do tego obrazu akademików wileńskich z bractwami i cechami. Oczywiście kiedy taka processja wychodziła z Wilna, towarzyszyły jej tłumy ludu. Później zastąpiły ją bractwa z kościołów rozmaitych zgromadzeń zakonnych w Wilnie. Bractwo od świętego Kazimierza, Różańcowe od Dominikanów, bractwa kościołów Wszystkich świętych i św. Jerzego, arcy-bractwo świętej Anny od Bernardynów odbywało te pobożne pielgrzymki zawsze wśród tłumów narodu. Każde sobie osobny dzień obierało, żeby nie przeszkadzać jedno drugiemu. Naturalnie pielgrzymki te odbywały się w lato.

Najsławniejsze processje były bractwa świętego Kazimierza na święto Nawiedzenia (2 lipca) i Różańcowe na Wniebowzięcie (25 sierpnia). Za przykładem Wilna szły pomniejsze miasteczka litewskie. Ciągnęły do Trok bractwa i processje z Kowna i Merecza (Jocher Obraz III str. 631). I otóż co rok, kiedy lody stopnieją, a słońce ziemię rozgrzeje, Litwa cała w poruszeniu; na wszystkich drogach do Trok rozlega się pieśniami, których echo biegnie aż do stóp królowej Polskiej w Częstochowie. Chorągwie i krzyże prowadzą te ogromne zbiorowiska narodu; jedni spieszą się modlić, drudzy już po modlitwie wracają.

Natchniona pobożność narodu przesadzając się w uczuciach, zaczęła nareszcie obrazy i posągi święte Orędowniczki koronami zdobić. Myśl ta jednocześnie urodziła się w Polsce jak i we Włoszech, zkąd się rozlała na świat katolicki. Uderzające to w istocie,

że równocześnie prawie z fundacją Pallaviciniego powstawał i u nas zwyczaj koronowania cudownych obrazów, tylko u nas ta myśl jeszcze poetyczniejsze jak we Włoszech przyjęła kształty; w Polsce myśl podobna była składkową, że się tak wyrazim, myślą narodu, bo w różnych miejscach i o różnych czasach pojawiła się, we Włoszech jeden człowiek stworzył w kościele instytucję. Pobożność naturalnie jednego i drugiego pana polskiego, co sprawiał korony na obrazy, nie opierała się na obrzędzie kościelnym jak później, ale była prostą hojnością i ofiarą: biedniejsi składali na ołtarzach uboższe vota, kanclerz i wojewoda składali korony, jako oznakę najwyższego swego na ziemi hołdu dla Bogarodzicy. To pewna, że wielki sercem człowiek w narodzie, Lew Sapieha, kiedy był jeszcze podkanclerzym litewskim (1584—9 r.), pierwszy sprawił koronę złotą, klejnotami wysadzaną dla obrazu Najświętszej Panny w Trokach. W pół wieku później Aleksander Naruszewicz także podkanclerzy litewski (1658—68) sprawił mniejszą na tenże sam obraz dla Pana Jezusa (Jocher, Obraz bibl. hist. III str. 631). Jezuita spowiednik Zygmunta III podarował do ś. Lipki w Warmji posąg srebrny Bogarodzicy w koronie złotej z berłem złotem (Pam. rel, mor. 1853. I. 478).

Nie możem więcej przywieść przykładów oryginalnej koronacji polskiej świętych obrazów. Może ich wcale nie było. To pewna, że kiedy naród już o nich pomyślał, jak o uroczystości, która w Rzymie pewne formy przybrała, nie szedł tutaj za własnem natchnieniem, ale za przykładem włoskim. Naród chcąc uczcić pamięć swojej królowej, czem tylko mógł, przysłuchiwał się zdaleka rzymskim koronacjom i sam ich zapragnął. Po uspokojeniu Rzeczypospolitej więc od Szwedów i Sasów, król z narodem wyprawił poselstwo do Innocentego XI, upraszając o koronację Najświętszego obrazu w Polsce Bogarodzicy na Jasnej górze. Papież wysłuchał życzeń i natychmiast nadesłał poświęcone przez siebie dwie korony złote, wraz z bullą do Hieronima Grimaldego arcybiskupa Edessy, który wtenczas przy królu bawił w Dreznie. Nie mógł nuncjusz sam zjechać do Częstochowy na uroczystość, więc upoważnił Krzysztofa Szembeka biskupa Chełmskiego, ażeby go zastąpił. Rodzina Szembeków miłą była królowi, który ich dźwignął i wysoko w Rzeczypospolitej postawił. Takim sposobem rok 1717 jest epoką u nas, od której się

zaczynają koronacje obrazów świętych. Przybył Polsce nowy religijny obrząd, który w ciągu jednego pokolenia stał się narodowym.

Na święto Narodzenia się Matki Bożej 8 września 1717 r. zbiegały się tłumy ludu do Częstochowy z Polski i z zagranicy, ze Szląska i z sąsiednich słowiańskich krain. Jasna Góra nie od tej chwili, ale dobrze już dawniej była świętem miejscem nietylko Polski ale Słowiańszczyzny. Różnemi językami świata sławiono tutaj na odpustach Marję. Łatwo się domyślić z jaką wystawnością, wśród jakiego zgromadzenia ludu odbyła się koronacja Częstochowska, 159ta w świecie a pierwsza w Polsce. Obozowiska ogromne na całej przestrzeni, jak oko zasięgło, otoczyły Jasną Górę i oblegały ją dwa, trzy tygodnie. Ziemia się trzęsła od pieśni, niebo płakać musiało z rozrzewnienia, od modlitw poczciwego ludu. Szembek chełmski, Brzostowski wileński i Szembek poznański, trzech biskupów celebrowało. W dawnym kościele Jasnogórskim rozdano 148,300 kommunikantów, a ileż ich wyszło na placach na których lud pod namiotami wystawił sobie kościoły, ile na cmentarzu, ile na rynku, ile w kościele nowicjackim. Można przynajmiej drugie tyle przypuścić. Mszy odprawiono 3252. Był to w całem znaczeniu świetny zjazd religijny.

Biskup wileński Brzostowski był w Częstochowie i zaraz powróciwszy na Litwę pomyślał o podobnej uroczystości w swojej djecezji. Odbyła się rokiem później. Niechciano już prosić Ojca świętego o korony, ażeby się często nie naprzykrzać; dlatego Teressa Ogińska, podówczas kasztelanowa witebska, Brzostowska z domu, krewna bliska biskupa, może siostra, łożyła koszt na dwie korony i przybranie obrazu w złoto, srebro i w drogie kamienie. Właściwie korony może tylko jednej było potrzeba, bo była dawniejsza na obraz Najświętszej Panny Lwa Sapiehy, drugą tylko mniejszą Naruszewiczowską ukradł z głowy Pana Jezusa jakiś złodziej niedawno. Skazano go na spalenie, ale Brzostowski, który był jeszcze wtedy biskupem smoleńskim, a razem proboszczem trockim wyprosił, że winowajcę ścięto, a potem dopiéro ciało na stos wrzucono (Jocher III str. 631). Otóż kasztelanowa witebska sprawiła tylke pewno koronę Panu Jezusowi. Oceniono obiedwie korony na 4,000 imperjałów, a na przybranie obrazów i sukienki kasztelanowa wydała przeszło 40,000 imperjałów. Był

to przykład dla innych panów. Koronacja Częstochowska odbyła się prawie bez nakładu, całą jej świetnością były te mnogie tłumy narodu, które biskupom i duchowieństwu towarzyszyły wszędzie. Na Litwie pierwsza koronacja odbyła się już wśród wspaniałej wystawy, pobożność wysadza się na zbytek, z duchowieństwa pięciu biskupów przewodniczy obrzędowi.

Za Brzostowskim i z Brzostowskich Ogińską, poszedł uczony Jan Fryderyk Sapieha, kasztelan trocki, dziedzic Kodnia nad Bugiem. I Sapieha nie prosił o korony, bo stolica apostolska nie wystarczyłaby, tak serdecznie ze wszech stron proszono ją o korony dla cudownych obrazów. Dostał tylko pozwolenie z Rzymu na koronację, na którą biskupa swojego. Rupniewskiego zaprosił z Łucka (r. 1723). Obraz Kodeński pochodził z Rzymu; przed stu laty wykradł go ze skarbów watykańskich Mikołaj Sapieha pradziad kasztelana, człowiek tak namiętnie pobożny, że Papież zdjął z niego klątwę za kradzież i obraz ten mu podarował.

Za króla Augusta IIgo odbyły się jeszcze trzy inne koronacje świętych obrazów: w Sokalu (1724 r.), w Podkamieniu (1727 r.) i w Żyrowicach (1730 r.). A ileż to jeszcze się ich gotowało, co nie przyszły zaraz do skutku! Przed samą śmiercią królewską, Rzym pozwolił na koronację obrazu u Bernardynek w Wilnie, a królewic Jakób Sobieski przywiózł do Jarosławia dwie bogate korony djamentami sadzone (roku 1732).

Z koronacją obrazu Żyrowickiego, którą Radziwiłłowie podejmowali, korony z Rzymu przywiózłszy, weszła i Ruś do przybytku narodowego zwyczaju, jaki się wyrabiał. Wprawdzie i Kodeń i Sokal i Podkamień są to miasta Rusi, ale tam odbywały się koronacje obrazów w kościołach łacińskich. W Żyrowicach odbyła sią koronacja u Bazyljanów w cerkwi greckiej. Dopełniał jej metropolita kijowski Atanazy Szeptycki. Braterstwo obrządków wskazywało na unię dawniejszą polityczną, późniejszą religijną. Częstochowa, Troki i Żyrowice były to Korona, Litwa i Ruś.

Te sześć pierwszych koronacyj już wyrobiły prawo i zwyczaj, nowy obrządek przez jedno i drugie stawał się jak powiedzieliśmy narodowym. Naprzód sprawa stawała się nie kościelną i religijną, ale obywatelską. Czy korony były z Rzymu czy nie były, zawsze znalazł się jakiś gospodarz koronacji, czasem gospodarze, którzy byli jej opiekunami i fundatorami, bo koszt wszelki przyjmowali

na siebie. Za granicą odbywało się to wszystko bardzo prosto; u nas inaczej, bo szło o uczczenie królewej. Nabożeństwo więc przeciągało się długo, zapowiadano go na rok i więcej przedtem. Dwa lata czekała Matka Boska Podkamieńska na koronację, Żyrowicka lat cztery, to jest pozwolenie rzymskie wyprzedało o wiele czasu, jak widzimy, sam akt uroczysty. Wileński obraz czekał lat 18, Jarosławski mając korony lat aż 25 na koronację uroczystą. Dla czego to? Bo robiły się wielkie przygotowania, zbierały się wprzódy pieniądze przez składki, pisały się książki na uroczystość, drukowały się, odbijały się ryciny, nareszcie wybijały medale. Czasem bywało sam dziedzic świętego miejsca jechał do Rzymu po korony dla większej powagi.

Już na pierwszej koronacji Częstochowskiej były drukowane opisy i panegiryki. Później się żadna koronacja bez takich opisów i dzieł nie obeszła, fundator miałby sobie za grzech śmiertelny opuścić cośkolwiek, a co już jeden zrobił w poprzedniej koronacji, to drugi naśladował, bo nie chodziło wcale o koszt panom, kiedy się im chciało uczcić Marję. Naturalnie w miarę czasu rosły ogromnie i wydatki na koronacje. Znowu więc współzawodnictwo pobożne; obok głównego fundatora staje drugi i trzeci, który także sadzi się na uczczenie Marji. Oczywiście nikt mu tego zakazać nie może. Otóż co późniejsza koronacja, to więcej na niej gospodarzy i co za tem idzie więcej wystawności. Są całe rodziny, które razem występują. Na czele jednakże tym wszystkim pobożnym fundatorom stoi tak pierwsza tutaj, jak i pierwsza prawie podówczas w narodzie, najbogatsza, najliczniejsza, najwięcej dostojnych urzędów i krzeseł w Rzeczypospolitej zajmująca rodzina Potockich. A w rodzinie przy koronacjach obrazów, pierwsze miejsce należy się Michałowi Potockiemu pisarzowi polnemu koronnemu, który później wyszedł na wojewodę wołyńskiego. Był to prawdziwy syn kozaczych stepów, bił się jak wściekły, jeden uderzał na stu, pobożny i rubaszny był jak kwestarz. Rozsypywał czyny miłosierdzia przy dumie, która nawet w równym sobie nie uznawała brata. Potocki od Sokalskiej koronacji rozpalony nabożeństwem do każdej trafił. Jednej był fundatorem, drugiej dobrodziejem, na trzecią korony kupował, naturalnie szczerozłote w Rzymie, a na każdej był osobiście, modlił się i śpiewał. Przykład przez pobożnego wojewodę dany,

działał na wszystkich wokoło. Była i biskupom cześć jeździć po koronacjach, należyć do nich, ale Rupniewskiemu jednemu tylko tak szczęśliwie się powiodło, że sam dwa obrazy koronował, Kodeński i Podkamieński. Szczęśliwszy był pod tym względem nawet od Brzostowskiego, który jeden tylko obraz w Trokach koronował, bo przy Częstochowskim towarzyszył tylko Szembekowi. Pobożnym biskupom wiecznie te pamiątki w życiu świeciły; a nie jeden ze świeckich, co rozważał te rzeczy, mógł domyślać się przez pobożność, że Matka Boska łaskawszą była stąd na Rupniewskiego, że się z dyssydenta nawrócił i był bardzo gorliwym biskupem. Wyjątkowym to sposobem zdarzyło się później, że przy jednej koronacji biskupa płockiego zastępował suffragan chełmiński (w Skępem, 1755 r. Szembeka Fabian Pląskowski, Pam. relig. moralny XI str. 257).

Ale sześć koronacyj za Augusta II były dopiero początkiem. Pobożni biskupi i panowie, którzy o tych uroczystościach pierwsi pomyśleli, rychło się przekonali, że przeszczepili z Rzymu instytucję, która zaraz narodowe barwy przybrała. Zwyczaj ten rowinął się na piękne za następnego panowania, za owych błogich czasów swobody i żołądka i głowy. Oczywiście przeszło lat kilka pierwszych bez żadnych oznak głośnych pobożności, wśród wojen domowych i ciężkiego przesilenia. Ale zaledwie się w Rzeczypospolitej uspokoiło, już pobożność wystąpiła. Obrzędy koronacji się mnożą. Processje wszędzie w Polsce. Myślałby kto, że kraj to najszczęśliwszy na ziemi, że nie ma nawet o czem myśleć, że wdzięczność swoją tylko zostało mu głosić przed niebem. Sejmy nie dochodziły, a panowie koronowali obrazy. Rzeczpospolita upadała coraz bardziej, bo własne dzieci targały jej łono a biskupi nie wołali do pokuty. Prawo się łamało, rozpusta wyradzała się w dzikość, a na koronacjach tłumy spokojne i modlące narodu; nikt nie czuł zdaje się, że bolało, tak wszyscy do cierpień nawykli, nikt krzywdy bliźniego nie widział, bo nie było czasu, modlili się. I dziwna sprzeczność: najpobożniejsi na koronacjach fundatorowie zwykle to byli ludzie nie ludzie, bo krwi człowieczej nie mieli w żyłach, ale dumę, którąby światem zatrzęsła, gdyby mogła. Czasy Augusta III to, że się tak wyrazim, ojczyzna w czasie koronacji. Koronacja tylko przez te lat trzydzieści

przechodziła z jednego miejsca na drugie, aż obeszła wszystkie polskie kraje.

Nowy okres koronacyj za panowania drugiego Sasa otwiera prośba szlachty ruskiej podpisana do Rzymu na sejmiku w Chełmie w r. 1738 o dozwolenie koronowania Najświętszej Panny chełmskiej, tej co zwycięstwo odniosła pod Beresteczkiem. Cuda jej w natchnionej książce opisywał za Jana Kazimierza i Sobieskiego ksiądz Jakób Susza błogosławiony władyka chełmski. Niewiadomo dlaczego koronacja ta spóźniła się jednak o całe panowanie i bodaj czy nie pierwszą z kolei za czasów Augusta III była koronacja obrazu u Kapucynów w Warszawie. Rzecz udeczająca, że o tym wypadku tak blisko dotyczącym się dziejów miasta naszego, nie mamy do tąd żadnych pewnych wiadomości; czasu nawet tej koronacji oznaczyć nie można, mogła nastąpić jeszcze w ostatnich latach panowania Augusta II, bo Kamil Paulucci nuncjusz i arcybiskup ikoneński, który obraz warszawski koronował, bawił w Polsce od roku 1728.

Nie mamy w ogóle dokładnej statystyki tych koronacyj. Ile ich się odbyło w Polsce? o tem z pewnością powiedzieć nie możemy. Pospolicie ich liczą za Augusta III tylko 13 z warszawską, lubo i ta liczba jest ogromną, jeżeli zważymy, że zaczęły się, dopiero około środka panowania, kiedy spokojność ustaliła się jakby życie uleciało, to jest od roku 1749. Na lat 15 około, 13 koronacyj, to wypadnie i tak w rok jedna koronacja, a bywały lata, w których po dwie się odbywały. Tak w roku 1752 była jedna w Łąkach Bratyjańskich, druga w Leżajsku i w r. 1755 — jedna w Skępem, druga w Jarosławiu. Pierwsza odbywała się pospolicie na wiosnę, druga na lato. Zwykle do koronacji wybierano uroczystości Najświętszej Panny, ale najwięcej się ich odbyło we wrześniu na Narodzenie. Korony nie zawsze były rzymskie, fundacja Pallaviciniego albowiem dotyczyła się obrazów Najśw. Panny z Dzieciątkiem Jezus na ręku, w Skępem zaś np. była sama Matka Boska, dlatego na koronę składali się sami obywatele ziemi Dobrzyńskiej. Czasami jednak jak w Łąkach, szlachta chełmińska, prosi tylko o pozwolenie koronacji z Rzymu, a sama w religijno-patrjotycznem uniesieniu sprawia szczerozłote korony. Toż litewska dla wileńskiego obrazu. Naturalnie i dobrodzieje nie dają się uprzedzić,. Potoccy są przy każdej prawie koronacji,

na każdą łożą choć cośkolwiek, korony częso sprawiają. W ogóle Polska mało czerpała z funduszów Pallaviciniego, bo we własnych uczuciach znajdowała najobfitsze zasoby miłości. Obok Potockich: Radziwiłłowie, Ogińscy, Sapiehowie, Cetnerowie, Sanguszkowie, Lubomirscy, Czartoryscy, Tyszkiewiczowie itd. łożą na koronacje. Pobożna królowa Marja Józefa przyczyniła się wiele do koronacji obrazu Matki Boskiej w Chełmie. Obraz Berdyczowski jeden w całej Polsce miał tę osobliwość, że korony do niego sprawi własnym kosztem sam ojciec święty. Z wielką uroczystością te korony prowadził z katedry żytomierskiej biskup Kajetan Sołtyk do Berdyczowa, gdzie była «ozdoba i obrona ukraińskich krajów, przecudna w Berdyczowskim ołtarzu Marja». Młody kanonik kijowski Ignacy Krasicki należał do złotoustych mówców tej koronacji (Jocher, III str. 623). Ludzie w czasie koronacji nieraz widzieli cuda, domyślali się z tego, że samo niebo się raduje z uroczystości. W Podkamieniu trzeciego dnia nabożeństwa widziano na niebie nad samym kościołem czerwonę koronę w obłokach, podobną zupełnie do tej, jaka była na obrazie cudownym, dopiero po godzinie zasłoniło ją słońce; lud na odpust zgromadzony i wojsko o pół mili obozem stojące na to zjawisko patrzyo.

Za tego panowania wszystkie już strony Polski posiadały ukoronowane obrazy. Wszystkie celniejsze miasta Rzeczypospolitej, oprócz Krakowa jednego, mają takie obrazy. W Litwie ukoronowano obraz w kościele u Bernardynek świętego Michała, we Lwowie obraz u Dominikanów. Jeden Przemyśl miał znowu ten święty przywilej, że posiadał w murach swoich aż dwa ukoronowane obrazy, u Franciszkanów i Dominikanów. Na Ukrainie poza Berdyczów dalej ku Kijowowi na wschód nie posuwały się koronacje, bo nie było tam wcale kościołów łacińskich, a cerkwie unickie ubogie, bez cudownych obrazów.

Mówić o zbiegowiskach ludu na takie obchody! o liczbie duchowieństwa które celebrowało, spowiadało, kommunikowało. Kościoły by największe, gwar, tłum niezmierny zewsząd ściskał. Po odpustach zwyczajnych ludzie nie mieścili się po kościołach a cóż po koronacjach? W Sokalu samych kaznodziejów było 13, w Podkamieniu 15, w Poczajowie 16, w Częstochowie 17.

Książeczki koronacyjne poprzedzały zwykle same obrzędy, towarzyszyły im i następowały po nich, naturalnie według swojej

treści. Te co poprzedzały, szeroko się rozpisywały w panegirycznych uniesieniach nad historją obrazów, świętością ich, opisywały cudy. Bywało, że «Anioł z obronną ręką» co wprowadzał korony papiezkie do Berdyczowa zdawał o niej «relacje» narodowi (taki tytuł książki w Jocherze III str. 470). Drugi szereg książeczek składały pieśni, modlitwy i litanje na cześć obrazu. Nakoniec wychodziły poważne zbiory kazań wypowiedzianych podczas uroczystości i historja samej koronacyj, która powtarzała w sobie raz jeszcze to wszystko co poprzednie książeczki zawierały. Wydań zaś mnożyło się bez liku. Bibliografowie nasi nie spisali jeszcze całego bogactwa literackiego koronacyj, ztąd możemy o niem sądzić tylko z niewielu faktów. Sokalskich książeczek na cześć koronacji obrazu pod rozmaitemi tytułami naliczono aż dziewięć. Obraz podkamieniecki sławił jeszcze Szymon Okolski za Władysława IV. Chełmski, jak mówiliśmy Susza za Jana Kazimierza. Najwalniejszy wszelako pod względem literackim kontyngens dostarczały koronacyjne kazania. Tych moc wszędzie niezmierna. Zaczęły się już wydawać od pierwszej koronacji częstochowskiej. Pobożni ojcowie nazywali te arcydzieła wymowy «drogiemi perłami panegirycznych kazań» (Jocher III str. 477). «Najprzewielebniejsi i przewielebni prałaci» składali się na te «drogie perły». Jednak naprawdę nie byli to prałaci, tylko prości zakonnicy, różnych reguł, przeorowie, regensi, ordynarjusze. Każdy swemu kazaniu starał się wyszukać i tytuł co wspanialszy. Można sobie wystawić, co to było trudności z temi tytułami, w czasie kiedy cała literatura jakby się nadymała. Jeden więc kaznodzieja przesadzał się nad drugiego. Ten głosił «uniwersał zawołanej na macierzyństwo Boskie nominacji» i utrzymywał, że ten uniwersał «pisał niebieski kanclerz Gabryel w domu Nazareńskim» drugi rozdawał: «dystrybutę wakansów duchownych do tronu nowo-ukoronowanej Najjaśniejszej królowej nieba i ziemi». Wszędzie w tych kazaniach pełno legend, powiastek, opowiadań, przysłów, żartów, wierszy polskich i łacińskich. Ten uniwersał i dystrybuta wakansów i ten kanclerz niebieski Gabryel, są to polskie najszczersze wymysły i podobieństwa. Jak dawniejsi kaznodzieje z XVII wieku, tak i ówcześni, z mniejszym talentem, może jak Birkowski i Młodzianowski, Polskę i zwyczaje nasze wszędzie apoteozowali, w ziemi świętej widzieli sejmy i senatorów.

w Chrystusie bodaj nie króla polskiego. Przynajmniej Najświętsza Panna była królową i pełniła jej obowiązki, kiedy jak każdy król polski brała się zaraz po koronacji do «dystrybuty wakansów». Jakże Jej obejść się było bez kanclerza? Wielkiej dostojnicy nie mógł na niebie wystarczyć kanclerz koronny lub litewski; dobry był dla króla na ziemi. Ale po staropolsku N. Panna musiała mieć zawsze kanclerza i tego jej wyszukał ksiądz Cezary od św. Józefa, zwykły kaznodzieja Pijarów łowickich, na koronacji w Częstochowie. Był nim archanioł Gabryel, ten sam co Jej zwiastował, że pocznie i porodzi syna. Ksiądz Urbanowski uroił sobie, że na koronacji jarosławskiej odbywał się sejm pacyfikacyjny, na którym stanęła «aukcja wojska niebieskiego». Była to widoczna alluzja do spółczesnych gorących starań Rzplitej o powiększenie wojska, sejmy się rwały raz wraz na tak zwanej rzeczywiście «aukcji». Ksiądz Urbanowski to wojsko niebieskie, które uchwalono wystawić na sejmie pacyfikacyjnym jarosławskim, oddawał pod komendę wszystkich czterech hetmanów Rzplitej, Branickiego, Radziwiłła, Rzewuskiego i Massalskiego «wielkiej dzielności wodzów», dalej regulował ją «artykułami kaznodziejskiemi» jak wojskowemi, wołał ją «od werbunku infanterji przez Heroda do munduru niebieskiego». Same wszędzie alluzje (Jocher, III str. 481). Kaznodzieje ci tak gorąco się zapalali, że np. ksiądz Frydrychowicz dominikan wygadać się nie mógł w Częstochowie; kazanie jego 16 arkuszy obejmuje w druku (Jocher, obraz III str. 626). Musiałoż trwać z pięć godzin. Po tem możemy brać miarę pobożności tłumów; tłumy słuchały kazań w milczeniu, a z nabożeństwem. Kazania te po największej części wychodziły luźno i dopiero zbierano je razem i zszywano w jednę księgę. Zbiór podkamienieckich mówców wyszedł z pod «straży czułego zakonu kaznodziejskiego szczeniuka» (Jocher, III str. 499). Sądził pobożny zakonnik, że największy dał dowód miłości dla królowej nieba i ziemi, skoro się porównał ze szczeniukiem. W późniejszych czasach takie koncepta trąciły pochlebstwem, za saskich czasów były dowodem gorliwości dla kościoła. W obudwu razach ludzie przebierali miarę świadomie lub nieświadomie, ale upodlali się przed potęgą, której wyższość uznawali nad sobą.

Te pobożne mnichy, szczeniuki z drogiemi perłami kazań, rozrzucali między owe massy narodu, co się zbiegały na koronacje

oprócz książeczek ze spisem cudów, ryciny i medale na pamiątkę. Czasem te ryciny wytworną były zdziałane sztuką. Najpiękniejszy tutaj pomnik za staraniem fundatorów dostał się koronacji Berdyczowskiej. Teodor Rakowiecki około 30 rycin wykonał i wysławił na nich cuda Najświętszej Panny Berdyczewskiej, oraz ozdoby kościelne podczas koronacji obrazu (Jocher, III str. 623). Medale pierwszy raz pojawiły się w Sokalu. Bywały nie jednego stempla, co dowodziło oczywiście większego nakładu. W Berdyczewie rozdawano złote, srebrne i mosiężne medaliki siedmiu odmiennych stępli; był i ósmy, bity przez Ożgę biskupa kijowskiego, ale być może, niezdołano tylko na czas go sporządzić, gdy opis koronacji zamilcza o tem. Wielkie przywileje przywiązane były do tych mentalików, jak je lud nazywał, czyli do koronatek, jak je znowu nazywała szlachta. Nie dosyć, że były poświęcane w Rzymie, więc z tego względu zasługiwały na cześć pobożnych, ale Ojciec święty przywiązywał do nich odpust na ostatnią chwilę życia. Dlatego koronatki wszyscy nosili na piersiach, dlatego umierali z niemi i brali je z sobą do grobu pobożni; dlatego te mentaliki dzisiaj są tak rzadkie, nawet po bogatych zbiorach numizmatycznych.

Nic świetniejszego, jak obchód koronacji obrazu u Dominikanów we Lwowie w roku 1751. Z jednego obrzędu, będziem łatwo mogli wnieść o wspaniałości drugich. Wybraliśmy dlatego umyślnie najjaskrawszy, taki, co może najwięcej upajał się wonią religijnych uniesień ludu. Była to podobno 15 z kolei w Polsce koronacja. Historyk dorachował się w niej dopiero 10tej, z dawniejszych zatem pięciu doszukać się nie mógł (Tym. Lipiński, w Bibl. warsz. 1849 r. IV str. 456); koronacje obrazów były więc w Polsce jako myt i rozpływały się w powietrzu.

I obraz lwowski był malowidłem świętego Łukasza. I we Lwowie jak gdzieindziej fundatorami koronacji byli Potoccy. Hetman wielki koronny kasztelan krakowski Józef, sławny stronnik Leszczyńskiego, człowiek, który jeszcze młodym będąc marzył o księstwie udzielnem na Pokuciu, na starość obrońca zacięty szlacheckich wolności i hetmańskiej buławy, człowiek, co za tem szło bardzo pobożny, bo staroświeckiego na świat poglądu, popierał głównie koronację lwowską. Umarł, nie doczekawszy się jednak uroczystości. Bo chociaż 10 grudnia 1749 roku jeszcze

papież dał pozwolenie na koronację, jednakże świetne przygotowania trwały półtora roku i hetman stary nie widział obrzędu; umarł w maju, a koronacja odbyła się w początkach lipca, o miesiąc tylko jeden uprzedził ją, a byłby inaczej umierał wśród woni nabożeństw. Za to syn jego jedynak Stanisław wojewoda kijowski, podjął się uroczyście nakładu, ażeby zaś nie straciła co na tem koronacja, że ją hetman opuścił, następca Potockiego w buławie Jan Klemens Branicki obiecał przysłać wojsko. Bo wojsko wtenczas własnością hetmańską było. Hetman mógł go używać dla spraw swoich lub cudzych prywatnych i niktby mu ani słówka o to nie powiedział, buława wtenczas była źrenicą wolności, jak drugie veto.

Ale Stanisław Potocki nie był sam jeden dobrodziejem koronacji we Lwowie. Wszystko co tylko miała Rzeczpospolita największego, panowie i panie, jak grad rzucali pieniądze i zbierali składki dla podniesienia koronacji we Lwowie. Jedną ofiarą możnaby odbyć okazale uroczystość, a tutaj było ich tyle! Wszyscy przeczuwali, że się ma na wspaniałość, jakiej dotąd nie widziano nawet w Częstochowie. Samych Potockich, mężczyzn i kobiet, co składali się na koronację, było jedenaście osób, jeżeli nie policzym ich krewnych, z których każdy pospieszał z ofiarą. Starosta kołomyjski i sławny kaniowski, pierwsi byli po wojewodzie kijowskim, głównym dobrodzieju. Miasto tymczasem wznosiło bramy tryumfalne, ratusz i wieże cudnie przyozdabiało; wszędzie widać było malowidła, obicia, piramidy i godła. Każdą bramę, których było ośm, kto inny własnym nakładem wystawił. Co trzecia kamienica, była Najświętsza Panna w przeźroczach. Wizerunki znakomitości polskich w innych miejscach gęsto świeciły. Zaczęli nareszcie schodzić się ludzie. Zbierały się wojska koronne w Białohoszczy i obozem rozłożyły się na błoniu pode Lwowem; w tém miejscu kiedyś odbywały się sejmiki. Było 12 chorągwi husarskich i 12 pancernych, pułk dragonów buławy wiel. kor. i pułk piechoty, chorągwie janczarskie buławy wiel. kor. i załoga lwowska. Rozbito w polu namioty, jeden na ołtarz, drugi dla koronatora, którym oczywiście mógł być tylko miejscowy pasterz Mikołaj Wyżycki arcybiskup lwowski, jednakże dla wyższej powagi miał na to upoważnienie z Rzymu, inne namioty rozsypane na błoniu były dla panów. Wszystkie przybrały się w perszczyznę, makaty i ko-

bierce, przysłał te stroje z Nieświeża książe Michał Radziwiłł Rybeńko, hetman wielki litewski, wojewoda wileński.

Uroczystość zaś sama w następujący się sposób odbywała. Przeor dominikański oddawał u Franciszkanów w mieście korony rzymskie wnukom zmarłego hetmana Potockiego, wojewodzicom kijowskim, bo i ojciec wojewoda, dobrodziej koronacji, zachorował. Dzieci przy trąbach i kotłach, wśród nieustannego bicia z dział, otoczone gronem senatorów, rycerstwa i tłumami ludu, niosły te korony do kościoła dominikanek, w którym czekał arcybiskup, z licznem duchowieństwem wobec także kilku senatorów duchownych to jest biskupów, rycerstwa i ludu. Dzieci oddając arcybiskupowi korony, przemawiały stosownie do niego, arcybiskup znowu do dzieci. Zaśpiewano następnie T e D e u m i zaczęła się processja pod namioty na pole. Tam wśród nabożeństwa, złożył arcybiskup korony i zostawił je pod strażą sześciu księży i wojska. Taki był przeddzień koronacji.

Nazajutrz mająca się odbyć uroczystość była naprawdę święta, rzewna i familijna. Byli tam pode Lwowem na koronacji Królowej Polskiej biskupi łacińscy i ormiańscy, obrządków katolickich, byli djecezjalni i sufraganowie, obok nich byli opaci, były obiedwie kapituły lwowskie, obiedwie przemyślskie, kijowska i kolegjata żółkiewska. Kapituła kijowska przybyła za swoim biskupem, staruszkiem Samuelem Ożgą. Pośpieszyły zewsząd processje z muzyką i z chorągwiami ze Lwowa, z okolic, z Trębowli, ze Strumiłowej-Kamionki, z Buska, z Krotoszyna, Kościejowa, Dawidowa, Jaworowa i Mościsk. Z Żółkwi przyszły cechy. Zewsząd bractwa, kongregacje. Co chwila przemijali się różnych kolorów i reguł kapłani, w kafowych, białych i czarnych habitach.

W dzień koronacji, 2 Lipca 1751 roku arcybiskup pod namiotami zaśpiewał radośnie: Regina coeli laetare, Alleluja! Na to hasło ozwały się dzwony całego Lwowa, po nich zaraz wszystkie działa zagrzmiały, ryknęły trąby i kotły i zaczęła się uroczystość. Potoccy, sami Potoccy rozrzucali garściami pomiędzy lud pamiątkowe medale złote, srebrne i miedziane, czterech różnych wielkości. Dominikanie ze swojej strony rozrzucali medaliki w Rzymie poświęcane przez papieża z koronami razem przywiezione. Arcybiskup błogosławił świat na cztery strony, a protonotarjusz apostolski akt koronacji spisywał. Następnie ruszyła pro-

cessja do miasta. Wszystkie cechy szły z chorągwiami, jedne w pancerzach, drugie w zbrojach, inne w skórach lamparcich. Bractwa i processje z okolic poprzedzały dunhowieństwo. Po kilkadziesiąt par było księży każdego zakonu. Dalej wojsko różnej broni i mundurów. Niesiono relikwje 152ch świętych z Rzymu przysłane. Potem szła arka z karmazynowego aksamitu, suto złotem ozdobiona, na niej spoczywał obraz cudowny, który niosło 12 księży. Książęta, wojewodowie, senatorowie prowadzili pod rękę księży i pomagali nieść ciężar. Orszak panów, których niezmiernie było wiele, otaczał zewsząd święty obraz. Processja rozciągnęła się na tak szerokiej przestrzeni, że początek jej wstępował do kaplicy Bożego Ciała, a obraz jeszcze nie ruszył z miejsca pod namiotami. Dla nabożnych nie wystarczały ulice i place, zalegli piętrami wszystkie okna i dachy. Nareszcie kiedy obraz stanął w swoim kościele, arcybiskup zaśpiewał Te Deum, po którem nastąpiło kazanie. W południe ucztę dla ludu w czterech miejscach sprawiali panowie. Nieszpory dzień zakończyły.

Tak całą oktawę święcono koronacją Najświętszej Panny we Lwowie. Mnóstwo odprawiono przez ten czas mszy, kazania bywały rano i po południu. Nie można przecisnąć się było od tłumów do spowiedzi i komunji. Ludność roztrychała się pomiędzy 55 kościołów, a wszędzie jej było pełno. Co noc palono illuminacje. Łuny biły tak szeroko, że zdawały się jednym ogniem; myślałby kto zdaleka, że Lwów gorzał. Co dzień po ulicach Lwowa snuły się processje bractw i cechów, każdy cech niósł swoje ofiary, wyroby złote, lub srebrne. Palestra, sieroty od szarytek, dzieci, służące, wszystko to zbierało się na osobne processje. Takie wspaniałe obrzędy nie mogły prędko się ulotnić z pamięci narodu. Otóż nie kończyło się na oktawie umyślnie na ten cel ustanowionej. Doroczne nabożeństwa przypominały w różnych miejscach świetny obrzęd, w którym cały naród brał udział: w kościołach nabożeństwem, w domach prywatnych modlitwą obchodzono rocznicę. Michał Potockl starosta trembowelski, synowiec sławnego księcia prymasa, co to go wielkim nazywano, u Dominikanów kamienieckich ufundował doroczne nabożeństwo na pamiątkę, w sam dzień koronacji lwowskiej. Zawsze Potocki. Nowy dowód jak wielce szanowano te pamiątki, te familijne, jak powiedzieliśmy, uroczystości na koronacji lwowskiej.

Za Stanisława Augusta już widocznie inny płynął prąd wyobrażeń religijnych, koronacje są więcej pamiątką, wspomnieniem, staropolszczyzną, więc świetnem tylko wspomnieniem. Koronacje są dalszym ciągiem czasów saskich i prowadzą je ludzie póki mogą, póki wiary w cudowne obrazy narodowi starczy. Dziewięć ich tylko było. Wszystko co z postępem wyobrażeń szło, nie lubiło tych koronacji, tych świetnych obrzędów, na których zapoznawały się dzieci stron różnych. W pojęciach tej oświeconej klassy, obrzędy podobne były fanatyzmem. Dlatego, chociaż ogół narodu przeważnie jest religijny, koronacyj takich, jakie były we Lwowie i w Berdyczowie już nie ma. Dusze ostygły, głowy zeskąpiały, ręce opadły. Jako pierwszą oznakę tego usposobienia, które nawet i do niższych stref społeczeństwa sięgało, smutny widzimy wypadek, że w lat siedm po koronacji Leżajskiej skradziono obrazy. Przepadły wtedy dwie korony szczerozłote, sygnety, perły i wszystek bogaty przystrój Najświętszej Panny (Bibl. Warsz. rok 1849, IV str. 457).

Koronacja krakowska nie przychodzi do skutku dla braku funduszów, chociaż są o niej ryciny i medaliki rzymskie (1764 r.) Na koronacji Miedniewickiej rozdawano tylko obrazki, medalików wcale nie było (1767 r.) Dobrodziejów już trzeba było prosić o nakład, jaki chętnie przed chwilą sami dawali. Na ten cel odbywały się nawet wotywy, «ażeby Pan Bóg natchnął jaśnie wielmożnynh i wielmożnych dobrodziejów.» (Tym. Lip. w Bibl. Warsz. 1849 r. IV str. 466). Niewiadomo nawet czy się znaleźli. O Dermańskiej koronacji, która się odbyła w roku 1765 nie mamy nawet żadnej wiadomości w pismach publicznych, odbyła się widać niespostrzeżenie (nie ma jej nawet i Tymoteusz Lipiński). Poczajowską w r. 1773, sprawił sławny rozpustnik Mikołaj Potocki, dawniejszy starosta kaniowski, który przez dziwny kaprys na starość został pokutnikiem w klasztorze bazyljańskim. Fantazja zatem, chorobliwy stan umysłu, uspobienie chwilowe fundatora było powodem tej koronacji, chociaż wogóle to powiedzieć potrzeba, że exstarosta kaniowski należał do celniejszych reprezentantów staropolszczyzny, i że za czasów saskich przykładał się prawie do każdej koronacji na Rusi. Krasiński biskup kamieniecki miał wysłuchać «zakonne i powszechne ludu djecezji żądanie» i wyrobił w Rzymie pozwolenie na koronację obrazu Latyczewskiego, ale

jednak ani sam, ani suffragan nie odbywał tej uroczystości, która się odbyła wśród głębokiéj ciszy. Żmudź święta pośpieszyła ostatnia, ale korony do obrazu Szydłowskiego sporządził własnym kosztem ostatni może pobożny biskup tych czasów (Tadeusz Bukaty roku 1786). Jedna może chełmska koronacja wieje wonią religijną dawnych czasów, ale uleciała z niej już wszelka dawnych czasów wspaniałość.

Kilku faktami statystycznemi zamkniemy ten obraz. — 28 znanych jest koronacyj w dawnej Polsce. Najbogatsze koronacjami są kościoły zakonne, w zakonach zatem najwięcej pobożności. Dominikanie zaś najulubieńszym są zakonem dla Najświętszej Panny, bo w pięciu kościołach u nich cudami zasłynęła. Potem zaraz idą Bernardyni z czteremi swojemi kościołami; Bazyljanie i Karmelici mają po trzy, Franciszkanie i Reformaci po dwa, Paulini, Kapucyni, Jezuici i Bernardyni po jednym. Jedyny żeński klasztor w Wilnie miał ukoronowany obraz. Jezuici mieli także jeden. Nieprzyjaciele tego zakonu chcieliby wszędzie go widzieć na czele wszystkiego, co fanatyzmem i obrzędowością trąci, otóż tutaj muszą ustąpić przed prawdą. Dominikanie i Bernardyni od Jezuitów gorliwsi. Rzecz dziwna, że w kościołach świeckich tak mało cudownych i ukoronowanych obrazów: cztery parafje Nowe-Troki, Kodeń, Chełmno i Szydłów i jedna katedra w Chełmie takiemi klejnotami poszycić się mogą.

IGNACY BOHUSZ.

Dzisiaj, kiedy o przeszłości naszej chodzą takie dziwne powieści i wyobrażenia jak o żelaznym wilku, trudno jest dla nieznających rzeczy pojąć wpływ i znaczenie takiego człowieka, jakim był np. pan Bohusz, doradca i przyjaciel Radziwiłłowskiego domu. Nie byłto ani senator ani żaden nawet dygnitarz Rzeczypospolitej. Po latach wielu krwawej trybunalskiej pracy dostał ię ledwie na ziemski urząd w swojem województwie, i aż po kosniec życia był tylko prostym miecznikiem wileńskim; a przecież Bohusz jestto jedna z najjaskrawszych i najdzielniejszych postaci wieku Stanisława Augusta: imię jego szeroko zasłynęło w dziejach, jakby imię jakiego z magnatów kilkuwiecznych, wojewody, pana albo księcia obok herbów, buław i tytułów. Miał Bohusz wysokie umysłowe zdolności; bez wielkiej nauki, byłto samorodny gieniusz i stanowił że tak powiemy, wcielenie się szlacheckiej Polski. Jeżeli kto ze spółczesnych jemu, to on polityką, postępowaniem swojem, sposobem myślenia i życia, obyczajami, odzieżą, wszystkiemi cnotami i wadami, był typem owego szlachcica, który już się przeżył i z orężem w ręku, jako zasada, miał umrzeć dla historji w bojach konfederacji Barskiej. Los szczęśliwy zdarzył, że ta energiczna dusza, że ten żelazny a nieugięty i dziki charakter, padł na ręce Radziwiłłom, którzy szlacheckiej Rzeczypospolitej bronili przeciw bijącej potędze intrygi; więc mógł przy nich

Bohusz rozwinąć w całej pełni ogień swojego żywota. Słuchał go stary hetman, a potem książę Karol panie kochanku, drugi typ poetyczny dawnych charakterów szlacheckich; ztąd pan Bohusz został człowiekiem historycznym. Jak we Francji znali markizowie wszystkie kochanki króla i ministrów, Pompadury, Du Barry i t. d., tak u nas w całej Polsce jak była długa i szeroka, znano pana Bohusza. Chociaż tylko miecznik wileński, był to całą gębą minister w Nieświeżu; minister Radziwiłłowski znaczył coś przecie w Rzeczypospolitej, tem bardziej jeżeli głowę Bohusza nosił na karku. Wszakże książę Karol całe prawie życie rozprawiał się ze swoimi nieprzyjaciołmi politycznymi: w tej walce niejedna myśl Bohusza wcielała się czynem w historją, nie jeden czyn jego rozgrzmiał szeroko po ziemi: były to ciosy za ciosami, grom za gromem, na dom i systemat Czartoryskich, który zbiegiem dziwnych okoliczności przyszedł do panowania nad Polską w osobie króla Poniatowskiego. Zabity wróg cudzoziemszczyzny Bohusz, według wyrażenia się poety, podsadzał ciągle eża pod stolec królewski. Książę Karol, acz dzielny szlachcic, nie byłby tak długo wytrzymał przeciw potędze, która się na dom jego zwaliła, gdyby nie Bohusz. Rozumieli to dobrze stronnicy królewscy i sam Poniatowski, ztąd ich nieprzebłagana dla Bohusza nienawiść. Otóż powiadają, że mało mieliśmy za dawnej przeszłości, mężów stanu, to jest wyniosłych polityków, których starzy Polacy statystami nazywali. Statystą takim polskim czysto narodowym, ostatnim statystą szlacheckim, był pewnie nasz Bohusz.

Rozbujała się straszliwie zaciekłość dwóch stronnictw, które pod spokojnem panowaniem Augusta III po sejmikach i trybunałach miotały Rzplitą. Książę kanclerz litewski per fas et nefas chciał postawić na swojem i wszystkie do tego celu poruszył sprężyny: przekupywał Brühla, zrywał sejmy, obierał samowolnie których chciał posłów i deputatów, gnębił przeciwników swoich na różne sposoby, w zemście nieubłagany, dziki. Z nim nie było żadnego sposobu: i albo ślepo się poddać wyrokom pańskim, albo zginąć z kretesem. Gienialne miał książę pomysły, tysiączne prawnicze wybiegi, żeby Radziwiłłów zmartwić, żeby ich przyjaciela jakiego pozbawić, a sam zręczny, układny na pozór i grzeczny, łatwo się jak żmija wysuwał im z ręku. Trafiła jednak

kosa na kamień: Czartoryski na Radziwiłłów. Gdyby książę nie napotkał ich w Litwie po swojej drodze, jak ogrodnik na drzewkach, tak on szczepiłby na ziemi polskiej, swoje plany reformy monarchicznej i nic by mu się na świecie nie opierało. Ale jeżeli kanclerz miał rozum, hetman litewski miał miłość szlachty, i chociaż po stronie kanclerza stanęli intryganci, to jest ludzie wyłącznie rozumni bez serca, za to po stronie księcia hetmana stanęła cała historja kilku wieków Rzplitej, to jest sami ludzie serdeczni, którzy nie mogli znieść zamorskich mądrości.

Było to w roku 1755. Bohusz mieszkał wtedy w Wilnie i należał do palestry trybunalskiej, w której się odznaczał jako biegły prawnik i doświadczony mecenas. Nie był jeszcze wprawdzie jawnym stronnikiem Radziwiłłowskiego domu, ale serce i stosunki jakie miał z przyjaciołmi starego księcia hetmana, skłaniały go ku stronie Radziwiłłowskiej. Zresztą nic dziwnego; człowiek szczerego serca i otwarty, a zabity szlachcic, był miłośnikiem dawnego porządku rzeczy. Bohusz, chociaż jeszcze tego żadnym czynem nie zdradził, bo to niebezpieczna rzecz była, nie cierpiał Wołczyna i całego domu księcia kanclerza. Te stosunki Radziwiłłowskiego Bohusza, o jakich mówiliśmy, była to po prostu przyjaźń dla dwóch braci Abramowiczów, z których jeden Jędrzej był pisarzem ziemskim wileńskim, a drugi Jerzy podwojewodzym i także wileńskim. Obadwaj bracia byli bardzo zacnymi ludźmi; staropolski był obyczaj ich, staropolski sposób widzenia rzeczy, staropolskie serce. Jędrzej miał dzielną głowę, a obadwaj posiadali ogromny wpływ pomiędzy bracią szlachtą swojego województwa, których zaczęły już zdaleka macać postronne wpływy księcia kanclerza. Na dobitkę obadwaj bracia byli zaciętymi przyjaciołmi Radziwiłłów, jak całe województwo wileńskie, któremu czternasty już w kontuszu Radziwiłł przewodził. Jędrzej Abramowicz dał właśnie Bohuszowi, bo od niego to zależało, regencją ziemską wileńską.

Księciu kanclerzowi litewskiemu naraził się niechcący i najniewinniej w świecie starościc stokliski, Matuszewic, który dawniej jednak z wszelką gorliwością mu służył, zwyczajnie jako chudy pachołek wielkiemu panu. Ale to było dosyć, bo niechby się książę nawet domyślał, nie mając żadnych na to dowodów, że ktoś z biedniejszej szlachty był przeciw niemu, już obadwaj nie-

spokojnie spali, kanclerz, że szlachcic żyje, szlachcic, że kanclerz gniewa się na niego. A tutaj przeciw starościcowi jeszcze bardzo ważne walczyły poszlaki; powiadano o nim, że kredytem swoim u szlachty księciu sejmiki w Brześciu litewskim pozrywał. Szlachcic mierzył się z kim? z kanclerzem! to było okropne dla pana, to zasługiwało na najsurowszą, najprzykładniejszą karę, bo milczenie mogło uzuchwalić umysły, a Matuszewic mógł wyrosnąć na politycznego nieprzyjaciela. Żeby go więc zgubić, uderzył kanclerz w najdrażliwszą stronę dla szlachcica polskiego; zarzucił mu gminne pochodzenie, podszywanie się pod herb i klejnot szlachecki, a na dowód swojego twierdzenia stawił jakąś babę złego prowadzenia się, którą kupił umyślnie od usłużnego poplecznika, a więc własną poddankę. Baba ta twierdziła, że jest rodzoną siostrą starosty stokliskiego, ojca prześladowanego niewinnie pana Marcina Matuszewica, a nie zapierała się przytem, że ten jej brat chociaż dziś starosta, związkami familijnemi połączony ze szlachtą, pasał niegdyś barany jako prosty parobek, urodzony z poddanych jakiegoś tam dziedzica. Nic w tem wszystkiem ani za grosz prawdy nie było. Ale w czasie kiedy stronnictwa stanowiły trybunały i kiedy sprawiedliwość była na rozkaz, dosyć było pozoru żeby zgubić niewinnego człowieka: ztąd nie raz sędziowie przekupieni, wydawali najniegodziwsze wyroki, a drudzy więcej poczciwi, z obawy milczeli. Ten systemat sądu wprowadziła do Polski Familja, a jeżeli Radziwiłłowie także niesprawiedliwie po swoich trybunałach sądzili, z ich strony był to odwet. Wtenczas już nie o pojedyncze osoby chodziło, ale o zwycięztwo stronnictwa jednego nad drugiem. Kto winny był w tej sprawie? Juścić nie kto inny, tylko ten, co pierwszy zaczął ze sprawiedliwości Bożej robić namiętności ludzkie.

Gdzie się uciec biednemu szlachcicowi, jak nie pod opiekę możnego pana? Stać o własnych siłach, toć to przecie najwidoczniejsza zguba. Ale przeciw gniewowi kanclerza jedynie postawić można było obronę hetmańską, dwa wpływy łatwo wtedyby się zrównoważyły. Tak myślał i tak zrobił Matuszewic, znany już osobiście od jakiegoś czasu księciu ordynatowi: stanął po prostu przed nim ze łzami w oczach i polecał się jego łasce. Nie te jedne skargi dochodziły uszu hetmana: nie było prawie okolicy, w którejby nie znalazł się jaki chudy pachołek prześladowany od kanclerza,

niewiadomo za co, często za pozory; nie było sejmiku, na którymby przeciw Radziwiłłom Czartoryski min nie podsadzał. Zbrakło księciu hetmanowi oddawna już cierpliwości, ale że to złoty był pan, do rany go przyłożyć, serce najlepsze w świecie, a wszelkich zawichrzeń w Rzplitej bał się, jak djabeł święconej wody i sam wysuwać się nie lubił, kłótni z nikim nigdy nie zaczynając, więc od dnia do dnia wlekło się to jakoś: książe kanclerz tymczasem powiat zdobywał za powiatem, województwo za województwem i hulał sobie po Litwie, jakby jaki dyktator. Ale jak mówimy, przebrała się miarka, hetman postanowił dać pomoc skrzywdzonym i na pokątne intrygi rzucić veto: w tym celu szczerze myślał ufundować na przyszłą kadencyą trybunał czysto Radziwiłłowski i do laski marszałkowskiej prowadzić swego jedynaka księcia Karola, później sławnego panie kochanku żeby młokos uczył się pod sterem ojca, jak ma służyć Rzplitej i braciom szlachcie.

Stało się jak chciał książe hetman. Nasłał wprawdzie kanclerz na trybunał do Wilna stado swoich kruków gotowych na wszystko, ale na sejmikach daleko więcej obrano doputatów Radziwiłłowskich. Zatem z pomocą hetmana, po szalonych walkach i sporach, w których nie obeszło się bez krwi rozlewu, stanął marszałkiem, książe miecznik litewski Radziwiłł, vice marszałkiem pan Jerzy Abramowicz wybrany deputatem ze Staroduba i Czartoryjszczyki musieli umilknąć. Bardzo naturalnie, młode książątko nie pilnowało sądów, a laskę piastowało tylko dla honoru i jeździło sobie po wizytach, lub polowało po lasach; otóż cały ciężar kierowania trybunałem przypadł Abramowiczowi. Pod jego dzielnym i energicznym wpływem, wszystko szło na sądach porządnie, żwawo, sprawiedliwie a po szlachecku i po Radziwiłłowsku. Pan vice marszałek dał Bohuszowi rejencją teraz na trybunale, jak poprzednio brat pisarz dał mu ją w ziemstwie wileńskiem. Ważny to był bardzo urząd, tembardziej wśród ówczesnych okoliczności. Otóż ci trzej ludzie, obadwaj Abramowicze i Bohusz trząsali trybunałem księcia Karola, i coby chcieli, toby wyrabiali, gdyby nie było silne w nich trzech uczucie sprawiedliwości. Abramowicze jednak otwarciej działali jak Bohusz: już mieli wziętość wówczas u szlachty, wpływy w Nieświeżu, posiadali urzędy ziemskie i bogate dobra, z większą zatem niepodległością działać

mogli. Bohusz zaś ukrywał się po za nimi, do wszystkich rad ich i postanowień należał, ale pocichu, ale ze wszelką oględnością, żeby się księciu kanclerzowi jakim sposobem nie naraził. Dla niego bezpieczniej było, że książę nawet o jego życiu nie wiedział. —

I tak się zgrabnie wywijał z trudności Bohusz, że kruki kanclerskie ani się domyślały, co zacz jest pan rejent trybunalski. Naturalnie Matuszewic sprawę wygrał o szlachectwo chociaż za wielką forsą i większością tylko jednego głosu, tak zacięcie bił przeciw niemu kanclerz, na Radziwiłłowskim trybunale. Wywiódł najświętszemi dokumentami na świecie, że jest szlachcicem czystej krwi i jednego rodu z książętami Giedrojczami, ale jednak redakcya wyroku mogła znakomicie osłabić to wrażenie nieprzychylne dla kanclerza. Teraz kto zredaguje wyrok? było pytanie, kto się odważy być jawnie przeciw księciu z Wołczyna? Mówiono w Wilnie, że Bohusz podejmie się tej pracy. Więc Kłokocki pełnomocnik wołczyński zabiegając około niego, dawał mu 200 czerw. zł. aby nie dyktował wyroku, bo wiedział że Bohusz na palcach zna statuta i wszystko pięknie ubarwić umié, a zresztą taka litera prawa była wyraźna: infamia dla wszystkich co zarzucali komukolwiek nieszlachectwo a nie dowiedli zarzutu, jaki tutaj właśnie był wypadek. Wprawdzie kanclerz aż nazbyt ostrożny, sam osobiście nie występował przeciw Matuszewicowi, tylko się ukrywał poza innymi powodami; ale cała Litwa wiedziała że to jego machiny biją na trybunał, powaga by jego na tem cierpiała, a cios moralny z tej ręki odebrany byłby okropniejszy od innych. Bohusz obiecał wszystko Kłokockiemu może dla niepoznaki, ale pieniędzy jednak nie wziął. Dopiero gdy widział że nikt z lepszych rejentów nie podjął się zredagowania wyroku, ni ztąd ni zowąd nagle podyktował on sam cały, a dowodził tak logicznie, napchał cytacyj statutu tak wiele, zastósował najdrażliwszy artykuł 27, którego kanclerz w żaden sposób przyjąć nie chciał, tak trafnie do sprawy, że przeciwnik przepadłby z kretesem pod ciężarem wzgardy publicznej, gdyby intrygi i siły nie miał na swoję obronę i gdyby się już nie wyuczył temi środkami jak szlachcic szablą wywijać. Juścić sam text wyroku był piorunujący przeciw księciu kanclerzowi, kiedy zawierał te słowa: «dobremu człowiekowi nie godzi się źle mówić o poczciwym.» Mówiono wtedy,

że Bohusz tak ostro podyktował wyrok, nie dlatego jednak, żeby się kanclerzowi miał przekomarzać, ale że mu więcej chodziło o poklask dwóch panów, księcia hetmana w Nieświeżu i pana marszałka nadwornego koronnego Mniszcha w Warszawie. Podchlebiając Radziwiłłowi, wnęcał się do łaski hetmańskiej, a tego głównie mu się chciało; pochlebiając Mniszchowi, pozyskiwał łaski dworu i rosnął w opinji księcia Radziwiłła. Celu swojego dopiął pan Bohusz i chociaż artykuł przez niego zacytowany, wiele na Litwie potem narobił bigosu, chociaż w Wołczynie wywołał namiętności i chęć zemsty, ale już wtedy hetman uważał za swoję powinność, zasłonić biednego rejenta, który się dla niego i całej szlachty osobiście narażał.

Ale burza mogła obalić się na sprawców tak nieznośnego dla Wołczyna wyroku dopiéro na drugim następującym z kolei trybunale: kilka zatem miesięcy czasu mieli Bohusz i Abramowicz, żeby się namyśleć nad sposobami ku dalszéj obronie. Matuszewic wdzięczny wciągał rejenta do stronnictwa francuzkiego, które się wtedy przy hetmanie Branickim i panu Durand wiązało, a dawało pewne rękojmie. Ale nim myśl dojrzała, sejmiki deputackie odbyły się i nastąpiła nowa kadencya sądów. Mało co do wojny domowej nie przyszło między dwoma domami, i aż król musiał posyłać z Warszawy swego pełnomocnika z warunkami ugody; dosyć że po wielkich odgrażaniach się i kłótniach przyszło wreszcie do najformalniejszych układów; zupełnie tak samo państwa europejskie godziły się na kongresach w Westfalji i w Utrechcie. A że kanclerz był wtedy panem położenia, zięć jego Fleming, chociaż minister, utrzymał się przy lasce marszałkowskiej i zemsta się zaczęła. Naprzód zaskarżono poprzedni wyrok jako przeciw prawu wydany i napisano manifesta na księcia Karola, a dalej wniesiono skargi przeciw pisarzowi i rejentowi, obu wileńskim. Abramowicza wprzód a potem Bohusza od czci i wiary odsądzono, a co za tem poszło i od urzędów; aż wstyd mówić o powodach jakich użył trybunał Flemingowski dla tak surowego skarcenia ludzi niewinnych. Bohusza np. oskarżono o depaktacyą, to jest o przekupstwo, kiedy nasz rejent był czysty jak szkło pod tym względem, a że nie brał pieniędzy od strony, tego na sobie doświadczyli jawnie kruki wołczyńskie za zeszłego trybunału. I cóż za dowód przekupstwa rzucono w oczy Bohuszowi? oto że raz wziął

czapeczkę nocną w podarunku od pani Giecewiczowej podstoliny wileńskiej; jako oskarżyciel stanął przed sądem i zeznał o tej zbrodni, sam pan Giecewicz, człowiek mało rozsądny a krzykun wrzaskliwy, który cały trybunał napełnił wrzaskami o czapeczkę żoniną. Jak się tam sędziowie z niego i z siebie nie śmieli? pojąć trudno. Był też i drugi zarzut: Wolski patron trybunalski prawił szeroko i długo o tem, jako Bohusz był człowiekiem wielkiej pychy, nieprzystępnym, niedyskretnym dla stron. Święta prawda, pan Wolski nie kłamał. — Bohusz jak mówiono wtenczas «w prezumpcyi swojej,» dla stron był rzeczywiście nieznośnym, ale to kwestya czysto osobista, która nic wspólnego nie miała z jego rejencją. Za to karać nie mógł trybunał w żaden sposób nikogo, niechajby same strony nauczyły rejenta rozumu. Jednakże przytomnością swoją chociaż pomiędzy nieprzyjaciołmi, Bohusz uniknął jawnej zguby, którą mu gotowano. Znajdował się właśnie na sądach, kiedy wniesiono to ważne zażalenie na niego: było rano. Cięta sztuka, zaraz ex abrupto odpowiedział, że po południu osobiście przed sądem bronić się będzie z tych zarzutów. Gdyby nie tak przytomnie się znalazł, miał być zaraz pod straż wzięty i pociągany niby do tłumaczenia się: tłumaczenia tego albo by wcale nie słuchano, albo trybunał rozumiałby je jakby chciał, według stronniczego widzimisię, poczem zaraz ogłoszonoby dekret, a biedny Bohusz oczami nawetby nie mrugnął i zginął na wieki: przynajmniej spisek taki egzystował. Ale kiedy rejent odwołał się sam do ustnej obrony i termin do niej tak krótki wyznaczył, sędziowie oszukani wybiegiem, pokazali wszelką gotowość do wysłuchania prośby pacyenta, nibyto bezstronność tak im zrobić kazała. Otóż Bohusz pilnie wysiedziawszy ranne sądy wyszedł z nich po sessji i jak rak za morze, tak on świsnął do klasztoru. Patron tylko jakiś w jego imieniu oświadczył, że stawać nie może. Piękna to jeszcze była cecha ówczesnej cywilizacji narodu, cecha która się ostała nawet w pośród takich potęg stronniczych, a pewno płynęła prosto strugą z czasów Jagiellońskich, kiedy wiele jeszcze było cnoty u panów kierujących sprawą publiczną, że szanowano skromne ustronie, poświęcone Bogu i modlitwie; żadna więc siła nie śmiała przemocą przejść furty klasztornej żeby dostać Bohusza, nawet sam marszałek trybunalski, przed którego wolą korzyło się wszystko, nawet sam Fleming,

tylko co nawrócony katolik. Trybunał więc i pisarza i rejenta razem odsądził zaocznie «ab omni activitate in perpetuum,» to się znaczyło że odebrał im prawie szlachectwo, bo odtąd nic nie znaczyli w Rzplitej i do żadnych czynności więcej przypuszczonymi być nie mogli: nakazał tylko przysiądz Giecewiczowi dla lepszego dowodu i dla większej jawności tryumfu, podniecał swoich zauszników, że wydawali w Wilnie głosy radości, wesela i w niebogłosy wrzeszczeli i winszowali sobie, że raz przecie Litwa przez wyrok sprawiedliwy, uwolniła się od arbitralności Abramowiczów i Bohusza. Wyrok zaś zredagował pan Szukiewicz rejent trybunalski, człowiek bardzo wykrętny, na wszystkie nogi kuty, a sercem i duszą zaprzedany księciu kanclerzowi.

Ale nie tak łatwo było pokonać Bohusza, frant to był za wielki, a główka nielada. Tyle się pomysłów snuło po jego głowie jak po trybunale, i nigdy tak nisko nie upadł, żeby nie umiał sobie poradzić. Otóż jeżeli kanclerz pozbawił hetmana trzech przyjaciół, to jest strącając ich z wysokości na której stali, nie pozwolił im już działać na szlachtę wileńską, potrzeba było w odwet kanclerza pozbawić dzielnej jakiej opory. Bohusz więc cios wymierzyć postanowił na pana Sosnowskiego, który był wtenczas pisarzem wielkim litewskim i starostą brzeskim, a potem za panowania Poniatowskiego został hetmanem polnym i wojewodą smoleńskim, na tego samego, w którego córce kochał się potem nieszczęśliwie Kościuszko. Sosnowski człowiek rządny i rozumny, posiadał wielką dozę ambicji, i chciał wyjść na człowieka; w tym celu przywiązał się do Wołczyna, a sercem i radą służył zawsze w każdej okoliczności kanclerzowi. Książe cenił go wiele, dlatego, że jak powiedzieliśmy, Sosnowski był rozumny a takich ludzi trzeba było szukać w ówczesnej Polsce z latarką Dyogenesa. Otóż ten pisarz wielki litewski, wiele bardzo przyczynił się do utrzymania Fleminga przy lasce marszałkowskiej i mówiono, że nawet miał tajne polecenie od księcia kanclerza, w razie gdyby podskarbi postradał wszelką nadzieję, uderzyć w konfederacyi przeciw Radziwiłłom; w istocie wszystko do tego celu przygotowane było, a Sosnowski jako półkownik, zawczasu już na swoją stronę w obronie niby wolności usposabiał do konfederacji wojsko. Nie było wprawdzie na to jawnego dowodu, ale wszakże w owej chwili, nikomu o dowód, a wszystkim o pozór tylko chodziło. Dla

pozoru zginęli pisarz wileński z rejentem, dla czegóż nie miał zginąć dla pozoru Sosnowski? Dosyć, że za zdrową radą Bohusza, książe hetman, który jako hetman miał władzę nad Sosnowskim półkownikiem, a był gospodarzem i zwierzchnikiem naczelnym wojska, miał prawo powołać pana Sosnowskiego przed sądy swoje hetmańskie, że bez jego wiedzy i woli potajemnie buntował wojsko. Choćbyto w najlepszym zamiarze robił, zawsze krok jego był bezprawny, zawsze burzył wojsko przeciw hetmanowi, zawsze sama tajemnica go potępiała. Ani Radziwiłł ani Bohusz nie wierzyli na serjo, żeby się to czemś stanowczem skończyło, ale byłto zastaw jeden za drugi i gdyby do zgody panów przyszło mógł hetman kanclerzowi oddać Sosnowskiego za swoich dwóch przyjaciół.

Że wtenczas sejm zwyczajny nadchodził, wszystko co tylko żyło na Litwie, a cierpiało prześladowanie od księcia kanclerza, pobiegło do Warszawy płakać i żałować się przed królem. Cały więc pułk chudeuszów zleciał się nad Wisłę i wydawał głośne jęki: Bohusz na czele. Pomiarkował się Czartoryski, że zabrnął zbyt daleko, przedsięwziął stósowne kroki, żeby się zawczasu jako pogodzić z Litwą przed przyjazdem królewskim do Polski. Nie chciał dla powagi swojej i znaczenia, żeby się żałoby na niego aż przed tronem jednym chórem odzywały: wstyd fałszywy świecił kanclerzowi z czoła. Ale król zajęty wojną, bo mu właśnie Fryderyk Pruski wlazł do Saxonji, nie przyjechał na sejm; gdy więc zgoda nie doszła dla uporu stron obudwu, książęta, kanclerz i brat jego byli bardzo z wojny kontenci. Wtem chociaż po terminie król nadjechał. Bohusz znowu pobiegł do Warszawy i razem z innymi podał prośbę do pana, kiedy z sali pałacowej szedł wolnym krokiem ku kaplicy na nabożeństwo. Zyskali tyle, że król komissją wyznaczył, która ich pogodzić miała z kanclerzem a Litwę uspokoić. Bohusz przy tej okoliczności poznał się osobiście z panem marszałkiem nadwornym Mniszchem, który przez niechęć do Czartoryskich, szczerze przyjął jego stronę i wszystkich pokrzywdzonych. Po długich nareszcie sporach stanęła sprawiedliwość, ale kanclerz postawił jednak na swojem, bo ani Abramowicza ani Bohusza do dawnych urządów nie przypuścił. Pisarzowi miała się dostać kasztelanja brzeska, jakoż się w istocie niedługo potem mu dostała; co zaś do Bohusza, książe pozwalał, by przypuszczony został do używalności praw szlacheckich, to

jest ad activitatem, ale ani dał sobie mówić o rejencji ziemskiej wileńskiej. Tak robiąc ustępstwo dla króla, pozbywał się naraz dwóch strasznych nieprzyjaciół w Wilnie, bo Abramowicz na kasztelanji mógł mu szkodzić prywatnie u szlachty, a publicznie tylko w senacie, Bohusz zaś przez ugodę podobną zupełnie się i dobrowolnie usuwał ze stolicy litewskiej. Ale mało już wtenczas byłemu rejentowi o urząd ziemski chodziło, kiedy posiadł całą ufność księcia Radziwiłła. Byłaby właśnie epoka jego największego wpływu na tego pana. Silny dobrze obranem stanowiskiem naprzeciw nieprzyjaciela, mógł więcej mu teraz dokuczyć i szkodzić naraz całą potęgą Radziwiłłowskiego domu.

Z Warszawy gdzie bawił kawał jesieni i zimy dozierając sprawy, pan Bohusz prawie prosto pojechał do Nowogródka, gdzie zaczęła się druga kadencya trybunału Flemingowskiego. W Nowogródku miała podług układów warszawskich nastąpić stanowcza kombinacja pomiędzy stronami. Bohusz i tą razą stanął w klasztorze u Dominikanów dla większego bezpieczeństwa, bo nie dowierzał kanclerzowi, chociaż już zabezpieczony słowem królewskiem. Ale co to u księcia kanclerza? Nie zapominał urazy nigdy, a nie przebaczał nikomu; wszystkie sprężyny intryg trzymając w swojem ręku, mógł sprawę jeszcze rozognić, a kiedy się stare niechęci zacierały, za jego poręką mogły płomieniem buchnąć nowe. Dosyć było jakiej okazyi, którąby sami Czartoryszczyki, namówiwszy się między sobą, nieostrożnemu podali, a Bohusz byłby połknął wstyd i albo de noviter repertis, albo o coś zupełnie innego, zaskarżony przed trybunał. To też nie tracący nic ze swojej fantazji rejent, jak najrzadziej mógł wychodził na miasto z klasztoru, a jak się tylko ułatwił ze sprawami, co najprędzej wracał do swojego mieszkania; kiedy zaś przyszło mu odwiedzić Flemminga, jako marszałka, który miał o losie jego stanowić, wyprawiał się do niego jakby na ścięcie, jakby już śmierć nad głową jego wisiała. Tak mało wierzył tej malowanej zgodzie, która nastąpiła w Warszawie, że lękał się kroku jednego postawić. Mogli mu dać umyślnie okazją, potem zaraz jak dawni Polacy mawiali, stante pede uwięzić, wreszcie osądzić i bez ceremonii zdjąć głowę. Bohusz wziął tedy z sobą krucicę, bo na przypadek, gdyby go miano zamiar wziąć pod wartę, nie chciał ginąć sam jeden niewinnie ale i Flemminga śmierciąby poczęstował.

Niebezpieczna i to wielce gra była, bo wreszcie mogli mu ludzie marszałkowscy nie dawać żadnej okazji; a jednak gdyby się wydało nieszczęściem, że miał z sobą krucicę, zguba byłaby widoczna, bez ratunku: osoba marszałka była święta i nietykalna w czasie odbywającego się trybunału, dlatego kto nachodził zbrojno jego mieszkanie, był uważany przez prawo za gwałtownika, krucica byłaby jawnem świadectwem, i dowodem przeciw któremu żadneby perswazye w świecie nie pomogły; a wreszcie, gdyby przyszło do ostateczności, mógł Flemminga nie trafić a dworusy coby chcieli toby z nim zrobili. Poszedł przecie do marszałka, ale nad wszelkie spodziewanie, przyjął go Fleming grzecznie i łagodnie, obiecując sprawiedliwość. Skończyło się więc na próżnym przestrachu, ale miał też co za to Bohusz słuchać od Matuszewica. Obadwaj ci prześladowani przyjaciele, a może jeszcze nie zupełnie przyjaciele, bo pan Bohusz miał takich jak stolnik, za hetkę pętelkę, przeciwnej sobie byli natury. Matuszewic ciągle się modlił, płakał, ubolewał nad swojem nieszczęściem; Bohusz szedł na przekór losowi: chciał siłą, rozumem i odwagą przełamać wszystkie niebezpieczeństwa. Dlatego Matuszewic ze wszelką względnością aby go nie obrazić, perswadował Bohuszowi, że źle zrobił idąc z bronią do Fleminga, i że lepiejby daleko było, Bogu się powierzyć jak ślepemu azardowi i krucicy, a potem życie swoje i cudze wystawiać na niebezpieczeństwo. Ale Bohusz, acz pobożny człowiek jak ojcowie, myślał sobie pewno na te uwagi «a gadaj sobie wasze zdrów».

Pokazało się, że Bohusz przewidywał prawdę, kiedy mówił, że pomimo pozornej grzeczności Familji, sprawiedliwości dla prześladowanych nie dojdzie, bo obietnice warszawskie były nieszczere i dlatego rzucone na wiatr, by lepiej otumanić umysły a przeciąganiem sprawy nękać nieprzyjaciół. Jednocześnie kiedy się zaczynała kadencja nowogrodzka, odbywały się sejmiki gospodarskie, na których obierano deputatów do przyszłego trybunału; te sejmiki wszędzie prawie fakcja kanclerska pozrywała, był to więc dowód jasny jak słońce, że fakcja chce dalej utrzymywać nierząd, nie wyrzekając się swoich dawnych zamysłów przewodzenia w Rzplitej. «Ha! nie ma co robić, mówi Bohusz do Matuszewica, biegaj do Warszawy po pieniądze». A było już raz tak, że pan Durand poseł francuzki dał 2,000 dukatów Matuszewi-

cowi na popieranie stronnictwa republikańskiego w Litwie. Wśród ogólnego zepsucia, pieniądz był jedyną dźwignią, za pomocą której robiło się wszystko. Kanclerz płacił swoich deputatów, więc broniąc się, trzeba było innych sędziów płacić; a że Durand obiecał kiedyś jeszcze dać 2,000 dukatów, więc Bohusz kazał pisać do niego Matuszewicowi o pieniądze. Namyśliwszy się jednak, sam postanowił jechać do stolicy z listem, a pomoc księcia hetmana pozostawiał dopiero nakoniec, wtenczas, jeżeli już wszystkie środki ostrożności zawiodą. Myślał przy zdarzonej szczęśliwie sposobności, przestrzedz dwór o tem, że jego starania posejmowe bez nowego poparcia, pójdą w niwecz; myślał latać wszędzie od Brühla do Mniszcha, a nawet dostać się do samego króla, i jemu całą prawdę o prześladowaniu niewinnych obywateli przez kanclerza wypowiedzieć. Napróżno przekładał mu starościc stokliski, że nie ma się czego z tej strony spodziewać, bo Brühlowi o nic nie idzie, tylko o pieniądze. Kołatać do serca jego próżno inaczej, tylko pieniądzmi; więc jeżeli Familja go uprzedziła i zaskarbiła sobie wszechwładnego ministra grzeczności, słowo królewskie pójdzie za nic i nieszczęśliwi przepadną nic nie wskórawszy i dwór jeszcze cały na siebie obruszą. Nie przekonały te uwagi Bohusza, który zwycięztwo brał zwykle szturmem, zaufał więc i teraz swojej zręczności. Potrzeba tylko było oszukać podejrzliwość trybunału i wymknąć się mu z przed oczu niepostrzeżenie, zrobić te sto mil drogi do stolicy tak, żeby nikt tego nie uważał, powrócić jak gdyby nic i w czasie jak może być najkrótszym. Co postanowił, zaraz wykonał; bo u Bohusza jak słowo, tak i czyn były na zawołaniu. Była wielka niepogoda na świecie, a najgorsze drogi; mimo to otulony szubą, wyjechał pan Bohusz do Warszawy w zimowej nocy, nędznym wózeczkiem, a w najgłębszéj tajemnicy. Trybunał daleko już zaszedł w sądach, więc nie było chwili jednej do stracenia. Dniem i nocą pędził pan Bohusz po błotach i roztopach śnieżnych, nie pocztą jednak, żeby się nie wydało kto jedzie, ale wszędzie najętemi końmi, co mu także czasu wiele zmarudziło: najmował konie jakie gdzie dostał, od żydów i od chrześcian, a pędził, pędził strasznie. Jakoż czwartego dnia stanął w Warszawie. Wszakże i to była sztuka.

Znalazł łakomego Brühla wrogiem. Przecież i prosząc i wadząc się nieustannie na pokojach pańskich, wyrobił to u ministra,

że napisał list do Fleminga, w którym grzecznie Niemiec jeden drugiemu przypomiał obowiązek dotrzymania słowa danego królowi przy kombinacji warszawskiej, to jest żeby Abramowiczowie i Bohusz do urzędów swoich przywróceni byli. List ten dostał Bohusz zapieczętowany, ale nie tak łatwo było szczwanego lisa wyprowadzić w pole. Pocóż napróżno droga, myślał sobie, jeżeli ten list jest obojętny, toć też ni grzać ni ziębić będzie marszałka trybunalskiego i stanie się wtedy co się ma stać; więc bez ceremonji pan Bohusz list odpieczętował i znalazł w nim w istocie, «słabe obligacje.» Rozdąsany biegnie natychmiast do pana Mniszcha i do Brühla, i przed zięciem oskarża teścia, a dowodzi, a krzyczy, a prosi, żeby obadwaj dali do Fleminga listy mocniejsze. Szło czas jakiś oporem, bo jeżeli Mniszech miał w tem interes, żeby ugryźć księcia kanclerza, Brühlowi za to wszystko było jedno; czy ten czy drugi, aby zapłacił. Ale Bohusz tak dokuczał i tak dosiadywał placu panu ministrowi, że wreszcie musiał Brühl napisać inny list do Fleminga (ile że rejent trzymał już w zanadrzu gotową prośbę do króla, którą odgrażał się) i dał mu na ręce kopią tego listu dla wiadomości księcia hetmana Radziwiłła. Skończywszy to, poleciał Bohusz do Duranda, otrzymał zaraz owe 2,000 duk., i prędzej już napowrót, bo dlatego na żydowskich saniach, świsnął piorunem do Nowogródka. Ale trafiła kosa na kamień, książe kanclerz już przewąchał tę wyprawę Bohusza do Warszawy i odebrawszy o niej nawet pewne wiadomości, pchnął gońca do Fleminga ze stosownemi instrukcjami. Kilka dni tylko zostawało do limity; pan marszałek trybunalski wziął się na sposób, przewłóczył umyślnie sprawy, zagadywał deputatów, póty marudził, póty figlował, aż wreszcie nastąpiła prawem oznaczona limita. Wtedy już otwarcie trybunał pan podskarbi pożegnał, a sprawa Bohusza pozostała jak dotąd w zawieszeniu. Już tedy rok przeszło, jak był pozbawiony używania wszelkich praw szlachectwa.

Bohusz dla ukarania kanclerza za te odwłoki nowy i dowcipny sposób obmyślił. Pojechał zaraz do Nieświeża i tajemnie podał swój projekt księciu hetmanowi. Był w dobrach Radziwiłłowskich kommisarzem ekonomicznym niejaki Jasiński dobry i rozumny szlachcic, ale ubogi i bez wpływu. Otóż kiedy Pac deputat Radziwiłłowski i kandydat do laski, nie mógł się na

zeszłym trybunale przeciw Flemingowi, pomimo usilnych zabiegów utrzymać przy marszałkostwie i był prostym deputatem bez żadnej funkcji nawet podrzędnej; teraz wypada, prawił księciu, marszałkiem trybunalskim postanowić Jasińskiego, sługę Radziwiłłów: będzie to wet za wet, a im książe hetman niedorzeczniejszego, im mniej spodziewanego kandydata wykieruje do laski, tem większa się jego moc i wpływ ne Litwie wykaże a Wołczyn pęknie ze złości. Zawsze tak bywało, że przed mającym się reassumować trybunałem, stronnictwa swoich wysadzały kandydatów. Czartoryscy prowadzili tą razą przyjaciela swego Jodkę, ale kandydat Radziwiłłowski nie zjawiał się, bo książe hetman nie wiedział komu dać głos swój; teraz kiedy Bohusz Jasińskiego podsunął, zgodził się i zachował o tem największą tajemnicę, dla lepszego skutku. Z tem wszystkiem nasz rejent nie ufał hetmanowi. Książe był tak szczery, tak prosty i tak niewinny, że dałby się łatwo skusić i łatwoby od swojego postanowienia odstąpił, gdyby go tylko zażyć z mańki, a wreszcie gdyby uderzyć mu do serca, jak woskby stopniało przed gorącem. Bywało, że książe z urzędu zawsze zjeżdżał do Wilna dla reassumpcji trybunału; jako wojewoda zagajał sądy, jako hetman dawał deputatom assystencją, a sam swoją osobą świetność uroczystego obrzędu pomnażał. Gdyby i teraz pojechał, mogliby go nasiąść Czartoryscy, ubłagać dla siebie, przejednać dla Jodki i książeby na wszystko przyzwolił; ależ za tem szła zguba przyjaciół Radziwiłłowskich: książe chciał jej zapobiedz serdecznie, ale nie miał odwagi i nie wiedział jak ma sobie poradzić. Więc Bohusz widząc, że książe słucha, namówił go, żeby sam nie jechał do Wilna i żeby nawet księcia Karola nie posyłał; wszystko to niby dlatego było, żeby pokazać lepiej Czartoryskim Radziwiłłowską sztukę. Jeżeli książęta obadwaj nie pojadą, mówił Bohusz, żaden Radziwiłł więcej nie pojedzie do Wilna, bo nie będzie miał dla czego, wszakże i tak wszyscy ongi kolligaci nieświeżskiego domu tylko dla orszaku zawsze towarzyszyli hetmanowi na reassumpcją trybunału. Jeżeli zaś w ich nieobecności stanie marszałkiem Jasiński, znaczenie tej elekcji będzie dość wyraźne, a książe kanclerz przekona się wtedy, że Radziwiłłom dosyć wyrazić jedno życzenie, żeby temu życzeniu chórem zawtórowała szlachta litewska.

Stanęło więc na tem, żeby książe hetman nie jechał wcale, i żeby w zastępstwie swojem, niby pełnomocnika od siebie, wysłał pana Pocieja strażnika wielkiego litewskiego. Nadto kazał wyliczyć czterdzieści tysięcy złotych na utrzymanie przy lasce Jasińskiego. Bohusz naturalnie jako główny doradzca, pojechał także z Pociejem do Wilna.

Nasz statysta tak się odrazu zgrabnie wziął do rzeczy, a prowadził ją w tak wielkiej tajemnicy, że zwycięztwo Radziwiłłowskie najmniej spodziewane, nagle się objawiło w sali sądowéj. Kiedy deputaci po przysięgach weszli do izby dla elekcyi marszałka, wtedy pierwszy raz na wierzch wypłynęło imię Jasińskiego i większość, która go kierowała do laski o kilka kresek przeważyła mniejszość przeciwną. Obrany więc marszałkiem kommisarz księcia hetmana litewskiego, zaraz wszystkie urzędy trybunalskie porozdawał przyjaciołom Radziwiłłowskim.

Pierwszym krokiem bardzo naturalnie nowego trybunału było: skassować wyrok przeciw Abramowiczowi i Bohuszowi i wszystkich trzech do godności powrócić. Ale to stało się tylko dla honoru, bo dawny pisarz ziemski wileński miał już jakby w ręku kasztelanią brzeską i więcej pisarzem być nie mógł, a więc Bohusz uprzedzając przyjaciela na kilka dni jeszcze, nim tamten złożył urząd, sam się pospieszył i podziękował za rejencyą [1]), gdy książe hetman już poprzednio wyrobił mu miecznikostwo wileńskie. Został więc Bohusz miecznikiem, Abramowicz kasztelanem: Abramowicz zaraz wyjechał do Warszawy, złożyć przed królem przysięgę na senatorją. Bohusz zaś został w Wilnie pełnomocnym faworytem księcia hetmana. Patronowie trybunalscy, którzy pomagali Flemingowi w poprzednich robotach, pospuszczali nosy a najwięcej może z nich pan Jakowicki, który był wielkim szalbierzem i fabrykatorem a nie ostatnim konsyliarzem do zguby naszych trzech przyjaciół Radziwiłłowskich. Niecierpiano go w Litwie i nazywano djabłem kulawym. On to właśnie stawał przeciw nim za laski Fleminga.

Bohusz coraz więcej tonu i pretensyi przybierać zaczął; już nietylko wtenczas radził kiedy go się zapytywano o co, ale zawsze podnosił głos, proszony o to czy nieproszony. Już nietylko

[1]) Kurjer Polski nr. 22 r. 1757.

w sprawy przyjaciół Radziwiłłowskich, ale w sprawy familijne i majątkowe książąt zaczął się mięszać i chciał wszystko po swojemu urządzać. Starego hetmana już ani na krok nie opuszczał; hetman do Warszawy i Bohusz z nim do Warszawy, hetman w Nieświeżu i Bohusz wiecznie przy nim w Nieświeżu. Na sejmach, w odwiedzinach, w kościele, w trybunale, zawsze Bohusz hetmana głównym doradcą. Kiedy potrzeba było przywieść do skutku rozwód młodego księcia Karola Panie Kochanku ze starościanką bolimowską, któż jak Bohusz prędzej i lepiej urządzi te rzeczy? (Stary hetman nie chciał tego wprawdzie, ale rodzina starościanki wiecznie się rozwodu domagała). Więc zjechali obaj, powracając z sejmu warszawskiego do Białego Stoku, w którym mieszkał drugi hetman wuj rozwódki: Bohusz miał tu niby zwaśnione strony pogodzić, ale gdy się to nie udało, więc z Branickim układał się o summę, którą podług prawa miał książę hetman synowéj zapłacić. Dalej któż tak zgrabnie potrafił godzić księcia hetmana z księciem chorążym litewskim, jak Bohusz? Dwaj ci bracia przeciwnych charakterów, ciągle byli z sobą w niezgodzie, dla dziwnego charakteru młodszego brata, który zwykle przemieszkiwał w Biały, o pięć mil od Brześcia. Książę Hieronim, był to pan okrutny i dziwak, jak hetman zacny i poczciwy. Choć to w staropolskich domach, w których się cnoty narodowe przechowały, świętą była przewaga starszeństwa, tutaj na opak się działo: hetman ulegał często bratu jakby się lękał gniewu jego, który naturalnie dla niego w żadnym razie nie mógł być niebezpiecznym. Księciu Hieronimowi dosyć było jednego spojrzenia, żeby się obraził i dąsał, a często i tego nie potrzeba było: jedno przywidzenie wystarczało. Tak więc często dąsali się z niczego na siebie obadwaj bracia, a Bohusz zawsze się zdobywał na różne sposoby i zgodę pomiędzy nich sprowadzał. Tak było np. pod koniec r. 1758, w Warszawie: bracia przyjechali do stolicy na inwestyturę kurlandzką królewicza Karola, obadwaj szczerze do saskiego dworu przywiązani, pragnęli się nacieszyć osobiście tą familijną króla uroczystością; książę chorąży gotował już zaimprowizowane łowy pod Warszawą. Hetman jednak uprzedził brata i stanął w swoim pałacu w mieście. W samą wilią Nowego roku, nadjechał i chorąży litewski; ale że mu właśnie wtedy wypadło gniewać się jakoś za nic na

brata, nie pojechał do Warszawy, ale stanął w dworku hetmana Branickiego na Pradze. Przykro to było niezmiernie księciu hetmanowi. Ale cóż robić na to? Nie było żadnego sposobu. Ale z księciem chorążym przyjechał prześladowany dawniéj stolnik brzeski; żal i jemu było księcia hetmana, więc wyniósł się cichaczem do Warszawy, żeby się rozmówić z Bohuszem, a w duszy powiedział sobie: «on to pewnie pogodzi.» Bohusz na to jak na lato, ani jednej chwili się nie namyślał: projekt był u niego od razu gotowy. Nic nie mówiąc hetmanowi, pojechał na Pragę, nibyto z rozkazu swojego pana i zaprosił księcia chorążego do pałacu w Warszawie, a wróciwszy z Pragi, zaraz udał się do hetmana i zmyślił na prędce, że książe chorąży wprasza się do brata w gościnę, bo mu na Pradze stać niewygodnie: hetman rozczulił się z tego dowodu przyjaźni braterskiej i posłał co prędzej półkownika swego Domańskiego z zaprosinami. Tak chorąży przeniósł się do miasta i dwaj bracia ucałowali się z wielkim affektem, niczego się niedomyślając o koncepcie Bohusza.

To wszystko jeszcze mało: Bohusz nieraz więcej sobie pozwalał, jakby nie pozwolił sobie sam książę Radziwiłł. Potrafiła Familia pochlebstwem zjednać przychylność dla siebie niedaleko sięgającego rozumem księcia Hieronima. Za Hieronimem ku Czartoryskim jawnie się już przeważał marszałek wielki Ogiński, który jednak laskę swoję był winien hetmanowi: ale zato marszałek trzymał wielkie dobra słuckie za bezcen od księcia chorążego i jego piosnkę śpiewał. Wszystko już było tak zgrabnie nakręcone, że na trybunale przyszłym, jeden z Ogińskich zostanie marszałkiem, i że potem stanowcze zerwanie z księciem hetmanem nastąpi. Gdy te tajemnice przeczuł Bohusz, krew w nim zawrzała i nie wytrzymał ani chwili, a spotkawszy się z Ogińskim, tak śmiało i zuchwale w oczy mu niewdzięczność rzucił i zasypał gradem pocisków, że pan marszałek rad nie rad teraz zmilczał, ale potém stracił zupełnie serce do hetmana. Tą razą zbytnią gorliwością źle przysłużył się swojemu stronnictwu miecznik wileński, ale pan jego umiał cenić serce i pobudki swojego doradcy.

Mimo to jednak hetman poświęcał Bohusza przyjaźni kanclerza, który zaczął się wtedy serdecznie umizgać do Radziwiłła i prawić mu o swoich najlepszych chęciach i o swojej gorącej

miłości ku rzeczypospolitej. Obadwaj więc teraz książęta znosili się razem i stanowili trybunały na Litwie. Kanclerz wymawiał sobie pomiędzy innemi warunkami, żeby Bohusza książę hetman nie popierał do deputacyi; ale nad wszelkie spodziewanie obu panów, pan miecznik z obudwu zażartował i został obrany w Wilnie (w lutym 1760). Zaraz przeciw tej elekcyi złożył do grodu manifest pan Horain podkomorzy wileński, a zabity przyjaciel księcia kanclerza. Marszałkiem też został kasztelanic trocki Ogiński, wprawdzie partyzant dworu, ale też razem niepośledni druh Czartoryskich: wiele sejmików było pozrywanych.

Nie pilnował Bohusz tego trybunału, bo z hetmanem wyjechał na sejm do Warszawy. Z sejmu książę wracając wstąpił do brata do Biały, a był jakoś wtedy niekontent z Bohusza, bo pycha pana miecznika tak wzrastała i na kieł brała, że nawet z kościami dobry książę nie mógł wytrzymać. Zdarzyło się właśnie, że jakby umyślnie, jakby na złość, pojawił się w Biały za swemi i siostry interesami stolnik brzeski, który wielkie miał łaski u księcia Hieronima. Hetman łaskawszem okiem jak zwykle zaczął spoglądać na Matuszewicza, a może tylko tak się przywidziało Bohuszowi; dosyć, że pan Bohusz pękał ze złości i już przeczuwał może na wieki zgubę swoję, na czem miał skorzystać ktoś drugi. Zły humor jeszcze więcej się kwasił, kiedy książę zasiadł w Biały i obwołał swoje sądy wojskowe; więc zaciągało się na dłuższy pobyt hetmański w mieście, z którego rad był Bohusz ptakiem co prędzej wylecieć. Zaszła i na tych sądach okoliczność, która rozkrwawiła serce Bohuszowi. Przypadła sprawa pomiędzy Chodźką koniuszym księcia a Leblem porucznikiem janczarskim. Wszyscy głosowali za Chodźką, ale kiedy przyszło z kolei dać głos Matuszewicowi, książę choć nie wojskowego, przypuścił go jednak do turnu, tyle ufał jego prawości i sercu. Ów starościc stokliski niespodziewanie odezwał się przeciwko Chodźce, dowodząc, że nie miał Chodźko żadnego pozoru ani prawa, oficera stojącego na służbie gromić i łajać. Powiadano księciu, że oficerowie janczarscy ujmując się za swego kolegę, chcieli napaść potajemnie na Chodźkę i zbić go, a nie skarżyć się; to właśnie zgubiło sprawę, bo sędziowie zakrzyczeli w jeden głos, że to wyraźny bunt przeciw powadze hetmańskiej. Dlatego też książę odsądził Lebla od szarży, a Chodźkę skazał na 12 niedziel wieży

Bohusz starał się u księcia hetmana za przyjacielem swoim Chodźką, żeby go uwolnić zupełnie od kary, ale książe pochwalił zdanie Matuszewica i wyrok swój utrzymał w całości. Oto już i w ręku Bohusza jawny był dowód przewagi Matuszewica na umyśle książęcym.

Więc pierwszy raz w życiu spiskuje teraz przeciw hetmanowi i dobroczyńcy swemu pan miecznik, chcąc się pozbyć mniemanego wroga swojego. W Biały układano deputacją na przyszły trybunał i zjechało się ochotników siła; był między nimi pan Wereszczaka łowczy brzeski. Otóż Bohusz ni ztąd ni zowąd radzi Matuszewicowi, żeby się starał równie o deputacją, a wreszcie jawnie mu oświadczył, że książę hetman chce tego. Z drugiej strony namawiał księcia, żeby po Matuszewicu żądał także tego dowodu przyjaźni i żeby go poprostu deputatem naznaczył. Spodziewał się Bohusz, że tym sposobem łatwo dopnie celu. Klientowi wypadało koniecznie posłuchać woli pańskiej, a tutaj wielkie podobieństwo do prawdy było, że Matuszewic wymawiać się będzie dla bardzo wielu powodów i widoków, a wymawiać się było to jakby obrażać księcia, jakby tobie łaski jego nie cenić. Otóż naprzód Matuszewic mógł się opierać hetmanowi z tego powodu, że marszałek nadworny Mniszech już go chciał wykierować na posła, a razem być posłem i deputatem prawo nie pozwalało. Powtóre przyjmując deputacją Matuszewic, rozdrażniałby tylko napróżno księcia kanclerza i sprawę swoję w której mało nie zginął, rozdmuchiwałby na nowo: dla Familji więcej nie na rękę był Matuszewic w trybunale, jak na sejmie. Ale nad wszelkie spodziewanie Bohusza, stolnik nasz ustąpił i zrzekał się nawet poselstwa dla deputacji, tylko to sobie wymawiał, żeby nie był kandydatem w Brześciu, bo kanclerz nigdyby na to nie pozwolił, a jeżeliby pozwolił to chyba wtenczas, żeby kombinacya pomiędzy stronami nastąpiła i gdyby drugi kandydat z Brześcia był jego klientem a do tego przyszłym marszałkiem trybunału. Zawczasu więc przedstawił Matuszewic trudności, jakieby tę kandydaturę jego w Brześciu spotkały, bo znowu honorem było księcia hetmana nie pozwalać na marszałka Czartoryskim i on sam nie chciał służyć przez poczciwość swoję widokom obcego stronnictwa. Ale to właśnie podobało się Bohuszowi, którego uwagi i rozumowania stolnika nie przekonały: napierał się gwałtem, by Matuszewic zo-

stał deputatem z Brześcia. «Więc chcesz, by się na mnie sejmik brzeski zrywał? zapytał go stolnik: bez kombinacyi nie będzie sejmiku, a ja znowu nie chcę żeby się na mnie zrywało, to niepoczciwie.» A Bohusz na to; «książę tego chce.» «Chce, to dobrze» odparł Matuszewic.

Książę wyjechał z Biały do Wysokiego, gdzie mieszkał wojewoda połocki, pan Sapieha, za nim dwaj spółzawodnicy do deputacji. Tutaj zamiast zatrzymać w sekrecie przed Wereszczaką, że Matuszewic przeznaczony na kandydata do Brześcia, książę zdradził się. Tak Bohusz pośrednio przynajmniej dopiął celu, bo jeżeli nie naraził stolnika księciu, przynajmniej postawił go w nieprzyjemnych stosunkach do pana łowczego. Musiał się znowu naprzykrzać Matuszewic księciu o pewne łaski dla Wereszczaki.

To nic: Bohusz postanowił wysadzić koniecznie z łaski księcia, swojego urojonego nieprzyjaciela. Na sejmikach brzeskich już trzeba było ogromnej forsy, żeby się księciu kanclerzowi opierać. Otóż polityka Radziwiłłowska na ten punkt oddawna strzały swoje skierowała, żeby chociaż jednego przeprowadzać tam zawsze swojego kandydata. Był to jednak półśrodek; dla stanowczego ciosu, trzeba było wysadzić zupełnie kanclerskich w Brześciu i zniszczyć wpływ Fleminga w tem województwie, a trudno to było, bo pan podskarbi był czynny, żwawy i bogaty, a mieszkał w Terespolu, naprzeciw samego miasta w pałacu, rzeką tylko oddzielony od szlachty. Zresztą nie każdy z obywateli mógł się podjąć deputacji Radziwiłowskiej z Brześcia, wśród takich okoliczności. Stolnik Matuszewic jednak podjął się kierować tajemnie rzeczy ku temu celowi, a miał w istocie wiele wpływu pomiędzy bracią szlachtą; był też pełnomocnikiem hetmańskim w tych stronach, namawiał, odwiedzał, dowodził, przekonywał szlachtę. Na sejmiki następujące udało mu się namówić na deputacją kniazia Szujskiego. Zawiadomił o tem hetmana (w stycz. 1761). ale Bohusz żeby zgubić w łasce pańskiej stolnika, źle i opacznie całą tę sprawę przed księciem wyłożył: że zaś nie było co odpowiedzieć na list Matuszewica, uniżony a rozumny, więc zatrzymano umyślnego posłańca i po sejmiku dopiero pchnięto go z Nieświeża z powrotem. Przywiózł on stolnikowi list hetmana, krótki, obojętny, z którego widoczne były wstręt księcia a nienawiść do niego Bohusza.

Z powodu tych intryg żwawo się przemówili obaj przeciwnicy na sejmie następującym, na którym razem posłowali, Bohusz z Wilna a Matuszewic z Kowna (w kwietniu 1761). Kiedy na piątem posiedzeniu sejmowem szlachta z miejsc już ruszyła biorąc się ku wyjściu, stolnik brzeski jakby szukając zaczepki prosto poszedł ku Bohuszowi, który siedział obok Łopacińskiego posła mścisławskiego. Miecznik wileński pierwszy się zaperzył, zamiast co miał spokojnie czekać wyrzutów od stolnika, «musiałeś być WPan zły bardzo, prawił do niego, kiedyś jadąc do Warszawy list do mnie pisał, żaląc się na to, żeś był wystawiony na szable, że na tobie zrywał się sejmik brzeski.» A Matuszewic na to: «nie ze złości to było, ale z żalu.» I zaczął się rozwodzić obszerniej, kiedy mu dźwiękła raz struna sercowa; tłumaczył się że służył księciu hetmanowi wiernie, że nie żałował na to swojej fortunki, że wszystko łożył dla łaski pańskiej, a jednak książę hetman mu nie wierzy. Tak zdaleka zachodząc plwał stolnik w oczy Bohuszowi, że to jego sprawka, ale miecznik zuchwały korzystał zręcznie z okoliczności stosownie do swoich widoków: «kiedy WPan tracisz ochotę, zawołał z gniewem, to daj pokój; obejdziem się bez WPana.» A na to stolnik: «znowu już ja dawno widzę niechęć waszmości ku mnie a bez mojej winy i to coś mi teraz powiedział, toś ze złości powiedział, dajmyż sobie pokój: nie uciekam ja od księcia hetmana litewskiego, mego protektora, ale co do naszych osób, to się obaj obejdziemy bez siebie.» Wpadł miecznik w cholerę i byłoby przyszło może do gwałtowności jakowej, gdyby między zwaśnionych nie wdał się Łopaciński, Matuszewic wezwał go na świadectwo rozmowy, jeżeli tego będzie kiedy potrzeba przed księciem.

Wojna była wydana: obie strony jawnie przeciw sobie wprzódy spiskowały, teraz pozory wszelkie odrzucono, Bohusz podniósł głos jeszcze silniejszy przeciw stolnikowi, a książę nie wiedząc o rzeczy, słuchał go. Matuszewic więc postarał się o sprzymierzeńców, a łatwo mu było, bo któż na dworze nieświeżskim nie miał jakiego gniewu na dyktatora? Znalazł gorliwego pomocnika w panu Bernatowiczu, który był wielkim faworytem księcia, a mimo to solą w oku Bohuszowi. Bernatowicz z Ormian pochodził, więc go pan miecznik miał za ba i bardzo, znał go chłopcem, łżył go w oczy i za oczy. Znieśli się tedy obadwaj stolnik

brzeski z ulubieńcem książęcym i razem odtąd buty szyją Bohuszowi. W miesiąc po rozerwanym sejmie, Matuszewic pognał z Bernatowiczem za księciem (w czerw. 1761), ale go nie zastali już w Kiwaczycach, gdzie go znaleźć się spodziewali; pojechali dalej, a w drodze uczył stolnik Bernatowicza co ma powiedzieć księciu, jak go zobaczy. Rozpowiedział jak Bohusz oczerniał go przed hetmanem, jak on wszystko łożył, żeby na sejmiku brzeskim, utrzymać kandydatów księcia, jak Bohusz spiknął się z Kropińskim [1]) przyjacielem od serca, na jego zgubę, jak zawiedli sejmik brzeski i stronnictwo Radziwiłłowskie, aby się tylko na nim pomścić, jak koniecznie mu potrzeba było menażować Fleminga dla pomyślnego skutku i jak on właśnie menażował podskarbiego. Bohusz korzystając z okoliczności, udał to przed księciem za zdradę. Dalej prawił jak go Bohusz znieważył w izbie poselskiej i powołał się na świadectwo Łopacińskiego. Na zakończenie że Matuszewic był poetą i wcale nie złym poetą, wręczył Bernatowiczowi jednę odę przetłumaczoną z Horacyusza (IV. 8) a zastosowaną do księcia i dał mu list od siebie. Dobrze się sprawił i ostrożnie Bernatowicz. Nastąpiła tedy tragedya. Jużeśmy powiedzieli, że Bohusz tracił łaskę, teraz upadł ciężko przez zbytnią swoję zuchwałość. Trzeba było jednego jeszcze ciosu, a cedr podcięty, zwaliłby się z łoskotem na ziemię.

Ułagodził się trochę Bohusz i rozejm tymczasowy zawarty z wrogami.

Pokazało się jednak niedługo, że pan miecznik ciągle potrzebny na polu walki trybunalskiej. Na łeb, na szyję przegrali Radziwiłłowie z kolei na sejmikach, a Massalski syn hetmański, duchem Czartoryszczyk, otrzymał laskę marszałkowską na reassumpcji wileńskiej. Bohusz tą razą mizerną wypłatał sztuczkę swoim politycznym przeciwnikom: namawiać było trudno starszych i rozumniejszych deputatów, więc się uwziął na biednego Kurzenieckiego, który wybrany był z Pińska i chciał go zrobić koniecznie przyjacielem Radziwiłłowskim, chociaż w duszy był chorążyc piński Czartoryszczykiem. Mizerna to zdobycz i mały zaszczyt z tępego robić rozumnym. Otóż nie wiemy co zaprawdę przyszło do głowy panu Bohuszowi, co za rachuby w tem były, ale do-

(1) Ojcem generała autora Ludgardy.

syć, że nasiadł żwawo na Kurzenieckiego, a miał w rękach swoich protestacją przeciw jego wyborowi książe Panie Kochanku. Więc straszyć wygodnie było. Bohusz chcąc chorążyca dobrodziejstwem zobowiązać, wrócił mu tę protestacją, aby tylko zmienił przyjaźń swoją ku kanclerzowi. Przyrzekł to dla utrzymania się przy funkcji nasz deputat, ale Bohusz dla większego dowodu wziął od niego zaręczenie pod kpem i szelmą. Chcąc go jeszcze więcej zobowiązać wrócił mu i tę ostatnią kartę i na kilka par sukien kazał mu wziąć kosztem księcia Karola. I tutaj znowu spotkali się dwaj spółzawodnicy, Bohusz z Matuszewicem. Stolnik brzeski także był na tym trybunale deputatem, a Radziwiłłowie wykierowali go na marszałka duchownego. Miecznik wileński pochwalił się Kurzenieckim przed Matuszewicem. Nie zdało się to panu Marcinowi i dlatego odparł krótko: «jeżeli nie znasz charakteru owego Kurzenieckiego, to się na nim zawiedziesz, bo takie łaski tylko poczciwych i dobrych jednają, ale nie przewrotnych i głupich; a kto się pod kpem i szelmą opisuje, ten pewnie jest już albo podły albo gałgan.» Zgadł pan Marcin, a przyszłość dopiero wykazała, że miał po sobie szłuszność, chociaż Bohusz straszliwie się gniewał na niego, że nie podziwiał genjalnego sposobu, na jaki się zdobył.

Kiedy więc niewiele było pociechy z Kurzenieckiego, a przyjaciół Radziwiłłowskich koniecznie wspierać należało, Matuszewic wystąpił ze swojemi radami: «marszałek, mówił do Bohusza, jest zawzięty i złośliwy, więc ciągle będą do niego latały rozkazy od księcia kanclerza, ażeby ucisnąć naszych: trzeba nie żałować dukatów i przekupić jakiegokolwiek z ajentów kanclerskich, żeby nam tajemnie donosił o ich sprawach i zamiarach.» Ale Bohusz w odwet Matuszewicowi śmiechem zbywał te praktyczne rady. Nadto jakby mu na złość, zaraz po reassumpcji odjechał książe Karol z Wilna do Nieświeża razem z Bohuszem, opiece boskiej polecając losy przyjaciół swoich na tym trybunale. Osobliwie stracił na tej obojętności księcia wiele Matuszewic, którego uważano za głowę partji Radziwiłłowskiej; ale Bohusz nie mógł zapomnieć stolnikowi dawnych niechęci i mścił się po swojemu. Spotykały też Matuszewica liczne affronta i zmartwienia, zastawiano często na niego sidła. Chciano go w złą jaką sprawę koniecznie uwikłać, żeby łatwiej potem zgubić. Marszałek nie kazał mu dawać ani warty ani szyldwacha przy mieszkaniu: nawet w dzień,

w którym rozpoczynał sądy compositi judicii, Massalski zakazał surowo żołnierzom aby mu werbla nie bili na powitanie, więc biedny Matuszewic unikając jawnej szykany innemi drzwiami wchodził na sądy, nie temi przy których stała warta. Potem Massalski dotykał go w sprawie czysto osobistej, majątkowej; aktoraty siostry jego Ruszczycowej z rozkazu marszałka deputat Hutorowicz poniżył, żeby nie były wołane podług prawa. Dosyć biedy skupiało się zawsze na tę stronę, której się chwycił Matuszewic: sprawa ta na pewne była zgubiona. Ale politykować umiał wybornie pan stolnik brzeski, znosił to wszystko pokornie i owszem coraz grzeczniejszy bywał dla marszałka i biskupa wileńskiego, który znajdował się ciągle na sądach dla dorady bratu. Tym dumnym panom wcale nie na rękę była ta pokora i te niziuchne ukłony: szukali ciągle najmniejszej sposobności, żeby Matuszewica postawić w kollizji jakiej z marszałkiem, a wtedy mając deputatów po sobie, łatwoby go odsądzili od laski duchownej. Położenie więc Matuszewica fatalne było; nie mógł nic zrobić, a z całej partji Radziwiłłowskiej na trybunale, pozostali tylko biskup żmudzki i kasztelan brzeski dla swoich spraw, dlatego żadnej pomocy nieść mu nie potrafili.

Niedługo powrócił Bohusz do Wilna, ale już tą razą z księciem hetmanem. Zacny ten pan chciał przytomnością swoją uświetnić wjazd na stolicę biskupią wileńską kniazia Massalskiego, chociaż politycznego swojego przeciwnika, tak był daleki od zawziętości i dumy. Ale rozniemógł się i niebezpiecznie zachorował tak, że co godzina prawie stan jego się pogorszał. Nie było czasu do stracenia. Bohusz posłał czemprędzej gońca po księcia Karola, żeby przybywał, jeżeli chce ojca widzieć jeszcze przy życiu. Nie doczekał się miecznik upragnionego przybycia młodego pana, a kiedy stary hetman zawarł powieki, wziąwszy z sobą Abramowicza podwojewodzego wileńskiego piorunem pospieszył przeciw księciu, mając w tem swoje wyrachowanie. Spotkali wojewodzica w Sobotnikach, wiosce, którą zastawą trzymał u zmarłego księcia podwojewodzy. Na pierwszą wiadomość o śmierci ojca udzieloną przez Bohusza, młody książe strasznie płakać zaczął; dał folgę pierwszej boleści miecznik wileński, ale po chwili, na alteracją poradził wina. Młodemu Radziwiłłowi nie trzeba było długo o tem mówić: wychowanie zbyt wolne, przykłady zbyt częste, które wi-

dział, już go oswoiły z biesiadą szlachecką. Łyknął tedy z przyjaciołmi jedną, drugą i trzecią szklankę. Kiedy do szczętu nowego pana swojego Bohusz upoił, wyjął z kieszeni pewne pismo, na którem zliczone stały wszystkie zaległości i pensje, do jakich miał prawo w skarbie książęcym i pokazał je wojewodzicowi. Brakowało coś niewiele do okrągłej liczby, Bohusz więc sobie dodał tę liczbę tak, że cała zaległość wynosiła 60,000 złotych polskich. Pretensja była jasna jak słońce, ile że przez samego hetmana podpisana: książe stary, był cokolwiek za skąpy i wolał dawać takie zapisy i obligacje jak gotówkę. Miecznik wileński upraszał teraz syna o wypłatę ojcowskiego długu. «Co chcesz za to?» pytał się książe. Bohusz mu podał swoje żądanie i otrzymał w zastawę na dożywocie miasteczko Dubinki, to samo, w którem kiedyś mieszkała królowa Barbara udając wdowę, nim zjechała do Krakowa. Z Dubinek miał Bohusz co rok 30,000 złp., zatem w dwa lata wybrałby już swój kapitał, do którego sam Pan Bóg wié jak przyszedł, a tutaj dochód z zastawnych dóbr był tylko procenten od kapitału; po najdłuższém życiu Bohusza, spadkobiercy jego mieliby prawo jeszcze do 60,000 złp. Żeby zaś nie dla siebie tylko coś zrobił i za samoluba nie uchodził, Bohusz podał księciu do podpisu drugie pismo dla podwojewodzego na dożywocie Sobotnik. Bez namysłu książe podpisał i jedno i drugie. Tak Radziwiłłowie płacili hojnie szlachcie za przywiązanie do siebie, i dziwić się tutaj, że szlachta za nimi szalała.

Po tem we trzech: książe, Bohusz i podwojewodzy pospieszyli do Wilna na exportę księcia hetmana.

Nowy pan na Nieświeżu, był daleko rezolutniejszy jak ojciec; ojciec ciągle się obawiał wojny domowej, a nawet chętnie ustępował nieprzyjaciołom swoim, i nikomu wogóle narazić się nie chciał: w księciu Karolu młodsza krew wrzała. Śmiertelnie nienawidził Massalskich, którzy go za nic nie mieli; a na wspomnienie księcia kanclerza cały aż się wstrząsał. Gdyby ten człowiek miał wychowaniem wykształcony rozum, jak miał serce wylane i poświęcone dla szlachty i dla Rzplitej, przy dostatkach swoich i wpływie, łatwoby strzaskał dumę Czartoryskich, ale był w nim tylko instynkt i wrodzona, nieprzebłagana nienawiść ku wrogom swoim. Bohusz wyłącznie nim wtedy kierował, ale mało mógł zrobić z człowiekiem, który miał tysiące zgubnych nałogów.

Zresztą w całej energji, jaką rozwijał książe wśród zapasów, widać jawnie było rękę i rozum Bohusza. Z drugiej strony miecznik wileński wiele zyskał na śmierci księcia hetmana: ze starym panem trzeba było postępować sobie ostrożnie jak z ogniem, żeby go nie obrazić, ale z księciem Karolem rzecz inna. Młody książe inaczej patrzał na Bohusza jak ojciec: mniej doświadczony i zostawiony sam jeden sobie, patrzał na niego jako na człowieka, bez którego pomocy obejść się nie mógł. Jeżeli u ojca miał Bohusz łaski i zachowanie, syna całego miał pod swojemi rozkazami. Trzymał też księcia surowo, nieraz wolę mu swoją narzucał i być musiało jak chciał ongi Bohusz.

Tak i teraz po śmierci ojca objąwszy kierunek Radziwiłłowskiej polityki w Litwie, wziął się energicznie książe Karol do obrony swoich przyjaciół. Pobiegł prosto do Warszawy po exportacji ciała, bo mu szło o jaki urząd, o jeden chociażby najmniejszy wakans senatorski, któryby się skutkiem śmierci hetmańskiej otworzył. Luboć to Radziwiłł zawsze był Radziwiłłem, jednakże zawsze co wojewoda, co senator, to nie prosty szlachcic: jeżeli lat nie miał dojrzałych i siwych włosów książę, krzesło samo jużby mu dodawało powagi i znaczenia politycznego w kraju. Ale wyjechawszy do Warszawy zostawił Bohusza w Wilnie z najsilniejszemi poleceniami, żeby spraw przyjaciół Radziwiłłowskich bronił i upaść im w żaden sposób nie pozwalał. Zwijał się też miecznik dobrze i obchodził często deputatów, zwłaszcza po jednym liście, który nadszedł do Massalskich z Wołczyna. Był wtenczas w wielkich opałach pan Zabiełło łowczy wielki litewski, dziedzic Czerwonego dworu pod Kownem, na którym chciał się zemścić książe kanclerz, za niedawne urazy i przeniewierstwo swojej chorągwi. Bohusz bronił go słowami perorując do deputatów, ale Matuszewic ile że z Zabiełłą spokrewniony, bronił go czynami i zabiegami przed trybunałem. Spostrzegł raz Massalski Bohusza kiedy z koła już wychodził i jakto gorący i zacięty przeciw Radziwiłłom, żwawo go z furją wielką okrzyknął, że sieje pewnie praktyki pomiędzy deputatami. Wpadł Bohusz w ogromny ferwor, ale się spostrzegł zaraz; więc ani jednem słowem nie obraziwszy marszałka, zaraz wyszedł z izby sądowej. Nie tego się chciało panu Massalskiemu, ile że postanowił już raz skończyć z miecznikiem wileńskim, i wziął przed się stosowne ku temu spo-

soby. Było to rano i pan marszałek pobiegł zaraz do brata biskupa i obaj potem polecieli zaraz do Pioromontu, gdzie była główna stacja tajemnej konfederacji ich stronnictwa. Ściągnęli tam przebiegłych a bez sumienia dwóch mecenasów wileńskich, Szukiewicza i Przyjałgowskiego, którzy pomiędzy nimi rej wodzili, doradzając różne sposoby i nasuwając gęsto potrzebne prawnicze wybiegi dla panów i opiekunów swoich. Tam np. u Piory odbywało się w czasie obiadu pierwsze posiedzenie starszyzny konfederackiej, a po obiedzie drugie, na które wezwani zostali celniejsi z deputatów wołczyńskich: stanęło tam za wspólném porozumieniem się prawo, że gdy Bohusz przyjedzie na sądy po południu, Ejdziatowicz deputat smoleński da mu okazją, ale tak, żeby Bohusz koniecznie zwadził się z nim słowem albo uczynkiem, np. żeby go potrącił, odepchnął, zelżył. Marszałek krzyknie na to: horendum! że zgwałcony jest majestat najjaśniejszej Rzplitej, że szlachcic śmie deputata w izbie sądowej wobec całego koła poniewierać, kiedy osoba jego święta i nietykalna, każe go więc natychmiast imać, oddać pod wartę i stante pede sądzić na gardło. Nic więcej, byłto tylko spisek na drugi akt tragedji już raz niedawno odegranej z Wołodkowiczem ulubieńcem księcia Karola. Za jednym zamachem dałoby się zaraz po exekucji Bohusza zgubić i Zabiełłę, o co głównie starszyźnie tajnej konfederacji chodziło.

Takiemi sposobami myśleli Massalscy pozbywać się swoich politycznych nieprzyjaciół.

Bóg czuwał nad biednym Bohuszem. Ściągając tylu świadków do Pioromontu, naradzając się tak jawnie Massalscy, niechcący roztrzęśli po mieście wieść o spisku, a raczej nie tyle się strzegli swojej służby, ileby wypadało w ich położeniu. Pewien dworzanin biskupa wileńskiego a krewny Bohusza, dowiedział sie o tajemnicy; pobiegł więc zaraz do Sawaniewskiego rejenta, z którym wiedział, że Bohusz żył w przyjaźni. Sam obawiał się przestrzedz swojego krewniaka o grożącem mu niebezpieczeństwie, wolał to zrobić przez trzecią osobę. Jak na nieszczęście, Sawaniewskiego nie było w domu, znajdował się na sądach; dworzanin zatem pobiegł do Matuszewica. Stolnik brzeski wiedział, że Bohusz znajduje się u podwojewodzego Abramowicza, ale także się obawiał szukać go, więc zaraz pojechał na sądy i do ucha szepnął Sawanie-

wskiemu, żeby się udał natychmiast do Abramowicza, a jeżeli tam nie znajdzie Bohusza, żeby go szukał po całem mieście i nic nie mówiąc dlaczego, poradził mu niby od siebie po przyjacielsku, nie przychodzić na sądy i zaraz wyjechać z Wilna. Matuszewic widać się lękał, żeby gdy spisek z Ejdziatowiczem nie powiedzie się, nie szukano innego kruczka dla dopięcia celu. Jak na szczęście nie trzeba było już tych zachodów, bo miecznik wileński tylko co za księciem Karolem pobiegł do Warszawy, żeby mu co pomódz w zabiegach o krzesło.

Stolnik brzeski zaraz pierwszą pocztą napisał do Warszawy do Zboińskich, starosty kowalskiego i jego brata, którzy wtenczas wiele znaczyli i wpływać mogli na sprawy publiczne przez to, że byli ulubieńcami marszałka Mniszcha. Donosił obszernie o tych nędznych wybiegach marszałka względem Bohusza i Zabiełły, ale do samego miecznika ani słówka o niczem nie dał znać, bo łatwo nie przez złe serce, ale przez gorączkę mógłby się Bohusz z temi rzeczami wymówić publicznie i tem samem narazić jego położenie i tak nieszczególne w trybunale. Ale podwojewodzy wileński, który także był w Warszawie, wiedział o wszystkiem, i wziąwszy parol od Bohusza na tajemnicę przynajmniej do czasu, objaśnił mu cały spisek, jaki był na jego głowę uknuty. A musiał to zrobić, bo zdarzyło się właśnie, że tegoż samego dnia, obadwaj, podwojewodzy i miecznik, zaproszeni byli na obiad do Zboińskiego starosty nowskiego; starosta kowalski, który także był u brata, podochociwszy sobie zaczął żartować z karku Bohusza, że mocny i gruby. Bohusz nie w ciemię bity, odrazu się domyślił o czem rzecz, a więc po obiedzie bierze na bok starostę kowalskiego, i prosi, że mu objaśnił zagadkę o karku, i co to jest i zkąd wie o tem? Zboiński przyznał się wtedy, a Bohusz za to z góry na starostę, że szlachta litewska wierna dworowi jest w ucisku, a król i ministrowie popierać jej nie chcą. Gadał mu wiele innych jeszcze rzeczy, a podwojewodzy rad nie rad musiał mu potem o szczegółach rozpowiadać.

Wtenczas to dopiéro zrozumiał miecznik wileński jak dobra była rada Matuszewica, żeby się postarał o jakiego szpiega pomiędzy deputatami trybunalskimi. Wprawdzie tą razą obeszło się bez katastrofy za widocznem zrządzeniem Bożem, ale gdyby nie to zrządzenie, życie Bohusza wisiało na włosku; jeden przy-

padek go zbawił, ten przypadek, że dworzanin biskupa dowiedział się o spisku.

Teraz pan miecznik zapalił się chęcią zemsty. Dotąd mu chodziło o stronnictwo, o swobody Rzplitej: teraz już osobiście był zadraśnięty. Jakże nie rzucić się z zapałem do walki na śmierć, na życie z ludźmi, którzy już zgubę mu stanowczą przygotowali? Jak nie dać im poczuć ciężaru swojego ramienia? Całą energją Bohusz w to pchnął, żeby książe Karol pokazał się stanowczo i dzielnie Czartoryskim na przyszłym październikowym sejmie. Gdy zaś książęta nie chcieli osieroconego hetmanowicza dopuścić do krzesła, trzeba więc było je zdobyć.

Jeszcze nigdy tak ostro nie stanęły naprzeciw siebie stronnictwa, jak na tym sejmie następującym. Książe Karol prosił o byle jaki wakans, nie marzył ani o województwie wileńskiem, ani o buławie, ale dwór rozdał tylko starostwa hetmańskie, a z rozdaniem urzędów jego zwłóczył, bo się namyślał. Dla obudwu stronnictw ważna była okoliczność za kim się dwór oświadczy: jeżeli za stronnictwem kanclerskiem, nowa twierdza na Litwie zdobyta; jeżeli za Radziwiłłowskiem, to dwór chce wojny. Czartoryscy chcieli przemocą wyrwać te nominacje dla siebie, a to może więcej ich sprawę zgubiło, jak natrętne prośby młodego Radziwiłła. Otóż sejm przedstawiał formalnie plac bojowy: codzień na sessje stronnictwa zjeżdżały się zbrojno, codzień walka mogła nastąpić; wszystko było w oczekiwaniu. Książe Karol nie przywykł do takiej cierpliwości. Wprawdzie w Warszawie obecność króla, majestat sejmu wstrzymywały w nim krew gorącą; ale kiedy partja kanclerska chciała się gwałtu dopuścić na Brühlu, i miecze już z pochew błysły, Radziwiłł był tem samem upoważniony do jakiego wyskoku. Ale Bohusz umiał czekać, i on tę sprawę poprowadził sam jeden; był jakby w ręku już przywilej dla księcia na województwo wileńskie, po co dobrowolnie go dać sobie wydzierać? Na młodego księcia wiele złych rzeczy gadano, że zaprędki i gwałtowny, po co gwałtem jakim i w Warszawie pod bokiem sejmu wieściom tym dawać zatwierdzenie? a możeby się król obejrzał i umknął wtedy łaski, gdyby miał dowód gwałtowności? a choćby nawet i dał sią przebłagać i wojewodą księcia zrobił, poco stać się winnym obrazy Rzplitej, przez walki na sejmie? po co rozrywać jedność narodową? Byłby to zły przykład, plama

w oczach szlachty. Dotąd Czartoryscy rwali sejmy: poco ma je rwać książe Radziwiłł.

Tak myślał Bohusz i stosownie do tego działał. Żywy i energiczny, umiał wśród ciężkich okoliczności panować nad sobą. Tą razą był zimny, obojętny, spokojny jak głaz, przytomny jak zwierzę czychające na zdobycz. Rozrządał więc siłami Radziwiłłowskiemi, dawał hasło zbrojnym, którzy otaczali księcia, udzielał instrukcje sprzymierzonym posłom, co i jak mają robić; jeden stanowił ostatecznie i wyłącznie w przybocznej radzie książęcej. Polityką Bohusza było: wytrzymać dopóki można; nie dawać zaczepki, nie narażać się na nią, unikać słów i spojrzeń, a milczeć czekać, niechby się tamci zrywali do szabli. Kiedy więc Bohusz milczał, wszystko milczało; książe Karol jako poseł inflancki zasiadał sam na końcu izby i milczał: do niego lecieli z prośbami o pomoc, to stary minister Brühl, to marszałek nadworny Mniszech słali posyłki i listy; książe zawsze przyjeżdżał świtą otoczony do zamku, zbrojnych rozstawił i milczał. Przy Bohuszu co wszystkich dziwiło, kręcili się: Ogonowski obożny wileński i Wyssogierd, posłowie litewscy, obadwaj też świeżo przeszli na stronę Radziwiłłowską. Ogonowskiego ogromnie dawniej Bohusz nienawidził, a teraz w szczególnem miał go respekcie; mówiono też że 2,000 pensyi rocznej pan obożny otrzymał od księcia: Bohusz więc silny był na swem stanowisku i milczał. Wiedział dobrze, że wyjdzie na swoje, bo Radziwił miał siłę w Warszawie, a Czartoryscy jej nie mieli; dobrze wiedział, że pierwej oni nie zaczepią, więc wygrana była najpewniejsza [1])

W istocie jednego dnia przywilej dla księcia na województwo podpisany został, drugiego rad nierad kanclerz litewski pieczęć do niego przyłożył i zaraz z tryumfem Bohusz przywilej przyniósł Radziwiłłowi (8 października 1762).

Tryumf księcia Karola sadzał znowu Bohusza pomiędzy urzędników wileńskich, mających władzę, z grona których poprzednio był wyparty przez kanclerza, albowiem wojewoda wileński był razem starostą stołecznego grodu Litwy, a jako starosta dobierał sobie jakich chciał pomocników władzy, to jest ustanawiał

---

(1) Najdokładniejszy tego wszystkiego opis w Malinowskiego „Źródłach do dziejów polskich“ tom 2gi.

gród. Każdy gród, a byłto zwyczaj Korony i Litwy, trwał póty, póki żył starosta: z nastaniem nowego starosty, nowy następował wybrany według woli jego. Tak więc i książę Karol mógł zmienić do szczętu gród wileński, w którym dla Bohusza znalazłoby się miejsce. Ale trzeba było czekać na uroczysty wjazd księcia do Wilna. Do tej chwili książę Karol, który już przestał być miecznikiem litewskim, nie był jeszcze wojewodą.

Otóż pierwiastkowo wtedy książę przeznaczał swojemu doradcy pisarstwo grodzkie: Bohusz już występował jako pisarz grodzki, lubo bez władzy. Ale pan Bohusz patrzał na coś dostojniejszego, chciał zostać podwojewodzym wileńskim na miejscu Abramowicza. Podwojewodzy na Litwie był tem, czem podstarosta w Koronie: pan, który gród jaki otrzymał, zwykle nie sądził i brał urząd tylko dla zaszczytu, więc z ramienia swojego instalując gród przy wjeździe na starostwo, zostawiał zaraz na swojem miejscu podstarościego, który zasiadał na sądach i wyrokował w jego imieniu. Podstarości więc był najpierwszą osobą w grodzie, jakby to dziś powiedzieć, prezesem sądowym. Na Litwie też same obowiązki pełnił podwojewodzy w mieście wojewódzkiem, bo zwyczajem litewskim było, lubo nie wszędzie i zupełnie inaczej niż w Koronie, że wojewoda był zaraz i starostą grodu swojego. Jeżeli tedy Bohusz miał zostać podwojewodzym, potrzeba było czem wynagrodzić Abramowicza, książę Karol nigdyby nie śmiał tak bez niczego puścić swojego przyjaciela. Bohusz więc prosił księcia o starostwo starodubowskie dla Abramowicza. Książę obiecał wprawdzie pisać już o to starostwo dla szwagra swojego Stanisława Brzostowskiego. Starał się też o nie i Matuszewic, ale mu odmówiono. Niczego nie mógł przecież odmówić wtedy wojewoda wileński Bohuszowi i zmienił listy swoje do Warszawy. Do Staroduba miał się przesiąść Abramowicz, z czego był kontent, bo tam byłby jak wojewoda jaki i sam gród od siebie fundował, a na jego miejscu podwojewodzym miał zostać Bohusz, który zaraz pisarstwa ustąpił panu Górskiemu.

Książę Panie Kochanku z miecznikiem wileńskim bardzo wtenczas pracowali nad ufundowaniem przyszłego Trybunału, który miał być ściśle i wyłącznie Radziwiłłowskim. Książę wjazd swój do Wilna odłożył do kilku miesięcy, miał z urzędu znajdować się na reassumpcyi trybunału, zatem przy jednym ogniu

chciał upiec dwie pieczenie: odbyć wjazd i reassumować Trybunał. Postawa księcia była znowu milcząca i zapowiadała energię. Bohusz miał być deputatem z Kowna, Radziwiłł miał marszałkować, a on właściwie ster sądów utrzymywać i kierować niemi jako vice-marszałek. Kowno zaś sobie dlatego obrał, że to był jedyny punkt w Litwie, w którym nigdy nie przepadały sejmiki, więc raz była tam pewność utrzymania się na deputacji, drugi raz z tego powiatu byli zwykle marszałkowie i vice-marszałkowie trybunalscy. Otóż Bohusz pojechał z Janem Łopacińskim na sejmik do Kowna: przeciw Łopacińskiemu nie było wielkich trudności, ale na Bohusza powstał wielki klamantes. Nasadził na niego wrogów pan Chełkowski stolnik kowieński a partyzant Czartoryskich; nie śmiejąc sam dlatego pokazać się na sejmiku, żeby się intryga nie wydała i żeby potem nie odpokutował za to, podmówił Skorulskiego pisarzewicza grodzkiego kowieńskiego, żeby nie przyzwalał na Bohusza na żaden żywy sposób. Sam jednak Chełkowski grzeczny był, uniżony, i kłaniał się uprzejmie, bo się obawiał marszałka powiatowego Zabiełły, wuja swojej żony, który mógł mu w porze wyrzucić owe 4,000 złp. wzięte od stolnika brzeskiego na zeszłym sejmiku, za niesprawiedliwe pretensje jakie rościł. Ale Zabiełło uprzedzając veto szlacheckie, w wilią sejmików zaprosił do Czerwonego Dworu Skorulskiego i przekonał go brzęczącym sposobem, bo obiecał 4,000, złp. od Bohusza po elekcji: Skorulski więc odstąpił, Chełkowski zachorował ze zmartwienia i nie pokazał się wcale na sejmiku, a Łopaciński i Bohusz stanęli jednomyślnością deputatami.

Zatem wjazd na województwo odbył się na wiosnę, na którym Panie Kochanku ufundował gród i Bohusza zrobił podwojewodzym (14 kwietnia 1763); książę grzeczny, uprzejmy, odwiedzał w Wilnie przyjaciół i wrogów swoich. Jeszcze nigdy nie było tyle życia w stolicy litewskiej, jeszcze nigdy mury tego miasta nie widziały tylu senatorów, tylu zbrojnych. Obadwa stronnictwa zebrały się w poważnej sile: byli i pośrednicy królewscy z Warszawy, którzy wszystko kłonili ku zgodzie, ale o zgodzie nikt nie myślał. Następowała reassumpcya trybunału; jeszcze żaden nie stawał w tak gwałtowny sposób, jako ten, a jednak żaden wśród do najwyższego stopnia rozmarzonych namiętności, nie rozpoczynał sądów tak gwałtownie. Scena warszawska z sej-

mu powtórzyła się w Wilnie. Znać tutaj było znowu rozum Bohusza.

W obec Massalskich, w obec wojska obcego, książę Panie Kochanku reassumował trybunał, Radziwiłła podkomorzego litewskiego zrobił marszałkiem, a vice marszałkiem Bohusza. Z początku sędziowie byli nieliczni, deputaci unikali koła; to nic, trybunał wciąż odbywał sessye, więc po niejakimś czasie, ten i ów co nie chciał albo się obawiał, szedł na zamek i siadał w kole' jakby nic nie było. To kolejne poddawanie się deputatów, podnosiło ogromnie znaczenie trybunału. Massalscy wściekali się ze złości.

Bohusz jednak miał tam awanturę, tylko nie z powodu trybunału, ale z powodu swojej pychy i chciwości. Abramowicz starosta starodubowski, jak wprzód za księcia hetmana tak i teraz za księcia Karola trzymał w dzierżawie wioski, należące do uposażenia województwa wileńskiego. Bohusz uprosił u swego pana przywilej dla siebie na dzierżawę tych wiosek: był to nieszlachetny z jego strony postępek, to też kasztelan brzeski ujął się za brata i ostatniemi słowy zelżył Bohusza za to na trybunale w obec sędziów; przypomniał mu jego początki, przypomniał swoje dobrodziejstwa i obrzucił go zarzutem nikczemnej niewdzięczności. Bohusz, acz pyszny, wytrzymał tę straszną kanonadę z krwią zimną, bo rad nie rad szanował w duszy kasztelana, i wszystko było prawdą co tamten mówił.

Zresztą pan Bohnsz piastował dyktaturę na tym trybunale: wszystko tam działo się po jego woli. Chociaż pychy znosić deputaci nie mogli, gadali na nią za oczami, ale w oczy ślepo zwykle poddawali się wszelkim pana Bohusza życzeniom i zachceniom, patrzeli na niego jak w tęczę i nim słówko jakie wyrzekł, wprzódy spojrzeniem o jego zdanie pytali. Nie radzili się serca albo sumienia, ale pana Bohusza. Tenby też nie zniósł ich samowoli, kiedy sam książę marszałek we wszystkiem go słuchał i zawsze się dał mu powodować: Panie Kochanku zalecił wyraźnie księciu, żeby nic nie robił bez porady z Bohuszem, a dla wszystkich Radziwiłłów święte było słowo naczelnika rodu. Potem książę marszałek trybunalski nie wiele miał rozumu, a Bohusz miał go zawiele, więcej jak wszyscy deputaci, wpływ zatem dyktatora na umysły był naturalny. A wyrabiał takie praktyki Bohusz, że

niepodobna byłoby wierzyć temu wszystkiemu, co o nim rozpowiadano, gdyby naoczni świadkowie jego sprawek nie ponotowali.

I tak np. miała sprawę w trybunale o Gienejciszki pani Ruszczycowa starościna porojska z Pacem podstolim litewskim, który się brał do księżniczki Radziwiłłówny, wojewodzianki wileńskiej a siostry księcia Karola; długo się już ciągnęła ta sprawa, stolnik brzeski za nią biegał, bo tu chodziło o jego siostrę, marszałek nadworny Mniszech z Warszawy za panią Ruszczycową pisał, a sam książę wojewoda wileński polecił jej sprawę trybunałowi. Ale Bohuszowi ubrdało się na złość wszystkim, a Matuszewicowi w szczególe, sprawę tę na stronę Paca wyrobić, więc podług jego rady pisał książę podkomorzy marszałek do swojej matki co robić ma, a matka odpisała mu na to w tej treści: «Kiedy Matuszewic dla siostry robi, rób i ty synu dla siostry». To księcia przekonało, a pani Ruszczycowa wbrew takim poważnym instancjom skazaną została na kondemnatę. To nic jeszcze, lepsze on sztuki wyrabiał jak zobaczymy, więc znowu przebrała się miarka.

Książę wojewoda siedział tymczasem w Niechniewiczach i hulał z przyjaciołmi. Poleciał do niego pierwszy Romanowicz deputat trocki ze skargą, że niepodobna wytrzymać z Buhuszem, że pycha jego nieznośna, że źle się obchodzi z deputatami, że niepowściągliwy w gniewie, że nareszcie chce go zgubić na wszystkiem. Kiedy tak Romanowicz prawił księciu, nadbiega druga skarga od księżny hetmanowy wileńskiej wdowy a macochy księcia, który ją więcej jak rodzoną matkę kochał i szanował, przez pamięć na ojca. Otóż pani ta donosiła synowi, że gdy Rowińscy szlachta już notowani, klienci księcia kanclerza, najechali jej folwark w Nowogrodzkiem, podstarościego zrąbali, a ona zaskarżyła ich do trybunału za gwałt i najście — nietylko za sprawą Bohusza nie wygrała na nich terminum tactum, ale jeszcze pyszny podwojewodzy złajał bezecnie jej pomocnika, który się domagał sprawiedliwości. Książę wojewoda, ile był przy dobrym humorze, strasznie się na to zaindyczył, tem bardziej, że już sam wiele wycierpiał od swojego alter ego i zaraz dwa listy napisać kazał do Wilna: jeden do szwagra starosty bystrzyckiego, żeby mimo wiedzy Bohusza utrzymał od księżny hetmanowy terminum tactum, drugi bardzo żwawy, który miał Bohuszowi pokazać.

W istocie nasz vice-marszałek trybunalski nie był tak bardzo winien, owszem trzymając się tutaj jak i wszędzie ślepo litery prawa, które nie pozwalało sądzić sprawy ex termino tacto o mil kilkanaście od Wilna, Bohusz żądał zachowania wszelkich formalności i tak zawsze postępował, żeby go na niczem złapać nie można było. Ale książę wojewoda mniej był z prawem ojczystego kraju obeznany, więc niezmiernie to bolało Bohusza, kiedy się dowiedział, że Romanowicz wyjechał do Niechniewicz. Nie tracąc chwili czasu posłał zaraz do księcia, przyjaciela swego rejenta trybunalskiego Janowicza, żeby się dowiedział, co tam książę robi i co o nim myśli? Dlatego Janowicz niby przypadkiem miał zawadzić o Niechniewicze. Ale bawił wtenczas przy księciu dawny spółzawodnik Bohusza stolnik brzeski, któremu chodziło o siostrę, żeby nie przepadła z kretesem na sądach; ten więc przyjął stronę vice-marszałka i w liście poufnym przestrzegał go o skardze księżny hetmanowy, radził dalej żeby się jej nie sprzeciwiał w niczem i starał się o łaskę tej pani, bo lubo w tej sprawie miał on słuszność, ale nie księżna, jednakże stawił Matuszewic dowody, że nawet w sprawach spadkowych były takie fakta za laski pana Ignacego Paca, że na trybunale wszystkie sprawy z tego regestru termini tacti sądzono; na bok więc można było odrzucić wszelkie skrupuły.

Starosta bystrzycki tak się uwinął, że wyrobił wszystko, co tylko chciał książę i wtedy list ów drugi pokazał Bohuszowi. Krew trysnęła podwojedzemu do twarzy, a że był człowiek zuchwały, niepokazując po sobie, że go to co obchodzi, prosił tylko Brzostowskiego, aby mu list księcia wojewody pozwolił przepisać. Czemu nie? otóż przepisawszy ten list Bohusz, na arkuszu fracta pagina, z drugiej strony punkt za punktem odpisał odpowiedź na żądanie i dowody księcia. Pycha tam wszędzie była, a mało racji. Pan Bohusz ten list odesłał więc z odpowiedzią do Niechniewicz; książę przeczytawszy to wszystko niesłychanie znowu się rozgniewał i posłańca odesłał z powrotem do Wilna bez żadnej odpowiedzi. Wtenczas dopiero Bohusz pomiarkował, że złapał się w sidła: książę gniewał się nie na żarty.

Raniutko poleciał Bohusz do Niechniewicz przepraszać, a może wykłócić się z panem, jeżeli sprzyjać będą okoliczności. Tylko co powrócił z Grodna stolnik brzeski, którego książę w sprawach

swoich posyłał do Massalskich, był też i kasztelan brzeski. Bohusz zastał księcia jeszcze w łóżku i używając dawnej poufałości, chciał po dawnemu siąść u nóg księcia na łożu i pogawędzić jak dawniej. Ale Radziwiłł się zerwał skoro go tylko zobaczył i powitawszy z uszanowaniem jako vice-marszałka trybunału, kazał podać Bohuszowi krzesło i ciągle go panował. Co usta otworzy Bohusz, książę zawsze do niego «pan, pan». O! źle! bardzo źle, ale ani weź do księcia, jakiś mruk, małomówny, nie tak jak dawniej wesoły i rubaszny, ciągle jakieś przymówki: widocznie było że książę zły a politykuje. Nastąpił obiad. Bohusz zawsze siadywał u stołu obok księcia, dzisiaj wojewoda sadzi go na pierwszem miejscu, jako vice-marszałka trybunału. U stołu wielkim kielichem książę pije zdrowie Bohusza, który się dąsa, ale pokryjomu, a kontent że stolnik brzeski przynajmniej jego upokorzenia nie widzi (właśnie odpisywał z woli księcia na listy prymasa i hetmana wielkiego koronnego). Wreszcie po obiedzie prosi Bohusz księcia o tajemne posłuchanie, a książę na to «nie mam nic skrytego przed mymi przyjaciołmi, możesz waszmość publicznie do mnie mówić". Cicho tymczasem każe kolaskę zaprzęgać na łowy. Nim Bohusz odważył się słówkiem rozpocząć rozmowę, kolaska zaszła, a książę zaraz nic nie robiąc sobie z niczego wyszedł, wsiadł do niej z kasztelanem brzeskim i podstolim litewskim Pacem, obudwoma nieprzyjaciołmi Bohusza. Wtedy pan vice-marszałek z pokorą już przystępuje do kolaski i pyta się czy książę pan każe mu z sobą jechać na łowy.? A książę niemiłosiernie natrząsając się z upadłej wielkości: «jak wacpan jesteś wielkim obserwatorem prawa i sprawiedliwości, tak lepiej uczynisz, że według juramentu swego pospieszysz do trybunału», i koniom kazał ruszać.

Zbity z tropu dumny vice-marszałek dokądże się miał udać? a juścić do salki Matuszewica na górę. Ten krok szlachetnie uprzedza o dobrem sercu stolnika brzeskiego, który miał najdogodniejszą porę do zemsty za tylokrotne fochy, ale też świadczy że i Bohusz był człowiekiem szlachetnym, kiedy się nie wahał oddać w ręce mniemanych nieprzyjaciół swoich. Tam zaczął się usprawiedliwiać, a zaczął najpierwszy ustęp od pani Ruszczycowej. Matuszewic krótko odparł „proszę tylko o lepszy respekt, a co do mnie pomimo tylu dokuczań jestem twoim szczerym przyja-

cielem i przez Janowicza przestrzegałem cię, żebyś z księżną hetmanową występował dobrze, a teraz widzisz, że źle jest». Posłał po wino do podczaszego: dali najlepszego. Kiedy sobie ci dwaj gwarzą, nadszedł pan Jasiński były marszałek trybunalski: po pierwszym, drugim i trzecim kieliszku, we łbie zaczmerało, więc kurzy się Bohuszowi z czupryny i wielka rezolucja mu wróciła. «He! co tam, prawił do przyjaciół kieliszkowych, jeżelim stracił łaskę u księcia wojewody, poradzę sobie łatwo i znajdę innych panów fawory». Była to pogróżka, że przejdzie na stronę kanclerza. Bohusz by tego nie zrobił, ale słowo nie było posłuszne rozumowi. Matuszewic z pouſałością zgromił go za tę jeszcze pychę w upadku, a mówił do niego rozsądnie: «jeżeliś, prawił w ten sens, wpadł w niełaskę u naszego księcia, nie pochlebiaj sobie bynajmniej, że znajdziesz zachowanie u Czartoryskich: dużoś im sadła zalał za skórę, a są niezmiernie zawzięci; kiedy więc pomiarkują, żeś z księciem wojewodą zerwał, runą na ciebie całym ciężarem i w pędzą najniechybniej w nieszczęście». Nie był Bohusz do tyla ograniczony przy swojej dumie, żeby nie dostrzeg prawdy w tych słowach; zrozumiał, że interesem jego jest nie rozgłaszać przed światem tajemnicy Niechniewickiej. Miałci on rozum i zdolności, to prawda, ale w ówczesnem położeniu rzeczy i Salomon nicby w Polsce nie znaczył, gdyby nie mógł się oprzeć na opiece jakiego możnego pana. Wiedział, że jest ważną osobą tylko przy Radziwille, a bez Radziwiłła że będzie niczem, mniej jak niczem, bo zginie; alboźto mało narobił sobie nieprzyjaciół? Więc znowu upokorzył się przed Matuszewicem. «Dobrze, ja cię pogodzę z księciem, odparł mu stolnik brzeski, ale odmień swój ostry humor, a bądź mi nadal szczerym przyjacielem». Bohusz przyrzekł i odjechał do Wilna.

Łatwo coś zepsuć, ale nie tak łatwo naprawić: doznał na sobie samym Bohusz tej prawdy. Matuszewic upatrywać musiał stosownej chwili, żeby mógł w tej materji przemówić do księcia, a długo się to nie udawało, tak upadek ulubieńca był zupełny i okropny. Potem był ktoś przy boku księcia wojewody, co miał w tem interes, żeby do zupełnej zgody nie przyszło, a tym ktosiem był bardzo potężny, bo chociaż ubogi, był panem z panów i konkurował o siostrę książęcą. Podstoli Pac obawiał się dawnego wpływu Bohusza na umysł księcia, bo chciał ten wpływ wy-

łącznie skonfiskować dla siebie. Zgrabnie też oddalał sposobności, odwracał rozmowy, a w stanowczej chwili uwodził z sobą księcia to na pijatykę, to na łowy. Rzeczywiście Pac został teraz jeneralnym doradzcą i pełnomocnikiem nieświeżskim: wszystko od niego teraz zależało, jak wprzód zależało od Bohusza, bo książe musiał koniecznie mieć kogo przy sobie takiego, któremuby mógł zawierzyć i ślepo zaufać. Pac jednakże nie był do takiej rady. Zawsze podchmielony, dobrze tylko dotrzymywał kompanji księciu przy kielichu, a spraw wszelkich zaniedbywał; nie miał też do nich żadnej głowy. Więc źle się działo za niego u księcia wojewody; od rana do wieczora pijatyka, a każdy kradł co mógł: kradli wszyscy jak drapieżne kruki. Już księciu samemu było tęskno i markotno, zżymał się czasem bez potrzeby, zamyślał się, nie miał humoru: wyraźnie żal mu było Bohusza.

Otóż upatrzywszy jednę z takich chwil, przyjaciele na drugi dzień po Nowym roku (a było to u hetmana Branickiego w Wersalu podlaskim) zaczęli rokowanie. Król umarł, a książe z hetmanem naradzali się jak bronić mają Rzplitej: wojewodzie wileńskiemu w złej doli, w przesileniu losów ojczyzny, koniecznie gwałtownie potrzeba było rady, serca, a choćby i szabli Bohusza. Wreszcie chodziło o los stronnictwa: książe coraz się więcej zapominał; pił, kiedy coraz trzeźwiejszym być potrzeba było. Nikt go jednak nie ocuci mówiono, i nie poprowadzi tak jak Bohusz który jeżeli potrzeba krzyknie zgóry, hardo się nadmie i na swojem postawi.

Otóż w Białymstoku razem uderzyli ksiądz Kuczewski stary ulubiony dworus Radziwiłłowski do księcia a Matuszewic do hetmana. Przed obiadem Branicki wniósł te instancje i wykazywał, że Bohusz koniecznie w tych rzeczach potrzebny. Panie Kochanku prawił coś na to, ale gotów był dla hetmana zrobić wszystko z warunkiem jednak koniecznym, żeby się Bohusz poprawił: utyskiwał przecież że pan podwojewodzy rozjątrzył na Litwie wszystkich jego przyjaciół, obawiał się konfuzyi jakiej, lękał się żeby interesowani widząc Bohusza wracającego do łaski, nie zabili go. Ale dało się to wszystko jakoś połagodzić. Panowie zawołali zaraz do siebie stolnika brzeskiego i kazali mu pisać co prędzej listy do Bohusza. Tymczasem książe rozpowiedział o wszystkiem Pacowi, który zalterował się i nic u stołu ani kęsa jednego prze-

łknąć nie mógł. Żeby ztąd nie było jakichciś kwasów, stolnik brzeski uderzył znowu do hetmana, który nasiadł na Paca, żeby winy swoje Bohuszowi darował. Tymże samym sposobem powszechne rozgrzeszenie i od innych osób nastąpiło. Pac nibyto przystał na hetmańskie prośby, ale marszczył się na Matuszewica. Teraz szło tylko o napisanie listu: stolnik brzeski zabierał się do niego jak do sakramentu, żeby to najmniejszém słówkiem, najmniejszem przypomnieniem nie narazić Bohusza, bo to ogromny był passyonat, a wszystkie przestrogi jakich mu udzielał, nie od siebie mu dawał, ale dla większej powagi od hetmana. Otóż sługa, któremu dobrodziejstwo świadczą, ale którego trzeba prosić prawie na klęczkach, aby przyjął to dobrodziejstwo; taki był charakter Bohusza.

Massalscy chcieli na wędkę złapać księcia wojewodę wileńskiego, nibyto sami godzić się z nim chcieli i nibyto wspólnie sejmiki konwokacyjne w Myszy układać. Otóż rozpisał się o tej zgodzie obszernie w liście do Bohusza Matuszewic, i prosił go imieniem księcia, żeby jechał do hetmana Massalskiego na układy. Ale Bohusz odebrawszy list trzeciej osoby, rozdąsał się na nowo: jemu się chciało, żeby książe do niego sam napisał z przeproszeniem a przynajmniej z zaprosinami. Więc nic nie odpowiedział i nie pojechał do Myszy. Ksiądz Kuczewski, który wiedział o tem wszystkiem, bo list do Bohusza odsyłał, nie chcąc rozgniewać księcia, utaił przed nim, że podwojewodzy się zżyma. Tak więc nastąpiła zwłoka. Radziwiłł nie wiedział czemu ma przypisywać obojętność Bohusza, Bohusz zaś czemu książe do niego nie pisze? Zgoda z Massalskimi nie doszła, ale nie był tam przy niej Bohusz; sejmiki więc konwokacyjne układano, jednak z nimi, wspólnie w Nieświeżu, ale do rady chociaż o rzecz najważniejszą chodziło, nie stawił się dobrowolnie Bohusz. Czekał wciąż na zaprosiny listowne od księcia. Wreszcie kiedy nie było już co robić, poleciał do Nieświeża, ale przybył zapóźno, po całej robocie; więc Massalscy zrobili posłem kogo im się żywnie podobało, mimo oppozycji Paca. Gdyby się nie namyślał od Nowego Roku przez półtora miesiąca Bohusz, możeby to cokolwiek inaczej poszło księciu wojewodzie. Panie Kochanku przyjął go jednak z radością, a że nadchodziła konwokacja, dał mu tylko informacją

na sejmiki do Wilna. Bohusz uszczęśliwiony zwróconą sobie łaską, popędził natychmiast do Wilna.

Pobiegł naprzód do biskupa Massalskiego i przepraszał go, że nie był w Nieświeżu przy zgodzie jego z prześwietnym domem Radziwiłłowskim. Ale biskup odparł na oko, że nie zawierał wcale zgody, czując się zaś mocniejszym na zawojowanym gruncie, ani chciał gadać o jakich tam warunkach i pokojach. Na dobitkę zazdrośny Pac zwadził się z Bohuszem i przyszło do przymówek; podwojewodzy wileński, że to świeżo po zgodzie było, nie narzucał się Pacowi, żeby nie powiedziano o nim, że znowu głowę do góry zadziera. Usunął się tedy zupełnie i umył ręce, a on tylko jeden mógł pokierować sejmikami i coś dla swego stronnictwa wyrobić. Urażony, patrzał tylko na roboty Paca jako widz spokojny, i sejmiki wszystkie przepadły z kretesem i kaptury i posłowie, podwójne albowiem elekcje nastąpiły, a rozdwojenie złym było symptomatem dla słabszych. Dla niego osobisty był tryumf, bo na oczy stawił księciu wojewodzie, co to Pac, a co to Bohusz.

Źle się działo. Kaptur wileński na sejmiku biskupim obrany, przez wydane pozwy myślał uciemiężyć wszystkich przyjaciół Radziwiłłowskich. Bohusz to widział i postanowił upadłą sprawę wybiegami prawnemi jako tako ratować. Ponieważ do sądzenia kapturów należał także sąd grodzki, którego książe wojewoda wileński był głową, więc Bohusz namawia księcia, by osobiście zjechał do miasta na kaptury. Że zaś na sejmiku wileńskim Radziwiłłowskim obrano tylko sędziów kapturowych, a marszałka nie, i tylko prosto następną kadencję oznaczono w marcu, więc Bohusz zaraz namawiał też księcia, żeby dla zaimponowania przeciwnikom, pozwolił się w Wilnie na nadchodzących rokach obrać marszałkiem kapturowym, dla obrony swoich. Byłto zapewne środek energiczny, narażający nawet osobę księcia wojewody, ale nie było innego sposobu dla powetowania przegranej. Więc Pac zaczął odradzać księciu tę wyprawę wszelkiemi sposoby. Wtenczas Bohusz zwrócił uwagę księcia na to, jak to się role od niejakiego czasu zmieniły; na zeszłe sejmiki on odradzał, a Pac chciał, by książe jechał do Wilna, a dlaczego? bo miał w tem swój osobisty interes. Chciało się być posłem na konwokacją, a Massalscy mu nie dawali. Chciał więc Pac, by wymódz na bis-

kupie wileńskim prośbą czy groźbą poselstwo i w tym celu radził, żeby z dwóch sejmików, które przewidywano, jeden zrobić a przez kombinacją wzajemną każdej stronie pozwolić po jednym pośle: od Radziwiłłowskiej partji sam chciał jechać na sejm i od kanclerskiej podawał Horaina, który był na liście Massalskich; takim sposobem dwóchby dobrowolnie ustąpiło, jeden z każdej strony. Książe jednak nie wahał się, i nim jeszcze wyjechał, sam roztrząsł wieść o tem, że ma ochotę zjechać do Wilna dla reasumcji kapturów. Do hetmana koronnego w Białymstoku napisał wyraźnie, że ufunduje kaptury i że będzie obrany marszałkiem. Łatwo pojąć ile to postanowienie przeraziło dwór i polityków białostockich. Wielkie racje walczyły przeciw temu zamiarowi. Naprzód książe nie był na sejmiku wileńskim, na którym stanęły już kaptury, kanclerskie wprawdzie, ale to zawsze były kaptury i prawo było za niemi; dalej nie był obrany na nich sędzią, jakże więc mógł być marszałkiem, gdy prawo stanowiło, że nie obcy ale koniecznie jeden z sędziów ma trzymać laskę? Gród zaś do którego książe miał prawo, jak wszystkie inne sądy, ustawał w bezkrólewiu i nic nie znaczył: grodu powinnością było otworzyć tylko poprostu akta grodzkie dla przyjmowania do nich manifestów, relacyj, pozwów i t. d. Sejmik kapturowy biskupa wileńskiego daleko był lepszy, formalniejszy i nie tak gwałtowny, jakim być obiecywał teraz sejmik drugi nieprawny Radziwiłłowski. Sędziowie byli na nim obrani jako należało i marszałek; wszyscy zaraz na urzędy swoje przysięgli i jurysdykcją zafundowali. Bał się też hetman koronny, żeby książe czasami nie podochocił sobie wyprawiając się na tę napaść, żeby brewerji nie narobił i przez wyskoki jakie nie zmusił kanclerskiej partji do konfederowania się przeciw sobie. Bo mogło tak się zdarzyć, że na psikus Massalscy wyrządzaliby mu psikusa, wtedy książeby zginął i cała z nim sprawa. Wieszczem przeczuciem zgadywał stary hetman to, co się potem dla innych okoliczności zdarzyło.

Rzeczywiście wywiązała się z tego nienajprzyjemniejsza chryja dla młodego Radziwiłła. Zjechał do Wilna i gospodarował sobie po swojemu. Miluchny, słodziuchny i grzeczniutki odwiedzał go biskup wileński, ale się pokłócił z księciem przy świadkach, broniąc prawa. Nazajutrz napiłemu księciu przyszła myśl odwiedzić też biskupa, ale gdy ten zatarasował bramy, otwarto je siłą bez

żadnego gwałtu; nieproszony, niepożądany gość stanął w komnatach biskupa. Massalskiemu pozoru było potrzeba, więc zaraz podniósł ogromne krzyki na gwałty, na przemoc, napaść i Bóg wie nieco: rozpisywał listy na wsze strony do prymasa, do ojca, do wszystkich; najokropniej powstawał na znieważenie praw narodowych, na gwałt wolnościom szlacheckim zadany i t. d. Osobno ogromne chryje ciskano na Bohusza. Biskup wileński i dworzanie księcia wojewody krzyczeli, biskup że wszystko to co się działo, było z jego namowy, a dworzanie widząc, że źle się jakoś ma, znowu drugim chórem, że temu złemu winien Bohusz. Chciał książe wojewoda uniewinnić się z zurzutu, dlatego radzono mu żeby pisał do hetmana, ojca biskupa i opisał mu rzecz całą; był w tem i Bohusz, ale za to znów większe na niego wrzaski, że piwa nawarzył, a teraz chce by go inni wypili; wprawdzie oszukał już hetman na sejmiku, ale Pac powiadał, że ojciec jeszcze sto procent lepszy od syna. Po długich tedy naradach, stanęło na tem, że książe napisał do hetmana skarżąc się na Bohusza.

Miał to nieszczęście czy szczęście pan podwojewodzy, że co tylko się stało na dworze Nieświeżskiego pana wszystko to jemu przypisywano; dowód w tem wyraźny, że tylko jednego Bohusza wrogowie Radziwiłłów widzieli na tym dworze jako człowieka z rozumem. Tak i tą razą się przytrafiło: chociaż to jeden i drugi, i trzeci doradzał księciu żeby pisał do hetmana, jednak biskup dowiedziawszy się, że tajemnica jego przed ojcem odkryta, a nie spodziewał się żeby potem co zaszło w Nieświeżu, książe wojewoda dobre słowo dał Massalskim: otóż dowiedziawszy się o tem biskup, za list ten postanowił się zemścić na Bohuszu i wielkie machiny na niego przygotował, nie na niego samego już, ale na cały dom Radziwiłłowski. W jego głowie już świtała myśl złupieżenia i wypędzenia z Litwy całej nienawistnej rodziny księcia wojewody, chciał Radziwiłłów zubożyć i zgubić, a potem zgubić wszystkich ich przyjaciół. Już więc o niczem nie było słychać w Wilnie, jak o prędko wybuchnąć mającej konfederacji przeciw Radziwiłłom i Bohuszowi....

R. 1853.

Karol XII w Warszawie

W 1702 ROKU.

....Tymczasem Karol XII coraz głębiej z Inflant zapuszczał swoje zagony na Litwę, i powiadano w kraju, że prosto idzie na Warszawę. Oto już szwed gości w Lejpunach, oto w Sopoćkiniach, a niema wieści, by nawet dopuścił do siebie posłów polskich, którzy go jakby przepraszać naprzód pojechali. Ale oto już szwed i w Różanym Stoku pod Grodnem; przypuścił wprawdzie posłów na posłuchanie i wojewoda kaliski wypalił do niego czułą i silną przemowę, ale jakby nigdy nic, król kazał iść dalej swoim pułkom, wydał już nawet uniwersały do województw i tam przemawia od siebie do Polaków, i na odpowiedź posłom kazał czekać dopiero w Tykocinie. Nowa zwłoka czasu, przez którą nic sprawa Augusta II nie zyskała. Nie było więc co robić dłużej w Warszawie. Elektor Saski wybierał się znowu w podróż do Krakowa, gdzie na niego liczne wojska niemieckie czekały. Komendantem miasta na czas swojego oddalenia się, mianował pana starostę warszawskiego. Był widać Król Elektor w dobrym kłopocie, bo aż dwa razy udzielił tę nominację staroście, przynajmniej dwa razy pod różne-

mi datami zapisano ją w aktach metryki koronnej [1]). Ale z czemże komendanta zostawiał? z jedną milicją miejską. Nie było to zapewne wojsko zdolne do wstrzymywania bystrego polotu szwedzkiego, to też naturalnie Warszawa jakby zostawiona była na ofiarę niejacielowi, a pan Stanisław Krasiński był tylko więcej dla formy komendantem. Nie chciał i nie mógł bronić stolicy.

Po odjeździe króla Augusta, była więc Warszawa bezbronna, i stała otworem szwedowi. Przytaiła się tak, że zdaleka już dosłyszeć mogła łoskot łamiących się przez lasy szwedów i szczęk skandynawskiej broni. A Karol szedł i szedł dalej niezważając na żadne przeszkody. Lew północy wyglą lał cokolwiek na awanturnika. Szedł ku Warszawie mając z sobą tylko 16 tysięcy mizernych ludzi, w pół nagich na chudych szkapach, a biorąc wszędzie prowiaty w marszu. Towarzyszyli mu Sapiehowie mając tylko jeden swój pieszy regiment w zielonej barwie i kilkadziesiąt lekkich chorągwi tatarskich. Szwedzi szli w dwóch kolumnach i rozrzucali wszędzie po drodze uniwersały. Piper zbliżał się na Rutkę i Zambrów do Ostrowa. Oto więc już wkroczyli w Mazowsze, oto obiedwie szwedzkie kolumny łączą się z sobą nad Bugiem, nareszcie są już prawie te dzieci północy i w samej Warszawie, bo o trzy mile tylko i Radzymin zajęli. Stolica w strachu, niepewności i w oczekiwaniu. Szlachty w niej wcale niema, wojska koronne jakby wymiótł; jest ci tam trochę piechoty regimentu wojewody płockiego, która pilnuje zamku, ale niema co rachować na obronę miasta i na tę piechotę, kiedy nawet armatę z cekhauzu warszawskiego wywieziono do Góry. Sami zatem mieszczanie zostali w domach. Co Szwed zrobi, gdzie przeprzeprawiać się będzie? wszyscy się nawzajem jeden drugiego pytali.

Ostatnią tedy niedzielę w niepewności przeczekało miasto, kiedy nazajutrz zrana piorunem rozleciała się po Warszawie wiadomość, że szwedzki kornet stanął na Pradze z kommisarzami prowiantowymi (w poniedziałek 22 maja). Kornet nazywał się d i G u s i e n k o; nie wiadomo co znaczyło to di, ale był to wi-

1) Nominacja ta była 15 i 25 maja. Metr. kor. 220 fol. 306: Sygill. ks. 15 fol. 194. Sygillaty mają wcześniejszą datę niż Metr. kor. i słusznie, bo 25 maja Karol XII był już na Pradze.

dać jakiś nowy przyjaciel bo i nazwiska wcale nie miał szwedzkiego. Kommisarze szwedzcy skoro stanęli na Pradze, jak to u pobożnych ludzi we zwyczaju, dopytali się zaraz o predykanta i na pruskim rynku zaśpiewali uroczyście psalmy, zapewne dziękując Bogu, że im pozwolił zajrzeć już do stolicy Rzplitej, a predykant ich błogosławił. Następnie po nabożeństwie zajęli się zaraz potrzebami doczesnemi, chcieli dla wojska przygotować kwatery i furaż, ale trudno było znaleźć to wszystko na Pradze, a do Warszawy nie było żadnego znowu mostu. Posłali zatem łodzią do miasta rozkaz do pana burmistrza warszawskiego, żeby tam do nich przyjechał na drugą stronę; ale burmistrz czy nie chciał słuchać, czy bał się gości nieproszonych, czy co myślał utargować, dosyć że zamiast sam jechać, wyprawił łodzią napowrót czterech rajców miejskich. Szło głównie szwedom o postawienie mostu. Na tych poselstwach tam i nawzajem odbywanych zeszedł łatwo dzień cały, aż tutaj przed samym wieczorem, incognito w kilka koni, zawitał na Pragę gość osobliwszy, ze strachem oczekiwany. Był to sam król szwedzki. Przyjechał na Pragę prosto z Radzymina, niecierpliwy coprędzej spojrzeć na stolicę Wazów i Sobieskiego. Objechał zaraz konno Pragę i Skaryszew, uważał położenie Warszawy jak się rozbiegała po górach, szukał oczami stanowisk, gdzieby mógł potem rozłożyć wojska, które jeszcze nie nadciągały, przejechał pole na którem przed pięćdziesięcią laty w trzydniowym boju płynęła krew szwedzka a kiedy noc się zbliżyła, wybrał sobie nieco okazalszy dom pana Millera młodszego na kwaterę, wszedł tam do izby i nie zabiegając o żadną wygodę spoczął na samej tylko słomie i płaszczu swoim jak prosty żołnierz w obozie.

Drugiego dnia jeszcze nawet nie świtało, a już król szwedzki był na nogach: wstał do dnia i o godzinie drugiej po północy pojechał nad Wisłę, gdzie już czekała na niego łódź przygotowana do przewozu na drugą stronę rzeki. Młody wojownik który po dalekich ziemiach szedł za sławą, chciał oddać hołd bohatyrowi polskiemu i zwycięzcy pod Wiedniem. Bohatyr myślał o bohatyrze. Dlatego bystrym pochodem zdążał z Litwy nad Wisłę nie przyjmując pokoju, dlatego sam jeden prawie uprzedzając wojska swoje przybył na Pragę, dlatego teraz Wisłą się przewoził w towarzystwie kilku oficerów szwedzkich i zmierzał do Willanowa.

Wybrał się rano, żeby wszystko mógł widzieć incognito, zanim jeszcze ludzie z łóżek powstaną i zanim się wieść o nim w stolicy rozejdzie. Orszak jego ledwie 30 ludzi wynosił. Stanął naprzód w Willanowie i ze czcią religijną spacerował po komnatach Jana III. Najdrobniejszy tam szczegół uderzał jego uwagę, rozpytywał się o wszystko, o pamiątki, o historyę, szczegóły życia Jana Sobieskiego.

Ale pusto i smutno było w zamku Willanowskim; królewice się rozbiegli w różne strony świata i obojętne tylko dla siebie postaci spotykał tutaj szwedzki bohatyr. Ztamtąd pojechał do Ujazdowa, także mieszkania dawnych królów polskich, i tam również oglądał pałac i wszystkie jego osobliwości. Z Ujazdowa udał się do Warszawy, żeby obejrzeć samo miasto. Około nędznych dworków wjechał na Krakowskie-Przedmieście i posuwał się w milczeniu przez ulice do zamku. Przestrach samowładnie rozpościerał się w mieście, wszystko drżało niepewne przyszłości, bo żywo jeszcze tkwiły w pamięci czasy Jana Kazimierza. A jeżeli się król szwedzki mścić będzie na Warszawie za Augusta II? a nuż kontrabandę ciężką nałoży na miasto? Żołnierz północny przyzwyczajony do trudów znosił klęski wojny z wytrwałością, ale sobie zawsze pozwalał wygody, ile się do tego razy wydarzyła sposobność. Jakże teraz będzie? Za trudy obozowe lat tylu, czyż żołnierz szwedzki z lichwą w stolicy sobie nie zapłaci? Choć król przestrzegał sprawiedliwości, któż zwycięzkiemu a zuchwałemu żołnierzowi stawić będzie mógł skuteczny opór? Na czyjąż pomoc tu rachować? Były uzasadnione te obawy. Stąd nie dziw, że Warszawianie zostawali w nieopisanym strachu. Wyobraźnia malowała im w oczach przesadzone obrazy. Mówiono że żołnierz szwedzki jest dziki i krwią oblany, że łupieżą tylko oddycha, że nie zna Boga i świętych pańskich, że nic go nie obchodzą ołtarze i kościoły. Dlatego mieszczanie zamknęli się w domach swoich, bo i zamek był zatarasowany.

Ale zaraz owego pierwszego dnia obawa po kolei ustępowała przed ufnością. Całemi tłumami zaczęli się szwedzi z Pragi przeprawiać do Warszawy, na wszystkich miejscach było ich pełno: pojedynkiem, parą, po trzech, po czterech, kupami, gromadnie chodzili i oglądali pałace. Czterech odważyło się wejść do zamku, którego załoga rada nie rada spuściła cokolwiek z to-

nu i otwarła bramy. Czterej ci goście weszli przez dziedziniec na korytarz i krużganki, dostali się do pokojów królewskich i przechadzali się po zamku zupełnie bezpieczni i niczego się nie obawiając, jakby to Polacy, posłowie sejmowi przyjechali gdzie zdala powitać pana swojego. Wtem z Ujazdowa z orszakiem swoim nadjeżdża sam król. Stanął przed bramą niezaglądając do zamku; kazał wojsku swojemu ile go było wtenczas w Warszawie wystąpić na plac Zygmuntowski. Wtedy na znak dany przez króla, zastępy ścisnęły się, wojska padły na kolana i wzniósł się pod niebiosa hymn Ś. Ambrożego na podziękowanie Bogu za wzięcie stolicy polskiej. Po modlitwie król zawrócił poza wałami miasta na ulicę Długą do zbrojowni czyli jak ją Polacy dawniej nazywali do cekhauzu, który się rozciągał za pałacem Krasińskich naprzeciw Brygidek. Z arsenału udał się do Marymontu, gdzie także znalazł wspomnienia po Sobieskim i do Bielan gdzie niedawno jeszeze gościł August II. Z Bielan dopiero powrócił na Pragę, wszerż i wzdłuż przejrzawszy miasto i jego okolice.

Warszawa z podziwieniem spoglądała na młodego króla szwedzkiego. Sama powierzchowność jego uderzała, więc zwyczajnie porównywali go z Augustem Saskim i dawnym zdobywcą Karolem Gustawem. August IIgi był wysoki, ale Karol i tak przewyższał go jeszcze wzrostem, do tego daleko szczuplejszy w sobie, miał bohatyr szwedzki długą twarz, ale za to poważną, na głowie zaś rzadkie bardzo włosy. Podobała się miastu pobożność króla, jego skromność i prostota w obcowaniu, uczucia wzniosłe, bo hołd złożył sam naprzód pamięci Jana III, a potem przodka swojego Zygmunta Wazy. Podobał się i ubiór prosty, nie wymyślny, nie rażący zbytkiem i wymuszoną okazałością. Miał Karol na sobie zwierzchnią suknię granatową, u której wisiały guzy złocisto-mosiądzowe, kamizelka łosia, u boku wisiał rapier długi, buty rajtarskie. Młodziutko wyglądał, na lat 20, nie więcej.

We wszystkiem zaś różnica była od Karola Gustawa, którego jeszcze nie tak starzy ludzie w Warszawie dobrze pamiętali. Tamto był zdobywca i pan, ten więcej wyglądał na przyjaciela i sprzymierzeńca Rzplitej. Tak też obadwaj królowie stósownie do swoich zamiarów postępowali. Gustawa bali się wszyscy, bo miecz i ogień mu towarzyszyły, Karola XII strach również poprzedzał, a już pierwsze ukazanie się uprzedzało dla niego, i król,

który jak cień przesuwał się po ulicach nieprzyjacielskiego miasta, ubudzał ufność i za serce uchwycił. Śpiew religijny przed kolumną Zygmunta uspokoił Warszawę. Szwedzi nie byli nieprzyjaciołmi Boga.

Mimo to że już zaraz pierwszego dnia zdobywcy panowali w Warszawie w całem znaczeniu tego wyrazu, jednak miasto jeszcze troszkę sprzeciwiało im się i grało rolę ofiary; to nowy dowód że Szwedzi byli grzeczni dla Polski. Kommisarze szwedzcy zasiedli na ratuszu i zajmowali się czynnie sprawą postawienia mostu na Wiśle. Wezwali magistrat, żeby szkut i drzewa dostarczył, a koszta budowy sami przyjmowali na siebie. Magistrat chciał znowu co wytargować i upraszał o pieniądze króla, twierdząc, że szkut i drzewa swojego niema i że jednego i drugiego dopiero dostanie za pieniądze. Bądź co bądź, most już się tego samego wieczora budował, wprost na przeciw pałacu Radziwiłłowskiego. Nazajutrz znowu na ratuszu zasiadają szwedzcy kommisarze i nakazują prowiant wielki. Miasto skarży się i kurczy, a Szwed z góry na to: «jeżeli zaraz nie dacie co nakazujemy, piekło poruszym, a musi być po naszej woli». Więc radzi nie radzi mieszczanie zwożą ze wszech stron tu chleb, tam piwo; ściągają starsi urzędnicy na gwałt od młodszych wszystko czego chcą kommisarze szwedzcy. Ale już i pierwsze chwile wrażenia dla zdobywców w nieprzyjacielskiem mieście przeminęły. Szwed się obejrzał po zamku, po pałacach, już go nic nie dziwi więcej, już żąda wygody. Dlatego sobie bez ceremonji zwycięzcy postępują z mieszczanami. Rozlało się to po wszystkich wsiach i miasteczkach warszawskich i burmistrzują. Ruchliwsi wybiegają za okopy i rabują wsie i dalsze okolice. Niktby nie powierzył, ale zaraz pierwszego dnia te pierwsze czaty szwedzkie pokazały się o mil 12 za Warszawą. Klasztory, pałace, kościoły, szpitale i dwory szlacheckie w mieście i za miastem, wszystko to spisane, wszystko ma dostarczyć żywności i wszelkich potrzeb wojskowych, stosownie do upodobania żołnierza. Było podobno wszystkiego na 18,000 ludzi z Karolem, ale zabierali Szwedzi na 40,000 wszelkich potrzeb. Jedni spisywali i grzeczniejsi brali co na podorędziu, drudzy rabowali co i jak chcieli, zupełnie jak w kraju nieprzyjacielskim. Nikt się nie bronił, — ostatnia siła oporu

spłonęła w sporach magistratu Warszawy z kommisarzami szwedzkimi.

Tymczasem Szwedów do miasta coraz więcej przybywało. We środę nadciągnęła gwardja czyli raczej korpus straży przybocznej Karola XII i drugi korpus że czterech tysięcy Szwedów. Z tą strażą nadjechali hrabia Piper i Wagszlagier Toruńczyk, który służył szwedowi w sprawach polskich i był jego pośrednikiem do panów. Piper widział się zaraz z królem, z którym przepłynął łodzią do Warszawy; tutaj pod namiotem obadwaj, to jest pan i minister stanęli na tymczasem, w ogrodzie pustym bukonowskim, dlatego że król tutaj naprzeciw Bernardynów kazał stawiać most dla drugiego oddziału 4,000 Szwedów, nadciągającego z Płocka. Kiedy więc do Warszawy przewozili działa i moździerze, król z Piperem wysyłali szkuty aż do Płocka i wyglądali wciąż swoich wojowników. Artylerja szwedzka nędzna była: wszystkiego działek trzydzieści, pomalowanych to na czerwono, to na zielono, połowa takich i takich, moździerzy kilka.

Karol dowiedział się że armatę warszawską wyprawiono do Góry. Zaraz posłał po nią. Strzegli ją podobno włościanie, kapitan Szreter rozpędził ich i wziął działa.

Dotąd jednakże zajęcie Warszawy było więcej, że się tak wyrazim, okolicznościowe. Szwed hulał po mieście, chociaż go nie zajął po wojskowemu. Ale w nocy ze środy na czwartek o trzeciej rano ruszyła przez Wisłę wyprawa przeznaczona do zajęcia zamku. Dowodził nią baron Karol Magnus Posse, podpułkownik gwardji, który poprzednio w tym celu stosowne od swego króla otrzymał rozkazy. Posse prowadził z sobą tylko 400 ludzi. Właśnie oto stanął przed krakowską bramą i wezwał załogę polską do wydania zamku. Nikt najmniejszego nie stawił oporu, Szwed wkroczył przez bramę i warty swoje po dziedzińcu i krużgankach rozstawił, a w oczach jego piechota wojewody płockiego, t. j. cztery chorągwie polskie, które tam były, spokojnie opuszczały swoje stanowiska i wychodziły na miasto, owszem prawie uciekały z miasta, ze strachu może, aby ich Szwed czasem nie zawrócił. Wtedy Szwedzi kazali wszystkie bramy i forty miejskie otworzyć i opanowali miasto.

Nie zaimponowali Szwedzi zaraz z pierwszego wejrzenia; było to wojsko wynędzniałe i źle ubrane. Nasi widząc że ofice-

rowie szwedzcy nie są dalecy od poufałej gawędki, dalej w rozmowę, a pytać się ich co myślą i na czem się ta wojna skończy? — «Po co tak głęboko idziecie w Polskę?» pytali się. — «Ad dehonorandum hostem nostrum» odpowiadali, to jest dla ukarania nieprzyjaciela naszego, którym był naturalnie król August. Inni szczersi wzruszali po prostu ramionami. — «Nescimus, mówili, quo et pro quo tendimus, sed nos ipsi domini poloni ducunt, (nie wiemy dokąd idziemy i za kogo walczymy, ale nas sami wasi panowie polacy prowadzą)». Pomiędzy Szwedami byli ludzie nawet zupełnie zabici na duchu. «Karol, mówili, leciał za swem natchnieniem wojskowem; ale źle może wyjść na tem i nas zgubi». W ten ton grali wszyscy starsi doświadczeni oficerowie i magnaci, nawet rodzona matka pisała do króla i odradzała mu ten cokolwieczek za awanturniczy sposób wojowania. Wszyscy oblegli króla, a przewidując przyszłe nieszczęścia, jak mu dawniej radzili żeby nie posuwał się głęboko w Polskę, tak teraz szeptali przez zaufałych na ucho, żeby poprzestał na Warszawie. Niespokojność Szwedów z tego zaraz można było poznać, że się ciągle o księcia prymasa pytali. Zdawało im się, że Radziejowski pogodzi ich odrazu z Rzplitą, a pokładali sprawiedliwie wielkie na nim nadzieje, kiedy sam król sądził, że z kardynałem wszystko ułoży. Jeszcze był w głębi Litwy król, a już z kardynałem pisywali do siebie, ostatni list do księcia pisał Karol z Radzymina tegoż samego dnia którego przyjechał na Pragę. Z tem wszystkiem, acz wiele liczono na księcia prymasa, Szwedzi bali się czy traktat zgody z Rzplitą przyjdzie do skutku, bo na czele poselstwa polskiego był wojewoda kaliski, którego nie bardzo mile widzieli, z powodu, że obwiniali go o serdeczną przyjaźń dla króla Augusta.

Cały więc kłopot, żeby do Warszawy zjechał co prędzej prymas Radziejowski. Karol zapowiedział mu wyraźnie czego chce, to jest detronizacji Augusta, a potem sejmu elekcyjnego, żeby można się było z nowym królem umawiać o wieczny sojusz pomiędzy Polską a Szwecją. Zresztą wszystko zależało od dobrowolnej umowy z prymasem, mógł coś zmienić w swoich warunkach król szwedzki na żądanie kardynała. Potrzeba go tylko było ściągnąć do Warszawy. W tym celu wysłany został do Łowicza, gdzie bawił u siebie prymas, Wagszlagier. Ale Radziejo-

wski się wahał, nie wiedział czy może sam wystąpić bez wiedzy Rzplitej z taką inicjatywą jaką mu poddawał król szwedzki, a choćby i mógł, August był jeszcze niepokonany, czyż więc mądrze i logicznie było obrażać na siebie króla Augusta? Upłynęło dni kilka i prymas nie przyjechał do Warszawy. Niecierpliwy Karol w pięć dni potem drugi raz szle Wagszlagiera do Łowicza i złote góry obiecuje prymasowi. Radziejowski jeszcze się waha, a kiedy on niepewny, cała rzecz przepadła. Arcybiskup gnieźnieński jest władzą w Rzplitej, jego wdanie się do sprawy, po części ją uprawnia; na prymasa oglądają się zresztą inni panowie, którzyby już dawno przyszli do Szweda, gdyby się tylko nie zapatrywali na przykład księcia, gdyby nie potrzebowali jakiejsić zachęty, jakiegoś upoważnienia. Do liczby takich panów należał Rafał Leszczyński podskarbi kor. mąż głębokiego rozumu, zarówno w Polsce ceniony przez wszystkie stronnictwa i tylko z królem Augustem będący cokolwiek na bakier. Leszczyński był serdecznym przyjacielem prymasa, więc skuszenie tych dwóch panów było już napół zwycięztwem Karola XII. Dlatego znowu upłynęło pięć dni, a kiedy prymasa nie było, trzecie poselstwo odprawił Wagszlagier do Łowicza (3 czerwca).

Wreszcie namyślił się kardynał i wyjechawszy z Łowicza stanął w Warszawie w swoim prymasowskim pałacu na ulicy Senatorskiej (8 czerwca). Świetny orszak panów otaczał pierwszego książęcia Rzplitej. Przyjechał z nim albowiem pan podskarbi koronny, pan Kazimierz Bieliński, niedawno przed kilku miesiącami mianowany przez króla Augusta marszałkiem nadwornym i wielu innych panów. Dano znać o tem królowi szwedzkiemu, który ciągle mieszkał na Pradze i rzadko bardzo zaglądał do Warszawy. Zaraz jenerał major Horn, kapitan drabantów odebrał rozkaz żeby kardynała przyprowadził w paradzie do króla przez most który już stanął, na Pragę. Pułk gwardji i kilka szwadronów stanęło w szyku bojowym pod bronią zaraz przy moście dla większej okazałości i czci księcia prymasa, dalej drabanty rozwinęli się w szeregach przed namiotem królewskim. Radziejowski wysiadł z powozu przed namiotem, bohater szwedzki wyszedł ku niemu naprzód na trzy kroki. Książę nisko się skłonił i po łacinie grzecznie go przywitał wyrażając radość swoją z tego powodu że widzi sprzymierzeńca Rzplitej. Odpowiedział na kom-

plement Piper krótko węzłowato i znowu wtedy podniósł głos Leszczyński po niemiecku, i zgrabnie grzeczności prymasowskie powtórzył, na co znów panu podskarbiemu odpowiedział Piper. Król zaprowadził panów polskich do swojej sypialni, dokąd za nim udali się książę holsztyński (który w miesiąc później zginął pod Klissowem) i Piper. Król zaczął rozmowę. Chwalił bardzo Polskę i wszystko co w niej widział; jest to mówił, kraj żyzny, zboża ma podostatkiem, a w końcu wyraził nadzieję, że Polska wyżywi jego żołnierzy, kiedy ich rozlokuje po kwaterach na kilka miesięcy. Na to książę prymas uśmiechając się odrzekł, że żołnierz szwedzki i tak jest kontent gdy znalazł chleb w Polsce, a co się tyczy kwater, tego nie potrzebuje w lecie, a w zimie żołnierz powinienby naśladować króla swojego, który jak słyszę, dodał prymas, w zimie tylko w namiocie sypia, a palą mu w piecu tylko kulami czerwonemi. Radziejowski przymawiał się tutaj za szlachtą królowi, jakby mu odradzał żeby na kwatery nie rozlokował wojska. Zresztą wszczęła się rozmowa o rzeczach obojętnych ale bardzo poufale: król i kardynał byli odrazu z sobą jak starzy znajomi. Prymas kontent był, że mógł z monarchą północnym rozmawiać sam bez tłumacza. Kiedy jednak posłuchanie skończyło się, skarżył się na jednę rzecz prymas, a to że król stał ciągle i był z głową otwartą, więc i jemu stać wypadało i mieć też głowę otwartą; to go męczyło, bo też był już stary i potrzebował wygody. Dowiedział się król z boku o tych utyskiwaniach, kazał więc powiedzieć księciu zawczasu go ujmując dla siebie, że zawsze będzie mile przyjęty, ilekroć razy do niego przyjedzie, i że dadzą mu wszelką wygodę; że król stoi, mówiono mu, nic to nie szkodzi, bo król nigdy nie siada na krześle, chyba tylko na jednego konia.

Odtąd książę kardynał częstszym bywał u króla szwedzkiego gościem. Pipera Karol XII wyznaczył do układów z panami polskimi. Więc z Piperem odbywały się konferencje urzędowe, u króla zaś prywatne, które więcej wyglądały na odwiedziny przyjacielskie. Dwie takie sessje odbył prymas z Piperem: jedną w Warszawie a drugą w Ujazdowie, w tej ostatniej miał czynny udział Leszczyński (12 i 15 czerwca). Bywali tam i posłowie Rzplitej, a kiedy dla nich przyjęcie było zimniejsze cokolwiek, po cichu Piper nastawał u prymasa na detronizację Augusta, ale

nic stanowczego nie uradzono w tym względzie, bo prymasa jeszcze nie skłoniły wypadki działać otwarciej. Za to przyjaźń osobista Radziejowskiego do Karola co dzień wzrastała. Radziejowski kiedyś w młodości bił się ze Szwedami, kiedy więc nić przypomnień niechcący się nawiązała, opowiadał królowi o swoich przygodach i rycerskich gonitwach, o Janie Kazimierzu i Karolu Gustawie, czego bohater z ciekawością słuchał. Toż znów rozgadał się prymas o królu Janie Sobieskim, z którym go familijne stosunki wiązały. Wtedy Karol XII wsiadał na konia i kilka razy jeździł z prymasem do kościoła Kapucynów warszawskich, gdzie spoczywało jeszcze niepochowane ciało bohatera polskiego i oddawszy mu cześć w milczeniu powracali obadwaj na Pragę. Królowi wtedy rozwiązywał się język i dużo wówczas rozmawiał o sprawach Jana III w pokoju i w wojnie. Pokazało się, że z upodobaniem dawniej czytywał o nim księgi, albo ludzi starych się wypytywał o dzieje króla bohatera, którego bardzo cenił. Wtedy oko królowi płonęło zwykle zapałem i mówił do Radziejowskiego: «Chciałbym by to ciało było w Krakowie: kiedy tam przybędę, pochowam go jak króla». Dowiedzieli się o tych dobrych chęciach zwycięzcy, Kapucyni warszawscy i donieśli o wszystkiem do Rzymu do Marji Kazimiry, która zaraz napisała list z podziękowaniem, ale kiedy ten list z Rzymu nadszedł, króla Karola już nie było w Warszawie.

Zniecierpliwiony Szwed widział, że niczego się nie doczeka w Warszawie, póki wprzód nie zwycięży w otwartem polu Augusta. Więc zerwał naraz wszelkie układy z poselstwem polskiem wojewody kaliskiego i polecił posłom oddalić się zupełnie z Pragi (22 czerwca). W cztery dni później sam Karol przeprawił się po raz ostatni do Warszawy i udał się dalej na Tarczyn prowadząc wojsko swoje pod Klissów (26 czerwca). Tym razem pobyt Szwedów w Warszawie trwał kilka dni więcej jak miesiąc...

Warszawa, dnia 28 września 1854 r.

WARSZAWA W KOŃCU ROKU 1702.

Karol XII wychodząc z Warszawy mówił otwarcie, że wybiera się na króla Augusta, który opuściwszy stolicę ciągle stał w Krakowie, naradzał się z hetmanami i ściągał do Rzplitej z Saksonji wojska niemieckie. Jednakże jakkolwiekbądź postawa szwedzka mało budziła zaufania w sprawę Karola. Dlatego młody bohatyr wychodząc z Warszawy, posłał rozkazy do generała Guldensterny i do marszałka Mernera żeby pierwszy z Pomeranji, a drugi z Wilna wkraczali do Polski. Zdawało się chwilkę, że król szwedzki przegra sprawę z Augustem, przynajmniej elektor saski pisał list do Warszawy, do kardynała, w którym poufnie zwierzał mu się, że ma dość siły na odparcie nieprzyjaciela, że owszem sam pójdzie go naprzód szukać i zuchwalstwo Szwedów poskromić. Po wyjściu Karola na południe wyjechał z Warszawy i sam kardynał, a stolica z niecierpliwością patrzyła na Kraków i pytała się co będzie z tego wszystkiego?

Pochód Karola był wolny i w ogóle zawsze z nim Szwedzi strasznie długie odbywali podróże. Wlókł się ode wsi do wsi, od miasteczka do miasteczka, jakby o żebranym chlebie. Tą razą wlókł się długo, bo oczekiwał Mernera, który pospieszał z Litwy, a miał się z nim połączyć przed bitwą. Ale dlaczego August

czekał? trudno tę zagadkę rozwiązać. Karol więc po kolei odwiedzał to Tarczyn, to Nowe Miasto nad Pilicą, wreszcie od Lublina spotkał nadciągającego Mernera. Nazajutrz bój nastąpił, bo i August przywlókł się przecie z Krakowa. Nagle, kiedy w Warszawie spodziewają się jakichciś wieści o zwycięztwie, pada piorunem wieść na miasto o klęsce pod Klissowem. Wieść naprzód niepewna, potem najpewniejsza, bo są urzędowe raporta, latają po rękach inne listy króla i hetmana Lubomirskiego do prymasa. Karol wkroczył do Krakowa, nałożył kontrybucją na miasto, akademią i kościoły, a tymczasem August obraduje pod Sandomierzem, chce szlachtę zawiązać w konfederacją, szlachta się burzy, zabija Lipskiego wojewodę kaliskiego, podejrzanego o przyjaźń ze Szwedami i z królem ciągle wojuje. Wreszcie August ustąpił, przysiągł znowu na zachowanie wolności narodowych, i dopiero to wtedy stanęło, żeby Rzplita sama wystąpiła jako pośredniczka do ugodzenia królów szwedzkiego i polskiego. Z każdego województwa wybierze się po dwóch pełnomocników, ci zjadą gdziekolwiekbądź, ale najlepiej do Warszawy; z wyznaczonymi od Karola XII ministrami układać się będą o warunki zgody. Kanclerze obojga narodów mieli pisać do księcia prymasa, żeby powagą swoją dopomógł do tego traktatu.

Uchwały te pod Sandomierzem stanęły w początkach września [1]). Zostawiwszy więc Szwedów pod Krakowem, którym inne przybyły posiłki z Pomeranji król August wybiegł pod koniec lata do Warszawy z przybocznym orszakiem. Przyjechał z Puław prosto do Ujazdowa, zjadł tam obiad w pałacu, i dopiero pod wieczór wjechał do stolicy razem z nieodstępnymi panami wojewodą malborskim Przebendowskim i referendarzem koronnym Szembekiem. Krom tych otaczał króla orszak innych panów polskich i niemieckich: w ogóle od Niemców aż tam się ćmiło, naszych zaś było jak na lekarstwo (9 września). Zaraz za swoim monarchą przybywali Sasi i zalegli całą Warszawę, tak że miejsca nawet nie starczyło dla nowych wojsk i gości; ztąd kilka tysięcy Sasów musiało przepłynąć Wisłę i rozłożyli się obozem za Pragą na Kępie, która potem od nich wzięła swoje Saskiej kępy nazwisko. Naturalnie za wezbraniem téj nagłéj ludności poszła zaraz

[1]) Załuski Epistolae historico familiares. Tom. 3 stronnica 257, 276 i t. d.

w tropy drożyzna, tembardziej, że nadzwyczajny podatek nałożono na miasto. Król żądał żeby Warszawa tylko ludzi z wojska jego, t. j. samych Niemców żywiła. Chciało wprawdzie miasto uderzyć w pokorę, i, myśląc że się wyprosi, błagało króla o posłuchanie, ale elektor dorozumiał się o co idzie i odłożył do jutra, to jest do sądu ostatecznego, posłuchanie. W istocie godzien był opłakania los Warszawy w owej chwili: dopiero co zdarł ją Szwed, teraz zdzierali Sasi, znowu przyjdą Szwedzi. Bo to było bardzo naturalne, i nawet już rozpowiadano, że August przed obawą Karola niedługo w stolicy pogości. Bądź co bądź miasto dopiero teraz zaczynało biedę swoję i więcej się obawiało przybycia Szwedów, jak tęskniło do nich.

Źle tedy, bardzo źle było Warszawie. Prócz obawy, rzeczywiste ją gniotło nieszczęście. Za Sasami przywaliły chorągwie nadworne Tatarów i Wołochów, sławnych rabusiów. Rozgościwszy się sławni ci rycerze, niczego w spokojności nie zostawili; w mieście wprawdzie przycichli cokolwiek pod bokiem królewskim, ale też wycierpiały za to dwukrotnie okolice. Wszystkie wioski były splądrowane, zajrzeli wszędzie rabusie i na pola i do stodół, zboże gwałtem zabierali, bydło uprowadzali, odpędzali pastuchów, jawnie i tajnym sposobem kradli na wszystkie strony. Przekupki i szynkarki odpokutowały również: gdzie tylko znaleziono jaką karczmę, zaraz szturmowano do niej, a wódka jaką tam naprędce znaleziono poszła w podział. Wiecznie zatem pijani żołnierze całe miasto niesfornemi krzykami napełniali.

Król niewidzialny był zresztą cały pierwszy dzień swego pobytu w Warszawie. Nazajutrz następowała niedziela, a więc, podług zwyczaju w święto takie, król pokazywał się publicznie i publicznie mszy słuchał u św. Jana w kościele. Tą razą nie było ani tego ani tego, wszystko się odbyło w cichości i prywatnie. Tłumaczono tę okoliczność wypadkiem, że król miał ogromny katar; w istocie tak było, ale dla tak lekkiej słabości niegodziło się przestępować ceremoniału dworskiego, boć to dawało powód do liczniejszych a coraz mniej prawdopodobnych wniosków. Wieczorem nadjechał biskup chełmiński i zaraz się zgłosił o posłuchanie. Król, czy nie chciał go widzieć, czy udawał, dosyć że zwłóczył ciągle i dopiero wieczorem biskupa do siebie przypuścił. Co tam z sobą panowie rozprawiali, Bóg święty raczy wiedzieć,

to jednakże pewna, że na twarzy królewskiej poznać było można frasunek. Ba, jakże frasunek być nie miał, kiedy podkanclerzy litewski pan Szczuka donosił królowi, że jenerał szwedzki Maidel spustoszył do szczętu jego dobra Szydrę i że prostym krokiem zmierza do Warszawy. Lada chwila więc spodziewać się można było gości. Król na zwiady wysłał kilkuset swoich Wołochów, a potem cały korpus sześciotysięczny musiał wyprawić w stronę Łukowa dlatego, żeby w Warszawie był cokolwiek bezpieczniejszy.

Zjeżdżali się tymczasem ze wszystkich stron panowie i posłowie do traktatu. Przyjechał wojewoda łęczycki Towiański, najserdeczniejszy przyjaciel księcia prymasa, z synem swoim podczaszym koronnym, przyjechał i sam książe prymas. Z kolei zawitali wojewoda i kasztelan kaliski Maciej i Jędrzej Radomiccy, partyzanci króla Augusta świeżo na te dostojności mianowani. Dalej rój kasztelanów większych i mniejszych, pan Gnieznieński, panowie Rogoziński, Nakielski i Raciążski. Rozdawał im król jegomość wakanse, starostwa, krzesła wyższe i przywileje podpisywał. Kardynał z Towiańskim i z biskupem chełmińskim pojechali do zamku; ale król nie chciał rozmawiać z tymi panami, tylko naprzód osobno kardynałowi dał posłuchanie. Kiedy książe odszedł, zaproszono biskupa, ale trzy ojcze nasz nawet nie wyszło, już z pokojów wracał ksiądz Potocki goniąc za prymasem. Musiała tam ostra prowadzić się na zamku rozmowa króla z Radziejowskim, bo odtąd nogą kardynał nie postał na pokojach; jeżeli zdarzyła się jaka sprawa do której załatwienia potrzeba było obecności albo współdziałania prymasa, król znosił się z nim przez podstawione osoby, przez referendarza koronnego np.; a to rzecz ważna, że o te sprawy żwawo się z obudwu stron umawiano, a nikt, jeden drugiemu, ni król kardynałowi ani kardynał królowi, ustąpić nie chciał.

Kwasy te powstały z powodu, że Radziejowski tak bardzo zaprzyjaźnił się ze Szwedami: czy było więc dlaczego czy nie było, dosyć że król księciu nie ufał. Przybiegł potem do Warszawy skłopotany starosta inowrocławski Wojciech Dąbski, który województwo łęczyckie chciał skonfederować za sprawą królewską. Już tryumfujące listy pisał do Warszawy i złote góry, zasługując się panu obiecywał, kiedy powstały huki, a pan starosta, unosząc

głowę przed szlachtą wpadł ze swoimi przyjaciołmi do Warszawy przebierając się do wojska i pełen nadziei, że tu zastanie samego króla jegomości. Widział się zaraz z Augustem, który wyjawił mu życzenie swoje, żeby województwa które nie były pod Sandomierzem, przystąpiły do uchwał w obozie konfederackim wydanych. Tak wszędzie gdzie spojrzeć, była niepewność.

Panowie doradzali królowi żeby drugi raz odważył się na bitwę i stoczył ją dla sławy własnej i sławy narodu polskiego; szło oto żeby się jakoś dzielniej względem Szwedów postawić. Król się krzywił na tę myśl, o której jednak rozprawiano chwil kilka. Były powody za, były i przeciw, ale to co przeciw bitwie mówiło, przeważało szalę, i król nie dał sobie ani wspomieć o nowych bitwach.

Karol XII zaciągał w Krakowie chorągiew lekką polską. Dalej spalił się cały zamek na Wawelu, i o to nie bez przyczyny posądzono Szwedów. To wszystko były powody do wielkiego nieukontentowania jakie panowało w Warszawie. Naturalnie im więcej się pomnażała liczba szlachty w mieście, tém więcej było wrasku, więcej niezgody. Szczególnie posłowie do traktatu, łęczyccy, płoccy i ciechanowscy, głos podnosili, a wielu z nich z zapałem tłumaczyło swoje uczucia, że gotowi oddać życie swoje, krew wylać za godność majestatu. Płoccy jednakże powstawali na Sasów, oskarżali ich, domagali się gwałtem komissji, któraby rozsądziła sprawę pomiędzy nimi a wojskiem niemieckiem. Zwiększał się orszak gości. Przyjechał biskup żmudzki Kryspin, podkanclerzy koronny Tarło, podskarbi nadworny Miączyński, i pan Stanisław Morsztyn pierwszy komisarz do traktatu.

21 września na pokojach zamkowych otwarto posiedzenie. Zasiedli komissarze wyznaczeni pod Sandomierzem, i posłowie wybrani tylko co na sejmikach wojewódzkich. Przeczytano naprzód uchwały sandomierskie, potem zwrócono na to uwagę, że niema w izbie księcia prymasa; wysłano więc po niego z zaproszeniem deputację, żeby prezydował na komissyi. Posłuchał Radziejowski, przyjechał natychmiast i zajął pierwsze miejsce które mu należało. Wtedy przeczytano instrukcje, akta odnoszące się do rzeczy, ale skończyło się na tem, bo komissarzów było niewielu; radzi nieradzi więc obecni odłożyli posiedzenie do dnia następnego. Nazajutrz komissarze przysięgali według dawnego zwyczaju

na swój tymczasowy urząd; ale trudność nowa się pokazała, że z Wielkopolski niebyło komissarza; bez niego oczywiście nie była reprezentowana całość Rzplitej, a przemawiać w imieniu Wielkopolski, kiedy prowincja do tego nie upoważniała, sprzeciwiało się prawom narodowym. Otóż prymas wynalazł naprędce sposób: poradził żeby obecni senatorowie wielkopolscy osobno pomiędzy tobą się znieśli i sami wyznaczyli na komissarza pana Leszczyńskiego, starostę ostrzeszowskiego, który się wtedy znajdował w Warszawie, ale ma się rozumieć tymczasowo, poddając zawsze ten wybór pod zatwierdzenie szlachty. Z tą radą prymas poprzedniego dnia jeszcze wystąpił; więc nazajutrz po przysiędze senatorowie z Wielkopolski znieśli się z sobą i obrali Leszczyńskiego. Prymasowi wiele o tego starostę chodziło, chciał jakiegokolwiek Leszczyńskiego mieć w komissji, bo stary jego przyjaciel Rafał podskarbi z synem Stanisławem tylko co drapnęli na Szląsk, z obawy przed Sasami, i przynajmniej na teraz do Rzplitej wracać nie myśleli. Jednakże wystąpiła i oppozycya przeciw prymasowi: dwaj Radomiccy, wojewoda i kasztelan kaliscy, nie chcieli Leszczyńskiego, dlatego raniutko wymknęli się z Warszawy, żeby nie głosować za nim, ale nie mieli odwagi jawnie rzucić na szalę swojego veto. Wzbraniał się i Leszczyński sam, bo znał że stanowisko jego w komissji niezupełnie prawne, ale wreszcie uległ prośbom i zasiadł krzesło. Dużo jeszcze było kłopotu z przysięgami, wreszcie wszystko ułatwił książe prymas, spisano u niego akt pełnomocnictwa, sekretarzem poselstwa wybrano Piotra Tworzyjańskiego skarbnika krakowskiego, który zaraz wziął wszystkie do siebie papiery i wyjechał naprzód jako goniec do króla szwedzkiego z uwiadomieniem, że poselstwo się zbliża; niedługo zaraz po nim wyjechali i sami komissarze. Na tem zalimitowały się obrady szlacheckie w Warszawie, bo teraz rzecz cała już zależała od układów. Wyznaczono dzień 23 października na następne zebranie się, którego miejsce wyznaczono w Warszawie, albo gdzie będzie stósowniej, a zawsze przy boku królewskim. Spodziewali się albowiem wszyscy że na ten dzień powrócą już komissarze z obozu szwedzkiego, a właśnie w tymże czasie miał się odbywać sejmik wielkopolski, więc nieformalności, jakich tymczasem użyto, łatwo będzie można na-

prawić. Proszono też króla żeby do tego czasu mieszkał w Warszawie i czekał na skutek. Obiecał, ale nie dotrzymał słowa, kardynał zaś drugiego zaraz dnia skoro świt wyjechał do Radziejowic, nie pożegnawszy się z panem a dawszy mu poznać że tak szczerze zabiegał o zgodę przy nim, jak i przy Karolu szwedzkim. —

August był tylko na wylocie w stolicy, wojska swoje jeszcze z pod Sandomierza pchnął ku Prusom i tam ciągle myślą swoją zmierzał. Co więc miał nieczynny siedzieć w Warszawie, wolał wybiegnąć do Torunia, i w samej rzeczy tam wyjechał, obiecując że na 28 października powróci znowu. W ostatnich chwilach swego pobwtu w Warszawie odebrał wiele nieprzyjemnych nowin, z których najsmutniejszą ta była, że Szwedzi Częstochowę oblegli. Dalej martwiło go postępowanie Rafała Leszczyńskiego: podskarbi napisał list do króla jeden, a drugi do województw wielkopolskich, obydwa pełne żółci. Dostało się w nich szczególnie Przebendowskiemu, i tak bardzo, że pan wojewoda odpisywać musiał Leszczyńskiemu i szeroko niewinność swoją tłumaczyć (13 września z Warszawy) [1]). Wreszcie zajmował się król w Warszawie poruszeniem szlachty. Wydał uniwersały pod dniem 26 września, w nich zwoływał sejm wielkopolski i jenerał mazowiecki zaklinając na miłość Boga i ojczyzny, żeby szlachta szła do konfederacji i powstawała przeciwko Szwedom. Podobneż uniwersały od siebie rozpisywał Dąbski marszałek wielkopolski.

Może by to i zdało się na coś, bo szlachta sieradzka, sandomierska i krakowska dobrze już zaczynała witać szwedów, ale nadzieje pokoju prędko się rozchwiały. Szwed kładł różne przyczyny umyślnie żeby do traktatu nie przystępować. Głównie odpowiadał komissarzom polskim: że pod Sandomierzem byli tylko Małopolanie, ale nie Litwa i nie Wielkopolanie, więc to nic dla niego nie znaczyło, bo on by chciał układać się z całą Rzplitą, nie z jej cząstką. Szwed pomiarkował, że w Warszawie zaszły nieformalności. Ztąd wrzała znowu gniewem Warszawa, a raczej ci panowie w stolicy, co jeszcze w niej pozostali przy królu po rozjechaniu się reszty.

W takim stanie rzeczy bezpieczniej było w Toruniu, a po-

[1]) List ten znajduje się w Załuskim tom 3. str. 265.

nieważ król według uchwały pod Sandomierzem miał prawo zwołać wielką radę gdzie mu się będzie podobało, i na tej zasadzie komissja w Warszawie przed limitą postanowiła, że niekoniecznie zjechać się ma w stolicy, August więc do Torunia zwołał komissarzów i posłów na radę. Wielkopolska go nie zawiodła, wybrała na sejmiku także posłów do Torunia, cała udając się do konfederacji przeciw Szwedom.

Warszawa zatem pod koniec roku była poza wypadkami politycznemi: wszystko co żyło wybierało się do Torunia. Przez stolicę chyba została droga dla panów litewskich, Wprawdzie i tak dosyć ruchu było w mieście; w październiku miała się tutaj np. odbyć rada senatu; zjeżdżali się więc ci i owi senatorowie, ale zeszło jakoś na niczem, bo książe prymas nie przybywał, a miał teraz nowe powody niechęci do króla Augusta. Życzył sobie, aby podczaszy Towiański dostał podkomorstwo koronne, a tu jakby naumyślnie otrzymał ten urząd mąż kochanki królewskiej, pan Jerzy Lubomirski. Dzień za dniem więc zwłóczył i nieprzyjeżdżał do Warszawy. Rada senatu skończyła się więc na projekcie; Szwed odrzucił i tak warunki zgody. Kiedy więc w Toruniu na dobre trwały obradowania, a Litwinów aż sześćdziesięciu, każdy ze świetnym orszakiem, przyjechało do Warszawy jako deputaci wyznaczeni do boku królewskiego, Szwed prawym brzegiem Wisły zwolna pomykał ku Warszawie od Krakowa. Jednocześnie król August niby to karcił swawolę swoich żołnierzy. Mówiliśmy o Wołochach jak dokazywali po mieście i okolicach. Jeden z nich brewerje wyrabiał w klasztorze księży Reformatów i skazany był na śmierć. Wielkie prośby zaniesiono przed króla żeby go ułaskawić; dosyć będzie wyroku, mówili, na postrach innym, ale król pokazał się niewzruszonym, i biednemu Wołochowi ucięto głowę na rynku warszawskim. Księża Jezuici asystowali mu przy śmierci [1]). Drugim wypadkiem, który także. nieco gwałtowniej poruszył miasto, było porwanie posła francuzkiego Herena, który przyjechał do Karola XII, przez pana Bretsznejdera, który to zdziałał stosownie do rozkazu królewskiego August II niewiele sobie robił kłopotu ze swoimi politycznemi nieprzyjaciołmi, jeżeli mógł im poradzić. Otóż Herena złapano i odwieziony do Torunia.

[1]) Załuski stronnica 294.

Nadchodząca zima, a przynajmniej początek jej, były zresztą dosyć pomyślne dla Warszawy. Sasi wojskami swemi zajmowali Prusy, Pomorze, Kujawy i pobliższe im ziemie mazowieckie. Szwed pod Krakowem i na Rusi swobodnie się rozwalał, a jednym tylko oddziałem zwolna pomykał się przez Lubelskie pod nadbrzeża Wisły i tameczny kraj niszczył. We środku zatem położone województwa łęczyckie i rawskie miały tylko kwarcianych ną karku, a przy takich okolicznościach upiekło się i Warszawie, która ani szwedzką ani saską, ani polską nie była, a więcej jak neutralne miasto czekała zmiłowania się losu.

WARSZAWA

W R. 1705.

Bitwa ze Szwedami. Przygotowania do koronacji Stanisława.

...Na ten sejm dla bezpieczeństwa posłów i senatorów szwedzi wyprawili do Warszawy jenerała Nierotha, później miał nadejść ze swoim oddziałem pułkownik Dahldorff dla wsparcia jenarała. Stanął Nieroth w Ujazdowie główną kwaterą; sejm zaś otwarty został jak należy, gdy marszałek Bronisz przyjechał z Gdańska. Nie było wielu obradujących, a do tego co dzień inni zasiadali na sesjach, jedni po drugich zmieniali się jak w kalejdoskopie. Więc i król Stanisław przyjechał i z nim trzech posłów szwedzkich, bo sejm głównie miał dokonać traktatu Rzplitej z Karolem XII. Nie żwawo szły posiedzenia dla tego, że Sasów naokoło Warszawy włóczyło się pełno oddziałami po drogach; nie dopuszczali więc posłów do stolicy, tych napadali, tamtych rozpraszali. Z Sasami snuły się oddziały polskie i litewskie a ciągle postrach pod samo roznosiły miasto. Przechodzili Wisłę i z tej i z drugiej strony napastowali. Nie na rękę to było bardzo Nierothowi, że nieprzyjaciel kiedy chciał i ile razy chciał przeprawiał się przez Wisłę, na to więc głównie wysilał swoje

[1]) Ten artykuł wraz z dwoma poprzedniemi jest wyjątkiem z „historji Warszawy," którą w notatach autor miał przygotowaną. Przyp. wyd.

zabiegi, żeby mu takich przepraw nie pozwalać. Ale co to pomogło? jenerał szwedzki za małemi mógł rozporządzać siłami i rozjazdów nie mógł rozsyłać daleko, żeby się zbyt nie osłabić, więc Polacy szczególniej, ciągle go z obudwu stron Wisły niepokoili. Bywały i potyczki nieraz dosyć krwawe. Szczególniej jedna pod Otwockiem zakończyła się klęską Sasów, chociaż przemoc nie była na stronie przeciwnej. Tysiąc koni napotkało pod Otwockiem oddział tylko dwudziestu Szwedów, którym na pierwszy znak trwogi przybył na pomoc kapitan jazdy ze 150 końmi (26 lipca). Po krótkiej potyczce w której 30 Sasów poległo, rozproszyli się niemcy a wielu ich nawet w ucieczce potonęło w Wiśle. Było cicho dni kilka potem, aż tutaj nagle na Pragę przywaliło się aż 67 chorągwi polskich i oddział złożony z 410 Sasów. Dowodzili temi siłami referendarz koronny Rzewuski, kasztelan połaniecki Czerniński i Szmigielski. Siła dosyć przeważna, więc dowódzcy próbowali kilka razy przeprawić się za Wisłę, ale zawsze byli odparci. Bądź co bądź, takie napastowania rodziły w mieście niepewność; sejmujący szlachta raz wraz oglądali się to w tę, to w tamtę stronę i mieli się na ostrożności żeby nie wpaść w ręce nieprzyjaciela. Dla tego też zaraz opieszalej wlokły się obrady narzekano że kardynała niema, rzucano wątpliwości tysiączne czy sejm przy tak małej liczbie posłów ma prawo obradować i t. d. Głównie chciało się wszystkim co prędzej opuścić niebezpieczne mury stolicy. Wreszcie odważył się jeden, drugi, a konfederacja całkiem się rozjechała, sejm spełzł, tylko Nieroth pozostał w Ujazdowie. Warszawa była wolna.

Ale właśnie taki stan rzeczy obudził gorliwość jenerałów saskich. Jeden z nich szczególnie Pajkul inflantczyk od Piotra W. do Augusta przysłany i naczelny wódz tej siły saskiej która się w okolicach Warszawy znajdowała, otóż Pajkul głównie nastawał, żeby rozpocząć zaczepne działania. Chciał żeby oddziały polskie połączyły się z Sasami i wyparły wprzód Szwedów z Ujazdowa zanim pomoc dla nich nadciągnie. Pajkul tylko co wrócił od Piotra W. do którego król August niedawno go przysłał. Nic nie stawało na przeszkodzie planom Pajkula, woda bardzo nizka była na Wiśle, przeprawa dlatego nadzwyczaj łatwa. Nieroth także czuwał, boć naturalnie bardzo było, że nieprzyjaciel który się nie oddalał od miasta po rozejściu się sejmu konfederacyjnego,

nie miał na celu tylko rozpędzenie tego sejmu, owszem knuł jakieś przeciwko miastu zamiary. W tym celu Nieroth wyprawił dwa oddziały, każdy silny po 80 koni, na rozpoznanie: Clas Bonde poszedł do Kazunia, Stolkamar zaś miał wejść do samej Warszawy i tu rozproszyć po brzegach rzeki patrole (28 lipca). Clas Bonde dotarłszy w nocy na miejsce swojego przeznaczenia, dostrzegł że już z drugiej strony Wisły Sasów w okolicy Kazunia nie było, więc poszukał języka i doszedł że nieprzyjaciel poszedł w górę rzeki o milę i że tam w pobliżu stolicy przeprawiać się myśli. Nie było chwili do stracenia; dowódzca szwedzki chciał się naocznie przekonać o prawdzie, zatem bierze dwadzieścia ludzi ze swego podjazdu i biegnie coprędzej zawsze po lewym brzegu Wisły do miejsca, które mu wskazano; reszta oddziału ma wolniej za nim podążać. Przybył, ale zapóźno. Już 500 do 600 ludzi z wojsk nieprzyjacielskich przeprawiło się na drugą stronę. To nic; mężny Szwed naciera na Sasów, sądzi że ich odeprze, a przynajmniej zachwieje szeregi, że ich wstrzyma póki nie poskoczy na pomoc cały oddział, pułk, korpus, ale za wielka już machina saska leży mu na karku. Koń zabity pod nim, ale Clas Bonde nie traci przytomności, jak lew się ciska; poległ a z nim wszyscy dwudziestu. Wtem późno nadchodzą trzej szwedzcy kapitanowie z Kazunia na kości po obiedzie. Przelękli się i nie chcą być bohatyrami jak Clas Bonde; pod Wittyngiem koń raniony, więc sam Wittyng ocala się ucieczką, drugi Elfberg dostaje się do niewoli, trzeci tylko Wrangel był szczęśliwszy, bo się przebił przez tłumy saskie z 80 ludźmi kiedy mu z drugiego oddziału nadbiegła na pomoc jazda szwedzka. Popłoch ogromny padł na Warszawę i przeniósł się do obozu ujazdowskiego; co żyło wsiadło coprędzej na koń śpiewając pieśni bojowe i wtedy jenerał Nieroth skierował się ku Solcowi. Potem zwolna poprowadził wojska swoje za Warszawę, o pół mili i rozłożył się pomiędzy Bielanami i Stawkami, sprawił się w szyki wojenne i kilka godzin czekał jakoby dopominał się bitwy. Ale nikt go nie zaczepiał, a noc się tymczasem zbliżyła, więc jenerał cofnął się nazad do Ujazdowa. Miał Warszawę po prawej, a Rakowiec po lewej stronie.

Tymczasem dalej cokolwiek na północ zwolna, porządnie, od nikogo nie napastowani przeprawiali się przez Wisłę Sasi, a z nimi chorągwie polskie i litewskie. Przeszedłszy zaraz się

układali w szyki i gotowali do pochodu. Jenerał Pajkul kontent z pierwszego swego zwycięztwa nic jeszcze nie zrobiwszy zasiadł do raportu, jakoż napisał do króla Augusta pełen przechwałek, że odparł Szwedów, że rozproszył zgromadzenie konfederatów warszawskich i że ściga dalej Nierotha. Koniec listu zapełnił żarcikami i doniesieniami, które mu potem w dwa lata kosztowały życie.

Nazajutrz rano Nieroth wyległ w pole. Rozwinął linię w szerokość dwóch ludzi; kapitana Kaftego postawił na prawem skrzydle z pułkiem smalandzkim, który wziął Kruzemu, Burenschilda pchnął na lewe skrzydło z pułkiem ostrogotskim, pułkownika zaś Kruzego postawił w środku. Kafte miał też rozkaz zasłaniać deputatów krakowskich niedobitków sejmowych, którym przydano orszak z sześćdziesięciu ludzi. Cała potęga szwedzka wynosiła do 2000 piechoty i jazdy, a zajmowała ćwierć mili przestrzeni. Nieprzyjacielowi tymczasem nadciągali sasi, którzy z pod Bielan ruszyli prosto do Woli, otaczając Warszawę, to jest Pajkul, Schulenburg i St. Paul. Oni sami mieli 9 do 12 pułków to jest 4000 ludzi. Zająwszy środek na prawe skrzydło posłali 40 chorągw polskich Chomętowskiego, Denhofa i kasztelana połanieckiego, a na lewem postawili znowu 50 chorągwi polskich i litewskich, któremi dowodzili książe Janusz Wiśniowiecki i Rzewuski. Sasi rozwinęli się w trzy linje, szerokie każda na trzech ludzi; nasi w dwie tylko. Przewaga oczywiście była na stronie wojsk augustowskich, o pięć razy przynajmniej silniejszych jak szwedzi.

Przed bitwą zapalały się tu i owdzie dorywcze podjazdowe potyczki. Kilka chorągwi ze strony Sasów zboczyło się ku Warszawie i weszło na Wielopole. Szwedzi którzy rozstawili pikiety od Solca przez Krakowskie Przedmieście spotkali się z niemi około kościółka świętej Trójcy, padły gęste strzały, w skutku których do 15 ludzi pospadało z koni; odparłszy więc nieprzyjaciela, Szwedzi weszli na Leszno i zawrócili się ku Wielopolu, ale tutaj dzielnie przywitani radzi nie radzi cofali się do obozu pod Ujazdów, prowadząc za sobą kilku jeńców saskich i polskich. Szwedom najwięcej chodziło o Szmigielskiego którego się okropnie bali, kręcił się on niedawno około Warszawy, a teraz radzi byli się dowiedzieć, czy jest z Pajkulem i czy naturalnie będzie miał dział w przyszłej bitwie? Jeńcy zatem byli bardzo pożądanym

językiem; rozpowiedzieli też Nierothowi że przy Pajkulu jest po kilku wybranych ludzi z każdej chorągwi i co główna, że Szmigielskiego niema teraz pod Warszawą. W istocie chodziły wieści, że tylko co wojewodę wileńskiego na głowę rozbił pod Łęczycą. Była już blisko dziesiąta, a więc jenerał Nieroth posunął zaraz ku Woli swoich i zaczęła się bitwa.

Pierwszy grom obalił się na Burenschilda, na którego prawe skrzydło polskie naparło. Zagrożony daje znać o tem Nierothowi, który w owe strony zwija swoje kolumny. Natarcie polskie było tak silne że Szwedzi się złamali; zginęło im ze 400 ludzi a reszta cofnęła się; wtenczas oficerowie i żołnierze brali jeńców i rannych ilu chcieli a zaraz potem rozbiegli się uprowadzając ku Wiśle zdobycz, to jest bogate sprzęty, złoto i srebro nawet; na tym pogromie najwięcej zarobili Wołosi, urodzeni rabusie. Kiedy Nieroth biegł na pomoc Burenschildowi, na jego wezwanie Polacy wdarli się w szyki szwedzkie i rozbili je na dwie połowy, to było powodem że Nieroth znowu zwinął się napowrót i stanął jak przedtem, z Kruzem przewalając się na prawo. Ale trudno było walczyć Szwedom, bo linja Saska zbyt rozciągnięta okalała ich kiedy stali ściśnięci, a kiedy rozciągali się wzdłuż, ogromne luki zostawiali między pułkami, w które nieprzyjaciel mógł godzić i godził. Ale się jako tako trzymali. Wtem Pajkul dziesięć szwadronów jazdy rzuca na lewe swoje skrzydło, które okrążając Kruzego powiększają nieład pomiędzy szwedami i zdobywają trzy chorągwie. Tymczasem Burenschild się poprawia; wytrzymuje natarcie i potem sam przechodzi w działanie zaczepne, i prze dzielnie Sasów, wtedy kiedy Nieroth i Kruze wytrzymawszy ze swojej strony natarcie Pajkula przechodzą także w działanie zaczepne łamią kolumny saskie. Korzystając ze swojej przewagi, szwedzi na swojem prawem skrzydle wpadają pomiędzy szyki nieprzyjazne, rozdzielają Litwinów od Sasów, którzy ani razu jednego nie wystrzeliwszy, zgnieceni i przestraszeni zawrócili się i w sromotną rozbiegli się ucieczkę. Naturalnie jazda szwedzka poszła za nimi w pogoń i gnała ich całe dwie mile. Na placu boju pozostali Sasi i jedna chorągiew hussarzy pod dowództwem Chomętowskiego, biła się dzielnie od dziesiątej aż do pierwszej godziny z południa bez spoczynku; nic też dziwnego, bo marszałek związkowy Chomętowski był to człowiek bywały, odważny, waleczny i dziel-

ny. Przeciw niemu zostawiwszy oddział, prawe skrzydło szwedów poszło na odsiecz lewemu, które znowu słabiej walczyło, a wolało zginąć jak poddać się albo uciekać. Przeparci więc i tutaj Polacy i Sasi cofać się zaczęli po za Wolę i dopiero w lasach znaleźli jakąś obronę przed nastającym zwycięzcą. Bój to był prawdziwie homeryczny, ale nie ścierały się tutaj potęgi całe, każdy walczył z przeciwnikiem jeden z drugim, każdy osobno jakby w pojedynczym boju. Na ogromnej przestrzeni ziemi rozbiegły się kupki, oddziały, chorągwie, to cofały się, to szły naprzód. W boju porządnym, przez dzielnego jenerała prowadzonym, jedno złamanie skrzydła stanowi o losie bitwy. Tutaj łamały się po kilka razy linje, Szwedzi przepędzali Sasów, Polacy Szwedów i znowu Szwedzi Polaków. Na jednem skrzydle ten bierze górę, na drugiem znowu kto inny, a wszystko jakoś razem się godzi. To nie bitwa, ale wyścigi, igrzyska i gonitwy na polu, kto kogo przepędzi, kto od kogo zuchwalszy. Bój najnieporządniejszy w świecie, przypadkowy, obie strony wiele pokazały męztwa, ale zwycięztwo było też dziełem przypadku. Zawsze jednak górę wzięli Szwedzi i przegrał fatalnie Pajkul, bo gdyby znał się na wojnie samą przewagą sił swoich złamałby nieprzyjaciela.

Już bitwa ustała, ale gonitwy jeszcze trwały. Burenschild zagnał się daleko za uciekającymi, wtem go z tyłu pomacały chorągwie polskie. Odwrócił się, przeparł je i gnał dalej za Odolany, gdzie już Sasi stanęli i liczyli się po stracie. Po drodze spotyka podpułkownika Sakena, który ze szwadronami Kruzego odparł Polaków, niedawno pułku tego zwycięzców. Saken miał z sobą jeszcze sześćdziesiąt ludzi Kaftego, więc nowa bitwa zawiązuje się pod Odolanami. Sasi wywróceni i ścigani dalej o pół mili, tutaj sam Pajkul dostaje się do niewoli, ale widząc że odkryty, ciska na ziemię moc papierów, które zwolna podnosi jakiś jeździec szwedzki. Wtem znagła nadlatują nowe dwa szwadrony saskie i kilka chorągwi polskich, wracając uznojone z bitwy; okalają zaraz Burenschilda, który na chwilę ujrzał się w kłopocie; szczęściem że pospieszyła mu na odsiecz piechota szwedzka w sam raz, bo byłby przepadł z kretesem. Sasi umknęli.

Marszałek konfederacji Bronisz, jeden z panów polskich, co to nie mając osobiście dowództwa znajdowali się w ogniu przez cały ciąg bitwy, dał nieraz dowody męzkiej odwagi i przytomno-

ści umysłu. Właśnie w tej oto chwili jest przy Burenschildzie i wymownie mu tłómaczy żeby dalej nie ścigał rozbitego nieprzyjaciela, bo wpadnie w błota i lasy, a jak się z nich potem wydostać? Dowódzca szwedzki słucha głosu rozsądku i zawraca ku Warszawie. Ale tu nowy kłopot. Rozbiegło się wszystko, gdzie kogo szukać, gdzie jenerał Nieroth? Tu znowu przypomina się nam homeryczna cecha tej bitwy; dowódzcy jedni o drugich nie wiedzą, po placu boju szukają się jak w lesie. We dwie godziny dopiero powrócił Nieroth, także w ściganiu zapędziwszy się zadaleko. Zwycięzcy więc weszli do miasta z tryumfem i maszerowali po ulicach wiodąc za sobą jeńców, a potem rozleźli się po przedmieściach i rozłożyli w podłuż Wisły. Ale jeszcze dla nich nie było spoczynku. Mówiliśmy, że w czasie boju Wołosi i ci z pomiędzy Polaków, co łakomsi byli na zdobycz, uprowadzali łupy swoje ku Wiśle, a potem jakby unikając pogoni nieprzyjaciela, przeprawiali się na Pragę. Bój wrzał w najlepsze, a ci tylko myśleli o sobie. Wołosi tymczasem wpadli do miasta i w okolicach zamku rabowali — to dla nich było obfite żniwo. Ale nie spostrzegli się jak upłynęło godzin kilka, jak wojna oddalała się od murów stolicy i jak Szwedzi powrócili do miasta. W kwandrans ledwie po czasie kiedy Szwedzi zabrali się do spoczynku po trudach, owi prażanie zaczęli się wielkiemi massami przeprawiać przez Wisłę, w nadziei że sobie pohulają w Warszawie. Ale wybrali się już za późno, bo zwycięzcy zaraz wsiedli na konie i natarli na nich; wszystko napowrót zaczęło zmykać i nawet Wołosi co bonowali w mieście, jak kaczki teraz wskakiwali do Wisły. Szwed z brzegu strzelał i zabijał, inni tonęli nie mogąc oprzeć się pędowi bystrej rzeki. I tutaj na tej przeprawie jeszcze z 500 ludzi zginęło.

Bitwa jednakże była morderczą. Trwała 6 godzin, od 8ej z rana do 2ej po południu. Szwedzi chociaż otrzymali stanowisko, ale więcej ich zginęło jak Sasów i Polaków. Listę poległych Szwedów spisał Nordberg w swoich Dziejach Karola XII; byli pomiędzy nimi i wyżsi nawet oficerowie: zginął major Lagerfeldt i wielu kapitanów. Sasi uprowadzili też z sobą 148 jeńców szwedzkich. Biedny Pajkul był w najkrytyczniejszem położeniu po owych przechwałkach, po zapowiedzi zwycięztwa danej z góry. Grzecznie przyjęty od Burenschilda, bo obadwaj znali się kiedyś

kiedy razem służyli w wojsku francuzkiem. Obadwaj młodzi byli sobie przyjaciołmi. Pajkul dumny przewagą swoją, spodziewał się że Burenschilda wieczorem dnia owego pamiętnego zobaczy w swoim obozie, ale inaczej się stało; owszem całe rano tego jedynie się troskał, żeby Szwedzi nie odmawiali mu gorąco upragnionego boju. Teraz składał przyczynę klęski na poltrowanie jak mówił, Sasów i już się pośrednio bitwy wyrzekał. Dostało się i Szwedom. «Gdyby, powiadał do swojego znajomego Burenschilda, Clas Bonde miał cierpliwość czekać na posiłki, a nie sam się rzucał na nas, byłby żył, bitwy by nie było i ja nie byłbym tutaj».

Bitwa ta miała stanowczy wpływ na dalsze losy konfederacji warszawskiej. Oprócz albowiem rozbitych wojsk saskich, dosyć znaczne jeszcze siły polskie i litewskie stały po drugiej stronie Wisły w okolicach Pragi; nie przeprawiały się zaś na lewy brzeg tylko dla niezmiernej wody na rzece. Ale sama już ich obecność jak rozpędziła konfederację, tak i teraz nieustannie groziła Warszawie. Udawali dowódzcy polscy, że w kilku miejscach razem most budują. Teraz po zwycięztwie nie straszni już byli stronnicy króla Augusta i dlatego radzi nie radzi odciągnęli w inne strony. U Szwedów był marszałek Bronisz, byli posłowie krakowscy, którym niby to straż honorową przydano, ale więcej dlatego żeby mieć ich na oku; więc konfederacja wprędce odżyła i mogła powrócić do Warszawy. Wprawdzie Sasi jeszcze pokazywali wiele gotowości ku wznowieniu walki; zaufani w pomocy elektora brandeburgskiego grozili, że lada chwila wejdą do Warszawy i rozpędzą konfederację, ale były to strachy na Lachy bo nadciągnął do stolicy zaraz z dwoma regimentami szwedów pułkownik Dahlhorff. Wielkopolanie odżyli a bucie saskiej znakomicie rogów przytarto. Nie dosyć tego: przyjechał znowu i sam król Leszczyński, za nim posłowie francuzcy i szwedzcy. Bronisz miał co opowiadać jako naoczny świadek boju; w słuchających odwaga rosła, a tymczasem ważne wypadki się zbliżały. Otóż ważnym skutkiem zwycięztwa pod Warszawą było to, że traktat szwedzki przychodził do skutku i że można już było w Warszawie pomyśleć szczerze o koronacji Stanisława. Dla miasta nie były wcale klęską ani traktat ani koronacja, owszem Warszawa zyskiwała na ruchu, zawrzała nowem życiem, ale inne skutki

tego zwycięztwa dla prowincji były okropne. Nieroth pewny siebie po zgromieniu nieprzyjaciela, postępował sobie jak gospodarz w Polsce, wiele wsi szlacheckich popalił w Mazowszu i w województwie rawskiem, gniewając się że nie prędko wydają mu kontrybucję, a kiedy on rozłaził się z pułkami, inne pułki Szwedów ściągały ku miastu. Karol XII tak samo jak jego dumny jenerał, pustoszył kraj, wyniszczał lud biedny, postępując nad Wisłą ku Warszawie. Król szwedzki albowiem zaraz po odebraniu wiadomości o boju, wyszedł z Łowicza na Bolimów i Błonie, gdzie założył główną swoją kwaterę, na cały czas spodziewanych uroczystości warszawskich (w drugiej połowie sierpnia); wojsko rozłożywszy po wsiach w okolicy na stanowiskach, sam zaraz nazajutrz pospieszył na plac bitwy, jako badacz i znawca; objechawszy pole konno ze swoimi jenerałami i rozpytawszy się o szczegóły, nie zaczepiając Warszawy znowu powrócił do Błonia (19 sierpnia). A nasi tymczasem most na Wiśle stawiać zaczęli dla stronników Leszczyńskiego, którzyby na koronację nadjechać mieli z Podlasia, z Litwy i z województw południowych.

Był też czas o niej pomyśleć, bo wszystko temu sprzyjać się zdawało. August nie ufał swojemu szczęściu i zupełnie Polskę opuściwszy, udał się do Drezna, żeby tam się naradzać z przyjaciołmi co dalej robić. Szwed szczerze już myślał ścigać go w Saksonji i chciał się tylko z koronacją w Polsce ułatwić. Car Piotr cofnął się, a szedł już ku Warszawie wspólnie z Sasami nękać Szwedów, co się wykryło z papierów zabranych Pajkulowi, w których znaleziono rozmaite plany. Było więc dla stronników Leszczyńskiego wszelkie w stolicy bezpieczeństwo i nawet sam nowy król doznawał wiele przywiązania od szlachty. Stanął w pałacu radziwiłłowskim i ciągle przyjmował gości, którzy się teraz więcej do niego kupili jak w czasie elekcji. Szlachta ze stron wszystkich, a z okolic najwięcej, gromadami się zjeżdżała, szła na pokoje królewskie, a na twarzach wszystkich można było widzieć radość; tłumiła się i winszowała panu swojemu, to jak wtedy mówiono «szczęśliwych sukcessów miecza», to elekcji, to nadchodzącej koronacji. Nie był to już upor jakiś dziwny szlachty, a widoczne postanowienie pewnej części narodu, chcącej zerwać z niedawną przeszłością. Król tedy kazał rozpisać uniwersały na

sejm koronacyjny i dzień 4ty października na samą uroczystość przeznaczył.

Kiedy tak wszystko cieszyło się i gotowało do publicznego wystąpienia w Warszawie, bywały i nieprzyjemne zdarzenia, które ostrzegały, niepokoiły konfederację. Po cichu przywieziono brewe z Rzymu, w którem jawny zakaz był zwrócony do biskupów polskich, żeby nie ważyli się towarzyszyć koronacji Leszczyńskiego. Gdyby zakazu tego posłuchano, koronacja już tem samem do skutku przyjść nie mogła. Breve to przysłano na ręce jakiegoś franciszkana, z rozkazem, żeby je biskupom porozdawał. Zakonnik ów sam podobno osobiście udał się naprzód do sufragana chełmskiego księdza Jana Dłużewskiego, który w stronnictwie szwedzkiem wielki podówczas rej wodził, ale się brzydko zawiódł w swojem oczekiwaniu, jeżeli sądził że przestraszy tego biskupa (23 sierpnia). Dłużewski nie rozpieczętowawszy nawet owego breve, jak stał odebrawszy pismo, tak zaraz prosto udał się do króla i rzecz całą panu opowiedział. Stanisław kazał wołać przed siebie franciszkana i łagodnie pytał się o powody tak zuchwałego kroku i śmiałości, że odważył się takie poselstwo przyjąć na siebie. Ubogi zakonnik wymawiał się posłuszeństwem klasztornem: breve przysłano mu z Rzymu od jenerała i rozkazów starszych słuchać musiał. Król acz dobry, rozgniewał się i kazał natychmiast franciszkanowi temu z miasta ustąpić, nawet bez pożegnania się z bracią zakonną, innej zemsty nie szukał. Pozostała więc ta sprawa w Warszawie bez żadnego skutku, tylko w Gdańsku publicznie skompromitowano przez breve księcia prymasa, bo ktoś w nocy przybił nakaz rzymski do drzwi jego kamienicy. Bądźco bądź, wywołał ten krok nietrafny jakieś rozdrażnienie w umysłach, czego skutki dały się widzieć potem w listach od konfederacji pisanych do Rzymu.

Leszczyński zajął się więc głównie przyszłą uroczystością. W dniu 31 sierpnia przyjmował publicznie posłów szwedzkich od Karola XII, którzy mu list od pana swego przywieźli, z oświadczeniami przyjaźni. Potem królowi polskiemu oznajmili, że Szwecja chce zawrzeć z Rzplitą ostateczny traktat. Dlatego upraszali Leszczyńskiego, żeby pozwolił na otwarcie przerwanych już poprzednio, a w tym celu zebranych konferencyj. Naturalnie z tej strony nie było się czego lękać odmowy, a więc konferencje żą-

dane otwarte zostały zaraz dnia następnego w kościele księży Karmelitów na Krakowskiem Przedmieściu (1 września). Z boleścią serca widzieli Szwedzi, że nie ma wszystkich komisarzów polskich, a mianowicie hetman w. kor. Lubomirski nie zjechał, widocznie z niechęci, że sam nie był na króla obrany, a biskup poznański, drugi komisarz, był jeńcem Augusta od zeszłej jesieni i przyjechać nie mógł; otóż na ich miejsce, aby czasu darmo nie tracić, bo konferencje miały skończyć się przed koronacją, król Stanisław wyznaczył do traktatu biskupa kamienieckiego Gnińskiego (był to drugi biskup wielki przyjaciel Szwedów) i kasztelana sieradzkiego Franciszka Zapolskiego.

Dnia 28 sierpnia 1855 roku.

Ksiądz Wincenty Santini

nuncjusz w Polsce

1722—1728 [1]).

Ksiądz Hieronim Grimaldi (Argento) z hrabiów Milańskich arcybiskup Edessy, miły królowi i Rzplitej, zapadł na ciężką chorobę w Warszawie. Ważyło się długo na tę i na ową stronę; w styczniu miał się nieco lepiej i król bawiący wtenczas w Saksonji szczerze się z tego ucieszył, ale w lato pogorszyło się i ksiądz Grimaldi w początkach jesieni zakończył życie na dniu 1 paździer-

[1]) W numerze sierpniowym Biblioteki Warszawskiej 1853 r. jest długi ciąg wypisów p. Tymoteusza Lipińskiego z gazet pisanych. Szanowny ten uczony przytaczając szczegóły o sporze księdza Santiniego z marszałkiem wiel. kor. Mniszchem, nie umie ich objaśnić. Nasz artykuł ma właśnie ten brak zastąpić. Oddawna powzięliśmy już myśl wystawienia w historycznej opowieści stosunków Polski z Rzymem, a mamy ku temu przygotowane dosyć obfite materjały. Jako szkic, kanwę tej roboty napisaliśmy przed kilku laty rozprawkę, którą wydrukował Przegląd Naukowy z r. 1848, tom IIgi, str. 114 i 151 z potwornemi błędami druku. Tam już pomiędzy innemi jest wskazany za nuncjusza rzymskiego w Polsce Krzysztof Szembek biskup płocki (którego obszerniejszy życiorys w Pamiętniku religijno-moralnym 1850 r.), co pan Przezdziecki podaje za osobliwość w r. 1850 (patrz jego Wiadomości itd. str. 170). Artykuł niniejszy niech nateraz zostanie wyjątkiem z owego dzieła, które mamy zamiar kiedyś, jak mówimy, jeżeli Bóg zdrowia pozwoli, wygotować o stosunkach Polski z Rzymem

nika 1721 o pierwszej z rana, nazajutrz po swoich imieninach. Byłto pierwszy nuncjusz który umarł w Polsce, pierwszy który spoczął u nas w grobach u Teatynów. Bawił w Polsce lat blizko 9 [1]).

Nuncjatura w Polsce była widać piękną posadą, kiedy znalazło się wielu kandydatów, którzy starając się o wakans, oblegli tron papiezki. Pomiędzy innymi gorliwie zabiegał o tę posadę ksiądz Passini nuncjusz w Szwajcarji; ale jak na złość dla niego, ksiądz Santini znalazł przyjaciół na dworze rzymskim, którzy jego naprzód wysuwali, polecając łasce papieża. Innocenty XIII wahał się długo, to jest dłużej jak zwykle, wreszcie po miesięcznej przeszło zwłoce, oświadczył się za Santinim (nominacja nastąpiła w listopadzie 1721 r.).

W Polsce mało znano księcia Santiniego, który zdaje się, dotąd żadnych publicznych obowiązków nie sprawiał. Wiedziano tylko u nas, że był arcybiskupem Trepezuntu, a skoro zaraz po nominacji zaczęła się nim coraz więcej zajmować Rzplita, latały wieści, że to ksiądz dostojny, grzeczny, łagodny; więcej też niczego nie potrzeba było dla Rzplitej.

Zanim jednakże przyjechał do Polski Santini, audytor zmarłego nuncjusza chciał na małą skalę udawać wielką powagę i przywłaszczał sobie juryzdykcją, która mu prawnie nie należała. Być może, był taki zwyczaj w Rzymie, że audytorom poruczano władzę nuncyaturską gdzie w innym kraju, pomiędzy śmiercią lub wyjazdem a nastaniem następnego nuncjusza; ale tego nie było jeszcze nigdy w Polsce: wszelka więc nowość raziła w kraju szlacheckim, który przywykł do szanowania swoich świętości i zasad rządu. Bądź co bądź, jakkolwiek tam było, dosyć, że audytor księdza Argento zgłosił się do kanclerza koronnego Szembeka (w grudniu 1721) i oświadczył mu, że ma władzę od Rzymu sobie nadaną, wykonywania dalej w Polsce sądów nuncjatorskich aż do przybycia księdza Santiniego. Chciał więc odrazu zafundować swoją juryzdykcję i o tem uwiadamiał kanclerza jako ministra spraw zagranicznych. Ale Szembek człowiek bardzo pobożny jak wszyscy podówczas Szembekowie, który sam nabudował wiele klasztorów i hojne rozdawał jałmużny, a więc ślepo stolicy apostolskiej

[1]) Datę śmierci wzięliśmy z księgi bractwa Pięcio-Rańskiego przy kościele Po-paulińskim w Warszawie.

oddany, nie śmiał jawnie zaprzeczyć tej władzy audytorowi i zwrócić jego uwagę na to, ile podobny krok byłby źle uważany od biskupów i szlachty. Poszedł zatem pośrednią drogą, i czyniąc zadość powinnościom urzędu dał do zrozumienia audytorowi, żeby wprzód postarał się o pozwolenie królewskie, jeżeli chce władzę nuncyatorską wykonywać, a bez wiedzy pańskiej nie radził mu przywłaszczać nawet cienia powagi wyższej nad stopień. Audytor poprzestał na tem ostrzeżeniu, bo niema śladu, żeby się potem o mniemane prawo swoje dopominał.

Czekali więc wszyscy w Polsce na nuncjusza, ale że król bawił podówczas w Saksonji, Drezno prędzej jak Warszawa ujrzało księdza Santiniego. Szalony był podówczas karnawał w Dreznie: nuncjusz miał nagle spaść między bale, karuzele, assamble, teatra, muzyki, które wszystko aż do Polski ogłuszały (w styczniu 1722). Z biskupów Rzplitej czekał na niego w Dreznie jeden Hozyusz, który pozyskawszy sobie łaskę królewską, tylko co został inflanckim, a za chwilę już i kamienieckim biskupem.

Pierwsze wrażenie po przyjeździe nuncjusza musiało być zawsze nijakie: ni złe, ni dobre, bo dopiero czyny jednają człowiekowi stałych przyjaciół albo nieprzyjaciół. Owszem to pierwsze wrażenie musiało być pomiędzy biskupami przychylne dla księdza Santiniego. Ledwie króla powitał w Dreznie, zaraz wyjechał do Warszawy. To pokazywało, że chce się zająć gorliwie obowiązkami swego urzędu, bo nie był nuncjuszem w Saksonji, ale w Polsce i do spraw duchownych Rzplitej. Inni nuncjusze dworacy, całe życie przepędzili z królem; August do Polski, oni do Polski, król do Saksonji, oni do Saksonji: chyba, że w czasie wojny szwedzkiej bawili się długo na Szlązku. Ale Santini przyjechał sam do Warszawy. Zaraz podług zwyczaju wyprawił dosyć świetne exekwje za duszę swojego poprzednika w kościele Teatynów. Trzy dni trwało to nabożeństwo (w poniedziałek do środy przed 20 marca). Znajdowały się na niem wszystkie zakony, a celebrującemu na zakończenie nuncjuszowi assystowała kollegiata i dyjakonowie; kazanie miał ksiądz Zachniewicz kanonik warszawski. Drabanci królewscy stali przez trzy dni na straży u wrót kościelnych. Na Wielki tydzień święcił oleje ks. nuncjusz u Teatynów.

Od października więc, aż do lutego, kiedy się wreszcie nowy nuncjusz pokazał w Rzplitej, upłynęło pięć miesięcy.

W lipcu nadjechał i sam król do Warszawy, dał posłuchanie przy ministrach prymasowi i nuncjuszowi, przyjmował potem ks. Santiniego u siebie. Wszystko szło dotąd jak najlepiej. Nastąpił w październiku sejm, na którym znajdował się także nuncjusz.

Po niejakim czzsie charakter księdza Santiniego zaczął coraz więcej objawiać się na zewnątrz. Ten człowiek pragnął rzeczywistej władzy i znaczenia, i choć miał jej dosyć w Polsce, więcej jak gdziekolwiek indziej mieli jej nuncjusze, jednakże dla jego dumy było to jeszcze za mało. Ksiądz Santini był bardzo czynny i lubił wdawać się we wszystko. Przyjechał z tem przekonaniem, że całe duchowieństwo polskie woli jego ulegać powinno jako reprezentującemu głowę widomą kościoła. Mięszał się więc w nieswoje rzeczy, do władzy i rządów swoich pociągał świeckich, wglądał w prawa królewskie patronatu i opactw, jakby chciał wszystko objąć pod siebie. Taka władza mogła się udać w małych Rzplitych włoskich, albo elektorstwach niemieckich, ale nie w Polsce, gdzie duchowieństwo i biskupi mieli swoje przywileje szlacheckie, którychby za nic w świecie nie poświęcili nikomu. Jakże dziwnie jeszcze odbijały pretensje księdza Santiniego do rozdawania beneficiów i opactw, przez co już naruszał prawo samego majestatu! Pełno świadectw jest o tem, że arcybiskup Trapezuntu przechodził wszelką miarę i wszystkich swoich poprzedników w chęci rozszerzenia swojej władzy. Nieraz z tego powodu miał nuncjusz zajście z samym pobożnym kanclerzem Szembekiem, którego protokuły zajęte są skargami, sądami i wyrokami różnych stron przeciw nuncjuszowi. Konsystorz Santiniego wdawał się nareszcie w rozsądzenie spraw ziemskich i dopuszczał do siebie z owych sądów appelacje od duchowieństwa [1]).

Zkądinąd ksiądz Santino był to człowiek bardzo rozumny i rozsądny. Papież miał wielkie wyobrażenie o jego zdolnościach i trafności w postępowaniu. To też tem dziwniej świadomym rzeczy i znającym bliżej osobę arcybiskupa Trapezuntu wydawać

---

[1]) Protokuły Szembeka przeglądał Czacki: patrz dzieło «O litewskich prawach», nowe wydanie T. I, str. 325.

się mogło, że sobie przywłaszczał tyle powagi z ujmą praw Rzplitej. Za jego np. wyrokiem, zakonnicy wdzierali się na opactwa i różni duchowni obejmowali beneficja bez prezent królewskich. Nie było tego jeszcze nigdy w Polsce, by ktoś obcy rodzinne dostojności rozdawał: dotąd na jedne wakanse mianował król, na drugie panowie, na inne wreszcie głosów braterskich, to jest elekcji było potrzeba. Tak w opactwach, tutaj król mianował, tam znowu zakonnicy wybierali opata, ale za potwierdzeniem królewskiem, tak dalece, że król miał zawsze wiele prawa wpływać na te elekcje, które się odbywały pospolicie według jego woli i życzenia. Juścić kiedy król zniszczył w kapitułach elekcje biskupów i sam rozdawał wolą swoją infuły, samo z siebie wynika, że mniej dbał o jakieś tam przywileje klasztorne, tembardziej, że w klasztorach moc była zakonników nieszlacheckiego stanu. Ale co do opactw, jeszcze to się wahało pomiędzy stronami: sama zasada nawet była niepewną kto ma prawo wybierać opatów. Prawo to zakwestjonował Zygmunt III, który pierwszy stanowczo z królów polskich zaczął swoim sekretarzom, zasłużonym na dworze panom duchownym, rozdawać niby starostwa, bogate opactwa i klasztory. Bronili się mnisi, ale nadaremnie. Mnożyło się w Polsce coraz więcej komendatoryjnych opatów, to jest świeckich księży i biskupów, a lubo i klasztory wybierały sobie opatów tak nazwanych klasztornych, pierwsi pobierali z dóbr dwie trzecie, a ostatni jedną trzecią dochodu. Łatwo teraz rozumieć, jak musiało razić w Polsce, kiedy nuncjusz dawał to, czego król zupełnie jeszcze dawać nie mógł. Santini popierał opatów klasztornych i wdawał się za nimi, by pobierali całe dochody, jak było kiedyś przed reformą Lutra; a więc tem samem odrzucał opatów komendatoryjnych, obrażał wysokie duchowieństwo Rzplitej i samego króla, przez ten wyskok szalonej dumy gwałcił prawa kardynalne narodu.

Zdarzyła się też innego wcale rodzaju sprawa w województwie krakowskiem: na jakichścić dobrach był wyderkaf, z którego płaciła się prowizja dla kościoła. Szlachcic zaległ w świętym podatku, jak to nie nowina: tak to bywało, bywa, i będzie zawsze. Zamiast być powodem i stroną, nuncjatura stawała się sędzią: wytaczano przed nią sprawę, a Santini kazał nieopłacającego się szlachcica zapozwać przed swoje sądy. Było to samo co na-

raz zamącić wszystkie rozumy szlachty polskiej, która pojąć nie mogła takiej kollizji władz i prawodawstwa.

Nic dziwnego, że Santini miał w Polsce stronników, bo wszelka sprawa, zła i dobra, znajdzie zawsze dla siebie stronników. Kto liczył na łaski nuncjusza i Rzymu, garnął się chętnie do niego, świadczył i podżegał. Rozsądniejszy byłby nauczył nuncjusza, że to dziwne jego postępowanie przysporzyć mu tylko mogło liczbę nieprzyjaciół i nic więcej; ale widać Santini nie miał takich szczerych doradców, tylko takich którzy spekulowali na niego. Może pod zasłoną kościoła i urzędu myśleli o własnym intoresie i próbowali czy się co nie uda.

Trafiła kosa na kamień: najzaciętszym przeciwnikiem Santiniego pokazał się książę prymas Teodor Potocki. Kiedy nuncjusz przyjechał do Polski, Potocki był jeszcze biskupem warmińskim i umizgał się bardzo pięknie o Kraków, który miał zawakować, gdy Szaniawskiego chciał król przesadzić na Gniezno. Ale gdy Szaniawski podziękował za arcybiskupstwo i Potocki musiał się rozstać z myślą o Krakowie, która w nim od czasów wojen szwedzkich bezustannie jak mara nocna gościła; został sam zato arcybiskupem gnieźnieńskim. Był więc już przez to samo legatem w Polsce i posłem stolicy apostolskiej z urzędu (legatus natus), a korzystając z okoliczności chciał upokorzyć Santiniego i nowym blaskiem przyodziać infułę gnieźnieńską. Już poprzednio kilka razy zachodziły spory prymasów z nuncjuszami o tę prerogatywę władzy, i nieraz przychodziło do nowych o to sporów: walczono o zasadę, czy w Polsce prymas nad nuncjusza, czy nuncjusz nad prymasa jest wyższy? Rzym oczywiście trzymał stronę swojego, ale gorliwy i ambitny prymas był silniejszym na swoim gruncie. Takim właśnie prymasem był Potocki. Człowiek w samej sile wieku, dumny do wysokiego stopnia dlatego, że arcykapłan narodu i że Potocki, lubiący się także nasuwać każdemu i mięszający wszędzie swoje trzy grosze, ruchliwy, przekonany wysoko o swoim rozumie i zdolnościach, impetyczny nawet aż do zapomnienia się, gorączka: w każdym razie prymas był bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem dla Santiniego.

Zamiast więc łagodzić samemu i być pośrednikiem, jak to wypadało z jego urzędu w zawikłaniach, jakie pokazały się z powodu mięszania się we wszystko nuncjusza, prymas jeszcze wię-

cej rozdmuchiwał niechęci. Jego widocznym planem było: przyprowadzić rzecz do ostateczności, potem urząd nuncjatury stanowczo do arcybiskupstwa gnieźnieńskiego przeciągnąć, ile że do tego prymasi mieli prawo w samym tytule swoim i przywilejach. Potocki traflał przez to w słabość narodową, w myśl ograniczenia władzy nuncjuszów, a nawet pozbycia się całkiem tej władzy; rodziła się kilka razy, i ledwie ucichło cokolwiek, znowu po niejakim czasie ta myśl powracała i nurtowała z większą jeszcze siłą. Tak naród pobożny, religijny i per excellentiam katolicki, nie mógł się długo oswoić z nuncjuszami, będąc o siebie zazdrosny.

Niezaraz jednakże przyszło do otwartego zerwania. Nuncjusz przejeżdżał się z królem po Saksonji i Polsce. Długi czas z nim razem przesiedział w Dreznie (1724—25), owszem był dosyć mile widziany na dworze: ciągle Augustowi celebrował to w Dreznie, to w Pilnitz. Miał udział w uroczystościach familijnych pana, np. na weselu hrabiego Friese, który się żenił z siostrą najukochańszą Maurycego de Saxe. Kiedy celebrował, baldachim nad nim unosili panowie tacy jak np. marszałek wielki koronny Mniszech i książę podkanclerzy litewski, Fryderyk Czartoryski; jeździł nuncjusz z królem i po jarmarkach lipskich, jednem słowem, zdawało się pozornie, ze nic pomiędzy nimi zgody nie zakłócało.

Od kilku już lat ciągnęły się często bardzo przerywane konferencje wyznaczonych przez Rzplitą panów, ze wszystkimi ministrami zagranicznymi, którzy przy dworze polskim bawili: z każdym z nich umawiano się o warunki dobrego sąsiedztwa i przyjacielskiego porozumienia się; z jednym tylko nuncjuszem układała się Rzplita o prawa patronatu królewskiego, chcąc przy zdarzonej okoliczności i tę sprawę, wywołującą tyle kłopotów, ostatecznie załagodzić. Nie zdało się wszystko na nic, bo na konferencjach panowie rozprawiali więcej o potocznych rzeczach i częstowali się nawzajem, jak mówili serjo o sprawach kraju. A zresztą trudno było trafić do ładu z księdzem Santinim; wszyscy nuncjusze zawsze mocno stawali za prawami stolicy apostolskiej i stosownie do tego mieli instrukcje, ale arcybiskup Trapezuntu był jeszcze więcej od poprzedników wymagający...

Wtem nastąpił wypadek. który zwichnął cały ten stosunek tajnych niechęci a pozornych grzeczności. Ni ztąd ni zowąd stała się owa znana katastrofa w Toruniu (w lipcu 1724), a w ślad za nią kommisja i krwawe wyroki. Oskarżają króla, że sprawy toruńskiej chciał używać za pozór, aby wyrobić sobie to, czego pożądał tak gorąco, to jest dziedziczność tronu w Polsce ze zmianą rządu monarchiczną. Przewidując los Toruńczanów, mocarstwa dyssydenckie ujmowały się za nimi i pisały noty do Rzplitej. Król był zaś kontent z tego nawarzonego piwa: powiadają, że chciał, by w tej sprawie przyszło do ostateczności i pogróżek wojennych, a nawet może i do samej wojny. Byłby miał zręczność wprowadzić wojsko swoje do kraju, niby na obronę Rplitej, a potem pogodziłby się z mocarstwami; stosownie do ich życzeń urządziłby sprawy religijne i położenie dyssydentów w Polsce, a potem pozawierałby z niemi związki i przymierza gwarantujące mu dziedzictwo tronu i większą władzę, dlatego, żeby mógł utrzymać prawa dyssydentów według woli mocarstw. Niewiadomo jak wiele w tem wszystkiem było prawdy, ale że królowi do ostatnich chwil nie ufała szlachta, na to dowody wynajdujemy prawie codziennie. W tym celu król sejm warszawski limitował na czas nicograniczony do Grodna, chcąc przez ten czas wyrabiać, jak mówiono, swoje praktyki.

Roku 1725 zaczęła się krwawa egzekucja wyroku na Toruń. Hetman Sieniawski przysłał do tego miasta zbrojną assystencją; podług prawa kommisarze zjechali, z nimi pan Flemming tajny doradca królewski, który był tam dlatego, żeby sędziowie nic nie spuszczali z surowości, niby to się ujmował za wiarę, a w rzeczy samej chciał rozdąsać więcej dyssydentów. Nad wszelkie spodziewanie nuncjusz Santini ujął się za Toruniem przeciw królowi. Nie robił tego, broń Boże, przez żadne dla dyssydentów przywiązanie, ale przez dobrze pojęty interes własny, to jest kościoła. Santini miał przenikliwość z natury, i bystro pomiarkował o co to idzie w tej sprawie: dla nasycenia chwilowej zemsty, nie warto było podług niego, narażać w Polsce przyszłość katolicyzmu. Zresztą sprawiedliwości i tak zadosyć się stało, że przywrócono kościół farny św. Anny i Bernardynki katolikom: pocóż się tyle znęcać, jeszcze rzeź wyprawiać? Jeżeli ocali się życie winnym czy niewinnym sprawcom zamachu toruń-

skiego, przetnie się przez to samo, myślał nuncjusz, droga do utyskiwań, do rozmazywań żalów za granicą, zamknie się usta państwom dyssydenckim, które pisały noty do Rzplitej, a w spokojnem załatwieniu sprawy widziały swój honor i osobistość: otóż dlaczego nuncjusz posłał do Torunia nakaz (czyli jak wtenczas mówiono w języku urzędowym: inhibicją) żeby się z wykonaniem wyroku śmierci kommisarze wstrzymali. Żeby zaś upozorować lepiej swoje wdanie się, nuncjusz utrzymywał, że to jest sprawa czysto kościelna i duchowna, i że ostateczny wyrok do sądów duchownych należy. Nie tłumaczył się obszerniej, bo tutaj szło mu jedynie o zwłokę. Ksiądz wiozący ten nakaz przyjechał pod samą chwilę tracenia winowajców, nie spóźnił się więc, ale bramy miasta zastał zamknięte. Czy kommisarze wiedzieli o tem że ksiądz przyjedzie, czy też dla innej jakiej przyczyny, ale nakazali na czas egzekucji zamknąć bramy. Ksiądz upomniał się; odpowiedziano mu, że wpuszczą go po spełnieniu wyroku, więc nie myśląc wiele, posłaniec nuncjusza powrócił sobie spokojnie do domu.

Nie udało się więc, ale czyn ten śmiały podniósł znakomicie w oczach drobniejszej szlachty powagę nuncjusza. Mało tam ona wiedziała o jego pretensjach, mało rozumiała prawne spory, ale to ostatnie wystąpienie jej się spodobało. Za to podnieśli wrzaski w niebogłosy panowie duchowni i świeccy i cała w ogóle szlachta wyższa, która dotąd wyłącznie spierała się z nuncjuszem. Postępek jego ochrzczono wdaniem się w prawa królewstwa, a przez to dano wrogom Santiniego hasło do zbierania na niego jak można tylko było, najliczniejszych zażaleń.

Nie chciało niebo błogosławić zamiarom elektora saskiego. Jeden z jego sprzymierzeńców umarł, drugi był zadaleko, inni za słabi; nareszcie Francja coraz więcej występowała z planem swoim względem Leszczyńskiego: zamiast coś zyskać, mógł król wiele stracić. Otóż dlaczego król znowu powoli zapomniał o nadziejach, jakie się przed nim tak nagle otworzyły i rad nie rad musiał kończyć sejm zaczęty. Ale już wyjechawszy w roku 1724 do Saksonji, ciągle tam siedział po całych prawie latach, znowu nadużywając władzy, gdy prawo kazało mu siedzieć w Rzplitej. Niby to czyniąc zadosyć swojej powinności wybierał się raz-wraz do Warszawy. Ciągle to w listach, to w ustnych zapewnieniach

twierdzili panowie bawiący się w Saksonji, że król się wybiera, że lada chwila wyjedzie. Już nawet ogłaszali dzień rozpoczęcia sejmu, już uniwersały wydawali, już sami się wybierali z powrotem do Polski, albo wyprawiali dworskie powozy, a tutaj ani widać było spełnienia tych częstych obietnic. Nuncjusz ciągle bawił się w Saksonii, zawsze pozornie z grzecznością przyjmowany. Było mu nawet, zdaje się, raźniej jakoś w Saksonji, gdzie miał daleko mniej nieprzyjaciół jak w Rzplitej, gdzie co najgłówniejsza nie widział ani na oko prymasa, z którym co chwila w Warszawie spotykać się musiał. Nareszcie wieści że król powraca na sejm do Warszawy, tyle nabrały znaczenia, że mówiono już głośno o wyjeździe nuncjusza z Drezna: Santini miał tylko poprzedzać króla. Już nawet dzień wyjazdu nuncjusza oznaczono w gazetach pisanych, był to dzień 8 lipca 1725. Nie zawiodła tą razą nadzieja: powrócił nuncjusz i król i zaraz rozpoczęły się na nowo tyle razy przerywane konferencje z ministrami.

Burza na serjo zaczęła się dopiero na sejmie przypadającym z limity w Grodnie r. 1726. Poprzednio nazbierawszy jeszcze moc dowodów na nuncjusza, posłano je do Rzymu ze skargami do hrabiego Lagnasco, który sprawy Rzplitej tam wyrabiał. Król pisał stanowczo, i natarczywie żądał odwołania nuncjusza, którego położenie oczywiście nie do pozazdroszczenia było. Że zaś jednocześnie Rzplita dąsała się na rezydenta angielskiego Fincka, który jak to mówią, dobrze zalał sadła za skórę katolikom: nie robiły te skargi na Santiniego tyle wrażenia co zrobiłyby pewnie inną razą. Mógł ktoś posądzić albowiem Rzplitę, że chce się kłócić ze wszystkiemi wtedy państwami. Fincka także chcieli ministrowie, żeby odwołano, ale król angielski się wzbraniał i otwarcie oświadczył, że o tem wcale nie myśli. Toż samo jeżeli nie powiedział, to myślał papież i Santini, na którego nikt wtenczas nie zważał: siedział ciągle w Polsce i czekał sejmu, ciekawy co sejm powie na to wszystko.

Przed samym sejmem hr. Lagnasco z Rzymu powrócił.

Obrady zagajono w Grodnie na dnin 28 września 1726 r. Naprzód inne materje zajęły senat i posłów, a dopiero kiedy z kolei przyszło do sprawy wszystkich żywo zajmującej to jest nuncjusza Santiniego, burzliwe posiedzenia naprawdę się zaczęły. Dnia 17 października złożono izbom połączonym raport o kon-

ferencjach mianych z nuncjuszem względem prawa patronatu z tą oczywiście uwagą, że konferencje z nim do żadnego nie doprowadziły rezultatu. To było zagajenie zemsty królewskiej i panów obrażonych w swojej dumie. August II skrył się za kulisami, a głównym powodem na tej scenie był książę prymas polski.

Przeczytano naprzód w izbach list królewski do papieża, nastający na odwołanie nuncjusza; ale nie przeczytano odpowiedzi papiezkiej i nie wiadomo nawet było, czyli jest jaka odpowiedź. Ztąd odzywały się ogólnie głosy, żeby marszałek sejmowy upomniał się o ten list, albo wyrozumiał hrabiego Lagnasca i doniósł stronom, jak rzeczy stoją. Nastrojeni posłowie zaczęli się szeroko rozwodzić o nadużyciach nuncjatury i nieprzyzwoitościach tego urzędu: prawili, że dwie są władze w Rzplitej najwyższe i dwóch nuncjuszów, bo jeden legat z urzędu; że nuncjusz z legatem zawsze muszą być w sporze, że nuncjatura niepotrzebna wcale i że wartoby ją skasować; że w Polsce dobrze zastąpi papieża arcybiskup prymas, a króla w Rzymie poseł Rzplitej kardynał protektor itd. Przygrawka ta trwała dosyć długo i całe posiedzenie zajęła.

Dnia następnego znowu wrzaski o list papiezki, który Lagnasco musiał przynajmniej przywieźć z sobą; nareszcie na trzeciej sessji (19 października) stoczono walną bitwę. Posłowie jeden przez drugiego zaczęli przymawiać się, żeby od stanów Rzplitej prosić papieża o odwołanie księdza Santiniego, a dla zakończenia sprawy o patronat, wnosili: żeby posła pełnomocnego Rzplitej natychmiast wyprawić do Rzymu. W Rzymie łatwiej będzie, powiadali, skończyć raz z tą sprawą, bo w Polsce tylko daremna przewłoka: nuncjusz odwołuje się zawsze do swoich instrukcij, obiecuje pisać do Rzymu, a odpowiedzi długo nie odbiera. Tymczasem poseł wielki będzie mógł zaraz na miejscu utrzeć wszystkie trudności. Na to powstał Karwowski podczaszy bielski, sławny mówca sejmowy i podał stosowny projekt dlatego, żeby ubić sprawę odrazu. A dla pewniejszego skutku podniósł głos przeciw kortezanom to jest księżom, którzy bawiąc się w Rzymie tam prosto u stolicy apostolskiej zabiegali o łaski i posady duchowne. Zręczny to był środek, bo w konstytucjach koronnych bardzo wiele praw stoi przeciw kortezanom. Projekt przeczytany spodobał się, zaraz nastąpiła na niego zgoda ogólna, wpisano go

pomiędzy konstytucje sejmowe, a potem pomieszczono w Voluminach legum. Stany oświadczały w tej konstytucji, że szanują równie jak przodkowie najwyższych pasterzów kościoła, to jest zwierzchność stolicy apostolskiej, że i teraz dają tego dowód, wyznaczając wielkie poselstwo, a to (i tutaj już następowały przymówki na serjo), żeby papież nam wolnym narodom in juribus cardinalibus majestatis et Reipublicae nec non patronatus ubliżać nie pozwalał itd. Dalej następują zażalenia w ogólnych wyrażeniach, o wdzierających się opatach i beneficjatach, o pociąganiu do sądów nuncjaturskich szlachty, o zakazach i appelacjach od sądów świeckich do nuncjatury itd. Są to nadużycia władzy, które wzruszały pokój królestwa, więc domagały się stany opisania nuncjatury polskiej na wzór innych nuncjatur w państwach katolickich; prosiły, by stolica apostolska zniosła wszystkie nadużycia i exorbitancje tejże nuncjatury dokonane z krzywdą świeckiego i zakonnego duchowieństwa i powagi prymasa, jako legata rzymskiego. A dalej dopominały się stany o odwołanie teraźniejszego najprzewielebniejszego w Bogu księdza nuncjusza, stanowczo i bez zwłoki (serio et indilate). Przy zdarzonej sposobności stany zatwierdzały uroczyście wszystkie prawa, ktoremi patronat królewski warowany był w Koronie i Litwie od czasów Olbrachta i Aleksandra, wyliczając wszystkie te prawa. Stanowiły też, że opactw i beneficjów duchownych nikomu bez prezenty i nominacji królewskiej dzierżyć nie pozwolą, i do egzekucji to prawo ministrom i hetmanom przywodzić nakazały: aby jeżeli będzie potrzeba do usunięcia przywłaszczycieli i poskromienia nadużyć nuncjatury, ludzi hetmani dodawali, a nieposłusznych więzili i dobra ich zawładnięte sekwestrowali: siła na siłę.

Konstytucja nastąpiła więc w tak szorstkich i mocnych wyrażach, że ubliżała prawie Rzymowi. Biskupi dla samej przyzwoitości starali się osłabić silniejsze wyrażenia i rzecz całą złagodzić. Znaleźli też sprzymierzeńców pomiędzy senatorami. Dwaj Czartoryscy, ojciec i syn, Kazimierz kasztelan wileński, i Fryderyk Michał podkanclerzy litewski wiele zabiegali o poprawę textu konstytucji: ojciec może przez pobożność, syn przez politykę, chcieli nawet punkta pewne całkiem wyrzucić. Ale nie udało się: stany Rzplitej myślały, że cofając wyrażenie, osłabią przez to

samo znaczenie konstytucji, a tutaj szło głównie o to, żeby wygryźć Santiniego i tryumfować nad nim.

Komu powierzyć poselstwo do Rzymu, żeby zawiózł tę konstytucję? — naradzano się także na sejmie w czasie trwających nad tą sprawą, obrad. Wnosili jedni, by jechał Franciszek Maksymilian Ossoliński podskarbi nadworny koronny, drudzy żeby Jan Tarło wojewoda lubelski. Ci, co nastręczali podskarbiego, mieli także myśl polityczną na celu: przed stu laty jeździł do Rzymu z hołdem od Władysława IV także Ossoliński, pamięć jego zbyt jeszcze była świeża w stolicy chrześciaństwa, bo pan ten roztoczył wielki przepych i gubił po mieście złote ostrogi. Otóż myśleli jedni, że posyłając teraz Ossolińskiego z wymówkami, zatrą dawne dobre wspomnienie o nich w Rzymie i że ta zmiana stosunków będzie naturalnie tem boleśniejszą kardynałom. Widocznie politycy polscy chcieli więcej kogoś ukłuć jak samego nuncjusza. Dla pobożnej Polski, która długo jeszcze wiarę ojców zachowała, były to już zaczątki owego XVIII wieku i filozofii, ale po wierzchu tylko przepływały te wpływy ponad duchem i ciałem narodowem.

Rzucono myśl o podskarbim nadwornym koronnym, żeby tem mocniej uczepić się Tarły. Biedny wojewoda lubelski długo się bardzo opierał, i nie chciał przyjąć poselstwa, a robił to z przezornej myśli: już to ambicji zarzucić mu nie można było. Tarło się wypierał, bo lękał się, czy wydoła kosztom podróży i poselstwa. Lubo to Rzplita wspierała zwykle panów jadących w jej sprawach po dworach zagranicznych, przecież zawsze oni tam więcej swoją świetnością jak hojnością Rzplitej błyszczeli. Wspomnieliśmy Ossolińskiego, ale Rzym pamiętał jeszcze drugie świeższe poselstwo księcia Radziwiłła, który był szwagrem Jana III. Jechać w podróż z taką jak oni wystawnością, nie pozwalały Tarle dochody, a ustępować znowu tym panom nie chciał. Dawano mu znaczną summę ze skarbu Rzplitej, ale wojewoda wciąż jedno powtarzał: że cała fortuna jego nie wystarczy, bo oszczędzać się nie myślał. W istocie był to twardy orzech do zgryzienia: kto zechce powieźć konstytucją grodzieńską do Rzymu. Ambicja łechtała, ale koszta wiele odstraszały. Wreszcie biskup krakowski Szaniawski, który w zażyłej zostawał przyjaźni z Tarłą, zaczął namawiać wojewodę i głaskał go imieniem poświęcenia się

dla kraju. Tarło już się zgadzał, ale potrzebował gotówki. Kiedy więc ministrowie nalegali, aby gotów był na każde zawołanie, zaraz i podskarbi wielki koronny Przebendowski przez księcia biskupa krakowskiego oświadczył mu, że chętnie ile możności do kosztów się przyłoży. Stanęło na tem ostatecznie, że ponieważ skarb nie ma wiele pieniędzy, a potrzeba ich, Tarło na dobra swoje pozaciąga długi, a procent od nich regularnie wierzycielom podskarbi ratami będzie opłacał.

Ostatecznie zatem posłem mianowanym został Tarło, i wpisany w konstytucją, miał się niezwłocznie wybierać w podróż do Rzymu.

Samo z siebie wynika, że po tem co się stało na sejmie grodzieńskim, ksiądz Santini lubo urzędownie przez dwór rzymski nie odwołany, przestał być nuncjuszem, bo w skutku zapadłej konstytucji stosunki z Rzymem przerwały się i miały dopiero wtenczas się odnowić, gdyby papież ustąpił, a następca Santiniego więcej umiarkowany przybył do Polski. Takim sposobem nuncjusz siedział nieczynny w Warszawie, czekając przyszłości. Nuncjatura de facto jeżeli nie de jure wakowała; ktoby rozpoczął sprawę jaką z Santinim jako reprezentantem stolicy apostolskiej, już tem samem narażałby się na ciężką przed narodem odpowiedzialność: mógł być sądzony za nieposłuszeństwo prawu. Nad wykonaniem konstytucji czuwał teraz z obowiązku w Warszawie marszałek wielki koronny Mniszech, do którego ta rzecz z urzędu należała.

Tymczasem na sejmikach relacyjnych województwa ruskiego w Wiśni, znalazł się niespodziewanie obrońca nuncjusza. Umyślnie napomkniono szlachcie o tej sprawie, chcąc ją zgrozą napoić i wywołać przez to zgorszenie albo fanatyzm. W Wiśni macał za puls szlachtę Cetner wojewoda smoleński (4 lutego 1727); w mowie napojonej oburzeniem utyskiwał wojewoda, że sejm zazbyt spiesznie sobie postąpił, że nie rozsądziwszy, nie przekonawszy się czy jest za co, karę na niewinnego wymierzył (supplicium ante judicium); dowodził dalej, że punkt względem odwołania, dotykający prosto dworu rzymskiego i nuncjusza, powinienby z konstytucji być wymazany. Wreszcie zaprzeczał, żeby na sejmie mówiono o zawieszeniu w juryzdykcji księdza Santiniego i utrzymywał, że we władzy tylko stolicy apostolskiej jest zawie-

szać i odwoływać nuncjuszów, że Rzplita nie ma do tego żadnego prawa, bo to poprostu jest wmieszanie się do spraw zupełnie obcych, jest to kollizyja i władz i pojęć. Słuchała szlachta dosyć uważnie pana Cetnera: mowa jego wywarła wpływ, ale żeby cofnąć artykuł potępiający Santiniego z konstytucji, na to nie było zgody ogólnej.

A w Warszawie nuncjusz bronił się jak mógł na wyłomie, nie ustępując jeszcze przed nawałnicą.

Marszałek wielki widząc, że Santini zabiera się do pełnienia swoich obowiązków jakby nic nie było, formalny posłał rozkaz do nuncjatury: że mu władzy fundować nie wolno i groził użyciem środków stósownych.

Z początku ksiądz przerwał czynności, bo musiał, gdy odstrychnęła się od niego cała palestra i mecenasi polscy, obawiając się prawa. Więc rad nie rad Santini milczał, ale zaraz poradził sobie. Raz po nabożeństwie u ś. Jana zagaił sądy, otworzył juryzdykcją swoją, zaciągnąwszy do pomocy aż patronów rzymskich. Ile sądzim nie sprowadził ich z Włoch, ale sam pewnie nadawał tytuły patronów rzymskich zręcznym prawnikom, którzy za zyskiem lecieli, i takim sposobem osłoniwszy ich powagą stolicy świętej, już tem samem zabezpieczył winnych (jeżeli to byli Polacy) przed surowością prawa. Inna rzecz, czy miał sprawy jakie do sądzenia; fakt przecież zawsze zostawał: nuncjusz sądził i pełnił swoje obowiązki mimo konstytucji. Jednocześnie nic nie zmieniając w swojem postępowaniu, bywał jak wprzód tak i teraz na zamku w czasie uroczystości królewskich, celebrował na nabożeństwach, plątał się z biskupami polskimi razem u św. Jana w kościele. Tą razą Santini dawał wzór umiarkowania panom.

W Rzymie te zatargi dwóch władz, duchownej i świeckiej w Polsce, najsmutniejsze wywarły wrażenie. Nie było to wrażenie żalu albo nagłej boleści, ale gniew długo tłumiony, niechęć do najwyższego stopnia, oburzenie. Pojąć nie mogli, żeby coś podobnego kiedy zajść miało i to jeszcze w Polsce. Nie było tu prośby ze strony Rzplitej, ale prosta napaść, rozkaz, groźba, urąganie się. Tak przynajmniej krok ten zrozumiał papież i kardynałowie, którzy gwałt nuncjuszowi przez marszałka wyrządzony najwięcej wzięli do serca (w lutym 1727). Kiedy ochłódły namiętności, rada w radę co robić, jak tu się znaleźć, żeby ocalić go-

dność i nie narazić się więcej, a osłonić nunejusza. A naprzód był głos ogólny w Rzymie, żeby za karę dać poznać Rzplitej całą szorstkość jej postępowania i nie przyjąć wcale posła wielkiego pana Tarły. Dalej zapaleńcy, którzy niczego ustąpić nie chcieli, krzyknęli w jeden głos, że Santiniego odwołać nie należy się, i że nuncjusz ten musi pozostać na swojem miejscu, że nie będzie na jego miejsce inny przysłany dopóty, aż juryzdykcji zakwestyonowanej Santiniemu marszałek Mniszech nie powróci. Zadosyćuczynienie musi być zupełne, inaczej Rzpltej nie być w zgodzie ze stolicą apostolską. Tak więc zanosiło się na to, że ani ta, ani druga strona nie ustąpi.

W Polsce znowu sprawiła wrażenie wieść o tych gniewach w Rzymie. Nadzieja cała była w konferencjach, które się rwały ciągle i zaczynały z limitą, i na które już panowie zjeżdżali do Warszawy. Tą razą król zwołał do stolicy samych senatorów Rzplitej; miało to być coś więcej jak prosta dotychczasowa rada senatu, a mniej jak sejm. Rzplita chciała urządzić na nowo swoje stosunki z państwami rozerwane od katastrofy toruńskiej. Zdawało się, że tutaj jakieś pomiarkowanie wzajemnych nieporozumień nastąpi, a przynajmniej że będą podane jakie środki i nowe onioski Rzymowi. Samo z siebie wynikało, że nuncjusz jako pwzbawiony przez Rzplitę władzy, układać się nie mógł, bo ktoby z nim rozpoczynał prace dyplomatyczne? Otóż właśnie gorączka tę nadzieję zniweczyła. Nie wytrzymał książę prymas; kiedy raz przyjechał do Warszawy na konferencje, po przywitaniu króla, udał się zaraz do Santiniego i półtory godziny z nim rozmawiał żwawo a z przekąsem. Miał mu np. doradzać, by pofolgował cokolwiek ze swojego religijnego zapału; dowodził, że to już nie te czasy, kiedy tyara trząsała światem, że ostygła pobożność w massach i ludzie już nie są tak zelosi pro ecclesia (gorliwi o dobro kościoła), że trzeba się obchodzić teraz z wiarą ostrożnie jak z ogniem, bo zbytnia surowość nie sprawi wrażenia, owszem samą władzę nuncjaturską, a więc i stolicę apostolską poda w pogardę. Trzeba było to wszystko połknąć w milczeniu od najstraszniejszego a najwięcej iuteresowanego w tem wszystkiem co się działo nieprzyjaciela (w początkach marca).

Zły zaczątek. W dzień naznaczony zjechali się panowie do pałacu królewskiego, ale konferencji nie było, bo brakowało kilku

z najcelniejszych panów, jakoto np. hetmana Rzewuskiego, nie było też pana krakowskiego i dwóch biskupów.

Czekano dzień za dniem, jeden przyjechał, drugi się wybierał, o trzecim ani słychu. Tymczasem król się leczył, a po medycynie zaraz prosto miał jechać do Saksonji i wszelkie starania około dalszego prowadzenia konferencji z panami i ministrami zagranicznymi zlecił księciu prymasowi. Z jedną tylko sprawą rzymską jakotako poszło, a przynajmniej postawiono w niej dalej krok jeden naprzód. Rzplita nie ustępowała nic ze swoich żądań. Napisano zatem w kancellarji królewskiej listy wierzytelne wojewodzie lubelskiemu na drogę do Rzymu, napisano mu też instrukcją, dalej wydano rozkaz skarbowi, żeby wypłacił posłowi wielkiemu koszta jakie się potrzebne okażą. Ale tu król zamilczał o dwóch okolicznościach: naprzód ile wypłacić Tarle, i powtóre nie oznaczył czasu, kiedy wojewoda ma się udać w zamierzoną podróż. Zdaje się więc, że w tem wszystkiem więcej było postrachów jak rzeczywistości. Pokazywano Rzymowi wszelką gotowość do prowadzenia dalej tego, co się raz już zaczęło, ale razem lękano się nowego ubliżenia. Już pół roku upływało od sejmu, a poseł jednak nie ruszał w drogę; teraz tem bardziej spieszyć się nie było czego, kiedy wiedziano w Warszawie z pewnością, że panuje w Rzymie wielkie oburzenie, kiedy były odgrożki, że posła nie przyjmą. Trzeba było naprzód wymiarkować ile w tych wszystkich wieściach było prawdy i niebezpieczeństwa, a potem postanowić coś pewnego. Dla tej to właśnie przyczyny, nie było nic powiedziano w instrukcji, kiedy Tarło ma się udać do Rzymu.

Wręczono też list wojewodzie od króla do papieża, którego treść mniej więcej była następująca: «odebrałem odpowiedź na list mój napisany po sejmie grodzieńskim i byłem z niego kontent, bo zanosiło się na zgodę między nami. Aż tu nagle spadły dwa brewia na głowy nasze. Zmartwiłem się z tego serdecznie, bo widziałem że wasza świątobliwość jesteś w błędzie i łajesz nas niesprawiedliwie. Nagadano tam waszej świątobliwości wiele fałszów o narodzie polskim, że go już wiara święta nie obchodzi, a naród jednak to polski, nie który inny od niepamiętnych czasów najwięcej broni wiary świętej i władzy doczesnej papieża. Takiż sam zapał dla niej panował na ostatnim sejmie, w owej nawet chwili, kiedy stany wyznaczały posła wielkiego do Rzymu;

nic tam broń Boże nie mówiono o władzy papiezkiej, nie ubliżano jej i nic przeciwnego jej nie postanowiono. Polska chce być zawsze jak była dotąd przedmurzem chrześciaństwa od barbarzyńców [1]).

Tarło w całej tej sprawie był stanowczo przeciwny Rzymowi. Możeby wojewoda w swoim czasie nie obudzał dumy narodowej, ale kiedy raz już krok postawiła Rzplita na tej drodze, honor sam doradzał mu ażeby iść dalej. Przyjąwszy poselstwo szczerże się niem zajął. Poiegając zatem na słowie podskarbiego, zastawiał swoje dobra, pożyczał, spieniężał, zabiegał, a przyjaciele szczerze mu do tego pomagali. Nie żałował wydatków dla dobra kraju i ztąd gromadzić chciał miliony, by się poprzednich poselstw polskich w Rzymie nie powstydzić i utrzymać godność narodową. Żal mu było Widachowa dziedzicznej majętności po dziadach i pradziadach w województwie sandomierskiem, ale sprzedał ją księciu biskupowi krakowskiemu za 200,000; dalej zaciągnął tyleż długu u pani ordynatowej Zamojskiej starościny grodeckiej na procent, następnie dożywocia i summ swoich, które miał na Sośnicy i Wielkich Oczach odstąpił księdzu Łaszczowi wielkiemu bogaczowi i staroście halickiemu, na które wziął 350,000 złotych. Za dziedzictwo Markuszowa i Czemiernik wziął od wojewody podolskiego 30,000. Z Kurowa podniósł summę od podkanclerzyny litewskiej 40.000. Z Sulejowa i Wałowic 60,000. Tursko majętność swoję wypuścił w dzierżawę trzyletnią Żelisławskiemu wojskiemu urzędowskiemu i wziął za nią 90,000 złotych. Za starostwo grabowieckie i miączyńskie, królewszczyzny, wziął 80,000. Zebrał więc ogromną summę 1,500,000 złotych, oprócz tego co wziął poprzednio z intrat. Wszystkie oryginalne kontrakty i tranzakcje, które zawierał, Tarło odsyłał do podskarbiego koronnego, dlatego, żeby pan minister gotów był do expedjowania poselstwa, kiedy czas nadejdzie, i prosił zaraz, aby regularnie Przebendowski wypłacał procent od tych pozaciąganych na długi kapitałów. Wszystko to było powinno przestrzedz stolicę apostolską, że jakkolwiek poselstwo się opóźnia, ale dojdzie do skutku, bo Rzplita nie pozwoliłaby na te okropne nakłady, i na to, żeby się dla niej rujnował jeden z zacnych bardzo obywateli. Bądź co bądź, Tarło był na

[1]) List ten datowany d. 30 marca 1727 z Warszawy, znamy go z rękopismu,

wylocie i czekał tylko hasła do wyjazdu albo pomyślnego wiatru z Rzymu [1]).

Wśród tych przygotowań do drogi, kiedy księdza nuncjusza i kilku gości, pomiędzy którymi było najwięcej cudzoziemców, jak posłowie francuzki i cesarski (ale był i marszałek nadworny koronny Stefan Potocki, brat rodzony młodszy księcia prymasa) częstował na kępie wiślanej Poniński sekretarz artylerji koronnej; nagle wieści się po Warszawie rozniosły, ze Santini ma być z Polski odwołany, i że to niby już zapadło w Rzymie (w czerwcu i lipcu 1727 r.) Rozpowiadano, że do tego kroku znaglił papieża ostatni wypadek, z którego wziął miarę o gwałtowności nuncjusza. Był zaś taki wypadek:

Zbrożek dworzanin księcia kasztelana wileńskiego sprzykrzył sobie świeckie życie i wstąpił do zakonu bernardynów w Warszawie. Nuncjusz czy widział w tem jakie przepuszczenie formy, czy też na czyje prośby albo prosto dla widzimisię jakiego, kazał Zbrożkowi natychmiast wystąpić z zakonu. Gdy Zbrożek wzbraniał się tego zrobić stanowczo, Santini posłał po niego podkanclerzego nuncjatury z nakazem, żeby pod karą wykroczenia przeciw karności zakonnej, zaraz do niego przyszedł. Wtenczas nowy mnich stanął przed surowym sędzią razem z definitorem, i w nuncjaturze zmuszono go dopiero zdjąć habit i ubrać się zaraz po świecku. Definitor zaraz na miejscu mocno się na to żalił. A co do Zbrożka namawiano go powtórnie, żeby wstąpił do zakonu, ale nie chciał: pozostał dalej w służbie księcia kasztelana wileńskiego.

Zdaje się z tego wszystkiego, że pan Zbrożek odegrał tylko sztukę; może też był to jaki fantasta, w każdym razie krok nuncjusza był gwałtowny i niczem nie usprawiedliwiony. Co go wywołało? — rozdrażnienie i wpływy cudze najprędzej. Ale arcybiskup Trapezuntu powinien był szanować się, bo czasem jednej kropli dosyć, żeby miarka się przebrała. Tak było przynajmniej tą razą. Bernardyni zaczęli się skarżyć bardzo głośno na gwałt przed generałem zakonu. Swoją drogą memorjał od Rzplitej posłano do Rzymu. Papież kazał natychmiast, skoro się o tem do-

[1]) Te finansowe szczegóły wzięte są z mowy Tarły, którą miał na sejmie konwokacji d. 22 maja 1733 r.

wiedział, wołać generała bernardyńskiego, aby się od niego dowiedział prawdy. Potem się zadumał i rzekł: nunquam tam prudentem virum putaveram haec fecisse (nie myślałem nigdy, by tak rozsądny człowiek mógł takie głupstwo zrobić).

Tak więc przeważyła w Rzymie dobra rada i Santini upadł; ale sprawa jego nie upadła, bo stolica apostolska cofnąć się nie mogła: taka już była jej polityka od wieków. Odwołać nuncjusza a nowego przysłać, było to ustępować, przyznawać się do przegranej; z drugiej strony trzymać dalej Santiniego w Polsce, przy rozdrażnieniu, jakie tam na niego było, niepodobna, bo wtenczas trzeba było na długi czas może ryzykować dobre stosunki z Polską. Zatem dwór rzymski wybrał drogę pośrednią: nie myślał odwoływać nuncjusza, a jednak nowego na missją czasową postanowił przysłać, żeby sprawy bieżące i nieporozumienia załatwił, żeby postarał się o usunięcie ostatniej konstytucji grodzieńskiej, żeby potem pogodził arcybiskupa Trapezuntu z duchowieństwem polskiem, ministrami i całą Rzplitą i wyrobił to, żeby władzę jego jak wprzódy uznawano. Legat nadzwyczajny miał wtedy po ułatwieniu tych trudności powrócić do Rzymu, a Santini napowrót objąłby swóje urzędowanie.

Wieści o tem wszystkiem nabierały coraz więcej pewności, kiedy gońcem z Rzymu powrócił do Drezna Dąbski wojewodzic kujawski (7 lipca). Miał on zaraz u króla posłuchanie. Przywiózł z sobą trzy brevia apostolskie: jedno do króla, drugie do księcia prymasa, trzecie do ministrów Rzplitej, a przedewszystkim do marszałka wielkiego koronnego. Treść tych pism wszędzie była jedna: że papież przyśle do Polski nuncyusza nadzwyczajnego, że poselstwa Tarły przyjąć nie może wprzódy, aż póki prawo sejmu grodzieńskiego przez drugi sejm zwalone nie będzie. Niebawiąc dalej Dąbski wyjechał do Polski na Przygodzice, żeby o wszystkiem zawiadomić pana Przebendowskiego podskarbiego, ważną podówczas figurę.

Jednakże zeszło lato i jesień, a obiecanego nuncjusza jak nie było, tak nie było. Tarły poselstwo wstrzymano, na co pan wojewoda bardzo się uskarżał, bo podskarbi od wszystkiego umył ręce i procentu za niego od summ pożyczonych płacić nie chciał. Santini ciągle siedział w Polsce i nie odjeżdżał do Rzymu; mówiono, że czeka następcy swojego, żeby mu zdał władzę: te baje

powtarzano jeszcze w listopadzie i w grudniu 1727. Mówiono, że Santini otrzymał stosowne ku temu instrukcje i że jak tylko następny nuncjusz przyjedzie, zaraz arcybiskup Trapezuntu opuści Polskę i uda się wprost do Rzymu, że skazany na niełaskę widocznie, bo nie przenoszono go z nuncjatury na nuncjaturę, nie okrywano purpurą kardynalską, nie powoływano do świetniejszego urzędu, ale poprostu, zalecano siedzieć w Rzymie i czekać sposobnej chwili, na zdarzyć się dopiero mający wakans.

We wszystkich tych baśniach nie było i słowa prawdy, bo Rzym, jak mówiliśmy, li tylko dla ułagodzenia sprawy i zatarcia nieporozumień wysyłał chwilowo nuncjusza i całą władzę zostawiał jak dawniej, Santiniemu. Ale tajemnica ta dopiero być miała jawną dla Rzplitej za przyjazdem nowego pełnomocnika, którego Rzym długo nie wyznaczał: czy namyślał się względem wyboru osoby, czy dla innych jakich powodów, dosyć, że ledwie późno, późno już nadbiegła wiadomość do Polski, że na nową missją do Rzplitej wyznaczony został ksiądz Kamil Paulucci, człowiek młody, mający dopiero 35 lat wieku.

Paulucci, z tytułem internuncjusza, przed samemi świętami Bożego Narodzenia stanął w Dreznie (roku 1727). Jechał prosto z Pragi czeskiej. 27 grudnia miał posłuchanie u króla w Dreznie. rozmawiał z nim przez półtora kwandransa, ztąd udał się do królewicostwa, a na obiad pojechał do hrabiego Lagnasco.... Znajdował się podówczas w stolicy saskiej wojewoda lubelski, który już od dwóch przeszło miesięcy deptał progi królewskie i umizgał się o łaski. Chciał zostać generałem artyllerji koronnej, i nibyto nie o to mu chodziło, nibyto niechcący pojawił się w Dreznie. Król, który niebardzo był jego przyjacielem, pytał się księdza podkanclerza Lipskiego, po co przyjechał wojewoda? Odpowiedziano mu, że przyjechał od panów z punktami do rezolucji królewskiej w sprawie poselstwa rzymskiego. Król nie dowierzał, bo po rezolucją mógł ktoś mniejszy przyjeżdżać; niedługo w istocie odkryła się tajemnica, kiedy przyszło doniesienie o śmierci generała artylerji. Odwłócząc więc z dnia na dzień postanowienie swoje, król zatrzymał w Dreznie Tarłę aż do grudnia, kiedy nadjechał Paulucci.

Internuncjusz nie spieszył się z odwiedzinami do wojewody, chociaż najwięcej dla jego poselstwa on przyjechał. Już sam jego

tytuł dyplomatyczny wskazywał, że Paulucci nie jest następcą Santiniego; wykryło się zaraz, że nowy ten poseł rzymski nie miał nadanej sobie żadnej władzy w Polsce i że przyjechał dla dwóch rzeczy: miał traktować o prawo patronatu królewskiego do opactw i o złagodzenie konstytucji grodzieńskiej. Paulucci dawał do zrozumienia panom, że Santini odwołany być może, ale nie na skutek żądania Rzplitej; że naturalnie pełnić dalej obowiązki swoje musi, a on sam nic się nie ma prawa mięszać do jego robót. Jeżeli więc dla układów o patronat przyjechał Paulucci do Polski, przedewszystkiem winien był mówić z Tarłą, którego znowu do tej sprawy głównie wyznaczyła Rzplita. Ale umarła wtenczas w Dreznie wdowa księżna Lubomirska wojewodzina krakowska, Tarłówna z domu, i poseł wielki polski do Rzymu, nie doczekawszy się generalstwa artylerji, chciał towarzyszyć zwłokom księżny do Częstochowy. Paulucci był grzeczny dla wojewody, bo mszę odprawiał za jej duszę przed podróżą (24 stycznia 1728). Tak się obadwaj dyplomaci dobrze z sobą rozstali.

Ale i Rzplitej i Rzymowi widać niesporo było do zgody. Przez cały ten rok 1728 sprawa ani na krok jeden dalej się nie posunęła. Król znowu wybierał się do Polski na sejm, który miał niby złożyć w Grodnie dla kolei litewskiej, która przypadała. Panowie zamiast naglić króla do tego, raz wraz chmarą przez rok cały przejeżdżali do Drezna, zabiegając o wakanse, a tą razą o najlepsze z wakansów — o buławy. Paulucci ciągle siedział w Dreznie; czekał to niby sejmu, bo na sejmie tylko można było znieść konstytucją grodzieńską: więc wszyscy czekali, a sejm bypierwszem i ostatniem słowem dyplomatów owej chwili. Po znie sieniu dopiero konstytucji, mógł Paulucci otworzyć rokowanie o prawo patronatu, i Tarło jechać do Rzymu. Ale król nieszczerze ciągle myślał o tym sejmie.

Arcybiskup Trapezuntu nie doczekał się końca sprawy, którą sam wywołał. Czy znękany przeciwnościami, czy zmartwiony niepowodzeniem, czy też przewidując rychły swój upadek, który jednakże był daleko, zapadł na ciężką słabość i w Warszawie dnia 5 lipca 1728 r. o 3ciej godzinie z południa zakończył życie. Pogrzeb jego uroczysty odłożony został na kilka miesięcy i odbył się dopiero w końcu września: trwał trzy dni, od czwartku do soboty. Z kolei byłto drugi nuncjusz, który w czasie urzędowania

swojego umierał w Polsce. Pochowany został jak i poprzednik u Teatynów. Smiercią swoją otworzył wakans, który naturalnie zajął Kamill Paulucci. Nuncjuszem Kamill urzędował w Polsce przez ostatnie lata panowania Augusta II, bezkrólewie całe i pierwsze lata panowania nowego króla. W roku 1736 urządził ostatecznie prawa patronatu królewskiego; ale to już nie należy do dziejów Santiniego. Tutaj dodamy tylko, że Paulucci opuścił Polskę w r. 1738, po 10ciu latach urzędowania, gdyż był przeniesiony na nuncjaturę wiedeńską, dalej że kardynałem został na konsystorzu d. 9 września 1743, i że umarł w Rzymie 70-letnim starcem, d. 10 czerwca 1763 roku.

O Pauluccim i dalszym ciągu sprawy Santiniego kiedyindziej.

SYSTEMAT KARWICKIEGO

reformy Rzeczypospolitej

W R. 1706.

.....

I.

POTRZEBA REFORMY.

Karwicki wywód rozpoczyna od zdania Stefana Batorego, które kładzie na czele swej pracy, jako godło swego systematu.

Król Stefan mówił niegdyś: vestra Poloni Respublica non ordine, quo caretis, non regimine, quod contemnitis, sed solo fato regitur (wasza Rzplita, Polacy, ani porządkiem, którego wcale nie macie, ani rządem, którym pogardzacie, lecz samym przypadkiem się rządzi.)

Dalej, w krótkiej przedmowie do czytelnika, opowiada Karwicki, że nie pierwsze łamie lody w pracy ku naprawie Rzplitej, że już wielu i przed nim, a nawet królów, jak np. Stefan myślało o tem i różne wnioski podawało, ale niejeden z braku odwagi się cofał nim do czynu przyszło. Karwicki wchodził na zupełnie inną drogę, jak wszyscy, diversam ego penitus viam ingressus sum, nemini quantum scio hucusque intratam, po której nikt dotąd nie chodził. Karwicki ułożył cały systemat na-

prawy; przy zachowaniu wolnego głosu i sejmiki mogły dochodzić i sejmy by się nie rwały i tak zwana justitia distributiva to jest moc rozdawania przez królów urzędów, dotąd główny powód niechęci ku królom i ministrom a sporów wzajemnych osób stanu rycerskiego pomiędzy sobą, mogła się z większą sprawiedliwością urządzić, i ekonomia wojenna mogła się lepiej ustanowić i wojsko samo bez obciążenia włościan mogło się doskonalej opatrzeć, nareszcie bezkrólewia tyle niespokojne dotąd, kończyłyby się tylko w ośm tygodni, a w pośród nich elekcje i koronacje królów bez żadnej «scyssji» t. j. rozerwania Rzplitej. Rzeczywiście były to znakomite obietnice.

Autor skreśla naprzód obraz nierządu polskiego,

«Rzplite, jak niektóre budynki, powiada, powinny się ciągle naprawiać, a wtedy i mała praca małej szkodzie zapobiegnie. Polska bardzo się już zepsuła, potrzebuje wielkiej naprawy, to jest zmiany formy rządowej, bo inaczej albo despotyzm w niej zapanuje albo się Polska jako państwo rozsypie i przyjdzie na rozerwanie sąsiadów. Nic to nie cieszy, kiedy powiadają ludzie, że Polska nierządem stoi; kiedy się spojrzy po niedawnej przeszłości i smutnej teraźniejszości, a widzi się, że Polska traci prowincje, że miasta jej i włości spustoszone, lud zubożały, wolność przepadła, czyż można mówić, że Polska stoi? Cóż będzie wtedy upadek? Zwodzą się więc ci i drugich zwodzą, którzy nieład uważają za tak naturalny dla Polski; jak ogień dla salamandry, bo owszem nieładem wszystkie państwa upadają.»

Trzeba więc koniecznie ładu. Lecz niebezpieczna, zdaje się rzecz, zaprowadzać jakie zmiany wśród obecnych burzliwych okoliczności. Kiedy się spojrzy jednakże na przykłady, trudnoż tego nie widzieć, że wszelkie państw naprawy nie zachodziły wśród pokoju, tylko zawsze wśród jakiej wojny, albo po wojnie. Znużenie też narodu skutkiem nieszczęść lub klęsk, wywoływało zawsze zbawcze przesilenie: świeży mamy tego przykład na Danji przed czterdziestu kilku laty. Karwicki tutaj rozumie rewolucję roku 1660. Rząd elekcyjny i wielce do polskiego podobny, upadł tam nagle na korzyść dziedzictwa i samowładztwa. Tak samo i stany skonfederowane Belgji, zwaliwszy panowanie hiszpańskie, z pomocą sąsiadów wydobyły się na wolność. Nie powinniśmy więc upadać na duchu, bo w każdym razie rząd wielu,

jaki jest obecnie w Polsce, łatwiej da się naprawić bez obawy obudzenia nienawiści sąsiadów, dla któryeh rząd jakikolwiek aby wolny, zawsze będzie lepszy od samowładztwa nad tak ogromną ziemi przestrzenią, jak Polska. Samowładztwa mogą sąsiedzi nie chcieć, na zmianę formy rządu, aby tylko wolnego, chętnie pozwolą. Polsce jednakże zostaje albo przyjąć samowładztwo, albo rząd zmienić. Cała rzecz w tem, żeby nie pozwolić przypadkowi tego, co powinien zrobić rozum.

Są i powody inne do przedsięwzięcia tej naprawy. Dzieje uczą, że państwa co 500 lat mniej więcej odbywają swoje wewnętrzne przesilenia, lub giną. Karwicki popierał to spostrzeżenie swoje dowodami. Zaczął od Izraelitów. Od Mojżesza do Saula upłynęło lat 430, poczem panowanie królów trwało aż do niewoli babilońskiej przez lat 480. Od tej znowu chwili do Heroda, ostatniego króla w Izraelu, upłynęło także lat 500. Tak i w Rzymie od wypędzenia Tarkwiniusza do Cezara upłynęło lat 460. Inne państwa trwały i rozsypywały się w połowie 500-letniego okresu: Babilońskie, Perskie, Macedońskie od Aleksandra W., tak długo też trwało i pierwsze królestwo rzymskie. W Polsce co 200 lat następowały zmiany. Lech występuje około roku 550 jako założyciel państwa. Później w pierwszym tym okresie 200-letnim, r. 700, wygasło potomstwo Krakusa przez Wandę i dawna monarchia przeszła w rząd arystokratyczny, kiedy wybrano do władzy 12 wojewodów. Przemysław pod koniec drugiego 200-letniego okresu znowu podnosi księstwo, to jest monarchję. W lat 200 później Mieczysław przyjmuje wiarę chrześciańską, a Bolesław Chrobry rozszerza i ustala królestwo. Następny okres kończy się spółzawodnictwem Leszka Białego z Mieczysławem Starym i spółczesnem pojawieniem się dwóch najstraszniejszych wrogów Polski, Krzyżaków i Tatarów. Pod koniec następnego okresu rodzina Piastów wymiera w Kazimierzu W., panowała zaś lat 540. Oto i cały jeden wielki okres życia; kres, przesilenie pewnej doby jak w dawnych państwach. Rząd przechodzi w ręce cudzoziemskie, naprzód węgierskie, potem litewskie i wolność polska stanowczo się rozwija. Ten okres trwa aż do Zygmunta Starego, pod którym wolność dosięgła najwyższego stopnia rozwoju i poczyna wyradzać się w swawolę. Od r. 1506 właśnie lat dwieście znowu upływa. Okres zeszły była to doba ciągłych sporów, walk korony z wol-

nością, a pierwszem do nich hasłem, wojna kokosza pod Lwowem. Nastaje rokosz, wojna domowa Lubomirskiego pod Janem Kazimierzem, rwanie sejmów, elekcje ciągle burzliwe, a częstokroć podwójne. Trzeba i dzisiaj w nowo zaczynającym się okresie, naprawić wolność.

Te ostatnie powody nieco fatalizmem trącą, ale o to mniejsza. Dość nam, że Karwicki się przekonał z wielu stron o konieczności naprawy Rzplitej.

Dzisiaj Polska składa się z trzech stanów: królewskiego, senatorskiego i rycerskiego. Wadliwy to układ i jest przyczyną wszystkich naszych nieszczęść. Dawniejsi królowie polscy sprawowali rząd samowładny i pisali się dziedzicami, stanowili urzędników, wydawali wojnę, zawierali pokój, na ich wyłącznie ręce do skarbu płaciły się podatki. Gdzieindziej przez wypędzenie lub zabójstwa królów monarchia zamieniała się na wolność; u nas przeciwnie, miłość stanu rycerskiego ku panującym i jego zasługi wojenne sprawiły zmianę, bo królowie przez wdzięczność ustępowali ze swych praw. Tak z koleją czasów poczęła się tworzyć Rzplita, zwłaszcza kiedy Piastów zabrakło. Ludwik węgierski testamentem Kazimierza W. królem wyznaczony, pierwszy nadawał przywileje; potem Władysław Jagiełło, żeby do wojny z Krzyżakami szlachtę zachęcić. Zygmunt III. nawet prawo bicia monety stanom podarował. Jagiełło ogłosił wolność osobisą, neminem captivabimus, syn jego zwołał izbę poselską i t. d. Dobra więc wola królów naszych stworzyła wolność polską. Odmienną jest rola narodu tymczasem. Na zawdzięczenie łask królewskich poczynają się rokosze: dawniej jednak rokoszów nie było, a to, co powiadają o gliniańskim za króla Ludwika, nie opiera się na żadnej historji; bajka ta niezawodnie powstała za czasu wojny kokoszej.

Wywód ten Karwickiego, że wolności polskie są jałmużną królów, nie opiera się także na żadnej historji. Zawsze obywatel nie miał przeświadczenia o tem, że każda wolność, jak i prawo, jest to wyrób narodowy. Gdy Polska urządzała, ukształcała, rozwijała swoję wolność, gdy dla niej coraz innych wymagała zaręczeń od władzy, dowodziło to tylko jej dojrzałości społecznej, a bynajmniej nie świadczyło za łaskawością królów. Nigdy władza sama dobrowolnie się nie rozbraja; ustępuje tylko tam gdzie musi, tak samo w Polsce, jak i w Niemczech i w Anglji. Może-

my więc z czystem sumieniem odrzucić wywody Karwickiego o początku i kolejach rozwijania się wolności polskich. Do trafniejszych przyszedł wkrótce wniosków, kiedy głębiej się zastanowił nad przyczynami powodzeń i nieszczęść Rzplitej. Przekonał się wtedy albowiem, że Polsce wolność przystoi, ale przekonał się rownież, że wrodzona Polakom miłość do rodziny królów ratowała, jak porzucenie tej miłości gubiło Rzplitę. Nieszczęścia obecne są skutkiem tego, że na ostatniej elekcji zerwano z podaniem narodowem i porzucono synów Jana III.

Zabija nas także dissidentia inter status, nieporozumienia pomiędzy sobą stanów Rzplitej. Lecz kto dobrze zbadał tego złego przyczynę? Wprawdzie jak inne państwa, tak i Polska upada pod ciężarem klęsk wszystkim pospolitych ale ma i sobie właściwe, a te płyną z niezastosowanej do potrzeb narodu formy rządowej. Polska doświadczała z kolei i monarchji i arystokracji i demokracji i dzisiaj zachwyciła coś z każdej formy, bo jest razem u nas król, senat i posłowie, a raczej stan rycerski. Polska jest po części królestwem, po części Rzplitą. Posiada u nas król majestat i, przyznajmy się do tego, niepospolite środki zniewalania ku sobie umysłów obowatelskich. Mają dwa inne stany nieco praw i blasku majestatu, chociaż to zapewne przywileje cokolwiek niższe. Król stanowi wszystkich urzędników. Używa tego prawa w całej pełni i nikt mu się w to wdawać nie może; idzie więc nieraz za radą poufnych swoich przyjaciół, cudzoziemców, a nawet kobiet i ludzi bardzo małego znaczenia, podnosi nieraz tych którzy prawa nie mają. Rozdaje król starostwa i dzierżawy tak zwane królewszczyzny. Najbiedniejszego może zbogacić i u szczytu władzy posadzić, wrogami dworu może król poniewierać. I to istotnie królewskie prawo najwięcej nieci w Rzplitej niepokoju, zwłaszcza gdy ambicja i prywata zechcą korzystać z okoliczności. Król zwołuje też pospolite ruszenie przez wici, składa zjazdy i sejmy, stanowi sądy sejmowe. Lecz częścią dobrowolnie, częścią z musu odstąpili królowie troszkę swego majestatu stanom, a raczej do spółudziału we władzy swojej dopuścili stany. Tutaj należy moc stanowienia praw na sejmie, lecz i tę władzę rycerstwo wyłącznie sobie przywłaszczyło w izbie poselskiej. Konstytucje nasze stały się odtąd więcej szkodliwe, niż użyteczne Rzplitej. Wiele z nich podyktowała prywata, chęć łakoma, lub względność;

rzadko kiedy konstytucja dotyczy się dobra publicznego i wtedy zostaje bez żadnego wykonania. Należy to niby również do stanów prawo wydawania wojny i zawierania pokoju, ale królowie umieją zjednać sobie dostojniejszych w narodzie, błysną im przed oczami nadzieją obłowu lub sławy i bez poradzenia się sejmu zaczynają wojny. Stany mają też część majestatu w obieraniu urzędników, bo szlachta po województwach i powiatach wybiera podkomorzych, sędziów ziemskich i t. d. Jednak i tutaj król zdaniem swojem przeważa, bo jednego z czterech kandydatów sobie przedstawionych mianuje. Uchwalać podatki również mają prawo stany, lecz rycerstwo i ten przywilej sobie przywłaszczyło, bo stanowi podatki przez deklaracje posłów. Wrócił ten przywilej do swego źródła, bo i wprzódy za Kazimierza W. zwoływani byli posłowie mało- i wielkopolscy jedynie po to, ażeby uchwalili podatki; dzisiaj izba poselska wyłącznie, jedynie prawie zajmuje się podatkami. Prawo bicia monety i uszlachcenia, nadawanie indygenatu mają również stany. Król Stefan pozwolił na trybunały, tj. zrzekł się najwyższej sądowniczej władzy. Tymczasem z drugiej strony nie posiadają stany prawa wynagradzania zasług tak dalece, że nawet ci, którzy Rzplitej zacnie i poczciwie służą, jeżeli gniewają dwór, nie mają nic za pracę i w sumieniu tylko spokojni, a ludzie nikczemni nieraz opływają w łaski dworu, bo łatwiej nierównie zasłużyć się względem jednej osoby, niż względem Rzplitej.

Rząd polski jest więc monarchiczno-republikański i sprowadza tem samem zawikłania bez końca. Majestat królewski i wolność ludu nie znoszą się; majestat dąży do samowładztwa, do urzeczywistnienia absolutum dominium, wolność znowu broni się przeciw takim zamachom. Zawsze podejrzliwa i bojaźliwa najlepszym nawet królom nie wierzy wolność. Jeżeli tedy dwór obrazi kogo z panów przez odmowę jakiego urzędu lub starostwa, wtedy dolewa przez to oliwy do ognia i rwą się wtedy sejmy i ginie sprawa ojczyzny. Jak zaś są okropne rokosze, dowodem rokosz Zebrzydowskiego. Żaden król polski nie był tak szczęśliwy, żeby uniknąć zajść ze swoim narodem.

Inne kraje i państwa nieraz w takiem położeniu będąc obalały królewskie rzędy i stanowiły się jako Rzplite. Tak sobie postąpił Rzym, Kartagina, Korynt, Kreta, Teby; w nowszych zaś

czasach Szwajcarja i Belgja. Rzymianie zaprowadzali u siebie równowagę władz, konsulat, i tribunów plebis, w Sparcie bywało po dwóch królów, w Wenecji doża przedstawia osobę króla ale sam jest bezwładny. U nas majestat z wolnością równoważyły się, przeciągały się nawzajem, bo utworzyliśmy senat, pośredniczącą siłę, która ani majestatowi ani wolności nie miała przyzwalać zbytniej przewagi. Senat polski, to ateński areopag, lacedemoński eforat. Jednakże i ta instytucja nie ocaliła spokojności ojczyzny, bo w Polsce panowie senatorowie zamiast miarkować strony, sami nieraz rozniecali spory przez prywatę. Trzeba więc albo zrobić tak jak w Danji, to jest podnieść, ustanowić samowładztwo, albo, jeżeli to się niepodoba, założyć prawdziwą Rzplitą, a wtedy dopiero nieufność zniknie, bo kogo się nie obawiają, temu wierzą.

Karwicki nie ukrywał przywiązania swego do formy rządu czysto monarchicznej, która mu wydawała się najlepszą. Niestosowną według niego jest obawa samowładztwa w społeczeństwie chrześciańskiem, bo prawa Boże umiarkowały i despotyzm dawnych tyranów i zuchwalstwo poddanych, a w rządzie monarchicznym najprędzej załatwiają się sprawy. A jeżeli do tego król jest sam z siebie zacny, czegóż jeszcze potrzeba? Niegdyś kwitnęła Polska za takich królów, rozszerzyła swoje granice, dźwignęła zamki i grody, była bogatą i sławną po świecie. Lecz podobno ta najlepsza jest forma rządu, która się do ducha narodu stosuje, bo nie dosyć, żeby król rozkazywał, potrzeba żeby i lud słuchał. Narodowi polskiemu zaś wrodzoną jest miłość wolności, odebrać mu tę wolność, znaczy go przyprawić o śmierć, bo razem z wolnością ustaje i dzielność rycerska, srożą się wojny domowe i ogólne nieszczęścia. Patrzmy na Węgry co to z nich się zrobiło, kiedy straciły wolność.

Niechaj więc dzisiaj Polska sama o swoim losie postanowi, gdy berło powraca do rodaka i niechaj tym razem spierają się z sobą nawzajem w szlachetnej walce, król z Polską, syn z matką, jak wady rządu naprawić. Albo niech król odda wszystkie prawa majestatyczne narodowi, zachowawszy sobie tylko straż nad wolnością, jak Tezeusz w Atenach, albo niechaj Polak powróci królowi wszystkie prawa majestatyczne przez dawnych królów ustąpione narodowi. W naszej Rzpltej głównie brak egze-

kucji praw względem mianowicie panów, którzy utrzymują dla siebie ten niepewny, nieszczęśliwy stan rzeczy. Więc albo uwolnijmy króla od obawy możnych i niechaj się wszyscy go zarówno boją tak samo potężni jak i słabi, albo niech wolność nie boi się króla i tem samem bezpieczniej może karać przewinienia panów. Jeżeli stanie rząd monarchiczny, Karwicki od wszystkiego umywa ręce, bo nicby nowego w tej sprawie nie powiedział, gdy ta forma rządu wiele miała przyjaciół i statystów, którzy o niej pisali. Lecz jeżeli Rzplta nasza, a raczej mieszanina dwóch form zechce się zamienić w prawdziwą Rzplitą, Karwicki czuł się w obowiązku wystąpić z radami, do których sądził, że miał prawo, gdyż od lat 40 brał udział w sprawach publicznych. Doświadczenie usposobiło go do podawania rady; sam Karwicki wierzył w siebie, że poda praktyczne, gdyż poznał dobrze i naród nasz i położenie nasze.

Karwicki zabierał się następnie do podawania rady. Konieczność poprawy Rzplitej wykazał i prawo swoje do podniesienia głosu upowodował.

Chcąc tedy dojść do celu, Karwicki uprzedzał, że musi naprzód rozprawiać o sposobie odbywania rad, to jest sejmów, de consilio publico. Tu przedmiot się rozpadał na liczne rozgałęzienia; trzeba było mówić osobno o sejmikach, o głosie wolnym, o prawie veto, o większości, o sejmie i zerwaniu sejmu, wreszcie o sposobie w jakiby można ułożyć rząd mądry, a stały. Potem rozprawiać potrzeba o prawie rozdawnictwa urzędów, de modo justitiae distributivae, o paktach konwentach i chlebie dobrze zasłużonych, to jest o starostwach i królewszczyznach. Po trzecie o urządzeniu stałego wojska, de oeconomia bellica. Po czwarte o poprawieniu sądów i praw. Po piąte o bezkrólewiach i sposobie wybierania króla. Po szóste o skarbie publicznym, który także dawał powód do nieporozumień, bo Rzplita nie dawała w ręce królowi podatków, przez obawę, żeby ich nie użył na krzywdę wolności.

Karwicki wszystko na prawnej opierając podstawie w tymże wywodził, że nawet nie potrzeba okoliczności politycznych i upadku narodu do podniesienia walnej sprawy reformy rządu w Polsce. Spełniał to tylko, co polecały dawne konstytucje.

Możemy, powiedział, wystąpić z wnioskiem naprawy Rzliptej, bo mamy do tego i podstawę prawną. Oto na sejmie elekcyjnym Władysława IV stanęła konstytucja następnej treści pomieszczona w paktach konwentach (text daje Karwicki po łacinie, my zaś wypisujem ze źródła, to jest z Voluminów legum).

— «Iż dla nawalności spraw na ten czas Rzplitej do namowy exorbitancji stanom koronnym i W. X. lit. przyjść nie mogło na teraźniejszej elekcji; także de modo distributivae justitiae, o porządku podczas interregni, de correctura jurium, compositione inter status i akademji krakowskiej uspokojenia; warowały to sobie u nas stany koronne i W. X. lit. że cobykolwiek za antecessorów naszych królów polskich exorbitowało przeciwko prawu pospolitemu, to wszystko w swe kluby wprawić i do egzekucji przywieść, tak jako by się w niczem prawu pospolitemu niederogowało: niedopuszczając praw inaczej interpretować, tylko tak jako które w sobie brzmią, ani na przeciwne exempla prawu pospolitemu respektując.» (Vol. Leg. III. 767.) —

Gdy pomimo tej konstytucji naprawa nie przyszła do skutku, Rzplta ponawiała często w paktach konwentach swoje życzenia, w roku 1648, 1669, 1674. 1697 i wreszcie 1705 za elekcji Stan Leszczyńskiego. Sześć jednoznacznych postanowień aż nadto przekonywa o tem, że wszyscy ludzie i wszystkie czasy czuły potrzebę reformy rządu. Nietylko więc sama konieczność, ale i prawo do reformy nas popycha. Ostatni wreszcie traktat pomiędzy królem polskim a szwedzkim zawarty w Warszawie u Karmelitów 18 listopada 1705 r. nas obowiązuje. Czytamy tam albowiem w artykule 27: «Co się przyszłości tyczy, Rzplita polska obiecuje i zaręcza, że wszyscy następni królowie polscy panować będą pod tym warunkiem, który poprzysięgną w paktach konwentach na koronacji, że niniejszy pokój zachowają, jakoż i sama Rzplita oświadcza się, że wieczyście jest nim zobowiązaną; gdyby zaś który z królów polskich rozerwał niniejszy pokój, a Rzplita radą i orężem nie postawi temu oporu, wtedy za krzywdę i szkodę, jakie ztąd Szwecja poniesie, będzie odpowiedzialną przed królem szwedzkim.» W tych słowach traktatu niema wprawdzie zobowiązania się do reformy rządu, ale jest niebezpieczna alternatywa, że za winy króla, Rzplita stać się może od-

powiedzialną. Widocznie sama konieczność, obawa przed klęskami w przyszłości, zmusza nas do ograniczenia władzy królowi.

II.

SEJMIKI.

Następuje więc rzecz o sejmikach polskich.

Napróżne będą zwycięztwa, kiedy nie stanie rady, a dobra rada zależy od trzech rzeczy, od prędkości, od zachowania tajemnicy i wykonania uchwał. Tego wszystkiego właśnie brak w naszych radach. Naprzód wychodzą deliberatorja, czyli uniwersały do senatorów, potem schodzi napróżno cztery tygodnie, aż następują sejmiki, potem znów sześć tygodni czekać potrzeba do zaczęcia sejmu. Sejm zaś ma się odbyć w przeciągu drugich sześciu tygodni, a nieraz się wlecze przez 12 i więcej. Tak na to wszystko i przygotowanie do obrad i same obrady schodzi całe pół roku. Nareszcie kiedy sejm się zrywa, prawo chce, żeby albo czekać na inszy sejm zwyczajny, to jest dwa lata, albo zwoływać w kilka miesięcy nadzwyczajny. Cóż to za dziwna prędkość rad naszych?

Teraz co do zachowania tajemnicy. Jeżelić jak mówią nie jest tajemnicą to, o czem wiedzą trzy osoby, jakże tajemnicą być może to, co wie 140 senatorów i 160 posłów sejmowych? Nie pomogą tu nic zwykłe Rzplitej naszej zabiegi, ani oddalenie na pewny czas arbitrów z izby, ani tak zwane scripta ad archivum.

A wykonanie uchwał? Już to zupełnie od woli sejmików relacyjnych zależy. A tam głos jednego złego człowieka wszystko odrazu zepsuje. Nadużycie to szczególniej się rozmogło w naszych czasach, gdy naprzeciw wielu konstytucij sejmowych przychodziły protestacje sejmików.

Potrzeba tedy wyraźna rad prędkich, tajemniczych, lepiej wykonywanych, równie na sejmikach jak i na sejmach.

Głos wolny i prawo niepozwalania na jaką uchwałę jest podstawą swobód naszych. Usunąć jedno i drugie będzie to podnieść samowładztwo. Ale i głos wolny przecież staje się nie raz nadużyciem. Potrzebaż tedy znów odróżnić głos wolny od prawa niepozwalania, potrzeba odróżnić prawo każdego szlachci-

ca a posła. Bo szlachcic na sejmik sam od siebie przyjeżdża, mówi zaś co chce i czuje. Poseł zaś na sejm przywozi z sobą instrukcje, zobowiązuje się pod przysięgą swojej ziemi i województwu, że głosować będzie wedle tej instrukcji; nie sam więc od siebie przyjeżdża, ale jako pełnomocnik drugich tylko. Gdyby na tę powinność swoję baczyli posłowie, sejmy bywały daleko spokojniejsze. Gdy więc na sejmikach szczególniej jak z tego wypada, jest pole dla głosu wolnego, niechajże nietykalny, panuje sobie swobodnie po dawnemu na sejmikach. Prawo jednakże winno ściśle oznaczyć osoby, które mogą używać wolnego głosu i niepozwalania czyli veto; powtóre, powinno ściśle oznaczyć w jakich materjach może być to prawo użyte, a w jakich nie może. Karwicki podawał na to wszystko rady, jak powiadał, nie nowe i nie obce, ale wzięte z życia i praktyki narodowej.

Co do osób więc, jakie mogą podnosić głos wolny i veto, dosyć zastósować się do zwyczaju i praktyki tu i owdzie używanej. Mają to prawo szlachta posesyonaci. Nie mają zaś, nie powinni mieć:

1). Nieposesyonaci. Ci nie tylko bronić niczego nie mogą, ale nawet podawać głosu dla obrania posłów na sejm lub deputatów na trybunał. Takie prawo zawarowały sobie naprzód województwo sieradzkie i ziemia wieluńska przez konstytucję r. 1611. Podobała się ta zasada i przyjęły ją zaraz województwo krakowskie i ziemia chełmska, później zaś w r. 1613 województwo kijowskie i na Podlasiu powiat mielnicki [1]). Potem jeszcze tegoż roku województwo połockie. Tęż samę zasadę przyjęły województwa pruskie, potem podlaskie w r. 1631, nareszcie rawskie w r. 1667. Insze województwa cichą zgodą przyjęły tę konstytucję. I sprawiedliwie, bo czyliż może dobrze i czy powinien radzić województwu ziemianin, który nie posiada w niem żadnej własności?

2) Banici, boć tacy którzy prawa łamią, nikomu nie mogą, nie powinni narzucać swojej woli, na co panowie u nas wcale nie uważają.

3). Służący u innej szlachty i to jest po części także w praktyce, w obyczaju, ponieważ upominamy marszałków sejmikowych, żeby nie pozwalali zabierać głosu takim ludziom. Sprawię-

[2]) Vol. leg. III. 174.

dliwa to rzecz, bo jeżeli szlachcic żołnierz i posesyonat nie może zabierać głosu, dopóki służy rycersko i zostaje pod rozkazami hetmanów, a to na mocy konstytucji z r. 1591 o karności wojskowej, czego powiada Karwicki, kilka województw mocno przestrzegało, jakże pozwolić głosu tym, co zostają w służbie, nie już Rzplitej, ale po prostu w prywatnej. Wszakże przysłowie staropolskie mówi: «służba wolność traci» i rzeczywiście służący robi to, co mu każą. Dlatego to deputaci wołyńscy na trybunał do Lublina, oprócz zwykłej przysięgi na to jeszcze osobno przysiągają, że nie służą żadnemu panu, ani pensji od nikogo nie pobierają: dowód w konstytucji r. 1589. Nawet i posłowie sejmowi tracą głos, jeżeli im dowiodą, że komuś drugiemu służą i czyjeś prywatne popierają sprawy. Bodaj to dobrze posłowie nasi pamiętali, że mają tylko wyłącznie baczyć na dobro swoich województw i całej Rzplitej.

W jakichże teraz sprawach można podnosić veto, a w jakich nie? Dotąd wszystkie sprawy publiczne na sejmikach i sejmach ułatwiają się albo jednomyślnością, albo większością głosów. Jednomyślności potrzeba do instrukcji na sejm i uchwał lub konstytucji. Większością zaś głosów stają się wszelkie elekcje, chociaż w niektórych województwach pewne elekcje odbywają się przez jedno słowo: «placet, prosimy.» Spora liczba jest takich elekcyj. Obierają się w podobny sposób posłowie sejmowi, deputaci trybunalscy, marszałkowie sejmikowi, kandydaci na podkomorstwa, na sędziostwa i pisarstwa ziemskie; w Litwie nawet obiera szlachta wojewodów połockich i starostów żmudzkich. Na sejmie takaż sama jest elekcja marszałka. W podobny sposób roztrząsają prawo do zasiadania na sejmie tych posłów, którzy mają przeciwko sobie jakie zarzuty nieprawnego obioru, wreszcie na trybunałach wszystkie wyroki wypadają większością głosów.

Potrzeba zachować dotychczasowy zwyczaj i prawo. Bo jeżeli to, co przez jednomyślność się rozstrzyga, rozwiążemy większością głosów, zginie prawo liberi veto; jeżeli zaś to, co zależy od większości, spuścimy na jednomyślność, stracimy prawo większości. Otóż na sejmikach przed sejmowych i relacyjnych, przy uchwale podatków, lub kiedy o materje stanu rzecz idzie, kiedy się piszą instrukcje posłom sejmowym lub uchwały (lauda), ma służyć każdemu prawo użycia veto, czy opierać się będzie

na prawie czy nie, i tylko jeden środek pozostaje, żeby uniknąć zerwania obrad, to jest prośba. Rozprawy mają być prowadzone artykułami, punktami, to jest o każdym szczególe osobno. Jeżeli sprzeciwiający się nie posłucha nawet prośby sejmujących, żeby ustąpił, artykuł przepada. Na sejmikach zaś obiorczych, na których żadne materje stanu podnoszone nie bywają, veto nie ma nic znaczyć. Ztąd wypada, że takie sejmiki rwać się nigdy nie powinny. Jednakże częstokroć niechęci osobiste wiele rozrywały elekcyjnych sejmików. Jest na to dobry sposób. Niechaj nadzwyczajny sejm, obiecany nam przez Pacta conventa dla naprawy exorbitancji uchwali, żeby nie obierać marszałków sejmikowych, ale żeby przewodniczył sejmikom zawsze najstarszy z obecnych urzędników województwa, od podkomorzego zacząwszy aż do ostatniego choćby najniższego, aby tylko nie senator, ani dygnitarz koronny. W Litwie są marszałkowie ziemscy raz na zawsze obrani, ci z urzędu marszałkują na sejmikach.

Nadto niechaj sejm exorbitancyjny przepisze tajne głosowanie co do wyborów na wakanse w sposób następny. Cała szlachta ziemi lub województwa raniutko, zwłaszcza w zimie, kiedy są dnie krótsze, poda swoje nazwiska, według powiatów i ziem w województwach większych. To będą urzędowe rejestra szlachty. Spiszą je wszędzie jednocześnie urzędnicy ziemscy lub grodzcy na to bacząc, żeby do spisu tego nie weszli służący, nieposesyonaci i banici. Spisywania te trwać mają najdalej do 10tej rano, powiat, który się spóźni, na ten raz utraci prawo głosu. Żeby zaś ułatwić i to sprawdzanie szlachty, wypadałoby wziąść spisy głosujących na poprzednim takiejże natury sejmiku i ponotowawszy tych którzy są albo nieobecni, albo poumierali, albo na wyższy urząd postąpili, spisywać innych głosujących. Wtedy marszałek sejmikowy porządkiem wzywać będzie do głosowania szlachtę. Pierwszy zawołany wstanie z miejsca i wrzuci do urny postawionej obok marszałka swoję karteczkę, na której napisane jest nazwisko jedno lub kilka, według potrzeby, tych osób, które na wakujący urząd wybiera. Karteczka ma być zawiniętą żeby jej odczytać nie mogli świadkowie i odbierający głos przy urnie. Wrzuci ją dwoma palcami na znak, że jednę podaje. Oczywiście gdyby kartek było kilka zwiniętych w jedną, odrzuciłoby się je wszystkie na bok, niechaj się każdy sam ukarze, kto używa

podstępu. Po takiem zebraniu głosów, marszałek kartki przeliczy i ponotuje: kto otrzyma większość, jest obrany. Marszałek w ciągu tej czynności będzie miał do pomocy asessorów z pojedyńczych powiatów. Np. w województwie sandomirskiem jest siedm powiatów z ziemią stężycką, zatem siedmiu będzie na sejmiku sandomirskim asessorów. Tylu ich na każdem sejmiku, ile powiatów w województwie. Asesorowie spisywać będą rejestra powiatowe, żeby czasu nie tracić. Potem rachować będą głosy. Przy takiej manipulacji prędzej dopilnuje się służących, nieposesyonatów i banitów. Żeby nie nastręczyć pola do zarzutów fałszywych, każdy, kto dowodzi banicji, ma się stawić z jasnemi swego twierdzenia dowodami, które natychmiast przejrzą i ocenią obecni sędziowie ziemscy lub grodzcy. Będzie to i ostroga dana stronom prawującym się do szukania zgody pomiędzy sobą przed wyborami. — Dla nowego ułatwienia takich rzeczy, prawo zawarować ma, żeby marszałek sejmikowy nie czytał żadnych listów i próśb podawanych do sejmików aż po skończonym roku. Listy te i prośby odleżyć się muszą. Kto zechce sejmik taki zerwać, na protestacje jego marszałek zważać nie powinien; jeżeli zaś tego natarczywie domagać się będzie ma się do niego zastósować prawo Zygmunta I, na mocy którego sędziowie ziemscy lub grodzcy powinni go jako wichrzyciela sądzić na wieżę. Tak i do dziś dnia karzą trybunały swoich wichrzycieli. Z panami rok o to ma być na sądach sejmikowych lub trybunalskich.

Korzyści z tajnego głosowania te będą: każdy według sumienia, bez ściągania na siebie niechęci, głos poda. Jeżeli go będą się pytać ciekawi, kogo wybiera, może zbyć się natrętnych, ukazując im jednę kartkę a wrzucić tymczasem do urny drugą, bo często nas zmuszają do tego okoliczności, że obieramy wbrew woli nie kogo się chce, ale kogo wypada. Uniknie się dalej straty czasu na niepotrzebne mowy; stronnictwa i forsy zginą, nie będzie namiętności, które obudzają przywiązanie lub nienawiść do głosujących się kandydatów.

Sejmiki przedsejmowe są także elekcyjne, bo na nich wybierają się posłowie, ale są to razem i sejmiki prawodawcze bo piszą się na nich instrukcje czyli nauki, zalecenia posłom, stanowią uchwały, lauda, materje stanu na nich się traktują. Tu więc musi głos wolny zostać nienaruszony. Ale żeby tym obojgu

różnorodnym czynnościom sprostać, sejmiki owe muszą się rozbić na składowe części swoje, kiedy są dzisiaj zmięszane, bo różnych dopinają celów. Trzeba osobno wybierać posłów, osobno pisać instrukcje.

Elekcje naprzód odbywać się mają tajnem głosowaniem jak inne sejmiki elekcyjne; marszałkiem niechaj będzie pierwszy obecny senator województwa lub urzędnik. Rejestra głosujących mają się tak samo spisywać, jak wzór podany i t. d. Po skończonej pracy urna zamyka się, pieczęcią marszałkowską pieczętuje, a nawet jeżeli wcla będzie i asesorów, poczem oddaje się pod zachowanie do skarbnicy kościoła, w którym odbywał się sejmik.

Nazajutrz lub może nawet tegoż samego jeszcze dnia, jeżeli czasu dosyć starczy, obiera się marszałek do odbycia drugiej czynności, to jest spisania instrukcyj i uchwał. Można też zachować do tej czynności poprzedniego marszałka, który kierował wyborami.

Dwa sejmiki więc odbędą się w jednym. Jakkolwiekbądź skończy się ten drugi, czy dojdzie, czy się zerwie, skrzynka z głosami przynosi się tegoż dnia, lub jeżeli nie wystarczyło czasu, dnia następnego, kartki się liczą i posłów ogłasza się według większości. Może się zerwać sejmik drugi na instrukcji, nie zerwie się pierwszy na wyborach i zawsze posłowie będą od wszystkich ziem i województw na sejmie, chociaż niektórzy bez instrukcyj. Jeżeli zaś sejmik ten drugi prawodawczy stanie, wtedy posłowie otrzymają instrukcje. Gdyby się zerwał, marszałek sprawy województwa i dobra ogólnego sam ustnie posłom poleci, sumienia ich niczem jednak nie zwiąże.

Korzyści tego sposobu sejmikowania są widoczne. Sejmy dochodzić muszą, o ile to będzie zależało od województw; nigdy już nie będzie miejsc pustych w ławach poselskich, wszystkie będą zajęte. Czy będą albowiem instrukcje, czy ich nie będzie, posłowie zawsze są wybrani i mogą radzić Rzplitej, chociaż bez instrukcyj. Jedni ją będą mieli, drudzy nie, głos kraju więc zawsze się rozlegnie wśród izby. Owszem zasada, że ów poseł obrany może głos podnieść na sejmie, chociaż nie ma instrukcji, zaprowadzi pewno ład wśród sejmików: wszędzie w takim razie województwa same odpokutują za to, że nie obiorą posłów, że nie napiszą instrukcji. Posłowie przemawiać będą od siebie nie

od województw, co i zawstydzi i zapali do poprawienia się z wad nierządu. Dalej jest tu korzyść inna. Po obraniu posłów, szlachta jak zwykle bywało dotąd, w większej części do domów swoich powraca, bo dopełniła według siebie najważniejszego aktu czynności sejmikowych. Będzie tak pewno i nadal. Ztąd instrukcje i uchwały sejmikowe nie cały tłum szlachty pisać będzie, jak go i teraz nie pisze. Więcej zgody nastanie, mniej żywiołów niesfornych zaburzy spokojność prawodawczych sejmikowych obrad. Będzie nadto wielka oszczędność czasu. Sejmiki dotąd trwały od 7 do 14 dni; w ciągu tego czasu jedni zabiegali i częstowali, drudzy sprzedawali się za jadło i napój. Dzisiaj z zamknięciem urny wszystko się kończy. Rachunek głosów zaś dokonywa się nie po ukończonym zgodnie czy rozerwanym sejmiku, dla tego, żeby zatrzymać wszystkich kandydatów na poselstwa do pisania instrukcyj i uchwał wojewódzkich. Gdyby wiedzieli wprzód, że obranymi nie są, alboby się rozeszli, albo rozżaleni utrudniliby pisanie to sami, lub przez podstawione osoby. Dalej gdyby się posłów wprzód ogłosiło, przed zakończeniem sejmiku, nie mieliby wybrani głosu w układaniu instrukcji, boby w drażliwem się przeto ujrzeli położeniu pisania dla siebie poleceń. Wybrani, tem samem że wybrani, dają rękojmię swoich zdolności, dobrej woli dla ojczyzny, wziętości u współziemian. Po cóż ich więc było wyłączać od układania instrukcji, wszakże ludzi rozsądnych, prawo znających potrzeba szczególniej do takiej prawodawczej czynności.

III

SEJMY.

Teraz najważniejsza rzecz o sejmach.

Mamy sejmy zwyczajne i nadzwyczajne: pierwsze zbierają się w prawnym terminie, co dwa lata i trwają sześć tygodni, drugie w każdym razie król może zwoływać na dwa, trzy tygodnie. Zbierają się te sejmy jak wykazaliśmy późno, nie zachowują tajemnicy, wykonania żadnego nie mają, rwą się nareszcie. Już Kromer opisując początki izby poselskiej za Kazim. Jagiellończyka, wyrażał obawę, czy ta nowa wolność zczasem nie wyrodzi się w tyranię. Karwicki, który się napatrzył tych okazyj pomiędzy majestatem a wolnością za Jana Kazimierza lub Michała widział

jasno niebezpieczeństwa Rzeczypospolitej, która mogła albo tem skończyć, żeby ją pomiędzy siebie rozerwali sądziedzi, albo przeniosłaby całą prawodawczą wagę swoję do rad senatu i skończyłaby na samowładztwie. Niechaj tylko królowie znajdą sposób prowadzenia wojny bez sejmów, a mamy już tej zasady początki w paletach wojskowych, wtedy sejmy staną się wcale niepotrzebne, będą im owszem zawadzały w rządzie. Mylą się ci ludzie, którzy sądzą, że przez rwanie sejmów dokuczy się królom, kiedy rządzą sami bez kontroli. Przez swawolę sejmową szkodzi się raczej wolności i toruje drogę samowładztwu, bo królowie wtedy mają na zawołanie radę senatu. składają ją kiedy chcą, jak chcą, z kimkolwiek chcą i robią naturalnie co im się podoba. Rzplitej więc na tem wszystko zależy, ażeby sejmy dochodziły.

I rozumiała to dobrze Rzplita. Już w r. 1659 po wojnie szwedzkiéj wyznaczała deputację do wynalezienia sposobu, żeby nie rwały się sejmy. Toż samo staranie widać za Michała w r. 1673, podczas konfederacji Gołąbskiej. Skądże to? Bo każdy poseł uważa się u nas za tłumacza praw, których chce być autorem, a gdy mu pozoru zbywa, osłania się tym ostatnim złości swojej puklerzem, że czuwa nad Rzplitą, salus populi suprema lex mihi esto. Ależ mniemany obrońca gubi z dobrej woli Rzplitę. Gdy więc sejm nie dawał ani prędkości, ani pewności, Rzplita r. 1590 wyznaczyła pierwszy raz do boku królewskiego deputatów i komisarzów z rycerstwa, i nadała im moc stanowienia wraz z królem w pewnych razach o bezpieczeństwie Rzplitej; przysięgali ci komissarze do boku na tajemnicę. Ale ta pierwsza rada zaraz r. 1591 zniesiona. Obawiano się albowiem, żeby król nie ujął komissarzy wakansami lub starostwami, nie wplątał przez to Rzplitej w wojnę szwedzką. Ta sama rada jednakże nieraz potem była w użyciu. Stanowiono ją przy boku króla i przy boku hetmana, którego także chciała Rzplita wziąść pod kontrolę. Poświadczają to konstytucje z r. 1620, 1635, 1649, 1673, 1676, 1678, nawet i w r. 1703. Ale ta rada tylko do spraw wojennych i zewnętrznych się odnosiła, gdy tutaj nam idzie o znalezienie sposobu na zaklęcie klęsk wewnętrznych.

Oto praktyczny będzie następny sposób naprawienia sejmów.

Niechaj sejmy jak trybunały trwają rok cały, niechaj wolno je będzie limitować i reasumować w każdym czasie, a przyjdziemy

do sejmu ciągłego, gotowego [1]). Prędkość rad tem samem będzie zawarowana. Nie znaczy to bynajmniej, żeby sejm obradował cały rok, ale znaczy, żeby na każde powołanie królewskie w razie potrzeby służył Rzplitej. Będą miały czas sejmy zająć się wszystkiem i domową i zewnętrzną sprawą ojczyzny, nawet żądaniami wdztw, które dzisiaj ciągle odsyłają się w recess. Szlachta się uspokoi gdy zobaczy, że posłowie przynoszą jej obok podatków i sprawiedliwość, odpowiedź na instrukcje. Sejmy będą spokojne i nie obudzą niechęci, którą dzisiaj obudzają powszechnie rady senatu. Posłowie będą jakby eforami i stróżami praw swoich województw. Tak upadnie najtrudniejszy szkopuł, spór o przedłużenie sejmu, o który się nieraz dzisiaj rozbijamy. Jeżeliby się zdarzyło, żeby posłowie upornie wstrzymywali bieg obrad, mają wyjść natychmiast uniwersały do wdztw i powiatów, z których pochodzą ci posłowie, z uwiadomieniem, wtedy województwa wybiorą na ten jeden raz osobistych sędziów, żeby ocenili powody posłów, jakie mieli do opozycji, lub dali zdanie, czy działają według danej im na sejmikach instrukcji. Dobrze by też było wyrozumieć sejmiki jeneralne po prowincjach dla kombinowania instrukcyj wojewódzkich. Ułatwiłaby się przez to sprawa sejmów, opozycja byłaby oględniejszą.

Sejm jeden następować więc będzie bezpośrednio po drugim co roku inny. Dlatego potrzeba, aby sejmiki obiorcze miały czas oznaczony, jak n. p. mają go sejmiki deputackie. W poniedziałek po narodzeniu Najśw. Panny zaczynają się sejmiki deputackie, niechaj posłowie obierają się w poniedziałek przed św. Katarzyną panną. Niechaj tak samo oznaczony będzie na rozpuszczenie sejmu dzień pewny, n. p. poniedziałek po Trzech-Królach. Sejmiki relacyjne znowu niechaj się poczynają w poniedziałek po Oczyszczeniu Najśw. Panny. Jeżeliby pokazała się potrzeba, sejm z królem wyznaczy sejmiki nadzwyczajne. Niechaj sejmy jak trybunały mają moc zawiesić swoje obrady na pewien czas; nawet na sesje prowinjonalne rozpadać się mogą. Cztery miesiące niechaj sejm za Małą-Polskę radzi w Krakowie, drugie cztery miesiące

[1]) Używamy tu wyrażenia Sejm gotowy, że jest historyczne, chociaż dobrze od Karwickiego późniejsze. Sejmami gotowemi przezwała ustawa z dn. 3 maja 1791 r. sejm obradujący w ciągu pewnego okresu prawodawczego. Karwickiego pogląd zgodził się tutaj z ideą 3 maja.

w Warszawie za Wielką-Polskę i trzecie cztery miesiące za Litwę, alternatą jednego roku w Brześciu, drugiego w Grodnie. Litewskie sesje sejmowe niechaj później zastępują ów trzeci sejm alternatą odprawiany w Litwie, według konstytucji z r. 1673. Niechaj prawo sesyj tych nie przywiązuje do pewnego miejsca, ale według potrzeby i bezpieczeństwa, zwłaszcza w czasie wojny, niechaj gdzie chcą sesje swoje sejmowe Litwini przenoszą. Nawet i sejmy mogą się odbywać, jeżeli nic innego nie stoi na przeszkodzie, raz w Krakowie, drugi raz w Warszawie, trzeci raz w Grodnie lub w Brześciu.

Dzisiaj głównie opóźnia prace sejmowe sama mnogość osób sejmujących. Posłów z trzech prowincyj bywa 172, oprócz pruskich, których liczba żadnem prawem nie jest oznaczona i dla tego nieraz ich po 29 przybywa, gdy z trzech wdztw najwięcej byćby powinno 18 posłów. Nadto senatorów i różnych dygnitarzy zasiada na sejmie osób 140. Niechaj więc kto zechce na połączeniu się izb czas wycieńczać czemkolwiek, a cały ów tłum sejmujących słuchać go musi, nic nie robiąc. Potem okropny jest nawał przedmiotów. Posłowie raz wraz nowe wnoszą rzeczy, jedne drugim przeciwne i nic dziwnego, gdy z sześćdziesięciu sejmików znoszą się materyały obrad w instrukcjach, czasem kilkuarkuszowych. Jeden popiera przedewszystkiem to, drugi owo; zamęt największy, niewiadomo o czem wprzódy rozprawiać.

Porozdzielajmy te czynności na wielką liczbę osób, a porządek sam się ułoży i czasu tracić nie będziem na słuchaniu wcale niepotrzebnych oracyj. Nie potrzeba tu innych jakich szczególnych sposobów, żeby dojść do celu, wszelka nowość albowiem podejrzana jest naszej wolności. Ależ mamy od dawna sesje tak zwane prowincyonalne na sejmach, te przedewszystkiem zużytkować należy. Obieramy również deputatów z izby senatorskiej i poselskiej do słuchania liczby ze skarbu. Obieramy osobno trybunał radomski. Naradzamy się pospólnie po klasztorach, rachunków skarbowych zaś słuchamy w prywatnych pałacach. Wszystko to nie dobrze się dzieje. Radźmy i rachujmy się zawsze w zamkach, w których odbywają się sejmy. Tak przyzwoitości i powagi będzie więcej. Zamiast dwóch izb, postanówmy jeszcze trzecią i niechaj we wszystkich trzech odrazu roztrząsają się sprawy publiczne. Niechaj każda izba ma coś sobie właściwego.

W izbie poselskiej notujmy zgodne punkta instrukcyj wojewódzkich, zosobna spisujmy punkta ich niezgadzające się z sobą dla późniejszej kombinacji i pogodzimy jedne z drugiemi. Żądania województw tutaj się uspokoją.

Druga izba senatorska niechaj materje stanu roztrząsa, sprawę pokoju lub wojny, poselstwa niechaj od obcych przyjmuje i wysyła polskie za granicę. Niechaj układa przymierza i rozejmy, a koleją niechaj odprawia sądy sejmowe.

Trzecia izba niechaj skarbem się wyłącznie zajmuje, to jest wszystkiemi sprawami, które się odnoszą do skarbu. Do tej izby przenieść należy władzę trybunału radomskiego boć i dawniej aż do czasu Zygmunta III. wszystkie sprawy skarbowe, dzisiaj roztrząsane w Radomiu na trybunałach, odbywały się na sejmach i dopiero w r. 1613 osobny trybunał skarbowy stanął. Izba ta niechaj zawiera kontrakty względem dochodów Rzplitej, ale więcej dającym. Będzie tu i sąd o zniszczenie dóbr królewskich z dzierżawcami i t. d.

Lecz żeby to wszystko w naturalnym odbywało się porządku, potrzeba jeszcze zmian pewnych w ustroju sejmowym. Dawne nazwisko izb musi się zatracić. Do każdej albowiem z trzech izb mają się wybierać zarówno posłowie, jak i senatorowie. Boć kiedy wszędzie pomięszane są dwa stany, pocóż je na sejmie rozdzielać? Na sejmikach również senatorowie zasiadają i piszą instrukcje. Nie ubyło nic przez to rycerskiemu stanowi za ostatniej konwokacji w Warszawie r. 1697, że senatorowie przybyli do izby poselskiej i wspólnie z posłami w niej radzili. W Rzymie, jakichże to klęsk nie było powodem, że lud obradował bez senatu osobno? U nas dopiero za Kazimierza Jagiellończyka rozłączyły się stany i dlatego odtąd nie wierzą sobie; trzeba więc, żeby na nowo się z sobą połączyły. Żeby tego celu dostąpić, krok najstósowniejszy będzie, jeżeli dozwolimy szlachcie obierać swoich senatorów. Wszak to rzecz nie tak niezwyczajna u nas; Połoczanie wojewodę, Żmudzini starostę który u nich wojewodą jest, oddawna sobie wybierają.

Niechaj tedy do onych trzech izb województwa same wyznaczają osoby, bo dzisiejszy zwyczaj naganny jest, że do różnych komisyj obiera sam marszałek sejmowy posłów, jakich zechce. Województwa, gdy przyjmiemy tę zmianę, będą spokojne i bez-

pieczne, gdy na sejmikach relacyjnych zaufani posłowie zdadzą o wszystkiem sprawę, co i jak się zrobiło na sejmie.

Co zaś do liczby posłów mających się rozdzielać pomiędzy trzy izby, ten sposób wystarczy. Województwo poznańskie razem z kaliskiem wysyła 12tu posłów, niechaj więc z nich po czterech idzie do izby każdej. Te województwa, które obierają po sześciu posłów, jak krakowskie, sandomierskie, podlaskie i rawskie, mają po dwóch do każdej izby wysyłać. Posłowie ziem i powiatów mają stawać na sejmiki relacyjne całego województwa. Krakowianie posła z księstwa zatorskiego do tej izby wyszlą, do której osądzą, że będzie potrzeba. Płockie i lubelskie wysyłają po trzech posłów, więc po jednym wybierają do każdej izby. Sieradzkie z ziemią wieluńską, kujawskie z dobrzyńską razem po sześciu obierają, więc po dwóch. Łęczyckie i bełzkie obierają czterech posłów sejmowych, niechaj więc do dwóch izb dadzą po jednym, a dwóch do trzeciej, do której uważają. Tym samym sposobem swoich posłów rozdzieli województwo ruskie, które 14tu wysyła, mazowieckie, które 20tu: liczby to nieregularne na trzy równe części podzielić się nie dadzą, zatem nadkomplet posłów wejdzie do jakiejkolwiekbądź izby według wskazania województwa. Gdy posłów pruskich liczba jest nienaznaczona prawem, same prowincje wyznaczą ich ile zechcą po izbach. Tożsamo w Litwie pokombinują się powiaty z województwami.

Trzy te izby każda oddzielnie naradzać się będą. Lecz czasami zejdą się razem, zwłaszcza wtenczas, kiedy na stół przyjdzie przedmiot podatków nadzwyczajnych. Marszałek sejmowy złączy wtedy wszystkie trzy izby w senatorskiej: tutaj przedłoży i te sprawy, którym posłowie w swojej stawili opór. Sejm cały rozstrzygnie ostatecznie. Jeżeli co być może, zgoda i na sejmie całym nie nastąpi, sprawy tak trudne pójdą w recess do innego zebrania się sejmowego, albo jeżeli tylko jeden sporny poseł nie ustępuje odesłane będą na rozsądzenie prowincyj.

Marszałek sejmowy także, jeżeli uważać to będzie za stósowne, może jednego dnia przewodniczyć jednej, drugiego dnia drugiej izbie, żeby lepiej uprzątnąć trudności, jakie się nadarzą. Tymczasem w innych dwóch izbach kierować będą obradami deputaci do konstytucji i przysięgną według roty z r. 1673. Żądanie województw w jednej zamknie się konstytucji, jak n. p. podatki od

mostów, nobilitacje, indygenaty i t. d., żeby corpus juris, księga prawodawstwa narodowego zbyt nie rosła.

Korzyści z tego układu sejmu będą następne. Szlachetna emulacja przyspieszy sprawy, bo rozdział pracy nastąpi i każda izba pilniej będzie się mogła zastanawiać nad rzeczą. Posłowie sami się zniosą, do izby senatorskiej wyszlą z pomiędzy siebie dobrych statystów, toż właściwych znawców do izby skarbowej. Młodsi posłowie, tembardziej ci, co pierwszy raz sprawować będą poselstwo, poświęcą chętnie swoją pracę dla przeglądania i ułożenia spraw województw z tem większą troskliwością, im na mniej licznych barkach ciężar ten spocznie, Dotąd młodsi posłowie bawili się tylko, na starszych zdawszy sejmową pracę. Nie ukryje się teraz żadne żądanie województwa; posłowie nie będą mogli, jak dotąd udawać, że popierają coś z mocy instrukcji, których nie pokazywali nigdy sejmowi, gdy w instrukcji nie będzie tego, czego się dobijać zechcą. Dawniej popierali częstokroć rzeczy nawet przeciwne instrukcji. Nikt ich kontrolować nie mógł. Poskromi się nadto ambicja, bo zdawać będzie odtąd sprawę ze swego postępowania na sejmikach relacyjnych. Jeżeli moc trybunału radomskiego przejdzie do sejmu, województwom oszczędzi się nakład utrzymywania komisarzy i ustaną apelacje od owego trybunału do sejmu. Arbitrowie mniej przeszkadzać będą, bo rozdzieli się taż sama mnogość sejmujących, jak i słuchających obrad. Wszakże nieraz nawet ta liczna obecność arbitrów tamowała obrady sejmowe, do nieprzyjemnych zajść dawała powód. Rozproszą się ciekawi po trzech izbach, a przezto sprawy w izbie senatorskiej odbywać się mogą z większą tajemnicą. Królowie będą mieli chwilę wypoczynku, gdy nastaną przerwy sejmowe, bo te ciągłe sesje, a zwłaszcza pod koniec sejmu, więcej utrudzały, jak ciężkie obozowe znoje. Toż wykonanie konstytucyj sejmowych daleko będzie prędsze pod wszelkim względem. Dzisiaj zaś każdy, kto się obawia przeciw sobie uchwały, rwie sejm, a tem samem wykonania nie ma żadnego.

Idzie teraz o uporządkowanie sejmu.

W dzień oznaczony na zebranie się sejmujących, posłowie w swojej izbie odbędą rugi pod starą laską, jakto było kiedyś we zwyczaju. Konstytucja grodzieńska z r. 1673. stanowiła te rugi już po obiorze nowego marszałka, lecz to niewłaściwe, cierpi albo-

wiem na tém albo sam poseł tego województwa, albo posłowie wszyscy i cała izba. Boć jeżeli nieprawny poseł daje swój głos na marszałka, jakże go potem głosu pozbawić? byłażby do tego zasada? Pozwolić mu, choćby ten jeden raz głos podnieść, jestto razem i krzywdzić posłów prawnie obranych, bo jakaż to różnica w prawie jednego i drugiego? Gdyby poseł źle obrany nie głosował na obiór marszałka, a potem dopiero zyskał głos na mocy wyroku sądu; zniewagą to będzie i dla niego i dla województwa, że mu się wprzód głosować nie pozwoliło. Był i wypadek taki na sejmie grodzieńskim w r. 1687 że poseł pod zarzutem będący nie pozwalał na elekcję innego marszałka dlatego tylko żeby od prawa swego nie odpadł, przez sześć tygodni wstrzymując obrady, wreszcie sejm rozerwał. Pozwólmy więc niechaj rugi odbywają się pod starą laską a obierzemy marszałka bez żadnej trudności. Najlepiej wszakże byłoby, gdyby same sejmiki rozsądzały tę trudność.

Niechaj posłowie wszyscy podług konstytucji z roku 1633 obowiązani będą zaraz pierwszego dnia stanąć na sejm. Niechaj wszyscy z zarzutami przeciw nieprawnym obiorom zaraz pierwszego dnia wystąpią. Zdarzyło się też nieraz na sejmach że stronnictwo zwycięzkie odsądzało zwyciężone od wolnego głosu. Poseł pod zarzutem zostający cicho na sejmie siedzi, a upatrzywszy sposobność kiedy nie ma zarzucającego, zabiera głos. I już wtedy nie na samo zwycięzkie stronnictwo, ale na prawo i sprawiedliwość naciera. Okryci zarzutami nie będą się starać o poselstwa, albo zawczasu się ułożą z przeciwnikami, nie będzie o nich kłopotu więcej ani na sejmikach, ani w izbie poselskiej.

Po odbyciu rugów, pierwszego dnia lub nazajutrz ma się odbyć elekcja marszałka. Głosowanie ma być tajne, jak na sejmikach, w taki sam sposób. Obranemu marszałkowi posłowie podadzą na karteczkach swoje głosy, z każdego województwa, kogo z pomiędzy siebie wyznaczają do trzech izb. Jeżeli się nie zgodzą marszałek posłów rozdzieli sam według województw. Ten jedyny warunek kłaść można wyborcom, żeby do izby senatorskiej wyznaczano tych, coby skończyli lat 30 wieku, a przynajmniej 25 i coby po dwa razy przedtem sprawowali już poselstwo. Toć prawo zwyczajne Rzplitej nie pozwala młodemu przed dojściem 24 lat życia, rozrządzać nawet własnemi dobrami. Młody może posiadać naukę i zdolności ale nie ma potrzebnego doświadczenia.

Rozdzieleni tak po izbach posłowie rozchodzą się i odbierają od marszałka starej laski objaśnienia, co już zrobiono w pewnej materji na zeszłym sejmie, na czem sprawa stanęła i co do zrobienia jeszcze pozostaje. Starzy posłowie się rozejdą, nowi wtedy zajmą starych miejsce. Żeby zapobiedz zajściom ambitnym, niechaj stanie prawo, że poseł w czasie swego poselstwa nie może być kandydatem do żadnego wakansu. Tylko posłów zeszłego sejmu niech będzie wolno przedstawiać do nagrody w urzędach, posłowie nowi będą sędziami tych zasług starych, sami zaś niechby z czasem poszukali dla siebie pola zasług.

Senatorów do boku królewskiego na mieszkanie, trzeba kolejno wyznaczać na termina czteromiesięczne. W takim razie każdemu zadosyć się uczyni, bo będzie mógł i zdrowia własnego przestrzegać, majątku dopilnować i posługę czynić dla Rzplitej. Dzisiejsze rezydencje i rady senatu ustaną, bo przy królu znajdzie się zawsze nieustająca z senatorów rada, obrana przez sejm.

Prawo liberi veto zostanie przy posłach, ale z następnemi zastrzeżeniami. Poseł używający tego prawa ma się wywieść instrukcją, boć nie samego siebie reprezentuje na sejmie, lecz województwo swoje. W takim razie wypadałoby żeby wszyscy województwa jednego posłowie kładli veto, boć wszyscy razem jedne otrzymali instrukcje. Marszałek te sprawy, przeciw którym zachodzi spór ma zapisywać w rejestr osobny i na połączeniu się trzech izb przedmiot sprawy pod rozstrzygnięcie sejmu całego przedłożyć. Jeżeli nie wszyscy posłowie jednego województwa opierają się, lub instrukcyj nie pokażą, wtedy sprawa ich odsyła się na sądy prowincyj, jak było wyżej. Nieźleby też przyjąć zasadę, żeby na sejmikach obierać nietylko posłów, ale i zastępców ch, bo gdyby umarł w czasie trwania sejmu poseł jaki, zastępca imógłby zaraz wejść w jego miejsce bez zwoływania na nowo sejmików. Zastępca wszedłby również w miejsce posła odsądzonego od głosu lub obranego nieprawnie.

Posłów niegdyś opłacał skarb, potem województwa. Nic sprawiedliwszego nad te pensye poselskie. Mogą być mniejsze lub większe według odległości miejsca z którego przyjeżdżają posłowie. Nareszcie sama potrzeba tych pensyj wymaga. Nieraz albowiem najzacniejsi obywatele nie mogliby się podejmować poselstw, gdyby nie pobierali żadnej pensji. Zapłata niechaj się

na rok liczy. Potrzeba też wziąść dobry wzór z województwa sandomierskiego i kilku innych, które nie obierają ciągle jednych i tych samych posłów. Deputatem na trybunał można być powtórnie obranym po czterach latach, — czemużby nie postanowić że również dopiero po czterech latach można być posłem sejmowym? Niechaj także posłowie mają stałe mieszkanie w grodzie sejmowym niedaleko od siebie. Każde województwo może kosztem swoim zbudować domy z funduszów wojewódzkich, ex contributione ducillari. Mogliby się wtedy posłowie łatwo nawzajem oświecać, i znosić nawet i po za sejmem. Miasta sejmowe przyozdobią się przez te nowe gmachy. Bo jeżeli prywatni ludzie dla wygody własnej nie żałują kosztów, jakże łatwiej województwom dla własnej chluby a bez uciążenia mieszczan, poradzić sobie w tej mierze. Również możnaby nawet inaczej liczbę posłów po województwach rozdzielić. Te województwa, które więcej płacą podatków na obronę ojczyzny słuszna jest, aby i więcej posłów wybierały na sejm. Dzisiaj nie ma pod tym względem żadnej prawie sprawiedliwości. Krakowskie płaci n. p. 21.000, sandomierskie 20.000 na obronę, a wysyłają po sześciu posłów. Mazowieckie tyleż płaci co tamte, a ma posłów dać 20. Niektóre znowu województwa nic nie płacą, a tymczasem posłowie ich najczęściej zatruwają spokojność sejmową. Niechaj się województwa mniejsze połączą w jedno większe, a ubędzie posłów i sejmikowych instrukcyj, mniej będzie samych sejmików.

Mogą być wszelako i tak jeszcze pewne trudności. Są np. zwolennicy tak zaciekli prawa liberum veto, że chcieliby uszanować opór każdego posła. Wymieniają przypadek, że czasem być może wszyscy posłowie zejdą z drogi prawej; wtedy głos jednej osoby miłującej nadewszystko ojczyznę, na zgubę sprawy publicznej nie pozwoli. Smutne to przypuszczenie, że na kilkaset osób wszyscy znajdą się zdrajcy a jeden zdrowo myślący. Niechaj Bóg tę dolę oddali od Polski! Wszakże na dobrych tylko obywatelach opierają się królestwa. Zresztą przypuśćmy i to nawet. Wszak, co sejm jeden uchwali, to drugi znieść może. Mamy świeże przykłady tej prawdy: na sejmie r. 1678 postanowiono, żeby marszałek nie nominował do remis, i nikt temu się nie oparł; gdy jednak na sejmie r. 1683 uważano to zastrzeżenie za szkodliwe prawu liberum veto

zaraz je usunięto. Pocóż innych przykładów? Co pióro napisało, to zmazać może. Nie bawmy się w psa ezopowego, który z mięsem w pysku przechodził przez rzekę.

V.

EKONOMJA WOJENNA.

Następuje ważny rozdział o ekonomji wojennej.

Narodowi polskiemu, więcej jak któremu innemu, zależy na urządzeniu dobrem siły zbrojnej. Granice nasze otierają się o państwa i narody łakome i zbrojne. Pospolite ruszenie miało chwile swojej świetności. Rozszerzyliśmy granice Polski, pokonaliśmy niem wrogów i zasługami wojennemi zdobyliśmy sobie wolność. Zygmunt August pierwszy od trudów obozowych wyłamywać się zaczął i ztąd na utrzymanie stałego wojska przeznaczył kwartę. Rycerstwo więc powoli odzwyczaiło się od pospolitego ruszenia i dlatego je dzisiaj przywrócić trudno. Obawa przed władzą królewską zaszczepiła nierząd, wypadało albowiem stałe wojsku oznaczyć płace, a nie zajmować tą pracą sejmików ani sejmu. Nie byłoby zaległości w skarbie i związków wojskowych, nie zastawiałyby się prowincje, elekcje królewskie nie odbywałyby się tak jak ostatnia saska (z r. 1697), że kładł się wybrańcowi warunek zapłacenia wojska. Z obawy, ażeby król nie nadużył władzy swojej nad wojskiem, nie opłacaliśmy regularnie żołnierza i dlatego dzisiaj są w zwyczaju palety, zdzierstwo ostatnie. Wypada ze wszystkiego, że trzeba mieć stałe wojsko i należyty sposób opłacania żołnierza.

Wojsko składa się z piechoty, z jazdy i z artylerji. Wojując ciągle z Tatarami, którzy tylko łupieżyli i uciekali, zaniedbaliśmy piechotę i działa; dzisiaj to nie uchodzi, bo nieprzyjaciół mamy opatrzonych w jedno i w drugie. Sztuka wojenna staje się rzemiosłem, Moskwa nawet po europejsku wojować się uczy. Rozmaity w rozmaitych państwach jest stosunek piechoty do jazdy według potrzeby: piątą, czwartą, nawet trzecią część wojska obejmuje jazda i piechoty bywa daleko więcej, a to z pewnych powodów. Biją się obcy często pod twierdzami, oblegają je lub bronią, do tego celu lepiej służy piechota, która też mniej kosztuje bo trzech można utrzymać żołnierzy piechotnych za jednego

jeźdźca. Dowóz żywności łatwiejszy dla piechoty, zwłaszcza w twierdzach i zamkniętych obozach. W boju również piechocie łatwiej zachować porządek szyków; żołnierze w niej ustępują cokolwiek pole przed natarciem i znowu się bronią, ale jazda raz w popłoch rzucona, rozbija swoje własne szeregi, tworzy zamęt. O Carmagnoli pisze pewien historyk włoski, że kazawszy zsiąść jeździe z koni i pieszo walczyć, 18,000 Szwajcarów poraził.

U nas stosunek ten dwóch broni do siebie musi być cokolwiek inny. Nasi nieprzyjaciele albowiem walczą i w szykach piechoty i najeżdżając, urywając, ścigając. Niechaj zatem będzie $^2/_3$ u nas piechoty, a trzecia część jazdy. Nasza jazda więcej daleko niż inne kosztuje, bo prowadzi za sobą niezmierne tabory i ciurów: w chorągwi stukonnej bywa po 600 ludzi oprócz tych, którzy są przy koniach taborowych, których utrzymanie również kosztuje. Ztąd to coby wystarczyło dla całej chorągwi na kilka miesięcy, marnuje się w kilka tygodni. I kraj się przez to niszczy i głód w obozach powstaje. Okropny tego przykład opowiada Piasecki pod r. 1601. Król w Inflantach kraj zniszczywszy jazdą, potracił ludzi i w małym orszaku zbrojnych musiał wracać do Litwy. Towarzysz nasz częstokroć jest bogaty, nazywa się paniczem, ma sią za równego swoim wodzom, nawet hetmanom, i dlatego rozkazy ich niedbale wykonywa, albowiem się ich nie obawia. Nawróćmy się więc do piechoty, a jazdę zreformujmy. W tem klucz całej sprawy.

Na zeszłym sejmie lubelskim (r. 1703) Rzplita przez skrypt do archiwum, oznaczyła liczbę piechoty z Korony na 15,000 ludzi. W dzisiejszem ubóstwie Rzplitej byłoby nad siły nasze utrzymywać tyle piechoty. W takim razie można się uciec do konstytucji z r. 1677, to jest także wziąść na uwagę skrypt do archiwum z tegoż roku; postanowiono tam piechoty 12,000 ludzi. Co zaś do zapłaty ich z hybern, takie stanęły zawarowania. Wzięto za podstawę taryfę pogłównego z r. 1622 lub 1671. Wyniosło to rocznie zł. 2,209,000. Z tej ogólnej sumy płacono jednemu husarzowi 204, pancernemu zaś 164 zł. rocznie. Na dzidę osobno brał żołnierz zł. 4. Jeźdźcowi lekkiemu płaciło się 124 zł. i także zł. 4 na dzidę. Pieszy żołnierz pobierał rocznie zł. 144 i osobno na broń i odzież 40. Dragon (desultorius miles) brał zł. 144 i osobno na konia, odzież i broń zł. 80. Wyniosło to wszystko

razem całkowitą sumę, jak wyżej, zł. 2,209,000. Hussarzy było za te pieniądze ludzi 2,150, pancernych 3,000, lekkiej broni ludzi 800, piechoty 4.500, dragonów 1,500. Razem w Koronie było wojska ludzi 11,950 (więc nawet niecałe 12,000).

Hyberna zaś tak się rozdzielała. Dobra duchowne miały co rok przynosić 300,000 zł. królewszczyzny 760,000, ze starej kwarty było 114,000. Z tej sumy brał husarz tyle co żołdu, to jest zł. 204, pancerny 164, lekki żołnierz 124. Hetmanowie brali 100,000, pułkownicy i rotmistrze husarscy 44,200; dla zaspokojenia zaś ich, żeby ciągle bywali u pułków, dobra duchowne obrządku greckiego miały im dopłacać 55,800 zł., żeby także cała suma 100,000 złp. wyniosła.

Zatrzymajmy tylko te 12,000 żołnierza z uwagi jedynie na ubóstwo narodowe. Niechaj będzie piechoty 7,000, dragonów 1000 hussarzy 1,200, pancernych 2,000, lekkich 400 i drugie 400 ludzi na służby hetmańskie. Tak więc będzie 8,000 piechoty i 4,000 jazdy, według już postanowionego stosunku.

Przez zmniejszenie liczby na teraz, naprawimy wojsko nasze. Ale trzeba na rotmistrzów wybierać ludzi wojennych i zobowiązać ich, żeby ciągle przy chorągwiach siedzieli, tak warowało nawet sprawiedliwie prawo z r. 1691 o karności wojskowej. Zakazano wtedy senatorom i starostom grodowym posiodać kwarciane chorągwie. Bytność rotmistrzów przy chorągwiach zastrzegła już konstytucja z r. 1667 i artykuły wojenne hetmańskie z r. 1613 pod karą tysiąca grzywien. Dzisiejsi rotmistrze rzadko bywali w obozie, a nigdy w bitwie. Na sejmach i sejmikach, wojskowych zawsze bywała moc, jak znowu w obozach napotyka się wielu cywilnych; sejmiki tedy odbywają się w obozach, na sejmikach radzą koła rycerskie. Trzeba to raz w kluby ująć porządku. Niechaj żołnierz nie radzi, ale bije się; niechaj obywatel nie bije się, ale radzi. Na to wystarczy konstytucja z r. 1591. Nie potrzeba powiększać nawet liczby oficerów, niechaj tylko ci, którzy są obecnie, pilnują dobrze swoich obowiązków. Dla utrzymania karności, rotmistrze powinni sami być znakomici w czyny wojenne, nie w godności. I żołnierz tem się więcej szczycić będzie, że ma za drużbę dzielnego rotmistrza. Chorągwie niechaj zachowają starszeństwo według tego, jak która wprzód powstała, a nie według znaczenia swoich rotmistrzów. Trzeba też znieść owe wędrówki

towarzyszy z chorągwi do chorągwi, bo nieraz uciekają ci panowie nie z potrzeby jakiej, ale dlatego, żeby się dostać do jakiego dostojniejszego rotmistrza. Towarzysze, uczestnicy jednych losów, i bitew, dzielniej się z sobą trzymać będą; prawa i dawniej zakazywały rozdawać chorągwie kwarcianych pomiędzy senatorów świeckich, tem bardziej duchownych. Gdy przez takie urządzenie zwiększył się niedostatek żołdu dla żołnierzy, bogatsi zasilali chorągiew z własnej kieszeni, ale te ofiary nigdy nie są takie, żebyśmy dla nich prawo jawnie znieśli.

Trzeba też męztwu otworzyć pole. Ztąd po śmierci rotmistrza porucznicy lub zastępcy rotmistrzów powinni posuwać się na ich miejsce. Tak jest wszędzie i w podobny tylko sposób utrzymamy stare, doświadczone wojsko. Dzisiaj rozdają się chorągwie nie walecznym, ale bogatszym. Rotmistrze tacy ujmują żołnierza przymilaniem się, ucztami, pijatyką. Dobrze też byłoby zawarować, żeby do hussarzy nikogo nie przyjmować, kto lat kilku przynajmniej nie wysłużył żołnierzem pancernym i żeby rotmistrzem nie bywał ten, kto nigdy nie był towarzyszem. U cudzoziemców jest tak i nawet książęta po stopniach idą do jeneralstwa. Gdzieżto dowódzca ma nabyć doświadczenia, kiedy sam nie walczył? Mamy świeży wzór na carze moskiewskim, jakiemi to drogami dochodzi się do nauki i doświadczenia. Piotr nie wstydził się zacząć od najniższego stopnia, żeby skończyć na najwyższym.

Dalej trzeba tego pilnować, żeby nie samem imieniem, ale bronią, byli ci hussarzami, tamci pancernymi. Dzidy, koń, strój, uzbrojenie, ma być dobre, żelazo lepsze niż srebro. To znowu zawarowała konstytucja z r. 1620. Kiedy wojna turecka groziła Rzplitej, postanowił sejm, żeby żołnierze nie stroili się w złoto i srebro, ale w żelazo, pod karą utracenia żołdu. Dosyć zachowania prawdziwych i dobrego wyboru rotmistrzów, regularnej zapłaty wojska, a żołnierz zawsze na potrzeby Rzplitej będzie i porządny i posłuszny.

Służba wojskowa, pocztowi pachołcy, mają także być zbrojni w dłuższe strzelby niż towarzysze. To znowu zastrzegła konstytucja po śmierci Stefana w r. 1587. W wojnach tego króla przekonali się nasi, że strzelba lepsza jest od haku: pojawiły się więc wtedy półhaki, to jest podługowate strzelby i krótsze pistolety. Zresztą zdać to na hetmanów i rotmistrzów, niechaj jedni i drudzy pilnując praw i artykułów wojennych, nie opuszczają swojego,

stanowiska, a dobrze będzie. Tę moc ciurów i taborów potrzeba umniejszyć. Zkąd się wzięła! Oto z nieprzezorności dawnej: dokąd towarzysze muszą trzymać luzaków, bo ich wysyłają za żywnością i paszą, ale niechaj obyczajem cudzoziemskim w obozie wszystkiego dostanie, a zaraz zmniejszy się liczba ciurów i kosztów ubędzie. Niechaj osobni urzędnicy, magistri seu praefecti zajmą się dowozem, furażem, niechaj każdy gospodarz ma zapewnienie sobie bezpieczeństwa, a do obozu sami ziemianie zboże i paszę dostawią.

O piechotę upominano się u nas oddawna: chciano ją urządzać według ilości łanów lub dymów; lepsze to ostatnie, bo łany u nas rozmaita to miara: inne frankońskie, inne niemieckie, co innego jest znowu włoka chełmińska. Nawet łany polskie są różne, jeden dwa razy prawie od drugiego większy. Tak samo jednak trudno spuścić się i na dymy. Mamy dwie taryfy dymów: jednę z r. 1629, drugą z roku 1661. Podług pierwszej, znajdowało się w Koronie dymów 300,000, lecz według drugiej, zaledwie połowę ich było po wojnie szwedzkiej; cóż dzisiaj znowu po latach 40tu i po ciągłych klęskach? Karwicki dla prostej swojej ciekawości obiedwie te taryfy porównywał, łanową i dymową i miarkował je potem. Uważał, że w województwach urodzajniejszych z półósma łanu może być pieszy żołnierz, cały zbrojnie stawiony; na Podlasiu i w Prusiech może być jeden z dziesięciu włók, na Mazowszu jeden z pietnastu. Byłoby według tej rachuby piechoty z Korony 16,331 ludzi. Podług dymowej taryfy, rachując na żołnierza złp. 220 i 22 dymy, byłoby ludzi 15,000. Można tak te dwie taryfy pomiarkować. Województwo krakowskie ma dymów 50,184, więc 22 dymy na jednego żołnierza licząc, wystawi to województwo piechoty ludzi 2,281. Toż samo województwo zawiera łanów 10,222. Byłoby tedy według stosunku z półósma łanu, żołnierzy piechoty 1362. Jedna liczba za duża, druga za mała: weźmy zatem obiedwie, dodajmy je i podzielmy na połowę. Cała summa wyniesie 3643. Połowa więc wypadnie 1821 $^1/_2$ i ta liczba powinna być normalną. Podług tej normy, Karwicki wygotował tabelę, którą rozdzielił na rubryki następne. W pierwszej imiona województw i ziem, w drugiej taryfę dymowego z r. 1629 bez abjurat, w trzeciej taryfę z r. 1661, w czwartej pomieścił liczbę piechoty, którą każde województwo według r. 1661 miało dostarczyć, w piątej taryfę łanów po województwach, w szó-

stej liczbę piechoty według łanów po województwach, w siódmej tę liczbę średnią piechoty, jakąby powinny dostarczać województwa skutkiem pomiarkowania dwóch taryf, w ósmej ubytek dymów z r. 1661 w porównaniu z taryfą r. 1629. Tablice te ułożył, przyjąwszy 15,000 piechoty według uchwały lubelskiej; gdyby się wzięła liczba mniejsza, łatwo zmienić przez regułę trzech zmniejszając liczby województw podane.

Co do hyberny. Stara kwarta wynosiła 1,174,000. Dalej dziesięć sympl podatku z roli *(contributionis agrariae)* wynosiło 1,951,088 i pięć sympl podatku domowego 808,834. Razem wszystkiego jest 3,933,992 złp. Na wojsko z tej sumy szło 3,6000,000 złp.

Dla porządku potrzeba postanowić tak. Niech każda chorągiew jezdna ma po sto koni. Pułki piesze i dragońskie *(desultoriae)* niechaj w pewnych województwach się podnoszą i płacą i niechaj podług cudzoziemskiego zwyczaju nazywają się od swego województwa: krakowskimi, sandomirskimi, poznańskimi pułkami. Niechaj dowództwo w pułkach ci dostają pułkownicy, którzy wyłącznie wojną są zajęci. Rozdział wojska niechaj będzie województwami. Żołd i hyberna niechaj się wypłacają w dwóch ratach, w marcu i w październiku, żeby łatwiej było włościanom. Kmieć z plebanem na pierwszą ratę złp. 5, na drugą 2 i gr. 15. Zagrodnik na pierwszą złp. 2 i gr. 10, na drugą zapłaci złp. 1 gr. 10 [1]).

[1]) Oto tablica Karwickiego.

Województwa	Dziesięć sympl (Decem symplae agrariae)	Podymne (Quique simp uma liae)	Summa obajga	Hussarze.	Pancerni	Wołochy	Piechota	Dragony	Artylerja
1. Krakowskie.	214225	125460	339685	—	—	—	1500	—	9675
2. X. Zatorskie	19028	17622	36650	—	—	—	100	—	14679
3. Sandomierskie	206104	113452	319556	—	—	—	1400	—	11555
4. Poznań. Kalis.	301152	113453	414635	—	—	—	700	1000	628
5. Sieradzkie	81794	40405	122199	—	300	—	300	—	6799
6. Ruskie	303908	170827	424235	—	200	—	2000	—	1131
7. Mazowieckie	211030	56680	267710	200	—	—	—	—	6909
8. Podlaskie	149904	23248	175152	—	1000	—	1000	—	1152
9. Rawskie	63879	18250	82129	400	—	—	—	—	529
10. Łęczyckie	59572	16500	76072	—	400	—	—	—	8872
11. Inowrocławs. z Dobrzyniem	53235	8152	61387	300	—	—	—	—	186
12. Płockie	50710	13261	63972	300	—	—	—	—	2771
13. Brzeskie Kuj.	34720	7475	41195	—	200	—	—	—	8595
14. Lubelskie	83613	30179	113790	—	300	—	—	—	63390
15. Bełzkie	48214	14961	63175	—	—	400	—	—	11975
16. Wołyńskie	60000	30000	90000	—	—	—	—	—	90000
17. Podolskie	10000	6875	16875	—	—	—	—	—	18878
Razem	1951088	808834	2759922	1200	2400	400	7000	1000	260699

Żołd oficerów niewysoki, bo też Rzplita biedna, niechaj poczekają lepszych czasów. Będzie tymczasem z małego żołdu i ta korzyść, że kiedy panowie pomiarkują, jak oszczędną jest Rzplita, chętniej ustąpią przed uboższymi a doświadczeńszymi od siebie w boju. W tysiącznym regimencie piechoty będzie 300 pikinierów i 80 podoficerów, doboszów 20, to jest wszystkiego 400 ludzi. Oszczędza się koszt na nich, a strzelbę rachując na złp. 22 gr. 15, zostanie 9000 złp. na kupno lżejszej broni dla podoficerów, na bębny, lance, granaty, dla artylerji itd. Na strzelbę i ber-

---

Województwo Krakowskie z Sandomierskiem dadzą 3000 ludzi piechoty i wystawią trzy regimenty. Poznańskie z Kaliskiem dadzą 700, więc dla dopełnienia regimentu Sieradzkie doda swoich 300 ludzi. Te województwa dadzą cały regiment dragonów. Ruś ze wszystkiemi swojemi ziemiami da dwa regimenty piesze i dwie chorągwie pancerne opłaci. Województwo Mazowieckie z ziemiami swojemi wystawi jeden regiment i zapłaci żołd dwom chorągwiom pancernym itd.

Wypadnie tedy żołd roczny na hussarza złp. 408, na pancernego 332, na lekkiego czyli wołocha 252, na pieszego żołnierza 220, na dragona 260.

Oto wzór wydatków na pieszego dragona. Na cały strój, kaszkiet i obówie złp. 53 gr. 15. Na strzelbę i broń złp. 22 gr. 15. Na żywność po 45 gr. tygodniowo, to wyniesie razem na rok 78 złp. Wszystkiego wydatku złp. 154. Reszta tj. złp. 66 pójdzie na porcje oficerów w taki sposób: Regiment składa się z tysiąca ludzi, chorągiew ze stu, tj. muszkieterów 50, pikinierów 30, granatników 10, niższych żołnierzy 8 i doboszów 2. Cały regiment będzie miał tysiąc ludzi oprócz oficerów, na których zostanie 66 złp. od każdego żołnierza. Z tego funduszu wybierze się 66,000 złp. Ta więc summa skromnie się rozdzieli: kapitan weźmie z niej 2000, lejtnant 1200, chorąży 800. Niżsi oficerowie i podoficerowie mają po 45 gr. tygodniowo na żywność jak i żołnierze, lecz dostaną z tego jeszcze dodatku po 30 gr. tygodniowo; każdy więc z nich będzie miał rocznie 52 złp, a że ich ma być ośmiu wyjdzie na to 416 złp. Ciż podoficerowie na odzież po 20 gr. więcej dostaną jak żołnierze. Granatnicy po 15 gr. więcej dostaną jak żołnierze za żywność, każdy więc będzie miał złp. 2. Wszystkie te wydatki pójdą z owych oszczędzonych na każdym żołnierzu złp. 66 tj. na kapitana każdy żołnierz da złp. 20, na lejtnanta 12, na chorążego 8, na żywność podoficerów złp. 4 gr. 5, na ich odzież złp. 1 gr. 18, granatnikom złp. 2 gr. 18. Dotąd od owych 66 złp. odchodzi od każdego żołnierza złp. 48 gr. 11. Pułkownikowi dowodzącemu tysiącem ludzi żołnierz każdy da złp. 6, żeby miał pensji 8000, bo będzie pułkownikiem jeden z kapitanów. Wicepułkownik dostanie po 4 złp. od każdego, co wyniesie w podobnyż sposób 6000. Major po 2 złp. od żołnierza, wszystkiego w podobnyż sposób będzie pobierał 400. Kwatermistrz, audytor, kapelan i chirurg dostaną razem złp. 5 gr 19 od żołnierza, na to wyjdzie złp. 5633 gr. 10. Summa na wydatek regimentowy ogólny żołnierza złp 17 gr. 19; Razem wyjdzie na owe porcje złp. 66, oszczędzone od każdego żołnierza. Dragonom dostanie się złp. 220 a na siodło złp. 40, razem złp. 260.

dysz wydziela się kwotę złp. 21 gr. 4. Jednakże przy staranności żołnierz kilka lat może się obyć jedną strzelbą. Trzeba wyznaczyć nagrodę, żeby do tej staranności zachęcić, np. 6 złotych jednemu. Resztę 15 złp. może się użyć stósowniej. Na 400 strzelb, więc po 15 złp., oszczędzi się złp. 9300. Z tych będzie można opłacić drugiego strażnika regimentu czyli majora, obersterwachmejstera. Wypada bowiem, żeby dwóch tego rodzaju było oficerów w regimencie i tak jest nawet za granicą. Karność wojska zależy od pilności pułkowników i hetmanów.

Dragoni są też piechotą, ale jeszcze na koniach dla prędkości. Mówią przecie, że Fabiusz Cunctator wymyślił ten rodzaj wojska, o tem Polibiusz i Liwiusz piszą. Oblegano Kapuę. Gdy oblężeńcy liczniejsi byli w konnicę, piechotę wtedy wsadzono na konie. Fryderyk Wilhelm, wielki elektor brandeburgski, na koniach zwykł posyłać piechotę w zagrożone miejsca.

Postanowiwszy tę pewną ilość wojska, stosunek jazdy do piechoty, w razie potrzeby, kiedy czasy nastaną szczęśliwsze, łatwo będzie można powiększyć wojsko. Według reguły trzech obliczy się wtedy summy, jakich dostarczyć powinne będą województwa i zbrojnych ilość. Jeżeli zamiast 12,000 uchwalimy trzymać 18,000 piechoty, województwo krakowskie, które dawało 1500 da ludzi 2250; jeżeli 30,000 uchwalimy, wypadnie 3750 itd.

Żeby więc ustanowić stałą piechotę, trzeba tylko oznaczyć, ile każde województwo ma dostarczyć ludzi. Województwa mogą swój ciężar rozłożyć na miasta, wsie i parafie. Kto wtedy opuśc stanowisko swoje? każde miasto, wieś, parafia, będzie odpowiedzialna za swoich. Będzie można wybierać pomiędzy wyznaczonomi przez pojedyncze miejscowości. Piechota znajdzie się pewno i wyborna, bez pracy i pułkowników, bez uciążliwości dla włościan. Co do statuicyi żołnierskich, potrzeba wyliczyć pewną na to summę pieniędzy pułkownikom regimentu na sześć miesięcy i na żołd oficerów, którzy tę wygodę mieć będą, że prawną nagrodę wysłużą sobie, niepotrzebując o to żadnych robić zabiegów, ani do województw, ani do Rzpltej, a nadto na odzież, żywność i potrzeby inne będą mieli gotowe pieniądze, nie będą z własnej szkatuły nic wydawać, a wydawszy, długo potem czekać na odebranie summy.

Przyjąwszy jako zasadę redukcyę wojska według konstytucyi z r. 1677, jak opiewa skrypt do archiwum, liczymy piechoty 7000, dragonów 1000, jazdy 4000, wśród której hussarzy 1200 ludzi, pancernych 2400, lekkich 400. Wołochów na posługi hetmańskie 400. Całe wojsko wyniesie tedy 12,000 prócz partyi jezdnych 1200, pieszych 2400, z któremi będzie wojska ludzi 15,600.

Wypadnie z tego:

hussarzom	1200	po złp.	1204	każdemu, razem złp.	244800	na żołd jezdnym żołnierzom złp. 699,200
pancernym	2400	„	168	z dzidami „ „	403200	
wołochom	400	„	128	z dzidami „ „	51200	

Z hyberny dla tejże jazdy według konstytucyi r. 1667:

hussarzom	1200	złp.	204,	razem złp.	244800	Razem złp. 688,000.
pancernym	2400	„	164	„ „	393600	
wołochom	400	„	124	„ „	49600	

Na pieszych według tejże redukcji żołdu i hyberny:

pieszym	7000	ludzi,	każdemu	złp. 184,	razem 1288000	złp. 1,512,000
dragonom	1000	„	„	„ 224	„ 224000	

Żeby zaś wojska były zupełne, zamiast ułudnych a tak nazwanych »ślepych pocztów« w jeździe, a porcyj w piechocie postanówmy pensję roczną dla oficerów tak, żeby w każdej chorągwi jezdnéj dla rotmistrza, wicerotmistrza, chorążego, chirurga itd. wyznaczyć porcyi 30. I tak oficerom husarskim na 30 koni czyli porcji po 204 złp. żołdu i po tyleż hyberny, będzie złp. 12,240. Na 12 chorągwi złp. 146,880. Toż oficerom chorągwi pancernej 30 koni po 164 złp. żołdu i tyleż hyberny, będzie 9840 złp. Na 24 chorągwie wypadnie 276,160. Wołoskiej chorągwi 30 koni po 124 złp. żołdu i tyleż hyberny, razem 7440. Na cztery wyniesie złp. 29,760. Summa na pensje jezdne, czyli ślepe poczty, których 1200, wyjdzie 412,800.

Toż i w piechocie, Dla sztabu pensję roczną się wyznaczy. Na żołnierza wypadnie 36 złp. Więc na 7000 wypadnie 252,000. Na dragonów 1000 wypadnie 36,000.

Razem na powiększenie porcyj pieszych złp.	288,000
Zebranie teraz: na żołd roczny jazdy	699,200
na hybernę jeździe	688,000
na żołd piechoty i dragonów	1,512,000
na pensje oficerów jazdy	412,800
„ „ oficerów piechoty	288,000
Rocznie na 12,000 wojska wypadnie wydatku złp.	3,600,000

Województwa i ziemie.	Dymowe z r. 1619.	Dymowe z r. 1661.	Wyprawa	Łany.	Wyprawa.	Zrównoważenie.	Niedostaje dymów.
1. Krakowskie.	65116	50184	2281	10222	1362	1821½	14932
2. Zatorskie.	7049	7049	320	947	126	223	—
3. Poznańskie.	42384	24020	1091	4861	1048	10692	18365
4. Sandomirskie.	76336	45381	2062	12021	1602	1832	30955
5. Kaliskie.	37900	21373	971	6182	824	897½	16526
6. Sioradzkie.	25148	12000	545	4409	587	5661	13148
7. Wieluńskie.	7800	4162	189	1905	254	221½	3638
8. Łęczyckie.	11264	6600	300	1157	154	227	4664
9. Brzeskie, Kujawskie	7100	2990	135	3168	422	278½	4110
10. Inowrocsławskie.	5328	1961	89	1766	235	162	3368
11. Dobrzyńskie.	4179	1300	59	1253	167	113	2880
12. Lwowskie.	42502	19503	886	—	—	—	22999
13. Przemyślskie.	40059	23500	1668	14430	1924	2110	16559
14. Sanockie.	13483	1550	343	—	—	—	5933
15. Chełmskie.	20754	9837	447	2359	314	560½	10917
16. Halickie.	28474	1949	360	2986	398	471½	20539
17. Wołyńskie.	—	12000	545	—	—	—	—
18. Podolskie.	—	—	—	5500	733	642½	—
19. Lubelskie.	31885	12070	548	2560	341	306½	19814
20. Bełzkie.	25995	5984	272	3615	482	361½	20011
21. Płockie.	11664	5305	241	—	—	—	6359
22. Czerskie.	13136	6152	279	—	—	—	6934
23. Warszawskie.	10482	4957	225	—	—	—	5525
24. Wiskie.	2251	600	27	—	—	—	1751
25. Wyszogrodzkie.	2219	807	36	27496	1833	14292	1412
26. Zakroczymskie.	4184	324	14	—	—	—	3860
27. Ciechanowskie.	6200	3491	158	—	—	—	2719
28. Łomżyńskie.	5489	2004	91	—	—	—	3485
29. Rożańskie.	2224	1257	57	—	—	—	967
30. Liwskie.	3298	1000	45	—	—	—	2298
31. Nurskie.	7822	2080	94	—	—	—	2742
32. Drohickie.	11156	4981	226	—	—	—	6175
33. Mielnickie.	7232	1644	74	—	—	—	5588
34. Bielskie.	16916	3474	157	—	—	—	12542
35. Rawskie.	6442	2446	156	—	—	—	2996
36, Sochaczewskie.	5909	2874	150	—	—	—	3035
37. Gostyńskie.	3800	1000	45	—	—	—	3800
38 Województwa pruskie	9585	9585	435	24000	2410	1417	—

Ten jednak sposób utrzymywania siły zbrojnéj ma swoje trudności, nie podobał się zupełnie Karwickiemu.

Dlatego więc podawał sposób praktyczniejszy.

Starostwa w niegodziwy sposób z rąk do rąk przechodzą, a są powodem rwania sejmów. Najlepiej więc po śmierci teraźniejszych starostów, królewszczyzny te zabierać na skarb dla ustanowienia z nich ekonomii wojennej. Zygmunt August pierwszy postawił krok na tej drodze. Dał jednę kwartę, my oddajmy wszystkie cztery kwarty na ten cel, bo dzisiaj marnuje się grosz

publiczny. Nim to jednak nastąpi, trzeba znaleźć teraz środek opłacenia wojska. Na zeszłym sejmie lubelskim (1703 r.) ustanowiony został podatek *tertii solidi* i potrójne pogłówne. Co do groszowego podatku *(tertii solidi)*, spodziewano się z tego źródła wielkiej sumy dwudziestu kilku miljonów, ale źle rachowano. W Koronie miało być 170,000 wsi i miast, kiedy taryfy dymowe i łanowe inne liczby pokazują. Jest albowiem w Koronie tylko 300,000 dymów. Gdyby więc rzeczywiście znajdowało się 170,000 wsi i miast, wypadłoby na każde po dwa dymy, co jest niepodobieństwem. Łanów liczą 140,000. Wypadnie więc, że na jedną wieś lub miasto, nawet jeden łan nie przypadnie. Zresztą mamy taryfę, jak ją nazywają solidarjum z r. 1673. W czasach spokojnych miała Rzplita około 420,000 złp. z tego źródła. Potrójmy tę sumę, bo wszakże ma trzeci grosz wpłynąć, wypadnie blizko 1,300,000 złp. dochodu. Jakże to jeszcze daleko do owej spodziewanej 20milijonowej sumy i co za różnica czasów Michała Korybuta od Augusta II. który panuje wśród rozwalin i popiołów! W roku 1662 mieliśmy złp. 2,773,000, w r, 1676 nawet połowy nie było, t. j. nie było sumy złp. 1,373,000. Pozwolono województwom żeby każde według swojego uznania sumę, którą miało płacić, rozkładało na różne rodzaje podatków. Jestto toż samo, co spuszczać się na los i wyrozumiałość, a niegodziwemu zyskowi pole oczyszczać. Jeżeliśmy spodziewali się, że przez to biednym włościanom się ulży, zaiste śmiała to była nadzieja. Łatwiej tedy zwyczajnego jąć się sposobu podatkowania. Niechaj włościanin na wystawienie i zapłacenie 12,000 wojska da co roku podatku rolnego razem z plebanem pobierającym dziesięcinę złp. 5, dymowego zaś złp. 2 gr. 15. Zagrodnik na oba podatki niechaj zapłaci złp. 3 gr. 20. Na 18,000 wojska podatku rolnego 15, dymowego $7\frac{1}{2}$. Na 30,000 sympli rolnej 25, dymowego $12\frac{1}{2}$. W podobnyż sposób dojść można, ile płacić mają hyberny. Według ordynacji Rzpltej z r. 1674 na 12,000 ludzi dawało się 1,174,000 więc na 18,000 wypadnie 1,761,000, na 30,000 zaś 2,935,000. Uważać jednak potrzeba, że powiększenie hyberny spadnie za wielkim ciężarem na dobra duchowne i królewszczyzny.

VI.

UBIÓR I UZBROJENIE WOJSKA. HETMANOWIE. ARTYLERJA.

Co do uzbrojenia i stroju, jedno i drugie inne jest w jeździe, inne w piechocie. W jeździe znów inaczej się zbroją i ubierają hussarze, inaczej pancerni. Różnica ta sięga jeszcze czasów starożytnych Rzymian, czego dowodem historyk Ammianus.

Żołnierz ubrany, uzbrojony, zapłacony, ma się jeszcze wyćwiczyć w swoim zawodzie. Kiedyś małą liczbą zwyciężaliśmy większe chmary nieprzyjaciela; lecz dzisiaj żołnierz nasz więcej gospodarstwem zajęty, odzwyczaił się od oręża, woli jeździć po sejmikach i piastować laski marszałkowskie, ztąd dzisiaj u nas: «retory nie bellatory». Wszystko w zaniedbaniu. Łuk, strzały, kołczan, mało co w boju pomogą, a u cudzoziemców dawno taki oręż w pogardzie. Konstytucje dawne stanowią, żeby towarzysze mieli strzelby przy siodle; lepsze to nawet przeciw Tatarom, a mniej niedogodne. Toć i piechota winna mieć piki w jednych, strzelby w drugich oddziałach, a wszyscy żołnierze berdysze. Na strzelby potrzeba przygotować pokrycie ze skóry takie, żeby łatwo i natychmiast można było strzelać.

Strój niechaj będzie polski, odzież obca nie przydaje nic męstwa w boju. Królowie obiecywali nam szkoły wojskowe, ale do założenia ich nie przyszło nigdy; ani szkoła lwowska ustanowiona przez sejm w r. 1633, ani szkoła Mieroszewskiego zatwierdzona przez konstytucję z r. 1676, nigdy nie istniały. Więc niechaj przynajmniej ćwiczy się wojsko, jak to dawniej bywało; lepiej ten czas się strawi na robieniu bronią, jak na pijatykach. Piesi powinni się więcej ćwiczyć, niż konni, tembardziej oficerowie. Lecz nie będzie żadnej pociechy z tych ćwiczeń, jeżeli odbywać je będziemy po niemiecku. Kiedyś pierwotne nasze regimenty piesze, składały się wyłącznie z inflanckich i kurlandzkich, a więc niemieckich żołnierzy, i było to słusznie. Dzisiaj piechota nasza z samych się składa Polaków, oprócz niewielu oficerów Niemców. Trzebaż tedy polskiej mustry, jak swoją narodową mają Hiszpani, Francuzi, Wołosi, nawet Moskale.

Karwicki spisał cały język wojskowy, mustrę polską, bo znał się na tych rzeczach, sam służył w wojsku. Żeby naukę ułatwić oficerom francuskim i niemieckim, podawał obok polskich francuskie i niemieckie wyrażenia mustry. Na całym świecie tak jest, że obcy służąc nie w ojczyznie, wyuczy się języka kraju, czemuż dla naszych cudzoziemców ma być wyjątek? zwłaszcza że wielu oficerów naszych jest rodem z Prus, z Inflant i z Kurlandji, a język polski im właściwy, prawie rodzinny. Będą zatem wchodzili Polacy do piechoty, gdy dzisiaj mieli do niej wstręt dla języka, zwłaszcza jeżeli zmniejszymy liczbę jazdy.

Tajemnicą utrzymania karności, jest wypłata regularna żołdu. Syty, odziany i mając cokolwiek w kieszeni żołnierz, jest spokojny. Dzisiaj karność u nas zwątliła się, bo i żołdu nie płacą i moc jest hetmanów, gdy każdy własne sobie buduje wojsko, żeby nikogo nie słuchał. Rozerwanie tedy jest, wojna domowa. Lecz kiedykolwiek to przecie ustanie. Wtenczas hetmani koronni niechaj podniosą karność. Mają poparcie w prawie, wiele konstytucji za sobą, powinni je tylko wykonywać. Dojdzie się do tego zmniejszeniem liczby ciurów i wozów, o czem było wyżej, a dowozy żywności i paszy do obozu odbywać się będą.

Trzeba również wynagradzać czyny męstwa i waleczności, bo tak jest wszędzie i było, nawet za starożytnych czasów. Dzisiaj władza podnosi żołnierzy do wyższych godności, albo wynagradza ich pieniędzmi. Nasi żołnierze mieliby chleb zasłużony w starostwach, ale ten grosz marnie przepada. Jeżeli obrócimy fundusze z tych starostw na wojsko, z czasem po zapłaceniu żołnierzy i zakupieniu broni zbierze się fundusz i na te nagrody. Woli żołnierz 10 złotych gotówką, niż tysiąc w obietnicy. Czemużto za granicą najęty żołnierz tak dzielnie walczy nie za swoją sprawę? Bo zdrów ma nagrodę, a ranny znajduje schronienie w szpitalach, pobiera wysłużone pensje. U nas taniej wyniesie jak gdzieindziej utrzymanie wojennych szpitalów, bo zboże tańsze. Mamy nawet u siebie jeden podobny zakład w Tykocinie. Bodaj ten przykład zacnego marszałka Litwy inni panowie naśladowali. Bogatszych żołnierzy nagradzać można dostojnościami koronnemi i krzesłami. We Francji szlachta kupuje od króla stopnie wojskowe, ażeby mu służyć. Niechajby u nas dla służenia wolności

i Rzplitej bogatsi coś także ofiarowali ojczyznie, zwłaszcza, jeżeli w ręku Rzplitej będzie wynagradzać ich za to urzędami?

Trzebaż i o hetmanach wspomnieć. Dawniej hetmanowie nasi nie byli dożywotni, lecz jak dyktatorowie w Rzymie buławy brali na czas. Prawda to, ale Karwicki za daleko się piął w przeszłość, żeby tego dowieść z czasów, o których mało się wiedziało i z których wzięte dowody nie były przekonywujące. Ale i sam się nie wiele znał na tej rzeczy i spółcześni jego, można więc było w prostocie i bez zamiaru zmyślania dziejów dowodzić, co się nie działo. Opowiadał tedy Karwicki, że Bolesław Krzywousty posławszy wojewodzie swojemu kądziel i skórkę zającą, oddalił go od urzędu hetmańskiego. Tu poplątane z sobą i wieki i pojęcia; wojewoda czasów Bolesławowych nie był takim hetmanem jak np. Żółkiewski, Koniecpolski, Sobieski, ani o wyłącznem hetmaństwie nie słyszano jeszcze za owych czasów Bolesławowych. Lepiej już dobrany przykład z Janem Tarnowskim, to też od czasów Jagiellońskich u nas rozwija się hetmaństwo. Tarnowski był pierwszym dożywotnim hetmanem według Karwickiego, tak nie jest, ale to mniejsza. Wolność wtedy żądała nowej dla siebie rękojmi i postawiła dożywotnich hetmanów, żeby więcej od króla byli niezawiśli. Wkrótce pokazało się to niedogodnem. Hetmanowie bywali nieszczęśliwi w bojach, mniej dobrze wybrani, starzeli się na urzędzie, nareszcie niektóre domy chciały buławę uwiecznić w swoim domu. Za Michała więc postanowiono, żeby trzyletnie odtąd bywały buławy. Powróciła wnet uwaga, że hetman zależeć będzie od łaski królewskiej. Jest sposób i na to, powiada Karwicki.

Niechaj tajnem głosowaniem obierają hetmanów senatorowie i posłowie; przecież na mocy układów hadziackich, województwa kijowskie, bracławskie i czerniechowskie wymówiły sobie prawo do wybierania czterech kandydatów, z których król miał jednego nominować hetmanem buławy ruskiej, zaporożskiej. Co dobre na Ukrainie, czemu złe bywa w koronnych ziemiach? A trzeba na to się zdecydować. Inaczej albowiem uwieczniając niezawisłą władzę hetmańską, możemy wpaść w drugie niebezpieczeństwo, to jest chroniąc się potęgi królewskiej, wpadniemy pod jarzmo hetmanów, jak Rzym pod Juljuszem Cezarem. Żaden też hetman, jeżeli ma w sobie chociaż iskierkę miłości dobra publicznego, nie

będzie się opierał temu ograniczeniu, opisowi swojej władzy. Jakiż ma być ten opis?

Karwicki życzyłby sobie naprzód pod tym względem wykonania exorbitancji r. 1669, to jest ustawy, że z buławą łączyć nie można pieczęci, marszałkostwa i podskarbstwa. Pacta conventa z r. 1697 zastrzegły toż samo, tak dalece, że hetman nie może, nie powinien być nawet senatorem. Już to zgubiło i Rzplitę rzymską, iż konsulowie i senatorowie bywali imperatorami i Cezar pragnąc konsulatu, przeszedł Rubikon. Dowód wysokiej mądrości dała konstytucja z r. 1691 o karności wojskowej, że zabraniała hetmanom i rotmistrzom sprowadzać na sejmiki wojsko. W roku 1587 zaś ułożono dla hetmanów rotę przysięgi i w niej zawarowanie, że w czasie elekcji zatrzyma się hetman sam ze swoim żołnierzem na granicy. I sprawiedliwie, bo hetman potrzebniejszy w obozie, niż na sejmie, a jeżeli ma co do przedłożenia stanom, niechaj raczej sprawi się na sejmie przez posła. Że dzisiaj hetman jest senatorem, płyną z tego rozmaite niedogodności. Jako wielkoradzca Rzplitej musi bywać na sejmach, a przynajmniej uważa to za swój obowiązek. Hetmanowi towarzyszą nawet na sejm chorągwie dla powagi swojego wodza i ztąd nieraz więcej wojska w stolicy niż w obozie. Możeż to być dobrze? Za przykładem hetmana idą także pułkownicy i rotmistrze; wszyscy ci panowie nie pilnują pola, ale biorą się do poselstw. Tymczasem żołnierz utrzyma się ze swego żołdu w polu, na sejmie zaś obecny wydawać musi daleko więcej, ztąd narzekanie, iż żołd nie starczy. Prawa publiczne zakazują żołnierzom stroić się samemu i konie w złoto i srebro, toż i artykuły wojenne pod utratą żołdu. Ale stroją się dlatego żołnierze idący w orszaku hetmańskim, bo mówią, że tak przystoi dostojności wodza i obowiązkom dla niego. Potem mają o to niesłuszne pretensje do Rzplitej.

Potrzeba też, aby buława od woli corocznie zbierających się sejmów zależała. Niechaj będzie nasze hetmaństwo, jako dyktatura rzymska. Czytamy o Zygmuncie III, że przez lat dwanaście nie mianował hetmana, to jest że buławę zatrzymywał, że pod koniec życia dopiero po Żółkiewskim, hetmanem wielkim mianował Koniecpolskiego. Niechaj będą dwie buławy w Koronie i dwie w Litwie, ale zupełnie sobie równe. Zresztą i praw pod tym względem nie brak Rzplita przez konstytucję z r. 1653 zrównała

obiedwie buławy, chociaż w skutek spółzawodnictwa hetmanów w r. 1654 powrócił dawny zwyczaj. Właśnie to spółzawodnictwo hetmańskie pomoże nam wyjść z biedy. We Francji król nominuje kilku marszałków sobie równych i panuje nad nimi dlatego, że jest spółzawodnictwo. Ludwik XIII zniósł godność i władzę konetabla Francji po śmierci księcia Lesdiguieres, władzę jeneralną hetmańską nad całem wojskiem, nawet książąt krwi wiążącą. Zniósł i drugi stopień pułkownika jeneralnego piechoty, Colonel géneral de l'Infanterie de France. Ludwik XIV naśladował przykład ojca i zniósł również po śmierci księcia Epernon w roku 1661 urząd jenerała pieszego Francji, że uważał tę godność za niebezpieczną królowi.

Opisując władzę królewską, musimy i hetmańską wziąść w kluby, a w każdym razie nie stanówmy polnych i wielkich hetmanów. Po co między nimi różnica! niechaj będą zupełnie sobie równi. Musimy zawsze mieć ich na zawołanie kilku; kiedy wojna wybuchnie, wtedy wybierzemy z pomiędzy wszystkich naczelnego wodza i na ten jeden raz: władzę tę wybierania zdamy na sejm, a w razie gwałtownej potrzeby może i senat nawet obierać takiego dyktatora. Tak samo dzieje się i we Francji: tam zawsze król w razie potrzeby nominuje le capitaine général. Wszakże i u nas był taki sam wypadek czasu wojny szwedzkiej. Król Jan Kazimierz dał naczelne dowództwo nad wojskiem litewskiem Pawłowi Sapieże, co później potwierdziła konstytucja z r. 1658. Toż i po zabójstwie Wincentego Gąsiewskiego Jan Kazimierz także mianował jeneralnym wodzem całego wojsk litewskiego Michała Paca, co zatwierdziła znów konstytucja w r. 1667. Rzplita później zniosła tę konstytucję; obawiała się albowiem, żeby przez to nie powiększać zbyt wielce władzy królów. Taki naczelny wódz, tymczasowy hetman, mógł być odwołany w każdej chwili; przeciwnie raz mianowany hetman był dożywotnim. Reforma urzędu da się teraz dokonać, lecz oczywiście powinni teraźniejsi hetmani pozostać przy całości praw swoich, żeby się nie gniewali na Rzplitą.

Jeżeli tedy hetman na wojnę będzie zawsze obierany tylko zdolny, może być za to obrany i ubogi, bo zdolności Bóg rotmaicie rozdaje. Ale żeby hetman miał czem utrzymać swoją dostojność, potrzeba mu obmyśleć fundusz narodowy. Przeznaczmy

na ten cel dwa najbogatsze starostwa, na żelazny kapitał dla hetmaństwa. Wszakże w komisji hadziackiej dla buławy W. Księstwa ruskiego wyznaczono starostwo czehryńskie. Czemużby takiego prawa i zasady nie można zastósować do Korony i Litwy.

Niechaj także na wzór kartagiński hetmanowie będą obowiązani zdawać sprawę Rzplitej ze swoich czynności. To będzie na hetmanów dzielny hamulec, żeby po za sferę prawa swego nie wykraczali.

Rzecz o wojsku trzeba zakończyć sprawą artylerji. Pod tym wyrazem nie rozumiał Karwicki tylko dział, ale cały sprzęt wojenny i fortece. Dobre uzbrojenie oszczędza ludzi, mówił. Chociaż nie mamy tyle fortec, ile ich bywa za granicą, ale zawsze w sprzęt wojenny dobrze opatrzyć się musim, w działa, których w ostatniej wojnie wcale nie mieliśmy, w strzelby, proch itd. Bez tego nie możemy nawet załóg stawiać po naszych fortecach, nie oprzemy się i napaściom tatarskim. Są o tem znowu konstytucje. Król był obowiązany i w r. 1576 i w r. 1657 mieć staranie o tym sprzęcie wojennym. Podwójną kwartę na ten cel wyznaczono, żeby miał potrzebne pieniądze. Kiedy to nie wystarczało, sejm podarował na sprzęt wojenny starostwa z pierwszych zawakować mających, a przynoszących do 30,000 złp. rocznej intraty. Ale i to jeszcze nigdy nie wystarczało. W tabelach swoich na 20,000 wojska obrachowanych, Karwicki wskazał summy na artylerję. Jeżeliby zaś obróciły się i starostwa na wojsko, znalazłby się według jego wskazania fundusz dostateczny na artylerję bez żadnego uciążenia dóbr ziemskich i duchownych. Sejm doroczny mógłby zaraz karać niedbałych lub wykraczających. Bo to główna wada konstytucyj naszych, że prawa żadnego wykonania nie mają. Sejm rozlazły i rwany na to naraża.

Są i nadzwyczajne sposoby utrzymywania wojska, chociaż podany, jest najlepszy. Podskarbi koronny ma taryfę dymowego z r. 1629. Wtedy znajdowało się w jednej Koronie dymów przeszło 622,000. A już po wojnie szwedzkiej przepadło dymów 228,000. Zostało się tedy około 390,000. Dzisiajby i tego nie było. Nie ma więc innej rady, tylko trzeba zabrać starostwa na wojsko. Wszakże tutaj nigdy nie powinno iść Rzplitej o ludzi, którzy bezwstydnie chcą żyć kosztem dobra ogólnego: mają ogromne rodzinne majątki, a chcą się jeszcze krwią i potem narodo-

wym bogacić? Hańba to największa nam, że posiadając tak rozległe prowincje, nie możemy utrzymać wojska na własną obronę, bo nie mamy za co, gdy starostowie grosz garną, opływają w zamożność.

U obcych narodów bywa także ogromny dochód z soli i ceł. My znowu ani troszczymy się o to bogactwo narodowe, a jeżeli jest gdzie jakie staranie o cła i sól, pomnaża ta zabiegliwość fortunę prywatną nie publiczną, i cóż Rzplitej z tego? Wolimy za to wydobywać żołd dla wojska z wiosek, przy płaczu biednego ludu. Dla czegoż, przebóg! nie obrócić przynajmniej tego na korzyść Rzplitej, co pobierają bezkarnie na siebie złodzieje skarbowi?

A naprzód żupy solne, to skarb dla nas opatrznościowy. Obróćmy je na wojsko, a unikniem właśnie przez to skarg i płaczu biednego ludu, który pomstę niebios kiedyś na nas wywoła. Nie przypominać tutaj dawnych praw, według których nawet do żup nie było wolno wchodzić panom. Dosyć statutu Kazimierza W., żeby się o tem przekonać. Wojewoda krakowski Neorza kazał sobie z żup pewien dochód wypłacać, praelibationem dare. Ztąd król pod karą śmierci nakazał, żeby nikt z panów do żup nie wglądał. Dzisiaj żupy tak upadły, że nic z nich nie ma ani król, ani Rzplita, ani szlachta nie odbiera tego co jej się należy. Trzebać tej grabieży raz koniec położyć. Niechaj cały dochód z żup inaczej urządzonych i kontrolowanych idzie na wojsko; nawet i ta sól, która się sprzedaje szlachcie z obowiązku po 4 złp. i kilka groszy po folwarkach. Żeby zaś nikomu nie zrobić uszczerbku, niechaj gwardje utrzymują się z tej soli. A cła, zwłaszcza w Prusiech? Wszak Kazimierz Zawadzki, starosta pucki, w swojej rozprawie o niedostatkach panowania sarmackiego, toż i Adam Żydowski, instygator kororonny, w swojem dziele rękopismowem o kontrowersjach politycznych i prawnych, na ten przedmiot zwrócili uwagę. Z ceł i żup zapłacimy wojsko. Jeżeli się ten grosz na taki cel przeznaczy, nie będzie kłopotu i obawy i zafunduje się skarb zupełnie od króla niezawisły.

VII.

PRAWO PRZESTARZAŁE. REFORMA SPADKÓW I SĄDÓW.

Praw mamy bardzo wiele, ale pomimo tego nie ma w nich pewnych przepisów, jak sprawę osądzić, kiedy się dwie osoby o cokolwiek z sobą spierają.

Nasze konstytucje rozpowiadają tylko o wolności, głaskają jednych, potępiają drugich, pełne słów, ubogie są w treść. Patrzmyż na Herburta; toż połowa w nim praw naszych przeżyła się, praktyka sądowa wiele kar z nich usunęła, wiele zaś zmienionych jest postanowień. Pod napisem: «wojewodowie,» jest np. u Herburta przepis, że gdyby który wojewoda opuścił się w swych powinnościach, królowi ma dać za karę equum ambulatorium konia nachodnika. Gdyby dzisiaj ta kara była we zwyczaju, stajnie królewskie nie wystarczyłyby na pomieszczenie owych koni nachodników. Podobnyż przepis i pod tytułem: «kasztelanowie.» Jeżeli kto krakowskiemu nagani wyrok, to jest apeluje od niego a przegra sprawę, powinien mu dać za karę gronostajowy kożuch; sandomirski i lubelski dostają w podobnem położeniu popielice, toż i wojewodowie biorą popielice; sędziowie krakowscy i sandomirscy przestają na futrach kunich, podsędkowie na lisiurze, toż i pisarze ziemscy powinni dostać lisiurę. Przed tym datkiem nawet słuchaną być strona nie może.[1]). Obfitość to wielka futer w Rplitej naszej! Gdyby dzisiaj to prawo wykonywało się, zabrakłoby może i skrzyń do chowania tych futer. Tymczasem ustały już oddawna i kasztelańskie i wiecowe sądy. Na cóż prawa o nich? Zostały same przez się historyczną pamiątką. Nie dziwić się, że kiedy jspór wiodącym były tak potrzebne futra, inne prawa przestrzegały bezpieczeństwa lasów i pod względem wartości równały nieraz ludzi ze zwierzętami w lasach. Konstytucja bowiem z r: 1557 stanowi: «liszek młodych aby nie zbierano, u kogo je najdą, aby dziesięć grzywien przepadł, a liszki młode rozpuścić»[2]). Odwrotnie zaś pod napisem: homicidium, zabójstwo, u Herburta czytamy, że ktobykolwiek zabił kmiecia, ma dziesięć grzywien zapłacić i z tych sześć dostanie się żonie zabitego lub dzieciom, cztery zaś jego panu. Każdy zabójca wedle praw boskich i ludzkich

[1]) Prawa te są w statucie wiślickim r. 1347.

[2]) Vol. Leg. II. 608.

powinien być karanym śmiercią, a myśmy politowali się krwi i postanowiliśmy, że zabójca szlachcica zapłaci 30 grzywien rodzicom lub przyjaciołom zabitego, za ranę zaś zadaną w nogę, w rękę lub w nos 15 grzywien, w inne części ciała 8 grzywien, za ranę w jakikolwiekbądź palec lub ucięcie go 3 grzywny groszy. Dobrze to było w prostoty wieku, ale dzisiaj hańbę to nam przynosi, że poprawiamy przykazania boże. Prawda że kara była pieniężną opłatą: kiedyś 30 grzywien znaczyło tyle, co dzisiaj 50,000 złp.; widać to z dawnych rękopismów. Karwicki przekonał się, że wieś, którą niegdyś kupowano za 60 grzywien, dzisiaj ledwo za sto tysięcy nabyć można. Dosyć i o monecie prawa nasze rozprawiają pod napisem: Żydzi, którym zgroza! za wiele pozwolono. Pod napisem: pieczęć, jest przepis, żeby syn za życia ojca pieczęci jego nie używał. Pod wyrazem: aktor, powiedziane jest, że jeżeli pozwany nie stanie, zapłaci dwa woły, kiedy sprawa częstokroć warta jednego wołu, bo kara jednakowa i w mniejszych i większych sprawach. Całe stronnice u Herburta czytamy o wiecach i sądach, których dzisiaj nie ma.

Chowajmy te sprawy w bibliotekach jak stare zbroje i machiny wojenne do oglądania. Dzisiaj wszakże inaczej już ludzie się zbroją, inaczej wojują. Potrzebaby już nowe prawa postanowić, czasem nawet całe corpus legum. Możnaby wtedy do niego wcielić i te kilka praw dawnych, które się jeszcze nie przeżyły. Dzisiaj te dobre starożytności naszej prawa, co zachowanie mają giną nawet, nie są widzialne wśród natłoku przestarzałych i nikt ich nie może dojrzyć w Herburcie. Cały Herburt jest tylko historją, nie statutem.

Po kilkakroć już razy zabierano się do tej naprawy prawa naszego, mianowicie na elekcji Władysława IVgo wiele o tem mówiono, o czem pięknie rozpowiada Piasecki. W Koronie sprawa się nie udała, ale w Litwie poszło już daleko lepiej. Bo Litwa nieraz i dawniej poprawiała swój statut, trzeci już raz rozwijała go, zmieniała za Zygmunta III, myślała o tem i za Władysława Vgo, wydrukowała go na nowo i w r. 1648. Dla tych ciągłych. poprawek, są w statucie litewskim daleko lepsze i zupełniejsze prawa, są więcej zastosowane do postępu czasu i wyobrażeń W Koronie ta sprawa arcypożądana, bo przecięłoby się i pieniactwo, gdyby przepisy prawa były jasne i wyczerpujące.

Przyjmijmy jedno prawo o wyposażeniu córek, a zniknie wiele zajść prawnych, bo dzisiejsze nasze w tym względzie przepisy dają powód do nich. Kazimierz W. postanowił, żeby wojewodzianki dostawały po sto grzywien posagu; zwyczaj zaś wyrobił później, że z dóbr ojczystych czwartą część wszystkie razem córki pobierały. Dziwny przepis! Przypuśćmy, że ojcowizna wynosi 400,000 złp. i że jest do tego syn i dziesięć córek. Tak więc syn dostanie 300,000 a każda z córek po 10,000. To nie po ludzku. Większe jeszcze będzie głupstwo, jeżeli przypuścim jedną u ojca córkę, a dziesięciu synów. Wtedy dostałaby corka 100,000, syn zaś każdy po 30,000. Karwicki by chciał, żeby, jeżeli ojeiec nie wyposaży córki, zajęli się tem po śmierci jego przyjaciele lub sąd na takiej np. zasadzie. Niechaj każdy syn otrzyma cztery części, a każda córka jednę, albo wartość w tej części. Że syn dostanie cztery części, na to są cztery powody: pierwszy wzgląd na pierwszeństwo płci, drugi że syn utrzymuje rodzinę jako mężczyzna, bo córki zamężne zmieniają dom i nazwisko; trzecie że syn broni ojczyzny na wojnie; czwartą część zaś niechaj bierze syn na mocy prawa naturalnego jak córki. Te zasady przyjmijmy do podziału fortuny ojcowskiej pomiędzy dzieci. Weźmy fortunę jak wprzódy wynoszącą 400,000 złp. Jeżeli jest syn jeden, a dziesięć córek, wypadłoby podług projektowanej zasady na część syna 4000, na część córek 10,000, razem 14,000, zatem dzielnik byłby 14. Każda siostra dostałaby więc ze spadku 28,571 złp i około 20 gr., a dla brata poczwórny posag 114,285 i gr. 20. Jeżeli zaś będzie jedna córka a dziesięciu synów, więc po cztery części dla synów wypadnie 40, a jedna dla córki, więc dzielnik będzie 41. Dla córki wypadnie 9756 złp. i gr. 3, dla każdego syna zaś 39,035 złp.

Żeby uniknąć i tu jeszcze sporów, trzebaby postanowić:

naprzód, że masa ojcowizny ma być wprzódy oczyszczoną od wszelkich ciężarów (zapisów macierzystych i żoninych);

powtóre, żeby suma posagowa córek nigdy nie przenosiła wartości połowy dóbr ojcowskich, tak np. w owym razie, kiedy będzie syn jeden a córek dziesięć, gdy wypadnie dla córek razem wziętych posagu 285,714 złp., suma cała ma się umniejszyć do 200,000. Ale to będą rzadkie wypadki. Dlatego najlepiej byłoby, jeżeliby ojciec, przeczuwając zajścia w przyszłości, sam

posag córce oznaczył przez zapis, lub poprostu przez spłatę pewnej sumy, co służyć będzie i za normę dla innych córek;

po trzecie, wyraźnie ma się opisać, czy dobra macierzyste są wielkie i czy z nich córki wyposażone być mogą, żeby synom więcej się z ojcowskich dostało.

Możnaby w podobnym rodzaju inne jeszcze postanowić prawa. Obfitości tych, które się nastręczają uwadze, nie obejmie nikt w małym traktacie.

Postępowanie sądowe nasze, ów proces ziemski, zbyt się przeciąga i nuży strony. Trzeba się włóczyć po różnych sądach i czas tracić. Konstytucja z r. 1670 zakazała apelacji od sądów ziemskich i grodzkich w niektórych sprawach, ale zbyt ogólnemi słowami, które trzeba ostrożniej zważyć, żeby prawo skutecznie zapobiegło złemu [1]). Przodkowie nasi przez kary futrzane powstrzymywali zapęd pieniaczy. Jeżelić sędzia podlega karze za sąd niesprawiedliwy, słuszniej powinni jej ulegać apelujący bez zasady, i to według ważności sprawy, większej lub mniejszej. Prawo Kazimierza W., że niestawający na pozew w sądzie, dwa woły da, dzisiaj nie wystarcza. W sprawach wielkich, o znakomite dochody, cóż to za strata? Kto skarżył wyrok sędziego miał mu przedewszystkiem zapłacić trzy grzywny lub skórki kunie; a jeżeli wyrok sędziego przepadł skutkiem skargi, sędzia stronie pietnadziestą płacił. Toż samo jest i w statucie Zygmunta Starego. Jeżeli wyrok zaskarżony przepadł w wyższej instancji, apelujący odbierał swoje trzy grzywny; jeżeli wyrok potwierdzony był, sędzia dostawał od przegranej strony znowu trzy grzywny. Rzecz to dobra, bo karze i niesprawiedliwość razem i pieniactwo, tylkoż potrzeba różne kary pieniężne postanowić według rodzaju spraw i straty czasu; nadto monety obieg dzisiaj inny jak dawniej. Potrzeba znieść apelację w innych sprawach; dosyć pozwolić jej według konstytucji r. 1670. Chciałby Karwicki zmienić to prawo w jednym tylko względzie. Jest tam zakaz apelacji w sprawach, w których idzie o sumę nieprzechodzącą 3000 złp. Tu trzeba mieć wzgląd na ludzi, nie na sumy. Nie dla jednego te 3000 złp. stanowią majątek. Sam Zbawiciel sprawy tego rodzaju według możności ludzi, nie według ilości ofiary oceniał.

[1]) Vol. Leg. V, 63.

Karwicki chciałby, żeby apelacja mogła wtenczas iść do sądów wyższych, kiedyby chodziło przynajmniej o część piątą całego majątku strony.

Postanowieniem kar na niesprawiedliwych sędziów i na pieniaczów przetnie się swawola sądowa, ale mimo tego trzeba naprawy w ogóle w trybunałach i sądach. Doświadczenie uczy jak szkodliwa jest obfitość rejestrów i spraw. Powinny być w trybunałach, jak w sądach grodzkich, dwa tylko rejestra, to jest spraw zwyczajnych i osób uwięzionych, ex aresto. Przyzywać sprawy potrzeba porządkiem, jakim są wpisane. Nadzwyczajne rejestra niechaj także dwa będą: spraw karnych, poenalium, na które można poświęcić sobotę w popołudniowych godzinach, i świeżych zbrodni, pod któryto rejestr wejdą sprawy incarceratorum, arjanizmu, pogwałconej wolności osobistej itd. Do zwyczajnego rejestru niech należą sprawy o kary przeciwko stronom i prokuratorom albo obrońcom i pod tym względem pochwalmy konstytucję z r. 1678, która prokuratorów karze za niegodziwe zabiegi. Mają 50 grzywien zapłacić i odsiedzieć 12 tygodni w wieży, za pozywanie szlachty do rejestrów nienależytych. Rok o to niechaj im będzie wyznaczony w sejmie gotowym. Dzisiaj najwięcej spraw mnoży się przez pieniactwo obrońców. Sprawy wojskowych izba skarbowa na sejmie rozsądzi.

Przez zmniejszenie rejestrów mnogie spłyną na nas korzyści. Ustaną spory pomiędzy deputatami, gdy jak to dotąd bywało, jedni ten, drudzy ów rejestr chcieli sądzić. Tracił się na to czas, w godzinach popołudniowych zwłaszcza, i na tych sprawach nieraz rwały się sesje. Obrońcy i strony lepiej się pomiarkują, kiedy im na sądy potrzeba będzie przyjechać. Dalej obrońcy zawsze będą lepiej przygotowani do wystąpienia, bo każdy doniesie zawczasu, kiedy dzień jego, kiedy godzina; dzisiaj zaś tego nie ma, bo następują częste zmiany rejestrów, z czego stronom dzieją się szkody wielkie, bo nieraz narażają się i na kondemnatę.

Podkomorzowie ziemscy sądzą zwykle u nas sprawy graniczne i do pomocy mają komorników. Lecz postępowanie na gruncie rozmaite jest, nie wszędzie ten porządek. Jeżeli się zdarzy spór o granice między dobrami ziemskiemi, powód zwykle ciągnie urząd za sobą i wtedy bez uwagi na znaki lub dokumenta piszą się wyroki. Kiedy nie ma ani jednych ani drugich, w ostatnim

razie powód na klęczkach zeznaje pod przysięgą, że najmniejszego kawałka cudzej własności sobie nie przywłaszczył i kiedy sześciu świadków z jego strony toż samo poprzysięże, wyrok zapada według statutu Zygmuntowego. Aleć te sądy pospolicie na wiarołomstwie się opierają. Czas niszczy wszelkie znaki, nawet metalowe, toż krzyże wyciosane na drzewach marnieją lub zarastają, strumienie wysychają. Jakież to pole dla samowolności sędziów!

Inny jest sposób postępowania w sprawach o granice pomiędzy dobrami ziemskiemi a królewszczyznami. Zjeżdżają się komisarze, dwaj z senatu, dwaj z izby poselskiej, a może ich być i więcej, nigdy mniej; do nich się przyłącza podkomorzy lub komornik graniczny, tak, że komplet sądu stanowi najmniej pięć osób. Komisarze objeżdżają i przeglądają dukty obydwóch stroni a obierają ten, który więcej według nich sprawiedliwy, lub sam, według sumienia granice nowe prowadzą. Jeżeli pokaże się potrzebna przysięga, nie dziedzic ziemski ani starosta, ale poddani obustronni, starzy ludzie, zeznają pod przysięgą świadectwo.

Tutaj Karwicki z praktyki, jako sam podkomorzy, podawał radę, jak poprawić sądy graniczne. Pragnął przedewszystkiem postawienia jasnego tej zasady, że sprawy pomiędzy dobrami ziemskiemi o granice nie powinny się rozstrzygać, jak to bywało dotąd, zaocznie, według samego powoda wskazań i w skutek jego przysięgi, ale trzeba tutaj zastosować drugą zasadę używaną przy rozgraniczaniu dóbr królewskich od ziemskich. Dwaj przyjaciele z każdej strony wobec podkomorzego lub jego zastępcy powinni mieć głos, przeglądać dokumenta i dukta, przyjmować zeznania starców; podkomorzy zaś ma być superarbitrem i w razie równości głosów ma się oświadczyć za którąkolwiek stroną. Przysięga nie wystarczy, gdy dzisiaj ludzie zacni nawet swoje prawo poświęcają, aby nie przysięgać przez skrupulatność, a niegodziwi nic sobie nie robią z przysięgi. Trzeba też będzie wprowadzić przedawnienie. Jeżeli lat 30 granica sporowi nie ulega, niechajby już i wzruszać jej nie pozwolono. Prawo Kazimierza W. stanowi, że kto nie upomina się w ciągu lat trzech i trzech miesięcy o swoje prawo do ziemi, traci je. Jeżeli dzisiaj dobra zastawne przechodzą na własność zastawnika gospodarującego w nich przez lat 30, jakże tu pozwolić, żeby ludzie spierali się bez końca o kawałek ziemi? Dobrzeby też było, żeby kto z sędziów znał

się na miernictwie, bo przez ich nieumiejętaość najwięcej tracą niewinni; na ziemi rozciągają łańcuchy jako tako, ale ną papier przenieść rozmiaru gruntów nie umieją. Cóż dopiero wtenczas, kiedy przyjdzie do zamiany miar jednych na drugie, włok chełmińskich na łany polskie lub coś podobnego? Tu Karwicki opowiada zdarzenia, których był świadkiem.

Raz trybunał nakazał wymiar trzech łanów polskich. Miernicy, agrimensor czyli właściwie agriperda (żart z kauzyperdy, o którym przysłowiono powiadano że tracił sprawy, więc agriperda tracił ziemię), otóż ów mierniczy, agriperda przysięgły, jak mówi Karwicki, nie przez złość, ale przez nieumiętność, wymierzył trzy łany niemieckie, to jest aż ośmnaście polskich, dla strony wygrywającej. Byłby tak się popisał i względem drugiego sąsiada, gdyby Karwicki, który w tę chwilę nadszedł, nie miał czasu zapobiedz temu.

Coś w tem i sędziowie rozumieć powinni, rozciągając nadzór nad mierniczymi. Obciąć komuś mały na papierze skrawek pola, jestto na ziemi nieraz porządnie go obedrzeć. Karwicki radził, żeby znaki graniczne wszędzie były wyraźne i dokładne, żeby prawo samo nakazywało takie stawiać. Kąty mają być zapisane w stopniach i minutach. Bliżej oznaczył, jak znaki budowane być mają, żeby nie marniały. Najważniejszy hamulec na sprawy graniczne będzie, jeżeli prawo przepisze, że po latach np. dziesięciu, którakolwiek ze stron spór wiodących, może na grunt ściągnąć urząd podkomorski umyślnie dla odnowienia znaków granicznych, metalowych.

Przedawnienie dobre oddaje przysługi w sprawach gruntowych. Trzeba się stosować do zapisów i długów, bo przewrotność ma tutaj wielkie pole do brzydkich zabiegów. Nieraz pokwitowania robią się w odległych grodach, nieraz ogień nieprzyjacielski zniszczy wszelkie dowody. Dziedzic nic o tem nie wie, a dłużnik z tego korzysta. Przedawnienie te sprawy ułoży. Jeżeli prawo trzy lata przepisuje przedawnienie co do głowy, dla czegoż nie ma go być dla pieniędzy, które mniej przecie warte, aniżeli życie ludzkie. Statut Władysława Jagiełły lat 30 przeznaczył dla dóbr ziemskich. Zastosujemy prawo to do pretensyj pieniężnych. Potrzeba tylko patryjotycznej czyjej posługi, żeby przejrzał statuta w Herbucie, w Januszewskim, Łaskim, Przyłuskim, litewskie,

prawo saskie i magdeburgskie, wreszcie kanoniczne, żeby na podstawie tych wszystkich przepisów prawnych ułożyć zasady przedawnienia, zastosowane do pojęć naszych i czasu. W podobnyż sposób możnaby przejrzeć cały statut polski i nowy zupełnie dokładniejszy statut ułożyć.

VIII.

BEZKRÓLEWIA I ELEKCJE KRÓLÓW.

Cała naprawa Rzplitej uwieńczy się sprawą o bezkrólewiach i elekcjach królów. Przedmiot to najwięcej zajmujący w Rzplitej.

Bezkrólewia dzisiejsze, to peryodyczne i nieszczęśliwe przesilenia w Rzplitej. Gromadzą się na pole elekcyjne wszystkie namiętności i narodowości, a lepiej powiedzieć, wszystkie prowincjonalizmy Rzplitej, wychodzą na jaw różne zdania i powstaje z tego powszechny zamęt. Bo co przyrównać można do elekcji Zygmunta III, Michała Korybuta lub Augusta Sasa? Już za Stefana Batorego Rzplita chciała wynaleźć jaki dobry sposób elekcji. Toż samo żądanie ponowiono na zjeździe wiślickim po śmierci Stefana. I jeszcze raz na koronacji Zygmunta III radzono o tem, jak świadczy Piasecki. Owszem Warszewicki opowiada, że dawniej jeszcze Zygmunt Stary troszczył się o sposób elekcji. Obiecywali również tę sprawę urządzić Władysław IV, Jan Kazimierz, Michał Korybut i August II, lecz zawsze napróżno. Wyznajmy prawdę: nie udałoby się nawet u nas jaki ład w tej mierze zaprowadzić, bośmy się już nazbyt przyzwyczaili do dzisiejszej nierządnej formy, za której dobrze nam łowić ryby w mętnej wodzie, za której każdy myśli tylko o sobie. Jednakże kochający ojczyznę i wolność obywatele powinniby się namyśleć i podawszy sobie ręce, coś postanowić, bo źle jest i niebezpieczeństwo blizkie.

Żeby zapobiedz niezgodom, potrzebaby zmienić zupełnie sposób odbywania bezkrólewia i samej elekcji króla.

Naprzód wypadałoby zmniejszyć czas bezkrólewia, które nieraz rok cały się przeciąga i daje powód do tylu niepotrzebnych zjazdów i sejmików. Po co się dalej przerywają zwykłe sądy i zaczynają kaptury? Po co ściągać takie tłumy szlachty na elek-

cyjne pole wolskie? Czyż to już raz z tego powodu krew się lała? Przypomnijmy sobie tylko elekcje Zygmunta III i ostatnią Augusta IIgo? wszakże najspokojniejsze grożą nam krwawemi zajściami.

Powtóre, powinnibyśmy przyjąć zasadę, że tylko Polak może być obrany królem. Wynagrodzimy przez to zapomnienie kandydatowi Piastowi, który tak długo na koronę czekał. Postawmy obywateli zacnych, poczciwych, zasłużonych w spisie spółzawodników do tronu. Znający dobrze, a kochający ojczyznę swoją, potrafią być stróżami praw i będą pilnie czuwać nad urzędami. Jeżeli przyjmiemy wniosek, który władzę królewską ograniczy co do prawa rozdawania urzędów, nie bardzo się nawet korony naszej napierać będą cudzoziemscy książęta. Przodkowie nasi wyłącznie za granicą szukali panów swoich, my zróbmy inaczej. Były powody takiego postępowania przodków, bali się właśnie rodaków z powodu władzy rozdawniczej. Król Polak mógł sadzać swoich na krzesła, na ministerstwa i bogatsze starostwa. Zwodzili się też przodkowie nasi niezmiernemi obietnicami obcych książąt. Nareszcie stara ta zazdrość przeszkadzała Piastowi, żeby nie kłaniać się przed niegdyś równym sobie, chociaż każdy pan najserdeczniej pożądał korony. Widzieliśmy jednak i z przykładów króla Michała i Jana IIIgo, jak te obawy w części były próżne, bo żaden z nich nie wynosił do godności swoich krewnych. Wreszcie wybory urzędników przez sejmiki i sejmy, powinny w tym względzie ostatek obaw rozproszyć. Pozwalać zaś obcym, żeby nas łudzili ciągle swojemi obietnicami, już dzisiaj nam nieprzystoi, po tylu zawodach. Henryk Walezy obiecywał flotę i Gaskonów na wojnę moskiewską, wypłatę długów, tymczasem rzucił ojczyznę na losy i opatrzność. Zygmunt III na koronacji swojej gniewem się unosił że od niego żądano Estonji. Zamiast odzyskania tej prowincji utraciliśmy Inflanty i Prusy. Chciał Zygmunt z Rewla uchodzić do Szwecji, Ernestowi ustępował korony. Elekcja Sasa ileż to pochłonęła milionów, a czyż to przez nią wsparły się jakie, chociażby cokolwiek, fortuny prywatne? Kraj cały owszem zubożał i upadł w najokropniejszy bezrząd. Ale powiedzą, zazdrości wielkich domów przeszkodzi. I tę zazdrość obalić łatwo. Pomoże do tego nowe prawo o łasce rozdawniczej. Można też będzie ustanowić kolej prowincyj, a nawet i domów, żeby nie było nikomu

krzywdy. Takie zasady położywszy, dojdziemy łatwo i do tego, że wszyscy chętnie wyłączymy od korony cudzoziemca.

Jakaż ma być tedy forma bezkrólewia?

Skoro król umrze, prymas naradziwszy się z senatorami i posłami sejmu zawsze gotowego, który zwoła, jeżeliby zalimitowany był podówczas, ogłosi uniwersałami województwom śmierć królewską i zaraz wyznaczy w nich termina do sejmików. Jednocześnie ogłosi nazwiska kandydatów do tronu, mężów zacnych i prawych, zasłużonych już Rzplitej na urzędach. Wszystko to będzie według uznania sejmu. Sejmiki zbiorą się najdalej w ciągu czterech tygodni od śmierci królewskiej. Hetmani koronni i litewscy udadzą się natychmiast ku granicom na czas bezkrólewia, żeby tam osobiście czuwali nad spokojnością ojczyzny. Sądy wszelkie, jak były, trybunalskie, ziemskie i grodzkie, dalej odbywać mają swoje posiedzenia. Egzekucje przeciw wiarołomcom (refragarii) mają się odbywać po staremu, ale będzie rejestr osobny świeżych spraw głównych. Wszelkie pozwy wydawać się na ten czas powinny pod wezwaniem: «My Stany Rzplitej». Gdyby jednak nastawały na to sejmiki po województwach, sądy trybunalskie mogą się zawiesić na dwa tygodnie, grodzkie zaś i ziemskie na tydzień, żeby szlachta miała czas zjechać na sejmiki, a nie upadać w sądach. Sejm gotowy zawiesi się także, a raczej odroczy się do Krakowa na koronację królewską na cztery tygodnie. Całe bezkrólewie według tego trwać będzie od śmierci królewskiej aż do koronacji, ośm tygodni.

Co do samej elekcji, postanowić potrzeba, że na niej znosi się prawo veto, to jest wolnego głosu. Większość tutaj ma być stanowczo obowiązującą. Nawet, co prawda, nie będzie to nowość żadna: rządziliśmy się dotąd za radą tą na elekcjach. Obmawiają nas tylko obcy pisarze dowodząc, że głos pojedyńczy każdego szlachcica może wstrzymać elekcję króla. Nieraz przecie poważna wcale mniejszość nie przełamała pod tym względem woli większości. Ustępowali przeciwnicy dobrowolnie, lub przegrywali sprawę upierając się nierozumnie przeciw sile. Kto wie nawet, czy przeciw Zygmuntowi III nie była większość za Maksymiljanem? Lecz sam Zamojski rozumem swoim poradził, że utrzymał elekcję szwedzką. Michała Korybuta ogłosiła królem większość szlachecka

zabiegom panów i dlatego też stali wciąż królowi temu

oporem panowie, którzy w dniu elekcji ani mogli, ani śmieli wystąpić. Za księciem de Conti była po Sobieskim bezwątpienia ogromna większość. Po co zatem zwodzić świat i siebie, że elekcje królów odbywamy jednomyślnością? Postanówmy zatem prawo i lepiej nam z tem będzie, bo stosunki staną się przez to samo jaśniejsze, że elekcje królów mają się odbywać większością głosów. Jeżeli tak wszystkie inne wybory odbywać się mają, czemużby nie ten, najważniejszy.

Sam sposób elekcji głównie potrzeba zmienić.

Dzisiaj w tej sprawie jest więcej wystawności aniżeli rzeczy, i co innego pojedyńcze osoby przedstawiają, co innego myślą i robią. Patrzmy na katalogi nasze tak zwanych «suffragiów»; są wszystkie w zbiorze konstytucji. Wieluż to w nich podpisanych, co nie głosowało, wielu takich co głosowało wcale inaczej, wielu innych co nie było na elekcji, ale do wypełnienia katalogów nazwiska ich powpisywano i takim sposobem wychodzą na elektorów przed historją ci, którzy nigdy elektorami nie byli. Udania w tem więcej niż prawdy, a zgiełku, niepokoju Rzplitej dużo.

Elekcje niechaj się odbywają po województwach. Prymas wskaże kandydatów do korony według zdania sejmu zawsze gotowego w uniwersałach, w których zawiadomi o śmierci królewskiej i razem dzień elekcji oznaczy, jeden po wszystkich województwach. Zarazem sejm gotowy odroczy i zwoła go do Krakowa w cztery tygodnie po sejmikach elekcyjnych, prosto już na koronację królewską. Nie będzie na ten raz głosowania po ziemiach i powiatach, bo wszyscy szlachta staną na sejmiki wojewódzkie. Tak np. dziesięć ziem mazowieckich głosować ma w Warszawie, trzy ziemie podlaskie także w jednem miejscu. Czas głosowania oznaczy się na trzy dni i dłużej na żaden sposób ciągnąć się nie nie może. Lecz i tutaj potrzeba przyjąć pewien porządek co do rozdziału owych trzech dni. Pierwszego spisze się rejestra szlachty według powiatów i ziem, jak na sejmikach zwyczajnych; resztę dnia tego poświęcić można rozprawom nad wartością kandydatów. Kto się nie stawi osobiście dla wpisania się do listy głosujących, prawo swoje na ten raz traci. Drugiego dnia odbywać się ma samo głosowanie, od rana, według zwykłego sejmikowego porządku. Toby jedynie zmienić można, że przy tym uroczystym akcie nie pierwszy lepszy według starszeństwa urzę

dnik województwa, ale senator powinien przewodniczyć i to senator najstarszy dostojnością z obecnych. Assesorowie jednak powinni być wybrani z ziem i powiatów, jak na sejmikach. Po skończeniu głosowania urna zamyka się, lub się oddaje do zachowania w zakrystji kościoła, w którym odbywało się głosowanie. Resztę dnia poświęci się oczekiwaniu. Nazajutrz dopiero, trzeciego dnia, urna przynosi się z zakrystji i otwiera wobec wszystkich. Liczą się głosy podawane na kandydatów. Kto najwięcej za sobą pozyska kartek, ogłasza się kandydatem województwa do korony. Gdyby zdarzyło się kiedykolwiek, co trudno jest przypuścić, żeby dwóch miało po jednej liczbie głosów, obadwa nazwiska zapisują się. Głosy województw zaniosą na sejm koronacyjny poprzednio na ten cel obrani posłowie ziemscy i senator marszałek sejmiku.

Następuje zjazd powszechny w Krakowie całej Rzplitej. Zbiera się sejm gotowy i obok niego nowi posłowie wybrani po sejmikach. W cztery tygodnie po wyborach wojewódzkich wszyscy na miejscu być powinni. Senatorowie marszałkowie sejmików koniecznie stawić się muszą. Kandydaci wybrani po województwach do korony, wszyscy również się stawią, lecz z drobnemi orszakami, jak to konstytucje już tyle razy opisały. Zbiera się sejm podwójny. Liczą się głosy województw i kto ich najwięcej za sobą mieć będzie, ogłasza się zaraz królem. Koronacja nastąpi natychmiast.

Rachowanie zaś głosów za królem inne ma być, jak rachowanie sejmikowe. Tam na sejmikach żaden głos żadnego szlachcica nie przepadł darmo, tutaj zaś na elekcji króla województwo niechaj ma tyle głosów, ile zapłaci podatku ziemskiego lub dymowego. Województwo krakowskie np. płaci 25,000 złp., więc niechaj i na jego dolę liczy się 25,000 głosów; lubelskie płaci 6000, więc 6000; bełzkie 3000, więc 3000 niechaj ma głosów kandydat, którego przedstawiają. Sprawiedliwość sama takiego umiarkowania głosów po województwach wymaga. Kto więcej robi dla sprawy publicznej, niechaj ma więcej prawa.

Każda zasada wolności naszej zachowa się w takim wyborze króla.

Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie, zatem głosują wszyscy. Zasługi pojedyńczych osób i rodzin całych uznają się, bo Rzplita wynosi tych, którzy więcej dla niej pracowali. Województwa tak równe sobie, jak ludzie. Ale województwa, które

i większe są i więcej robią dla obrony Rzplitej, bo płacąc więcej podatków, większą też wystawiają siłę zbrojną, słuszna, żeby i stósowną ilością głosów dysponowały, inaczej nie będzie nawet równości. Poznańskie województwo z kaliskiem płacą na wojsko podatku ziemskiego 30,000 zł., Mazowsze zaś 21,000. Jeżeliby jednak wszystkie głosy zarówno się rachowały bez względu, kandydat mazowiecki miałby dwa razy, trzy razy tyle głosów co poznański i kaliski razem. Podlasie, które płaci 5,000 dymowego, dałoby swojemu kandydatowi więcej głosów, niżeli województwo krakowskie, które płaci 25,000. W Litwie księstwo żmudzkie również przeważyłoby inne województwa.

Dzisiaj obierają nam królów te województwa, w których więcej szlachty. Oczywiście, tam gdzie jej mnóstwo, tam biedniejsza i bardziej na zabiegi i niespokojności wystawiona, wielu z nich czytać i pisać nie umie. Zapisuje ją więc ktoś inny do «suffragiów», a pierwszy lepszy nimi powoduje. Królem nie wybiera się ten dzisiaj, którego podają głosy roztropnych, lecz zabiegi przewrotnych. Ambitni ubiegający się o koronę spółzawodnicy nie zwracając uwagi na nieludne województwa, do tych się pospolicie odnoszą, w których mnóstwo szlachty. Wszyscy widzą, że elekcja staje się nie z przekonania, nie z powodów rozumnych, ale ślepą większością. Panowie dlatego sprowadzają na pole elekcyjne sługi swoje, nieosiadłą szlachtę, aby zrównać mogli liczbą cudzym województwom. Ztąd nieład największy. Jeżeli tedy wszystko jedno będzie, czy województwo da sto, czy tysiąc głosów, a sprawa ta rozstrzygnie się według taryfy podatkowej, będziemy mieli w trzy dni najspokojniejsze elekcje królow.

Osobiste pretensje nie będą tu miały żadnego znaczenia, kiedy województwa głosują. Jeżeli zaś które województwo będzie miało sobie za ujmę to, że niewiele mu wypadnie dawać głosów, może prawa nabyć większego: zależałoby już od jego woli, niechaj tylko dobrowolnie powiększy taryfę swoją podatkową. Dzisiaj wiele województw na inne zrzuca ciężar podatków i właśnie robią tak pospolicie te, które więcej wybierają posłów. Sprawiedliwa tedy byłaby rzecz, żeby i liczbę posłów zastosować do taryfy podatkowej.

Dla uspokojenia zazdrości ustanowićby wypadało kolej domów i prowincij. Niechaj np. stanie prawo, że nie można obrać

powtórnie króla w pewnej rodzinie aż na czwartej elekcji. Jestto sposób zapewnienia się, żeby jedna rodzina nie nabrała z czasem zbytniej przewagi w Rzplitej. Toż prawo mamy względem deputatów trybunalskich. Słusznie postanowiono, że dopiero na czwartej elekcji może być taż sama osoba wybraną deputatem. Zachodzą o to wielkie spory po sejmikach; cóżby to było, gdybyśmy prawa nie zastosowali do elekcji królów? Powiatowe uchwały niektórych województw oddalają również od poselstwa na dwie kadencje ludzi, którzy je dopiero co sprawowali.

Synowie królewscy nie powinniby się nazywać królewiczami. Zostając w równości, są zdolni do wszystkich urzędów i zaszczytów, zwłaszcza że król nie będzie posiadał rozdawniczej władzy. Mamy tego przykład w Wenecji.

Karwicki oświadcza dalej, że nie sprzeciwiłby się również i prawu, gdyby je uchwalono, żeby szli królowie według alternaty prowincyj dwóch koronnych, a trzeciej litewskiej. Byłoby więc dwóch królów Polaków i trzeci zawsze Litwin. Nie idzie mu o szczegóły, radby tylko uspokoić wszelkie skrupuły szlachty, przedewszystkiem więc chodziło mu o to, żeby obywateli prowadzić ku jedności; gdyby ją więc ten drobny szczegół rozrywał, niechaj lepiej będzie i alternata prowincji.

Korzyści z takiego sposobu zaprowadzenia elekcji, będą następujące:

Każdy szlachcic zostanie teraz naprawdę wyborcą króla, bo swobodnie głos swój na niego poda. Przetnie się raz na zawsze drogę intrygom posłów cudzoziemskich. Zgromadzeni w Warszawie, intrygowali w Warszawie. Teraz trudno im będzie jeździć po województwach, zwłaszcza gdy sam obrzęd elekcji odbywać się ma kartkami tajnemi i w trzy dni. Bezkrólewie się skróci do ośmiu tygodni. Oszczędzi się wielkich wydatków wszystkim, bo każdy, jak mógł, silił się na elekcję. Kraj będzie spokojny. Nie poniosą zagrody i włości szkód, jakie ponoszą dzisiaj, kiedy ludność elekcyjna ciągle pod Wolą spływa, to odpływa. Wszystko się odbędzie w porządku. Sądy kapturowe nie przewrócą do góry nogami ładu, jaki był poprzednio. Z elekcyj takich owszem przybędzie zaszczytu narodowi polskiemu. Dzisiaj albowiem powszechne jest mniemanie, że sto tysięcy przeszło szlachty polskiej gotowych zawsze jest ku obronie ojczyzny. Sprawdzi się to głoso-

waniem. Wybrany król albowiem może mieć głosów 100,000, nawet 200,000. Elekcje podwójne i z tego powodu prowadzone wojny domowe ustaną. Patrzmyż do czego te nieustanne wojny domowe doprowadziły w sąsiedztwie naszem Węgry. Obrano pierwszy raz dwóch królów: arcyksięcia Ferdynanda i Jana Zapolskiego. Gdy Niemiec zwyciężał, Zapolski sprowadził do Węgier sułtana, a ten pomysł nieszczęśliwy był powodem ostatniego upadku królestwa.

Są niektórzy statyści, co radzą obiór króla zdać na losy; mówią, żeby kandydatów spisać na pojedyńczych kartkach, a kogo los wyciągnąć pozwoli, ma ten zostać królem. Podają przykład że tak jest w Wenecji, gdzie głosowanie odbywa się na gałki pozłacane lub posrebrzane. Lepiej jednakże rozumem, przekonaniem, nie losem stanowić: Opatrzność i tutaj czuwa. Zresztą w Wenecji nie wybierają się w podobny sposób dożowie, lecz wyborcy dożów dziesięć razy zmieniają się, aż w końcu wybiera się ich 41 i to nie ślepym losem, ale rozumowaniem walcząc, po dojrzałem zastanowieniu wyborcy ci obierają dożów: prawo zaś wymaga, żeby przynajmniej 25 głosów z 41 na jednego się zgodziło.

Tu koniec planu reformy Rzplitej Karwickiego.

IX.

DZIEŁO KARWICKIEGO.

Zacny podkomorzy wywód swój zakończył epilogiem do czytelnika, który żywcem tłómaczymy? nie wiemy tylko, czy dokładnie myśl jego zrozumieliśmy wszędzie, mieliśmy albowiem pod ręką bardzo złą kopię jego rękopismu, tak dalece złą, że czasami i myśli rozumieć nie można.

«Widzisz kochany czytelniku — powiada Karwicki, — jakie są myśli moje co do odnowienia Rzplitej polskiej. Nie w szkole Platona zaczerpane, ale wydobyte z podstawy praw ojczystych i z tajemnic rządowych. Być może nie wszystko w nich pochwalisz, ale przynajmniej nie przyganisz też wszystkiemu. Boć naszą jest rzeczą, chodzących i pracujących około rzeczy publicznej statystów, wysłuchać zarówno sprawiedliwych jak i niesprawiedliwych sędziów. Jeżeli przecież baczniej rzecz rozważysz, zobaczysz,

że mój sposób zapobiegnie wielu klęskom, które dzisiaj ukrywają się pod popiołem, ale w płomienie wybuchnąć mogą; głównie opis łaski rozdawniczej królów jest tutaj ważny. Ludzie pełni ambicji i dlatego królom samym nieznośni, nie będą tak się nadymali, ani też ci którzy na przeciwną stronę się udali nie tracąc nadziei, że podnieść się będą mogli, bo gdy wszyscy nagród lub kary od wszystkich oczekiwać będą, postarają się też o wszystkich zdanie. Moja rzecz była poradzić, twoja przyjąć rady i sprawić to żeby inni je przyjmowali, bo dzisiaj łatwiej znaleźć lekarstwo na zastarzałe wady nasze, aniżeli kiedykolwiek. Jeżeli nie zapobiegniem sami, zmiany się bez nas zrobią wielkie. Zła rada zgubi nas, a rozum każe poprawiać to zawczasu, co potrzeba. Wolności naszej pomogą sąsiednie mocarstwa, którym zawsze lepiej się podobać będzie nasz sposób rządu, aniżeli jednego wśród nas samowładztwo. Życzenie moje spełniłem, bo chciałbym kochany czytelniku widzieć w Polsce niezależną od woli królów Rzplitę co do wybierania urzędników i rozdawniczej łaski; chciałbym w Polsce królów ziomków, jak w Lakonji, którzy według Emmiusza odznaczali się tylko godnośeią i zaszczytami, lecz nie piastowali władzy. Chciałbym u nas widzieć ateńskich Tezeuszów, którzy według tegoż Emmiusza władzę wybierania urzędników zdali na lud, sobie zaś zostawili tylko pierwszeństwo i dozór prawa. Niechaj i Polska ma takichże samych królów ziomków, stróżów prawa, mężów zacnych, świadomych spraw ojczyzny, kochających ją, starających się o miłość i powagę wśród ludu, królów, których mój naród obawiać się nie będzie o jakieś spiski przeciw wolności, gdy nie od ich woli zależeć będzie rozdawanie godności i dzierżaw, lub odmowa ich; przez co uniknie się wszelkich powodów do nienawiści i podejrzeń. Tego jedynie pragnę».

Systemat ten swój naprawy Rzplitej wyłożył Karwicki w dziele pod tytułem: *Stanislai Dunin Karwicki De corrigendis defectibus in statu Reipublicae Polonae discursus triginta quinque, libris sex comprehensi. Anno Domini 1708.*

Dzieło, jak sam tytuł pokazuje, napisane było po łacinie. Autor z wielką szkodą dla dobra ogólnego nie ogłosił je drukiem, w rękopiśmie się tylko przechowało. Sądzimy, że powodem ku temu było nowe przeważenie się losów i powrót Augusta II do Rzplitej. Wszystkie nadzieje reformy Karwickiego związane były

ze sprawą króla Stanisława; dlatego też tak gorąco popiera i królów ziomków, kiedy ideał swojej duszy, wymarzony, wypielęgnowany, oglądał w królu narodowym. Łatwiej było trafić Leszczyńskiemu do serca ziomków, bo przemawiałby szlachcic do szlachty, pan rozumny do braci, którzy się powinni byli opamiętać. August II przynosił z sobą inne reformy, które się głównie na tem opierały, żeby kraj rozerwać, z kilkoma sąsiadami podzielić się nim, wspólną siłą nastąpić na Rzplitę. W sprawie całości narodowej, Karwicki głos swój podnosił, ale kiedy rozgrom pułtawski wywrócił najdroższe jego nadzieje, dzieło schował, nie było albowiem na czasie i wielka szkoda, bo w każdym razie, bądź co bądź, wyrabiałoby opinję publiczną, podawałoby silną rękę tym, którzy wady zastarzałe rządu naszego usunąć pragnęli.

Ztąd niepotrzebnie ustąpił miejsca ks. Konarskiemu. Mają u nas pospolicie Konarskiego za pierwszego męża reformy i nie wiedzą, że na pół wieku jeszcze przed tem, Karwicki cały system reformy obmyślił. Konarski znał dobrze dzieło Karwickiego, często je przywodzi w swojej pracy «o skutecznym rad sposobie», często jego dowodami rozumowania swoje popiera. Konarskiemu łatwiej przychodziło być reformatorem, kiedy go poprzedził Karwicki. Powiedzieć nawet można, że dzieło Karwickiego, chociaż niedrukowane nigdy, wpływ swój wywarło w narodzie, niechajby tylko jeden Konarski był tego dowodem. W każdym razie rzadkie były odpisy Karwickiego. Nikt o nim nie dał wiadomości, nikt treści dzieła nie przepisał. Zdawało się długo, że jedyny ślad Karwickiego został w cytacjach dzieła «o skutecznym rad sposobie». Szujski w swoich Dziejach wspomina o Karwickim, ale mówi że zatracony jest niepowrotnie rękopism jego reformy.

Przypadkiem jednak w Warszawie samej znaleźliśmy dwie kopie Karwickiego. Jedną u p. Jana Jundziłła, zacnego obywatela Litwy zamieszkałego w Warszawie. Drugi rękopism odkrył się później w bibliotece ordynacji Krasińskich. Nie porównywaliśmy z sobą dwóch tych rękopismów, używaliśmy zaś Jundziłowskiego i podług niego wystawiliśmy cały obraz reformy Rzplitej pomyślany przez Karwickiego. Rękopism to, dodajmy jednak, bardzo błędny, pełen omyłek, które nieraz i myśl psują. Zwróciliśmy uwagę p. Jundziłła na wartość rękopismu i na jego odkrycie. Nie wadziłoby go wydać i to dwa razy: w oryginale

i w krytycznem opracowaniu polskiem. Nietylko to bowiem zabytek zapomniany literatury, ale i bardzo drogi dokument historyczny, świadczący wymownie, jak nawet w czasie rozpasania się nierządu u nas, ludzie wyższego umysłu o naprawie Rzplitej marzyli.

X.

UWAGI O POMYSŁACH KARWICKIEGO.

Teraz słów kilka o pomysłach Karwickiego.

Podkomorzy sandomierski myśleniem, pracą nad sobą, doświadczeniem i praktyką wyrobił się na znakomitego męża w narodzie. Zapewne w owym czasie wojen szwedzkich i saskich mało obywateli polskich sprostało mu nauką i dojrzałością, tudzież niepodległością sądu, odwagą cywilną. W trudach obozowych, w posługach obywatelskich, umysł jego był zawsze zajęty poważną stroną przedmiotu; zastanawiał się, badał. Ani wątpić, że zacne serce odkryło przed nim niebezpieczeństwo ojczyzny i że rozum jego skierował się natychmiast ku celom praktycznym jak zapobiedz temu niebezpieczeństwu. Wielu myślało o przyszłości ostrzegało na sejmach, smutne dla Rzpltej roiło przepowiednie. Karwicki jeden z wielu napisał plan reformy. Boleść w innych dowodziła tylko że mieli serce, Karwicki pokazał jeszcze że ma i rozum, a do tego i niepospolite zdolności, bo plan jego był całą obmyśloną reformą i stanowiłby wielką epokę w dziejach narodu, gdyby wszedł w życie. Ale też niepospolity byłto człowiek, który plan swój obmyślał przez życie całe, bo strunę jego duszy poruszyły pierwsze większe nieszczęścia, które zrozumiał. Powiedział wtedy sobie, że naprawa Rzpltej jest konieczną i myśląc o niej, począł w głowie swojej wznosić gmach, który ciągle budował, przestrajał, przerabiał, jak to mu doświadczenie i zawody kazały, aż w końcu gmach ten strzelił w niebiosa, jako śliczny, wspaniały budynek, w którym się pomięszały style, dawny i nowy, Rzplita jagiellońska i Sobieskiego, z nowemi życia potrzebami.

Karwicki był mężem znakomicie uczonym, nawet nie na swoje czasy. Czytywał zawsze z zajęciem księgi filozofów i historyków, obcych i swoich. Dzieje Polski znał nie ze zwyczaju, ale uczył się ich naumyślnie, studiował systematycznie, z książek

z rękopismów. Toż nawet z różnych notat gospodarskich wyciągał daty historyczno-statystyczne [1]). Któż znał od niego doskonalej prawo narodowe, zbiory konstytucyj koronnych? Inni może chodzili około prawa, ile im wypadało, ile im było potrzeba; Karwicki zajął się niem wyłącznie jako obywatel z powinności, jako uczony ducha jego badał, komentarze o niem pisał. To też nic dziwnego, że Karwicki znalazł w księdze praw koronnych to, czego inni nie znajdowali, nieobeznani z niem dobrze, to jest ratunek na dolegliwości ojczyzny. Pospolicie jest dzisiaj zwyczajem uważać prawa nasze za nierządne, a przecież z niego swoje zasady naprawy i rządu snuł Karwicki. Herburta najmilej i najpilniej czytał, bo ciągle go przytacza, może go miał pod ręką. Z pisarzy historycznych polskich najwięcej zajął Karwickiego Piasecki, bo jego najczęściej przywodzi. Mógł rzeczywiście na umysł zacnego statysty wpływ wywrzeć pisarz, który opowiadał przyjemnie chociaż dosyć po kronikarsku sprawy Rzpltej. Zarzut ten chyba Karwickiemu zrobić można, że zbyt wiele ufał Piaseckiemu, nawet jego tylko wyłącznie oczami patrzał na Stefana Batorego i Zygmunta III. Ztąd nieraz sądy Karwickiego o ludziach i rzeczach są nieprawdziwe, bo w mętnem czerpane źródle; ks. Piasecki był nadzwyczaj stronny, sam niezupełnie czystych usposobień. Prawda że dopiero dzisiaj podglądamy tę dwulicowość Piaseckiego i że przed sto pięćdziesięciu laty była jeszcze kronika Piaseckiego granitową powagą. O Rzeczypospolitej ateńskiej i lacedemońskiej sądził Karwicki podług Emmiusza, którego sobie także odczytywał.

Nie przywodzi Karwicki innych dzieł i autorów, ale widocznie szukał u wielu światła, bo nie były mu wcale obce sprawy Francji i Włoch; z Wenecją zaś, że miała rząd wolny, republikański, stosunki polskie często porównywał. Dziwny to objaw naprawdę, ale kształty społeczne Wenecji bardzo się u nas podobały i zacząwszy od Górnickiego, wielu statystów pragnęło Rzplitę naszą zbliżyć do tego ideału. Nie zdaje się za to żeby znał Anglję, bo w dziele swojem nie wspomniał o niej ani słowkiem, chociaż żył

---

[1]) Wrozmowie 28mej pisze: *legimus enim in dispositionibus antiquis cujus mihi etiam domi sunt exempla....*

w dobie, w której zrównoważyła się po wielu latach walki, wolność angielska z władzą. Dziwna rzecz również, że nie znał konstytucji węgierskiej, która mogła dać mu powód do nowych porównań i stosowań; prawda, że w owych czasach, w których Karwicki żył, wolność węgierska nękana już od dwóch wieków blizko przez Niemców, upadała coraz więcej i kraj zamieniał się w prowincję rakuską. Zapewne nie obojętność Karwickiego była tu powodem, że nie znał konstytucji dawnych Węgier, ale nasz statysta brał rzeczy jakie miał pod ręką, opracowane, gotowe; brał zresztą to na uwagę, na co sam patrzał, konstytucje wolnych narodów, starych i innych. Więcej niezawodnie znalazł materjału w starych, bo Ateny i Sparta wiecznie będą sławne po świecie i działają na imaginację; Anglia mało obchodziła Polskę po wsze wieki, Francja zaś, chociaż nie wolna, już od wieku trzęsła Europą, narzuciła jej swój język dyplomatyczny i polor; więc znał Karwicki bliżej i Francję.

Dojrzały mąż, Karwicki nie poświęcał formy dla rzeczy. Dla tego rzadkim zapewne w ówczesnej Polsce przykładem nie miał nic nawet przeciw podniesieniu samowładztwa w Polsce; co większa, sam wierzył w samowładztwo Piastów, następców Mieczysława i Bolesława Chrobrego; wierzył dobrodusznie, że wolność polska urosła szczodrobliwością, serdecznością królów, którzy wynagradzali narodowi nadawaniem i rozwijaniem wolności, jego wierność i zacność. Nie dziwić się było takim pojęciom naukowym, kiedy w pierwiastkowe samowładztwo królów Piastów wszyscy wierzyli i za niego i potem. Nie zastanawiał się tylko Karwicki nad tem, jak mogła powstać owa władza z niczego na gminowładnym gruncie i nie wytłómaczył dostatecznie powodu, dla którego królewskość ogołacała się dobrowolnie z nabytych niby praw swoich, bo przecież żadna zasługa narodu nie zmusi żadnego króla do tworzenia, budowania wolności. Dwie te zasady zawsze nazwajem się wykluczają. Zasługa wreszcie względem kogo? Narodu względem króla? Toż król jest dla narodu, nie zaś naród dla króla i prawda ta tem wybitniejsza, jaśniejsza wśród gminnych opolów słowiańskich. Żeby naród potrzebował jakie zasługi pokładać względem króla, potrzeba było wprzódy przekonać naród że jest niczem, przeciwnie zaś król wszystkiem. W takim tylko razie można było wmówić w naród, że skrupułami

swego sumienia do wierności królowi jest zobowiązany. Przypuszczenie to, że miał naród wolność tylko z łaski króla, ubliżało mu najwięcej: nie nadaje się wolności temu, który jej niewart, wolność samemu się bierze, kiedy jest po temu siła, kiedy się ma stosowne wyrobienie społeczne.

Rzecz to zresztą mniejsza tutaj, bo nie pisał Karwicki dziejów, ale projekt reformy Rzpltej i nie potrzebował w nim rozjaśniać swoich pojęć naukowych; dosyć że fakt przypuścił: samowładztwo było najdawniejsze w Polsce, królowie stworzyli wolność.

Uważał dalej Karwicki, że każdy naród ma inne usposobienie a według tego stosuje i swój rząd: jeden pragnie samowładztwa, drugi wolności. Chociaż sam osobiście nie miał nic przeciw podniesieniu nawet samowładztwa w Polsce, zastanowiwszy się głębiej poznał, że u nas więcej przystoi panowanie wolności, że gieniusz narodu jest za tem i że wszelkie plany reformy tylko na tej drodze się udadzą. Ależ to sprzeczność, nie dostrzegł jej Karwicki. Jeżeli wolność polska powstała przez królów, też chyba niestósowną była dla narodu, który dawniej rządził się samowładztwem i nie płakał na nie. To królowie chyba mieli jakiś obłęd na ziemi polskiej szerzyć wolność wbrew usposobieniom narodowym. Królowie wmówili w Polskę wolność, sami się rozbrajali dlatego, żeby narodowi swoje narzucić przekonania. Zkąd potem naród tak mocno się przywiązał do wolności, że nawet plan reformy potrzeba mu było obmyślać republikański? Dodajmyż do tego, że Karwicki sam, pomimo swojej wyrozumiałości dla wszelkich form rządu, był szczerym republikaninem: tego dowodem jest sam jego plan reformy, który tylko w pojęciach duszy polskiej mógł się wypielęgnować taki jakim był, oparty na prawie narodowem, z niego, z wolności wysnowany. Karwicki zanadto był światłym mężem, żeby bezwarunkowo popierał samowładztwo; wiedział, że to żadnej rękojmi narodowi i niczemu nie daje, że samowładztwo dobroczynne dla kraju może tylko istnieć w teorji, w przypuszczeniu królów aniołów, nie ludzi. Zdradził się sam, kiedy ideałem swoich królów stawił ateńskiego Tezeusza, który praw wszystkich majestatu zrzekł się na korzyść narodu, sam sobie zaś tylko zostawił dozorowanie praw i wolności. Tezeusza tego po kilka razy w różnych okolicznościach wspomina, lubując się tym charakterem. Królów więc naszych, Piastów, Tezeuszami widział, bo nie

jeden, ale całe pokolenia królów zrzekały się, jednego po drugiem, praw swoich, na korzyść narodu polskiego. Ku temu ideałowi dążył i Karwicki w swoich planach reformy. Przyjmował wolność jako dar od majestatu, ale wyłącznie ją dla narodu chciał rozwinąć do ostatnich kresów; w położeniu Polski, to bardzo logiczne było. Król według niego powinien być tylko wyłącznym przestrzegaczem prawa i wolności, postacią niemającą w niczem zdania i siły, najwyższym regulatorem władz i konstytucji. Karwicki pierwszy więc może tworzył w Europie czysty ideał konstytucyjnego króla, obcego wszelkim tajnym zamiarom, a poświęconego wyłącznie utrzymaniu jednej prawności *(legitimité)*. Wprawdzie taki wzór króla już się za Karwickiego czasów ukazał w Europie, a mianowicie w Anglii Wilhelm III. Ale Karwicki tego nie dostrzegł, mało obeznany z dziejami i sprawami angielkiemi: sam Wilhelm III był nadto więcej zasadą niż faktem. Ukazanie się nowej teorji w konstytucyi angielskiej nie przesądza nic pomysłowi statysty polskiego: Wilhelm w praktyce podnosił zasadę, Karwicki ją wyrozumował, narysował, stworzył. Dlatego Karwicki powinienby znaleźć zaszczytne miejsce w dziejach nauk społecznych.

Tylko w Anglii i w Polsce mógł się podówczas rozwinąć taki pomysł, taki fakt stworzyć, bo były to dwa jedynie wolne narody w Europie, lecz angielski wyrobił się w ciężkich zapasach narodu z władzą królewską i mógł nową erę rozpocząć dziejów, polski rozrzucał się w boleściach wewnętrznych swawoli.

Uderzające to jednak, że Karwicki podniósłszy ideał, nie napisał nic o samej władzy królewskiej, o prawach jakie chciał zachować jej w Polsce. Bo nie dosyć było powiedzieć, że król jest regulatorem najwyższym, przestrzegaczem, Tezeuszem. Jeżelić nowa konstytucja, to jest forma rządu, miała się utrzymać, trzeba było powiedzieć także, w czem, jak i gdzie ma być król nadzorcą prawa i wolności, co może a czego nie może, jaki mieć powinien w rękach swoich sposób do niepozwalania innym nadużyć. Tuż nic przecie innego, tylko nadużycie samej władzy królewskiej było Karwickiemu powodem, że pomieścił królów na zwyczajnem stanowisku prostych nadzorców. Nowsi królowie, a zaczęło się to od Jagiellonów, jak widać z toku rozumowań Karwickiego, nie z historyi, mianowicie późniejsi, jak Stefan Ba-

tory i Zygmunt III. byli innej zupełnie natury od Piastów. Dawni tworzyli z dobrej woli, rozwijali wolność, ci późniejsi ciągle przeciw niej spiskowali. Tylko czci, jaką pewnie miał Karwicki dla rycerskiego króla Jana IIIgo, bo pod nim walczył, przypisujemy że do liczby tych królów spiskujących przeciw wolności jego nie policzył, a dałyby statyście naszemu do tego prawo usiłowania króla ku zapewnieniu wyłącznego stanowiska synom, zabiegi Marji Kazimiry. Bądź co bądź, nadużycia władzy spowodowały Karwickiego do podniesienia zasady, że Rzpltej potrzeba dokończyć przez ograniczenie władzy królewskiej. Rozdawanie urzędów i starostw było niepoślednim jej przywilejem, Rzplitę narażało na zajścia sejmowe, obudzało zadrość domów, a niechęci ich do króla. Odjąć i ten przywilej panującym, zrobić wszystko w Rzplitej elekcyjne, od króla aż do najniższego urzędnika, było to w istocie ustanowić rząd najwolniejszy i byłoby to rzeczywiście dokończyć budowy narodu republikańskiej. Królowi w takim razie zostałby przywilej tylko dozorowania prawa i wolności, lecz jakże sprawiać ten dozór? Tu wina całego pomysłu, bo kiedy Karwicki wszystkie sprawy poruszył, na tę jednę stronę nie zwrócił uwagi i nie powiedział co król ma robić w Rzplitej. Praktyka angielska wyrobiła i to królewskie prawo, lecz w Polsce reformator winien był plan swój naprawy tym jeszcze ubogacić artykułem, inaczej sam plan nietylko że był niezupełny, ale i pozbawiony najżywotniejszej podstawy. Boć naczelnik rządu, król, musiał mieć przecież jakieś swoje prawo i nie mógł stać z założonemi rękami i spoglądać tylko, rzucać swobodnie oczyma po stronach na to, co się działo w Rzpltej. W Anglii król lubo wcale nie rządzi, jest zawsze ogniwem rządu: otóż ogniwa takiego dla Polski stworzyć zapomniał Karwicki.

Do tych samych wyników, co podkomorzy sandomirski, doszedł i dzisiejszy znakomity statysta polski Walerjan Wróblewski, autor dzieła „Słowo dziejów polskich“. I Wróblewski ciągle narzeka, że republikańska forma nasza nie wyrobiła się jeszcze ostatecznie, że nie odebrała królowi rozdawnictwa urzędów, że była zbyt monarchiczną. Wróblewski nie pisze o tem, coby król robił gdyby mu rozdawniczą władzę cofniono, bo nie plany reformy pisał ale tylko dzieje rozważał, na niewłaściwy kierunek obyczaju narodowego wskazywał. Karwicki miał inny obowiązek.

Mogłyż jednak i w najlepiej urządzonem społeczeństwie nie pojawiać się nadużycia władzy i prawa? Kiedy w Polsce królowi na to przyszło, że miał być nadzorcą i obronicielem tego co jest, należało powiedzieć, jak może karcić nadużycia przeciw prawu narodowemu?

Pomimo tej wielkiej wady, trzeba przyznać, że systemat Karwickiego był wykończonym w największych drobiazgach obrazem, naturalnie w ramach, w jakich mógł się obracać ówczesny statysta polski. Jeżeli mówimy, że w największych drobiazgach, chcemy przez to wyrazić, że nie pomijał Karwicki żadnej reformy, że o każdej wadzie nierządu osobno się rozwodził. Nakreślał jednak swój plan reformy w ogóle, szczegóły zaś były dla niego mniej więcej obojętne; często podawał do wyboru jeden lub drugi środek, wykończenie prawodawstwa zostawiał sejmom i następującym po sobie statystom, wielu też zasad w systemacie swoim nie poruszył, bo ich nie rozumiał. Nie mógł też mieć przedwcześnie pojęcia o tem, co się jeszcze nie wyrobiło. Dopiero koniec tego XVIIIgo wieku miał posłannictwo świat stary zwalić i sprawy społeczne zaburzyć, nowe zasady stworzyć. W początkach XVIIIgo wieku w Polsce systemat Karwickiego odpowiadał wszystkim potrzebom nauki społecznej. Przecież nie powiemy i tego, że plan reformy nie wysuwał się naprzód po nad pojęcie wieku, żeby nie podnosił rzeczy zupełnie nowych, co jest wszystko na wielką pochwałę rozumu i serca Karwickiego. Do kategorji tych nowych w Polsce pojęć, należy szlachetna myśl wyrozumiałości dla ludu, nad którego losem nieraz w życiu swojem ubolewał Karwicki.

Szlachcic więc polski i wyłącznie polski napisał ten plan reformy, to jest naprawy Rzpltej, obmyślony, wykończony wszechstronnie. Nawet sama zewnętrzna postać dzieła Karwickiego, wylała się z pod jego pióra, rozwinęła systematycznie; widocznie wtenczas kiedy plan naprawy w umyśle jego dojrzał, obmyślał jeszcze Karwicki sposób, w jaki najlepiej go będzie przedstawić. Dzieło podzielone jest na księgi i na rozmowy, jakby konstytucja jaka lub kodeks, ktory rozdziela się zwykle na tytuły i pojedyncze artykuły. Autor nie powtarza się, ale ciągle się odwołuje w pierwszych rozmowach do ostatnich, w ostatnich do pierwszych rozmów, jak w dzisiejszych kodeksach prawodawca odwołuje się

ciągle do artykułów. Zasada jedna położona jest jako podstawa budynku i do niej Karwicki ciągle wraca, na niej gmach naprawy wznosi. Dlatego nie ma w tym planie naszego statysty żadnych słów napróżno rzucanych, dlatego też i nie powtarza się nigdy. Zawsze w porządku dowodzi, zawsze nakreśla jakieś widoki i poglądy swoje, obrazuje przeszłość i odkrywa błędy, wady ustroju społecznego, brak należyty w egzekucji prawa. I w ślad za rozumowaniem idą pewniki, że wadę, że błąd usunąć należy, jakoż autor zaraz podaje do tego sposoby i wyłożywszy do tego swój projekt, zaraz rozwija korzyści tej naprawy, jaką wnosi. Umysł Karwickiego jest bardzo systematyczny i praktyczny. Forma ta nawet razi pewną monotonnością, bo co chwila wracają jak przygrywka znane już poprzednio akordy, niewolniczy rzeczy porządek. Systemat Karwickiego nie jest więc nawet poważnym wykładem samych zasad, nie jest nową teorją prawa społecznego, ale to dzieło ma cel praktyczny, wskazuje jak urządzić jedno tylko w Europie gospodarstwo narodowe. Nie oderwany to filozof, ale polski myśliciel, patrjota zacny. Karwicki o cały świat się nie troszczył, nie dla ludzkości i nauki pracował, o tem wszystkiem zapewne nawet i wyobrażenia nie miał, szeroko na świat nie spoglądał, ale z gorącem sercem pisał wyłącznie dla ojczyzny, chciał jej dobra, myślał tylko jak ją od zguby ocalić. Dlatego to i dzieło jego jest razem i wywodem prawnym i rozumowaniem i krytyką częstokroć swojego, czasami i obcych rządów. Karwicki nie teoryę stwarzał, ale chciał jeden naród przekonać, zmusić go do reform. Większa ztąd w dziele jego rozmaitość, większa żywość. Autor przywodząc ciągle i cudze i swoje zdarzenia i przykłady w pomoc rozumowaniom, odjął dziełu dobrowolnie wszelki majestat nauki, zbyt zamkniętej w sobie.

Jestto plan obmyślony, bo Karwicki wywiódł za jednym razem i reformę rządu i reformę finansów Rzpltej i sposób porządnego utworzenia wojska, zwrócił nawet uwagę ziomków na artykuły czysto kodeksowe. Nasze prawa, one praw zbiory, *Volumina Legum* były tylko polityczne, czyli pospolite, jak je nazywa Lengnich i rzadki był w nich przepis stanowiący np. coś o spadku, o kontraktach. Tę rzecz kodeksową obejmowały statuta, w Koronie stary wiślicki, w Litwie tak nazwany litewski, i z wielkim żalem królów, a wstydem naszej historji, drugi statut

powiślicki nie wyrobił się w Koronie, chociaż tyle nad nim król Zygmunt Stary pracował. Sejmy nasze nie były pod tym względem prawodawcze; zajmowały się więcej i prawie wyłącznie gospodarstwem politycznem, administracyjnem, polityczną stroną przedmiotu, stosunkami Rzplitej. Rzecz poprawy statutów sejmy nasze zawsze zdawały na osobne komisje, wyznaczone na ten cel wyłącznie z łona sejmowego i komisje te w różnych czasach wyrabiały tak zwane korrektury, poprawki, dopełnienia. Tak i Karwicki nie wdawał się wcale w statutowe sprawy. Jakby prawdziwy poseł na sejmie, obmyślał tylko polityczną reformę Rzplitej. Pomimo tego poruszył jednak z konieczności, w której się ujrzał, i niektóre sprawy statutowe, wskazywał i tu potrzebne naprawy. Zatem systemat jego ma poniekąd pozór nawet oryginalności niezwykłej w Polsce, gdy dotąd polityki i prawa spadkowego nigdy u nas nie wiązano razem w jeden kodeks, w jeden statut.

Karwicki nie wypowiedział jednakże ostatecznego słowa. Rzucał tylko ogólne poglądy, ogólne zarysy reformy, w zbyteczne szczegóły, w drobiazgi nie wchodził. Zostawiał jeszcze szerokie pole dla prawodawstwa Rzplitej, gdyby nawet plan jego reformy był całkowicie przyjęty. Karwicki gmach stawiał w powierzchownej tylko piękności i całości; doświadczenie zaś i wola narodu mogły wykończać szczegóły, rozkład wewnętrzny. Jemu chodziło tylko o rzecz główną, to jest oparcie Rzplitej na niewzruszonych podstawach. Dodatki, wszelkie upiększenia wewnątrz były mu obojętne. Dlatego, nowa zaleta jego systematu, jest Karwicki zwięzły i krótki. Kto inny, taką ogromną jaką on przedsięwziął reformę, w tomachby zawarł, dzieło zaś Karwickiego wcale nie wielkie. Podajemy treść rzeczy, to jest rozkład cały wewnętrzny pomyślanej reformy:

Podzielił Karwicki rzecz swoję na sześć ksiąg i na 35 rozmów. Księga pierwsza rozprawia o cechach nierządu polskiego, druga o radzie to jest sejmowaniu; trzecia o łasce czyli o władzy rozdawniczej, czwarta o ekonomji wojennej, piąta o poprawie praw i sądów, szósta wreszcie o bezkrólewiach i o elekcjach królów.

W księdze pierwszej jest rozmów sześć (1—6) o nierządzie, o zmianach i rewolucjach państwa polskiego, o stanie obecnym Rzplitej, o źródle nieustannych poróżnień między stanami, o spo-

sobie uspokojenia zajść i rozróżnień, o główniejszych exorbitancjach, które w Rzplitej trzeba poprawić.

W księdze drugiej jest sześć rozmów (7—12). Mówi się w nich o sposobie rad, o sejmikach wojewódzkich, o prawach jednomyślności i większości, o sposobach dochodzenia wszelkich sejmików elekcyjnych, o sejmikach przedsejmowych i jak je odprawiać, o sejmie walnym Rzplitej, o rozwiązaniu go lub zerwaniu, o potrzebie zaprowadzenia sejmu zawsze radzącego, nieustającego, gotowego.

W księdze trzeciej rozmów jest tylko trzy (13—15). Rozbiera się tutaj rzecz o władzy rozdawania urzędów, o królewszczyznach w ogóle i o sposobie, w jaki wypadało Rzplitej obsadzać wszelkie wakanse.

Księga czwarta, najdłuższa ze wszystkich, rozbiera ekonomię wojenną, dlatego w niej rozmów dwanaście (16—27). Tu rozprawa o potrzebie wojska stałego i dobrego, o utworzeniu piechoty, a naprawieniu konnicy, o potrzebie utrzymania obudwu broni, o sposobie powiększenia wojska, o broni i odzieży żołnierskiej, o ćwiczeniach wojskowych, o karności wojennej, o wynagradzaniu czynów męztwa i o rannych w boju, o hetmanach, o artylerji, wreszcie o nadzwyczajnych sposobach utrzymania wojska.

Księga piąta w pięciu rozmowach (28—32) traktuje o poprawie statutu, o apelacjach, o sądach trybunalskich i rejestrach spraw, o sądach podkomorskich czyli granicznych i o przedawnieniach.

W księdze ostatniej szóstej rozmowy są trzy (33—35). Rozbiera tu autor rzecz o bezkrólewiach, o elekcjach królów i określa formę, w jakiejby chętnie widział bezkrólewie i podaje sposoby porządnego obierania króla.

Karwicki nietylko z potrzeby Rzplitej, z konieczności naprawy, ze złych czasów, pisał że jest konieczność przedsiewzięcia reformy. Ale gdyby i nie ta potrzeba, głosowałby za nią jednakże z tego względu, że wiele się praw w Rzplitej przeżyło i że wypadało je usunąć, jako ciężar, który zawadzał w dalszej drodze. Dlatego i najlepsze prawa egzekucji nie miały, bo kiedy opuszczono jedno, opuszczono i drugie, tak zawsze na świecie. Kraj upadał przez to, bo niedołęztwu i złej woli wymówką nieraz być mogła okoliczność, że prawo żąda nieraz niepodobieństwa, bo

bo tego co się już spełnić nie może. Zresztą pociecha pewna ztąd płynęła, że tak zawsze bywa w starych budowlach społecznych, póki stoją nienaruszone aż do rozwalin; cegła po cegle upada, a gmachy po dawnemu stoją i mieszkają w nich ludzie, póki gmach nie obali się sam przez starość. Rzecz gospodarza dobrego zawcześnie zapobiegać ruinie; usuwać gruzy, to co już spadło, na miejscu starych izb budować nowe. Takim tylko sposobem utrzymać się może w czasach późniejszych gmach feudalny, jakim jest do dziś dnia angielski i węgierski. Karwicki na tę drogę popychał Polskę. Pragnął tego czego chciał niegdyś Zygmunt Stary, król znakomity, ale gdy wówczas prywata panów koronnych przeszkodziła kodyfikacji prawa narodowego, Karwicki spodziewał się w swoich czasach, że nieszczęścia Rzplitej dopomogą mu do poprawienia budowy społecznej, że naród będzie wyrozumiały, że pozna własne potrzeby i upadek z którego musi się podźwignąć. bo inaczej zginie.

Ironiczny jest Karwicki kiedy mówi o prawach, które się przeżyły. Kazimierz W. za apelację od sądów niższych do wyższych kazał płacić skórkami zwierząt, które szły na korzyść sędziów, mniej lub więcej drogiemi, według znakomitości sędziego Czasem kazał składać za karę nawet woły. Podatek ten za doby dawnéj, za obyczajów patryarchalnych, nie raził, był właściwy, naturalny, patryarchalny w patryarchalnym wieku, ale kto w owych czasach Sobieskiego i saskich słyszał nawet o takiej karze statutu? Więc cóż znaczy prawo, o którem nikt nie wiedział? o które się sądy nie troszczyły, tak trąciło przedawnieniem, zgnilizną? Nie jedno z tych starych praw było nieludzkie, bo zastosowane było do wyobrażeń przedwiekowych, z których mniej oświaty więcej prostoty posiadali ludzie i dlatego na niem wycisnęli pieczęć prostoty. Z oburzeniem przywodzi Karwicki szczegóły, jest nawet wtedy zgryźliwie dowcipny. Zabójstwo kmiecia opłacało się dziesięciu grzywnami i dziesięć grzywien także płacił każdy, kto młode liszki z lasów wybierał. Było to zestawienie praw Kazimierza W. i Zygmunta Augusta, ale jakże bolesne! Głowa ludzka tyle kosztowała co bezpieczeństwo lisie, a nawet mniej, bez porównania mniej, bo człowiekowi życia nie wrócił nikt, liszki zaś zabrane z lasu, obdarowane były wolnością, i jeszcze owszem za to, że ich spokojność naruszano, ludzie płacili kary. Prawo tak

stanowiło. Daje to zbliżenie powód Karwickiemu do żartu, że prawo musiało koniecznie opiekować się lisami, żeby starczyło z nich skórek na kary sądowe. Bo gdyby lisów nie stało, nie byłoby w Polsce i sądów i sprawiedliwości. Karwicki żali się ciężko, że statut polski prawo boże poprawia, boć przykazanie mówi: «nie zabijaj!» toż wyraźnie Bóg opłacać zabojstwa nie każe, winy pieniądzmi nie zdejmuje. Tu widzimy i filantropiczne cele Karwickiego: główszczyzny gani, człowieka ceni jak człowieka. Jestto w nim chrześciańskie uczucie i nie chwilowe, nie z przypadku tylko, ale płynie z przekonania, z wiary, którą wyniósł z kościoła; serce jego przepełnione jest boleścią, kiedy oko patrzy na tyle nędzy, na tyle przywłaszczeń szlacheckich. Karwicki, z chlubą to o nim powiedzieć można, ujmuje się nie w tem jednem miejscu, ale wszędzie gdzie do tego nadarza mu się pole za ludem, za włościanami, za nędzą. W rozdziale o ekonomii wojskowej ciągle do tego wraca przedmiotu. Obmyśla tutaj tak swoje reformy, żeby i ludowi była ulga, bo dotąd wiele cierpiał od przechodów wojskowych, od stacji, od grabieży i swawoli. Lud biedny ztąd, że nie miał praw żadnych, że zależał zupełnie od łaski swoich panów, najczęściej podobno cierpiał od wojska. Karwicki chciał go przynajmniej zabezpieczyć od swawoli żołnierstwa, nie podnosząc jeszcze sprawy ludu. Jedno polepszenie dałoby może drugiemu początek.

Cały dowcip pomysłów Karwickiego na tem się opiera, że formując Rzplitą, nie podnosi w niej nic nowego. Wielkie było podówczas niebezpieczeństwo powstawać przeciwko wolności swojego narodu, w czemkolwiek jej ubliżać: im bliżej upadku tej wolności, tem zdaje się namiętniej rozmiłowała się w niej szlachta. Nie chcemy przez to utrzymywać, że Karwicki nie miał odwagi cywilnej, że nie śmiałby swojemu narodowi zalecać radykalnej naprawy. Owszem tej odwagi jego wszędzie znajdujemy w dziele dowody, ale sprawiedliwie ten znakomity statysta uważał, że można z sobą dwie na pozór sprzeczne rzeczy pogodzić i naród popchnąć na drogę reformy i nie mówić mu takich rzeczy, któreby drażniły. Może i wilk być syty i koza cała. Postawiwszy się na stanowisku szlacheckiem, Karwicki musiał być podejrzliwym względem władzy królewskiej i dlatego ją ograniczał, ale z drugiej strony bał się najmniejszego kamienia, to jest zasady, poruszyć

w swoim społecznym budynku, żeby nie utracić dla narodu wolności. Polska, mówiono wówczas powszechnie, stała nierządem, i rzeczywiście czas jakiś, póki się sąsiedzi nie zmówili na nią, utrzymywała się nierządem, wśród zazdrości sąsiadów. Karwicki chciał z tego nierządu rząd wyprowadzić, jak Bóg z ciemności stworzył światło, ale zawsze z zatrzymaniem wszech zasad narodowych, przez co spodziewał się, że naród ujmie dla swoich widoków. Nie inną myśl miał król Stanisław Leszczyński, jak się później pokazało, kiedy ogłosił swój plan reformy. Dwaj znakomici statyści spotkali się razem w jednej myśli; to świadczy za praktycznością całego ich pomysłu reformy.

Karwicki opiera się więc zawsze na dawnych konstytucjach; rzecz najdziwniejsza w świecie, z konstytucji sejmowych wywiązuje potrzebę naprawy. Ktoby się tego spodziewał? Karwicki niemal na każdą reformę przywodzi konstytucję, która ją nakazuje, obiecuje. Przekonywa, że Polacy nie znali praw swoich, że kto się oprze reformie prawa, ojczyzny nie będzie słuchał. Objaśnia zatem Karwicki wszędzie narodowi, że chce tylko wypełnienia prawa, które się jeszcze nie przeżyło, odnawia stare dzieje, stare dążenia narodu. Nie reformatorem jest, naprawcą, ale restauratorem, odnowicielem, egzekutorem, wykonawcą. Zawczasu więc powiada, że wolność nie zginie przy jego planie reformy, że bezpieczeństwo jej obmyślił. Owszem utrzymywał, że wolność więcej jeszcze rozwinie się przez jego reformę i rzeczywiście miał słuszność. Ograniczenie większe jeszcze władzy królewskiej niż było dotąd, elekcyjność powszechna rozwijać tylko mogła dawną wolność Rzplitej, nie cofać ją.

Karwicki jest tutaj nawet teoretykiem więcej, chociaż ma tylko wyłącznie praktyczne widoki na celu. To widać z jego wniosków, któremi chce prawnie oznaczyć majątek panien. Systematyk wyłączny, lubuje się w tworzeniu systematów, a zręczny jest, bo z jednej zasady wywinie, co kto chce, i prawo polityczne, elekcyjne dla narodu i prawo spadkowe dla rodzin. Wszystko więc znalazł w swoim systemacie, który utworzył tak, że sam ten systemat był zdolnym do wszelkiej naprawy, do jak najszerszego rozwinięcia się w szczegółach. Tak samo ktoś z podstawy jednej podnosi moralne i materjalne zasady, Tak samo jedna miara służyła za podstawę jeometrom francuzkim do wykreślenia wszelkich

miar odległości, wartości i wagi. Majątku niewieściego nie tknąłby Karwicki, gdyby to nie wypłynęło z jego systematu. Kiedyindziej rozprawiając o wojsku dowodził, że młodzież męzka jest uboga przez niepraktyczne prawo spadkowe i z drugiej strony dzieje się niesprawiedliwość córkom i siostrom. Jakoż chcąc wojsko mieć zamożne, kreśli nowe zasady spadkobrania, zagląda więc pomimowoli w kodeksowe tajemnice, ale bynajmniej nie dla poprawy całego statutu, lecz dla celów praktycznych, wojskowych. Systemat, jaki tu Karwicki obmyślił, jest zbyt kunsztowny, ale wyszedł sam, jak Minerwa z głowy Jowisza, z prawa starego i reformy którą wnosił. To dowód, że autor nasz był więcej teoretykiem i systematykiem, i może sam w praktyczność tej swojej reformy spadkobrania nie wierzył. Sądzimy, że tak było na tej zasadzie, że Karwicki był mężem doskonale widzącym sprawy, chociaż tworzył plany; z drugiej strony znał szlachtę i wiedział, że reforma jeszcze trudna jest, bo niepodobna odrazu zjednać sobie tłumów, które wzrosły w przesądach.

Radykalniejszym nierównie być mu należało w pomysłach, jeżeli szczerze (a kto o tem wątpi?) gruntownej chciał reformy. Najnudniejszym jest Karwicki w sprawach ekonomii wojennej, to jest urządzenia wojska i zapłacenia go, najwięcej też kart swojego dzieła poświęcił temu przedmiotowi, jak gdyby cała reforma Rzplitej w tem, jeżeli nie jedynie, to najwięcej zależała. Przynajmniej trzecia część dzieła poszła na pomysł reformy wojskowej. Jeżeli zaś gdzie, to tutaj mianowicie powinien być Karwicki w pomysłach oryginalnym, radykalnym; trzebać było przekonać tę szlachtę, że ojczyzna żyć może tylko poświęceniami i że nie dosyć jest po sejmikach wrzeszczeć, a wszystkie ciężary podatkowe na lud spychać. Na nieszczęście szlachta nasza nigdy kieszeni swej naruszyć nie chciała, czuprynę nadstawić, głową nałożyć, wreszcie uszło, ale kieszeń! I nie mówi się tu o szlachcie drobnej, ale o panach: zaściankowi rycerze służyli ojczyźnie krwią, panowie zaś od ojczyzny mieli wszystko, urzędy, dostojności, starostwa, a nic jej prawie w zamian nie dawali. Mógł Karwicki tę sprawę poruszyć także z konstytucji. Nie sposób, żeby on, taki mąż uczony, nie wiedział, jakie to spory bywały na sejmach za Zygmunta Augusta przed ustanowieniem kwarty. Wtenczas najwidoczniej pokazała się natura naszych dóbr narodowych, czyli tak zwanych króle-

wszczyzn: miała z nich iść obrona potoczna. Panowie sobie ten wielki majątek narodowy przywłaszczyli i nie chcieli nawet dać małej ofiary z tego co nie ich było, na utrzymanie wojska. Tutaj, zdaje się, łapiemy Karwickiego na gorącym uczynku obawy przed panami.

Niepotrzebnie więc robił zachody wielkie dla otrzymania bardzo małej naprawy w ekonomii wojennej. Zachowywał i liczbę tę samą wojska i fundusze tylko te co były na jego utrzymanie inaczej tylko niemi rozrządzał. Lecz mogłaż taka stara obrona wystarczyć Rzplitej w czasach coraz cięższych? Bo jeżeli się zważy, że wszystkie te zabiegi, które podejmował tutaj Karwicki, miały służyć tylko do uformowania 12,000 wojska, przyznać potrzeba, że żal jego poczciwego trudu. Mowa tu o Koronie, bo też Karwicki i cały pomysł swojej reformy do jednej Korony stosował. Miejscowych stosunków Litwy nie znał tak dobrze. Ma się rozumieć, wszelkie ogólne naprawy sejmików, elekcje itd. zarówno do Korony jak i do Litwy się odnosiły, ale były niektóre szczególności, n. p. te sprawy wojskowe, co je znał zbliżej w Koronie, i naprawiając je, o Litwie wcale nie myślał.

Patryarchalne bardzo mieli wyobrażenie Polacy, kiedy mogli rozprawiać o takiej sile zbrojnej, jako o rękojmi bezpieczeństwa od sąsiadów. Cóż z tego, że autor wymyślił, dajmy na to, i najszczęśliwszy, najpraktyczniejszy sposób zebrania tego wojska, uzbrojenia go i zapłacenia, kiedy ta sama liczba wojska była kroplą wody w morzu, przeciwko tłumom wrogów? Jednakże w oczach Karwickiego ten przedmiot, te rozdziały poświęcone ekonomii wojennej, były bodaj czy nie najważniejsze w naprawie ogólnej Rzplitej; inne reformy były może dodatkiem. Każdy mógł się spodziewać, że wrogi nie dadzą dojrzewać reformom. W takiem położeniu sprawy pierwszym zaiste było obowiązkiem zająć stanowisko, któreby pozwalało przeprowadzać reformy jakiegokolwiek rodzaju. Autor widział wady konstytucji; wszystkie z kolei leczył. Gdy wojsko podnosiło ciągle konfederacje o żołd zaległy i niepokoiło włościan, trzebać było znaleść i na to sposób. Lecz dajmy i na to, ze uspokoiłoby się w Rzplitej ze strony wojska, że nie byłoby już konfederacji, toż pierwsza lepsza wojna z wrogiem przekonałaby, że 12,000 żołnierzy do odporu nie starczy. Sam Karwicki uważał to, że Polska ma teraz do czynienia z Moskwą

nawet wymustrowaną po europejsku. Gdy w Moskwie nie było wyrobienia wojskowego, gdy po staremu naród ten jeszcze toczył wojny, mógł być niestraszny Polsce: teraz on wymustrowany, my po staremu wojujemy i siła strasznego nieprzyjaciela stała się przez to samo dwukrotnie większą. Reforma obmyślona przez Karwickiego szła na nic przy takiem położeniu rzeczy. Dla czegóż tak? Nic innego obwinić nie można, tylko obawę. Oto autor nie śmiał ostro zajrzeć w oczy przesądom narodowym. Z praw starych wysnuwał reformę, wyrabiał niektóre ideje i zasady, sprawy za Zygmunta Augusta poruszonej odnawiać nie chciał i cierpiał to złe, zwiększające się w ostatnich czasach. Może to dlatego, żeby stać się prędzej w zakreślonych ramach praktycznym. Te ramy przecież były za ciasne, potrzebie społecznej wygodzić nie mogły.

Był przecież jedyny i powszechny środek, niezawodny do postanowienia licznego i zwycięzkiego wojska. Trzeba było odważyć się i wymówić raz to magiczne słowo: p o d a t k i. Karwicki powinien był podjąć się wielkiego zadania i wmówić szlachcie, że nie stoi żadna rzecz ludzka tylko Bożą pomocą. Czego najmniej nie rozumiała u nas szlachta po wsze czasy, to potrzeby opodatkowania ziemi: owszem wszelkie ciężary składała z siebie na miasta, na włościan, na żydów, np. pobory, które uchwalały sejmy. I te pobory nawet były w każdym razie podatkiem czasowym, na raz uchwalanym. Podnieść tę rzecz do godności zasady i powiedzieć, że pobory winny się płacić stale i w znakomicie większej ilości, byłby to środek znakomity w swoim czasie. Nie miał i do tego odwagi Karwicki. A jednak podatek, sprawa to elementarna: nie ma tak biednego społeczeństwa, które ma pretensje do cywilizacji, żeby nie widziało, nie rozumiało potrzeby podatku. Karwicki który badał sztukę rządów starożytnych i nowożytnych, który wiedział, jak to się działo u wszystkich, sprawy podatku nie podnosił i z tych szczupłych funduszów, co były na ten przedmiot w Rzplitej, chciał ufundować wojsko. Wszędzie sobie wierny, buduje tylko na gruncie przeszłości.

Podatek więc został stary w Polsce na wojsko: na dawnej zasadzie, to jest egzekucja podatku miała być i nadal trudną, w części niepodobną, to jest grosz narodowy miał marnieć w rękach mniej skrupulatnych, które, jak spółczesny Karwickiemu Jan

Stanisław Jabłonowski wojewoda ruski powiada, nie żałowały nawet skarbu Rzplitej dowodząc: «z nas ci to jest wszystko». Teorja fałszywa, nierząd ją stworzył i rozwinął. W takim stanie rzeczy podatek zależał od łaski, od dobrej woli tych co płacili, od dobrej woli tych co wybierali podatek, co nie rachowali się z niego, co wiele tytułem kosztów podróży zabierali podatków dla siebie. Nie było zatem, żeby powiedzieć szczerze, powinności, był tylko wzgląd na potrzeby kraju, szlachta dawała Rzplitej jałmużnę. Najwybitniej ta słaba strona systematu Karwickiego uderza w rozdziałach poświęconych rozumowaniom, jak króla obierać. Głosować pozwalał wszystkiej szlachcie na pewnych zasadach, ale gdy z tego wypadałoby, że ludniejsze województwa więcejby podawały głosów, chociaż mniej płaciły podatku, przy rachubie ogólnej głosów umniejszał ich według propozycij zastosowanej do cyfry podatków. Było to zeznanie mimowolne prawdy. Natrafił więc już Karwicki na tę prostą drogę i ubolewał nad tem, że podatek był nierówny, że jedni płacili go więcej, drudzy mniej, bo tak się to wszystko jakoś historycznie wyrobiło bez żadnego powodu. Pierwszy do reformy krok powinien był opierać się na równouprawnieniu województw pod względem podatku, a kiedy nie śmiał tego zrobić Karwicki, cierpiał więc przywileje, żeby nie obrazić uprzywilejowanych. Od cyfry podatku zatem zależało głosowanie na króla. Wypadał ztąd wniosek, że jeżeliby które województwo pragnęło więcej mieć głosów, mogło podnieść dobrowolnie cyfrę swoich podatków i nabyć prawa. Tak więc zawsze i zawsze łaska tylko dla Rzplitej, nie powinność. Ambicją próżności Karwicki reformował Rzplitą. Zły to sposób.

Toć daleko trafniej było nietylko równouprawnić województwa pod względem podatków, ale i granic. W istocie należało inny podział kraju zaprowadzić. Polska pod tym znowu względem przedstawiała w nowych czasach istotnie starożytną budowę. Jedne województwa były małe, drugie dwa, trzy razy większe. Co za różnica łęczyckiego lub kujawskiego n. p. od sandomirskiego i ruskiego w Koronie, od mińskiego w Litwie? Inaczej granice kraju rozłożyć, podatek jednakowy a stały zaprowadzić, nie byłoby potem i potrzeby tych redukcji głosów przy elekcii króla; pomysł rzeczywiście dziwny, któryby w każdym razie dawał powód do nadzwyczaj niebezpiecznych komplikacyj. Gdyby się ten

wniosek Karwickiego przyjął, nie obierałaby właściwie króla szlachta, bo wiele jej głosów byłoby straconych, ale obierałaby go chyba cyfra podatkowa zapisana tylko, bo w rzeczywistości byłaby zawsze inna, daleko mniejsza od zapisanej, tak samo jak i w wojsku kwarcianem zawsze mniej było ludzi od cyfry ich urzędowej. Więc nie szlachta, nie podatki, ale fikcja obierałaby króla.

Podatek powiększony i stały i do tego inne rozgraniczenie województw były najpierwszemi i najpotrzebniejszemi reformami w Rzplitej. W takim razie króla obierałoby powszechne głosowanie szlachty i żaden głos nie przepadałby na darmo. Jeżelić potem na sejmie miały się głosy równoważyć, usuwać, po co szlachtę gromadzić na sejmiki elekcyjne, robić w Rzplitej tyle hałasu i wrzawy dla parady? Bo niema wątpliwości, że w każdem województwie pokazałaby się inna liczba głosów rzeczywistych, inna tych, które przyjętoby za podstawę przy doliczaniu stosunkowej wagi kandydatów.

Karwicki miał województwa za jakieś państwa udzielne, zjednoczone stany i dlatego uwagi nie zwracał na ich małość lub wielkość, a wszystkie równo traktował. Trzeba wyznać, że było w tem wiele historycznej prawdy. Województwa nasze z państw dawnych, z księstw się wywiązały, z historycznych stosunków. Województwa nasze były odrębnemi całościami, miały swój samorząd, nawet swoje własne uchwały prawodawcze. Właśnie dlatego, że znały się udzielnościami, trzeba je było wprzódy równouprawnić, urządzić inaczej, a przestałyby grać rolę państw małych. Wyszlibyśmy ze średniowieczności, narodzilibyśmy się do nowego życia. Wniosek Karwickiego wprowadza wielką nowość, cenzus wyborczy, ale cenzus ten zastosowany nie do ludzi, tylko do ciał zbiorowych. Zdrugiej strony cenzus ten był postępowy. Więcej podatku dawało prawo do więcej głosów, mniej do mniej. Cenzus pospolicie w prawodawstwach oznacza minimum podatku, ale każdemu z uprzywilejowanych głos dając, nie robi pomiędzy nimi różnicy. Tu odwrotnie. Każde województwo płaciło i każde głosowało ale inaczej, według większej lub mniejszej ilości podatków. Gdyby wprowadzić głosowanie powszechne, to jest chcieliśmy się wyrazić, gdyby rachować wszystkie głosy szlachty, przepadłyby udzielności województw. I cóż zresztą sprawiedliwszego, jak żeby wszyscy głosowali na równi? Najsłuszniejby było, żeby województwa lu-

dniejsze i większe miały także większą ilość głosów. Ludność powinni byli prawodawcy wziąść za podstawę do rozgraniczeń wewnętrznych i województwa porobić z równych mniej więcej ludności, którejby odpowiadała równa przestrzeń ziemi.

Karwicki głosować każe nie pod Wolą, lecz po województwach. Odejmuje przez to wiele malowniczości dziejom. Nicby to nie szkodziło: podnosi za to albowiem nowość pożądaną, która zapewnić mogła spokojny wybór. Robi najmniej uciążliwem bezkrólewie, ale czy mu się to udaje? Województwa w jego pomyśle właściwie przedstawiały kandydatów, sejm wybierał stanowczo króla redukując głosy. Po cóż więc byli kandydaci województw? Całe postępowanie było nadzwyczaj skomplikowane: żadna liczba nie była stanowczą. Województwa obierały swoich kandydatów, lecz ci kandydaci byli sobie nierówni; jednemu województwo dawało głos jeden, drugiemu głosów kilka. Traciły się pojedyńcze głosy rycerstwa, jak i całe głosy województw. Pojęłaby lepiej taką reformę szlachta, gdyby kandydaci obierali się nie liczbą wszystkich głosujących, lecz liczbą województw; gdyby bez uwagi na to czy województwo ludniejsze, czy mniej ludne, każde miało po głosie, kontrola byłaby łatwa. Gdy zaś nie chciał tego Karwicki i miał poniekąd zasadę, trzebać było odrazu porównać województwa, znieść średniowieczne podziały. Zatrzymałoby się i w takim razie średniowieczności dużo, województwa po staremu byłyby udzielnościami w organizmie Rzplitej. Byłby król obierany dziesiątkami, nie zaś tysiącami głosów. Inaczej cała rzecz zawadzała się o niedostateczność kontroli, a byłby to niezawodnie powód z czasem do wielkich zawikłań, których zmieniona w myśli Karwickiego forma elekcji usunąć na żaden sposób nie mogła.

W każdym razie niepospolitą zasługą pomysłów Karwickiego była poprawa sejmików i sejmów. Jedne i drugie dochodziłyby na zasadach, które podawał. Doskonale umiał tutaj pogodzić statysta przesądy narodowe z potrzebą koniecznej naprawy; utrzymywał liberum veto, ale je ograniczał, to jest stanowczo określał zasady, w których użyte być mogło. Nie spuszczał się na angielską większość parlamentarną i nie przenosił jej żywcem do Polski. Nie pomylił się tu, bo rozumiał to dobrze, że przenosić instytucji z jednego nieba pod drugie nie można bezkarnie: każdy naród ma takie instytucje, jakie sobie wyrobił całem życiem.

Naród angielski tak się wyrobił, że poddawał się ślepo większości parlamentarnej, chociażby drażniła go; w Polsce inne były stosunki. Tu Karwicki zgadzał się zupełnie z królem Stanisławem Leszczyńskim, który w kilkadziesiąt lat po nim, na wygnaniu w Lotaryngii osnuł swój własny plan reformy i ogłosił go dla Rzplitej w dziełku bezimiennie wydaném: «Głos wolny wolność ubezpieczający». W materji sejmikowej naśladował Karwickiego i Konarski który wiele korzystał od swojego poprzednika, lecz zaprowadzał nowość, którą ominął Karwicki, nowość niepopularną, chciał większości. Jednakże mieliśmy i za naszych czasów przykłady, jakiej wartości są instytucje zaszczepione, niewyrobione w narodzie. I Burbonowie i Orleany stali na większościach, przepadli jednak. Instytucja parlamentarnej większości jest życiem, prawdą w Anglii, pokazała się kłamstwem we Francji. Karwicki znowu przesadził w swojej reformie zachowawczej: chciał zanadto dogodzić wszystkim: i panom, że ich kandydatami robił do tronu, i szlachcie, że liberum veto utrzymywał, i potrzebie reformy, że ją obmyślał. Może to wszystko płynęło z tej patryotycznej myśli, żeby tem skuteczniej ująć wszystkich dla planu reformy. W chęci pochlebiania panom spotkał się Karwicki z późniejszym od siebie Szczęsnym, który także gotował swój plan naprawy Rzplitej. U Szczęsnego panowie bywali z urzędu kandydatami do korony.

Zacną reformą Karwickiego był pomysł nieustającego, to jest zawsze gotowego sejmu, który rwać się nie mógł tak łatwo. Ustawa 3go maja przyjęła tę reformę w zasadzie, bo sejm gotowy r. 1791 w wykończeniu swojem inaczej nieco wyglądał, od sejmów gotowych Karwickiego.

Pomysł całkiem nowy dotykał utworzenia trzech izb sejmowych, nie jednej. Zapewne pożądaną była wszelka reforma, któraby wzięła w kontrolę finanse Rzplitej i lepsze zaprowadziła gospodarstwo. Gdyby ta trzecia izba skarbowa złożoną była z ludzi specjalnych, znających się na gospodarstwie, pomysł miałby i praktyczną stronę. Tylkoż osłabiał to wszystko Karwicki swoim wnioskiem, w jaki sposób mają się urządzać trzy izby. Los prawie wybierał do każdej. Dobre było, że każda miała swój zakres działania, swoją, że się tak wyrazimy, specjalność. Lecz stare na-

zwiska izby senatorskiej i poselskiej w nowym rządu składzie nie były usprawiedliwione. Jedna izba skarbowa nazywałaby się właściwie.

Podnieśmy jeszcze i tę zasługę pomysłów Karwickiego, że do służby ojczyznie powoływał wszystkie zdolności. Dotąd sejmy nasze składały grona obywateli ziemskich i naturalnie majętniejszych, którzy mogli odbyć podróż do Warszawy częstokroć o mil kilkadziesiąt i więcej od domu, a potem utrzymywać się w stolicy. Wybierano więc ludzi ze stanowiskiem społecznem, niekoniecznie z sercem i zdolnością. Karwicki odnawia stare obyczaje i znowu jest mężem wysoce narodowym, budzi to w organizmie co warto. Posłowie na sejmy nasze pobierali niegdyś renumeracje od województw swoich, tak zwane salaria, to jest wynagrodzenie za poniesione koszta dla służby Rzplitej. Wywiązał się ten zwyczaj w dobrych czasach z sumienności. Za Zygmunta Augusta i Stefana Batorego jeszcze dosyć często znajdujemy ślady, że województwa płaciły posłów. Za nierządu zwyczaj ten ustał, bo wtedy każdy pan starał się o swoją na sejmie przewagę i płacił jurgieltników. Na ostatnich sejmach naszych zasiadali posłami albo sami synowie pańscy, albo tacy ziemianie, którzy zawsze koło jakiegoś pana się kręcili; niepodległych ludzi nie bywało. Karwicki chce znowu, żeby województwa opłacały posłów, to jest żeby wybierać mogły ludzi zdolnych, niepodległych patrzących tylko dobra ojczyzny. Uważajmy, że tutaj Karwicki wyprzedza wiek, w naszych albowiem dopiero czasach, wszelkiego rodzaju deputowani parlamentarni pobierają dyety, kiedy społeczeństwo zdemokratyczniało. Karwicki nietylko stary zwyczaj odnawiał, ale w duchu tegoczesnego demokratyzmu działał.

Nakreśliliśmy tutaj główne cechy pomysłów Karwickiego. Szerszy ich rozbiór i porównanie z innemi pomysłami będzie przedmiotem osobnej historji systematów rządowych w Polsce. Tam się pokaże naocznie, że Karwicki nie w jednym względzie wyprzedził swój wiek i że był mężem, z którego Polsce się chlubić.

4go stycznia 1866 roku.

KONIEC.

SPIS RZECZY.

Kropińscy, obrazek sejmikowego życia 1
Grandmuszkieterowie Augusta II 47
Kampement w Warszawie 1732 r. 58
Sprawa Karwickiego 88
Pan Bystry 159
Dzieje niewiasty polskiej 171
Koronacje obrazów świętych 197
Ignacy Bohusz, późn. sekretarz konf. barskiej 218
Karol XII w Warszawie w r. 1702 261
Warszawa w końcu r. 1702 272
Warszawa w r. 1705 281
Ks. Wincenty Santini, nuncjusz w Polsce 1722—1728 292
Systemat Karwickiego reformy Rzplitej w r. 1706 315





36639/
/2